

**BARBARA
TAYLOR
BRADFORD**



KOBIETY JEGO ZYCIA

Bradford Barbara Taylor

Kobiety jego życia

Maximilian West osiągnął sukces zawodowy, jest nieprzypoicie bogaty, a jego pozycja budzi respekt na całym świecie. Jednak milioner przeżywa kryzys wartości: prowadzenie interesów nie przynosi mu już tyle satysfakcji, co kiedyś, czuje pustkę i samotność. Punktem zwrotnym w jego życiu okazuje się dzień, w którym zostaje postrzelony przez włamywacza i trafia do szpitala. Tam odwiedzają go kobiety, które odegrały znaczącą rolę w jego życiu. Otarłszy się o śmierć, Maxim uświadamia sobie, jakie błędy popełnił, i porządkuje skomplikowane relacje z płcią piękną.

Część I
Maximilian
Londyn - Nowy Jork 1989

Człowiek, który szturmował i zdobył tak wiele twierdz, uznawanych z pewnością w czasach jego dzieciństwa i młodości za tak fantastyczne i nieosiągalne jak jaskinia Ali Baby. Człowiek o wielu życiach. - Melvyn Bragg: „Richard Burton: Życie”

1

Wyszedł z okazałego domu przy rogu Chesterfield Hill i Charles Street, po czym przystanął na stopniu. Jeszcze niedawno padał deszcz i powietrze w ten chłodny, styczniowy wieczór czwartkowy przesycone było wilgocią. Zazwyczaj nieczuły na kaprysy pogody, mężczyzna uświadomił sobie teraz, że drży z zimna, podniósł więc kołnierz swego czarnego trencza. Plucha pogłębiła i tak już dotkliwy nastrój przygnębienia i poczucie samotności. Od dłuższego czasu trawił go smutek; dziś, nie wiadomo czemu, dokuczał mu jeszcze bardziej. Kryjąc ręce głęboko w kieszeniach zmusił się, aby wyjść na ulicę, i skierował kroki w stronę Berkeley Square. Szedł szybko opustoszałą Charles Street, wyprostowany, z głową podniesioną mimo zimna. Miał ciemne włosy i ciemnobrązowe oczy, był wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, o ciele sportowca i pociągłej, nieco kanciastej twarzy, której ostro zarysowane kości policzkowe sprawiały, dzięki opaleniznie, wrażenie nieco bardziej łagodnych. Ów wyjątkowo przystojny mężczyzna, liczący sobie około pięćdziesięciu kilku lat, nazywał się Maximilian West. Zastanawiał się nad powodem swego przygnębienia i rozeźlony mruknął coś pod nosem, żałując, że zgodził się na spotkanie o tak późnej porze. Uczynił to pod wpływem impulsu - on, który zazwyczaj działał szczególnie rozważnie - przez sentyment dla starego przyjaciela z lat szkolnych, Alana Trentona. Alan stwierdził, że obecność Maxima tego wieczoru będzie miała szczególne znaczenie. Ale ósma czterdzieści pięć była późną godziną, nawet jak na Maxima Westa, znanego z tego, że w sprawach interesów może rozmawiać o każdej porze dnia i nocy. Tym bardziej że dzisiejszego wieczoru miał już umówione inne spotkanie. Na szczęście

biuro Alana oddalone było zaledwie o krok od otwartego do późna klubu, gdzie na dziewiętną trzydzieści Maximilian zamówił stolik.

Obszedł dokoła Berkeley Square, zastanawiając się, dlaczego Alan chciał się z nim zobaczyć i o co tu właściwie chodzi. Kiedy Alan zatelefonował do niego, jego głos był nagły, sugerował sprawę nie cierpiącą zwłoki, on sam jednak mówił zdumiewająco powściągliwie. Maxim, zaintrygowany, obiecał, że wstąpi do niego, teraz jednak rozmyślał z niepokojem o upływającym czasie, przypomniał też sobie, że Alan jest niepoprawnym gadułą. Trzeba będzie pilnować godziny i starać się skrócić to spotkanie.

Och, do diabła, pomyślał dochodząc do skrzyżowania z Bruton Street. Alan znaczył dla mnie tak dużo przez większą część życia, jestem mu coś winien... znamy się od tak dawna, wie tyle - i jest moim najlepszym przyjacielem. Przechodząc przez ulicę, utkwiał wzrok w salonie wystawowym Jacka Barclaya na przeciwległym rogu, a kiedy znalazł się na wysokości witryny z jej taflowym szkłem, przystanął, aby nacieszyć oczy widokiem błyszczących w świetle reflektorów rolls-royce'ów i bentleyów. Już od dawna przyrzekał sobie, że kupi jeden z tych superluksusowych modeli, ale jakoś nie zdobył się na to do tej pory. Zresztą nie odczuwał specjalnej potrzeby posiadania samochodu na własność. Bardziej odpowiadały mu odrzutowce docierające do najprzeróżniejszych miejsc świata, a kiedy przebywał na ziemi, korzystał ze służbowych limuzyn.

Minął salon samochodowy Henleya i bank Lloyda, a po chwili pchnął drzwi do Berkeley Square House i skinął głową na widok strażnika, który układowie dotknął dłonią daszka czapki. W mieście nie było bardziej imponującej budowli, ani lepszego obiektu handlowego niż właśnie ten. Kolejne piętra mieściły w swych apartamentach wielkie towarzystwa zagraniczne i spółki mieszane, firmy dysponujące większymi środkami finansowymi niż rządy w wielu krajach świata. Ów płożożyty gmach był w oczach Maxima potężnym królestwem handlu, dokonywano tu bowiem transakcji wartości setek miliardów dolarów rocznie. Mimo to nie wyróżniał się szczególnie z otoczenia; dawno już wtopił się w krajobraz tego uroczego, obfitującego w zieleń, placu w samym sercu Mayfair, a większość londyńczyków, przechodzących tędy dzień w dzień, nie zdawała sobie nawet sprawy z jego istnienia. Nie ulegało jednak wątpliwości: to tu mieściła się angielska baza

imponującej liczby wielkich firm, tu również wpływały ogromne pieniądze.

Maxim przeszedł przez hall z białego marmuru, wyłożony miękkimi dywanami, wszedł do windy i wjechał na szóste piętro, gdzie znajdowało się biuro Alana Trentona. Drzwi otworzyła mu wieloletnia sekretarka Trentona, obdarzając go ciepłym uśmiechem.

- Dobry wieczór, panie West. O Boże, tak mi przykro... chciałam powiedzieć: sir Maximilianie!

Na jej przeprosiny odpowiedział czarującym uśmiechem.

- Witaj Evelyn - zawołał, zdejmując trenażer, ona zaś wprowadziła go do gabinetu Trentona. - Czeka na pana.

Alan stał przy stole, mahoniowej konsoli w stylu Chippendale i nalewał Roederer Cristal Brut do srebrnego kufła z pokrywką. Był w wieku Maxima, sprawiał jednak wrażenie starszego. Był krępy, średniego wzrostu, miał jasne włosy i zaczątki łysiny nad czerstwą twarzą.

- Maxim! - wykrzyknął, podczas gdy jego jasnoniebieskie oczy zajaśniały nie skrywaną radością. Szybko odstawił butelkę i podbiegł do gościa, ujmując go za rękę i niemal zamykając w uścisku swego najstarszego i najlepszego przyjaciela. - Cieszę się, że cię widzę.

-Ja też, Alan. Od naszego ostatniego spotkania minęło zbyt wiele czasu i to moja wina.

- Nie ma sprawy, w porządku - odparł Alan, promieniejąc na całą twarz. - Powiedziałem to już przez telefon, ale czuję, że muszę ci to powtórzyć osobiście. Gratuluję, Maxim, że dostałeś tego wielkiego zaszczytu.

- Dziękuję, Serdelku - Maxim wrócił do przezwiska, jakiego używał wobec Trentona dawno temu, w czasach szkolnych.

- Kto by się tego spodziewał, co?

- Ja, Książę, ja się tego spodziewałem - odpalił Alan, również wracając do przezwiska sprzed ponad czterdziestu lat.

- I bardzo ci dziękuję, że przyjąłeś moje zaproszenie. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty.

- A dlaczego zależało ci, abym przyszedł właśnie dziś?

- zapytał Maxim, unosząc ciemne brwi.

Trenton nie odpowiedział od razu. Podeszedł znowu do konsoli i pochwycił butelkę.

- Trochę bąbelków, stary druhu?

- Dziękuję, nie mam specjalnej ochoty - mruknął Maxim, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że Alan zaproponował

szampana na jego cześć, i dodał śpiesznie: - A właściwie czemu nie? Ale tylko kropelkę.

Przyglądał się, jak Trenton nalewa szampana, czekając daremnie na wyjaśnienie celu spotkania, wreszcie przeszedł na środek pokoju i rozejrzał się dokoła.

Biuro Alana zostało niedawno odnowione i jego obecny wystrój podobał się Maximowi. Sosnowa boazeria, wytworne antyki i sielankowe pejzaże Anglii w kunsztownych, złożonych ramach stwarzały aurę elegancji i ciepła. Wszystko to odpowiadało zamiłowaniu Trentona do staroci i zabytkowych dzieł sztuki, jakie przejawiał w zasadzie przez całe życie, przekształcając je w nadzwyczaj poważne hobby. Był znanym kolekcjonerem i stałym oraz aktywnym bywalcem aukcji. Tam wydawał pieniądze z ropy naftowej, pomyślał Maxim. Ropy z rejonu Morza Północnego i z Teksasu. Wielokrotnie zachęcał Alana do realizowania jego własnych pomysłów, do rozwijania firmy, którą przejął po ojcu, pomagał mu pod każdym względem, udzielając wsparcia zarówno moralnego, jak również finansowego. Układ ten zdał egzamin i sukcesy, jakie odnosił Alan w ciągu ostatnich piętnastu lat, radowały Maxima niepomiarowo.

Trenton podał mu szampana, trącili się kufkami, a Alan wznosił toast: - Za twój tytuł. Noś go w dobrym zdrowiu, przyjacielu.

Maxim nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. - Dzięki, Serdelku, co do mnie, piję za ciebie. - Z lubością przełknął zimny trunek, upajając się jego wytrawnym smakiem. Upił jeszcze jeden łyk i spojrzał na przyjaciela. - A teraz, Alanie, powiedz, w czym rzecz.

Trenton skierował nań chytre spojrzenie.

- Co byś powiedział na to, żeby zostać białym rycerzem? Maxim milczał przez chwilę. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

- Mam uratować imperium prasowe Listera - odparł wreszcie i tym razem zaskoczenie odmalowało się na twarzy Alana.

- Rozmawiałaś już o tym z kimś innym!? - wykrzyknął, a jego słowa zabrzmiały jak stwierdzenie i pytanie zarazem. Maxim potrząsnął głową. - Wcale nie. Ale jest to jedyne przedsiębiorstwo w Londynie, które ma zostać zlicytowane, a przynajmniej nie słyszałem o innym. Swoją drogą... jak to się stało, że jesteś zaangażowany w tę sprawę?

- Prawdę mówiąc, nie jestem zaangażowany - wyjaśnił Trenton. - Jestem kimś w rodzaju... - urwał, szukając odpowiedniego słowa - ...pośrednika. To John Vale, mój doradca finansowy, zajmuje się sprawą. Bank handlowy działa w imieniu prasy Listera, a John ma doskonałe kontakty z prezesem zarządu, Harrym Listerem, któremu chciałby pomóc. Ponieważ wie, że jesteśmy przyjaciółmi, poprosił mnie o zorganizowanie tego spotkania.

- Ale to w zasadzie nie jest moja dziedzina. Nie jestem zainteresowany... - Maxim urwał raptownie, kiedy otworzyły się drzwi.

- O, jesteś już, John! - zawołał Trenton, biegnąc z wyciągniętą ręką na powitanie kolejnego gościa. - Wejdz, proszę! Wejdz!

- Witaj, Alanie - odparł John Vale, ściskając dłoń gospodarza. Zbliżał się już do czterdziestki, był średniego wzrostu, żyłasty, o bardzo angielskim wyglądzie, miał jasną cerę, blond włosy i jasnoszare oczy skryte za grubymi okularami w sztykretowych oprawkach. Zbliżył się do Maxima.

- Maxim, pozwól, że przedstawię ci Johna Vale'a z Morgan Lane - odezwał się Trenton. - John, oto Sir Maximilian West.

- Bardzo mi miło - powiedział Maxim.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł John Vale, starając się nie okazywać swojego zaciekawienia. Maximilian West był jednym z największych na świecie potentatów finansowych, a na dodatek typem pirata, podobnie jak sir James Goldsmith i lord Hanson, przebiegł gracze, jeśli chodzi o operacje giełdowe. West bił ich obu na głowę, tak przynajmniej oceniał sytuację John Vale.

Alan podszedł do konsoli. - Szampan dla ciebie, John - zapowiedział.

- Dzięki - odparł Vale. Obrócił się do Maxima i wdał się w pogawędkę, nie spuszczać zeń wzroku. Z Westa wprost emanowało poczucie władzy i siły. Vale przyglądał mu się zaskoczony i zafascynowany zarazem. W tym szerokim, ujmującym uśmiechu było coś niezwykle spektakularnego. Do tego nieskazitelnie białe zęby i ciemne, mądre oczy. A ta cera! Złocista cera playboya, nabyta w jakimś egzotycznym ośrodku zimowym, nie miała nic wspólnego z cerą zapracowanego człowieka interesu, który większość czasu spędza w salach konferencyjnych lub w prywatnym odrzutowcu. Równie zachwycające było ubranie Westa, jakże różniące się od bezbarw-

nych ubiorów typowych biznesmenów. Wygląda raczej jak gwiazdor filmowy, pomyślał Vale, oceniając szarą koszulę z czystego jedwabiu, jedwabny, perłowoszary krawat, czarny, doskonale skrojony garnitur z gabardyny, który leżał na Maximilianie tak idealnie, że wniosek nasuwał się tylko jeden: uszył go za królewską opłatą najlepszy na świecie krawiec. Ale John Vale uświadomił sobie natychmiast, że Maxim West roztacza wokół siebie blask, który wiąże się raczej z jego urokiem osobistym niż z elegancją ubioru.

Głos Trentona przerwał rozmyślania Vale'a i jego rozmowę z Western na temat nieciekawej angielskiej pogody i innych banałów.

- Bardzo proszę, Johnie, oto szampan. Teraz możemy przejść do interesu. To znaczy, wy możecie. Wprawdzie doprowadziłem do waszego spotkania, zamierzam jednak usiąść sobie wygodnie i zadowolić się rolą cichego obserwatora.

Maxim zachichotał. - Równie dobrze mógłbym przypuszczać, że wraz ze śniegiem spadną któregoś dnia grudki złota. Odkąd odezwałeś się po raz pierwszy, nie przestałeś mówić nawet na chwilę - zauważył, ale w jego głosie nie było choćby cienia krytyki, jedynie ciepło i przywiązanie.

Alan roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. - Myślę, że w tym, co powiedziałeś, jest trochę prawdy. Kto jak kto, ale ty znasz mnie chyba najlepiej. Ostatecznie znamy się już od czterdziestu pięciu lat.

Wypili, po czym Trenton wskazał na fotele ustawione wokół stolika w stylu georgiańskim. - Może usiądziemy? Zajęli miejsca, a Trenton zerknął na Johna i powiedział: - Poinformowałem już Maxima, dlaczego zaprosiłem go dziś wieczorem. Powinieneś chyba wprowadzić go w szczegóły.

Vale skinął głową i spojrzał na Westa. - Przede wszystkim chciałbym zapytać, czy jest pan gotów zostać białym rycerzem dla prasy Listera.

Maxim zmarszczył brwi. - Prawdę mówiąc, nie wiem. Tuż przed naszym spotkaniem zacząłem wyjaśniać Alanowi, że imperium prasowe nie mieści się raczej w sferze moich zainteresowań.

- A to czemu! - wykrzyknął Trenton, zapominając, że jeszcze przed chwilą ślubował milczenie. - Na tym etapie twojej kariery byłby to z całą pewnością idealny nabytek. Pomyśl, na ile wzrosłyby twoje wpływy i władza, gdybyś

sprawował kontrolę nad Listerem. Dziennik o zasięgu krajowym, gazeta niedzielna o zasięgu krajowym i do tego cały zestaw prestiżowych magazynów.

Maxim rzucił mu szybkie spojrzenie, zachował jednak milczenie. Po chwili zwrócił się do Vale'a.

- Dlaczego pan sądzi, że akcjonariusze mnie zaakceptują?

- Jest o tym przekonany Harry Lister, podobnie reszta zarządu. Zgadzam się z nimi, tak jak dyrektorzy z Morgan Lane. - Vale poruszył się w fotelu, przechylił do przodu i utkwiał poważne spojrzenie swoich skrytych za okularami oczu w Maximie. - Ma pan znakomite nazwisko, doskonałą opinię i wyjątkowe osiągnięcia. Nie goni pan za dobrze prosperującymi firmami, wręcz przeciwnie. To pod pańskim fachowym zarządem rozkwitają firmy, które pan przejął. Tego typu fakty przemawiają na pańską korzyść. Mówiąc szczerze, robi pan wrażenie, robi pan duże wrażenie - i dlatego właśnie jesteśmy pewni, że akcjonariusze zaakceptują pańską kandydaturę. Zresztą są tego pewni również Birch i Rider, maklerzy pracujący dla Listera. Faktem jest, że wyrażają się o panu z takim samym entuzjazmem, jak my.

- Miło mi to słyszeć, bardzo dziękuję - mruknął Maxim

1 umilkł. Przez chwilę rozmyślał nad czymś intensywnie, po czym dodał: - Międzynarodowe Wydawnictwo Arthura Bradleya złożyło ofertę dotyczącą imperium Listera w wysokości pięciuset milionów funtów. Jako biały rycerz musiałbym przebić tę ofertę o co najmniej dwieście milionów funtów.

- Niekoniecznie - odparował Vale. - Można o mniej.

- Dwieście milionów czy sto milionów... co za różnica? To i tak wysoka cena - zauważył chłodno Maxim.

- Zgadza się - przyznał Vale. - Ale nawet patrząc w ten sposób, nie można pominąć faktu, że ma pan szansę zarobić mnóstwo pieniędzy.

- Nie zawsze biorę pod uwagę, ile mogę zarobić - odparł cicho Maxim. - Raczej zastanawiam się, ile też mogę stracić?

- Och, jestem przekonany, że nic pan nie straci - zapewnił John poufnym tonem. - Chciałbym przekazać panu kilka istotnych informacji na temat imperium Listera, parę faktów i liczb.

- Proszę bardzo. - Maxim usadowił się wygodniej w fotelu, Alan Trenton natomiast, widząc to, wstał.

- Wybaczcie mi, proszę, ale zajmę się trochę własnymi sprawami - mruknął, przechodząc w odległy kąt gabinetu,

gdzie zasiadł za biurkiem i począł przeglądać nadeszłe wcześniej faksy i teleksy z Nowego Jorku. Musiał przygotować odpowiedzi tak, aby były gotowe do wysłania nazajutrz rano, przeanalizować inne pilne dokumenty i porobić na nich notatki.

W pewnym momencie przeniósł wzrok na Maxima i Johna, zatopionych w rozmowie, i postanowił pozostawić ich samych nieco dłużej. I tak nie był w stanie wnieść do tej dyskusji nic istotnego. Lepiej więc nie brać w niej w ogóle udziału.

Obrócił się wraz z krzesłem i popatrzył w dal, przez okno wychodzące na Berkeley Square. Przez parę sekund myśli kłębiły mu się w głowie bez celu, aby w końcu skoncentrować się na osobie Maximiliana - tak jak to działo się zazwyczaj, kiedy jego przyjaciel znajdował się tuż obok niego.

„Nasza przyjaźń będzie trwała wiecznie”, przysięgali sobie kiedyś w internacie i o dziwo: to ślubowanie dwóch młodych chłopców było trwałe. A na dłuższą metę liczy się tylko to, nic poza tym, pomyślał Alan. Ważne jest, aby wiedzieć w głębi duszy, że łączy nas obu coś pięknego, że zawsze możemy polegać na sobie, żeby nie wiem co. Cieszyła go doskonała forma, w jakiej znajdował się Maxim. Gdyby oceniać człowieka po wyglądzie, można by sądzić, że Maximilian wiecie życie wygodne i przyjemne, w jednym ze swoich licznych wspaniałych domów lub na pokładzie jachtu. Ale Alan wiedział, że prawda przedstawia się inaczej. Maxim pracował niestrudzenie od rana do wieczora i od wieczora do rana, spędzając większość czasu w samolocie i narzucając sobie najbardziej mordercze tempo - a mimo to udawało mu się sprawiać wrażenie, jak gdyby taki tryb życia nie przynosił negatywnych skutków. Niekiedy Alanowi wydawało się nawet, że jego przyjaciel żywi się pracą. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Maxim pracował nadzwyczaj intensywnie i rzadko był osiągalny, przenosząc się ciągle z miejsca na miejsce. Londyn stał się dla niego jednym z wielu przystanków w podróży, mimo iż tu właściwie miał swoje główne biuro, jak również dom w Mayfair. Pokusą trudną do zwalczania były okolice Manhattanu.

Alan żałował, że nie widują się częściej. Owszem, prowadzili rozmowy telefoniczne, korzystali też z każdej okazji, aby razem przegryźć coś naprędce lub wypić, ale nie było to zupełnie to samo, co wspólny lunch lub obiad w spokojnej, miłej atmosferze, jak w przeszłości. Już jako chłopcy byli nierozłączni, a ich przyjaźń przetrwała do okresu męskiego.

Alan ponownie obrócił krzesło i obserwował Maxima bacznie przez dłuższą chwilę. Wyglądało na to, że John Vale znalazł się pod gradem dociekliwych pytań. Odpowiadał na nie ostrożnie, niewątpliwie pod wrażeniem swego rozmówcy. Nie było w tym nic osobliwego; każdy, kto miał do czynienia z Maximilianem Westernem, był pod jego wrażeniem już po pierwszym spotkaniu. Maxim zaskakiwał każdego, nigdy nie był taki jakiego spodziewali się zastać inni, postępował też wbrew oczekiwaniom otoczenia. Zawsze był człowiekiem niezależnym.

Alan sięgnął pamięcią wstecz i ujrzał Maxima znowu jako piętnastolatka, przypomniał sobie pewien okropny dzień, kiedy dwaj chłopcy z innej szkoły, obaj z gatunku tych, co to lubią znęcać się nad słabszymi, upatrzyli sobie Maxima, szydząc z niego i obrzucając najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko mogą przyjść do głowy w tym wieku. Maxim blady na twarzy z oczyma roziskrzonymi furją, postanowił natychmiast stawić im czoło, uniósł nawet pięści, szykując się do walki niczym wytrawny bokser. Alan również przyjął pozycję bojową, gotów stanąć u boku przyjaciela. Ale oto zdarzyło się coś nieoczekiwanego i osobliwego, coś co zdumiało wszystkich, a najbardziej jego samego: Maxim opuścił ręce i odszedł bez słowa z wysoko uniesioną głową, jakby otaczając się pancerną dumą i godnością. Chłopcy, którzy jeszcze przed chwilą kpili z niego, umilkli teraz i przepuścili go, onieśmieleni zimnym, nieugiętym wyrazem twarzy Maxima, jego wyniosłą

^{P0}Ala pamiętał doskonale, jak pobiegł wtedy za Maximem, aby go pocieszyć, ale jego przyjaciel nie potrzebował wyrazów współczucia, nie chciał nawet rozprawiać o tym wydarzeniu. A jednak przez resztę dnia pozostał markotny, przygnębiony. Dopiero późno w nocy, kiedy w internacie pogasły już światła, Maxim wspomniął o incydencie. Jak gdyby reagując na nie wypowiedziane pytanie Alana, rzucił w ciemność: - Odszedłem, bo ci tchórzliwi łajdacy nie byli warci, aby z nimi walczyć! Nie chciałem brudzić sobie rąk! - A potem dodał: - Nadejdzie dzień, kiedy znajdę się na szczycie, zobaczysz Serdelku! - Znowu umilkł, po czym szepnął gorączkowo: - Dzis jestem nikim! Nie mam nic! Ale obiecuję, że będę **KIMŚ**, wcześniej czy później będę **KIMŚ**! I będę miał **WSZYSTKO**!

Rzeczywiście: teraz był kimś i miał wszystko. Zdołał urzeczywistnić swoje marzenia, nawet te najbardziej szalone. **MAXIMILIAN WEST MIAŁ CAŁY ŚWIAT U SWYCH STOP.**

Fakt ten rodził zawiść innych, ale Alan nie zazdrościł przyjacielowi. Podziwiał go. Wiedział, jak trudną drogę obrał Maxim, jakie przeszkody musiał pokonywać i jakie okazje wykorzystywać. Był bohaterem niezwyklej opowieści o sukcesie, opowieści epickiej. Stał się wielkim potentatem, z jego nazwiskiem liczono się na całej międzynarodowej scenie biznesu, a w ciągu ostatnich piętnastu lat przekształcił się w milionera, multimilionera, a nawet w miliardera. Natomiast parę tygodni temu, ostatniego dnia grudnia, ogłoszona została Noworoczna Lista Odznaczeń. Wśród tytułów i odznaczeń, które pani premier przedstawiła królowej do zatwierdzenia był również tytuł szlachecki dla Maxima, jako dowód uznania za jego niezwykle zasługi dla przemysłu Wielkiej Brytanii w kraju i za granicą. Obecnie był to sir Maximilian West i tak też należało się do niego zwracać, mimo iż inwestytura miała odbyć się w Pałacu Buckingham dopiero za trzy miesiące, w marcu.

Rzeczywiście znalazł się na tym cholernym szczycie, pomyślał Alan z uśmiechem. Był to szeroki uśmiech, pełen dumy i satysfakcji. Alan upajał się sukcesami i zwycięstwami przyjaciela, zawsze był skory do wiwatowania na jego cześć. Maxim był jeszcze w szkole jego bohaterem, w pewnym sensie pozostał nim do dziś, a wszystko wskazywało na to, że będzie nim zawsze.

Alan raz jeszcze zerknął z podziwem na Maxima. Jak wspaniale wygląda jego stary przyjaciel!

Ale zaraz... nie, wcale nie, uświadomił sobie raptem i poczuł coś jakby ukłucie w sercu. Drgnął gwałtownie i spojrzał na Maxima uważniej niż poprzednio.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało idealnie, jak zwykle olśniewająco, ale instynkt podpowiadał Alanowi, że coś tu jest nie w porządku, że dzieje się coś niedobrego. Nie można obcować z kimś przez czterdzieści siedem lat i nie znać jego wnętrza. A tymczasem owe cienie w głębi oczu Maxima... było to coś nowego i Alan zastanawiał się teraz, dlaczego nie dostrzegł ich od razu, kiedy spotkał się z przyjacielem. Może dlatego, że miał w głowie tylko jedno: pogratulować mu tytułu szlacheckiego. Wygląda na to, że Maxim znalazł się w tarapatkach, w poważnych tarapatkach, doszedł do przekonania Alan. Czyżby w grę wchodziła kobieta? Mam nadzieję, że nie, dosyć już miał kłopotów z kobietami w przeszłości. Ale to nic, cokolwiek jest nie w porządku, a jestem pewien, że tak jest, spróbuję mu pomóc. Po to właśnie są przyjaciele.

Alan rzucił okiem na zegarek, złoty Patek-Philippe, prezent od Maxima, otrzymany rok temu z okazji pięćdziesiątej czwartej rocznicy urodzin. Była dokładnie dziewiąta piętnaście. Kiedy rozmawiali przez telefon, Maxim uprzedził go, że będzie miał czas jedynie do dziewiątej dwadzieścia, i Alan wiedział, że jego przyjaciel wstanie za chwilę, pożegna się i wyjdzie. Pod wieloma względami był bardzo skrupulatny, a jedną z istotnych cech jego charakteru była punktualność.

Alan wstał i podszedł do swoich gości w tym samym momencie, kiedy Maxim powiedział: - Liczby, z którymi mnie pan zapoznał, są istotnie interesujące, ale nadal nie jestem pewien, czy miałbym ochotę wziąć udział w tej grze i złożyć kontrofertę za Listera. Muszę to sobie dokładnie przemyśleć.

Vale odchrząknął głośno, starając się ukryć swoje rozczarowanie wynikiem rozmowy. - Tak, oczywiście, rozumiem to doskonale. Ale w tym przypadku wskazany jest pośpiech i mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego. Prasa Listera jest osiągalna właśnie teraz, to łakomy kąsek dla najprzeróżniejszych łowców. Najbardziej niepokoi nas, że ktoś inny, jakaś inna firma, przystąpi do licytacji, aby przejąć kontrolę nad Listerem. - Vale westchnął głęboko. - Wie pan chyba, co to oznacza.

- Aż za dobrze. Wojnę licytacyjną. - Maxim wstał. - Jeśli podrzuci pan te dokumenty do mego domu wieczorem, przejrzę je później.

Vale wstał również i skinął głową. - Doskonale. Dziękuję za pańskie łaskawe przybycie i wysłuchanie oferty. - Wyciągnął rękę. - Potrafię to docenić, sir Maximilianie.

Maxim uściśnął mu dłoń. - Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę już iść. - Zerknął wymownie na Alana, niczym spiskowiec, mrugnął do niego i wyjaśnił: - Umówiłem się i nie chciałbym, aby moja dama musiała czekać.

- Odprowadzę cię do windy - zaproponował Alan, ujmując Maxima pod rękę. Chciał znaleźć się sam na sam z Maximem, zapytać go, co się stało i co mógłby dla niego zrobić.

* * *

Kiedy w chwilę potem Trenton powrócił do gabinetu, John Vale obrzucił go badawczym spojrzeniem i zapytał z obawą w głosie: - I jak? Co powiedział?

- Nic a nic. Przynajmniej ani słowa na temat prasy Listera i całej tej sprawy. Nie powiedziałby tego nawet mnie. Jeśli chodzi o interesy, jest bardzo skryty, zawsze był taki. Faktem jest, że drze na strzępy wszystkie dokumenty, które przechodzą przez jego ręce. Myślę, że obawia się przecieków.

- Nikt nie zna go tak dobrze jak ty, Alanie. Jakie jest twoje zdanie? Jak oceniasz nasze szanse?

Trenton wydał wargi, rozważał coś przez chwilę. - Naprawdę nie wiem - powiedział w końcu. Opadł ciężko na fotel i skierował wzrok w dal. - Jeśli wyda mu się to właściwe - odezwał się po dłuższym namyśle - wyrazi zgodę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W taki właśnie sposób Maxim wyjaśniał mi zawsze swoją taktykę działania: interes musi wydać mu się właściwy, o ile ma nań przystać. Polega na instynkcie, na tym, co podpowie mu intuicja. Nie przejmuje się analizami, raportami, ocenami czy doradcami. Intuicja - oto, czym się kieruje.

- Naprawdę w to wierzysz? - W głosie Vale'a brzmiało wyraźnie powątpiewanie.

- Oczywiście, że wierzę! Co więcej: wierzy w to Maxim. Ale najważniejsze jest oczywiście to, że Maxim może zdać się na swoje doświadczenie, na sporą znajomość rzeczy. Do tego dochodzi intuicyjne wyczucie spraw, określonych sytuacji.

Trenton podniósł swój kielich i machinalnie upił trochę szampana, ważąc coś w myślach.

- Pytałeś mnie, jak oceniam szanse tego przedsięwzięcia, Johnie - powiedział wreszcie. - Oto jak je widzę: jeśli Maximilian West uzna, że powinien złożyć ofertę w sprawie imperium Listera, uczyni tak. Jeśli natomiast dojdzie do przekonania, że nie jest to odpowiedni interes, albo nie zdoła wyrobić sobie zdania na ten temat, zrezygnuje. Taki właśnie jest, taki ma już styl. I taki był zawsze. Z pewnością nie zostawi cię długo w niepewności. Bardzo szybko da ci odpowiedź, powiadomi o swej decyzji.

- Dobrze i to. Nawiasem mówiąc, Alanie, bez względu na wynik jestem twoim dłużnikiem, chciałbym, abyś to wiedział. Nie mam nawet pojęcia, w jaki sposób mógłbym ci podziękować za zorganizowanie tego spotkania.

- Nic prostszego, staruszkule. Zabierz mnie na obiad, jak obiecałeś. Natychmiast. Umieram z głodu.

John roześmiał się. - Tak jak i ja. Zamówiłem już stół w Mark's Club. Chodźmy więc, a kiedy się już posilimy,

zawiozę dokumenty do domu Maxima w Chesterfield Hill. Powiedział, że podasz mi dokładny adres.

- Oczywiście. - Alan wstał z pewnym wysiłkiem. - Uprzątnę trochę biurko i możemy iść.

Zajął się papierami, a Vale mruknął: - Nie przypuszczałem nawet, że jest tak przystojny. Widziałem jego zdjęcia w gazetach i magazynach, ale żadne z nich nie dorównuje oryginałowi.

- Tak, to prawda. Ale też urok Księcia wiąże się z jego cechami charyzmatycznymi. Nie sądzę, aby coś takiego można było pokazać na zdjęciu.

- Dlaczego nazywasz go księciem?

- To po księciu Maksymilianie Austriackim, który w 1864 roku został cesarzem Meksyku - wyjaśnił Alan. - Kiedy zaczęliśmy chodzić razem do szkoły, Maxim któregoś dnia potraktował mnie trochę z góry, jak wielki pan, i dlatego wymyśliłem to przezwisko. Uznał je za zabawne... Zresztą myślę, że pasuje do niego.

- Rozumiem. Czy to, co o nim mówią, jest prawdą?

- O Maximilianie opowiada się wiele rzeczy. Co konkretnie masz na myśli?

- Że dla Maximiliana Westa liczą się podobno tylko cztery rzeczy: premier, Stany Zjednoczone, pieniądze. I du-pczenie.

Alan zaniósł się śmiechem, ale niemal od razu pohamował swą wesołość. - Wiem, że on bardzo ceni panią Thatcher, jest prawdziwym wielbicielem jej polityki, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy gospodarcze - powiedział. - I, spójrzmy tu obiektywnie, rozwinął skrzydła właśnie pod jej rządami. Dopiero co nadała mu tytuł szlachecki. Zapewne podobają mu się też Stany Zjednoczone, gdyż od ponad dziesięciu lat przemierza Atlantyk tam i z powrotem. Wiesz przecież, że spędza tam co najmniej tyle czasu, co tu.

W jego oczach pojawił się teraz figlarny błysk. - I odkąd sięgnę pamięcią, Maxim był nadzwyczaj gorliwy w robieniu pieniędzy, jak również w miłości do kobiet. Tak, tak, można powiedzieć, że nasz Maxim to pożeracz serc niewieścich. Co do kobiet, to są oczywiście zdania, że nie można mu się oprzeć.

- Wszystkie te żony, wszystkie kochanki - mruknął Vale, a w jego głosie dało się słyszeć coś w rodzaju lęku. - Jak on to robi, że ma na nie tak niesamowity wpływ?

- Nie mam pojęcia.

- Nigdy go o to nie pytałeś?

- Dobry Boże, oczywiście, że nie. Nie mógłbym!

Nie mówił w tej chwili prawdy. Nie chciał jednak dłużej poruszać w rozmowie z Vale'em spraw związanych z życiem prywatnym swego najlepszego przyjaciela. I tak powiedział dużo. Ostatnio krążyła cała masa plotek o Maximie, a on nie miał zamiaru przyłączać się do innych. Byłaby to zdrada najgorszego rodzaju.

Wiem stanowczo za dużo, pomyślał, zasuwając górną szufladę biurka. Wszystkie te tajemnice, które Maxim powierzał mi przez cały czas. I powierza w dalszym ciągu. Aleja go nie zdradzę, o to może być spokojny. I myślę, że on o tym wie, wie, że zabiorę jego tajemnice ze sobą do grobu.

2

Po raz drugi tego wieczoru Maximilian West przechodził przez Berkeley Square i starał się zwalczyć uczucie przygnębienia.

Jego celem był dom numer 44, dokładnie naprzeciwko gmachu, w którym mieściło się biuro Alana Trentona, po przeciwległej stronie rosnących pośrodku placu drzew. Tu, w suterenie pięknego zabytkowego domu, znajdował się jeden z najbardziej ekskluzywnych nocnych klubów w Europie - słynny Annabel's.

Założony latem 1963 roku przez Marka Birleya i nazwany imieniem jego żony, lady Annabel, z którą Mark zdążył się już rozwieść, klub stał się najelegantszym lokalem dla możnych i sławnych, miejscem, gdzie ramię w ramię siedzieli obok siebie milionerzy i gwiazdy filmowe, potentaci przemysłowi i członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej. Przez dwadzieścia sześć lat spotkania w Annabel's należały do dobrego tonu, obecnie była to kwestia nie tylko mody; ten lokal przeszedł już do legendy. Do grona stałych bywalców zaliczał się również Maxim, lubił przychodzić tu na obiad, kiedy znajdował się w Londynie.

Zaledwie parę minut po wyjściu z biura Alana, Maxim skinieniem głowy pozdrowił odźwiernego w uniformie, stojącego przed drzwiami klubu, pochylił się, aby przejść pod

zieloną markizą, po czym zbiegł po stopniach wiodących do wewnątrz.

Dostrzegł natychmiast wiele znajomych twarzy, rzucił trench i podszedł do recepcji, gdzie jak zwykle czekał Ted, witając gości.

Maxim przyjął jego gratulacje, wpisał się do książki i wszedł do baru. Pomieszczenie było stosunkowo puste, usiadł więc przy małym stoliku w kącie sali, obok rozjaśnionego płomieniem kominka. Natychmiast zjawił się kelner; Maxim zamówił wódkę z lodem i cytryną, po czym ulokował się wygodnie na miękkiej sofie, rozkoszując się poczuciem komfortu, ciepła i spokoju, jakiego doznawał tu za każdym razem.

Członkiem klubu był od pierwszej chwili jego otwarcia. Lubił jego atmosferę, intymność, gustowny kominek, „łagodne światła w zabytkowych donicach, piękno ciemnoczerwonych orientalnych dywanów oraz ściany w kolorze dyni, ozdobione malowidłami. Były wśród nich portrety psów, rysunki Landse-era, Munningsa i Batemana, obrazy olejne kobiet, nagich i ubranych. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie przypadkowo dobranej kolekcji, ale uważny obserwator mógł dostrzec, że układ obrazów nie jest chaotyczny, należało też przyznać, że cieszą oko.

Annabel's był dla Maxima bardziej przedłużeniem domu Marka Birleya niż restauracją i nocnym klubem - i może to właśnie stanowiło klucz do jego olbrzymiego sukcesu. Bar przywodził na myśl salon z wiejskiej rezydencji, takie właśnie rodził skojarzenia: z angielskim salonikiem, pełnym perkalu, obrazów i kwiatów, pełnym miękkości i niezwykłego uroku. Ale do powodzenia klubu przyczyniał się też niewątpliwie jego wspaniały personel, jak również doskonała obsługa i wreszcie niepretensjonalne posiłki - najlepsze z kuchni angielskiej - za którymi Maxim wprost przepadał.

Jego zdaniem nigdzie na świecie nie było tak jak w Annabel's - i między innymi z tego powodu tęsknił za Londynem, kiedy przebywał gdzie indziej. Ostatnio nie było go tu przez kilka tygodni, nie wykluczał więc, że również na tym polega jego problem. W każdym razie cieszyło go, że spędzi dziś wieczór właśnie w tym lokalu.

Jak zwykle, napięcie narastające w nim przez cały dzień prysnęło niczym bańka mydlana, gdy tylko wszedł do środka. Tu czuł się odizolowany od świata, skryty w dobrze mu znanym, przytulnym pomieszczeniu. Dom z dala od domu, pomyślał i ironicznie dodał w duchu: tyle, że wolę to miejsce od

swojego domu. A tak naprawdę nie mam już przecież domu, czyż nie?

Sięgnął po kieliszek, przełknął szybko trunek, oparł się plecami o poduszki i począł koncentrować myśli wokół sprawy, jaką omawiał w biurze Alana.

Uświadomił sobie, że ma mieszane uczucia, jeśli chodzi o przejecie imperium Listera, i zastanawiał się, dlaczego. Zanim jednak zdołał rozważyć ten problem, dostrzegł Louisa, zarządzającego AnnabeFs, który zbliżał się do niego z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Obaj byli przyjaciółmi, znali się od ponad trzydziestu lat, jeszcze w czasach, gdy Louis pracował jako maître d' hotel w restauracji Mirabella na Curzon Street, tuż obok AnnabeFs. Ich koleżeństwo miało w sobie coś niezwykłego, coś, co wiązało się z wieloma wspólnymi przeżyciami w przeszłości, ale również z odczuwaną wobec siebie sympatią.

Maxim, cały rozpromieniony, skoczył na równe nogi i wyciągnął rękę do Louisa, który pogratulował mu tytułu szlacheckiego. Stali tak przez dłuższą chwilę, racząc się nowinkami, a kiedy Louis przeprosił go i odszedł, wezwany do telefonu, Maxim usiadł z powrotem i podniósł kieliszek. Natychmiast jednak zerwał się znowu z wygodnej sofy, widząc Graeme Longdon, która lekkim, wdzięcznym krokiem weszła do baru, roztaczając zapach dobrych perfum. Była to jego osobista asystentka, trzydziestosiemioletnia, wysoka, szczupła jak łodyga Amerykanka o brązowych włosach przechodzących miejscami w kolor kasztanowy oraz zdumiewająco jasnych, zielonych oczach. Nie była klasyczną piękną w ścisłym tego słowa znaczeniu, można ją jednak było określić jako uroczą, niezwykle frapującą młodą damę. Miała szerokie czoło, ładnie zaokrąglone policzki i szerokie usta o pełnych wargach. Pochodziła z Richmond w stanie Wirginia i była osobą niezależną, otwartą i szczerą. Maxim uważał ją za jedną z najinteligentniejszych kobiet, z jakimi kiedykolwiek miał do czynienia, była też jego prawą ręką.

Dziś miała na sobie wspaniały kostium z czarnego aksamitu, który jego wprawny wzrok oceniał jako paryski haute couture*. Żakiet nad wąską spódnicą przybrany był na wysokości ramion i karczku czarnymi perełkami i jedwabnymi chwościkami. Na długich, kształtnych nogach połyskiwały

* model wykonany przez ekskluzywny dom mody - przyp. tłum.

lekkie czarne pończochy i eleganckie pantofelki z atlasu w tym kolorze. Jediną biżuterią, jaką nosiła, były duże diamentowe kolczyki w kształcie kwiatów oraz diamentowy zegarek na rękę od Cartiera. Maxim wyszedł jej na spotkanie, ujął pod rękę i poprowadził do stolika. .

- Wyglądasz wspaniale - powiedział z uznaniem w głosie.

- Dziękuję, Maximie - odparła, uśmiechając się. - Zawsze mam wrażenie, że przychodząc tu muszę mieć na sobie to, co najlepsze, i dlatego pojechałam czym prędzej do Ritza, aby się przebrać. Przepraszam za spóźnienie, szefie - dodała.

- Wcale się nie spóźniłaś - powiedział, odwzajemniając uśmiech, jak zwykle nieco rozbawiony jej swobodą i uporem w zwracaniu się do niego „szefie”. Kiedy zaczęła u niego pracować i po raz pierwszy odezwała się w ten sposób, me był tym zachwycony, próbował ją od tego odzwyczaić. Ona jednak nie zwracała uwagi na jego protesty i tak już pozostało. Przyzwyczylił się do tej formy, przestała go irytować. Jego asystentka imponowała mu, podziwiał ją za to, że potrafi być sobą, że nie zdradza swej osobowości, aby przypodobać się innym. Była osobą uczciwą i szczerą, często nawet w stopniu, który onieśmielał otoczenie. Graeme nadała przydomki współpracownikom w firmie, a przynajmniej tym, z którymi obcowała na co dzień. Większość z nich wyrażała uznanie, ale niektóre z nich nie były pochlebne.

- Jesteś warta tego, aby na ciebie czekać, Graeme... wyglądasz dziś doprawdy przepięknie. Proponuję, abyśmy napili się przed obiadem, a ty opowiesz mi, co działo się w biurze po moim wyjeździe. Kieliszek szampana, jak zwykle, czy wolałabyś coś innego?

- Dziękuję, Maximie, poproszę o szampana. - Graeme odłożyła na bok czarną wieczorową torebkę z aksamitu i usiadła wygodnie naprzeciw niego, krzyżując nogi i poprawiając sobie spódnicę. Wyczuwało się w niej ożywienie, jak gdyby nie potrafiła zapanować nad sobą.

Raptem pochyliła się do przodu, niczym człowiek mający do przekazania poufną wiadomość, jej jasne oczy rozblęły bardziej niż zazwyczaj, twarz okryła się rumieńcem podniecenia. - Wyrobiłam już sobie zdanie na temat Winonda Group. Przez kilka ostatnich godzin przeprowadziłam setkę rozmów telefonicznych z Peterem Heilbronem w Nowym Jorku i myślę, że powinniśmy złożyć ofertę! To dla nas

doskonała okazja. Idealna firma do przejęcia, niezależnie od ewentualnych związanych z nią problemów.

Przeanalizowałam dwa ostatnie teleksy od Petera i...

- Mam nadzieję, że zniszczyłaś je, o ile było w nich coś poufnego - przerwał jej Maxim.

- Oczywiście! - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Jestem przecież twoim odbiciem, czyż nie?

Powstrzymał się od uśmiechu i odpowiedzi.

Graeme kontynuowała: - Winonda ma cały szereg nierentownych wydziałów, ale te można bez trudu zlikwidować.

Utrzymalibyśmy oczywiście tylko te, które przynoszą zysk, i po prostu przeprowadzilibyśmy reorganizację na wzór West International.

Urwała na widok kelnera, który przyniósł jej kieliszek szampana, odczekała, aż zostali sami i wyjaśniła: - W tej transakcji pociąga mnie najbardziej nieruchomość, należąca do Winonda Group, tuż pod Seattle. Na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie bezwartościowej, to samo wynika z papierów. Jest oszacowana za nisko. To prawda: nieruchomość znajduje się w opłakanym stanie i jest położona w okropnej okolicy. A jednak jej wartość jest duża, byłby to cenny nabytek.

Maxim, nie spuszczać z niej wzroku, uniósł brew.

- Byłby to cenny nabytek - powtórzyła - a świadczy o tym fakt, że chce to nabyć pewna japońska firma. W tej chwili są w trakcie wykupywania całego terenu, chcą też wykupić nieruchomość Winondy, tak aby móc wyburzyć tamtejsze zabudowania, a zamiast nich postawić hotel, centrum handlowe i biura.

- Dlaczego w takim razie Charles Bishop nie zgodził się na sprzedaż? - zmarszczył brwi Maxim. - To wydaje mi się bardzo dziwne. Zazwyczaj działa sprytnie. I szybko.

- Odrzucił ich ofertę. Z tego, co wiem, nie chciał nawet słyszeć, ile chcą dać. A nie myśl, że była to zła oferta. Zdaje mi się, że doszli do dwustu siedemdziesięciu milionów.

- A więc gdzie tkwił haczyk?

- Problemów jest kilka. Gdybyśmy przejęli Winonda Group, moglibyśmy sprzedać akcje nieruchomości, nawet tej samej firmie japońskiej. Oni na to tylko czekają, a dopóki prezesem Winonda Group jest Bishop, nie mają szans.

Jego ojciec zmarł podczas wojny w Japonii, w obozie jenieckim, dlatego nie dopuści teraz do żadnej transakcji z Japończykami.

Nie doczekawszy się odpowiedzi Maxima, dodała szeptem:

- Mówiąc wprost, kieruje się przy tym osobistymi uprzedzeniami.

- Maxim rozmyślał jeszcze przez chwilę, po czym spojrzał jej w oczy: - Masz przecucie, że to dobry interes, prawda?

- Jak najbardziej!

- Ja też. I to od pierwszej chwili, kiedy wspomniałaś

o Winonda Group. Zadzwoń jutro do Petera, powiedz, żeby dział akwizycji zajął się tym natychmiast. Dobrze się spisałaś, Grae, jestem naprawdę pod wrażeniem. Musiałaś wykonać wiele analiz.

Potrząsnęła głową. - Owszem, trochę, ale nie tyle, ile sądzisz. Jak to często bywa, zadziałał czysty przypadek. Moja kuzynka Sara mieszka obecnie w Seattle. Pracuje w banku. Kiedy poleciłaś mi zbadać sytuację Winonda Group, poprosiłam ją o informacje. Powiedziała, że w tej sprawie weszły już jakaś japońska firma. Dowiedziała się o tym od swojego przyjaciela, który jest współnikiem w jakiejś firmie księgowej. Musiał więc być tam przeciek.

Uśmiechnęła się. - Wynika z tego, że masz rację, tnąc papiery na strzępy, szefie. Ostrożności nigdy nie za dużo. W każdym razie postanowiłam od razu sprawdzić informacje otrzymane od Sary. Okazały się prawdziwe.

- Odchrząknęła. - Możliwe, że akcjonariusze Winonda Group nie byliby zachwyceni wiadomością, że ich prezes odrzucił miliony dolarów oferowane za nieruchomość, którą nikt inny nie jest chyba zainteresowany. Nie świadczy to dobrze o Bishopie, prawda?

- Owszem, ale w pewnym sensie rozumiem go. Chociaż twój końcowy wniosek jest słuszny.

- Jako prezes i dyrektor ekonomiczny firmy powinien odrzucić na bok wszelkie sentymenty osobiste - odparła Graeme, a jej głos przybrał raptem zdumiewająco zimne i stanowcze brzmienie.

Rzucił jej szybkie spojrzenie. Wiedział, że potrafi być czasem twarda, nawet bezwzględna, ale jej ocena Bishopa wydała mu się zbyt surowa. Po jego twarzy przemknął nikły cień. Zmarszczył brwi. Nagle odeszła go ochota do kontynuowania tego tematu i sięgnął po kieliszek.

Graeme otworzyła usta, chcąc zapytać go, co się stało, niemal natychmiast jednak zmieniła zdanie. Maxim był teraz cały spięty, policzek drgał mu nerwowo i Graeme zastanawiała się, dlaczego. Był człowiekiem skrytym, nigdy nie obnażał swej

duszy i uczuć, nie lubił też, gdy inni usiłowali wścibiać nosy w jego sprawy lub zerknąć za fasadę, którą się osłaniał. Uniosła kieliszek. - Wypijmy - zaproponowała. - Za Winonda Group. I za nas.

- Za Winonda Group - odparł. - I za ciebie.

Znowu zapadło milczenie, oboje zatonęli w rozmyślaniach. Pierwsza odezwała się Graeme: - Jak wypadło spotkanie z Alanem Trentonem?

- Okazało się, że nie miało to być spotkanie z Alanem. Och, oczywiście, on też tam był, ale chodziło o to, abym porozmawiał z jego bankierem, Johnem Vale'em z Morgan Lane. Otrzymałem propozycję.

- Tak? Jaka? - zapytała, a jej oczy zajaśniały pełnym blaskiem. Podobnie jak Maxim, uwielbiała interesy, a perspektywa zawarcia nowej transakcji ożywiła ją tak jak i jego.

- Żeby uratować imperium prasowe Listera.

Graeme aż cichutko zagwizdała z wrażenia. - No, no, to już coś - szepnęła. - I?

Maxim opowiedział, jak przebiegło spotkanie, nie pominął żadnego szczegółu, a Graeme słuchała z uwagą, zastanawiając się przy tym, co jej szef uczyni, czy rzeczywiście złoży ofertę dotyczącą Listera. Był człowiekiem wytrwałym, prowadził interesy odważnie, ale nie na oślep. Lister mógł okazać się ryzykowną grą. Maxim był aż nadto prawy i rozważny; właśnie za te cechy podziwiała go. W ciągu tych siedmiu lat, odkąd zaczęła dla niego pracować, bywały sytuacje, kiedy Maxim ryzykował. Czy i tym razem uzna, że imperium Listera jest warte ryzyka? Trudno było przewidzieć, co postanowi. Nazywał ją swoją prawą ręką, ale jak wyglądała i co robiła jego lewa ręka? Oto było pytanie.

Może ta właśnie cecha, ta jego zagadkowość, sprawiała, że ludzie uważali go za osobę fascynującą, której nie można się oprzeć. Uświadomiła sobie nagle, że i ona była w nim trochę zakochana, mimo iż on nie wykazywał nią najmniejszego zainteresowania. W każdym razie nie jako kobietą. Owszem, prawil jej miłe komplementy, chwalił sposób, w jaki pracowała, ale nic poza tym. Była jego asystentką i już. Zresztą interesy absorbowały go bez reszty, nie miał czasu na nic, co choćby odrobinę wiązało się z przyjemnością, seksem czy miłością.

A poza tym był żonaty. No i te zasłyszane aluzje o innych kobietach tu i tam. Mimo to bywały momenty takie jak teraz, kiedy znajdowali się z dala od firmy, a ona siedziała, wpatrywała

się w niego i rozkoszowała się jego towarzystwem, momenty, kiedy jako kobieta ulegała całkowicie jego czarowi. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny bardziej atrakcyjnego niż on.

Była to zasługa nie tylko jego twarzy, magicznego spojrzenia jego ciemnych oczu, elegancji czy wytwornego stylu bycia, ale również jego zagadkowości. Bo w Maxirrúlianie Weście tkwiło coś niezmiernie tajemniczego. I oczywiście urok. Maxim miał nieodparty urok - urok, który sprawia, że kobiety zapominają o rozwadze. Był urodzonym zdobywcą serc niewieścich, bez najmniejszego trudu mógł liczyć na zwycięstwo u wielu z nich. Do tego dochodził jego intelekt, rozum, pracowitość, energia, ambicja i odnoszone sukcesy. Była to kombinacja dająca prawdziwą władzę. A władza i potęga zawsze ją ekscytowały, stanowiły afrodyzjak tak silny, jakiego nigdy przedtem nie znała.

- Wyglądasz, jakbyś odpłynęła gdzieś daleko - odezwał się Maxim tonem dosyć ostrym jak na niego.

- Przepraszam, szefie, już się koncentruję - odparła, uśmiechając się promiennie. - Pozwól, że zreasumuję to wszystko dla ciebie: John Vale z Morgan Lane chciałby, abyś wykupił Listera. Chcą tego również wszyscy zainteresowani. Ale ty me jesteś tym zainteresowany, prawda?

- Zgadza się - przyznał. - Raczej nie.

- Czy liczby są aż tak zniechęcające?

- Wręcz przeciwnie, robią wrażenie. Prawdę mówiąc, firma znajduje się w doskonałej kondycji. - Zmarszczył brwi. - Tu chodzi o mnie, Grae. Nie zapaliłem się do tego... w każdym razie nie w wystarczającym stopniu. W tym przypadku nie czuję w sobie ognia. Nie wiem dlaczego, ale nie mam ochoty chwycić za miecz i wstępować w szranki o imperium prasowe. To raczej domena Ruperta Murdocha. Pomyśl tylko: John Vale powinien był prosić Ruperta o wykupienie Listera, nie mnie. Niedługo ma podrzucić mi do domu papiery dotyczące Listera, a ja uświadomiłem sobie nagle, że chciałbym, żeby tego nie robił. Nie wydaje mi się, abym chciał rzucić okiem na te nieszczęsne dokumenty, nie mówiąc już o studiowaniu ich.

- Chcesz, żeby ją to zrobiła?

Skinął na kelnera i zamówił jeszcze dwa kieliszki. - Zobaczymy - odparł. Obrócił się do niej i położył jej dłoń na ramieniu. - Grae, chyba nie zostanę na weekend w Londynie.

- Nie ma problemu, jestem do twojej dyspozycji. Kiedy wyjeżdżamy? Jutro czy w sobotę?

- Lecę sam. Jutro. Porannym concordem.

Wpatrywała się w niego, nie mogąc ukryć zaskoczenia. „Uch! było jedynym słowem, na jakie się zdobyła.

- W normalnych warunkach powiedziałbym: Wracaj concordem razem ze mną", ale wolałbym, abyś została teraz w Londynie i załatwiła dla mnie parę spraw. Powinnaś uporać się ze wszystkim do jutrzejszego wieczoru, a wtedy możesz polecieć do Nowego Jorku firmowym odrzutowcem kiedy tylko zechcesz. Jutro, w sobotę, w niedzielę, albo nawet w poniedziałek. Samolot będzie czekał na ciebie.

- Weekend w Londynie to niezbyt kuszące - mruknęła - ale może jednak zostanę w Europie. Mogłabym wyskoczyć na parę dni do Paryża, to chyba niezły pomysł.

Zawahała się, pochyliła i utkwiała w nim badawczy wzrok pytając tonem spiskowca: - Mam nadzieję, że w biurze nowojorskim wszystko w porządku, nie masz tam żadnych problemów, prawda?

- Oczywiście, że nie. Gdyby coś się działo, ty dowiedziałabyś się o tym pierwsza. Po prostu wracam nieco wcześniej niż zamierzałem, aby zająć się pewną sprawą natury osobistej Chciałbym wyplątać się z tego jeszcze przed poniedziałkiem

pewnością chodzi o kobietę, wpadł z nią w tarapaty pomyślała natychmiast. Ale na głos powiedziała jedynie - - Co mam załatwić dla ciebie w Londynie?

- Trzeba dopilnować pewnych spraw bankowych. Byłem też umówiony na spotkanie z Montague Restonem i Geraldem Moanem. Nie chcę go odwoływać, wolałbym, żebyś poszła tam zamiast mnie. Nie będzie żadnych problemów, dasz sobie radę bez trudu.

- Okay, jak sobie życzysz. Ale potrzebny mi briefing w sprawie Restona.

- Oczywiście. A teraz zamówmy coś na obiad, Louis idzie już w naszą stronę.

3

Była pierwsza piętnaście w nocy, kiedy Maxim wrócił do domu u zbiegu Chesterfield Hill i Charles Street Po obiedzie w Annabel's odprowadził Graeme do Ritza, następ-

nie udał się pieszo do siebie, przecinając Piccadilly i kierując się przez Half Moon Street do Mayfair. Nie było już nawet śladu deszczu i Maxim rozkoszował się krótkim spacerem w rześkim, suchym powietrzu - tym bardziej że przez cały wieczór dręczyło go uczucie przygnębienia, niemal depresji.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i powiesił płaszcz, po czym przystanął na moment, nasłuchując. W domu panowała cisza, absolutna cisza. Służba poszła już do łóżek, o tej porze wszyscy niewątpliwie spali, a jedynym odgłosem było głucho tykanie zabytkowego zegara w okazałym marmurowym foyer, gdzie stał teraz Maxim.

Zgasił światło i po kręconych schodach wszedł na piętro - wolniej niż zazwyczaj. W sypialni zrzucił ubranie, miał nadzieję, że poczuje się znowu sobą, kiedy założy piżamę i szlafrok.

Marco, kamerdyner, który znał już zwyczaj Máxima przesiadywania do późna w nocy, analizowania dokumentów i zestawień bilansowych aż do świtu, zapalił światło przed jego przybyciem i rozpałił ogień w kominku. Spod jedwabnych abażurów lampy rozlewały wokół różowy blask, za ażurowym parawanikiem tańczyły jasne płomienie, dostarczające miłego ciepła. Maxim usiadł za sekretarzykiem, przejrzał notatki o telefonach, nakryte przez Marca szklanym przyciskiem,

i odsunął je na bok. Nic ważnego, zajmie się tym za parę godzin, kiedy będzie wyjeżdżał na lotnisko. Ujął nóż do papieru o rękojeści wykładanej perłami, rozciął elegancką kopertę, którą przyniósł wcześniej John Vale, i wyjął z niej plik papierów.

Z wyraźnym brakiem zainteresowania spoglądał teraz na sprawozdanie, dotyczące działalności Lister Newspapers. Jedną z największych zalet Máxima była zawsze umiejętność dokładnego czytania zestawień finansowych oraz szybkiego dokonywania oceny firm, którymi się zajmował, a więc sprawnego zdobywania orientacji. Tak też było i tym razem. Momentalnie uznał, że Lister Newspapers byłby dobrym nabytkiem, pod każdym względem.

Rzeczywiście, wyglądało na to, że trudno o lepszy interes. Ale w takim razie, gdzie podział się ów przyśpieszony puls, gdzie żar w żyłach, dlaczego nie ogarnia go podniecenie na samą myśl o możliwej do zrealizowania transakcji? Nie było wątpliwości: jego postawa nie uległa zmianie od czasu spotkania w biurze Alana Tren-tona. Po prostu nie miał chęci na grę z tamtą firmą.

A może odnosiło się to do wszystkich firm?

Zaskoczony uświadomił sobie nagle, że nie jest również zainteresowany przejęciem Winonda Group i aż wyprostował się na krześle. Co wywołało tak gwałtowną zmianę?

Kiedy prosił Graeme, aby zajęto się sprawą Winonda Group, uczynił tak z wielu powodów: była to jedna z jej największych transakcji i wiedział doskonale, ile ona dla niej znaczy, tak więc wolał jej nie rozczarowywać ani nie zniechęcać. Poza tym zorientował się na samym początku, że Winonda jest dla nich ważnym nabytkiem. W skali ogólnej byłby to dla West International niezwykle cenny zakup, musiał jednak teraz przyznać w duchu, że wolałby, aby Graeme sfinalizowała transakcję bez jego udziału, jedynie przy pomocy Petera Heilbrona i działu finansowego w biurze nowojorskim. W tej rozgrywce nie chciał być głównym atakującym, nie był zainteresowany tym, aby znaleźć się na pierwszej linii frontu - tam, gdzie zazwyczaj znajdowało się jego ulubione miejsce. Mógł udzielać porad z okopów, ale twarda walka wręcz? Nie, tym razem było to zadanie dla jego personelu.

Zmarszczył brwi. Skąd ta nagła niechęć do bezpośredniego udziału w bitwie? Przecież to właśnie było zawsze jego żywiołem. Czyżby interesy zaczynały już go nudzić? Ale jak to możliwe? Interesy stanowiły do tej pory istotę jego życia, czyż nie? Tak mawiała Anastazja.

Na samą myśl o swojej pierwszej żonie drgnął gwałtownie i machinalnie przeczesał dłońmi włosy. Uzmysłowił sobie, że nie jest to pierwsza noc, kiedy czuje się w ten sposób. Ostatnio nie był sobą.

Oczywiście, trzymał fason, nadal nosił tę olśniewającą maskę, na którą składały się tak oczekiwane przez otoczenie urok i magnetyzm. Jednak w głębi duszy odczuwał pustkę i to nie dawało mu spokoju. Jakiś chłód wkradał się do niego, nie wiadomo skąd. Z nieznanых powodów nie potrafił od jakiegoś czasu odczuwać radości, musiał za to walczyć ze straszliwą melancholią, której sensu nie był w stanie pojąć.

Poczuł, że ogarnia go jeszcze większa desperacja, coś w rodzaju paniki, klaustrofobii. Miał wrażenie, jakby brakowało mu tchu, zapragnął otworzyć szeroko okna, wydostać się z tego pokoju, jakiś impuls podpowiadał mu, że ma wybiec stąd i biec przed siebie, dopóki nie znajdzie się daleko. Chciał znaleźć się hen, daleko. Ale gdzie?

Co to było, co się z nim dzieje?

Przeszedł go zimny dreszcz, zadygotał na całym ciele; uprzytomnił sobie, że to uczucie opisywali mu już inni, jak gdyby ktoś przeszedł po jego grobie. Jego twarz i ręce okryły się gęsią skórą. Cóż za dziwaczne myśli? Będzie musiał wziąć się w garść.

Rozejrzał się bacznie dokoła. Właściwie dlaczego miałby uciekać z tego pokoju? Przecież to jego najbardziej ulubione miejsce w domu, wypełnione rzeczami, które dawały mu poczucie komfortu i przyjemności. Każdy przedmiot umieszczony był przez Anastazję i niego samego z prawdziwą miłością. Maxim pamiętał jeszcze doskonale, z jaką satysfakcją zdobywali oboje w galeriach angielskich i na kontynencie najprzeróżniejsze antyki, obrazy i inne dzieła sztuki.

Natknęli się na przykład na zabytkową boazerię dębową, która zdobiła niegdyś ściany starego dworu w Normandii. Francuski sekretarzyk, przy którym siedział teraz, odkryli w antykwariacie przy Rue du Bac, gdy wyjechali na weekend do Paryża. Ławy przy kominku stanowiły trofeum z podróży po Toskanii, a doskonale obrazy Stubbsa, przedstawiające konie, sprzedał im pewien członek Izby Lordów pochodzący z Yorkshire. Była to dosyć eklektyczna mieszanina, robiąca mimo wszystko wrażenie, jako że jej poszczególne elementy pasowały do siebie i wspólnie składały się na doskonały wystrój.

Nie wszystkie przedmioty były piękne, jednak zawsze znaczyły dla niego wiele. Ale teraz wyglądało na to, że przestały go interesować.

Zirytowany i nieco zaniepokojony Maxim podszedł do pięknie intarsjowanej komody, stojącej przy oknie, otworzył butelkę wody sodowej i nalał sobie szklankę. Opróżnił ją jednym haustem, odetchnął głęboko, dolał trochę do szklanki i podszedł do fotela przed kominkiem, gdzie usiadł, wpatrując się w płomienie. Jego twarz odzwierciedlała gwałtowną walkę, toczącą się w jego duszy.

Po pewnym czasie, kiedy doszedł już trochę do siebie, zaczął zastanawiać się nad swoim zachowaniem w ciągu kilku ostatnich miesięcy i raptem poczuł, jak gdyby po długiej chorobie przejrzał na oczy. Teraz rozumiał już, na czym polega jego dylemat: po prostu przeżywał kryzys.

Uświadomienie sobie faktu spłynęło na niego z najgłębszych zakamarków duszy i chociaż była to gorzka pigułka, nie czuł

się zaskoczony. Przecież zwiastuny tego stanu dawały o sobie znać już wcześniej, raz bardziej, raz mniej intensywnie. Maxim wyprostował się w fotelu, odruchowo zamknął piekące niemiłosiernie oczy.

Tak, to prawda, nie może dłużej zaprzeczać, ten jego osobliwy nastrój nie jest niczym nowym. Oto znalazł się w krytycznym punkcie swego życia. Nie mógł ciągnąć tego dłużej, nie potrafił już żyć tak jak do tej pory, nie wolno mu było dopuścić do tego, aby jego życie prywatne było nadal tak bardzo poszatkwane. Nie wiedział jednak, co mógłby zrobić ze sobą... lub ze swoim życiem.

Odkąd sięgał pamięcią, był to pierwszy przypadek, kiedy paraliżowały go niepewność i uczucie bezsilności, kiedy przerastały go stworzone przez niego samego sytuacje. Miał wrażenie, że musi uciec gdzieś przed ludźmi, przed życiem.

Odstawił kryształową szklanę, wsparł się łokciami o kolana i ukrył twarz w dłoniach. Zupełnie nie wiedział co począć. Nagle okazało się, że nie umie poradzić sobie ze swoimi problemami. Dopiero po paru minutach podniósł głowę. Jak właściwie określić swoje życie?

W opinii zarówno Alana Trentona, jak i całego świata, miał wszystko. Ale teraz zrozumiał, że z wyjątkiem sukcesów zawodowych nie ma niczego. Dzięki sprawnie prowadzonym interesom miał władzę, coś w rodzaju sławy, mnóstwo pieniędzy, jacht, prywatny odrzutowiec i inne symbole zamożności i uprzywilejowanej pozycji w społeczeństwie. Był w zażyłych stosunkach z ludźmi równie bogatymi i sławnymi jak on. Dostał też ogromnego zaszczytu: uzyskał tytuł szlachecki. To wszystko napawało go dumą, ale nie mogło wypełnić owej straszliwej pustki, ciężącej na nim niczym zmora.

BYŁ SAM. I CZUŁ SIĘ OSAMOTNIONY.

Był wyobcowany z kręgu ludzi, z którymi musiał mieć jak najbliższe kontakty. Kobiety, z którymi był związany, nie stanowiły dla niego źródła radości. Co do dzieci, wydawały się dla niego stracone - może tylko chwilowo, może istniała jeszcze jakaś szansa z Alix, ale powrót do nich w tej chwili nie wchodził w rachubę. A teraz zaczyna mieć dosyć pracy, tej najtrwalszej z jego namiętności, źródła sukcesów i triumfu.

Sama myśl o tym była nie do zniesienia, rodziła nawet lęk.

No cóż, tracisz grunt pod nogami, przemknęło mu przez głowę, masz teraz chandrę i... jesteś emocjonalnym bankrutem.

Ta szczypta humoru nie złagodziła jego przygnębienia. Stał się człowiekiem do głębi nieszczęśliwym, na tym polegał jego prawdziwy problem.

Ale czy szczęście nie jest czymś w rodzaju przygodnego gościa, a w najlepszym razie dobrem przemijającym? Usiłował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni czuł się szczęśliwy i uśmiechnął się z goryczą. Szczęśliwy... cóż to za wyświechtane słowo! Kto, u diabła, jest szczęśliwy? To znaczy, kto cieszy się szczęściem przez dłuższy czas? Ludzie sukcesu, których znał, wyglądali na zadowolonych, albo też zdołali osiągnąć pewien rodzaj spokoju, ale czy to można nazwać szczęściem?

Zerwał się na równe nogi i szybkim krokiem począł przemierzać pokój tam i z powrotem, podczas gdy myśli kłębiły mu się w głowie.

Ostatecznie jednak udało mu się zapanować nad sobą - na tyle przynajmniej, aby móc spojrzeć na wszystko rzetelnie, aby uporządkować myśli i skupić się na czymś innym, na kobietach jego życia.

Właściwie na dwóch kobietach.

Na Adrianie. Jego żonie. I na Blair. Jego kochance.

Blair nalegała na ślub. Adriana nie uznawała nawet istnienia słowa: rozwód. On zaś znalazł się pomiędzy nimi, pomiędzy dwiema kobietami, z których jedna była bardziej bezkompromisowa od drugiej.

Nie był pewien, czy nadal pragnie żyć z Adrianą. Ale z drugiej strony: czy naprawdę chciał doprowadzić do rozwodu z nią? Jakie były jego prawdziwe uczucia wobec Blair? Czy ślub z nią rozwiązałby jego problemy? Raptem przypomniał sobie coś, co sprawiło, że roześmiał się na głos. Jakiś słynny mędrzec powiedział kiedyś, że mężczyzna tworzy wakans, żeniąc się ze swoją kochanką. Czy jeśli poślubię Blair, zapragnę potem wypełnić tę lukę kimś innym? Czy znajdę sobie nową kochankę na miejsce tej, która została moją żoną?

Cóż za cyniczne rozważania! Znowu roześmiał się na głos, ale bez cienia wesołości. Czyżby stał się takim mężczyzną, któremu zawsze potrzebna jest kochanka, bez względu na sytuację w małżeństwie? To okropne!

Oczyma wyobraźni Maxim począł przyglądać się ludziom zajmującym ważne miejsce w jego życiu. A jak oni go postrzegali? Odpowiedź na to pytanie była prosta, nie musiał myśleć nad nią długo.

Dla Adriany jestem niewiernym mężem, który próbuje wyplątać się z więzów małżeńskich.

Dla Blair jestem niezdecydowanym kochankiem, niezbyt oddanym jej i czułym, za bardzo zaabsorbowanym pracą.

Dla Anastazji jestem jej najlepszym przyjacielem, ale tylko przyjacielem, nikim więcej.

Dla moich dzieci jestem zapracowanym potentatem przemysłowym, ojcem, który nie ma dla nich czasu. Załapałem się na rolę człowieka silnego. Jestem w ich oczach kimś ważnym, bo płacę im rachunki, ale nie jestem już dla nich tym kochającym ojcem, tak bardzo przez nich kiedyś ubóstwianym.

Dla mojej matki jestem synem, z którego jest dumna, może nawet jej najbardziej ukochanym synem, ale często też gani mnie, gdyż nie może przebaczyć mi mojej postawy.

W rzeczywistości nie jestem tym, za kogo mnie mają, zapewnił siebie w duchu. Żadna z tych ocen nie odpowiada prawdzie, oni mnie wcale nie znają. Z drugiej strony ja sam siebie nie całkiem rozumiem, już nie. Dlaczego jestem tu, co robię na tej planecie? Czy chodzi tylko o to, aby zbijać majątek i prowadzić interesy. Po co to wszystko?

Owa samokrytyka była na tyle niesamowita, że trudna do przyjęcia. Musiał położyć temu kres! Nie wolno sankcjonować tego typu rozmyślań, dając im wiarę.

Ale nic na to nie mógł poradzić, nie był w stanie odpędzić od siebie myśli na temat własnej osoby. Przecież była to prawda, niestety. I niezależnie od tego, jak by roztrząsał teraz ten problem, jak bardzo głowiłby się nad jego rozwiązaniem, musiał przyznać w końcu, że to nieuniknione: że stawi czoło temu, co nieprawidłowe. Im wcześniej, tym lepiej.

* **

Była trzecia nad ranem, kiedy Maxim poszedł do łóżka.

Właściwie nie spał, lecz drzemał, budząc się co jakiś czas. Wreszcie około szóstej wstał, wziął prysznic i ogolił się. Marco przyniósł mu filiżankę kawy i grzanekę, a podczas śniadania Maxim wypisał dla Graeme szczegółowe wskazówki spraw, jakie miała załatwić w Londynie, oraz zarysował strategię rozmów na spotkanie z Montague Restonem.

Dokładnie o ósmej opuścił dom, zabrał ze sobą trencz oraz aktówkę, które stanowiły cały jego bagaż, a następnie jedną z limuzyn, należących do West International, udał się na lotnisko Heathrow. Odprawa na lotnisku trwała tylko chwilę, po czym Maxim przeszedł do pomieszczenia dla pasażerów, lecących concordem, tam usiadł wygodnie i przeglądał poranną prasę aż do godziny dziesiątej, kiedy to zaproszono oczekujących na pokład samolotu.

Maxim zajął swoje miejsce, zapiął pasy, rozejrzał się wokół siebie i zauważył z ulgą, że dziś będzie luźniej niż podczas paru jego ostatnich lotów. Wolał lecieć do Nowego Jorku concordem niż swoim prywatnym odrzutowcem Grumman Gulfstream, gdyż w ten sposób podróż trwała szybciej, jedynie trzy godziny i czterdzieści pięć minut, a nawet mniej, o ile nie było silnych wiatrów z czoła. .

Otworzył aktówkę, wyjął jakieś dokumenty i zagłębił się w ich lekturze przez pierwszą godzinę lotu. Poprosił o filiżankę herbaty, rezygnując z innych napojów i przekąsek, i skoncentrował się na czytaniu. Następnie, kiedy doszedł do przekonania, że zapoznał się z danymi w wystarczającym stopniu, zamknął dokumenty w aktówce, usiadł wygodniej i zamknął oczy. Nie mógł zasnąć, zdołał jednak odprężyć się na tyle, aby poczuć się lepiej. Pół godziny później wyglądał już przez okno.

Leciał właśnie w rozległej warstwie cumulusów, unosząc się wysoko nad Atlantykiem. Maxim rozmyślał o Alix, swojej córce. To z jej powodu zdecydował się wrócić do Nowego Jorku o kilka dni wcześniej niż pierwotnie zamierzał. Chciał się z nią zobaczyć, porozmawiać, spędzić z nią trochę czasu. Teraz, kiedy już podjął decyzję, że ułoży prawidłowo własne życie, pragnął tym goręcej unormować stosunki ze swoim pierworodnym dzieckiem.

Oboje popełnili błędy, ona pod paroma względami więcej niż on. A jednak był skłonny wziąć całą winę na siebie, całą winę za przepaść powstałą między nimi. Przeprasi ją, a nawet - o ile będzie to konieczne - zacznie błagać o wybaczenie. Uczyni wszystko, aby tylko odzyskać jej zaufanie, wszystko, aby ta młoda kobieta znalazła się ponownie w jego życiu.

W słuchawce rozległ się kobiecy głos, którego nie zdołał rozpoznać. - Biuro Alix West. Czym mogę służyć?

- Chciałbym rozmawiać z panną West - powiedział Maxim.

- Przykro mi, ale panny West nie ma dziś w biurze

- poinformował go młody głos. - Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni?

- Jej ojciec. A z kim mówię?

- Och, dzień dobry, sir Maximilianie! - Głos kobiety był teraz trochę wystraszony. - Tu Géraldine Bonnay, jej nowa asystentka. Alix poleciała z samego rana do Kalifornii. W sprawach służbowych.

- Rozumiem. A kiedy wróci do Nowego Jorku?

- Prawdopodobnie w poniedziałek, sir Maximilianie. Nie wyjechała na długo. Jest umówiona z klientem w Beverly Hills, a w niedzielę ma powrotny samolot. Oczywiście, o ile nie wyłonią się jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Powiedziała, że zadzwoni do mnie jutro. Czy mam jej przekazać jakąś wiadomość?

- Nie, chyba nie... - mruknął Maxim. Przez chwilę myślał nad czymś intensywnie, wreszcie zaczął wyjaśniać: -

Prawdę mówiąc, panno Bonnay, wolałbym, aby córka nie dowiedziała się, że dzisiaj dzwoniłem. Przygotowałem dla niej coś specjalnego... to niespodzianka - wymyślał na poczekaniu. - Tak więc ani słowa, bardzo proszę. To by tylko wszystko zepsuło.

- Oczywiście, sir Maximilianie, nie powiem ani słówka!

- zapewniła go Géraldine Bonnay. - A gdyby miał pan zmienić zamiar i zatelefonować do niej jeszcze dziś albo w sobotę, to Alix zatrzymała się w hotelu Bel-Air.

- Nie sądzę... wie pani, to ma być niespodzianka. Ale bardzo dziękuję za informację.

- Och, nie ma za co. Cieszę się bardzo, że mogłam z panem porozmawiać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Bonnay. Jeszcze raz dziękuję i do widzenia.

Przez dłuższą chwilę nie zdejmował dłoni ze słuchawki, starając się zwalczyć uczucie rozczarowania. Że też Alix musiała opuścić Nowy Jork akurat tego dnia, kiedy on wrócił! Tak bardzo pragnął spotkać się z nią, spędzić z nią trochę czasu. Zgoda, powinien był uprzedzić ją telefonicznie o swoim przybyciu, upewnić się, że będzie przez weekend w mieście, ale

gdyby zadzwonił do niej z Londynu, ona najprawdopodobniej zrobiłaby wszystko, aby uniknąć spotkania z nim. Najlepszą taktyką w stosunku do Alix było pełne zaskoczenie, wiedział o tym od dawna.

Westchnął głęboko. Alix nadal żywi do niego urazę, był tego pewien. Nie wątpił też, że oliwy do ognia dolewa tu jej brat, Michael, który zawsze miał olbrzymi wpływ na Alix, jeszcze gdy oboje byli dziećmi - zwłaszcza że sam jest rozżalony, obrażony i nawet nieco rozgniewany. Maxim zdawał sobie w pełni sprawę z tych nastrojów Michaela, jakkolwiek i on i Alix twierdzili zawsze, że nie mają żadnych pretensji. Dzieci, pokręcił głową Maxim. Dlaczego z nimi tyle kłopotów? Jak gdyby życie nie było wystarczająco ciężkie! Czy naprawdę dzieci muszą jeszcze do tego wszystkiego wymyślać nowe problemy i rozdmuchiwać je, jak tylko się da?

Przesunął się lekko na krześle i popatrzył na zdjęcie Alix w srebrnej ramce, które wraz z innymi zdjęciami rodzinnymi stało na mahoniowym stoliku pod oknem. Zrobiono je sześć lat temu z okazji dwudziestej pierwszej rocznicy jej urodzin i zawsze, gdy na nie spoglądał, nie mógł wyjść z podziwu: jakaż to piękna kobieta wyrosła z tamtej narwanej dziewczyny! Miała tak delikatną, kremową skórę i tak subtelne rysy pogodnej zazwyczaj twarzy, taki bił z niej spokój! Ale najpiękniejsze w niej i najbardziej uderzające były oczy: duże, szeroko rozmieszczone, o niezwykłym odcieniu szarej zieleni, ożywionej jasnymi iskierkami. Alix była wysoka i smukła, poruszała się z wdziękiem i elegancją, a oprócz wspaniałej prezencji miała również inne zalety: odznaczała się inteligencją i wyjątkowym sprytem, co ujawniało się zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o interesy i finanse. Właściwie nie ustępowała pod tym względem swojemu bratu, może nawet była bardziej od niego wnikliwa - co znaczyło naprawdę dużo, jako że Michael był wręcz genialny.

Alix już jako nastolatka deklarowała, że chciałaby pracować u Maxima, on zaś był bardzo przejęty perspektywą wprowadzenia córki w sprawy swojej firmy. Wszystko przygotowywano nadzwyczaj pieczołowicie, a potem, cztery lata temu, kiedy Alix miała właściwie zadebiutować w biurze nowojorskim, doszło między nimi do poważnej sprzeczki. Chodziło o jej związek z pewnym mężczyzną, który według słów Maxima miał szczególnie złą opinię; były też inne problemy, które jednak nie wydawały mu się na tyle poważne,

aby o nich pamiętać. W każdym razie Alix odeszła wtedy z wielkim hukiem i otworzyła własne biuro.

Znajdowało się w samym centrum Manhattanu, a Alix sprzedawała w nim antyki i dzieła sztuki, współpracując z angielskimi oraz europejskimi kupcami, jak również z wiodącymi galeriami sztuki.

Skupowała i sprzedawała wyłącznie poszukiwane, rzadkie, cenne i kosztowne przedmioty i obrazy, przeznaczone zazwyczaj na aukcję u Christiego i Sotheby'ego. Kilka lat wcześniej praktykowała u Sotheby'ego w Londynie i jej wiedza na temat obrazów i innych dzieł sztuki była doprawdy godna podziwu. Posiadała również dar krytycznego patrzenia, godny eksperta, który natychmiast dostrzega to, co doskonale, i potrafi odróżnić fałszerstwo. To wszystko w połączeniu z rzadkim smakiem i talentem do prowadzenia interesów okazało się niezrównaną kombinacją. Od samego początku Alix odnosiła sukcesy, co dla Maxima stanowiło powód do prawdziwej dumy. Mimo to wolałby, aby pracowała u niego w biurze; wówczas miałby ją przy sobie.

Może nie jest jeszcze za późno. Może uda mi się przyciągnąć ją do West International - kiedy już podamy sobie ręce na zgodę. Musi do tego doprowadzić. Wydało mu się, że znowu słyszy głos matki: „Nigdy nie jest za późno, żeby naprawić szkody wyrządzone sercu, Maximie. Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć od nowa, wrócić do ukochanej osoby, pojednać się z nią”. Matka powtarzała mu to wiele razy przez wiele lat, a on wierzył zawsze w to, co ona mówi. Nadal wierzył. Musiał wierzyć, gdyż ta wiara dawała mu nadzieję na odzyskanie Alix, na przywrócenie dawnych, jakże bliskich kontaktów.

Nigdy jeszcze nie tęsknił za nikim tak bardzo jak dziś za córką. Co najgorsze - nie wiedział co począć.

Fakt, że przez kilka dni nie będzie mógł się z nią widzieć, odczuł boleśnie, niczym ukłucie w serce. Ukłucie tak dotkliwe, jakiego nie zaznał do tej pory.

Nie, to niezupełnie zgodne z prawdą. Kiedyś poznał już smak takiej tęsknoty, tęsknoty za kimś bliskim. Było to dawno, dawno temu.

Wtedy chodziło o Ursulę.

Jeszcze raz jego oczy spoczęły na zdjęciu Alix.

Miała tak samo piękne blond włosy i nieskazitelną cerę jak Ursula, tak samo piękne, błyszczące oczy, pogodne i rozmarzone.

URSULA. Uświadomił sobie, że ostatnio myślał o niej coraz częściej, ciekawe dlaczego? Czyżby owe bolesne uczucia do Alix zbudziły na nowo uczucie do **NIEJ**, kobiety, którą kochał tak gorąco i tak bezgranicznie? Skrywał to uczucie od tak dawna, skrywał je tak głęboko, że czasami - tak jak na przykład przed paroma tygodniami - bywał zaskoczony, gdy jej twarz stawała mu przed oczyma. Po tak długiej przerwie! Ale teraz jego wspomnienia o Ursuli były nadzwyczaj wyraziste.

Wysunął górną szufladę biurka i wyciągnął z niej czarny skórzany portfel, zabezpieczony przed oczyma ciekawskich. Otworzył go i wpatrzył się w fotografię Ursuli. Była czarno-biała i wyblakła, ale czas nie zdołał przyćmić blasku tych oczu ani promiennego uśmiechu, pełnego wiary i nadziei.

Portfel był zniszczony, popękany w kilku miejscach. Maxim przesunął po nim dłonią, jak gdyby chciał wygładzić skórę. Przywołał na pamięć Sigmunda. To był jego portfel...

Odłożył pamiątkę z powrotem do szuflady i zaskoczony uświadomił sobie, jak bardzo ma ściśnięte gardło, jak bardzo pieką go oczy. Czym prędzej powściągnął wzruszenie, wstał i bezwiednie uczynił parę kroków po puszystym, kremowym dywanie, pokrywającym podłogę biura. Zatrzymał się przy oknie i zapatrzył na leżącą w dole, u podnóża wieżowca, Park Avenue, nie widział jednak niczego. Nastrój melancholii, który dopadł go z samego rana w Londynie, utrzymywał się, a teraz, na domiar złego, odezwały się jeszcze wspomnienia z przeszłości.

Usiłował skoncentrować się na teraźniejszości; musi przecież opracować kilka planów. Przyjechał do Nowego Jorku na weekend, mając nadzieję, że spotka się z córką; cóż, Alix będzie nieosiągalna do poniedziałku, może nawet do wtorku. Dziś jest piątek, a więc przed nim jeszcze cały weekend...

Istniało wiele możliwości, ale żadna z nich nie pociągała go teraz. Był na przykład apartament na Piątej Alei, tam jednak czekałaby go niewątpliwie scysja z Adrianą, która uznała najwidoczniej, że jej jedynym celem w życiu jest walka z nim. Mógł udać się do swego domu na Sutton Place, gdzie umieścił Blair, ale w ten sposób naraziłby się na weekend pełen gderań i zawołowanych gróźb, które właściwie nie były ostatnio tak bardzo zawołowane. Miał również farmę w Connecticut, ale Adriana mogła już dowiedzieć się o jego przyjeździe i zjawić się tam - aby walczyć z nim na wsi, zamiast w mieście. Z pewnością znajdowała się teraz w wojowniczym nastroju.

Tak naprawdę był obecnie sam. Zupełnie sam. Do tego nadawało się tylko jedno miejsce, idealnie - jego nadmorski dom w East Hampton. Zamykany na zimę, był mimo to gotów na jego przyjęcie przez cały rok. Ogrzewanie funkcjonowało bezustannie, jakkolwiek tylko na tyle, aby utrzymywać niezbędne minimum ciepła. Nad domem czuwał Elias Mulvaney, jego ogrodnik - złota rączka; regularnie sprawdzał, czy wszystko w porządku, a jego żona sprzątała i odkurzała raz na tydzień. Wystarczyło więc zatelefonować do Ehasa, powiedzieć mu, aby zwiększył ogrzewanie domu, a panią Mulvaney poprosić, żeby przyszła w sobotę i porobiła to, co niezbędne. Nic prostszego. Maxim odwrócił się od okna i wrócił za biurko, upajając się myślą o paru dniach, które spędziłby w East Hampton z dala od wszystkich. Tam, korzystając z tego rzadkiego komfortu - samotności - spróbuje jakoś uporządkować kłębiące się myśli. Będzie mógł posłuchać muzyki pospacerować po plaży. Najważniejsze jednak to dojść do ładu z samym sobą, skończyć z tym piekielnym chaosem w głowie i sercu.

Już dawno temu powinien był unormować swoje prywatne życie, ale nie potrafił się zmobilizować. Może nadszedł czas na podjęcie ostatecznych decyzji w sprawie Adriany i Blair. Dopiero wtedy zdoła wziąć się naprawdę w garść, dotrzeć do źródła ogarniającego go coraz bardziej kryzysu psychicznego i w ten sposób rozwiązać konflikt rozgrywający się w jego duszy.

* **

Otworzył notes, podniósł słuchawkę swego prywatnego telefonu i wystukał numer do Eliasza Mulvaneya na Long Island. Sygnał rozbrzmiewał uporczywie, jednak nikt się nie zgłaszał. Maxim spojrzął na zegar; była jedenasta. No tak, Elias robi teraz z pewnością swój codzienny obchód, sprawdza inne domy w okolicy, wywiązuje się w ten sposób ze swych obowiązków wobec mieszkających tam stale sąsiadów Maxima, którzy zatrudniają go dorywczo. A pani Mulvaney wyszła prawdopodobnie do sklepu, kupić coś na weekend.

To nic, pocieszał się w duchu, wcześniej czy później skontaktuje się z nimi. Włączył intercom. - Douglas proszę przyjść do mnie.

- Oczywiście, już idę.

Po chwili do gabinetu wszedł Douglas Andrews, prywatny sekretarz Maxima w biurze nowojorskim, ze stertą dokumentów w ręku. Urodził się i wychował w Nowym Jorku. Obecnie miał trzydzieści trzy lata, był niski, o czerstwej twarzy i ciemnych włosach, miał miłe usposobienie i należał do ludzi pracowitych, którzy są gotowi przesiadywać w biurze również po godzinach. Funkcję prywatnego sekretarza Maxima pełnił od pięciu lat, przy czym bardzo szybko dał się poznać jako pracownik oddany, lojalny i zapobiegliwy.

- Oto dokumenty dotyczące sprawy umowy z Mystellem, które pan sobie życzył. Przyniosła je sekretarka Petera Heilb-rona - poinformował teraz. Położył papiery na chromowanej tacy, leżącej w prawym rogu biurka, po czym usiadł na krześle, twarzą do Maxima.

- Dziękuję, zaraz je przejrzę. Chciałbym, abyś załatwił dla mnie parę spraw, Douglas. Przede wszystkim wynajmij samochód i podstaw go pod biurem o czwartej. Wyślij też jedną z sekretarek do działu spożywczego u Bloomingdale'a, niech kupi mi kurczaka na zimno, sałatkę ziemniaczaną, kawałek brie, trochę pieczywa francuskiego i mleko w kartonie. To powinno wystarczyć.

- Zaraz się tym zajmę. - Douglas nie zdołał ukryć zdumienia; czuło się je w jego głosie i minie. - Czy pan wyjeżdża? - zapytał.

Ledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po twarzy Maxima. - Na to wygląda, prawda? Chyba pojedę na weekend do mego letniego domku w East Hampton. Sam. Chcę trochę spokoju, muszę sobie przemyśleć to i owo. I nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się, gdzie jestem.

Douglas skinął głową. - Oczywiście. Może pan być tego pewny. Załatwię samochód i wyślę Alice po zakupy. Ale czy pan jest przekonany, że nie trzeba więcej jedzenia? Może Alice powinna kupić coś jeszcze?

- Nie, nie, kurczak i sałatka powinny wystarczyć mi na dziś, a na jutro rano dokupię coś na East Hampton.

- Nie wiem też, czy to najszcześniejszy pomysł, wyjeżdżać o czwartej - mówił dalej Douglas. - Musi się pan liczyć z korkami na Long Island Expressway. Może byłoby lepiej wyruszyć trochę później... powiedzmy o szóstej.

- Och, zimą nie jest tak źle.

- No cóż... - Douglas urwał, widząc, że Maxim myśli już

o czymś innym. Wstał i skierował się do wyjścia.

Maxim wyciągnął rękę po dokumenty, leżące na tacy

1 zawołał w ślad za nim. - Aha, poproś jeszcze Petera, aby zjadł ze mną szybki lunch. Jeśli przyjmie zaproszenie, zadzwoń do Four Seasons i powiedz, że chciałbym, o ile to możliwe, mieć tam dziś swój stolik. Około pierwszej.

- Dobrze, sir Maximie - odparł Douglas, otworzył drzwi i zamknął je cicho za sobą. Ciekawe, pomyślał, czy Maxim rzeczywiście zamierza spędzić ten weekend sam, czy też ma spotkanie z jakąś nową przyjaciółką... Szczęściarzu, ma wszystko, o czym można marzyć. Dałbym wiele, aby znaleźć się na jego miejscu...

Ale czy aby na pewno? Douglas zajął miejsce za swoim biurkiem i zadumał się. Czy chciałbym mieć Adrianę za żonę? A jeśli chodzi o tamtą z Sutton Place, nie jest wcale lepsza. Graeme Longdon ochrzciła ją mianem „panna Truteń”

- i miała rację.

Jak to się stało, że tak wspaniały facet znalazł się w takiej sytuacji? Widocznie sukces w interesach i szczęście z kobietami nie zawsze idą w parze, doszedł do wniosku Douglas.

Zatelefonował do Petera Heilbrona, szefa działu akwizycji w West International. - Peter? Tu Doug. Szef pyta, czy mógłbyś pójść z nim na krótki lunch. Na dole. O pierwszej. Postaraj się, bo on dziś jest jakiś dziwny.

- Oczywiście, nie ma sprawy - odparł natychmiast Peter.

- Ale co masz na myśli, mówiąc, że jest dziwny?

- Wiesz... kiedy szef przyszedł rano, był jakiś markotny. Albo raczej zatroskany, to chyba trafniejsze określenie.

Takie sprawiał wrażenie, a to do niego niepodobne. Wiesz przecież, jak umiejętnie maskuje zawsze to, co czuje.

- Tak, wiem. Myślisz, że to sprawy zawodowe czy też prywatne?

- Czy ja wiem... może jednak prywatne.

- Na to wygląda, bo o ile wiem, nie ma żadnych problemów tu ani w biurze londyńskim, a wiem naprawdę... - Urwał i odchrząknął. - Cokolwiek by to było, nie wygląda na nic poważnego, w przeciwnym razie wspomniałby o tym.

Może jest po prostu przemęczony:

- Jasne - odparł Douglas, przekonany, że najlepszą taktyką w rozmowach o szefie jest dyskrecja. Nie miał zamiaru plotkować z Peterem, nie lubił też snuć domysłów. - W ciągu

kilku ostatnich tygodni wiele podróżował. A przy okazji: oprócz ciebie, mnie i twojej sekretarki nikt nie wie, że on jest dziś w mieście. I niech tak pozostanie. To jego życzenie.

5

Jazda samochodem z Manhattanu do East Hampton zajęła Maximowi dwie i pół godziny. Zanim jeszcze dotarł do starej, uroczej wioski na Long Island, posępne styczniowe niebo, tak bardzo zimne, odległe i bezbarwne, poszarzało, aby już niebawem przybrać kolor smoły. Na horyzoncie migotały nieliczne gwiazdy, zawieszane gdzieś daleko nad czarnym bezkresem wody, a pędzące z wiatrem ciemne chmury przesłaniały raz po raz srebrny, rysujący się wyraźnie księżyc.

Maxim skręcił z Ocean Avenue w Lily Pond Lane i zerknął na tablicę rozdzielczą; zegar wskazywał prawie szóstą czterdzieści pięć. Nie jest tak źle, pomyślał, jadąc dalej ku Georgica Beach, gdzie stał jego dom.

Po chwili był na miejscu.

Dom miał szare gonty, białe żaluzje, czarne drzwi i czyste, schludne kominy o ukośnym wierzchołku. Oddalony nieco od drogi, stał frontem do lekko spadzistego trawnika, na którym bielił się już szron, oraz gigantycznych dębów, które przez cały rok oferowały nastrój prywatności, a w upalne dni - dodatkowo mnóstwo zbawczego, orzeźwiającego cienia.

Jak na zwyczaj Maxima, dom nie był duży, wystarczał jednak na jego potrzeby. Był przestronny i dobrze rozplanowany: hall, obszerna, wygodna kuchnia, jadalnia i gabinet mieściły się w jego przedniej części; z tyłu znajdował się salon połączony z biblioteką. Okna tych dwu ostatnich pomieszczeń wychodziły na basen, niewielką altanę i ogródek. Nieco dalej, tuż za grządkami kwiatów, do trawnika przylegał zagajnik, który nadawał całej posiadłości szczególnie prywatny charakter.

Góra domu składała się z dwóch pięter. Na jednym znajdowała się sypialnia Maxima, łazienka i garderoby, na drugim - dwa pokoje gościnne z własnymi łazienkami oraz trzecia, obszerna sypialnia, która przechodziła w gabinet

wyposażony w dwa biurka, maszynę do pisania, komputer, telefax, telex, kserokopiarkę i urządzenie do cięcia papieru na strzępy, jak również kilka telefonów. Maxim traktował to biuro jak kwaterę główną; stąd mógł utrzymywać kontakt ze swoim imperium na całym świecie o każdej porze, kiedy tylko chciał. Często przebywał tu wraz z Douglasem Andrewsem i panną Graeme, albo z Peterem Heilbronem, omawiając sprawy, związane z toczącymi się aktualnie pertraktacjami - zwłaszcza latem, kiedy tu właśnie znajdowali na kilka dni schronienie przed dotkliwym żarem miasta.

Zaparkował na podjeździe, wziął leżącą na tylnym siedzeniu torbę z zakupami od Bloomingdale'a i wysiadł z wynajętego jaguara.

Pogoda nie była przyjemna, od strony Atlantyku dał lodowaty wiatr. Maxim rozejrzał się dokoła. Alejka tonęła w całkowitych ciemnościach, nawet najdrobniejsze błyski światła nie docierały z innych domów. Ale kiedy Maxim ruszył przed siebie ścieżką wiodącą przez trawnik, zza spiętrzonych chmur wypłynął księżyc, oblewając dom i alejkę srebrzystą poświatą. Na krótką chwilę zapanowała jasność.

Kątem oka Maxim dostrzegł stojącą nieco dalej furgonetkę. Nie zdążył nawet zastanowić się, czyj to samochód; chciał jak najprędzej znaleźć się w domu i przyśpieszył kroku. Boczny wejście dostał się do środka, wszedł do kuchni i zapalił światło. Drzwi zamknął nogą, kładąc torbę z zakupami na okrągłym stole.

Wyłożona białą-niebieską glazurą kuchnia była nieskazitelnie czysta. Wszystko lśniło oślepiającym blaskiem, jak gdyby pani Mulvaney sprzątała tu dopiero przed chwilą. Przed wyjazdem z Nowego Jorku Maximowi nie udało się skontaktować ani z nią, ani z jej mężem, i teraz przyszło mu do głowy, że może przebywali tu w tym samym czasie, kiedy on usiłował dodzwonić się do nich do domu.

Zadrżał na całym ciele; chłód dał mu się we znaki. Ogrzewanie było włączone, jak zwykle, ale może w tak zimny wieczór jak dziś powinno być nastawione na wyższy stopień? Trzęsąc się z zimna poszedł do hallu, gdzie w szafce pod schodami mieścił się regulator.

Otworzył drzwi do hallu i raptem zamarł w bezruchu, z jedną nogą na schodach: dobiegł go cichy odgłos, jakiś zgrzyt, tak jakby metal uderzył o metal. Dźwięk był ledwie

słyszalny, ale Maxim, zaintrygowany, postąpił krok do przodu i stanął w hallu.

Światło z kuchni docierało aż tu i Maxim nie mógł nie dostrzec swojego telewizora, ustawionego na podłodze, jak również innych przedmiotów, w które wyposażony był jego gabinet na górze i które nie znajdowały się teraz na swoim miejscu.

Znowu rozległ się ów dziwny zgrzyt, potem trzask i zduszone przekleństwo. Odgłosy dobiegały z salonu.

Wszystkie zmysły Maxima natychmiast podniosły alarm. Na pewno w domu przebywa ktoś jeszcze oprócz niego, jakiś nieproszony gość - włamywacz, jeśli sądzić po przedmiotach ustawionych w hallu. Ostrożnie uchylił drzwi. W salonie, jak również w przyległej bibliotece było ciemno, ale w bibliotece poruszała się niewielka smuga światła z latarki.

Najlepszą metodą walki jest zaskoczenie, pomyślał Maxim i włączył centralny kontakt na ścianie. Momentalnie w obu pokojach rozbłysło sześć lamp, zalewając pomieszczenie jaskrawym światłem.

Włamywacz odwrócił się gwałtownie i ujrzał Maxima. Był średniego wzrostu, drobnej budowy ciała, miał na sobie czarne, obcisłe ubranie, a w ręku trzymał dużą, czarną, nylonową torbę, wypchaną czymś po brzegi - najwidoczniej łupami.

Stał w bezruchu, wpatrując się w Maxima.

- Rzuć torbę! - krzyknął Maxim z twarzą wykrzywioną z wściekłości. Ale mężczyzna nadal gapił się tylko na niego, oniemiały z zaskoczenia i jakby chwilowo sparaliżowany.

Maxim rzucił się ku niemu. Obezwładnię go, przytrzymam i wezwę policję, pomyślał. Zanim jednak dobiegł do włamywacza, tamten dobył broni i wystrzelił.

Maxim poczuł silne uderzenie w pierś i raptem padł na podłogę z głuchym łoskotem, niemal dokładnie pomiędzy salonem i biblioteką. Zdumienie na jego twarzy przerodziło się w osłupienie, w głowie kłębiły się myśli.

TO NIEMOŻLIWE... ŻE COŚ TAKIEGO PRZYDARZYŁO SIĘ WŁAŚNIE MNIE... TO NIE MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ W TEN SPOSÓB... NIE PO TYM WSZYSTKIM, CO PRZESZEDŁEM... NIE MOGĘ PRZECIEŻ ZGINAĆ Z RĄK TEGO NĘDZNEGO ZŁODZIEJASZKA...

Włamywacz stał jeszcze przez chwilę w bezruchu, nasłuchując. Zastanawiał się, czy ktoś mógł usłyszeć huk wy-

strzału, ale niemal natychmiast doszedł do przekonania, że to niemożliwe. W pobliżu nie było nikogo. Cała okolica to tylko letnie domy. Właśnie dlatego wybrał ten teren. Zdążył już obrobić dwa inne domki, nie było w tym nic trudnego. I nie musiał tam nikogo załatwiać; nikt nie złapał go na gorącym uczynku. Wielka szkoda, że tu zaskoczył go ten facet. Trudno, musiał się bronić. Tamten był wielki, wyglądał na silnego, bez wielkiego trudu dałby sobie z nim radę.

Podszedł do rozciągniętego na podłodze ciała i przez chwilę przyglądał mu się beznamiętnie. Mężczyzna, do którego strzelił, leżał na boku. Nie ruszał się. Na błękitnej koszuli rosła czerwona plama, krew zdążyła już też wsiąknąć w szary dywan, tworząc rdzawy deseń.

Włamywacz włożył rewolwer za pasek i czym prędzej wrócił do biblioteki, chwycił jeszcze kilka srebrnych świecidełek i wrzucił je do torby. Rozejrzał się dokoła, stwierdził, że udało mu się wziąć to, co najlepsze, po czym ruszył do wyjścia, gasząc po drodze światło. Sprawdził jeszcze kuchnię, zgasił lampę i wrócił do hallu.

Tu znowu przystanął, nasłuchując.

Ciemny dom pogrążony był w głuchej ciszy. Tak samo droga na zewnątrz. Nigdzie nawet śladu żywej duszy. Żadnych samochodów. Włamywacz zaczął metodycznie znosić swoje drobne łupy i sprzęt telewizyjny przed drzwi frontowe. Następnie przełączył zamek na zatrask i ostrożnie zamknął drzwi za sobą. Poruszając się szybko i zwinnie, kilkakrotnie przebiegł do furgonetki i z powrotem, a kiedy już wszystkie łupy ulokował w samochodzie, siadł za kierownicą i odjechał, nie oglądając się nawet za siebie.

Nie natknął się na nikogo, jechał szybko przez Lily Pond Lane. Wiedział, że może czuć się teraz pewnie i bezpiecznie. Kto by się kręcił tu zimą, do tego w tak paskudną pogodę? Upłyną tygodnie, zanim ktoś znajdzie ciało. Zresztą nikt nie wpadnie na to, że właśnie on zastrzelił tego faceta. Jak zwykle zachował się mądrze. Nie zostawił w tym domu żadnych odcisków, nawet najmniejszego. Znał się na swojej robocie. Nigdy nie pracował bez rękawiczek.

* * *

Elias Mulvaney siedział przy kuchennym stole w swoim małym, przytulnym domu tuż za stacją kolejową w East Hampton, rozkoszował się ciepłem kominka, drugą już fili-

żanką kawy i pączkiem. Noc była mroźna, a on po raz któryś z rzędu rozpamiętywał wieczór, który wraz z Clara spędził u córki w Quogue.

Był to dla nich wielki dzień: odwiedzili swego pierwszego wnuczka, ciesząc się jego urodą i zdrowiem, jak również szczęściem Loli. Ona i Mickey, jej mąż, już od dziesięciu lat czekali na to dziecko. Tak, tak, to nie byle jaki dzień, pokręcił głową Elias. Clara nie posiadała się z radości, zapomniała nawet o swoim reumatyzmie i dlatego też została w Quogue na cały weekend. Z pewnością będzie jej tam wszędzie pełno, będzie kręcić się jak kwoka wokół Loli i maleństwa, uśmiechnął się Elias. Nie widział w tym nic złego. To jej nawet dobrze zrobi, pomyślał, i dopił kawę. Ostry dźwięk telefonu przerwał ciszę panującą w kuchni, a Elias aż wyprostował się na krześle. Wstał i spokojnym krokiem podszedł do aparatu.

- Tu Mulvaney.

- Dobry wieczór, Elias, tu Douglas Andrews.

- Dobry wieczór, panie Andrews! - zawołał uradowany Elias, a jego pomarszczona, ogorzała od wiatru twarz rozpromieniła się w jednej chwili. Douglas Andrews był już od lat jego ulubieńcem.

- Co słychać?

- Wszystko w porządku, Elias, dziękuję. A u pana?

- Nie mogę narzekać - odparł Elias.

- Dzwonię do pana, bo próbowałem skontaktować się z sir Maximilianem w jego domku, niestety, bez rezultatu. Czy widział pan się z nim dziś wieczorem?

- Ja? Nie! - odparł zaskoczony Elias. - Przez cały dzień byłem w Quogue, wróciłem dopiero o siódmej. Nie wiedziałem nawet, że sir Maxim przyjechał.

- Próbowałem dziś kilka razy dodzwonić się do pana. Nic dziwnego, że mu się nie udało, skoro był pan w Quogue. Z Nowego Jorku wyjechał o czwartej piętnaście. Wynająłem dla niego jaguara, a on pojechał bez kierowcy. Wyliczyłem, że droga zajmie mu około trzech godzin i zacząłem telefonować do niego o siódmej trzydzieści. Mam dla mego całą masę wiadomości. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nie ma go jeszcze w domu, jest już przecież po ósmej.

- Słusznie, o tej porze sir Maxim powinien już być w East Hampton - przyznał Elias. Chcąc uspokoić Douglasa, dodał: - Może linia nie działa jak należy, przez ostatnie kilka dni mieliśmy tu silne wiatry i ulewę.

- Może - mruknął Douglas. Odetchnął głęboko, potem rzucił w słuchawkę: - Muszę przyznać, że zaczynam się niepokoić. Mam nadzieję, że nie miał jakiegoś wypadku po drodze.

- Jestem pewny, że nie - odparł szybko Elias. - Sir Maxim prowadzi bardzo ostrożnie, przecież pan wie. Na pewno wszystko się wyjaśni.

- To bardzo ważne, abym porozmawiał z nim jeszcze dziś, Elias. Czy mógłby pan pójść do niego?

- Oczywiście, zaraz pójdę, nie ma problemu. Proszę podać mi swój numer telefonu, a oddzwonię, jak tylko wrócę. -

Wziął ołówek leżący obok notesu, poślinił czubek i szybko wypisał na kartce podany przez Douglasa numer.

Rozłączyli się i Elias wyszedł szybkim krokiem na korytarz, wysunął górną szufladę szafy, wziął pęk kluczy i włożył je do kieszeni spodni. Następnie zdjął z wieszaka ciepłą kurtkę z kapturem, wełniany szal i czapkę z nausznikami, ubrał się, założył rękawice i natychmiast wybiegł na zewnątrz.

Pikap, z którego zazwyczaj korzystał, objeżdżając teren, stał zaparkowany nie opodal. Elias wskoczył do szoferki i wyprowadził samochód spod domu. Za przejazdem kolejowym dodał gazu i skierował samochód w stronę Lily Pond Lane. Tego wieczoru na drodze nie było ruchu, okolica sprawiała wrażenie wyludnionej, jak gdyby wszyscy wynieśli się stąd wraz z końcem lata, tak więc w ciągu kilku minut Elias zajechał pod dom Maxima.

Wysiadł z samochodu, dziarskim krokiem zbliżył się do zaparkowanego tuż obok jaguara, po czym stanął pod oknem i przyświecając sobie latarką zajrzał do środka.

Już po chwili szedł ścieżką, przecinającą starannie utrzymany, okryty szronem trawnik. Kiedy doszedł do domu, ogarnął go raptem dziwny lęk.

Stanął jak wryty. Urodził się i dorastał w East Hampton, spędził tu sześćdziesiąt pięć lat swego życia, ale jeszcze nie czuł takiego niepokoju czy strachu. Teraz jednak dygotał na całym ciele i nie rozumiał, dlaczego. To było niesamowite uczucie.

Powiódł wzrokiem po ścianach domu. Księżyc wisiał wysoko na niebie niczym srebrna, połyskliwa bryłka, wydobywając z ciemności zarys dachu, kominy i strzeliste drzewa. Dom odznaczał się wyraźnie na tle ciemnego nieba i mrocznego zagajnika, sprawiał wrażenie nienaturalnie posępne i przy-

gnębujące, niemal złowieszcze, w żadnym z okien nie płonęło światło.

SKORO SIR MAXIM JEST W ŚRODKU, DLACZEGO NIE ZAPALIŁ ŚWIATEŁ? - pomyślał Elias, wpatrując się z coraz większym niepokojem w dom. Zaparkowany jaguar świadczył niewątpliwie o tym, że sir Maxim przyjechał. A może miał atak serca i teraz leży w jakimś pokoju unieruchomiony, niezdolny nawet wezwać pomoc? Sir Maxim trzymał się jak młodzik i do tej pory nie wyglądał na chorego, ale czy w takich sprawach można oceniać innych po wyglądzie? Z drugiej strony, sir Maxim mógł przecież udać się na przechadzkę... Niemal natychmiast Elias odrzucił ten pomysł jako niedorzeczny. Kto spaceruje w tak mroźną noc jak dzisiejsza? Istnieje jeszcze jedna możliwość: ktoś z sąsiedztwa zaprosił sir Maxima na obiad i zabrał go swoim samochodem.

Ta ostatnia teoria wydawała się całkiem sensowna. Elias odetchnął z ulgą, ruszył ścieżką przed siebie, dotarł do bocznego wejścia i zatrzymał się przed drzwiami.

Mimo iż był obecnie prawie przekonany, że sir Maximilian znajduje się u któregoś z sąsiadów, Elias zadzwonił kilkakrotnie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyjął z kieszeni pęk kluczy, znalazł ten właściwy i po chwili wszedł do środka. Zapalił światło, zamknął za sobą drzwi i zawołał: - Halo, jest tu kto?

W domu panowała głucha cisza, ale to nie zdziwiło go zbytnio. Rozejrzał się po kuchni, dostrzegł torbę z zakupami od Bloomingdale'a i sprawdził jej zawartość: wyżywienie na weekend. Skierował się do głównego hallu, zdecydowany mimo wszystko sprawdzić, czy jednak sir Maxim nie zachorował, a kiedy otworzył drzwi, ogarnęło go ponownie przecucie czegoś złego - tak intensywne, że zadrżał mimo woli. Wymyślając sobie samemu od starych głupców i tłumiąc to nieoczekiwane, dziwne i przykre wrażenie zapalił światło, po czym rozejrzał się dokoła: w hallu nic nie wskazywało na to, aby coś było nie w porządku.

Uspokojony podszedł do podwójnych drzwi, które prowadziły do salonu, rozsunął je i wcisnął centralny kontakt. Natychmiast dostrzegł leżące na podłodze ciało.

Elias jęknął, krzyknął: - O mój Boże! - Poczul ucisk w sercu, przez ułamek sekundy tkwił w miejscu jak wryty, patrząc tylko.

Po chwili doszedł do siebie i postąpił krok do przodu, a potem stanął nad Maximilianem i wpatrywał się w mego,

jakby nie wierzył własnym oczom. Nogi trzęsły się pod nim jak galareta, przyszło mu do głowy, że jeszcze chwilę, a zemdleje, wsparł się więc o poręcz krzesła.

Odczekał jeszcze chwilę, a potem spojrział uważniej. Na widok krwi zdrewniał z trwogi. Rana od kuli wyglądała na poważną. Klęknął obok Maxima i spojrział na jego twarz; była upiornie blada. Szukając oznak życia przyłożył ucho do piersi Maxima. Oddychał, ale bardzo słabo. Elias ujął jego rękę, poczuł puls. Ledwie wyczuwalny, ale jednak był. Elias wyprostował się, jego twarz była spięta, a oczy przerażone. Kto to zrobił? I dlaczego? Może powinien przeszukać dom, rozejrzeć się za jakimiś śladami? Szybko odrzucił ten pomysł. Ktokolwiek strzelił do sir Maximiliana, uciekł stąd z pewnością, nie pozostawiając żadnych śladów. Zresztą, najważniejsze to wezwać pomoc, może uda się jeszcze uratować życie sir Maximowi! Podszedł do biurka, podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer.

- Policja w East Hampton Village. Mówi Spank,

- Normanie, tu Elias. Jestem w domu Westa na Lily Pond Lane. Sir Maximilian West leży postrzelony - informował Elias drżącym głosem. - Właśnie znalazłem go. Zadzwoń do szpitala w Southampton, wezwij karetkę. On żyje, ale wygląda na to, że stracił mnóstwo krwi. Niech się pospieszą. A ty przyjedź tu jak najprędzej.

- Wyjeżdżam do ciebie, jak tylko skontaktuję się ze szpitalem - odparł Spank. Po chwili, jak gdyby przyszło mu to do głowy z opóźnieniem, dodał szorstko: - Nie dotykaj tam niczego!

Elias odłożył słuchawkę, opadł ciężko na krzesło, pogrzebał w kieszeni, po czym wyjął z niej karteczkę, na której zapisany był numer telefonu Douglasa Andrewsa na Manhattanie. Wystukał numer, a kiedy w słuchawce rozległ się sygnał, począł zbierać się w sobie, aby móc przekazać tę straszliwą wiadomość.

Maxim szybował gdzieś w przestworzach... w białej, bezkresnej pustce... w rozległej nicości.

Chciał otworzyć oczy, ale to przekraczało jego siły. Miał wrażenie jak gdyby ktoś przycisnął je czymś ciężkim.

Gdzie ja jestem, pomyślał.

Nie miał pojęcia i wcale go to nie obchodziło. Jego ciało, jeszcze przed chwilą lekkie jak piórko, teraz wydawało się ciężkie jak ołów i trudne do poruszenia.

Stopniowo poczęły dobiegać go czyjeś głosy. Głos męski, wyraźny, dźwięczny, głos, którego nigdy przedtem nie słyszał. Ten głos mówi coś o transfuzji krwi, o kuli, która utkwiała gdzieś blisko serca.

A potem Maxim usłyszał głos kobiety. Ten głos wypełniał wszystko dokoła... był zwiewny... był jak muzyka... znał skądś ten głos, choć nie potrafił go jeszcze zidentyfikować.

- Chyba nie umrze, prawda, doktorze Morrison? - zapytała kobieta.

- Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie pozwolić mu umrzeć - odparł mężczyzna. Jego głos zabrzmiał teraz posepnie. - Ale należy pamiętać, że utracił bardzo dużo krwi, a jak już mówiłem, operacja usunięcia pocisku była niezwykle skomplikowana. Jego stan jest naprawdę poważny, co do tego nie chciałbym nikogo zwodzić.

- Ale szansa istnieje, prawda? - nalegała kobieta. Lekarz nie odpowiedział od razu. - Na szczęście Maximilian ma silny, bardzo silny organizm - wyjaśnił po chwili. - Jest to bardzo istotny czynnik. A tu na Mount Sinai, znajduje się w najlepszych rękach. Ma doskonałą opiekę, aparatura kontroluje jego organizm bezustannie, dniem i nocą. Maxim zmusił się do nadludzkiego wysiłku i wreszcie zdołał podnieść powieki. Zamrugał oczyma, zaskoczony jaskrawym światłem, a potem zaczął wodzić nimi na boki, starając się ogarnąć wszystko wzrokiem.

Dostrzegł mężczyznę w białym kitlu. To z pewnością doktor.

Następnie uświadomił sobie, że tuż obok łóżka, w jego nogach, stoją jeszcze inni ludzie. **KOBIETY.**

Stały tam w półkolu. Czuł na sobie ich wzrok, utkwione w nim spojrzenie pięciu par kobiecych oczu. **MATKI. PIERWSZEJ ŻONY. TRZECIEJ ŻONY. KOCHANKI. I ALIX, JEGO CÓRKI.**

Wszystkie kobiety jego życia zebrane tu, przy jego łóżku.

Czym prędzej zamknął oczy, Nie chciał teraz na nie patrzeć, nie chciał z nimi rozmawiać.

Raptem wszystko odżyło w jego pamięci. Przypomniał sobie jazdę wynajętym jaguarem na Long Island, dom w East Hampton, do którego wszedł, zaskakując włamywacza. Potem w ręku tamtego pojawił się rewolwer, padł strzał...

Nie wiedział tylko, co stało się potem.

Ten lekarz powiedział coś o Mount Sinai. A więc przewieziono go do Nowego Jorku. Jak długo tu przebywa?
Kolejne pytanie bez odpowiedzi.

Czyżby naprawdę groziła mu śmierć? Nie chciał umierać. Chciał żyć.

TEDDY. GDZIE JEST TEDDY?

Usiłował otworzyć oczy ponownie, ale tym razem wysiłek okazał się zbyt duży jak na jego możliwości.

TEDDY. CHCIAŁ TEDDY. ONA MOGŁABY GO URATOWAĆ. ZAWSZE GO RATOWAŁA W PRZESZŁOŚCI. KIEDYŚ, DAWNO TEMU, POWIEDZIAŁA MU, ŻE SPRAWIA NA NIEJ WRAŻENIE KOTA O DZIEWIĘCIU WCIELENIACH. ILE Z TYCH WCIELEŃ ZDAŹYŁ JUŻ WYKORZYSTAĆ W SWYM ŻYCIU?

Nie może teraz umrzeć. Musi żyć. Ma przecież tak wiele do zrobienia. Tak wiele do naprawienia.

Usiłował coś powiedzieć, ale słowa nie chciały jakoś wydostać się z jego ust.

TEDDY. OCH, TEDDY, GDZIE JESTEŚ? POMÓŻ... POMÓŻ... MI...

Znowu ulatywał w tę białą, bezgraniczną nicość, w tę mglistą pustkę, która wchłonęła go już przedtem. Chciał walczyć, ale naprawdę nie miał na to sił. Dał za wygraną.

Część II
Ursula
Berlin 1938

*W nocy nie ulęknieś się strachu
ani za dnia - lecącej strzały,
ani zarazy, co idzie w mroku,
ni moru, co niszczy w południe.
Choć tysiąc padnie u twego boku,
a dziesięć tysięcy po twojej prawicy ciebie to nie spotka.*
- Psalm 91

6

Stała w sypialni przed dużym lustrem w stylu empire, wpatrując się uporczywie w swoje odbicie, wreszcie obróciła się powoli i spojrzała na suknię. Kupiła ją przed trzema laty w Paryżu, tę kreację Jeana Patou, jej ulubionego projektanta mody. Od tamtej pory miała ją na sobie tylko raz, ale teraz uświadomiła sobie, że suknia zachowała mimo upływu czasu swój niezrównany styl i elegancję - jak wszystko inne, co kupiła kiedykolwiek u Patou. Dziś chciała założyć coś prostego i dlatego zdecydowała się na tę właśnie suknię, długą, sięgającą podłogi i opadającą swobodnie, płynnie, od ramion do samego dołu, o długich rękawach, niewyszukanym staniku i podwyższonym karczku, ramiączkach krzyżujących się na szyi i efektownym udrapo-waniu na plecach. Matowa krepa skrojona była wyjątkowo szykownie, a kolor wprost przyciągał wzrok: nazywany oficjalnie „niebieski Patou” wpadał właściwie w fiolet.

Ten wibrujący odcień wydawał się wręcz idealny dla nordyckiej karnacji kobiety. Miała włosy o barwie połyskliwego złota, kremową skórę oraz oczy, przywodzące na myśl szarobłękitną mgiełkę, błyszczące i ocienione długimi rzęsami. Była średniego wzrostu, ale smukła figura i długie, szczupłe jak u żrebaka nogi czyniły ją w oczach innych wyższą. Miała małe stopy i arystokratyczne, wypielęgnowane dłonie. Połączenie owej wyjątkowej aparycji, umiejętności ubierania się i wrodzonego dobrego smaku sprawiały, że była kobietą niezwykle elegancką. Nazywała się Ursula Westheim i miała trzydzieści trzy lata.

Uszczęśliwiona, jako że doszła właśnie do przekonania, że suknia nie tylko nadaje się na przyjęcie i obiad w ambasadzie brytyjskiej, dokąd była zaproszona na dzisiejszy wieczór, ale również jest odpowiednia na jej pełen rezerwy nastrój, podeszła powoli do toaletki. Przystanęła przy kominku z białego

marmuru, aby ogrzać sobie ręce; ogień skutecznie zwalczał ziąb tego mroźnego, zimowego wieczoru. Już po chwili zadumała się, opadły ją setki myśli, do czego zdążyła już ostatnio przywyknąć. Z natury była skłonna do refleksji, a cecha ta nasiliła się jeszcze bardziej w ciągu ostatniego roku. Musiała się kontrolować, zwłaszcza na spotkaniach towarzyskich, kiedy to odpływała gdzieś w dal, dryfując myślami tam, gdzie czuła się dobrze i gdzie nikt inny nie mógł za nią podążyć. Jej mąż, Sigmund, usiłował ją zrozumieć, wykazywał wobec niej nieskończenie dużo cierpliwości i delikatności, ona jednak zdawała sobie sprawę, że jego rodzina - przede wszystkim matka i Hedy, jego siostra - uważają ją za osobę daleką, niedostępną. Nic na to nie mogła poradzić. Jej myśli były niczym poczwary, zawsze obecne, niezupełnie jeszcze uformowane i tym bardziej zatrwające.

Żyła w stanie lęku, który nie opuszczał jej w tych dniach. Co gorsza: nigdzie już nie czuła się bezpieczna, chyba tylko w domu. Tam znajdowała schronienie, tam istniał dla niej azyl przed szpetnym światem, rozpoczynającym się tuż za drzwiami jej twierdzy. Bywały momenty, kiedy naprawdę pragnęła zostać tu, nie wychodzić już na zewnątrz - i w pewnym sensie za tymi ścianami czekało ją niewiele dobrego.

Ten Berlin, w którym się urodziła i wychowała, przestał istnieć. Dziś było to miasto pełne strachu, miasto bandyckie i brutalne, miasto, w którym zagnieździły się zgroza i zjadliwość, oszustwo i zdrada. Tajna policja, gestapo, panoszyła się na ulicach, w piwiarniach i kawiarniach, gdzie tylko spojrzeć, wszędzie widać było zimne twarze esesmanów i piekielne bandy bojówkarzy Hitlera, śmiesznych w swych operetkowych mundurach. W oczach reszty świata byli to niepoważni żartownisie: ot, malowane wojsko, oddające się zabawie w wojenkę. Niestety, ta zabawa stawała się coraz bardziej niebezpieczna, mordercza, przebiegała w sposób coraz bardziej złowieszczy - i było to działanie zamierzone.

W ubiegłym roku gościła na przyjęciu w ambasadzie francuskiej przy Pariserplatz, gdy raptem zjawił się tam Hitler w otoczeniu Goebbelsa, Göringa i reszty świty. Była zdumiona widząc, jak są mali, jak pospolicie się prezentują, zupełnie inaczej niż na zdjęciach w gazetach, gdzie sprawiali wrażenie niezwyciężonych. Pomyślała sobie nawet, że wyglądają głupio w swoich mundurach, nadających

się raczej na bal karnawałowy. Przez krótką chwilę popuściła wodze fantazji: kiedy tak kroczą mocnym krokiem butni i aroganccy, przekonani o swojej wielkości, me należy ich brać poważnie. Ale ta chwila przeminęła tak szybko, jak nadeszła gdyż w rzeczywistości brała ich poważnie. **NADZWYCZAJ POWAŻNIE.** Siła, którą ucieleśniali, była, niestety, zbyt realna. Siła budząca trwogę. , Nieustannie zastanawiała się, jak to możliwe aby tak olbrzymia masa ludzi pozwalała wodzić się za nos człowiekowi pokroju Hitlera, byłemu wódcę, który me był nawet Niemcem, lecz prostym austriackim kapralem i nie umiał mówić poprawnie po niemiecku. O dziwo: wielu wierzyło jego zapewnieniom, jakoby chodziło mu o dobro narodu niemieckiego; tkwił w nim jakiś magnetyzm, który sprawiał, że cała ta demagogia działała jak hipnoza. Czyżby ludzie naprawdę nie dostrzegali straszliwych konsekwencji, do jakich może doprowadzić wiara w głoszoną przez niego ideologię? Przecież droga, którą wytyczał, wiodła prosto do piekła! Jak w ogóle mogli przypuszczać, że jest ich zbawcą?

Niedawno zwierzyła się ze swoich refleksji przyjaciółce, Renacie von Tiegel, i usłyszała wtedy w odpowiedzi: „Niemcy mają tendencję do czczenia fałszywych bożków, do uznawania fałszywych idoli. Nie wolno nam o tym zapominać . A potem mąż Renaty, Reinhard, dodał z ubolewaniem: Hitlera należało powstrzymać kilka lat temu Powinna uczynić to cała zachodnia Europa. Niestety, me zrobiono tego, a teraz, obawiam się, jest już na to za późno. Za późno dla nas, ale i dla nich”.

Kurt von Wittingen, który również uczestniczył w tej rozmowie, zakończył łagodnym tonem: „Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie nie zrozumieli czegoś, co ma tu podstawowe znaczenie: faszyci nie pchali się do władzy ze względu na sytuację gospodarczą. Oni po prostu pragnęli tej władzy .

No tak! a teraz doszli już do władzy, czyż me? Mieli władzę absolutną. Ursula zadrżała mimo woli, zac[^] dteoa obramowaniu kominka i zamknęła oczy. **CO ROBIĆ? CO ROBIĆ”** To pytanie nie dawało jej spokoju, uporczywie krążyło po głowie. Na krótki moment ogarnęła ją znowu panika, zdarzało się to ostatnio coraz częściej, zdołała jednak przywołać się do porządku. Nie mogła teraz uczynić me innego, jak tylko wytrwać. Nie było innego wyjścia. Zresztą, wszystko się jakoś ułoży, nadejdzie taki dzień.

Uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju. Wyglądał normalnie i w pewnym sensie dodawał otuchy. Miała naprawdę piękną sypialnię, przytulną i cichą, pełną bladozielonych jedwabi, które zasnuwały ściany, wisiały na oknach, pokrywały krzesła i szeslong. Meble były francuskie; wspaniale zachowane antyki z jej ulubionej epoki Ludwika XVI, a tu i ówdzie rozmieszczone były wykwintne bibeloty i dzieła sztuki, kupowane wytrwale od wielu lat lub odziedziczone po krewnych-szkatułki i puzderka z różowego kwarcu, miniaturowe akwarele, zabytkowe tabakierki z porcelany i flakoniki, miśnieńskie figurki i rodzinne zdjęcia w srebrnych ramkach.

I wszędzie kwiaty; świeże, cieplarniane kwiaty, które rozlewały po całym pokoju odurzającą woń i ożywcze barwy, podczas gdy ściany połyskiwały w przyćmionym blasku kryształowych lamp, skrytych pod różowym jedwabiem abażurów.

Przeniosła wzrok na malowidła Renoira i jak zwykle poczuła dla nich podziw, a zarazem respekt. Jakże wspaniale prezentowały się na tle bladozielonych ścian. Dwa obrazy przedstawiały akty, trzeci stanowił portret matki z dwiema córkami, a czwarty ukazywał ogród latem. Ich kolorystyka przyprawiała Ursulę każdorazowo o zawrót głowy: zachwycały ją muszelkowy i perłowy róż, połyskliwe złoto, miękki, pastelowy błękit i zieleń oraz wspaniałe odcienie żółci. Wszystko było wypełnione światłem, ciepłe i zmysłowe, wszystko radowało wzrok. Była to część kolekcji Westheimów, założonej przez dziadka Sigmunda, Friedricha, u schyłku XIX wieku, tuż po historycznej już, pierwszej wystawie dzieł impresjonistów, która odbyła się w Paryżu w 1874 roku. Ursula poczytywała sobie za szczególnie zaszczyt, że obrazy te wiszą akurat w jej domu.

Zerwała się z miejsca, uświadamiając sobie, że Sigmund wrócił z banku jakiś czas temu, z pewnością przebrał się już na przyjęcie i teraz czeka na nią na dole. Musiała się pośpieszyć. Sigmund był punktualny i nie lubił opieszałości u innych. Podeszła do toaletki z weneckim lustrem, stojącej między jednym oknem a drugim, i otworzyła czarną, skórzaną szkatułkę z biżuterią.

Niemal machinalnie założyła proste, diamentowe kolczyki, na palec ze złotą obrączką ślubną wsunęła brylantowy pierścionek zaręczynowy, po czym zamknęła szkatułkę. Nie chciała nosić nic innego. Nie lubiła afiszować się, szczyścić swym

bogactwem; nie czyniła tego w dużo lepszych czasach, tym bardziej nie robi tego teraz. Po co prowokować zawisłych innych.

Jeszcze raz oceniła swoje odbicie w lustrze, przyglądała dłonią krótkie, kręcone blond włosy i podeszła do szafy, gdzie wisiały jej płaszcze i peleryny. .

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i zanim jeszcze zdążyła coś powiedzieć, rozwarły się gwałtownie, a do środka wbiegła Gisela, jej pokojówka. - Czy już pani wychodzi, Frau Westheim? Które futerko mam podać?

Ursula uśmiechnęła się do niej. - Nie biorę futra - powiedziała swoim niskim głosem. - Wystarczy aksamitna peleryna, Giselo Bądź tak dobra i podaj mi ją, proszę. Aha, załóż też białe skórzane rękawiczki. Poczekaj chwilkę, zaraz wrócę.

- Dobrze, Frau Westheim.

Ursula wyszła na korytarz, otworzyła drzwi do pokoju mieszczącego się dokładnie naprzeciw jej sypialni i ostrożnie wsunęła się do środka. Nocna lampka przy łóżku nieśmiało rozświetlała pomieszczenie, tworząc błady półmrok.

Stąpając na palcach, Ursula zbliżyła się do łóżka. Przez chwilę spoglądała na małego chłopczyka, śpiącego smacznie, z pulchną rączką podłożoną pod różowy policzek, po czym nachyliła się, pogłaskała jego jasne włosy i musnęła czoło ustami.

Chłopczyk drgnął, otworzył oczy i wymamrotał zaspanym głosem- - Mutti? Czekałem na ciebie, Mutti...

Poczula falę ciepła i uśmiechnęła się. Każda chwila spędzona z tym dzieckiem była dla niej źródłem prawdziwej radości. Przysunęła sobie krzesło, usiadła i ujęła oburącz jego dłoń. - Ubierałam się, mein Schatz*. Papa i ja wychodzimy dziś wieczór.

- Papa był tu, pocałował mnie na dobranoc. Latem kupi mi kucyka - zwierzył się chłopiec, zupełnie już rozbudzony. Jego piwne oczy błyszczały z podniecenia.

Nachyliła się, aby pocałować go ponownie, a on przywar rozgrzaną jeszcze od snu twarzą do jej policzka objął ją za szyję i przytulił się całym ciałem. Przygarnęła go mocno jedną ręką, głaszcząc drugą po głowie. Tak bardzo kochała swego czteroletniego synka, jej jedyne dziecko! Był dla niej wszystkim. I tak bardzo lękała się o niego. **NIE DOPUSZCZĘ, BY STAŁO MU SIĘ COŚ ZŁEGO! OSŁONIĘ GO WŁASNĄ PIERSIĄ!**

* **mój skarbie - niem. - przyp. tłum.**

Czym prędzej odegnała od siebie niepokojące myśli, które ostatnio nie dawały jej spokoju, odetchnęła głęboko i szepnęła: - Twój kucyk będzie czekał na ciebie, kiedy pojedziesz latem do naszej willi w Wannsee. Papa sprowadzi go tam, zobaczysz

- Mutti?

- Tak, Maximie?

- Czy Papa pokaże mi, jak się jeździ na koniu?

- Oczywiście - uśmiechnęła się.

- Jakie imię będzie miał kucyk?

- Nie wiem. Nie wybraliśmy jeszcze konika, który byłby odpowiedni dla ciebie. Ale znajdziemy takiego, już niedługo. A teraz kładź się już, pora spać.

Nie wypuszczając go z objęć, nachyliła się, aż spoczął na białych poduszkach, on jednak nadal tulił się do niej z całych sił. Delikatnie uwolniła się z uścisku, usiadła z powrotem, a potem, głaszcząc go lekko po twarzy, szepnęła czule: - Jesteś taki grzeczny, Maximie, taki słodki! Bardzo cię kocham, bardzo!

- Ja też cię kocham, Mutti.

- Dobranoc, myszko, słodkich snów!

- Dobranoc. - Ziewnął przeciągle, powieki zaczęły mu już opadać i Ursula zorientowała się, że zanim dojdzie do drzwi, Maxim zapadnie w głęboki sen. Ostrożnie wymknęła się na korytarz, wróciła do swojej sypialni, wzięła pelerynę, rękawiczki i wieczorową torebkę.

- Dobranoc, Giselo - odezwała się już w progu, odwracając się do pokojówki. - I proszę na mnie nie czekać.

- Ależ Frau Westheim, przecież zawsze pomagam pani...

- Nie, nie, to naprawdę zbyteczne - przerwała jej łagodnie Ursula. - Poradzę sobie sama. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Podeszła do schodów, wiodących wspaniałym łukiem w dół do wielkopańskiego, wejściowego foyer. Dom Westheimów mieścił się na Tiergartenstrasse, tuż obok ogrodu zoologicznego, w willowej okolicy Berlina.

Już po kilku stopniach przystanąła, z głową przechyloną na bok, zamieniając się cała w słuch.

Sigmund grał w saloniku na fortepianie, a melodyjne tony „Sonaty księżycowej” Beethovena unosiły się w powietrzu, pieścąc ucho... To było piękne... subtelne... ale zarazem tak niewymownie smutne. Coś ścisnęło ją raptem w gardle, do oczu napłynęły, nie wiadomo dlaczego, łzy. Uzmysłowała sobie, że tego wieczoru właśnie ta melodia poruszają szczególnie silnie, może nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Stała tak jeszcze przez chwilę, usiłując wziąć się w garść i upajając się jednocześnie grą Sigmunda. Była przekonana, że gdyby nie pracował jako bankier, mógłby dawać koncerty muzyki klasycznej, tak duży miał talent. Ale bankowość Sigmund miał już we krwi. Złożyły się na to całe wieki, w ciągu których zawód ten przechodził z pokolenia na pokolenie, począwszy od 1690 roku, kiedy to Jacob Westheim, protoplasta rodu, otworzył we Frankfurcie swój bank. Od ponad stu lat rodzina mieszkała w Berlinie, a prywatny bank inwestycyjny Westheimów, istniejący od 1820 roku, mieścił się przy Gendarmenmarkt.

Zegar w foyer zaczął wybijać godzinę szóstą, przerywając rozmyślenia Ursuli. Zbiegła na dół, położyła wszystko, co trzymała w ręku, na niskiej, zabytkowej ławie, po czym udała się do saloniku. Tu przystanąła w progu, przyglądając się mężowi. Wyglądał bardzo atrakcyjnie w smokingu i czarnej muszce.

Niemal natychmiast Sigmund dostrzegł ją, przestał grać i szybkim krokiem podszedł do niej. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupłym, dobrze zbudowanym, trzydziestosześcioletnim przystojnym mężczyzną o wyrazistej twarzy, kasztanowatych włosach, błękitnych oczach i ciepłym, szczerym uśmiechu. Z Ursulą był żonaty od piętnastu lat.

Objął ją i pocałował w policzek. Znali się od urodzenia, a ich rodzice zawsze marzyli o tym, aby tych dwoje pobrało się. Kiedy odbyło się wesele, oznaczało ono połączenie dwóch elitarnych rodzin niemieckich, ale nie było to małżeństwo ustalone przez rodzinę; jego podstawą była prawdziwa, gorąca miłość. Zakochali się w sobie jeszcze jako dzieci i nigdy nie dopuszczali nawet myśli, że mogliby spędzić życie z kimś innym.

Sigmund pierwszy wypuścił ją z objęć, odsunął nieco od siebie i spojrzał na nią. - Jesteś dziś bardzo piękna, Ursulo. Uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z miłością

Objął ją wpół i poprowadził do foyer. - Myślałem, że napijemy się przed wyjściem szampana, ale obawiam się, że na to jest już za późno. Musimy chyba iść. Obiecałem Irinie, że spotkamy się przy recepcji, a nie chciałbym kazać jej czekać, gdyż będzie sama.

Skinęła głową. - Oczywiście, kochanie.

Jej głos był tak niski, że aż ledwo słyszalny. Sigmund zatrzymał się, podniósł jej głowę i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Zmarszczył brwi, widząc troskę w jej oczach i lęk,

który nagle zarysował się na jej twarzy. - Czy stało się coś złego? O co chodzi?

- Szkoda, że musimy tam iść.

- Ale przecież ucieszyłaś się, kiedy otrzymaliśmy to zaproszenie. Skąd ta nagła zmiana nastroju?

- Wcale się nie cieszyłam - zaoponowała. - To nie tak.

- To bardzo ważne, żebyśmy się tam pokazali, wiesz o tym. Ambasador oczekuje nas.

Milczała przez chwilę, jakby zbierając myśli, wreszcie odparła: - Tam będą hitlerowcy.

- Tak, będą, to prawda. Ale w ostatnim czasie hitlerowcy znajdują się wszędzie, gdzie tylko spojrzysz. Nie powinniśmy się tym przejmować.

Znowu milczała przez chwilę, zanim powiedziała tonem bardziej porywczym niż to było w jej zwyczaju: - Ale ja się tym przejmuję, Sigi, i nic na to nie poradzę! Jesteśmy Żydami!

- I również Niemcami, Ursulo. Prawdziwymi Niemcami, podobnie jak nasi przodkowie przed wiekami. Nie zapominaj! ze pochodzimy ze starych, znakomitych rodzin. Co więcej: jako bankier jestem dla rządu i całego kraju osobą niezmiernie ważną i pożyteczną. Mówiłem ci o tym już nie raz. Wiesz dobrze, że jestem im potrzebny, że oczekują ode mnie pomocy przy odbudowie gospodarki, że jestem dla nich cenny ze względu na moje koneksje zagraniczne, kontakty z bankierami i przemysłowcami, jak również obce waluty i złoto, przepływające przez mój bank.

Ponownie objął żonę i przytulił do siebie, dodając kojącym tonem: - Nic nam nie grozi, Ursulo, naprawdę, uwierz mi.

Odchyliła się nieco do tyłu i podniosła na niego przenikliwy wzrok. - Hitlerowcy napętlają mnie przerażeniem.

Mierzi mnie przebywanie w ich towarzystwie. Nie znoszę nawet oddychania tym samym powietrzem co oni.

- Tak, wiem, Ursulo. Ale tego wieczoru przybędzie na przyjęcie wielu naszych dobrych przyjaciół, a w takim razie będziesz wśród nich. Przyjdą Renata i Reinhard, Kurt i Arabella von Wittingen, Irina... - Urwał. Nie bardzo wiedział, co zrobić, aby podnieść ją na duchu.

- Tak; przyjdzie tam wielu przyjaciół, Sigi - przyznała. - Między innymi ci, którzy wstąpili do partii hitlerowskiej.

Również przez nich czuję się nieswojo.

Skinął głową na znak, że przyznaje jej rację, po czym odchrząknął. - Mimo wszystko nie możemy teraz zrezyg-

nować, na to jest już za późno. Musimy iść. Proszę cię, kochanie. Niezależnie od Iriny, która nie powinna na nas czekać, nie chciałbym też urazić sir Neville'a Hendersona.

- Tak, oczywiście - odparła natychmiast, zmuszając się do uśmiechu. Nie zamierzała dawać mu kolejnych powodów do zmartwienia. - Wszystko będzie dobrze, Sigi, nie przejmuj się mną.

Najwidoczniej uspokojony, uśmiechnął się do niej, wziął ją pod rękę, po czym udali się do foyer. Sigmund podniósł pelerynę i właśnie okrywał nią ramiona żony, kiedy przez tylne drzwi domu wszedł Walter, kamerdyner; gestem pełnym szacunku pochylił głowę i wyjął z szafy płaszcz chlebobawcy.

- Dziękuję, Walterze, nie będę go chyba zakładał - powiedział Sigmund.

Kamerdyner złożył płaszcz, podał go Sigmundowi i odprowadził państwo do wyjścia, życząc przyjemnego wieczoru.

7

Samochód czekał już przed domem. Karl, szofer, powitał ich grzecznie i otworzył drzwiczki. Sigmund poinformował go, że udają się do ambasady brytyjskiej, a w chwilę potem jechali w kierunku Hofjagerallee.

Kiedy mijali Tiergarten, piękny park publiczny, będący kilkaset lat temu prywatnym terenem łowieckim książąt brandenburskich, Ursula wyrzała przez okno samochodu. Jak posepnie tu dziś, pomyślała, przybliżając twarz do szyby. Drzewa, pozbawione liści, tworzyły czarne, podobne do szkieletów sylwetki, odbijające się od zimnego, wieczornego nieba. Poczowała zimny, nieprzyjemny dreszcz. Zadrzała i otuliła się szczelniej peleryną.

A potem wróciła myślą do tego samego parku, ale takiego, jakim знаła go latem, kiedy zapierał dech swoją urodą - znowu ujrzała bujne, falujące na wietrze trawy, płaczące wierzby, soczystą zieleń lip i kasztanów, barwne klomby graniczące ze ścieżkami. Spośród krzewów ozdobnych najbardziej lubiła

bzy, które w maju obsypywały się różowym, białym i fioł-koworóżowym kwieciem, rozlewając w powietrzu delikatną, piękną woń.

Zaprojektowany na wzór naturalnych parków angielskich, podzielony na części, wzbogacony o sztuczne jeziora i strumienie, park Tiergarten tchnął majestatem i spokojem; było to miejsce, z którym wiązała przyjemne wspomnienia. Jeszcze jako dziecko jeździła tam konno, konne przejażdżki odbywała również potem, jako młoda dziewczyna i nawet dziś, kiedy dopisywała pogoda. Lubiła też spacerować po krętych alejkach parku, pod sklepieniem z ofiarujących zbawczy chłód i cień gałęzi drzew. Dawniej spacerowała tamtędy z Sigmundem, ostatnio przeważnie z Maximem i jego nianią. Czasem zapuszczała się w gąszcz zieleni sama - aby posmakować trochę samotności i przemyśleć sobie to i owo. Park stanowił dla niej rodzaj azylu, oazę spokoju w sercu Berlina, który obecnie tętnił nerwowym, gorączkowym życiem. Piękno i prostota natury kołysały ją, były niczym balsam dla jej udęczonej duszy. W pewnej chwili Sigmund powiedział coś na temat swojej matki i wzrok Ursuli natychmiast odszukał w półmroku samochodu jego oczy, a jej dłoń czułym gestem nakryła dłoń męża. Wiedziała, jak bardzo Sigmund niepokoi się o matkę. Jakiś czas rozmawiali o starszej pani Westheim, której stan zdrowia od dwóch lat, to znaczy od śmierci jej męża, pozostawiał wiele do życzenia, następnie o jego dwóch siostrach, Hedy i Sigrid, i ich kontaktach z matką, przeszli do wydarzeń dzisiejszego dnia, po czym zapadło milczenie. Każde z nich pogrążyło się w rozmyślaniach. Ursula, która nie tylko uwielbiała męża, ale również wierzyła w trafność jego sądów, pragnęła desperacko, aby jego spojrzenie na sytuację stworzoną przez reżim hitlerowski odpowiadało prawdzie. Jednak zarówno jej własny rozum, jak też kobieca intuicja, podpowiadały jej, że nie powinna kierować się jego zapewnieniami. Z najgłębszych zakamarków jej duszy napływało przeczucie, że nadchodzi coś przerażającego, jakkolwiek nie potrafiła powiedzieć, co. Wyprostowała się nagle, zeszywniała na siedzeniu samochodu. Czyżby właśnie to straszne przeczucie było źródłem jej lęku? Z całą pewnością, tak. Czowała, że ogarniają rozpacz, że krew zastyga jej w żyłach. Bała się. Niespokojne myśli dręczyły również Sigmunda. To prawda: czuł się w Berlinie bezpiecznie, mimo panujących tu ostatnio

nastrojów. Wprawdzie poczyniono pewne kroki przeciw Żydom, ale pozostawiono w spokoju całą rodzinę Westheimów, podobnie jak inne znaczące, zamożne rodziny żydowskie, niezmiernie ważne i pożyteczne dla kraju. Nie tknięto nawet jednej odrobiny należącej do Westheimów, nie zamknięto ich banku. Nie zmuszano też do przyjęcia któregoś z Aryjczyków na współnika, tak jak już zdarzyło się w przypadku paru żydowskich biznesmenów. Tak, to wszystko prawda, a jednak zaczynał od paru dni odnosić wrażenie, że rządy III Rzeszy odmieniają prędzej czy później sytuację każdego żyjącego tu Żyda.

Jeszcze parę minut temu zapewniał żonę, że wszystko będzie w porządku, mówił jej pięknie brzmiące słowa - byle tylko nie rozniecać tłącego się w niej lęku. Musiał jednak spojrzeć prawdzie w oczy: niebawem mogli znaleźć się w dużym niebezpieczeństwie. Może byłoby mądrzej opuścić Berlin, wyjechać w ogóle z Niemiec, tak jak czyniło to wielu ludzi. Był człowiekiem bogatym, mógłby zapłacić za pomoc, kupić wizy wyjazdowe i nowe paszporty. Musiałby jednak otrzymać odpowiednie instrukcje, uzyskać doświadczenie do tych, którzy potrafią wystawić fałszywe dokumenty. Łapówki i korupcja były w III Rzeszy na porządku dziennym; należało tylko dowiedzieć się dokładnie, do kogo pójść, aby załatwić swoją sprawę. Miał przyjaciół, którzy zapewne pokierowałiby nim, ułatwiliby kontakty. Ale czy aby na pewno? I komu mógłby zaufać? Parę nazwisk chodziło mu po głowie; począł rozważać je pieczołowicie.

Karl skręcił z Hofjägerallee na wysokości Grosser Stern, minął Kolumnę Zwycięstwa, dominującą nad całym centrum, po czym skierował się w stronę Bramy Brandenburskiej.

Ursula wpatrywała się nieruchomo przed siebie, kiedy przejeżdżali pod triumfalnym łukiem bramy. Mieli przed sobą aleję Unter den Linden, szeroką i imponującą, najwspanialszą z alej berlińskich, choć tak bardzo zeszpeconą teraz przez hitlerowców rzędem wyniosłych kolumn, ustawionych po obu jej stronach. Każdą z kolumn wieńczył olbrzymi, hitlerowski orzeł, a światło reflektorów tworzyło z nich monstrualne kształty na tle ciemniejszego nieba. Efektarstwo typowe dla hitlerowców, pomyślała Ursula ze wstrętem. Dla niej kolumny stanowiły świadectwo tyranii i groźby III Rzeszy. Zwróciła wzrok w inną stronę.

Mijali właśnie Pariserplatz. Jej rodzice posiadali dom na tym eleganckim placu, tu wychowała się, z tego domu przyszła pod dach Sigmunda. Potem, w 1935 roku, zmarła jej matka, a w ubiegłym roku - ojciec. Plac, który odgrywał niegdyś w jej życiu tak dużą rolę, obecnie przywoływał jedynie na pamięć czas, należący już do przeszłości, a Berlin taki, jakim go kochała, przestał w ogóle istnieć.

Ursula westchnęła cicho, usiłując odegnać od siebie nastrój zwątpienia. Karl skręcił właśnie w prawo, w Wilhelmstrasse, gdzie pod numerem 70 mieściła się ambasada brytyjska. Wkrótce będą więc na miejscu. Zmusiła się do uśmiechu. Z tamtą miną nie mogłaby uczestniczyć w przyjęciu.

Przed nimi stał już sznur samochodów. Były wśród nich służbowe, z rozmaitych ministerstw, inne miały oznaczenia korpusu dyplomatycznego i były ozdobione małymi chorągiewkami, umocowanymi na masce; Ursula rozpoznała barwy Włoch, Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii.

Po chwili wysiadła z samochodu i w oczekiwaniu na Sigmunda, który nadchodził z drugiej strony, powiodła wzrokiem po Wilhelmstrasse. Zaledwie kilka domów dalej wznosiła się Kancelaria Rzeszy, gdzie urzędował Hitler i jego złowróżbni pomagierzy. Mimo woli zaczęła zastanawiać się, jakie też niecne plany knują tam w tej właśnie chwili, i na samą myśl o tym znowu przeszedł ją dreszcz trwogi.

Ale oto Sigmund stanął u jej boku, z rozpromienioną, pogodną twarzą. Odwzajemniła uśmiech, choć w jej wykonaniu był to smutny uśmiech, Sigmund natomiast ujął ją pod rękę, tak jakby nie dostrzegł jej mizernej reakcji (a może istotnie nie dostrzegł), i wprowadził do środka przez szerokie drzwi, nad którymi na zimnym wietrze powiewała flaga brytyjska.

Widok trzech barw, czerwonej, białej i niebieskiej, podniósł ją nieco na duchu. Nie był to tylko kolorowy materiał reprezentujący Zjednoczone Królestwo; był to przede wszystkim symbol sprawiedliwości, demokracji i wolności. Sir Neville Henderson, ambasador Jego Królewskiej Mości, stał w hallu usytuowanym pomiędzy dwiema salami recepcyjnymi na samym szczycie szerokich, kręconych schodów i witał gości. Jak zwykle, był uśmiechnięty, pogodny i pełen wdzięku.

Sigmund i Ursula sunęli z wolna za innymi, aż w końcu sir Neville podał jej rękę i powitał ciepłymi słowami, po czym skierował uwagę na Sigmunda. Obaj mężczyźni wymieniali przez kilka chwil grzeczności, następnie ona i Sigmund oddalili się, aby przejść do jednego z dwóch pomieszczeń, gdzie przed posiłkiem podawano napoje.

W sali panował duży ścisk, w powietrzu unosił się nastrój napięcia i podniecenia, typowy dla tego typu imprez w ostatnim okresie, a zwłaszcza dla ambasad innych krajów. Kryształowe żyrandole, zawieszane wysoko na suficie, rzucały olśniewające światło, pod ścianami piętrzyły się kwiaty, dopełniające uroczystego wystroju, w kącie sali przygrywał cicho kwartet smyczkowy, kelnerzy we frakach i białych rękawiczkach zręcznie uwijali się w tłumie, balansując umiejętnie srebrnymi tacami zastawionymi kieliszkami z szampanem lub kanapkami. A z góry spoglądał na to wszystko naturalnej wielkości portret olejny króla Jerzego VI, który objął tron w ubiegłym roku, po tym jak jego słabowity brat Edward abdykował, aby ożenić się z amerykańską awanturką, panią Simpson.

- Dziś mamy tu całe zgromadzenie - szepnął Sigmund do ucha Ursuli, wprowadzając ją do sali.

Natychmiast podszedł do nich kelner, podając szampana. Sigmund podziękował, wziął dwa kieliszki, a kiedy napili się, powiódł dokoła wzrokiem. - Nie widzę nigdzie Iriny. A ty?

Rozejrzała się uważnie. - Ja też, Sigi. Ale może jest w drugiej sali. Tylu dziś gości!

Korpus dyplomatyczny, jak zauważyła, był w komplecie, dostrzegła też kilku ambasadorów, których znała z widzenia, jak również znajome twarze dwóch brytyjskich korespondentów zagranicznych, zatopionych w rozmowie ze swoim amerykańskim kolegą, Williamem Shirerem. W tłumie byli też członkowie rządu niemieckiego, oficerowie armii, wysoko postawieni funkcjonariusze partii hitlerowskiej, przedstawiciele arystokracji niemieckiej i kilku znanych powszechnie berlińczyków.

Obecni byli również niektórzy obcokrajowcy, żyjący obecnie w Berlinie. Od Iriny dowiedziała się, że są to ludzie mile widziani w ambasadach brytyjskiej i francuskiej, jako że byli czarujący i niezwykle towarzyscy. Większość z nich szczyła się rozmaitymi tytułami, można było spotkać wśród nich Węgrów i Słowaków, Litwinów i Austriaków, Polaków

i Rumunów lub - tak jak Irina - białych Rosjan. Wraz ze swymi rodzinami opuścili ojczyste kraje, zmuszeni do tego kroku przez przemiany w burzliwej Europie, które miały miejsce jakieś dwadzieścia lat temu: rewolucję bolszewicką i rozpad monarchii austro-węgierskiej.

Wzrok Ursuli błędził po całej sali. Wydawało się, jakby główną regułą uroczystości było zachowanie elegancji; wszyscy ubrani byli znakomicie. Mężczyźni nosili smokingi lub mundury wojskowe, kobiety miały na sobie swoje najwykwintniejsze kreacje, większość z nich zaprezentowała szyk i styl, rzucające się od razu w oczy. Ogólne wrażenie psuło jedynie kilka kobiet uczepionych u ramion niektórych hitlerowców; w swoich krzykliwych sukniach, upstrzonych brylantami, obwieszone mało gustowną biżuterią, wyglądały wręcz wulgarnie.

W tłumie Ursula dostrzegła nagle znajomą twarz, uśmiechniętą, o żywych, błękitnych oczach, jak również smukłą dłoń, machającą jej na powitanie.

Natychmiast rozpromieniła się. - Sigi, to Irina! - zawołała. - Stoi tam, widzisz?

- Tak, oczywiście. Podejźmy do niej, kochanie.

Ujął Ursulę pod rękę i czym prędzej podeszli do przyjaciółki; ona także skierowała się w ich stronę, zachwycając swą czarną koronkową suknią, która odsłaniała smukłe, zgrabne łydki. Po chwili wszyscy troje obejmowali się już i całowali, śmiejąc radośnie.

Irina była kobietą wesołą, tryskającą życiem. Ursula uświadomiła sobie teraz, nie po raz pierwszy zresztą, że niezwykle koleje losu przyjaciółki, obfitujące w tragedie, wstrząsy i nieszczęścia, najwidoczniej nie zaszkodziły w jakimś znaczącym stopniu - albo nawet w ogóle - jej osobowości.

Księżniczka Irina Trubecka i jej matka, księżna Natalia, uciekły z Rosji w 1917 roku, po upadku dynastii Romanowów i zamordowaniu księcia Igora Trubeckiego przez bolszewików. Irina miała wówczas sześć lat, a jej matka dwadzieścia pięć. Jako uciekinierki przebywały kolejno na Litwie, w Polsce i na Śląsku, po czym wyjechały do Berlina. Osiedliły się tu dziesięć lat temu i właśnie wtedy poznały Ursulę i Sigmunda. Niedawno matka Iriny poślubiła owdowiałego pruskiego barona i w ten sposób obie kobiety zyskały po raz pierwszy, odkąd przed dwudziestu jeden laty opuściły swoją ojczyznę, prawdziwy dom.

Irina, Sigmund i Ursula rozmawiali właśnie o księżnej Natalii i jej losie, który zdawał się zmieniać na lepsze, kiedy Irina zachichotała.

Sigmund spojrział na nią zdumiony i zapytał unosząc brew: - Co się stało? Czyżbym powiedział coś zabawnego? Irina potrząsnęła głową. - Nie. Po prostu pomyślałam sobie, że moja matka zdobyła teraz, dzięki małżeństwu z panem baronem, pewien szacunek. - Rozejrzała się szybko i dodała ciszej: - To znaczy, w oczach hitlerowców. To śmieszne, zważywszy, że była zawsze kobietą o prawym, nieskazitelnym charakterze i idealnej reputacji, nie mówiąc już o tym, że ma w sobie królewską krew i jest kuzynką byłego cara. - Irina nachyliła się do nich i szepnęła: - A propos: Goebbels dopiero co przypiął etykietkę nam wszystkim, to znaczy emigrantom. Nazwał nas „zagranicznymi odpadkami”

i to tonem bardzo pogardliwym.

- Ach tak, doktor Goebbels... - zaczął Sigmund i umilkł w pół słowa.

Tuż przed nimi zatrzymali się dwaj oficerowie SS o typowym wyglądzie dla ludzi ich pokroju. Mieli zimne twarze, niebieskie oczy i krótko przystrzyżone włosy koloru blond, trzymali się prosto, jak gdyby połknęli kije. Trzasnęli zgodnie obcasami, ukłonili się sztywno i utkwili przenikliwy wzrok w Irinie, po czym obdarzyli ją krótkim uśmiechem, a jeden z nich powiedział: - Guten Abend, Prinzessin*.

- Dobry wieczór - odparła Irina, powtarzając uprzejmie jego słowa, a nawet zmuszając się do uśmiechu. Ale jej fiołkowe oczy były zimne jak lód.

Oficerowie skłonili się kurtuazyjnie i przeszli dalej, stawiając miarowo kroki niczym starannie zaprogramowane roboty.

- A to są odpadki hitlerowskie - szepnęła Irina. - Siepacze Heydricha. Chciałabym splunąć im w twarz.

Ursula położyła jej dłoń na ramieniu. - Proszę cię, Irino, bądź ostrożna - powiedziała cicho. - Nigdy nie wiadomo, kto może cię obserwować. . . .

- A tak, pełno tu donosicieli - przyznała Inna. - W dzisiejszych czasach trudno o kogoś, komu można by zaufać. - Głos Iriny był teraz ledwo słyszalny. Westheimowie musieli przysunąć się jeszcze bliżej, aby nie uronić żadnego z jej słów. - Ale reżim tak zgniły jak ich potrzebuje donosicieli, w przeciwnym

*** Prinzessin - niem. - księżniczka, przyp. tłum.**

razie nie mógłby rozkwitnąć, nie mógłby w ogóle funkcyjono-

W progu stanęła Renata von Tiegala. Omiotła wzrokiem całą salę, dostrzegła przyjaciół i podeszła do nich szybkim krokiem. Dzisiaj wyglądała jeszcze bardziej oszalałymi niż zazwyczaj - sprawiała to sukienka z purpurowego jedwabiu, która podkreślała głęboką czerń włosów i kremową biel ciała.

- Tu jesteście! - zawołała. - A ja szukam was wszędzie! Co u was? - Jej ciemne oczy i szeroki uśmiech promieniowały miłością.

- Wszystko w porządku - odparł Sigmund w imieniu całej trojki. - Wspaniale dzisiaj wyglądasz, moja droga.

- Och, dziękuję, Sigi - odpowiedziała.

Ursula wzięła ją pod rękę. - A gdzie Reinhard? - zapytała

- Jest w sali obok. - Renata rozejrzała się dokoła. - Wygląda na to, że wszyscy dobrze się dzisiaj bawią.

- Nic dziwnego, przecież w Berlinie wszyscy są szczęśliwi - Głos Inny zabrzmiał łagodnie, ale jej sarkazm był aż nadto wyraźny. - Odetchnęli z ulgą, ponieważ Hitler zapobiegł wojnie, podpisując we wrześniu z premierem Anglii i Francji układ w Monachium.

- Berlińczycy po prostu skryli głowy w piasek - orzekła Renata. - Jak można w ogóle pomyśleć, że ten wstrętny mały człowieczek powstrzymał wybuch wojny? - Ponieważ Irina milczała, Renata zwróciła się do Sigmunda. - Czy ty w to wierzysz?

- Chciałbym, aby okazało się, że to prawda - odparł Irina zerknęła przez ramię, aby upewnić się, że nikt nie podsłuchuje ich rozmowy, po czym zauważyła cicho - Hitler mógł wyprowadzić w pole Chamberlaina i Daladiera, wmówić im, że tak jak oni pragnie jedynie pokoju, ale nie przekonał ani mnie, ani mojej matki, ani barona. Helmut przypuszcza że już w przyszłym roku Hitler wystąpi przeciw demokratycznym krajom Europy Zachodniej.

- Wydaje mi się, że twój ojczym nie jest daleki od prawdy - szepnęła Renata.

- Modlę się o to, aby przewidywania Helmuta okazały się nieprawdziwe. - Głos Sigmunda był tak samo ponury jak wyraz jego twarzy.

Renata poczęła kręcić głową. - Żał mi tych biedaków z Czechosłowacji. Odkąd w ubiegłym miesiącu Hitler zagarnął Sudety, znaleźli się w okropnej sytuacji.

- Bardzo was proszę, nie mówmy dziś o polityce - szepnęła Ursula. - Nawet w tak względnie bezpiecznym miejscu, jakim jest ambasada brytyjska, czuję się niepewnie.

- Masz absolutną rację - poparł ją Sigmund. - W tych dniach rozmowa o polityce to gra niezmiernie ryzykowna.

- Kątem oka dostrzegł, że w progu sali stanęli właśnie von Wittingenowie. Postanowił wykorzystać ten fakt, aby porozmawiać z Iriną w cztery oczy, i zaproponował jej:

- Chodźmy, moja droga, przywitamy się z Kurtem i Arabellą, a po drodze napijemy się szampana.

Oboje odeszli, a Renata, która została sam na sam z Ursulą, spojrzała bacznie na przyjaciółkę. - Czy dobrze się czujesz, Ula? - zapytała, marszcząc brwi. - Jesteś dziś taka blada!

Ursula nie odpowiadała od razu. Przez chwilę ważyła coś w myślach, wreszcie wyznała: - Renato, żyję w stanie ustawicznego lęku. To okropne i szalenie deprymujące. Staram się panować nad sobą jak tylko mogę, ale przeważnie dręczą mnie straszliwe przeczucia.

Twarz Renaty wyrażała współczucie i zrozumienie. - Wszyscy żywimy podobne obawy i nie bez powodu.

Znaleźliśmy się w rękach przestępców. Spójrzmy prawdzie w oczy: rząd niemiecki to banda gangsterów.

- Mów trochę ciszej - ostrzegła ją szeptem Ursula. - Gestapo znajduje się wszędzie. Jestem pewna, że nawet na tym przyjęciu.

- Tak, zapewne masz rację - odparła Renata tym samym matowym szeptem.

Machinalnie obie skierowały się pod ścianę, aby stanąć z dala od innych. Renata podniosła na Ursulę wzrok pełen rozpacz i westchnęła ciężko. - Dlaczego przyszliśmy tu dziś, wiedząc, że ambasada będzie się roić od NICH, od esesmanów i Bóg wie jeszcze od kogo?

- Dlatego, aby zakosztować wspólnie przyjaznej atmosfery w ambasadzie przyjaźnie do nas nastawionego kraju, gdzie można jeszcze znaleźć cywilizowanych ludzi i porozmawiać z nimi; po prostu, aby spędzić wspólnie przyjemny wieczór. Oto dlaczego - szepnęła Ursula i pocieszającym gestem ścisnęła ramię przyjaciółki.

- Jak się macie? - rozległ się raptem za nimi lekko ochryply głos o wyraźnym angielskim akcencie. Obróciły się i przywitały z Arabellą von Wittingen.

Wysoka, smukła i elegancka w swym ciemnozielonym kostiumie wieczorowym z brokatu, na który składała się długa

spódnica i żakiet, Arabella zwracała uwagę również blond włosami, błękitnymi oczyma i brzoskwiniową cerą. Była siostrą lorda Langley i do czasu zawarcia małżeństwa z Kur-tem von Wittingen nosiła swoje rodowe nazwisko- lady Arabella Cunningham. Rozejrzała się po sali, a jej ładne usta drgnęły w uśmiechu.

- Nie mogę uwierzyć własnym oczom! - powiedziała. - Ktoś z ambasady musiał chyba oszaleć. Spójrzcie tylko na zaproszonych gości! Wystarczy popatrzeć na te rasowe mieszkanki Berlina, nie mówiąc już o tych okazach naprzeciwno, kręcących się obok nazistowskich oficerów. - Roześmiała się'

- Te trzy wyglądają tak, jak gdyby wyszły właśnie z salonu Madame Kitty - mówiła dalej, mając na myśli najbardziej znany w Berlinie dom publiczny. - Powinnam raczej powiedzieć: jak gdyby wstały właśnie z łóżek u Madame Kitty - dodała po chwili i znowu parsknęła śmiechem.

Ursula zachichotała. - Jesteś jak zwykle bezpardonowa i brutalnie szczera, ale właśnie dlatego tak bardzo cię kochamy, droga Arabello.

Wszystkie trzy rzeczywiście darzyły się prawdziwym uczuciem przyjaźniły się od osiemnastu lat. Poznały się w 1920 roku jako szesnastolatki, kiedy zaczęły uczęszczać do Roedeanu, słynnej angielskiej szkoły żeńskiej w pobliżu Brighton. Przez dwa lata które spędziły w szkole, tworzyły zgrane trio - inteligentne' odważne, pewne siebie, niezależne i niekiedy buntownicze' Przyjaźń przetrwała czasy szkolne; Renata i Ursula często odwiedzały Arabelle w zamku Langley w Yorkshire, Arabella natomiast kilkakrotnie jeździła do Berlina, aby spotkać się z obydwoma dziewczętami. W 1923 roku ona i Renata były druhami na ślubie Ursuli i Sigmunda. Po uroczystości weselnej Arabella zatrzymała się w należącym do narzeczonego Renaty hrabiego Reinharda von Tiegala, zamku położonym w uroczej' graniczącej z lasami nad Szprewą okolicy pod Berlinem Tam poznała księcia Rudolfa Kurta von Wittingen, pokochała go, a on ją. Rok później pobrali się i Arabella przeniosła się na stałe do Berlina. Wzajemny kontakt trzech kobiet zacieśnił się odtąd jeszcze bardziej; były teraz nierozłączne, wszystkie wolne chwile spędzały razem, tak jak za swoich dziewczęcych czasów w Anglii kiedy uczęszczały do szkoły.

Niepohamowany śmiech przerwał napięcie, jakie Ursula i Renata czuły tuż przed nadejściem Arabelli. Renata skinęła na kelnera. - Napijmy się jeszcze szampana - zaproponowała.

- Niezły pomysł - powiedziała Ursula, biorąc z tacy kieliszek. - Chyba minęły już wieki, odkąd po raz ostatni mogliśmy sobie spokojnie pogawędzić, tak bez dzieci. Może usiądziemy na parę minut?

- Doskonale! - zawołała Arabella. Pomysł poparła również Renata i trzy kobiety podeszły do ustawionych pod oknem krzeseł, gdzie usiadły wygodnie i poczęły rozmawiać o błażych sprawach, pragnąc za wszelką cenę stworzyć namiastkę normalności w tych nienormalnych czasach.

Nie ruszyły się z miejsc, dopóki nie wrócili ich mężowie z Iriną. A potem stwierdziły zgodnie, że to krótkie interludium było najprzyjemniejszą częścią wieczoru spędzonego w ambasadzie brytyjskiej.

8

- Jak to dobrze, że powiedziałeś Henriecie, iż nie możemy zostać dłużej - szepnęła Teodora Stein do swojego adoratora, Willy'ego Herzoga, który stał obok niej w niewielkim przedpokoju, nakładając płaszcz. - Jutro muszę wstać z samego rana. - Na samą myśl o tym wykrzywiła się pociesznie.

Willy skinął głową i sięgnął po kapelusz. - To prawda, czeka nas tylko parę godzin snu. Ja też muszę wcześniej wstać. Przyjęcie było wspaniałe, świetnie się bawiłem, ale zrobiło się już rzeczywiście za późno.

Teodora zerknęła na drzwi salonu, zza których dobiegały wesołe głosy, śmiech i dźwięki muzyki z płyt gramofonowych, po czym wzruszyła ramionami. - Ostatecznie nieczęsto kończy się dwadzieścia jeden lat, Willy, prawda? - Pytanie było oczywiście retoryczne, nie czekała więc na odpowiedź, lecz mówiła dalej: - Myślę, że Henrietta chciała, aby to przyjęcie urodzinowe wypadło szczególnie dobrze, żeby stało się czymś wyjątkowym. I wcale się jej nie dziwię. Mnie też będzie na tym zależało, kiedy ukończę dwadzieścia jeden lat, jestem tego pewna. I też urządzę tak wspaniałe przyjęcie.

Uśmiechnął się do niej szeroko. - Czy ja również zostanę zaproszony?

- Jeśli będziesz nadal blisko mnie, panie Willy Herzog, jeśli nie popłyniesz do Ameryki tak, jak mi stale grozisz - odparła natychmiast, rzucając mu kokietyjne spojrzenie. - Czy nadal nosisz się z zamiarem wyjazdu do swego wuja w Brooklynie i chcesz tam studiować tam, aby zostać dentystą?

- Lekarzem - sprostował i zmarszczył brwi. - Największy problem to zdobycie wiz amerykańskich. To bardzo trudne, dostać je, chyba mówiłem ci już o tym któregoś dnia. W każdym razie mój ojciec ma przyjaciela we Frankfurcie, a ten bliskiego znajomego, który ma dojście do konsulatu i mógłby nam pomóc. Oczywiście za odpowiednią cenę. Dlatego właśnie ojciec pojechał wczoraj do Frankfurtu, miał nadzieję, że przekupi tego człowieka i zdobędzie trzy wizy - dla siebie, dla mojej siostry Clary i dla mnie.

Willy odchrząknął i po chwili dodał: - Chciałbym pojechać do Ameryki... chciałbym naprawdę... nawet bardzo... ale...

- Zawahał się, odchrząknął ponownie i pochylił głowę, spoglądając na czubki swych butów. Dopiero potem utkwiał swe łagodne, orzechowe oczy w dziewczynie. - Nie chcę cię opuścić - oświadczył, sam zaskoczony własną śmiałością. A więc jednak zdobyłem się na to, pomyślał. Wreszcie powiedział jej to, co od tygodni nie dawało mu spokoju. Poczul ulgę, kiedy tak stał teraz, patrząc na Teodorę z uwielbieniem.

Również dziewczyna wpatrywała się w niego oszołomiona, zdumiona, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Ale Willy odrzucił już kapelusz, wziął ją w ramiona i gwałtownie przytulił do siebie. Kocham cię, Teddy - wyszeptał w czubek jej głowy, sunąc ustami po jasnych, jedwabistych włosach.

- Kocham cię, kocham!

- Och... Willy... czy to oświadczyły? Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie Willy odparł: - Pytasz, czy chcę cię poślubić? Ależ tak... tak... to są oświadczyły!

- Och, Willy! Doprawdy nie wiem, co powiedzieć! Mam dopiero dziewiętnaście lat, ty też. Jesteśmy jeszcze oboje tacy młodzi. I...

- Nie kochasz mnie?

Tym razem ona odpowiedziała milczeniem.

Zastanawiała się, czy naprawdę kocha Willy'ego, nie była tego pewna. Ale może to, co czuła do niego, było właśnie miłością? Musiała przyznać w duchu, że jest przystojny, spokojny i sumienny, że myśli poważnie o studiach medycz-

nych, że ma dobre maniery. Pani Mandelbaum, matka Henrietty, powtarzała wielokrotnie, że Willy to prawdziwy mężczyzna. Tak, miała rację Willy, jest godny uznania. Przyjemnie i bezpiecznie z nim przebywać, nigdy jeszcze nie uczynił czegośkolwiek, co by mogło ją zmartwić czy zdenerwować, zawsze postępował właściwie. Ale małżeństwo? Nie zastanawiała się nad tym do tej pory. Z drugiej strony, mogła trafić gorzej, o wiele gorzej. A zresztą nie miała nic przeciw temu, kiedy ją całował. Prawdę mówiąc, lubiła to. Miał takie miękkie, ciepłe wargi, przyjemny oddech i pachniał zawsze świeżym mydłem i wodą kolońską. Zawsze też był wobec niej delikatny, nigdy nie próbował zmuszać jej do czegośkolwiek, na co nie miała ochoty-. Kiedy ją całował, czuła się za każdym razem tak jakoś dziwnie, serce waliło jej w piersiach jak oszalałe, robiło jej się ciepło, na twarz występowały wypieki. Tak, teraz, kiedy się nad tym zastanawiała, dochodziła do przekonania, że Willy jest dla niej rzeczywiście kimś specjalnym. Uświadomiła sobie, że nie chce go utracić, że nigdy już nie znalazłaby człowieka lepszego niż Willy.

Powoli, z namysłem, powiedziała: - Wydaje mi się, Willy, że cię kocham. - Umilkła na krótką chwilę, po czym dodała tonem bardziej zdecydowanym: - Tak, kocham cię.

- Och, Teddy! Jestem taki szczęśliwy! I wyjdiesz za mnie? Ponownie zastanowiła się, zanim odparła: - Tak, Willy Herzogu, wyjdę za ciebie.

Wyciągnął rękę, odchylił jej głowę do tyłu, po czym zaczął całować jej zgrabny, zadarty nosek, powieki i wreszcie słodkie wargi. Przedłużali pocałunek, obejmując się z całych sił tak długo, aż zabrakło im tchu i musieli oderwać się od siebie.

Nie wypuszczając dziewczyny z objęć, Willy głaskał ją po głowie. Żadne z nich nie przerywało milczenia. Zdawali sobie sprawę, że oto podjęli oboje ważne zobowiązanie, że ma ono dla nich olbrzymie znaczenie, że ta chwila jest niezwykle cenna - i dlatego nie chcieli, aby minęła.

W końcu Teodora łagodnie odsunęła Willy'ego od siebie i oswobodziła się z jego ramion. - Spójrz na zegarek, już prawie północ. Musimy iść, żebym mogła przespać się, zanim wstanie Maxim. Ten malec zawsze budzi się z samego rana.

- Tak, już najwyższy czas. Chodźmy.

- Poczekaj, założę tylko kapelusz. Noc jest chłodna, a na twoim motocyklu będzie jeszcze zimniej.

Zdjęła z wieszaka swój beret z pomponem w szkocką kratkę i założyła go, przeglądając się w biedermeierowskim lustrze,

przewiązała na szyi harmonizujący z całością szalik, wyłowiła z obu kieszeni niebieskiego palta wełniane rękawiczki i oświadczyła: - Jestem gotowa.

Wyszli z apartamentu Mandelbaumów, ale Willy, gdy tylko zamknął za sobą drzwi, przystanął na podeście, zatrzymał Teodorę, ujmując ją za ramiona, i delikatnie obrócił ją ku sobie. - A więc doszliśmy do porozumienia, tak? - zapytał.

- Staniesz ze mną pod *chupą* i zostaniesz moją żoną? Bardzo powoli skinęła głową, również wyraz jej twarzy był pełen powagi, ale jej jasnozielone oczy błyszczały radością. - Tak, Willy. Tak. I... napiszę do ciotki Ketti. Mieszka daleko, w Londynie, ale z całej mojej rodziny żyje tylko ona. Na pewno chciałyby wiedzieć, że jestem... po słowie... że mam wyjść za mąż.

- Wspaniale. Ja natomiast poinformuję ojca, gdy tylko wróci z Frankfurtu. Powiem mu też, że nie mogę wyjechać do Ameryki. Chyba że razem z tobą. Będziemy musieli zdobyć wizę również dla ciebie, Teddy. Zostanę w Berlinie tak długo, dopóki nie będziemy mogli oboje wyjechać do Brooklynu, do mego wuja Nathana.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, po czym wzięli się za ręce i ramię w ramię zeszli po stromych schodach. Niebawem znaleźli się w hallu i Willy otworzył drzwi wiodące na ulicę, ale w tej samej chwili Teodora zeszywniała i chwyciła go za rękę.

- Słyszałeś? Tak jakby brzęk tłuczonego szkła!

- Masz rację, tak to zabrzmiało. Mam nadzieję, że to nie jakiś włamywacz, który chce się dostać do sklepu jubilerskiego pana Mandelbauma. Pójdę tam i sprawdzę. Poczekaj tu.

- Nie! Nie idź, Willy! To niebezpieczne! - zawołała.

Nie zwracając uwagi na jej ostrzeżenia, Willy wypadł na ulicę i natychmiast zderzył się z roslym esesmanem, który stał, obserwując dom. Żołnierz pochwycił Willy'ego za ramię i szarpnął z całej siły. - Hej, ty! Uważaj jak idziesz, niezdaro!

- Bardzo przepraszam - odparł grzecznie Willy, usiłując uwolnić się z uścisku. - Proszę mnie puścić.

Ale esesman zacisnął dłoń jeszcze mocniej, wpatrując się w chłopca w mdłym świetle, które dochodziło z okienka nad drzwiami domu. - Dlaczego niby miałbym cię puścić? Może jesteś Żydem? Powiedz, czy to żydowski dom? Jesteś Żydem?

Teodora, która przysłuchiwała się tym słowom z rosnącym przerażeniem, nie czekała dłużej. Zanim jeszcze Willy zdążył otworzyć usta i powiedzieć może coś, co przyniosłoby mu zgubę, pobiegła w ich stronę.

- Niech pan go puści! - zawołała z daleka. - Niech go pan natychmiast puści! - powtórzyła głosem łamiącym się z emocji.
 - Nie zrobiliśmy nic złego!
 - Zrobiliście, jeśli jesteście Żydami. Czy tak? Jesteście może śmierzącymi Żydami? - Esesman uśmiechał się przy tym złowieszczo i jak sadysta wykręcił chłopcu rękę tak mocno, że Teodora stanęła w miejscu, wstrzymując oddech. Willy zacisnął zęby, aby nie krzyknąć z bólu.
 - No, dalej, przyznajcie się! - warknął esesman. - To jest dom żydowski, a wy oboje jesteście Żydami!
 - Wcale nie, co też pan wygaduje! - krzyknęła Teodora. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyprostowała się i zmierzyła żołnierza lodowatym spojrzeniem.
 - Jestem Teodora Marie-Teresa Schmidt, a to Wilhelm Braun, oboje jesteśmy katolikami i dobrymi Niemcami.
 - Zaczerpnęła na nowo tchu. - Tak jest, jesteśmy dobrymi faszystami. - Uniosła ramię w znienawidzonym przez siebie pozdrowieniu. - Heil Hitler! Niech żyje nasz wspaniały Führer! Niech żyje III Rzesza!
- Esesman wpatrywał się w nią oszołomiony i zaskoczony.
- Tak samo patrzył na nią Willy. Kiedy Teodora wybiegła na ulicę, serce zamarło mu w piersiach, ale bał się raczej o nią niż o siebie. Teraz jednak uzmysłowił sobie, że przedstawienie, jakie odegrała, odniesie zapewne skutek, gdyż esesman nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że ktokolwiek z Żydów mógłby zachować się wobec niego w ten sposób. Jej gniew i jej buta wyglądały na tak autentyczne, że ten, kto nie znał Teodory, nie mógł mieć żadnych wątpliwości: ta dziewczyna mówi prawdę! Widowisko zostało odegrane rzeczywiście znakomicie, a Willy mógł w duchu tylko przyklasnąć.
- A Teodora w dalszym ciągu nie dawała za wygraną.
- Trzyma pan w ręku latarkę, jak widzę! - krzyczała. - No więc, niech ją pan zapali! Niech pan skieruje ją na nas, na Willy'ego! No, śmiało! Przekona się pan od razu, jaki z niego Żyd! - Zanim jeszcze esesman zdołał coś powiedzieć, nachyliła się, wyrwała mu latarkę z dłoni, obróciła się i skierowała snop światła na Willy'ego.
 - Zdejmij kapelusz! - zawołała tonem tak władczym, że wykonał jej polecenie wolną ręką, modląc się w duszy o cud.
 - Niech pan spojrzy na niego! - zwróciła się teraz do esesmana.
 - Niech pan spojrzy! Przecież on ma rude włosy, masę piegów,

tylko nie widział pan na pewno u nikogo innego, i orzechowe oczy. Czy tak wygląda twarz Żyda? To typowa twarz Aryjczyka! Teatralnym gestem zwróciła światło latarki na siebie.

- A teraz proszę spojrzeć na mnie. Jestem uosobieniem typu nordyckiego. - Przesunęła dłonią po włosach. - Jasne włosy, zielone oczy i różowa cera. Czy wyglądam na Żydówkę? Oczywiście, że nie, bo nią nie jestem.

Esesman odzyskał w końcu głos. - Wygląd może mylić

- zauważył, ale ton jego głosu nie był już teraz agresywny jak przed chwilą. W obliczu tego autentycznego, zdawałoby się, oburzenia dziewczyny i lawiny słów, sypiących się na niego bez końca, utracił dotychczasową pewność siebie. Nadal jednak nie puszczał Willy'ego, a nawet wzmocnił uścisk.

Teodora podeszła bliżej. - Ma pan rację - odezwała się lodowatym tonem. - Wygląd może mylić. Ale może to pan nie jest tym, za kogo chciałby uchodzić. Przed chwilą powiedziałam: Heil Hitler. Dlaczego nie odpowiedział pan w należyty sposób? Mam nadzieję, że jest pan lojalnym członkiem naszej partii.

- Wyprostowała się, uniosła dumnie głowę i w sposób jeszcze bardziej arogancki oświadczyła: - Mój ojciec to Gruppenführer SS, Schmidt. Jest dobrym przyjacielem Reichsführera Himmlera. Obaj znają się od dawna. - Przywołując na pomoc resztki sił, przesunęła latarkę tak, że snop światła padł na osłupiałą twarz esesmana, po czym zmrużyła oczy, jak gdyby zamierzała zachować ją w pamięci na dłużej. - Jak się pan nazywa, kapralu?

- zapytała wyniosłym tonem.

Esesman zareagował dokładnie tak, jak się tego spodziewała: gwałtownym ruchem odepchnął jej rękę. - Niech mi pani nie świeci w oczy! - krzyknął i błyskawicznie wyrwał jej latarkę z ręki.

Nie zrażona tym Teodora powtórzyła: - Czy pan słyszał, kapralu? Mój ojciec jest przyjacielem Himmlera i siedzi w SS bardzo wysoko. Nie będzie zadowolony, kiedy dowie się, jak pan nas potraktował. Zapytałam o pańskie nazwisko, kapralu. A więc, jak ono brzmi?

Wyglądało na to, że esesman uwierzył w to wszystko, co usłyszał, a ponowna wzmianka o Himmlerze, szefie SS, zelektryzowała go wyraźnie. Czym prędzej puścił ramię Willy'ego.

W tej samej chwili Teodora ujęła go pod rękę i przyciągnęła do siebie. - Chodź, na nas już czas - powiedziała.

- Tak, tak, lepiej nie kręćcie się w tej okolicy - podchwycił skwapliwie esesman i odstąpił od nich. - Wracajcie do domu.

Na ulicach będzie niebawem niebezpiecznie. Dziś w nocy urządzamy polowanie na Żydów. - Zarechotał głośno i klepnął się w udo, jak gdyby opowiedział właśnie wspaniały dowcip, a potem obrócił się raptownie i ruszył przed siebie, oświetlając latarką witryny mijanych sklepów.

Willy aż jęknął. - Spójrz, co on zrobił z wystawą pana Mandelbauma...

-Pośpiesz się, Willy! **SZYBCIEJ!** - syknęła Teodora, ciągnąc go za sobą. Biegli teraz co tchu w drugą stronę, byle dalej od tej kamienicy, byle dalej od sklepu jubilerskiego Mandelbauma. Na Kurfurstendamm panował już tumult, znowu więc pobiegli przed siebie, tak szybko jak tylko mogli, aż znaleźli się przy latarni, gdzie stał motocykl Willy'ego. Na szczęście nikt jeszcze nie zajął się nim, wiedzieli jednak, że nie ma ani chwili do stracenia. Zajęli miejsca na siodełku, dysząc ciężko.

- Trzymaj się mocno! - zawołał Willy, a kiedy Teddy posłusznie objęła go w pasie, maszyna strzeliła do przodu i w morderczym tempie pomknęła alejami.

Na Kurfurstendamm, pełnej sklepów, kawiarenek i kamienic, panował dziś niezwykły ruch, w obie strony pędziły mniejsze i większe samochody, również ciężarówki, esesmani w mundurach i zwykli awanturnicy panoszyli się na każdym kroku, wymachując siekierami, bronią palną, kijami i gumowymi pałkami. Jak rozgorączkowany szaleńcy biegali to tu, to tam, tłukąc szyby wystawowe w sklepach, należących do Żydów, wyrzucając towary na ulicę, niszcząc ściany frontowe kawiarni i waląc siekierami w drzwi kamienic. Ogluszający brzęk tłuczonego szkła mieszał się z odgłosem pękającego drewna i mrożącymi krew w żyłach okrzykami triumfu rozfanatyzowanego tłumu.

Teodora dygotała na całym ciele. Trzymając się Willy'ego kurczowo, mocniej niż to było w jej zwyczaju, krzyczała mu raz po raz do ucha: - Szybciej! Szybciej! Uciekajmy stąd!

Willy dodawał gazu, ile tylko mógł. Z piskiem opon w ciągu kilku minut zostawili Kurfurstendamm za sobą, kierując się ku Stulerstrasse, która przechodziła potem w Tiergartenstrasse. Tam właśnie mieszkała rodzina Westheimów, gdzie Teodora pracowała jako niania małego Maxima.

Znaleźli się na Fasanenstrasse. Tuż przed nimi wznosiły się mury pięknej, starej Centralnej Synagogi, ale gdy podjechali bliżej, ogarnęło ich przerażenie: hordy cywilów i esesmanów

wybijały szyby w oknach i podpalały budynek, przytykając tu i ówdzie płonące pochodnie.

Willy, nie zważając na groźbę wypadku, przyśpieszył jeszcze bardziej. Nie chciał patrzeć na tę scenę bezmyślnego niszczenia, mimo to oboje dostrzegli jeszcze zwoje Tory i szczątki Arki Przymierza, leżące w nieładzie wśród innych przedmiotów na ulicy. Tuż obok widać było porwane modlitewniki, a wszystko to tratował z jakąś dziką uciechą tłum, piszcząc i śmiejąc się histerycznie oraz wykrzykując urągliwe uwagi pod adresem Żydów.

- Nie mogę uwierzyć, że spalili synagogę - jęknęła Teodora, przyciskając usta do ucha Willy'ego. Zaszlochała i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Odczuł pragnienie, aby przystanąć, wziąć ją w ramiona i pocieszyć, wiedział jednak, że przede wszystkim muszą oddalić się stąd, dotrzeć do bezpieczniejszych ulic Berlina. Pędzili dalej i w końcu przecięli Kantstrasse, aby po chwili znaleźć się na Budapesterstrasse. Ta długa i kręta aleja wiodła wprost do Stulerstrasse. Tu, co stwierdził z ulgą, panował spokój, okolica sprawiała wrażenie wyludnionej, jak gdyby należała do innej planety. Zaparkował na poboczu, w cieniu drzew, i zeskoczył na ziemię.

Teodora nadal łkała żałośnie, kręcąc głową na wszystkie strony i przyciskając pięści do oczu. - Boże, przebac mi! Boże, przebac, że wyparłam się swego dziedzictwa, że wyparłam się swojej religii, że wyparłam się siebie i tego wszystkiego, czym jestem!

Objął ją i przyciągnął do siebie, a widząc, że dziewczyna nie przestaje szlochać, tylko tuli się do niego bezradnie, począł głaskać ją po plecach, podobnie jak uspokaja się zapłakane dziecko.

- Bóg na pewno ci wybaczy - powiedział tak łagodnie, jak tylko potrafił. - Jestem tego pewien. Przecież uratował nas, czyż nie? Dzięki twojej mądrości i odwadze. Nosisz na ramionach dobrą żydowską głowę, Teddy. I masz **hucpę**, wyjątkową **hucpę**. Właśnie to nas uratowało.

- Nie powinnam była zaprzeczać, że jesteśmy Żydami - łkała.

- Ale dzięki temu żyjemy. I tylko to ma teraz znaczenie.

Podniosła wzrok, spojrzała na jego twarz, na której malowała się powaga, i zapytała przez łzy: - Dlaczego, Willy? Dlaczego? Jaki jest powód, że tak się zachowują? Dlaczego podpalili synagogę?

Milczał przez chwilę, a potem odparł zduszonym, udreńczonym głosem: - Hitlerowcy kierują się w swoim postępowaniu uprzedzeniem i nienawiścią. Dziś byliśmy świadkami ich furii, której celem jesteśmy my, nasze domy, miejsca naszej pracy i nasze świątynie. Hitlerowcy palą i niszczą wszystko, co należy do Żydów, ponieważ nienawidzą nas z całej duszy.

- Och, Willy!

Przyciągnął ją mocniej do siebie, tak aby nie mogła dostrzec łez, które napłynęły mu nagle do oczu.

Teodora szlochała jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu jednak zdołała wziąć się w garść. Jej oddech, początkowo spazmatyczny, uspokajał się coraz bardziej, wreszcie szepnęła cicho:

- Willy?

- Tak, Teddy?

- Oni chcą wymordować nas wszystkich. - Nie odrywała głowy od jego ramienia.

Milczał. Wiedział, że Teodora ma rację. I czuł, że ogarnia go paniczny lęk.

9

Bardziej bezpieczna Teodora poczuła się w chwili, gdy znalazła się w rezydencji Westheimów na Tiergartenstrasse. Zamknęła za sobą starannie drzwi i oparła się o nie, usiłując zapanować nad sobą. Nie płakała już, łzy zdążyły obeschnąć na jej twarzy, nadal jednak była przejęta do głębi, nie potrafiła wymazać z pamięci tego, co widziała na ulicach, ani agresywnych szaleńców, rozglądających się za swymi ofiarami, ani wandalami niszczących wszystko na swej drodze, nawet synagogę.

Kilkakrotnie zaczerpnęła głęboko tchu, wreszcie uspokoiła się i przeszła przez foyer wyłożone czarno-białym marmurem. Metaliczny stukot obcasów na posadzce był jedynym słyszalnym dźwiękiem w tym dużym, cichym domu. Najwidoczniej wszyscy spali już smacznie, nieświadomi ekscesów,

które miały miejsce na zewnątrz. Tłumy awanturników trzymały się z dala od tej ekskluzywnej dzielnicy willowej, zamieszkaney przez rodziny zamożne i wpływowe, koncentrując za to swoje ataki na okolice Kurfurstendamm. Zabytkowa porcelanowa lampa na komodzie rozświetlała foyer. Ktoś - niewątpliwie pani Westheim - zostawił ją zapaloną, pamiętając, że Teodora wróci późno z przyjęcia. Dziewczyna weszła po szerokich schodach na górę, zapaliła światła na piętrze, idąc głównym korytarzem przystanąła przed pokojem Maxima, nasłuchiwała przez chwilę, uchyliła ostrożnie drzwi i zajrzała do środka.

Mała lampka na stoliku przy łóżku dawała nikły blask, a widok śpiącego spokojnie dziecka ukoił nerwy dziewczyny. Powoli, tak żeby go nie zbudzić, zamknęła z powrotem drzwi i zamiast udać się do swojego pokoju, sąsiadującego z sypialnią Maxima, podeszła pod drzwi jego rodziców, po czym zapukała leciutko.

Odczekała chwilę i właśnie chciała zapukać po raz drugi, kiedy drzwi otworzyły się, a w progu stanął Sigmund. Miał na sobie pidżamę i ciemny, jedwabny szlafrok.

Zaskoczony jej widokiem spoglądał na nią unosząc brwi. - Teodora! Czy coś się stało? Coś złego? Jesteś biała jak papier!

Nie czekając na dalsze pytania przyłożyła palec do ust, potrząsnęła głową i zerknęła w stronę sypialni Maxima. - Cii! - syknęła. - Jeszcze go obudzimy!

Sigmund kiwnął głową i uchylił drzwi szerzej, wpuszczając ją do pokoju.

Ursula zdążyła już wyjść z łóżka i nakładała peniuar. W jej szarobłękitnych oczach widoczna była troska.

Na widok bladej twarzy Teodory, jej niepokój natychmiast przybrał na sile. - Teddy, co się stało? Ty chyba płakałaś! Co cię tak zdenerwowało?

Teodora stała pośrodku pięknej sypialni, o ścianach wyłożonych seledynowym jedwabiem i ozdobionych wspaniałymi dziełami sztuki, i zastanawiała się, od czego zacząć. W jaki sposób opowiedzieć tym wytwornym, subtelnym ludziom o ohydnych aktach gwałtu i wandalizmu, których sama była świadkiem w centrum miasta? Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

Stała rozdygotana, wpatrując się w Ursulę, która czekała na wyjaśnienia, nie spuszczać oka z dziewczyny. Teodora

znajdowała się pod jej opieką, trafiła do jej domu przed trzema laty, po śmierci pani Rosy Stein, swojej matki i wdowy po doktorze Johannie Stein. Do śmierci w 1933 roku, doktor Stein był od wielu lat zaufanym lekarzem domowym Westheimów. Przyjmując pod swój dach szesnastoletnią wówczas Teodorę, Ursula dotrzymała przyrzeczenia danego pani Stein przy łożu śmierci, w myśl którego miała zaopiekować się dziewczyną, dopóki ta nie osiągnie pełnoletniości lub wyjdzie za mąż. Przyrzeczenie to potraktowała jak najpoważniej i chociaż Teddy pełniła funkcję niani Maxima, ona i Sigmund odnosili się do niej nadzwyczaj życzliwie i ciepło, tak jakby była członkiem rodziny.

Czekając teraz na odpowiedź, Ursula łagodnym tonem powtórzyła pytanie: - Teddy, kochanie, powiedz nam, co się stało?

Teodora kiwnęła głową i raptem słowa poczęły jakby sypać się z jej ust w wielkim pośpiechu, jedno po drugim. - Tam... Na ulicy... Hitlerowcy oszaleli zupełnie... Robią okropne rzeczy... Niszczą wszystko, co należy do Żydów. Rozbijają witryny sklepowe, kawiarnie, włamują się do kamienic. Podpalili Centralną Synagogę, spalili ją doszczętnie! Widziałam to na własne oczy!

- O Boże! Dobry Boże! - zawołała Ursula. Poszarzała na twarzy, jej ciało trzęsło się bezwiednie. Wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała oprzeć się o krzesło albo też odepchnąć od siebie ten koszmar, z którym walczyła od tygodni i który dręczył ją tak uparcie.

Zwróciła wylękniony wzrok na Sigmunda i przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie z niedowierzaniem. To, co usłyszeli, było doprawdy okropne!

Ursula zwróciła się ponownie do Teddy: - Dzięki Bogu, że tobie nic się nie stało. Wszystko w porządku, prawda?

- Tak, pani Westheim.

- Chyba nie byłaś dziś sama? - zapytał Sigmund.

- Nie, panie Westheim, byłam razem z Willym.

- Z Willym? - powtórzył pytającym tonem.

- To syn profesora Herzoga - wtrąciła Ursula. - Studiuje na uniwersytecie i już od roku Teddy spędza z nim wolne wieczory.

- Tak, oczywiście, przypomniałem już sobie. - Sigmund znowu popatrzył z niepokojem na dziewczynę. - A jak dostałaś się do domu? Jak ci się udało przedostać przez ten tłum?

- Na motocyklu Willy'ego. Jechał jak szalony. Ale nie było innego wyjścia. To było straszne, okropne, zwłaszcza na Kurfurstendamm i na Fasanenstrasse.

- Och, Teddy, Teddy - szepnęła Ursula zduszonym głosem.

- A tak cię ostrzegałam, żebyś nie wracała zbyt późno. Żyjemy w strasznych i niebezpiecznych czasach!

- Tak, wiem. I bardzo mi przykro, pani Westheim. Zdaję sobie sprawę, że niepokoiła się pani o mnie. Ale przyjęcie urodzinowe Henrietty przedłużyło się i nie mogliśmy tak po prostu wyjść. Wreszcie pożegnaliśmy się około północy. Właśnie wtedy zaczęły się rozruchy.

Ursula wzdrygnęła się. Ten szaleńczy rajd po opanowanych przez awanturników ulicach, tak ryzykowny, a jednak udany, graniczył według niej z cudem. - I nikt was nie zaczepił?

- zapytała. - Nikt nie zatrzymał? Nie strzelał?

- Nie, w każdym razie nie wtedy, gdy jechaliśmy motocyklem. Ale kiedy wyszliśmy od Henrietty... miał miejsce pewien incydent. Willy wpadł przypadkowo przed domem Mandel-baumów na esesmana i tamten chwycił go, zaczął zadawać pytania...

- Na esesmana! - wykrzyknęła Ursula. Nakryła usta dłonią i otworzyła szeroko oczy. Wybryki cywilów to była jedna rzecz, ale udział w tym wszystkim bojówek SS oznaczał coś zupełnie innego - i coś o wiele bardziej groźnego.

- Tak, na esesmana - przytaknęła Teodora i opowiedziała obrazowo o wszystkim, co wydarzyło się przed sklepem jubilerskim. Nie pominęła żadnego szczegółu.

Ursula wysłuchiwała tej relacji z rosnącą konsternacją, wreszcie wykrzyknęła: - To, co zrobiłaś, było strasznie, ale to strasznie niebezpieczne! Konsekwencje tego kroku dla ciebie i dla Willy'ego mogły okazać się zgubne.

Niesamowicie zgubne! Ten esesman mógł was pobić, albo nawet zabić. Co gorsza, mógł zaprowadzić was na przesłuchanie do kwatery gestapo. A ludzie, którzy odbywają przymusową podróż na Prinz-Albrecht-Strasse, nie zawsze wracają stamtąd żywi. Nieraz udaje im się przeżyć, ale wtedy są to już przeważnie kłębki nerwów, a doprowadzani są do takiego stanu torturami.

Teddy poczuła, że przeszedł ją zimny dreszcz, uświadomiła sobie, że wszystko, co powiedziała teraz Ursula Westheim, jest prawdą. Przygryzła wargę i wyjaśniła przygnębiona: - Działałam instynktownie... bez zastanowienia. Byłam pewna, że jeśli

zachowam się odpowiednio wyniośle i arogancko, ten esesman uwierzy, że nie jestem Żydówką. I nie omyliłam się, pani Westheim, on naprawdę uwierzył, że mój ojciec jest nie tylko kimś ważnym w SS, ale również dobrym znajomym Himmlera.

- Teddy postąpiła tak, jak uważała, że będzie najlepiej, jestem tego pewny. Trzeba też przyznać, że wykazała przy tym wiele sprytu - odezwał się Sigmund. Obrzucił Teodorę szybkim spojrzeniem i potrząsnął głową. W jego oczach widniał smutek, kiedy dodał po chwili: - Ale myślę, że nie powinnaś kusić losu po raz drugi. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

- Tak, teraz to zrozumiałam - przyznała Teddy. - Willy był okropnie przerażony, kiedy zaczęłam krzyczeć na tego esesmana. Potem powiedział mi, że bał się o nas oboje.

- A gdzie on teraz jest? - zainteresował się Sigmund.

- Czeka na dole?

- Nie, pojechał już do domu. Jego ojciec wyjechał z miasta, a on niepokoił się o swoją siostrę, Cłarę. Była sama w mieszkaniu.

- Ale dziś w nocy ulice są szczególnie niebezpieczne!

- zawołał Sigmund. - Powinnaś była namówić go, aby przenocował u nas!

- Jestem przekonana, że Willy'emu nie stało się nic złego, Sigi - wtrąciła Ursula. - Przecież stąd nie miał już daleko, mieszka przy Landwehrkanal.

- Willy powinien być już bezpieczny w domu - powiedziała Teddy. - Potrzeba mu zaledwie parę minut, aby dojechać stąd do siebie, a kiedy mnie odwiózł, w okolicy panował zupełny spokój.

Sigmund podszedł do okna, rozsunął jedwabne draperie i wyjrzał z lękiem na biegnącą w dole Tiergartenstrasse.

Ulica była rzeczywiście jak wyludniona i to pozwoliło mu mieć nadzieję, że młodzieniec dotarł do swojego domu cały i zdrowy, bez dalszych incydentów. Mimo to, wskazując ręką na telefon, zaproponował: - Myślę, że wszyscy poczujemy się o wiele lepiej, Teddy, jeśli zadzwonisz do Willy'ego.

- Oczywiście, panie Westheim - odparła Teodora. Telefon w apartamencie Herzogów został odebrany niemal natychmiast, już po drugim sygnale. Słuchawkę podniósł Willy.

- Tak? - zapytał ostrożnie.

- Tu Teddy - powiedziała. - Pan Westheim poprosił, abym zatelefonowała do ciebie i sprawdziła, czy dotarłeś

bez przeszkód do domu. - Wysłuchała odpowiedzi Willy'ego, odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Sigmunda.

- Czuje się dobrze, po drodze nie widział nawet jednej osoby, a do domu dojechał w ciągu paru minut - poinformowała go. - Pobliskie ulice są spokojne, panie Westheim.

Skinał głowę, na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Esesmani - szepnęła Ursula i rzuciła mężowi znaczące spojrzenie. - Widocznie rząd przestał już przyglądać się biernie tym antysemitycznym demonstracjom. Teraz bierze w nich aktywny udział.

- Na to wygląda - przytaknęła Teddy. - Kiedy jechaliśmy do domu, mijaliśmy wielu esesmanów. Oni nie tylko uczestniczyli w tych wybrykach, ale nawet wiedli prym... - urwała, czując nagły zawrót głowy. Zachwiała się, tak jakby traciła przytomność.

Ursula podbiegła do niej i objęła oburącz, nie pozwalając, aby dziewczyna osunęła się na podłogę. Pomogła Teddy zdjąć palto i beret, otaczając ją matczyną troskliwością, tak jakby miała przed sobą Maxima. Następnie ujęła ją za rękę i zaprowadziła przed kominek, gdzie na palenisku żarzyło się parę węgielków, zerknęła przez ramię na Sigmunda i powiedziała: - Myślę, że przydałby się jej teraz kieliszek koniaku. Ma lodowate ręce.

- Oczywiście, zaraz przyniosę - odparł i przeszedł do sąsiedniego pokoju, w którym niekiedy pracował i w którym znajdował się niewielki, lecz za to dobrze zaopatrzony barek.

Tymczasem Ursula usiadła obok Teddy na kanapie i rozcierała dłonie dziewczyny, usiłując je rozgrzać.

W pewnym momencie Teodora podniosła na nią wzrok i zawołała: - Jacy oni byli ohydni, kiedy zaatakowali synagogę! Podłożyli ogień i wiwatowali! A ja nie mogłam uwierzyć, że można zrobić coś takiego! - Na wspomnienie tej straszliwej sceny znowu poczęła szlochać, łzy spływały po policzkach i Ursula, chcąc uspokoić dziewczynę, wytarła je delikatnie, samymi koniuszkami palców.

Po chwili wrócił Sigmund z trzema kieliszkami koniaku ustawionymi na srebrnej tacy. - Chyba nam wszystkim przyda się kropelka - powiedział.

Teodora upiła spory łyk i natychmiast poczuła w gardle zbawienne ciepło. Wypiła jeszcze trochę, odstawiła kieliszek na stół, spojrzała na Ursulę, po czym przeniosła wzrok na Sigmunda. - Dziękuję bardzo - powiedziała cicho. - Dziękuję też za to, że byli dla mnie państwo zawsze tacy dobrzy.

Sigmund opróżnił swój kieliszek jednym haustem. - Zadzwoń do kilku osób - mruknął. - Przede wszystkim do Hedy, aby upewnić się, że u niej i mojej matki wszystko w porządku, chociaż jestem pewien, że tak, skoro mieszkają z dala od tego wszystkiego, w Griinewald. Sigrid przebywa oczywiście w Hamburgu, wyjechała tam z Thomasem w interesach, a więc nie musimy się o nich martwić. Muszę też skontaktować się z bankiem, zorientować się, jak wygląda sytuacja na Gendarmenmarkt.

- Tak, tak, powinieneś to zrobić - kiwnęła głową Ursula. Sigmund udał się do swego gabinetu, a Teodora, która od dłuższej chwili szukała czegoś w kieszonce swojej niebieskiej, wełnianej sukni, wyciągnęła z niej teraz chusteczkę i wydmuchała nos.

- Przykro mi, że zasłabłam, pani Westheim, ale nic na to nie mogłam poradzić. Jeszcze nigdy nie byłam świadkiem tak straszliwych wydarzeń... Chyba już nigdy nie zapomnę dziewiątego listopada... Dwudzieste pierwsze urodziny Henrietty Mandelbaum i podpalenie Centralnej Synagogi przez hitlerowców... Nie, nigdy tego nie zapomnę! - zawołała gwałtownie. - Będę o tym pamiętała do końca życia!

- Myślę, że nie tylko ty - odparła Ursula.

Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i spojrzała w górę, na niebo. Było czarne i upstrzone gwiazdami. Podpalili coś w innej części miasta. Może jakąś synagogę. Czyjś dom. Albo jedno i drugie. Do czego to wszystko doprowadzi? Dobry Boże, do czego to doprowadzi? Przeszedł ją zimny dreszcz, zimny jak lód.

Sigmund nie tracił czasu przy telefonie, po kilku minutach wrócił do sypialni. Na jego twarzy malowała się ulga, kiedy powiedział: - Rozmawiałem z Hedy. W Griinewald jest spokojnie i cicho jak zwykle, a w banku poinformowano mnie, że w tamtej okolicy nie dzieje się nic złego. Może więc zajścia na Kurfurstendamm i na Fasanenstrasse to tylko odosobnione przypadki, spowodowane przez szumowiny. Takie typy wymykają się nieraz spod kontroli...

- Nie wierzę w to - odezwała się cicho i bardzo łagodnie Ursula. - W takim razie nie braliby w tym udziału esesmani. Sądzę, że sytuacja jest bardzo poważna, groźniejsza niż wszystko, z czym mieliśmy dotąd do czynienia.

- Możliwe - mruknął wymijająco Sigmund. W duchu przyznawał żonie rację, nie chciał jednak potęgować jej

niepokoju ani straszyć Teodory. I tak przeszła wiele dzisiejszej nocy. Ciszę przerwała Ursula. - To początek - powiedziała nagle.

- Początek, pani Westheim? Początek czego? - zapytała Teodora.

Znowu nastąpiło milczenie. Dopiero po dłuższej chwili Ursula szepnęła: - Początek końca Żydów w Niemczech.

* * *

Kiedy Teodora wyszła do swojej sypialni, Ursula i Sigmund pozostali na kanapie. Siedzieli ramię w ramię, usiłując przeanalizować dramatyczne wydarzenia owej nocy i zrozumieć, jaką to oznacza przyszłość.

W pewnym momencie Ursula obróciła się do męża i spojrzała mu w oczy. - Proszę cię, Sigi, przestań mnie oszczędzać

- powiedziała powoli. - Nie zatajaj przede mną tego, co naprawdę myślisz. Jestem chyba zbyt inteligentna na to, aby ktoś traktował mnie w ten sposób, a zwłaszcza mąż, człowieka, którego znam od dziecka.

- Tak, to prawda - westchnął. - Ale to dlatego, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

Usiłowała uśmiechnąć się, jednak nic z tego nie wyszło.

- Jak zwykle, drogi Sigi, jak zwykle.

Ścisnęła jego rękę bardzo mocno, aż do bólu, a potem powiedziała głosem łamiącym się z emocji. - Musimy to wszystko rzucić, Sigi... porzucić nasz dom... willę w Wannsee... zrezygnować z banku... z naszej kolekcji sztuki... z wszystkiego, co posiadamy... i wyjechać. Musimy opuścić Berlin, Sigi. Musimy wydostać się z Niemiec.

- Tak, wiem - odparł posępnie. - Wiem o tym od dawna, ale chyba nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy. -

Westchnął ponownie. - Nasza cała rodzina musi stąd wyjechać. I Teodora. Nie możemy jej tu zostawić, to nie do pomyślenia. Pojedzie z nami. Muszę zdobyć wizy wyjazdowe dla każdego z nas i wizy wyjazdowe do innego kraju.

- W jaki sposób?

Właśnie, jak to zrobić, pomyślał. Ale na głos powiedział:

- Szczerze mówiąc, Ursulo, nie wiem... jeszcze nie wiem. Ale będę wiedział. Już wkrótce. Z całą pewnością mam potężny atut.

- Co masz na myśli, Sigi?

- Pieniądze.

10

- Przepraszam, łaskawa pani - powiedział lokaj. Ursula podniosła na niego wzrok znad sekretarzyka w stylu Ludwika XVI, przy którym przeglądała jakieś dokumenty. - W porządku, Walterze. O co chodzi?

- Przyszła hrabina von Tiegal, łaskawa pani .

Uniosła brwi zaskoczona. - Hrabina von Tiegal? - powtórzyła.

Walter skinął głową. - Tak, łaskawa pani.

- Wprowadź ją, proszę, do biblioteki, a ja przyjdę tam za chwilę. Poczęstuj ją kawą, ja też się napiję. Dziękuję, Walterze.

Ursula wsunęła dokumenty do górnej szuflady biurka, zamknęła drzwiczki i włożyła klucz do kieszeni, następnie wygładziła oburącz szarą, wełnianą suknię, podeszła do toaletki i przejrzała się w lustrze. Twarz miała spiętą, wargi blade i ściągnięte, pod oczyma widniały ciemne sińce. Nie była tym zdziwiona, wydarzenia ostatniej nocy uczyniły swoje. W nocy nie mogła zasnąć, aż do świtu rozmyślała z trwogą

O tym, co czeka ich w przyszłości. Również Sigmund kręcił się z boku na bok, wreszcie zerwał się o szóstej na równe nogi

I czym prędzej udał się do banku. Od tego czasu dzwonił do niej już kilkakrotnie, dotrzymując tym samym przyrzeczenia, że pozostanie z nią w stałym kontakcie i będzie informować

O rozwoju wydarzeń po tej koszmarnej nocy.

Poprawiła sobie włosy, przyglądała je machinalnie, po czym podeszła do drzwi, spoglądając na zegarek. Było jeszcze bardzo wcześnie, dochodziła dopiero dziewiąta. Domyślała się, dlaczego Renata przyszła do niej i chce się z nią widzieć. Po prostu niepokoiła się o nich i ten przejaw życzliwości wzruszył Ursulę.

Szybko zeszła po schodach na dół, do obszernego hallu

I otworzyła podwójne drzwi wiodące do biblioteki.

Renata stała przy oknie, wyglądając na ulicę, ale natychmiast odwróciła się i podbiegła do przyjaciółki. Gestem niemal brutalnym objęła Ursulę i przytuliła do siebie z całych sił. - Och, Ula, Ula... - powtarzała kilkakrotnie, zanim wypuściła ją z objęć. - Wybacz, że wpadłam tak bez uprzedzenia, ale musiałam z tobą natychmiast pomówić, a nasz telefon nie działa. Nie wiem nawet dlaczego, ale akurat tego ranka jest nieczynny.

- To wspaniale, że przyszedłeś, Ren. Cieszę się, że tu jesteś. Walter przyniesie nam zaraz kawy. Chodź.
Trzymając się za ręce, obie kobiety podeszły do sofy biedermeier i usiadły, po czym Renata obrzuciła przyjaciółkę badawczym spojrzeniem. - Chyba już wiesz, że zajścia, jakie miały miejsce tej nocy, wydarzyły się nie tylko w Berlinie, ale również w innych miastach niemieckich, a nawet w Austrii. Tak, widzę po twojej minie, że wiesz o tym.
- To wszystko jest tak niesamowite, tak koszmarnie, że wydaje się nieprawdopodobne.
- Tak, a przede wszystkim jest nie do zniesienia. Czytałeś już gazety? Słuchałeś radia?
- Czytałam, owszem, ale nie słuchałam radia. - Szybko wyjaśniła, w jaki sposób dowiedziała się o zajściach, w kilku słowach zrelacjonowała przeżycia Teodory.
Renata słuchała jej z rosnącym przerażeniem. - Teddy i jej przyjaciel mieli naprawdę szczęście - zawołała wreszcie z twarzą białą jak śnieg. - Tamci mogli ich przecież zabić. Tej nocy zginęli ludzie.
Ursula wpiła w nią wzrok. - Zginęli Żydzi.
- Tak. - Renata nachyliła się ku niej. - Posłuchaj, Ula, musicie... - Urwała, kiedy ktoś zapukał do drzwi. W progu stanął lokaj, trzymając tacę z dwiema filiżankami kawy.
- Danke schön, Walter - podziękowała Ursula.
Lokaj postawił tacę na stoliku przed sofą, po czym wycofał się dyskretnie.
Renata dokończyła przyciszonym tonem, ale zarazem z naciskiem: - Musicie wyjechać z Niemiec. Dla was jest tu teraz zbyt niebezpiecznie.
- Myślę, że jest tak już od dłuższego czasu. Powinniśmy byli opuścić ten kraj w ubiegłym roku, a może nawet dwa lata temu. Ale... wierzyliśmy w panujące tu prawo i porządek, sądziliśmy, że nic nam nie grozi. Sądziliśmy też, że Hitler nie utrzyma się długo przy władzy. Wierzyło w to wielu Niemców, nie tylko Żydzi. Również ty i Reinhard byliście tego zdania. A teraz... wydaje mi się, że nie ma już odwrotu. To już koniec. W każdym razie dla Żydów.
- Dla nas wszystkich - sprostowała Renata. Jej ciemne oczy pały gniewem. - Ten przeklęty, nadęty bufon, Hitler, wiedzie nas w otchłań brutalności i morderstwa. On i jego zdeprawowane bandy niszczą Niemcy od wewnątrz. Na miłość boską, to po prostu terroryści!

- W gazetach przeczytałam, że hitlerowcy określają ostatnie zajścia jako „spontaniczne wystąpienia obywateli niemieckich” - powiedziała Ursula. - Ze według nich „zostały one sprowokowane”. A wszystko z powodu siedemnastoletniego chłopca, Herszla Grynszpana, Żyda, który wyemigrował z Niemiec, zamieszkał w Paryżu i tam dokonał zamachu na Ernsta von Ratha, trzeciego sekretarza ambasady niemieckiej. Tak więc widzisz, Renato, że wszystkimu winni są znowu Żydzi.

- Czytaliśmy o tym, ale Reinhard jest przekonany, że zamieszki wcale nie wybuchły spontanicznie, lecz zostały precyzyjnie obmyślane i zorganizowane przez Heydricha i SS. Myślę, że ma rację. Co więcej, wydaje nam się, że wkrótce odbędą się kolejne manifestacje i akty gwałtu skierowane przeciw Żydom. - Renata potrząsnęła głową i dodała przygnębiona: - Wydaje nam się, że Hitler chce zabić wszystkich Żydów w tym kraju, Ulu.

- Ależ... to niemożliwe - wyjąkała Ursula. - W jaki sposób Hitler miałby wymordować całą społeczność? Miliony ludzi? Nikt nie mógłby tego zrobić! Nikt... - Nie dokończyła i skuliła ramiona w sposób, który zdradził, jak bardzo czuje się teraz bezradna.

- Właśnie do tego dąży. - Głos Renaty zabrzmiał szczególnie ponuro. - Przeczytaj jeszcze raz „Mein Kampf. Wtedy uwierzysz.

- Przecież my jesteśmy Niemcami - zaczęła Ursula i natychmiast urwała. Zaciśnęła pięści i zaczerpnęła głęboko tchu.

- Nasze rodziny, moja i Sigmunda, żyją w Niemczech od setek, setek lat... - Ponownie umilkła, patrzyła teraz gdzieś na bok, widać było, że walczy ze sobą, że próbuje się opanować.

- Ale... tak, to prawda... musimy opuścić ten kraj... musimy opuścić kraj, który kochamy... o ile mamy przeżyć...

Gwałtowny napływ współczucia i szczerzej, głębokiej sympatii wstrząsnęły Renatą. Wyciągnęła rękę i czułym gestem położyła ją na ramieniu przyjaciółki. Przez chwilę wpatrywały się w siebie z przywiązaniem i smutkiem.

Ale Renata dostrzegła w Ursuli coś więcej: bolesną udrękę i straszliwy ból, mącą łagodną barwę jej oczu. - Nie chcę, aby przytrafiło ci się coś złego! - krzyknęła nagle łamiącym się głosem. - Kocham cię, Ulu, i niepokoję się o ciebie, o Sigmunda i o małego Maxima. Tak samo Reinhard. Zrobimy wszystko, aby wam pomóc, pomożemy wam opuścić

bezpiecznie ten kraj. A wy naprawdę musicie wyjechać, kochanie, wiesz że musicie... po to, żeby przeżyć.

- Tak. - Ursula wpatrywała się teraz w bładoniebieskie niebo za wysokim oknem, i raptem uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, co tak dręczy ją od dłuższego czasu. Przez chwilę była do tego stopnia wstrząśnięta i przerażona, że nie mogła wykrztusić nawet słowa. Odwróciła tylko głowę i jeszcze raz spojrzała Renacie prosto w oczy, ta zaś, mając wrażenie, jakby zagłędano jej do duszy, zadrżała.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała. - Co się stało?

- Przed chwilą mówiłam, że to niemożliwe... że Hitler nie może wymordować całej społeczności, takiej ilości ludzi. Ale to nieprawda, on może to uczynić. O tak, może, teraz już jestem tego pewna. Ta świadomość tkwi we mnie bardzo głęboko, w mojej duszy, w moich kościach i w mojej skórze. Już od wielu miesięcy gnębi mnie pewna straszliwa myśl... Wydawało mi się, że to po prostu lęk, ale chodzi o coś więcej. Tym, co przez cały ten czas nie daje mi spokoju, jest poczucie takiego a nie innego przeznaczenia. Jesteśmy przekłeci przez los, moja rodzina i ja.

- Moja kochana, moja najdroższa przyjaciółko... - Renata uzmysłowiła sobie raptem, że nie może już mówić dalej, paraliżował ją lęk o Ursulę. To, co czekało jej przyjaciółkę, było okropne: rozłąka z krajem, w którym tkwiły jej korzenie, ucieczka, życie na obczyźnie. Ale gdyby ona, Sigi i mały Maxim pozostali w Niemczech, zaszczytoby ich, a potem brutalnie zamordowano. Sama myśl o tym wzburzyła w Renacie krew; potrząsnęła głową i zawołała z pasją:

- Faszystowskie łajdaki! Nie powinno im się na to pozwalać! To nie jest w porządku!

- Daj spokój, kochanie. Już dobrze. Nic złego nam się nie stanie. Jakoś sobie poradzimy.

Renata ujęła jej dłoń, ucisnęła ją mocno, a potem obie siedziały w bezruchu, niezdolne do kontynuowania rozmowy. Po chwili Ursula odchrząknęła i głosem nadspodziewanie spokojnym powiedziała: - Wiesz, Sigi obmyślił już plan działania, pracuje teraz nad tym. Ma odpowiednie kontakty, usiłuje zdobyć dla nas wize wyjazdowe. I nowe paszporty. - Umilkła, po czym wyjaśniła: - W ubiegłym miesiącu musieliśmy złożyć nasze paszporty do postemplowania. Na

każdym z nich widnieje już litera „J”*, aby nie było wątpliwości, że jesteśmy Żydami.

Renata, zaszokowana, wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

- Ależ to głupota! Co za potworna bzdura!

- Masz rację, ale to hitlerowcy ustanowili takie prawo, my zaś musieliśmy zastosować się do niego.

Renata postanowiła stłumić gniew, zapanować nad swymi emocjami. Skoro Ursula potrafi zachować się tak dzielnie, to i ona powinna wziąć się w garść. Zmusiła się nawet do uśmiechu.

- Reinhard i ja chcielibyśmy, abyście wyjechali stąd do nas i zamieszkali w zamku. Dopóki nie opuścicie Niemiec, byłibyście bezpieczniejsi w naszej posiadłości niż w Berlinie.

Ponieważ Ursula nie odpowiedziała od razu, Renata nachyliła się ku niej, niemal dotykając policzkiem jej twarzy.

- Posłuchaj, może upłyną tygodnie, zanim Sigi załatwi wszystkie dokumenty niezbędne do waszego wyjazdu.

- Tak, możliwe, że to prawda. I dziękuję wam bardzo za zaproszenie nas na zamek. To bardzo ładnie z waszej strony. Ale nie mogę zostawić Sigiego w Berlinie. Wiesz dobrze, jak bardzo mnie potrzebuje. Nigdy się nie rozstawaliśmy, chyba tylko wtedy, kiedy byłam w szkole w Anglii, razem z tobą i Arabellą.

- Mógłby przyjeżdżać do ciebie w weekendy, w każdy piątek. Och, proszę, zgódź się.

Ursula nie mogła się zdecydować. - Musiałabym przemyśleć to i naradzić się z Sigim.

Zadzwonił telefon i Ursula podbiegła natychmiast do aparatu, chcąc podnieść słuchawkę, zanim uczyni to lokaj.

- Halo! - zawołała, przekonana, że usłyszy głos męża. Zamiast niego odezwała się jednak Arabella von Wittingen.

Ursula słuchała jej przez kilka chwil, w końcu szepnęła:

- Dziękuję, Bello, czuję się dobrze, naprawdę. - Znowu umilkła, słuchając, co mówi tamta, po czym wyjaśniła:

- Ich telefon jest nieczynny, Ren jest teraz u mnie. Chcesz z nią porozmawiać? - Potem kiwnęła kilkakrotnie głową i powiedziała: - Tak, Arabello, świetnie... Tak... Do zobaczenia.

*** Jude - niem. - Żyd; przyp. tłum.**

- Przyjdzie tu, prawda? - zapytała Renata, kiedy Ursula odłożyła słuchawkę.

- Oczywiście. Obie wiedziałyśmy, że przyjdzie. Próbowaliśmy dozwonić się do ciebie: chyba domyśliłaś się tego, czyż nie?

Renata skinęła głową.

- Arabella jest dziś w szczególnie buntowniczym i prowokacyjnym nastroju - mruknęła Ursula. - Nalega, abyśmy poszły we trójkę na obiad. Do Adlon Hotel.

Renata wyprostowała się, rzuciła jej pytające spojrzenie.

- I co ty na to? Uważasz, że powinniśmy?

Ursula zastanawiała się przez chwilę, rozważała w duchu, czy to rozsądne. A potem ona, która ostatnio drżała na samą myśl o wyjściu z domu, odrzuciła raptem wszelkie wątpliwości. Odezwały się w niej bunt i duma zarazem; to one kazały jej powiedzieć: - Oczywiście, że jestem za. Czemu nie miałybyśmy pójść na ten obiad? Nie jesteśmy chyba gorsze od innych, prawda?

- Z całą pewnością nie - podchwyciła Renata. - A więc idziemy!

Ursula podeszła z powrotem do sofy, spojrzała na srebrną tacę i pokiwała głową. - Tak się zagadałyśmy, że wystygła nam kawa. Może poproszę Waltera, żeby przyniósł nam świeżej?

- Nie teraz, dziękuję. Napijemy się z Arabellą. Wiesz, jak przepada za poranną herbatą. Z pewnością poprosi o filiżankę, a wtedy dotrzymamy jej towarzystwa. - Renata podeszła do okna wychodzącego na Tiergartenstrasse, ale niemal natychmiast odwróciła się do Ursuli. - Kiedy wstałam dziś z łóżka, usłyszałam przez radio, że hitlerowcy zdążyli już nazwać dzisiejszą noc. Według nich była to „Kristallnacht”, („kryształowa noc”). Może ze względu na szyby i lustra, jakie potłukli. - Wzdrygnęła się, wykrzywiła usta z niesmakiem.

- Ile nikczemności w tych hitlerowcach! Pomyśl tylko: używać tak pięknej i poetyckiej nazwy do określenia bestialskiej, barbarzyńskiej nocy! - Ponownie przeszedł ją dreszcz. - To niepojęte!

- Niepojęte jest wszystko, co się tu teraz dzieje - odparła Ursula.

11

Tiergarten świecił pustkami. Spacerując alejkami zwierzyńca, Sigmund uświadomił sobie, że nie ma w tym nic dziwnego: grudzień był tego roku szczególnie zimny jak na Berlin. A w takich momentach życie w ZOO zamiera. Właśnie dlatego spotkania odbywały się w tym miejscu. Park bez ludzi to park bezpieczny.

Zastanawiał się, kim okaże się jego rozmówca.

Karteczkę z wiadomością podała mu ukradkiem Irina dwa dni temu na małym przyjęciu w domu von Tiegalów. Wsunął ją wówczas do kieszeni, a po kilku sekundach przeprosił towarzystwo i udał się czym prędzej do łazienki, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy pozna treść informacji.

Notatka była krótka i zwięzła.

„Tiergarten, sobota, godzina 11. Po stronie Hofjägerallee. Łącznik wypowie hasło: Niebieskie gencjany nie zakwitły. Zniszczyć kartkę”.

Sigmund przeczytał wiadomość ponownie, a potem przytknął kartkę do płomyka zapalniczki, odczekał cierpliwie, aż papier zwęgli się doszczętnie, wrzucił czarne skrawki do muszli i spuścił wodę. Następnie wrócił do salonu, a przechodząc obok Iriny, zatopionej w rozmowie z Reinhardem, musnął jakby przypadkowo jej łokieć, dając jej do zrozumienia, że przeczytał kartkę i zgodnie z poleceniem zniszczył ją. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu teraz mówić z nią o tej sprawie w obecności innych, choćby byli to jego najbliżsi i sprawdzeni przyjaciele. Jedno nierozważne słowo mogło narazić tamtych na olbrzymie niebezpieczeństwo.

Sigmund poprosił Irinę o pomoc po przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej, owej fatalnej nocy zamieszek hitlerowskich, nazwanej „kryształową nocą”.

Intuicja podpowiadała mu, że Irina jest ściśle związana z tajnymi organizacjami, które pomagają Żydom, katolikom, protestantom, dysydentom i tak zwanym przeciwnikom politycznym wszelkiego typu, uciekać z Niemiec. Tu i ówdzie docierały do niego strzępy informacji, z których wywnioskował, że w Berlinie działa kilka takich organizacji; kierowane były głównie przez arystokratów niemieckich, choć dużą rolę odgrywali tu również młodzi emigranci z innych krajów.

Wszyscy oni stanowili opozycję wobec Hitlera i jego reżimu i byli zagorzałymi przeciwnikami faszyzmu. Rozmawiając z Iriną cztery tygodnie temu, nie wspomniał nawet jednym słowem o owym ruchu oporu, przekonany, że tak będzie lepiej. Zapytał ją jedynie, czy mogłaby skontaktować go z kimś, kto byłby w stanie załatwić mu wizy wyjazdowe. Odparła wówczas, że zobaczy, co da się zrobić, a w następnym tygodniu zaprosiła go wraz z Ursulą na obiad, na którym mieli być również obecni między innymi jej matka, Natalie, oraz baron, do domu barona na Lutzowüfer. Tam podeszła do niego w chwili, kiedy stał sam, i szepnęła, że sprawa jest w trakcie załatwiania oraz że nie ma potrzeby, aby zwracał się z tym do kogoś innego. „Cierpliwości, Sigi, zaufaj mi”, powiedziała łagodnie, po czym przeszła do pozostałych gości. Upłynęły jeszcze trzy tygodnie, zanim przekazała mu w czwartek ową kartkę. Odetchnął wtedy z ulgą i niecierpliwie zaczął wyczekiwać soboty. Szedł teraz alejką równoległą do tamtej, na której miało nastąpić spotkanie, a więc do Hofjägerallee, zbliżając się do Kolumny Zwycięstwa, kiedy raptem dojrzał człowieka, idącego w jego stronę. Był wysoki i chudy, miał na sobie wełniany, oliwkowy płaszcz i tyrolski kapelusz, szedł dziarskim krokiem, wymachując laseczką. Już z daleka wydał się dziwnie znajomy, a po chwili Sigmund poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Poznał tego człowieka: był to Kurt von Wittingen. Ostatnią osobą, na którą pragnął natknąć się przy okazji tak delikatnej misji, był jego przyjaciel, mógł bowiem wciągnąć go w rozmowę i w ten sposób odstraszyć łącznika. Sigmund wiedział jednak, że nie ma teraz innego wyjścia. Znalazł się w potrzasku. Nie mógł już odwrócić się i odejść w inną stronę, gdyż Kurt zauważył go: właśnie uniósł łaskę i potrząsnął nią nad głową w geście pozdrowienia. Na odwrót było więc za późno, mógł jedynie zachować się naturalnie: podejść, pogawędzić przez kilka chwil, a potem oddalić się pod jakimś pretekstem. Pogoda sprzyjała mu: było tak zimno, że Kurt z pewnością nie będzie przedłużać rozmowy. Już po chwili ściskali sobie dłonie, witając się serdecznie, a po pierwszych zdawkowych słowach Kurt zauważył: - Co za mróz! Nie będziemy chyba stać tu i gadać! Uradowany w duchu Sigmund przytaknął natychmiast: - Istotnie, straszny dziś ziąb. Świetnie, że wpadłem na ciebie, Kurt. Ucałuj, proszę, ode mnie Arabellę. Może spotkamy się

w przyszłym tygodniu? Wtedy pogadamy, a teraz muszę już iść.

- Odprowadzę cię - zaproponował Kurt.

Niepokój Sigmunda przerodził się w panikę. Kiedy jego łącznik dojrzy go w towarzystwie innego mężczyzny, nie odważy się podejść bliżej i po prostu oddali się niepostrzeżenie, był o tym przekonany. Stał, nie wiedząc, co powiedzieć. Wpatrywał się jedynie w przyjaciela, zastanawiając się, w jaki sposób uwolnić się od jego towarzystwa i nie urazić go.

- Już dobrze, Sigi - powiedział raptem Kurt. - Odpręż się. Niebieskie gencjany nie zakwitły.

Sigmund pomyślał w pierwszej chwili, że słuch spletał mu figła. Nadal patrzył na Kurta, zupełnie zdezorientowany.

- Przejdźmy się - przerwał milczenie Kurt i ruszył szybkim krokiem.

Sigmund opanował się już i pośpieszył za nim. - Dlaczego Irina nie powiedziała mi, że to ty jesteś łącznikiem? - zapytał, idąc u boku przyjaciela.

- Nie była pewna, że spotkasz się właśnie ze mną. Po co więc demaskować się niepotrzebnie, nawet wobec starego i wypróbowanego przyjaciela?

- Rozumiem.

- Wizy, na których ci zależy, mają być dla Ursuli, Maxima, dla ciebie i dla najbliższej rodziny. Również dla Teodory. Dobrze mówię?

- Tak. Chciałbym także zdobyć dla nas nowe paszporty. Te, które mamy, zostały oznakowane literką „J”.

Kurt zmarszczył brwi. - Będę z tobą szczery, Sigi: nie zdołam załatwić nowych paszportów. Czy fakt, że na waszych widnieje „J”, ma rzeczywiście tak duże znaczenie?

- Nie, nie sędzę. - Sigmund odchrząknął. - Po prostu miałem nadzieję, że gdybyś był w stanie zdobyć nowe, mogłyby zostać wystawione na inne nazwisko. Tak żeby na żadnym nie widniało nazwisko Westheim.

- Po co to fałszywe nazwisko?

- Posłuchaj, mnie zostawiono na razie w spokoju, hitlerowcy nie przejęli też jeszcze mego banku, ponieważ jestem dla rządu niezwykle użyteczny przy załatwianiu rozmaitych transakcji finansowych. Zwłaszcza takich, w których chodzi o obcą walutę. I nadal jestem dla nich bardzo przydatny. Ale, szczerze mówiąc, nie sędzę, aby przyjęli z radością wiadomość, że usiłuję teraz opuścić Niemcy. Gdyby dowiedzieli się o moich

zamiarach, zrobiliby wszystko, aby uniemożliwić ten wyjazd. Podróżując pod zmienionym nazwiskiem, miałbym większe Szanse.

- Tak, masz rację, rozumiem już, o co ci chodzi. Ale wiem też, że nie jestem w stanie załatwić ci nowych paszportów. Bardzo mi przykro, ale takie zadanie przekraczałoby moje możliwości.

- W porządku, nie myśl już o tym.

- Arabella powiedziała mi, że będziecie u nas z Ursulą na kolacji. Musisz przynieść mi osiem waszych paszportów. Będą mi potrzebne do wstemplowania wiz wyjazdowych. Włóż je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. W dogodnym momencie wyjmę je stamtąd podczas przyjęcia.

- Zrobię, jak sobie życzysz. Jutro zbiore od wszystkich paszporty.

Przez kilka sekund maszerowali w milczeniu, wreszcie Sigmund zapytał zatroskany: - Czy to aby pewne, że uda ci się załatwić te wizy wyjazdowe?

- Nie chcę cię okłamywać, Sigi, nie wiem, czy je zdobędę - odparł Kurt. - To nie będzie łatwe. Ale mam kontakty i jestem dobrej myśli. Powiedzmy, że szanse oscylują w granicach dziewięćdziesięciu procent.

- Mam przy sobie pieniądze, w kieszeni płaszcza. To sporo gotówki. Dać ci teraz?

- Nie. Ale dziękuję za ofertę.

- A co z wizami wjazdowymi do innego kraju?

- To również nie jest łatwe.

- Czy masz już pomysł, do jakiego kraju moglibyśmy się udać?

Kurt potrząsnął głową. - Jeszcze nie. W każdym razie wątpię, aby to była Ameryka. Kongres Stanów Zjednoczonych nie kwapi się jakoś do dokonania zmian w przepisach imigracyjnych, a tylko w ten sposób kolejni uchodźcy żydowscy z Niemiec mogliby uzyskać zgodę na przybycie do USA. Również Roosevelt nie dojrzał jeszcze do bardziej stanowczego działania.

- A co sądzisz o Anglii?

- Myślę, że tam miałbyś największe szanse, jako że Brytyjczycy przyjmują Żydów uciekających z Europy bez ograniczeń. Poza tym z brytyjską służbą dyplomatyczną łączą mnie szczególnie żywe kontakty. W każdym razie uruchomię wszystkie swoje znajomości, tego możesz być pewien.

- Wiem, że zrobisz wszystko, co tylko możliwe. A dokąd udamy się po wyjeździe z Berlina?
- Albo do Paryża, albo do Lizbony. Ale raczej do Paryża. W ambasadzie brytyjskiej odbierzecie swoje wizy wjazdowe,
O ile oczywiście nie będziecie ich jeszcze mieli wyjeżdżając z Berlina.
- Czy wiadomo orientacyjnie, kiedy to się stanie?
- Wolałbym nie obiecywać ci jeszcze niczego, ani nie ustalać dokładnych dat. Ale sądzę, że załatwienie dokumentów nie zabierze więcej niż miesiąc. Powiedzmy więc, że byłby to początek stycznia.
- Sigmund kiwnął głową. - Chyba mogę powiedzieć o tym Ursuli, prawda? Przestałaby się zadreć tak bardzo bezpieczeństwem Maxima.
- Dobrze, ale powiedz jej, żeby nie rozmawiała o waszych planach z nikim spoza rodziny. I nie mów jej, kto wam pomaga. Im mniej będziesz mówił, im mniej wiesz, tym bezpieczniej jest dla mnie, Iriny i dla moich przyjaciół. A w perspektywie również dla ciebie - dokończył.
- Nie musisz się niczego obawiać, Kurt. Zachowam pełną dyskrecję, tak samo Ursula. Nikt z naszej rodziny nie będzie znał żadnych szczegółów, tylko tyle, że mamy wyjechać. Zdaję sobie sprawę, że załatwienie mojej sprawy pociągnie za sobą mnóstwo wydatków, chciałbym więc jeszcze dodać, że pieniądze nie stanowią tu żadnego problemu.
- Wiem o tym, Sigi. Wiem również, że Żydom nie wolno teraz wywieźć za granicę żadnych dóbr. Mam nadzieję, że zająłeś się tym odpowiednio wcześniej. - Mówiąc to, Kurt rzucił mu pytające spojrzenie.
- Sigmund znowu kiwnął głową. - Owszem, udało mi się dokonać transferu pewnej kwoty.
- Ale może niezbyt dużej. Powiedz Ursuli, żeby weszła swoją najcenniejszą biżuterię w ubranie, jakie będzie miała na sobie podczas podróży, na przykład w żakiet i spódnicę, w płaszcz, nawet w kapelusz. To najlepszy sposób, aby wywieźć kosztowności. To samo powinna zrobić twoja matka i siostry.
- Dobrze.
- Och, jeszcze jedno: niech zrobią to same. Nie chciałbym utrzymywać, że twoja służba jest nielojalna, ale lepiej zachować ostrożność. W dzisiejszych czasach trudno ręczyć za innych. W sytuacji, kiedy brat donosi na brata, służba

powinna wiedzieć jak najmniej. Chyba nie chciałbyś, aby straż graniczna otrzymała informację, że wieciecie ze sobą kosztowności. Hitlerowcy skonfiskowaliby wam wszystko, co do jednej sztuki.

-Jestem przekonany, że nasza służba jest godna zaufania, ci ludzie są związani z naszą rodziną od lat, jednakże posłucham oczywiście twojej rady - obiecał Sigmund.

- Bądź też ostrożny, kiedy rozmawiasz przez telefon, nie tylko w domu, ale i w banku. Podśluchiwanie rozmów telefonicznych stało się ulubionym zajęciem hitlerowców

- dodał Kurt.

- Sądzisz, że mój telefon jest na podsłuchu? - zapytał z niepokojem Sigmund.

- Tego nie wiem na pewno. Ale prawdopodobnie podsłuchiwane są rozmowy telefoniczne w banku. Po prostu bądź ostrożny, to wszystko.

- Jestem ostrożny już od dłuższego czasu.

- To dobrze. Tyle na dziś. Teraz wyjdziemy stąd różnymi alejkami. A kiedy spotkamy się na jakimś przyjęciu, nie wspominajmy naszej dzisiejszej rozmowy pod żadnym pozorem.

- Oczywiście - zapewnił Sigmund.

- Kiedy już otrzymam wasze dokumenty, powiadomię cię o tym. Nasze spotkanie będzie musiało się odbyć w szczególnie bezpiecznym miejscu. I musicie być przygotowani na to, że od razu wyruszyście w drogę, to chyba oczywiste. Tak więc, jeśli powinieneś coś przedtem załatwić, zabierz się do tego natychmiast. Nie bierzcie dużo bagaży, tylko po jednej walizce na osobę, jeśli to możliwe, w każdym razie nie więcej niż po dwie.

- Rozumiem. - Sigmund przystanął i spojrzał na przyjaciela.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Kurt, doprawdy nie wiem... za to, co robisz dla mnie i mojej rodziny. Będę zawsze twoim dłużnikiem. Słowo „dziękuję” z pewnością tu nie wystarczy.

- Nie dziękuj mi, stary druhu. Cieszę się, że mogę ci pomóc. Cieszę się również, że wyjedziecie stąd, ze względu na wasze dobro. Po „kryształowej nocy” stało się jasne, że kraj znalazł się w rękach morderców. - Na regularnej, łagodnej twarzy Kurta pojawił się wyraz smutku, westchnął ciężko. Po krótkiej chwili milczenia dodał ciszej: -

Zachowaj spokój, spróbuj nie denerwować się. Zrobię co będzie możliwe, aby dopilnować wszystkiego. Być może już niedługo wydostaniesz się z Nie

mieć. Tymczasem postaraj się zachowywać naturalnie, zajmuj się pracą, jak zwykle. - Wyciągnął rękę.

Sigmund podał mu swoją, mocno uściśnął dłoń przyjaciela.

- Jeszcze raz dziękuję, Kurt, dziękuję ci z całego serca. Nigdy tego nie zapomnę, nigdy, dopóki żyję. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

* * *

Potem stał jeszcze przez chwilę, odprowadził Kurta wzrokiem, podniósł kołnierz płaszcza, wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę, z której dopiero co przyszli. Nie mógł już doczekać się chwili, kiedy znajdzie się znowu w domu, na Tiergartenstrasse, i podzieli się z żoną dobrymi wieściami.

Jego myśli krążyły wokół osoby księcia Rudolfa Kurta von Wittingen. Miał do niego bezgraniczne zaufanie. A jeśli ktokolwiek mógł w ogóle załatwić tę sprawę, to przede wszystkim Kurt.

Od wielu lat Kurt zajmował stanowisko starszego doradcy króla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, Kruppa, i w ramach swoich obowiązków służbowych zjeździł już całą Europę, niekiedy odbywał także podróże do Anglii i Stanów Zjednoczonych. Uczestniczył w negocjacjach na najwyższym szczeblu, spotykał się z dygnitarzami innych krajów i był kimś w rodzaju wędrownego ambasadora koncernu Kruppa. Dopiero teraz Sigmund uzmysłowił sobie, jak wspaniałym parawanem dla Kurta jest wykonywana przez niego praca. Mógł przekraczać granice Rzeszy w obie strony niemal bez ograniczeń, miał dostęp do wielu ważnych osób, które stanowiły bezcenne źródło informacji, może nawet tych tajnych.

Sigmund wiedział również, że Kurt jest zagorzałym an-tyfaszystą, idealistą, który zrzędzeniem losu stał się realistą na tyle, aby spoglądać na niemiecki totalitaryzm i sprawującego tu władzę dyktatora trzeźwym okiem. Nie ulegało wątpliwości, że Kurt zaangażował się w działalność ruchu oporu z powodu swoich przekonań.

A hrabia Reinhard von Tiegall? Sigmund pomyślał również o swym drugim przyjacielem. Hrabia pochodził ze starego pruskiego rodu junkrów, konserwatywnych właścicieli ziemskich, wywodzących się od rycerzy teutońskich. Z racji swego urodzenia i wychowania, Reinhard gardził wszystkim, co

reprezentowali hitlerowcy, uważał ich za kryminalistów szczególnie odrażającego gatunku.

Czy Reinhard, podobnie jak Kurt, zaangażował się w ruch oporu przeciw Hitlerowi? Sigmund nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie, był jednak przekonany, że nie może odrzucić takiej ewentualności. Ponieważ zaś wiedział jak niebezpieczna jest tego typu działalność, świadomość, że dwaj jego najbliżsi przyjaciele walczą jak tylko mogą przeciw tyranowi, poruszyła go do głębi.

Wierzył, że dopóki istnieją w Niemczech ludzie, ceniący honor i człowieczeństwo, można mieć nadzieję na pokonanie Hitlera i jego reżimu, który uosabia wszystko co złe.

* * *

Kiedy wszedł do biblioteki, Ursula spojrzała na niego wyczekująco, odrzucając zarazem gniewnym gestem gazetę.

- Właściwie nie wiem, dlaczego przejmuję się jeszcze tutejszą prasą! - zawołała. - Te gazety są pełne ohydnych hitlerowskich kłamstw, po prostu szerzą propagandę Goebbelsa!

Usiadł przy niej na sofie. - Myślę, że czytamy je, gdyż mimo wszystko łudzimy się nadzieją, że kiedyś wreszcie znajdziemy w nich odrobinę prawdy.

- Tak, kochanie, chyba masz rację - przytaknęła.

Ujął jej dłoń i uśmiechnął się, jakby nie dostrzegał napięcia na jej twarzy. - Mam dla ciebie wiadomość - powiedział łagodnie. Przysunął się bliżej, pocałował ją w policzek i wyszeptał we włosy: - Wracam ze spotkania z moim łącznikiem. Sprawa posuwa się do przodu. Wyjedziemy stąd, mam nadzieję, już za miesiąc, może pięć tygodni.

Oczywiście, o ile wszystko pójdzie dobrze.

- Dzięki Bogu, och, dzięki Ci, Boże! - zawołała, tuląc się do niego ze wszystkich sił. - A więc Maxim będzie bezpieczny, Sigi, nasz syn będzie bezpieczny! Wszystko inne nie ma znaczenia!

12

Maxim stał na korytarzu przed biblioteką, nasłuchując.

Drzwi były uchylone, mógł więc zajrzeć ukradkiem do środka. Tak jak przypuszczał, babcia siedziała przy kominku na swoim ulubionym fotelu. Siadała na nim każdorazowo, gdy przychodziła ich odwiedzić. Lubiła jego oparcie - powtarzała to przy różnych okazjach mamie i papie. Siedziała wyprostowana, wpatrując się w płomienie, z dłońmi wspartymi na czarnej laseczce ze srebrną rączką, która połyskiwała w ogniu kominka.

Przedtem laseczka ta należała do dziadka.

Dziadek Westheim umarł dwa lata temu. Maxim pamiętał doskonale wiele spraw związanych z dziadkiem i odczuwał boleśnie jego brak. Kiedy dziadek przychodził do nich do domu, sadzał sobie chłopca na kolana i opowiadał mu przeróżne historyjki, czasem też zabierał go na przejażdżkę swoim dużym, czarnym samochodem. Manfred, szofer, siedział za kierownicą, oni zaś zajmowali miejsca na tylnym siedzeniu i rozmawiali o wielu Ważnych Rzeczach, na przykład o Banku, w którym mógłby pracować z papą, kiedy dorośnie, i który miał kiedyś należeć do niego. Po przejażdżce wstępowali zawsze do ulubionej cukierni dziadka na lody i nieraz również na ciastko, a dziadek zapalał wówczas cygare, popijając z małej filiżanki mocną kawę, bardzo czarną i bardzo słodką - coś, czego nie pozwalał chłopcu nawet próbować.

Maxim pragnął z całego serca, aby dziadek znowu zjawił się w jego życiu. Ale martwi nie wracają. Nigdy. Umrzeć to znaczy pójść do Nieba, aby zamieszkać tam z Panem Bogiem, tak wytłumaczył mu kiedyś papa. Do Nieba poszedł też dziadek Neuman. Umarł w zeszłym roku. Mama była wtedy bardzo smutna i ciągle płakała, a on także płakał - dlatego, że płakała mama i to bardzo go smuciło. Dziadka Neumana kochał tak samo mocno jak dziadka Westheima. Przyszło mu raptem do głowy, że może obaj dziadkowie spotkali się w Niebie, a teraz siedzą sobie, palą cygara i popijają koniak, rozmawiając przy tym o Ważnych Sprawach Świata, tak jak wtedy, kiedy jeszcze żyli. Miał nadzieję, że tak jest naprawdę. Nie chciał, aby czuli się w Niebie samotni. Trzecią osobą, która nie żyła, była babcia Neuman, ale jej

nigdy nie znał. Miał dopiero rok, kiedy umarła, był więc jeszcze malutki, nie tak dorosły jak teraz, kiedy ukończył już cztery lata. Tak więc nie pamiętał jej, prawie nic a nic. Pozostała mu tylko babcia Westheim. „Musimy strzec jej jak skarbu”, mawiała często mama.

Maxim nachylił się i podciągnął skarpetkę, która zsunęła się na kostkę.

Wyprostował się z powrotem i wtedy usłyszał szelest jedwabiu, a potem ciche westchnienie. Uśmiechnął się do siebie w duchu, czekając na ciąg dalszy. Już po chwili dobiegł go ten dźwięk: niski gwizd przypominający świergot ptaków w Tiergarten. Wydał wargi, odpowiedział podobnym gwizdem i znowu czekał. Odzew zabrzmiał niemal natychmiast, a wtedy chłopiec pchnął oburącz duże, podwójne drzwi i wpadł do pokoju, śmiejąc się i krzycząc raz po raz: - Tu jestem, babciu, tu jestem!

Roześmiała się, pochyliła, nadstawiając policzek do pocałunku.

Cmoknął ją donośnie, po czym wyprostował się, spoglądając na nią uważnie i kołysząc się na piętach. Babcia miała na sobie jedwabną suknię z koronki, jak zwykle, na szyi długi sznur białych, błyszczących pereł, które wyglądały jak duże ziarnka grochu, oraz klipsy na uszach. Na czubku głowy mieniły się szylkretowe grzebyki, spinające siwe, jedwabiste włosy i przytrzymujące je na bokach. Skóra babci była trochę dziwna, cała pomarszczona jak bibułka, za to policzki były gładkie i rumiane jak jabłka, a jasne błyszczące oczy wyglądały prawie jak krągłe kamyki w górskim potoku.

Bardzo ją kochał.

- Nie rób tego, Maximilianie, nie kołysz się tak tam i z powrotem - upomniała go babcia, ale jej głos był łagodny,

- Przepraszam, babciu.

Wzięła paczuszkę leżącą na jej kolanach i podała mu ją. - To od cioci Hedy. Nie mogła dziś przyjść, ale przesyła ci to wraz z całą masą całusów.

- Och, dziękuję, babciu! - zawołał podniecony i niecierpliwie rozerwał kolorowy, ozdobny papier. Otworzył pudełko i zajrzał do środka.

- Och! - powtórzył na widok sześciu cukierków w kształcie świnek, ułożonych w pudełku jeden przy drugim. Były grube i różowe, z oczami jak paciorki i żółtymi ryjkami, a przede wszystkim: wyglądały tak smakowicie! Poczul, jak ślina napływa mu do ust.

- Są zrobione z tego, co lubisz: marcepanu - powiedziała babcia z uśmiechem. - Ale nie wolno ci ich zjeść przed obiadem. Bo gdybyś tak zrobił, mama gniewałaby się na nas oboje.

- Nie ruszę ich przed obiadem, babciu, przyrzekam - odparł, starając się być grzecznym i posłusznym chłopcem, tak jak życzyła sobie tego babcia. Zamknął pudełko i położył je na stoliku, a potem podniósł z podłogi podarty papier, zmiął go w kulkę i wrzucił do kominka.

W następnej chwili stał już obok babci, głaszcząc jej dłonie swymi małymi, pulchnymi paluszkami. - Czy mogę cię o coś zapytać, babciu? - zaczął z wahaniem.

- O co tylko chcesz, Maximie.

Przechylił głowę na bok i zmarszczył nos. - Skąd wiesz, kiedy zagwizdać?

- Co masz na myśli?

- Skąd wiesz, że stoję na korytarzu, pod drzwiami?

Jej usta drgnęły podejrzenie, zachowała jednak poważną minę. - Cóż, tak naprawdę to wcale nie wiem, że tam jesteś.

Po prostu mam nadzieję, że tam stoisz... myślę, że czuję to, że potrafię to czuć, bo cię kocham.

Skinął z całą powagą głową. - Bardzo mi się podoba nasza zabawa, babciu.

- Mnie też. - Margarete Westheim odchyliła się do tyłu, na oparcie fotela, i przez dłuższą chwilę pochłaniała wzrokiem swego jedyne wnuka. Kochała go tak gorąco, że czasem myślała, iż pęknie jej od tego serce.

Świadomość, że będzie musiała się z nim rozstać, była dla niej nie do zniesienia. Wiedziała, że pewnego dnia, w niezbyt odległej przyszłości, umrze, ale nie sama śmierć była tu najgorsza; żałowała, że nie będzie mogła patrzeć, jak Maxim dorasta, nie będzie świadkiem tego cudownego okresu. Był tak ślicznym chłopcem, pełnym życia i śmiechu, wesołym i inteligentnym! Co wieczór modliła się, prosząc Stwórcę, aby pozwolił Sigmundowi wywieźć dziecko z Niemiec. Tak jak syn i synowa, lękała się straszliwie o jego bezpieczeństwo. Ten kraj nawiedziła potworna zaraza. Margarete poczuła, że przechodzi ją zimny dreszcz. Gdzie w tym bezbożnym narodzie podziwia się Bóg, pomyślała. Ale w tej samej chwili znalazła w duszy odpowiedź. Cóż On może zdziałać? Nic. Zło jest wymysłem człowieka, nie Boga.

- Czy coś cię boli, babciu?

Zaskoczona, rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Nic. Dlaczego o to pytasz, kochanie?

- Bo miałaś teraz taką dziwną minę, jakbyś miała się rozplakać.

- Czuje się zupełnie dobrze - z pewnością go z uśmiechem, dostrzegając w oczach dziecka głęboką troskę. Otworzyła swoją obszytą perełkami torebkę, wyciągnęła z niej zawiniątko w srebrzystym papierze i podała chłopcu. - Proszę, to dla ciebie, Maximie. Twoje kieszonkowe na tydzień.

- Och, babciu, dziękuję.

Rozwinął papier i oczy zajaśniały mu na widok monet. Cztery marki! Teraz otrzymywał od babci cztery marki tygodniowo. W zeszłym roku dostawał po trzy. W przyszłym roku będzie dostawać po pięć marek. Babcia obiecała mu to. Po marce za każdy rok, jaki ukończy. Uszczęśliwiony pocałował ją w policzek, wsuwając pieniądze do kieszeni. Przez chwilę bawił się nimi; lubił, gdy pobrzękiwały tak cicho.

Drzwi otworzyły się i Maxim dostrzegł ojca, stojącego w progu. - Papa! Papa! - zawołał uradowany, po czym rzucił się pędem ku niemu.

Ojciec pochwyił go, podrzucił do góry i ucałował. Nie wypuszczając chłopca z objęć, podszedł do Margarete.

- Dobry wieczór, mamó - powiedział.

- Dobry wieczór, Sigi - odparła, podnosząc nań rozpromienione oczy. Był jej najmłodszym synem, trzecim z kolei. Jego dwaj starsi bracia nie żyli już od ponad dwudziestu lat, obaj poległi w okopach nad Sommą podczas Wielkiej Wojny*. Poświęciła ich dla ojczyzny.

Sigmund posadził Maxima na sofie, ucałował matkę i usiadł obok chłopca. - Ursula powiedziała już, że Hedy nie przyszła, bo czuje się niezbyt dobrze. Mam nadzieję, że to nic poważnego? - zapytał.

- Przeziębienie, nic poza tym. - Pani Westheim westchnęła. - Ostatnio Hedy uskarżała się to na jedno, to znowu na coś innego. Myślę, że powinna zamieszkać w jakimś cieplejszym klimacie.

- To byłoby korzystne dla nas wszystkich - mruknął, po czym dodał: - Ale Hedy już dłuższy czas nie czuje się najlepiej. Chyba odkąd zerwała zaręczyny z Paulem.

- To prawda - przyznała pani Westheim. Utkwiła wzrok w kominku, ale wydawało się, że błądzi myślami gdzieś daleko.

* chodzi o I wojnę światową - przyp. tłum.

Babcia wyglądała na zmartwioną, doszedł do przekonania Maxim, ciekawe dlaczego? Przeniósł wzrok na papę, na swego wspaniałego papę i uśmiechnął się promiennie.

Sigmund odwzajemnił uśmiech i natychmiast spoważniał.

- Czy pamiętasz, co ci powiedziałem w piątek? - zapytał.

- Mówiłem wtedy, jakie cechy charakteru chciałbym dostrzec u ciebie, kiedy będziesz już dużym chłopcem, a potem mężczyzną.

- Tak, pamiętam. Powiedziałeś, że dżentelmen nigdy nie kłamie.

- To prawda, Maximie, ale obawiam się, że powinienem teraz skorygować moje słowa.

- Och! - Na twarzy chłopca odmalowało się zaskoczenie. Nie był pewny, co znaczy „skorygować”, wołał jednak nie przyznawać się do tego, zachował więc milczenie.

- Przypuszczam, że nie wiesz, co znaczy „skorygować”, prawda? - zapytał Sigmund, jak gdyby czytał w jego myślach.

- Tak, nie wiem.

Sigmund ujął jego dłoń. - To znaczy „zmienić”, „zrewidować”. A ja chciałbym zrewidować to, co powiedziałem tydzień temu, zmienić moją opinię. Jestem teraz zdania, że dżentelmen może skłamać, o ile jest to sprawa życia lub śmierci... o ile miałyby to ocalić mu życie. Albo, oczywiście, życie innych.

Maxim kiwnął głową.

- Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

- Myślę, że tak, papo.

- To dobrze, Maximie. Jesteś mądrym chłopcem, wiem o tym, i uczysz się szybko. Ale... jest jeszcze coś, o czym chciałbym ci powiedzieć: mężczyzna musi być dzielny, kierować się honorem i szlachetnymi zasadami, jeśli ma być wielkim człowiekiem. Chciałbym, abyś o tym pamiętał, gdy będziesz podraślał.

- Dobrze, papo, zapamiętam.

- Bracia twojego ojca, Heinrich i Peter, byli dzielni...

- wtrąciła babcia. - Byli bardzo mężni... poszli walczyć za swoją ojczyznę, kiedy wybuchła Wielka Wojna, i nie bali się. To właśnie znaczy: być dzielnym.

- Moi wujkowie byli dzielni - powtórzył Maxim, marszcząc lekko brwi.

- Tak jest, byli dzielni - przytaknęła babcia. - A twoi dziadkowie byli ludźmi honoru, gdyż nigdy nie postąpili okrutnie, niesprawiedliwie czy też niehonorowo...

- Obiad gotowy - oznajmiła Ursula, stając w drzwiach.

- Marta już czeka, aby podać do stołu.

- Idziemy, kochanie - powiedział Sigmund, wstając natychmiast z miejsca. - Maximie, idź z mamą. - Wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej kartkę papieru. - Proszę, to dla ciebie. Zapisałem ci te nowe słowa i ich znaczenie.

Maxim schował kartkę do kieszeni spodni. Przechowywał wszystkie, jakie od kilku tygodni zaczął otrzymywać od ojca.

- Dziękuję, papo, będę o tym pamiętał.

Sigmund spoglądał na niego przez chwilę, podziwiając urodę i umysł chłopca. Był rzeczywiście kimś wyjątkowym, nadzwyczaj inteligentny i elokwentny jak na swój wiek. Pogłaskał go po blond włosach, następnie pomógł matce wstać z fotela i powoli wyprowadził ją z pokoju.

Maxim podbiegł do Ursuli, która nadal stała przy drzwiach. Wzięła go za rękę i wspólnie przeszli przez wytworny marmurowy hall, kierując się do jadalni.

- O czym mówił ci dziś papa, skarbie?

- Powiedział, że kiedy dorosnę, muszę być dzielny, kierować się honorem i szlachetnymi zasadami.

Ursula kiwnęła głową. - W takim razie będziesz wtedy podobny do swego ojca - szepnęła.

* * *

Maxim zamknął oczy, wsłuchując się w tradycyjne słowa błogosławieństwa, odmawianego przez matkę przy szabatowych świecach.

Błogosławionyś Ty Panie Boże nasz, władco świata, któryś nas uświęcił przykazaniami swymi i nakazał nam zapalać świece szabatu - mówiła powoli Ursula swoim czystym głosem, który tak bardzo lubił. W jej ustach słowa te brzmiały jak muzyka.

- Amen - zawtórował pozostałym, kiedy skończyła. A potem otworzył oczy.

Siedzieli przy dużym stole, nakrytym śnieżnobiałym obrusem i zastawionym srebrnymi kandelabrami oraz kryształowymi kielichami, które migotały w blasku świec. Dwa główne miejsca zajmowali papa i mama, on i Teodora siedzieli obok siebie naprzeciw babci.

Teraz przyszła kolej na ojca.

Sigmund pobłogosławił najpierw czerwone wino w małej srebrnej czarce i odmówił po hebrajsku ***kidusz***, następnie

wymamrotał kolejną modlitwę, tym razem nad *chala*, w srebrnym koszyczku okrytą lnianą serwetą. Kiedy modlitwa dobiegła końca, odchylił serwetę i uroczyście przełamał *chale*, częstując nim wszystkich przy stole. Dopiero teraz Marta podała jedzenie, które pani Müller gotowała w dużej kuchni przez całe popołudnie. W piątki usługiwała im przy stole Marta, jako że Walter miewał wtedy właśnie wychodne: odwiedzał swoją córkę i jej dzieci. Maxim wiedział bardzo dużo na temat jego wnuków. Kiedy w kuchni pieczono ciasta, zakradał się tam, a Walter opowiadał mu mnóstwo rzeczy. W takich chwilach siadał przy stole pani Müller i podsuwał chłopcu mięciutkie, nadziewane pączki i szklankę mleka, nie przestając mówić, a kiedy nikt nie patrzył, podawał mu jeszcze jednego pączka. Tyle, że pani Müller miała na wszystko oko. - Psujesz to dziecko - mawiała Walterowi, ale ten na szczęście nie zwracał na to uwagi. Maxim i Walter byli bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Maxim poprawił się na krześle i czekał na ciąg dalszy.

Wszystko odbywało się zawsze zgodnie z rytuałem, jaki doskonale znał i pamiętał z przeszłości. „Obyczaj szabasowy jest dla nas bardzo ważny, należy go dokładnie obserwować”, powtarzała często matka. Maxim polubił tę uroczystość i czekał na nią zawsze niecierpliwie. Było w niej coś specjalnego.

Piątek stał się dla niego ulubionym dniem tygodnia i to z różnych powodów.

Przede wszystkim on i Teddy mogli wtedy jeść obiad w dużym pokoju stołowym, w towarzystwie rodziców, zamiast w pokoju dziecięcym, jak to bywało zwykle, oprócz tych dni, kiedy Teddy miała wychodne. Po drugie spędzał wówczas popołudnie z mamą, papą, z Teddy i z babcią, a więc z osobami, które kochał najbardziej na całym świecie. Nie musiał też iść do łóżka tak wcześnie jak w inne dni, a poza tym na stole zjawiały się jego ulubione smakołyki: gorący rosół z kury, pieczony kurczak o złocistej, chrupiącej skórce, soczysty w środku, albo polędwica wołowa lub też gotowany karp, do tego placki ziemniaczane z musem jabłkowym, albo tarta marchew na słodko z kopytkami. A na deser było zawsze coś specjalnego i cudownego, na przykład Strudel z jabłkami, który wprost rozpływał się w ustach.

Tak, piątkowy wieczór to najlepsza pora tygodnia. To tak jak początek świąt. W sobotę i niedzielę ojciec nie chodził do

banku, mogli więc zajmować się razem różnymi rzeczami i bawić się doskonale. Piątkowy wieczór był... był... po prostu świętem. Tak, właśnie świętem, radosnym świętem. Tylko że dziś nikt me wyglądał na wesołego. Mama milczała, była jakaś cicha. Inna rzecz, że była taka od dawna, a on zastanawiał się nawet, dlaczego. Któregoś dnia zapytał o to Teddy, ale ona odpowiedziała jedynie, że „matka ma różne sprawy na głowie” i mimo nalegań z jego strony nie dodała nic więcej.

Mama uśmiechała się teraz bardzo rzadko, a jej ładna twarz wyrażała smutek, jak wtedy, kiedy umarł dziadek Neuman Maxim myślał nawet, że mama gniewa się na niego, ale Teddy powiedziała, że tak nie jest, a on wierzył w to, co mówiła Teddy. Nigdy go jeszcze nie okłamała. Zresztą mama nie miała powodu, aby gniewać się na niego; nie był przecież złym chłopcem. Ostatnio stał się aniołkiem, tak przynajmniej twierdziła Teddy.^J Kuszący zapach rosółu z kury wypełnił cały pokój. Maxim wciągnął go łapczywie nosem i ślina napłynęła mu do ust, kiedy Marta postawiła przed nim jedną z parujących porcelanowych miseczek.

- Danke schön, Marta - powiedział, zanurzył srebrną łyżkę w złocistym płynie, złowił płatek marchewki i skręcony zwitek makaronu, po czym wziął ten pierwszy kęs do ust. Smakowało wyśmienicie. Oto zupa, którą lubił najbardziej. Szkoda, że nie jada jej codziennie.

Papa i babcia nie przestawali rozprawiać o tym i o owym czasem też mama wtrącała jakieś słowo, ale on i Teddy zachowywali się cicho jak myszki, tak jak zwykle. Odzywali się jedynie wtedy, kiedy musieli odpowiedzieć na jakieś skierowane wprost do nich pytanie.

Kiedy zjedli rosół, Gerda, służąca zajmująca się parterem zebrała talerze, od strony kuchni natomiast nadeszła Marta' Niosła srebrną tacę, na której spoczywał duży, parujący karp i stanęła tuz obok mamy, która kiwnęła głową: - Wygląda wspaniale, Marto. Pani Müller stanęła na wysokości zadania Bądź tak dobra i podaj go na stół.

* * *

-Wydaje mi się, że byłaby to dla ciebie korzystna odmiana przenieść się na parę dni do Renaty, na zamek - powiedział Sigmund podczas deseru, patrząc na Ursulę przez całą długość

stołu. - Z pewnością spodobałoby się to również Maximowi i Teddy.

Słyszając swoje imię chłopiec wyprostował się na krześle i spojrzał na ojca, potem na matkę. Jego ciemne oczy płonęły z emocji.

- Och, tak, mamó! - zawołał, nie panując już nad sobą.

- Pojedźmy tam, proszę!

Ursula uśmiechnęła się lekko. - Naprawdę chciałbyś tam pojechać, skarbie?.

- Tak, mamó. I Teddy też chciałaby pojechać. Prawda, Teddy? - skierował na dziewczynę błagalny wzrok.

- Myślę, że zmiana powietrza dobrze by mu zrobiła

- zauważyła Teddy.

Sigmund uśmiechnął się. Cieszyło go, że syn i Teddy poparli jego pomysł. Był niemal pewien, że Ursula nie będzie chciała zostawić go tu samego, ale nie ulegało wątpliwości, że Berlin i panująca tu atmosfera mają zły wpływ na jej psychikę. Uważał, że powinna wyjechać i odprężyć się trochę. Zapal Maxima może przeważać szalę.

I rzeczywiście, tak jak się tego spodziewał Sigmund, Ursula wyraziła zgodę. - W porządku, Maximie, pojedziemy w połowie przyszłego tygodnia, powiedzmy w środę. - Przeniosła wzrok na męża i dodała: - Pod warunkiem, że przyjedziesz do nas w piątek, Sigi.

- Dobrze, przyrzekam - powiedział natychmiast. - Dowiedziałem się od Reinharda, że Renata zamierza zaprosić Arabelle z dziećmi, Maxim będzie więc mógł spotkać się z nimi.

- To prawda - przyznała Ursula. Perspektywa podróży i spędzenia kilku dni z dwiema najlepszymi przyjaciółkami przypadła jej do gustu, raptem poczuła się różniej na duszy.

- W tamtych stronach padał ostatnio śnieg, będziemy mogli pobawić się do woli, pojeździć na sankach, może nawet na łyżwach, o ile jezioro zamarzło.

Maxim przytaknął z uniesieniem, emocje rozpały jego drobną twarz. Roześmiał się i zawołał: - Ulepię ci pięknego bałwana, mamó, dla ciebie też, Teddy. - Podniecony wodził po nich wzrokiem, zachwycony uśmiechem mamy i reakcją Teddy, która wyszeptwała słowa podziękowania.

Wbijając widelec w ciasto czuł, że radość rozpiera mu serce. W tym tygodniu piątek okazał się dniem specjalnym.

Pojedzie do wielkiego, starego zamku, gdzie bawił się zawsze tak

wspaniale z Gretchen, Dianą i Christianem, a jego mama znowu uśmiechała się jak dawniej. I to właśnie liczyło się najbardziej.

13

Lasy Marchii Brandenburskiej, niegdyś posiadłość wojowniczych Rycerzy Teutońskich, rozciągały się na przestrzeni wielu mil w bagnistej strefie Prus. Teren ten, drenowany przez trzy rzeki, Hawelę, Szprewę i Odre, obfitował w jeziora, liczne kanały i strumyki, które wspólnie łączyły w jeden osobliwy organizm całą okolicę. Na skraju jednej ze starych i urokliwych miejscowości wznosił się olbrzymi zamek hrabiego Reinharda von Tiegala. Tylne ściany owej starej, malowniczej budowli zwrócona była ku skarpie porosłej murawą, a nieco dalej zaczynały się lasy sosnowe, część rozległych posiadłości von Tiegala, należących do jego rodu od szesnastego wieku. Owego niedzielnego poranka, w pierwszych dniach stycznia 1939 roku, lasy, całe w皮eli, wyglądały jak z bajki. Śnieżne czapy i lodowe sopte okrywały drzewa, obciążone gałęzie gięły się w dół, utrudniając jeszcze bardziej przejście drózkami, wąskimi, krętymi i zasypanymi śniegiem, który spadł w nocy i zdążył już zamarznąć. W złotych, jaskrawych promieniach słońca, przenikających gęstwiny, wszystko tu błyszczało niczym szlachetny metal. Jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał w tej uśpionej, białej i baśniowej krainie, było skrzypienie śniegu pod ciężkimi butami Sigmunda i Kurta, którzy odbywali swój poranny spacer. Jeden i drugi przyjechali tu, aby spędzić weekend z żonami; Sigmund przybył z Berlina jeszcze w piątek wieczorem, a Kurt w sobotę po południu. Odziani w grube palta, tyrolskie kapelusze, wełniane szale i rękawice, w spodniach wpuszczonych w narciarskie buty, szli dziarskim krokiem mimo mroźnego, przenikliwego wiatru. Nie rozmawiali ze sobą, pogrążeni w zadumie, we własnych myślach, a jednak każdy z nich zdawał sobie sprawę, że u jego

boku kroczy najlepszy przyjaciel - i to stanowiło całkowity komfort.

Milczenie przerwał Kurt. - Mam dla ciebie wiadomość, Sigi.

- Tak? A jaką? Mów szybko, proszę.

- Jutro, najpóźniej we wtorek, dostanę dla was wizy wyjazdowe. Ale jest w tym pewien szkopuł. Mogę otrzymać jedynie trzy wizy.

Sigmund poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Stał jak wryty i wpił wzrok w Kurta, nie mogąc ukryć rozczarowania.

- Dlaczego tylko trzy? Co się stało?

- Nic takiego. Po prostu człowiek, z którym to załatwiam, musi zachować maksimum ostrożności. Przynajmniej na razie. Aby nie wzbudzać podejrzeń. - Położył przyjacielowi dłoń na ramieniu. - Nie stójmy tak. Chyba nie chcesz zmienić się w sopol. - Ruszyli dalej, a książe wyjaśniał wszystko po kolei: - Osiem wiz to bardzo dużo, o ile chce się je uzyskać za jednym zamachem. Zwłaszcza że mój człowiek załatwił zaledwie dwa tygodnie temu wyjazd za granicę całej rodzinie. Dziewięć osób. Ale niezależnie od obaw, które jemu nakazują ostrożność, również jego człowiek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych stał się teraz bardziej nerwowy. Mimo to mój przyjaciel obiecał, że za dwa tygodnie zdobędzie kolejne trzy wizy wyjazdowe, a ostatnie dwie pod koniec miesiąca. Na pewno nie później. Tak więc nie denerwuj się, proszę cię, wszystko będzie w porządku. Musimy tylko ustalić, kto skorzysta z trzech pierwszych wiz. Sądzę, że chciałbyś przede wszystkim doprowadzić do wyjazdu Ursuli i Maxima. Czy pojedziesz z nimi?

- Ursula i Maxim muszą wyjechać natychmiast. Ale ja nie mogę - w głosie Sigmunda nie było nawet cienia wahania.

- Zostanę tu tak długo, dopóki wszyscy inni nie przekroczą granicy tego kraju.

- Spodziewałem się, że tak właśnie powiesz - mruknął Kurt. - Ale w takim razie kto będzie towarzyszył Ursuli i chłopcu? Twoja matka?

Sigmund potrząsnął głową. - Ona z pewnością nie wyjedzie bez moich sióstr. Nigdy nie zostawiłaby swoich córek, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Powiedziałyby mi, że jest starą kobietą, że jej życie i tak dobiega kresu, w każdym razie odmówiłaby. Wydaje mi się, że w tej sytuacji jedyną osobą, która może pojechać z Ursulą i Maximem, jest Teodora. Za dwa tygodnie, kiedy dostaniesz drugi komplet wiz, mogliby

wyruszyć w drogę Sigrid, jej mąż i Hedy. Pod koniec miesiąca wywiozę stąd matkę.

- Mogłem się spodziewać, że nie zechcesz nawet myśleć

O opuszczeniu Niemiec, dopóki cała twoja rodzina nie znajdzie się bezpiecznie w innym kraju - odparł Kurt. - We wtorek powinienem już mieć trzy paszporty. Przyniosę ci je do domu.

- Nie wiem doprawdy, jak ci dziękować. Ursula jest przygotowana, może wyjechać w każdej chwili. Ten twój człowiek... - Sigmund urwał, zawahał się, po czym zapytał: - Czy twój człowiek jest absolutnie pewny, że załatwi resztę paszportów?

- Tak. - Tym razem Kurt przystanął raptownie i obrócił się twarzą do Sigmunda. Spojrzał mu prosto w oczy. - Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ręczę za to, Sigi.

Sigmund odwzajemnił spojrzenie i Kurt dostrzegł w jego wzroku coś, jakby niedowierzanie lub troskę, a może jedno i drugie, dodał więc czym prędzej: - Musisz mi uwierzyć... moje źródło jest naprawdę wiarygodne. Mój człowiek nie mówiłby, że zdobędzie te wizy, gdyby przypuszczał, że może mu się nie udać.

Zapadło milczenie, wreszcie Sigmund kiwnął głową. - Skoro jesteś o tym przekonany, to w porządku.

Mimo iż otaczał ich teraz gąszcz drzew i nigdzie nie widać było żywej duszy, Kurt zniżył głos do szeptu: - Posłuchaj, chciałbym, abyś przestał się martwić, i dlatego powiem ci, kto mi pomaga. A zarazem tobie. To admirał Canaris.

Sigmund nie wierzył własnym uszom, spojrzał osłupiały na Kurta: - Wilhelm Canaris! Przecież to szef Abwehry!

- Zgadza się. I jako szef kontrwywiadu wojskowego jest dla mnie wręcz bezcenny. Nie potrafię ci nawet powiedzieć, pod iloma względami.

- Canaris! - Sigmund nie doszedł jeszcze do siebie. Najwidoczniej sens uzyskanej informacji nie docierał do niego, co widząc Kurt zdecydował się na dodatkowe wyjaśnienia: - Pochodzenie, wychowanie, tradycje rodzinne, instynkt i własne przekonania... to wszystko każe admirałowi Canarisowi gardzić Hitlerem i wszystkim, co ten symbolizuje. Podobne poglądy mają ludzie, którzy dla niego pracują. Musisz wiedzieć, że w całym rządzie nie ma nawet jednego ministerstwa, w którym nie pracują przynajmniej dwie osoby, myślące podobnie jak Canaris.

- Na przykład człowiek admirała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych?

- Właśnie.
- Przyznaję, że to dla mnie duże zaskoczenie. Aż mi zabrakło tchu, kiedy wymieniłeś nazwisko admirała - szepnął Sigmund. - Kto by przypuszczał, że to antyfaszysta!
- Jego poglądy w tej mierze nie są taką wielką tajemnicą... oczywiście w pewnych kręgach. Można by powiedzieć, że... jest to coś w rodzaju tajemnicy poliszynela. Nawet wśród generałów są tacy, którzy myślą dokładnie tak, jak on. Jednak jawne wystąpienie przeciw Hitlerowi nie miałyby sensu, byłoby poza tym nierozsądne i zbyt ryzykowne; zaprowadziłoby każdego śmiałka na szubienicę.
- Tak więc Canaris i inni walczą z Hitlerem, drażąc ten system od wewnątrz - podpowiedział Sigmund.
- Właśnie. Canaris jest przekonany, że Hitler może doprowadzić do upadku Niemiec. Wydaje mi się, że to prawda. - Kurt westchnął ciężko. - I on, i ja sądzimy, że jeszcze w tym roku Hitler uwikła się w wojnę z Anglią... On chce pokonać cały Zachód.
- Mówisz jak pesymista.
- Bo mam bardzo niedobre przeczucia. - Księżę potrząsnął głową. - Przyszłość wygląda źle, bardzo źle; wojna wydaje się nieunikniona. A Niemcy muszą przegrać tę wojnę, o ile ma przetrwać naród i o ile człowieczeństwo ma odzyskać swój sens.
- Tak, masz rację. - Głos Sigmunda był ledwo słyszalny. Szli przez chwilę w milczeniu, każdy z nich pochłonięty ponurymi myślami, wreszcie Sigmund zauważył: - Jeśli Hitler sprowokuje Chamberlaina i Anglia przystąpi do wojny, do walki przyłączy się również Francja jako sprzymierzeniec Anglii i jeden z sygnatariuszy układu monachijskiego.
- Niewątpliwie tak. - Kurt potrząsnął głową, zmełł w ustach jakiś niezbyt wytworny wyraz, po czym zawołał: - Cóż za głupiec z tego Chamberlaina! Bierze za dobrą monetę wszystkie kłamstwa Hitlera o pokoju za cenę ustępstw, wszystkie te frazesy pozbawione wszelkiej wartości. W Anglii jest według mnie tylko jeden polityk, który przejrzał prawdziwe intencje Hitlera, jego dążenie do rozniecenia awantury wojennej: Winston Churchill.
- Ale to głos wołającego na pustyni, Kurcie. Nikt nie słucha tego, co mówi Churchill - machnął ręką Sigmund.
- I na tym polega całe nieszczęście. Wielka szkoda, że premierem jest Chamberlain, a nie Churchill. - Kurt

westchnął ponownie, po czym zmienił nagle temat. - Ale wracając do podróży Ursuli. Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby wyjechała stąd pod koniec przyszłego tygodnia. Chciałbym cię prosić, abyś kupił bilety kolejowe do Paryża. I pamiętaj, Sigi, wykup również powrotne.

- Tak, oczywiście. Ale co z wizami wjazdowymi do Anglii?

- Doszliśmy do przekonania, że będzie wyglądało lepiej, jeśli Ursula uda, że zabiera Maxima na wakacje do Francji. Dlatego te bilety powrotne i dlatego też twoja żona nie może mieć w paszporcie wizy wjazdowej do Anglii, wyjeżdżając z Niemiec. To samo dotyczy oczywiście Maxima i Teodory. Wszelkie niezbędne dokumenty Ursula otrzyma w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu. Wszystko jest już załatwione, wizy wjazdowe do Anglii dostanie natychmiast, bez żadnych problemów.

Sigmund kiwnął głową. - Mam do ciebie pełne zaufanie, Kurt, i jeszcze raz dziękuję ci za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. Również za to, że wtajemniczyłeś mnie w sprawy swoich kontaktów z Canarisem. Oczywiście, rozumiem doskonale, jak ważne jest dochowanie pełnej dyskrecji odnośnie admirała i jego działalności.

- Wiem, że zachowasz dyskrecję. Przyjaźnimy się od tak dawna, że możemy sobie ufać, nie tracąc czasu na zbędne słowa. No, a teraz czas już chyba wracać na zamek, dołączyć do Reinharda. O ile wiem, spodziewa się wizyty Adama von Trotta, który przebywa w okolicy u przyjaciół i miał przyjechać na lunch. Zapewne znasz Adama von Trotta zu Solz, prawda?

- Niezbyt dobrze. Widziałem go kilka razy u Reinharda: Czy oni nie studiowali razem w Oxfordzie?

- Tak. Adam jest stypendystą fundacji Cecila Rhodesa.

- Zdaje się, że to pół-Niemiec, pół-Amerykanin?

- Zgadza się. Jego amerykańscy przodkowie to nie byle kto. Prapradziadek, John Jay, był pierwszym sędzią Sądu Najwyższego, a zarazem cieszącym się dużym poważaniem mężem stanu i dyplomata.

- Nie wiedziałem. Chętnie z nim porozmawiam. O ile dobrze pamiętam, pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

14

Strzeliste mury kilkusetletniego zamku na niewielkim wzniesieniu, wieżyczki i kopuły, połyskujące w promieniach słońca, ciemnozielone lasy sosnowe, wyłaniające się zza białych ścian niczym gigantyczny ptak, barwne ubranka dzieci, bawiących się na śniegu pod niebem tak krystalicznie czystym, że przywodziło ono na myśl błękitne, wypolerowane szkło.

Taki właśnie widok otworzył się przed oczyma Sigmunda i Kurta, kiedy wyszli z dolnych partii lasu, gdzie przechadzali się przez ostatnie pół godziny; widok pełen prostoty, delikatności i niewinności, tak urzekający, że obaj mężczyźni mimo woli wrócili na moment do lat własnego dzieciństwa. Spojrzeli po sobie i uświadomili sobie, że dopadły ich identyczne myśli.

Nie możemy dopuścić, aby tym dzieciom stało się coś złego - mruknął Sigmund cicho, jakby do siebie. - Musimy zapewnić im bezpieczeństwo.

- I zapewnimy. Zrobię wszystko, co tylko możliwe! - odparł porywczym tonem Kurt. Jego dzieci, trzynastoletni Christian i dziesięcioletnia Diana, pomagały właśnie Maximowi lepić olbrzymiego bałwana, wyższego od nie zmartwionego wcale tym faktem chłopca. Ośmioletnia Gretchen von Tiegala pchała taczkę wypchaną śniegiem do swojej niani, Irmgard, która wraz z Teddy budowała dla dziewczynki zamek lodowy, pochłonięta całkowicie swoją pracą.

- Kuuii! - zawołał Kurt, naśladując okrzyk tubylców australijskich, a kiedy oczy całej gromadki skierowały się na nadchodzących, on i Sigmund pomachali radośnie rękami.

- Kuuii! - odkrzyknęły zgodnie dzieci i nianie, śmiejąc się i machając na powitanie, po czym wróciły do swoich zajęć.

- Zapewne chcą skończyć przed lunchem - roześmiał się Sigmund. - Tak, abyśmy mogli potem przyjść i podziwiać ich dzieło.

Kurt zachichotał i obaj mężczyźni skręcili w lewo; ta ścieżka prowadziła do bocznego skrzydła zamku. Niedawno została oczyszczona ze śniegu przez jednego z ogrodników, szli więc bez przeszkód, szybkim krokiem.

W niewielkim hallu, o ścianach wyłożonych drewnianą boazerią i podłodze w biało-niebieskie kafelki, zdjęli swoje wierzchnie ubranie, zmienili buty i wąskimi, kręconymi schodami weszli na piętro, gdzie mieścił się gabinet Reinharda.

Drzwi były otwarte. Sigmund przestąpił próg pierwszy, tuż za nim Kurt.

Adam von Trott zu Solz stał obok Reinharda przed kominkiem, obaj popijali szampana. Gospodarz powitał gości i zaproponował: - Napijecie się tego samego? A może wolicie pokrzepić się czymś mocniejszym?

- Ja poproszę o szampana - odparł Sigmund. - A ty, Kurt?

Książę skinął głową. - Ja również, dziękuję. - Z kieszeni swojej tweedowej marynarki wyjął złotą papierośnicę i otworzył ją, częstując Sigmunda i Adama. Sigmund wziął papierosa, natomiast Adam podziękował, potrząsając głową. Sigmund zapalił, spoglądając na niego dyskretnie. Zdążył już zapomnieć, jak interesującym mężczyzną jest Adam von Trott; wysoki, smukły.

W przeciwieństwie do niego Reinhard był niski, miał ciemne włosy i oczy oraz nieco ogorzałą cerę, typową dla człowieka, który nie przesiaduje często w domu. Należał do ludzi impulsywnych, o wesołym usposobieniu, jakkolwiek w ostatnim czasie uśmiech gościł na jego twarzy niezmiernie rzadko.

Również teraz, kiedy podawał Sigmundowi i Kurtowi kieliszki z musującym winem, był bardzo poważny. Zdjął swój kieliszek z gzymsu nad kominkiem i podniósł go do góry- Prosit!

- Prosit! - odwzajemnili toast pozostali.

Reinhard upił trochę i zauważył: - Według mnie, Hitler traci wszelki umiar. Z pewnych źródeł dowiedziałem się, że ostatnio w gabinecie Kancelarii Rzeszy dochodziło do karczemnych awantur. Nie możemy też pominąć w naszych rozważaniach owej „kryształowej nocy”. Winą za to niesłychane bestialstwo obarczam wyłącznie jego. Nikt nie wmówi mi, że Hitler nie zaaprobował czy nawet nie popierał tych wystąpień. Jego megalomania wymyka się mu już z rąk. Jestem przekonany, że Hitlera zaczyna ponosić szaleństwo. Kto wie, do czego się jeszcze posunie, jakich dopuści się okropności, o ile nie zostanie powstrzymany.

Kurt zmarszczył brwi. - Co masz na myśli, Reinhardzie?

- Tyranobójstwo. Hitler nie zrzeknie się dobrowolnie władzy, trzeba go więc zgładzić.

- Cicho! - syknął Kurt. Szybkim krokiem podszedł do drzwi, które były przez cały czas otwarte, i wyjrzał na korytarz. Z ulgą stwierdził, że nie ma tam nikogo, zamknął starannie drzwi i wrócił przed kominek. - Nieostrożne

rozmowy mogą przynieść zgubę wielu ludziom - powiedział, rzucając Reinhardowi ostrzegawcze spojrzenie. - Wiem, powiesz zapewne, że ufasz swojej służbie i każdemu, kto mieszka pod tym dachem, musimy jednak być niezwykle rozważni, cokolwiek mówimy i gdziekolwiek jesteśmy.

- Nie planuję zamordowania Hitlera, po prostu rozważam, co można teoretycznie uczynić - zaczął tłumaczyć się Reinhard. - Ale oczywiście masz rację, Kurt, masz absolutną rację. - Umilkł na moment, aby zaraz zapytać przyciszonym głosem: - Czy zgadzacie się ze mną, że jedyne wyjście to zamach na tego tyrana?

Odpowiedziało mu milczenie.

W końcu głos zabrał Sigmund. - Zabicie Hitlera to za mało. Należałoby również pozbyć się jego współpracowników.

- To prawda - przyznał natychmiast Kurt. - Zabicie dyktatora to jedno, nie zapominajmy jednak o członkach jego rządu. Zamach na Hitlera musiałby zostać przygotowany nadzwyczaj starannie, konieczne byłyby plany przejęcia władzy natychmiast po wykonaniu na nim wyroku, tak aby móc sprawować nad wszystkim kontrolę.

- Tak... - mruknął z namysłem Reinhard. Podszedł do okna, przez chwilę wyglądał na zewnątrz, po czym odwrócił się twarzą do swoich gości. - Pragnę dla naszego kraju demokracji, a nie rządów dyktatorskich.

- To oczywiste. Chcemy tego samego - odparł Adam.

- Wiem. - Reinhard potrząsnął głową. - Ale to niemożliwe, dopóki władza znajduje się w rękach Hitlera. Aby naprawdę pozbyć się faszystów, należy przede wszystkim odciąć łeb bestii, która jest źródłem wszelkiego zła i występku. W ten sposób wracamy do tego, co powiedziałem przedtem... Wokół nas jest mnóstwo zdecydowanych anty faszystów... ktoś musi opracować plan zabicia Hitlera...

- Tak, ale... - zaczął Kurt i zamilkł raptownie, słysząc pukanie.

Mężczyźni wymienili spłoszone spojrzenia i przenieśli wzrok na drzwi, które uchylły się lekko. W progu stała Renata.

- Przestraszyłaś nas! - wykrzyknął Reinhard.

- Och, przepraszam, nie miałam takiego zamiaru - szepnęła Renata. - Czy my, kobiety, możemy napić się z wami szampana przed lunchem, czy też wolicie zejść na dół i przyłączyć się do nas?

- Zejdziemy, ale za chwilę - powiedział Reinhard.
- Doskonale. - Uśmiechnęła się i wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.
- Teraz już wiecie, co miałem na myśli - mruknął Kurt.
- Przecież mógł to być ktoś inny, ktokolwiek. Myślę, że powinniśmy na razie zaniechać dalszej rozmowy na ten temat.

Reinhard przytaknął, przyznając mu rację, wyjrzał ponownie przez okno i nagle zawołał: - A kto to zjawia się o tej porze, tuż przed lunchem? Ktoś na motocyklu, nie wydaje mi się, abym go znał.

- Na motocyklu... - powtórzył Sigmund. Natychmiast przyszedł mu do głowy Willy Herzog. - Może to przyjaciel Teodory. Kiedy jesteśmy w Berlinie, dajemy jej w niedzielę wychodne. - Podszedł do okna i spojrzał na dół, gdzie młody mężczyzna odstawiał właśnie motocykl. - Tak, to Willy. Na pewno przyjechał spotkać się z Teodora, tak jak robi to zazwyczaj w Berlinie.

* * *

- Teddy! Teddy! Popatrz, to Willy! - zawołał Maxim i począł wymachiwać ręką w stronę młodego człowieka, który stał na szerokim tarasie obiegającym tylną fasadę zamku.

Teodora spojrzała na chłopca z niedowierzaniem, po czym przeniosła wzrok na taras. - Wielki Boże, tak, to Willy! - wykrzyknęła. - Myślałam już, że tylko się ze mną droczysz, Maximie. - Odrzuciła na bok rydel ogrodniczy i biegiem zaczęła wspinać się na skarpe, poprawiając sobie берет.

Willy pochwyił ją w objęcia, przytulił i pocałował w policzek, a kiedy oderwali się od siebie, Teddy zapytała zadyszana:

- Na Boga, Willy, co ty tu robisz?
 - To chyba jasne, przyjechałem zobaczyć się z tobą.
 - Tak, wiem... ale to przecież taka długa droga!
 - Nie bardzo. Na motocyklu tylko kilka godzin. Kiedy wczoraj powiedziałaś przez telefon, że pani Westheim zamierza spędzić tu parę tygodni, pomyślałem sobie, że powinienem cię odwiedzić. Muszę omówić z tobą pewną sprawę, a to lepiej zawsze zrobić w cztery oczy, prawda?
 - Czy stało się coś złego? - Wpatrywała się w jego twarz z lękiem.
- Potrząsnął głową. - Czy mógłbym napić się gorącej kawy albo herbaty? Zmarzłem trochę, jadąc na tym motorze.

- Oczywiście, Willy, jakżeż ze mnie gapa! Pójdę do kuchni, aby przygotowali ci coś gorącego do picia. I oczywiście musisz zjeść z nami lunch. Pani Westheim i hrabina von Tiegal z pewnością nie wypuszczą cię stąd bez jedzenia... Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw temu, aby zjeść razem z dziećmi, z Irmgard i ze mną?

- Nie, oczywiście, że nie. Chętnie zostanę na lunch, dziękuję. A kto to jest Irmgard?

- Jest tu niania - wyjaśniła Teodora. Podeszła do końca tarasu i zawołała: - Maximie!

- Słucham, Teddy? - odparł, unosząc swą drobną twarzyczkę i osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

- Zabieram Willy'ego do kuchni.

- Czy mogę iść z wami?

- Nie, Maximie! Zostań tu i pobaw się jeszcze trochę.

- Ale ja chciałem przywitać się z Willym!

- Zobaczysz się z nim trochę później, zje z nami lunch.

- Hurraa! Hurraa! - zawołał chłopiec, wymachując w powietrzu swoją łopatką.

- Nie martw się, Teddy - uspokoiła ją Irmgard. - Będę uważała na Maxima.

- I ja, Teddy - zgłosiła się do pomocy dziewięcioletnia Diana von Wittingen.

- Nie jestem małym dzieckiem! - zaprotestował Maxim.

- Dziękuję wam wszystkim - zawołała Teodora, zakręciła się na pięcie i chwyciła Willy'ego za rękę. - Chodźmy, dostaniesz kawę. Usiądziemy w bawialni, dzielę ten pokój z Irmgard. Tam jest taki duży kominek, będziesz się mógł rozgrzać. Dobrze ci to zrobi.

- Jeszcze jak! - przyznał Willy.

Teodora obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - A potem powiesz mi, co trapi cię tak bardzo, że przebyłeś taki szmat drogi, aby ze mną porozmawiać.

* * *

- Oto, jak mają się sprawy - zaczął Willy, popatrując na Teodorę. - Mój ojciec nie zdobył wiz wjazdowych do Ameryki, o czym już wiesz. Ma jednak otrzymać wizę do Palestyny dzięki pewnej organizacji żydowskiej w Berlinie, która załatwi mu również wizę wyjazdową z Niemiec. Obydwie wizy dostanie za tydzień albo dwa, tak mu obiecano.

- I chce, abyś tyje wykorzystał, czy nie tak, Willy?
- Tak - szepnął z miną równie nieszczęśliwą, jak jego głos
- A więc musisz to zrobić.
- Nie mogę! - zawołał gwałtownie. - Czy nie rozumiesz ieddy, że me mogę wyjechać bez ciebie?
- Musisz Willy, nie masz innego wyjścia - powiedziała łagodnie, kładąc mu dłoń na ramieniu.
- Nie zostawię cię w Berlinie - zaprotestował drżącym głosem.^J

Widać było, że jest bliski łez, ale Teddy zdążyła przygotować się na ten moment, przygotować odpowiednie słowa - i kłamstwa, na wypadek, gdyby okazały się konieczne. W listopadzie pan Westheim poprosił ją, aby dała mu swój paszport wyjaśnił, że ma nadzieję wydostać ją wraz ze swoją rodziną z Niemiec, i kazał jej przy tym złożyć przysięgę dochowania tajemnicy. „Nikt me może się dowiedzieć”, powiedział wtedy Obawiał się, że hitlerowcy mogliby uniemożliwić Westheimom wyjazd z kraju, gdyż jego obecność w Niemczech miała duże znaczenie dla Ministerstwa Finansów i gospodarki państwa Zrozumiała wówczas, czym mogłoby się skończyć ujawnienie planów ucieczki, i dała mu słowo, że będzie ostrożna

Tego samego dnia, w sobotnie popołudnie, poinformowała Westheimow o swych nieoficjalnych zaręczynach z Willym zwierzyła się, że Willy pragnie wyjechać z nią, jak również ze swym ojcem i z siostrą do Ameryki. Sigmund i Ursula wymienili natychmiast zatroskane spojrzenia, a pani Westheim powiedziała: - Oczywiście nie możemy cię zmusić abyś wyjechała z nami, Teddy, nie mamy nawet zamiaru wywierać na ciebie nacisku, me zapominaj jednak, że zostałaś powierzona mojej opiece. Obiecałam twojej matce, że zajmę się tobą i me chciałabym zostawiać cię tak samopas. Będę szczerą¹ uważam, że powinnaś wyjechać z Niemiec, kiedy tylko nadarzy się okazja. To samo dotyczy Willy'ego, nawet gdyby miał wyjechać bez ciebie. Nie mamy jednak żadnej gwarancji ze profesor Herzog załatwi te wizy.

- Wszystko wskazuje raczej na to, że nie uda mu się ich zdobyć - wtrącił się pan Westheim. - Stany Zjednoczone nie wydają się skłonne do wpuszczania na swoje terytorium kolejnych Żydów z Europy. Limit został już wyczerpany - Przerażona tymi wieściami Teodora spojrzała na panią Westheim, następnie na jej męża, i zawołała: - Aleja nie mogę tak po prostu zniknąć! Willy oszalałby z niepokoju! - A wtedy

Ursula Westheim ujęła ją za rękę i szepnęła: - Ależ tak, Teddy, możesz to zrobić. Wyjaśnisz wszystko Willy'emu przez telefon, kiedy dotrzemy już na miejsce. Ucieszy się, wiedząc, że jesteś bezpieczna. Zaufaj mi, zobaczysz, że przyjmie taką wiadomość z ulgą.

I w tym momencie Teddy uzmysłowiła sobie, że to wszystko jest prawdą. W każdym razie Willy ma większe szanse wydostać się z Niemiec, jeśli będzie sam, a nie z nią na karku. Zapytała jeszcze, co ma zrobić, jeśli Willy poprosi ją o paszport. - Nie uczyni tego - zapewnił ją pan Westheim - gdyż Amerykanie nie wydają już wiz wjazdowych. Ale nawet, gdyby zechciał wziąć od ciebie paszport, powiesz po prostu, że oddałaś go do przedłużenia. Nie mów mu, że masz paszport w domu, i pamiętaj: nie wspominaj mu o naszych planach, bez względu na wszystko! - I wtedy przyrzekła mu to po raz drugi.

Oczywiście Westheimowie przekonali ją w końcu o słuszności swoich racji. Uznała ich argumenty, wiedziała bowiem, że jej matka darzyła ich pełnym zaufaniem, że powierzyła ją ich opiece do czasu ukończenia przez nią dwudziestu jeden lat i że w takim razie należy respektować taki a nie inny stan rzeczy. Ostatecznie państwo Westheim byli starsi od niej i mądrzejsi, wiedzieli lepiej, jak postępować.

Wraz z upływem tygodni coraz bardziej docierała do niej świadomość, że ich przewidywania były trafne. Minęły święta *Chanuki*, następnie Bożego Narodzenia, przeszedł Sylwester, zaczął się raptem rok 1939, a profesor Herzog nadal nie miał żadnych wieści od swego przyjaciela we Frankfurcie, którego znajomy miał dostęp do jakiegoś urzędnika w konsulacie amerykańskim. Willy zwierzył się jej nawet pewnego wieczoru, że stracił już wszelką nadzieję na uzyskanie wizy amerykańskiej. Kilkakrotnie miała na końcu języka wiadomość o ciotce Ketti z Londynu, która stara się zdobyć dla niej brytyjską wizę wjazdową, w ostatniej chwili jednak powstrzymała się od tego, dotrzymując przyrzeczenia danego panu Westheimowi.

A teraz Willy przyjechał do niej na zamek, podzielić się z nią najświeższymi wieściami.

Spojrzała na jego bladą, znękaną troskami twarz i poczuła bolesne ukłucie w sercu. Martwił się, że zostawia ją tu samą, a ona nie mogła w żaden sposób ulżyć mu w cierpieniu, wyjawiając prawdę. Nie wolno jej było narazić rodziny Westheimów na niebezpieczeństwo i chociaż ufała Willy'emu,

ufała mu z całej duszy, to jednak wzgląd na małego Maxima i jego rodziców kazał jej milczeć.

Wiedziała też, że musi przekonać narzeczonego, aby wykorzystał wizę oferowaną mu przez ojca i wyjechał jak najprędzej z Niemiec, bez względu na to, jakich będzie musiała użyć argumentów.

Wstała i usiadła przy nim na sofie przed kominkiem, wzięła go za rękę, uścisnęła ją, a potem gestem pełnym czułości i oddania potarła policzkiem o jego dłoń.

- Chcę, abyś pojechał do Palestyny - oświadczyła po chwili. - Tak, Willy, nalegam na to. Posłuchaj, pani Westheim zamierza pozostać tu na zamku dłużej niż myślałam. Kiedy wczoraj zadzwoniłeś do mnie, powiedziałam ci, że zostaniemy tu przez kilka tygodni, bo nie chciałam cię martwić. Musisz jednak wiedzieć, że upłynie jeszcze dużo czasu, bardzo dużo czasu, zanim zdecydujemy się wrócić do Berlina. Państwo Westheim są przekonani, że tu jest o wiele bezpieczniej niż w stolicy. I mają rację. W zamku von Tiegalów nic nam nie grozi. A kiedy będziesz już w Palestynie, możesz spróbować załatwić wizy wjazdowe dla swojej rodziny. I dla mnie. Wtedy przyjadę do ciebie natychmiast.

- Ale zostawiać cię tu samą, to...

- Pamiętaj, że w Palestynie będziesz miał dużo większe szanse zdobycia tych wiz niż tu - przerwała mu czym prędzej.

- Sam już nie wiem - szepnął bezradnie.

- Owszem, wiesz, że mam rację. Uwierz mi, Willy. Pan Westheim powiedział mi, że łatwiej jest otrzymać wizę kraju, w którym już się przebywa. To znaczy, jeśli chodzi o wizę dla kogoś innego. Pan Westheim zna się na tych sprawach, jest przecież bankierem - zaczerpnęła głęboko tchu. - Moja ciotka Ketti, która mieszka w Londynie, stara się dla mnie o wizę wjazdową do Anglii - wyrzuciła wreszcie z siebie, świadoma faktu, że ta wiadomość może okazać się jej decydującym argumentem.

Willy, najwyraźniej zaszokowany, wpił w nią wzrok. - Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Zagryzła wargi. - Przepraszam cię, Willy, nie gniewaj się. Wiem, że powinnam była powiedzieć ci o tym od razu, gdy ciotka zajęła się moją sprawą. - Westchnęła. - Myślę, że to dlatego, iż może wyjechałabym z Berlina wcześniej niż ty, a nie mogłam zdobyć się na taką rozmowę z tobą. Zresztą, po co mówić zawczasu o czymś, co jeszcze nie jest aktualne. Wiesz, że jestem trochę przesadna. W każdym razie, ciotka Ketti jest dobrej myśli,

jest przekonana, że zdobędzie dla mnie wizę. - Ostatnie stwierdzenie było niezupełnie zgodne z prawdą, ale Teodora zdołała nawet uśmiechnąć się przy tym pogodnie, po czym dodała: - Zanim stąd odjedziesz, dam ci adres ciotki Ketti, tak na wszelki wypadek. Pomyśl tylko: może się zdarzyć, że zanim jeszcze dotrzesz do Tel Awiwu czy Jerozolimy, ja będę siedziała sobie wygodnie w Belsize Park Gardens w towarzystwie mojej ciotki. Czy to nie pocieszające? Willy wpatrywał się w jej twarz uważnie, marszcząc brwi.

- Jesteś pewna, absolutnie pewna, że ciotka Ketti załatwi ci wizę brytyjską?

- Z pewnością ma odpowiednie kontakty, to powinno wystarczyć - odparła Teddy. - Widzisz więc, że musisz wyjechać do Palestyny. Spotkamy się, kiedy to wszystko ucichnie... Pan Westheim twierdzi, że wybuchnie wojna.

- Umilkła, ale Willy nie odpowiadał, dodała więc w miarę wesołym tonem: - Potem przyjedziesz do Londynu, albo ja do ciebie, do Palestyny, i razem udamy się do Ameryki!

Na jego twarzy pojawił się uśmiech; po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy. - Ameryka! Och, Teddy, tam właśnie czeka nas przyszłość! To moje marzenie, które nie daje mi spokoju... i które pozwoli nam czekać na chwilę, kiedy się znowu spotkamy. - Objął ją i przytulił do siebie. - Będziesz do mnie pisała, prawda? - Trzymał ją teraz kurczowo, z całych sił, w jego głosie dał się słyszeć lęk.

- Będę pisała co tydzień - obiecała zadowolona. A więc jednak zdołała go przekonać, aby wyjechał do Palestyny bez niej. Czowała ulgę z jeszcze jednego powodu: z chwilą, kiedy Willy znajdzie się w Palestynie, przestanie mu grozić niebezpieczeństwo. Oby dotarł tam jak najprędzej!

15

Maxim siedział w przedziale wagonu, wpatrując się w ojca. - Dlaczego nie jedziesz z nami, papo? - zapytał drżącym z emocji głosem. Do ostatniej chwili nie wiedział, że ojciec zostaje w Berlinie; na jego drobnej twarzyczce widniało straszliwe rozczarowanie, piwne oczy wyrażały troskę i lęk.

- W przyszłym tygodniu będę potrzebny w banku. Ale gdy tylko uporam się z pracą, przyjadę do was do Paryża

- wyjaśnił Sigmund, mając nadzieję, że jego słowa uspokoją dziecko.

- A kiedy, papo?

- Mniej więcej za dwa tygodnie. I wtedy pojedziemy od razu nad morze.

- To znaczy: gdzie?

- Na południe Francji... do Monte Carlo albo do Cannes. Może też do San Remo we Włoszech, albo na Korsykę. W każdym razie wybiorę jakieś miejsce o ciepłym klimacie, tak żeby mama mogła wypocząć. Spędzimy razem wspaniałe wakacje.

Kąciki ust chłopca drgnęły, leciutko się uśmiechnął, ale natychmiast dodał płaczliwym tonem: - Przyjedź do nas jak najprędzej, papo, proszę!

- Obiecuję ci to, możesz mi wierzyć - odparł Sigmund.

- A teraz rozbiorę cię trochę, w przedziale jest dosyć ciepło.

- Postawił chłopca na podłodze, zdjął mu palto i podał je Teddy, która zwinęła je i położyła na walizkach, leżących już na półce.

Sigmund nachylił się, wziął syna w ramiona i przygarnął do siebie mocno, tuląc go do piersi. Potem oderwał się od niego, uśmiechnął się, jakby chciał dodać mu otuchy, i umieścił go z powrotem na siedzeniu. Wyciągnął rękę, poprawił synowi jego cienki, niebieski krawat i tym samym czułym gestem pogłaskał go po głowie.

- Bądź grzeczny, Maximie - powiedział - i dbaj o mamę, dopóki do was nie przyjadę. Również o Teddy.

Maxim kiwnął głową, był teraz zupełnie poważny. - Dobrze, papo, zrobię, jak sobie życzysz. Ale nie daj na siebie długo czekać, dobrze?

- Tak, synku. - Sigmund nachylił się i pocałował Maxima, który objął go oburącz za szyję i przylgnął doń całym ciałem. Nigdy dotąd nie rozstawali się na dłużej niż dzień czy dwa i świadomość, że ojciec zostanie teraz w Berlinie sam, niepokoiła chłopca i trwożyła, mimo iż matka i Teddy miały być przy nim.

Sigmund uściskał go jeszcze raz, po czym wypuścił z objęć i obrócił się w drugą stronę, mrugając silnie oczyma. Wolał nie okazywać swego rozrzewnienia, upłynęła jednak dłuższa chwila, zanim zapanował nad sobą. Dopiero wtedy wyciągnął do

Teddy rękę na pożegnanie, a gdy uścisnęła ją mocno, impulsywnie porwał ją w ramiona.

- Opiekuj się nim, Teddy, proszę. I uważaj na siebie - szepnął, wypuszczając dziewczynę z objęć.

- Oczywiście, panie Westheim. Proszę się o nic nie martwić. Sigmund kiwnął głową i przeniósł wzrok na syna, który nie spuszczał z niego oczu. - Na pewno spodoba ci się ta podróż pociągiem, synku. To będzie jak wielka przygoda, a potem ani się obejrzyysz, jak znajdziesz się w Paryżu... Mama i Teddy zabiorą cię na wieżę Eiffla, pokażą ci też mnóstwo innych rzeczy.

- Tak... Papo, czy babcia przyjedzie z tobą?

- Oczywiście.

Twarz Maxima rozpogodziła się. Jak to dobrze, że babcia będzie z nimi! Jeszcze trochę czasu, i wszyscy, których kocha, będą przy nim. Usadowił się wygodniej na siedzeniu i wziął do ręki małego drewnianego konika, jakiego dostał wczoraj w prezencie od ojca. Zabawka była podobna do pony, którego miał w przyszłości otrzymać na własność. „Kupię ci go już niebawem, obiecuję”, powiedział ojciec. Maxim nie mógł się już doczekać tej chwili. To by było cudowne mieć żywego konika. Może latem pojeździ na nim w ogrodzie w Wannsee.

Widząc, że Maxim zajął się drewnianą zabawką, Sigmund czym prędzej wyszedł z przedziału. Nie chciał przedłużyć tego bolesnego dla wszystkich pożegnania. Było mu ciężko na sercu, wiedział też, że Ursula z trudem powstrzymuje się od łez. Wyszła za nim z przedziału i stanęli na peronie, rozmawiając cicho.

Maxim przylgnął nosem do szyby i obserwował rodziców, ponieważ jednak nie mógł usłyszeć ani słowa, zajął się znowu oglądaniem konika. Machinalnie kopał przy tym nogami dolną część siedzenia, dopóki Teddy nie zwróciła mu uwagi dosyć surowym tonem. Wtedy przestał.

Mimo zgiełku, panującego na zatłoczonym dworcu, Ursula mówiła bardzo cicho, nie chciała aby podsłuchał ich ktoś niepożądany.

- Żałuję, że wyraziłam na to zgodę. - Ścisnęła dłoń męża. - Nie podoba mi się, że zostajesz. Powinniśmy przebywać razem, nie rozdzielać się. Proszę cię, Sigi, pozwól,

abym wyprowadziła z wagonu Maxima i Teddy, póki jeszcze pociąg stoi, póki nie jest za późno.

- Nie ma mowy - odparł cicho, lecz stanowczo. - Wiesz przecież, że nie chcę, abyście czekali tu na mnie do końca miesiąca. Zresztą tak będzie bezpieczniej, wyjeżdżając małymi grupkami nie zwracamy na siebie' tak bardzo uwagi. Mniej więcej za dziesięć dni Hedy, Sigrid i Thomas dołączą do was w Paryżu, a potem ja przyjadę z matką.

- Tak, Sigi, wiem, ale wcale mi się to nie podoba. Martwię się o ciebie. Tyle jeszcze może się zdarzyć... - dodała.

- Nic złego się nie zdarzy. Najważniejsze, abyście wydostali się z Berlina, ty i Maxim. Będzie mi lżej na duszy, kiedy dowiem się, że jesteście bezpieczni.

Od strony lokomotywy rozległ się gwizd, widok zasnuły kłęby pary i dymu, wzdłuż peronu przebiegł zawiadowca z czerwoną chorągiewką w ręku. Pociąg relacji Berlin-Paryż miał odjechać lada chwila, ostatni pasażerowie tłoczyli się przy wagonach, chcąc jak najprędzej znaleźć się w środku.

Sigmund i Ursula, popychani przez tłum jeszcze bardziej ku sobie, objęli się mocno i pocałowali. - Kocham cię, Ursulo.

- Kocham cię, Sigi, całym moim sercem.

Jej głos zdrzął i Sigmund odchylił jej głowę do tyłu, tak aby spojrzeć prosto w najdroższe, niebieskie oczy. - Proszę cię, kochanie, nie płacz. Wkrótce będziemy znowu razem, ty, Maxim i ja. Ty i on jesteście całym moim życiem, nic nie zdoła nas rozdzielić. Przynajmniej na dłużej.

- Tak - szepnęła, usiłując wziąć się w garść i tuląc się do niego całym ciałem.

Kochali się od tak dawna, zawsze byli razem, nie rozstawali się nigdy, z wyjątkiem tego okresu, kiedy wyjechała do szkoły w Anglii. I teraz, kiedy zostawiała Sigmunda samego, miała wrażenie, jakby zostawała tu cząstka jej samej.

- Wejdz do wagonu - powiedział Sigmund i dodał półgłosem: -1 uważaj w pociągu. Bądź ostrożna, kochanie. Miej oczy i uszy otwarte, staraj się nie rozmawiać z obcymi. Po prostu zachowuj się grzecznie, ale powściągliwie.

Żadnych zbędnych rozmów.

- Dobrze - szepnęła.

- Wygląda na to, że w pociągu roi się od esesmanów, oficerów armii i gestapo, ale nie ma w tym nic niezwykłego, tak więc nie denerwuj się. Część z nich przebywa zapewne na przepustce, inni otrzymali jakieś rozkazy i jadą z określoną misją.

Kiwnęła głową.

Sigmund mówił dalej szybko, tym samym tonem: -! pamiętaj: na granicy będzie policja, kontrola paszportowa i celna. Zobaczysz też agentów gestapo. Ale w tych czasach to zupełnie normalne, zwykła rutyna. Dopóki zachowasz spokój, wszystko będzie w porządku.

- Tak, Sigi, rozumiem. - Ursula nie mogła powiedzieć nic więcej, coś dławiło ją w gardle. Obróciła się na pięcie i weszła po schodach do wagonu.

Sigmund podtrzymał ją, odstąpił dopiero, gdy stanęła w drzwiach. - Idź już - szepnął. - Idź do przedziału. - Zamknął za nią drzwi, ale ona natychmiast opuściła okno i wyciągnęła ku niemu rękę. Uścisnął ją mocno.

Koła pociągu obróciły się wolno, zgrzytając i piszcząc na żelaznych szynach, wagony ruszyły w ślimaczym tempie. Sigmund, nie puszczać ręki Ursuli, szedł wzdłuż peronu i wpatrywał się w jej drogą twarz, pobladłą teraz, ale jednak rozpromienioną dzielnym uśmiechem. Odwzajemnił ów uśmiech, ale nagle Ursula odrzuciła maskę beztroski, a po policzkach potoczyły się łzy, które z trudem powstrzymywała do tej pory.

- Nie, kochanie, nie płacz... - zawołał, ściskając jej rękę aż do bólu. Chciał dodać żonie otuchy, ale pociąg nabrał już rozpędu i Sigmund musiał puścić jej dłoń.

Uniósł ramię do góry w pożegnalnym geście i stał tak na peronie w bezruchu, patrząc za ostatnim wagonem, mimo iż po chwili pociąg opuścił dworzec i zniknął z pola widzenia.

16

Ursula wyglądała przez okno tak długo, dopóki mogła dojrzeć Sigmunda. Niebawem jednak, za najbliższym zakrętem, utraciła go z oczu. Dopiero wtedy zasunęła okno i obróciła się.

Pobiegła korytarzem do toalety, weszła do środka, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, przyciskając chusteczkę do oczu. Wiedziała, że musi zapanować nad sobą. Maxim i Teddy zaczną z pewnością zastanawiać się, gdzie ona jest, niepokoić się o nią.

Przejrzała się w lustrze nad umywalką: twarz miała mokrą od łez, nos był błyszczący i zaczerwieniony. Otworzyła torebkę, zaczęła gorączkowo szperać w niej, aż znalazła puderniczkę, upudrowała sobie twarz, nałożyła na policzki odrobinę różu i poprawiła usta szminką. Następnie zdjęła filcowy kapelusz, zaciesała starannie krótkie, jasne włosy, założyła z powrotem kapelusz i cofnęła się o krok, aby ocenić w lustrze swój wygląd.

Zadowolona z efektu, kiwnęła głową. Wyglądała teraz elegancko i dystyngowanie, ale zarazem niepozornie. I o to właśnie chodziło.

W trakcie tej podróży do Francji nie mogła ściągać na siebie uwagi innych. Z tego powodu zdecydowała się założyć tweedowy kostium w kolorze wrzosu, prostą, białą, jedwabną bluzkę, szary filcowy kapelusz i wrzosowy płaszcz z tweedu. Poza złotą obrączką ślubną, zwykłym zegarkiem na rękę i prostymi, perłowymi kolczykami w uszach, nie miała na sobie żadnej biżuterii.

Pomogła też dobrać stosowne ubranie Teodorze: wełniany kostium w morskim kolorze, harmonizujący z nim sweter i niebieski płaszcz. Jak zwykle, Teddy nosiła też swój ulubiony oliwkowo-niebieski beret z pomponem, z którym nie chciała się rozstać.

- Czy pamięta pani, pani Westheim, jak trzy lata temu dostałam go w prezencie od ciotki Ketti, kiedy pojechałam do Londynu? Kupiła go dla mnie w Scotch House i bardzo się do niego przyzwyczaiłam - wyjaśniła Teddy, kiedy pakowały walizki, a Ursula odparła wówczas: - Oczywiście, moja droga, noś go, jeśli ci się podoba.

Teraz wzięła swoją torebkę, przewiesiła ją sobie przez ramię i wyszła z toalety. Idąc wąskim korytarzem, zataczała się co jakiś czas na boki i wyciągała ręce, aby przytrzymać się czegokolwiek i nie upaść, pociąg zaś mknął przed siebie, zdając się nabierać stale prędkości.

Kiedy na dworcu wyszła z Sigmundem na peron, ona, Maxim i Teddy byli jedynymi pasażerami w przedziale. Teraz, gdy otworzyła drzwi i weszła do środka, zobaczyła, że wszystkie miejsca są zajęte. Nie była tym zdziwiona; Sigmund powiedział jej, że pociąg jest przepelniony. Nie udało mu się nawet wykupić dla nich osobnego przedziału i był zadowolony, że zdobył trzy bilety na ten dzień, o jaki mu chodziło.

Przeprosiła siedzących ludzi, przeszła między nimi i zajęła miejsce obok Maxima i Teddy.

Maxim przeglądał właśnie jedną ze swoich książek z obrazkami, podniósł jednak na nią natychmiast wzrok. - Gdzie byłaś, mamó? - zapytał.

Nachyliła się ku niemu. - Musiałam przypudrować sobie nos, skarbie - szepnęła.

Teddy trzymała na kolanach książkę, ale nie czytała jej. Na widok Ursuli odetchnęła z ulgą i obdarzyła ją przelotnym uśmiechem.

Ursula odwzajemniła uśmiech.

Dziewczyna kiwnęła ledwie dostrzegalnie głową, otworzyła książkę i zagłębiła się w lekturze.

Ursula skierowała uwagę na resztę pasażerów, wodząc po nich dyskretnie oczyma.

Przy oknie, naprzeciw Maxima, siedział oficer w średnim wieku. Miał na sobie szary mundur wojskowy, a insygnia na zapiętej wysoko pod szyją bluzie wskazywały na stopień pułkownika. Na kolanach trzymał otwartą teczkę, przeglądał jakieś papiery i zdawał się być całkowicie zaabsorbowany tym zajęciem.

Jego sąsiadką była młoda, szczupła kobieta w wieku mniej więcej trzydziestu paru lat. Miała pociągłą twarz bez wyrazu, uwagę przyciągały jedynie jej oczy, zdumiewająco błękitne i niepokojąco przenikliwe. Siedziała sztywno, z twarzą jakby wykutą z kamienia, i wpatrywała się uporczywie w Ursulę.

Mimo woli Ursula wzdrygnęła się, poruszona tym zimnym, świdrującym wzrokiem, i zaczęła zastanawiać się, czy owa kobieta podróżuje wraz z pułkownikiem. Jeśli tak, to jego zachowanie nie wskazywało na to.

Ursula zerknęła na oficera SS, który siedział w kącie naprzeciw Teodory. Miał zimną, kanciastą twarz i wąskie usta, jakby ułożone w okrutnym grymasie, było w nim coś złowieszczonego i pogardliwego zarazem, coś co kazało pomyśleć Ursuli: „Typowy hitlerowiec”. Może ta młoda kobieta była razem z nim? Pasowaliby do siebie. Esesman miał również otwartą teczkę i przeglądał dokumenty, ale raptem, jak gdyby poczuł na sobie spojrzenie Ursuli, podniósł na nią wzrok i zmarszczył brwi.

Czym prędzej odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Pociąg zwolnił właśnie, wjeżdżając na stację przy Friedrichstrasse. Tu, na swoim drugim przystanku w Berlinie, miał zabrać dodatkowych pasażerów. Następna stacja to ZOO, potem trasa wiodła już w stronę Hanoweru, Kolonii i dalej, ku Francji.

Ursula oparła głowę o podglówek i zamknęła oczy, usiłując odprężyć się. Nie mogła uwierzyć, że oto siedzą już w tym pociągu, który przez cały dzień i całą noc będzie przemierzał drogę przez samo serce Niemiec, kierując się na zachód, do Francji. Wszystko potoczyło się ostatnio tak szybko! Była tym trochę oszołomiona, a nawet dezorientowana. Nie upłynął jeszcze tydzień od chwili, kiedy w niedzielę wieczorem Sigmund powiedział jej na zamku von Tiegalów, że nazajutrz muszą wrócić do Berlina. Dodał przy tym, że niebawem wyjadą z kraju. A potem, w środę, po powrocie z banku, poprosił ją do biblioteki. Jeszcze nie podejrzewała, o co chodzi, kiedy zaś kilka minut później zeszła na dół, zastała tam Kurta von Wittingena, który miał niezwykle poważną i uroczystą minę, oraz równie zaaferowanego męża.

Bez wielkiego wstępu Kurt wtajemniczył ją w całą sprawę, po czym wręczył jej trzy paszporty. Widząc, że nie ma wśród nich paszportu Sigmunda, zaprotestowała gwałtownie i oświadczyła, że nie pojedzie nigdzie bez niego, ale po długiej, trwającej parę godzin dyskusji, Kurt zdołał przekonać ją o konieczności wyjazdu.

Jeszcze wczoraj Ursula usiłowała wyperswadować mężowi ten pomysł, namówić go, aby pozwolił jej zostać w Berlinie do czasu, gdy cała rodzina otrzyma dokumenty, on jednak pozostał nieugięty, odrzucając jej argumenty jeden po drugim.

I w końcu nie pozostało jej nic innego, jak tylko wyjechać, zgodnie z jego wolą.

- Proszę o okazanie biletów, paszportów i innych dokumentów podróży. - Męski, szorstki głos przerwał milczenie panujące w przedziale.

Ursula otworzyła oczy i wyprostowała się na siedzeniu. W drzwiach stał konduktor, tuż za nim dojrzała dwóch mężczyzn o służbistym wyglądzie, w ciemnych płaszczach i nisko nasuniętych na czoło kapeluszach.

Wyjęła z torebki dwa paszporty, swój i Maxima, oraz bilety i podała je konduktorowi. Teodora uczyniła to samo. Konduktor sprawdził bilety, otworzył pierwszy paszport, przejrzał go pobieżnie, skierował wzrok na Ursulę i bez słowa przekazał dokument stojącemu przy nim mężczyźnie. Następnie obejrzał paszport Maxima i podał go dalej, zerkając przy tym przelotnie na chłopca, i otworzył paszport Teodory, postępując z nim tak, jak z innymi.

Podczas gdy towarzyszący mu cywile przeglądali paszporty, konduktor zebrał dokumenty pozostałych pasażerów; również te podał dalej, otrzymał je jednak natychmiast z powrotem i zwrócił je właścicielom.

Ursula spojrzała na niego, spodziewając się, że za chwilę i ona otrzyma paszporty z powrotem, konduktor odpowiedział jej jednak lodowatym wzrokiem i wyszedł wraz z dwoma cywilami na korytarz, gdzie przystanęli, rozprawiając o czymś z ożywieniem. Kilkakrotnie obracali głowy, patrząc na nią, a potem znowu zaglądali do paszportów, wymieniając jakieś uwagi.

Gestapo, pomyślała Ursula, tracąc odwagę.

Mocniej zacisnęła palce na torebce, aby powstrzymać drżenie rąk. Owładnął ją paniczny strach - i jednocześnie pamiętała, że w żadnym wypadku nie wolno jej tracić głowy. Musiała coś zrobić, aby wziąć się w garść. Tylko spokojnie, zachowuj spokój, kołatała jej w głowie rada, jakiej tyle razy udzielał jej Sigmund. Zaczęła powtarzać sobie w duchu, że paszporty i wizy wyjazdowe są w porządku, a bilety do Paryża wykupione są również na drogę powrotną. Jedynym minusem był fakt, że paszporty oznakowano literą „J”. Cóż z tego, medytowała. Mogą najwyżej poniżyć mnie w tym pociągu, upokorzyć. Przeżyję to. Najważniejsze, że moje dziecko znajdzie się niebawem w bezpiecznym miejscu, wszystko inne nie ma większego znaczenia.

Owszem, mogą zrobić ze mną coś więcej, niż tylko upokorzyć, przeszła ją raptem ponura myśl. Zesztywniała na siedzeniu, znowu odezwał się strach. Mogli w każdej chwili wyprowadzić z pociągu i ją, i dziecko, i również Teddy, gdyby przyszła im na to ochota. „Kryształowa noc” rozpętała prawdziwą lawinę bestialstwa, okrucieństwa i bólu. Żydzi z całych Niemiec byli wysyłani do obozów koncentracyjnych, podczas gdy Trzecia Rzesza konfiskowała ich dobra, firmy i posiadłości.

Przypomniała jej się nagle biżuteria zaszyta w ubraniu i znowu zacisnęła dłonie na torebce, uświadomiła sobie bowiem, że drżą jej ręce. Bóg jeden wie, co mogliby zrobić hitlerowcy, gdyby ją aresztowali i znaleźli brylanty w rąbku jej halki i pod podszewką zakietu. Konsekwencje były nie do pomyślenia, ale łatwe do przewidzenia: aresztowanie, najprawdopodobniej tortury i może nawet śmierć.

To przeglądanie dokumentów trwa już stanowczo za długo, pomyślała i znowu poczuła bolesne ukłucie w piersi. O Boże,

dobry Boże, nie pozwól im zrobić nam coś złego, nie pozwól im zabrać nas z tego pociągu! Muszę dowieźć Maxima i Teddy do Francji, dopiero tam będą bezpieczni. Nic innego się nie liczy.

Utkwiła wzrok w przeciwległej ścianie, zmuszając się do wspomnień z lat szkolnych, spędzonych niegdyś wraz z Arabellą i Renatą. „Koncentruj się na przyjemnych myślach, to uczyni cię silną”, poradził jej wczoraj Sigmund. Zastosowała się teraz do tej rady, wspominając dawne czasy i swoje najlepsze przyjaciółki. Wczoraj rozmawiała z Renatą i Bellą, poruszały same błahe sprawy. Ani słowem nie wspomniały o mającej rozpocząć się nazajutrz podróży; żadna z nich nie chciała ryzykować. Coraz więcej telefonów znajdowało się ostatnio na podsłuchu, zakładanym przez gestapo. Zresztą zarówno Renata, jak również Bella wiedziały już od swoich mężów, że Ursula wyjeżdża. Nie musiały więc rozmawiać na ten temat.

Ursula wpatrywała się uparcie w ścianę przedziału, jej twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Wiedziała, że nie wolno jej okazać słabości ani patrzeć na agentów gestapo, nadal pogrążonych w rozmowie na korytarzu. Nie miała wątpliwości, że to gestapowcy.

PARYŻ. Ta myśl dodawała jej otuchy, uczepiła się jej więc rozpaczliwie jak rozbitek płynącej obok deski. Pierwsze, co zrobi jutro po przybyciu do Plaza-Athenee Hotel, to zatelefonuje do Sigiego. Przypominał jej o tym wiele razy w ciągu ostatniej doby, ale zadzwoniłaby do niego i tak, bez przypominania. Sigi na pewno odetchnie z ulgą, kiedy dowie się, że oni są wreszcie w pięknej Francji. Kochany Sigi! Już teraz tęskniła za nim!

Tuż przed nią wyrósł raptem konduktor. Przerażona wzdrygnęła się, serce zabiło jej mocniej. Wpatrywała się w niego bez słowa, zastanawiając się machinalnie, co teraz będzie, i szykując się już na najgorsze.

Ale konduktor zwrócił jej jedynie bilety i paszporty, nie mówiąc nawet jednego słowa.

- Danke schön - usłyszała własny głos i zdziwiła się natychmiast, że zabrzmiał tak spokojnie.

Kiwnął nieznacznie głową i podszedł do Teddy, która również podziękowała uprzejmie za zwrot dokumentów, odwrócił się i opuścił przedział, przechodząc dalej. Za nim podążyli obaj gestapowcy.

Ursula wymieniła z Teddy spojrzenie pełne ulgi, po czym objęła Maxima i opuściła wzrok na obrazki w jego książce, nie dostrzegając ich jednak w ogóle.

Nadal odczuwała lęk, wiedziała też, że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim zdoła odzyskać równowagę. Po plecach ściekały strużki potu, a nagle poczucie bezwładności w nogach uświadomiło jej, że oto przeszła swoją najcięższą próbę. Musiała odczekać, aż owa słabość minie.

Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie w duchu i w końcu uwierzyła w to. Wszystko pójdzie zgodnie z planem; ta myśl dodawała jej sił.

Mniej więcej po godzinie od wyjścia konduktora drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem był to steward w białej marynarce; przyciszonym, dyskretnym głosem oznajmił, że pasażerowie, którzy życzyliby sobie zjeść lunch, mogą teraz zająć miejsca przy stolikach.

Ursula wstała natychmiast, odłożyła na bok książkę z obrazkami i zdjęła Maxima z siedzenia. - Chodźmy - powiedziała, biorąc go za rękę.

Wyszli z przedziału i udali się korytarzem w stronę wagonu restauracyjnego. Kiedy mijali toaletę, Teddy otworzyła drzwi, wepchnęła chłopca do środka i kazała mu umyć ręce.

- Dobrze, Teddy - powiedział posłusznie Maxim.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, a obie kobiety zostały na korytarzu same, Teddy obróciła się do Ursuli i bojaźliwie chwyciła ją za rękę. Oddychając ciężko, wpiła wzrok w oczy Ursuli. - Byłam taka przerażona, pani Westheim - szepnęła. - Myślałam już, że tamci ludzie zabiorą nas ze sobą. Czy oni byli z gestapo?

Ursula przytaknęła nieznacznym ruchem głowy i jednocześnie przyłożyła palec do ust, nakazując absolutne milczenie.

* * *

Posiłek upłynął bez żadnych incydentów i kiedy Ursula z Teddy wypili swoją kawę, cała trójka wróciła do przedziału. Maxim, zmęczony trochę i usypiany miarowym kołysaniem wagonu, zapadł niebawem w drzemkę, Teddy otworzyła książkę i zaczęła czytać, natomiast Ursula oddała się ponownie rozmyśleniom. Nikt z pozostałych pasażerów, siedzących w przedziale, nie odezwał się do niej nawet jednym słowem,

ona też milczała. Była zadowolona, że nie musi rozmawiać, rozkoszowała się błogimi chwilami całkowitego spokoju.

Postawa konduktora i obu gestapowców przeraziła ją, udało jej się jednak zapanować nad sobą. I nadal zachowywała spokój. Wytrwale odpychała od siebie wszelkie obawy, związane z jutrzejszym dniem, kiedy to rankiem mieli znaleźć się w Aachen, nad samą granicą. Po prostu koncentrowała się na dalszej przyszłości, mając w pamięci radę Sigiego, aby myśleć jedynie o tym, co przyjemne.

17

Wieczorem, o siódmej, w drzwiach przedziału stanął ten sam steward, którego już poznali, i zaanonsował obiad. Ursula, Maxim i Teddy wyszli na korytarz, zadowoleni, że mogą rozprostować nogi i umknąć choćby na krótko przed zimnymi i baczными spojrzeniami współpasażerów.

Kiedy weszli do wagonu restauracyjnego, większość miejsc była już zajęta i kelner zaproponował im stolik na cztery osoby, na razie wolny. Z miłym uśmiechem na twarzy wyjaśnił, że najprawdopodobniej usiądzie przy nich jeszcze jedna osoba.

Rzeczywiście, zanim zdążyli zająć swoje miejsca, zjawiała się przy stole czwarta osoba: siwowłosa kobieta w średnim wieku, odziana w czerń.

- Guten Abend - powiedziała i usiadła obok nich. Ursula i Teddy przywitały się z nią uprzejmie i poczęły przeglądać menu. Ale Maxim nie czekał, aż dokonają wyboru; uprzedzając wszelkie sugestie pociągnął matkę za rękaw.

- Słucham, kochanie, o co chodzi? - zapytała.

- Mamo, chciałbym rosół z makaronem - poprosił.

- Och, kochanie, obawiam się, że w menu nie ma rosółu. - Jeszcze raz przebiegła kartkę wzrokiem. - Ale jest zupa jarzynowa.

- Wolałbym rosół.

- Tak, kochanie, wiem. Ale skoro tu nie mają rosółu, nie mogę go zamówić. Zjedz zupę jarzynową. Co do mnie, zdecyduję się na nią.

- Dobrze - zgodził się Maxim. - Może być jarzynowa.
- Dla mnie to samo, proszę - powiedziała Teddy.
- Na pewno będzie nam smakowała - mruknęła Ursula.
- Maxim, a co byś zjadł na drugie? Może...
- Kurczaka albo karpia.

Potrząsnęła głową. - Niestety, kochanie, tych potraw też nie ma w menu. Ale mogę zamówić ci... sznycel po wiedeńsku... albo smażoną kielbasę... albo...

- Przecież dziś jest piątek, a w piątki jadamy zawsze karpia albo pieczonego kurczaka. I... dlaczego nie ma tu szabasowych świec, mamó? Musisz je pobłogosławić! - zawołał swoim dźwięcznym głosem.

Ursula pobladła, zerknęła z obawą na siedzącą obok kobietę, która raz po raz rzucała na nich ukradkowe spojrzenia i zapewne słyszała każde ich słowo. Bezradnie spojrzała na Teddy, nie mniej przerażoną i białą jak śnieg, po czym jakby na dany znak obydwie poczęły mówić coś jedna przez drugą, aby zagłuszyć głos Maxima, powracającego z dziecięcym uporem do sprawy brakujących świec szabasowych.

W końcu, widząc że żadna z nich nie zwraca na niego uwagi, Maxim umilkł.

- Przepraszam cię, Teddy, nie słyszałam co mówisz - powiedziała Ursula.
- Chyba już się zdecydowałam. Wezmę tę smażoną kielbasę. Dla Maxima proponowałabym to samo: jest z cielęciny. Nie podają tu nic delikatniejszego.

- Doskonały pomysł. - Ursula zaryzykowała jeszcze jedno szybkie spojrzenie na kobietę, ale ta przeglądała właśnie menu.

- Ja nie chcę... - zaczął Maxim.

- Posłuchaj, skarbie, jest tu coś, za czym naprawdę przepadasz. Strudel z jabłkami. Możemy zamówić go na deser - przerwała mu Ursula.

Jego twarz rozjaśniła się natychmiast, z zapalem kiwnął głową. - Tak. Tylko że bez świec...

- Przestań, Maximie! - zawołała, nie dając mu dokończyć zdania. Przekreśliła się tak, że zasłaniała go teraz sobą. - Cśś, kochanie, nie mówmy teraz o tym, co robimy w domu - dodała szeptem. - To nasze sprawy prywatne, nie ma potrzeby rozprawiać o nich przy wszystkich. Rozumiesz mnie?

- Tak, mamó. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się w sposób, którym zawsze ujmował ją za serce. Odwzajemniła uśmiech,

szepnęła: - Grzeczny chłopiec. - Następnie rozejrzała się dokoła i skinęła na kelnera. Po chwili stał już przy ich stole z piórem i bloczkiem w ręku, gotów do przyjęcia zamówienia.

Ursula zamówiła trzy porcje zupy jarzynowej, smażone kielbaski z tłuczonymi ziemniakami i czerwoną kapustą oraz na deser dwie porcje strudla. - A dla mnie poproszę filiżankę kawy - dodała.

Kelner kiwnął głową, pochwalił wybór i skierował uwagę na czwartą osobę przy stole. Kobieta poczęła wypytywać go o żeberka wieprzowe, na co kelner wyjaśnił, że żeberka podawane są z kiszoną kapustą.

- Proszę mówić głośniej, głośniej! - zawołała kobieta, przykładając dłoń do ucha.

Kelner nachylił się czym prędzej i objaśnił wszystko ponownie, ale tym razem znacznie głośniej.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta jest głucha jak pień. Teddy wzniosła w podzięcie oczy ku niebie, po czym spojrzała wymownie na Ursulę, która również odetchnęła z ulgą; uświadomiły sobie, że ich współtowarzyszka nie mogła usłyszeć uwagi Maxima o szabasowych świecach. Wielu Niemców podzielało poglądy antysemickie i tym chętniej dawało wiarę propagandzie hitlerowskiej, obwiniającej Żydów o wszystkie kłopoty kraju. Kobieta, jak się wydawało, nie była nikim ważnym, ot, jednym z pasażerów pociągu, ale gdyby zorientowała się, że ma przed sobą Żydów, mogłaby narobić zamieszania, zażądać miejsca przy innym stole i tym samym ściągnąć na nich tak bardzo przecież niepożądaną uwagę innych. Zakładając oczywiście, że miała uprzedzenia rasowe. Dzięki Bogu okazało się, że jest głucha. Można więc było pozwolić sobie teraz na zbawienną chwilę całkowitego relaksu.

Ale raptem przysła jej do głowy kolejna myśl, która sprawiła, że serce znowu zabiło mocniej w piersi. A jeżeli ta kobieta wcale nie jest głucha, tylko tak udaje? Ale z drugiej strony: po co by to robiła? Jaki miałyby w tym cel? Po prostu jechała tym samym pociągiem i w ogóle nie wiedziała, kim oni są. I Ursula doszła do przekonania, że musi przestać zadrećzać się w ten sposób, o ile nie chce popaść w paranoję.

Zacząła z Teddy rozmowę na temat Paryża - jedyny temat, który był absolutnie bezpieczny.

Ursula szła z Maximem wzdłuż peronu, trzymając syna mocno za rękę. W drugiej dłoni niosła walizkę. Teddy szła tuż obok, dźwigając walizki swoją i Maxima. Ze względu na poranny ziąb szli szybko, kierując się podobnie jak inni pasażerowie w stronę wylotu peronu, gdzie mieścił się posterunek celny i paszportowy. Dziesięć minut temu przyjechali do granicznego miasta Aachen, a konduktor przeszedł wzdłuż całego pociągu, otwierając wszędzie drzwi przedziałów i przypominając pasażerom, aby wyszli na zewnątrz wraz z całym swoim bagażem. I oczywiście z dokumentami. Ludzi nie było teraz dużo i Ursula domyśliła się, że wielu pasażerów wysiadło z pociągu w nocy, na tej czy innej stacji.

Przystanąła raptownie, a Teddy natychmiast zatrzymała się również i rzuciła jej pytające spojrzenie.

- Podaj mi swój bilet i paszport, moja droga - poprosiła Ursula, odstawiając walizkę i wyciągając rękę. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli ja zajmę się dokumentami. Ty będziesz uważała na Maxima.

- Dobrze, pani Westheim. - Teddy postawiła walizki na peronie, otworzyła torebkę i wyjęła z niej paszport oraz bilet, po czym podała je Ursuli, która podziękowała i włożyła je do swojej torebki. Następnie spojrzała ponad głowę syna w oczy dziewczyny i powiedziała bezgłośnie, samym ruchem warg: - Zachowaj spokój.

Teddy kiwnęła głową.

Kiedy ruszyli dalej, ujrzeni esesmana, który siedział z nimi w przedziale; teraz minął ich szybkim krokiem, skręcił w lewo i zniknął za furtką. Ten widok uradował Ursulę. Esesman nie zwracał na nich wprawdzie uwagi, ale jego obecność miała w sobie coś niepokojącego.

Po wejściu na posterunek celno-paszportowy Ursula zobaczyła trzy stoły. Za każdym z nich siedział funkcjonariusz straży granicznej; wszyscy podobni do siebie ze względu na jednakowe mundury. W tyle, pod osadzonymi wysoko oknami, stało kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach. Ursula była pewna, że to gestapowcy.

Sigmund uprzedził ją, że tajna policja jest teraz na każdym kroku, że nie powinna się tym przejmować - tak więc zaczerpnęła głęboko tchu i zdecydowanym krokiem pomaszerowała do przodu. Wyraz jej twarzy nie zdradzał żadnego

niepokoję. Stała za parą młodych ludzi, spojrzała przez ramię i obdarzyła Teodorę ciepłym uśmiechem, mając nadzieję, że to doda dziewczynie otuchy.

Kiedy wreszcie przysłała na nią kolej, zbliżyła się do stołu, otworzyła torebkę i wyjęła z niej komplet dokumentów. Policjant rozłożył je przed sobą, popatrzył na nie przez chwilę, po czym podniósł głowę i obrzucił ją zimnym spojrzeniem. - Jaki jest cel pani podróży do Francji, pani Westheim?

- Wyjeżdżam z dzieckiem i jego nianią, panią Stein, na wypoczynek.

- Jak widzę, ma pani bilety powrotne do Berlina. Kiedy zamierza pani wrócić do Niemiec?

- Za kilka tygodni. Mówiąc dokładniej, mniej więcej za cztery.

Powiódł wzrokiem po całej trójce, powoli, z namysłem, wreszcie zapytał: - Czy wywozi pani z Niemiec jakieś kosztowności?

- Nie, żadnych - odparła spokojnym, pewnym głosem.

- Nie wywozimy nic takiego.

- Proszę położyć te walizki na stole - polecił. - Chciałbym zajrzeć do środka.

Ursula uczyniła to, zaczynając od swej walizki. Policjant zajął się przeszukiwaniem jej zawartości, grzebiąc pośród ubrań i oglądając je ze wszystkich stron. Następnie przeszedł do walizek Maxima i Teddy, po czym poprosił obie kobiety o ich torebki, rewidując je dokładnie.

Wreszcie włożył wszystko na miejsce, ponownie przejrzał paszporty, energicznie ostemplował każdy z nich i zwrócił je, dając zarazem krótkim ruchem głowy znak, że odprawa została już zakończona.

- Danke schön - mruknęła Ursula. Ujęła dwie walizki, swoją i Teddy, obróciła się do dziewczyny i powiedziała:

- Chodźmy. Zajmij się Maximem.

- Dobrze, pani Westheim. - Teddy wzięła dziecko za rękę, chwyciła jego walizkę i oboje ruszyli za Ursulą, choć trudno im było dotrzymać jej teraz kroku. Ursula szła tak szybko, jak gdyby uciekała z tego miejsca.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, to wszystko okazało się łatwiejsze niż przypuszczałam, przyszło jej raptem do głowy. Rozpierała ją ogromna radość. Byli wolni! No, prawie... Ale mimo wszystko wierzyła, że najgorsze mieli już za sobą.

Skreśliła w prawo, znalazła się na peronie i chciała podejść do swego wagonu, kiedy raptem ujrzała tuż przed sobą pułkownika, który przez całą drogę z Berlina siedział w przedziale naprzeciw Maxima.

Teraz stał, zagradzając jej drogę.

Przesunęła się trochę na bok, aby go obejść, ale on uczynił to samo, nie dając jej przejść. Uśmiech, goszczący na jej twarzy od paru minut, zastygł z wolna. Obejrzała się, aby sprawdzić, co dzieje się z Teddy i Maximem. Znajdowali się zaledwie o kilka kroków za nią, ale Teddy stała teraz w bezruchu, patrząc na nią niespokojnie i ściskając dłoń chłopca. Była przerażona, jej błyszczące oczy odcinały się wyraźnie od białej twarzy.

Ursula obróciła się z powrotem do oficera. - Bardzo pana proszę, musimy wsiąść do tego pociągu. Jesteśmy już po kontroli celnej. I paszportowej. Proszę nas przepuścić! - Znowu odezwał się w niej lęk. Czyżby ten mężczyzna miał uniemożliwić im wyjazd z Niemiec?!

- Pani Westheim - powiedział pułkownik.

Oślupiała. Na Boga, on znał jej nazwisko! Co to za jeden? I czego od niej chce? Otworzyła usta, ale nie mogła wykrzusić nawet słowa.

Zniżył głos, dodając: - Proszę zachować spokój. Nazywam się Oster. Pułkownik Oster z Abwehry. Jestem przyjacielem Kurta.

Jeszcze przez ułamek sekundy nie pojmowała sensu jego słów i tylko gapiła się na niego.

- Niebawem przekroczy pani granicę belgijską i w ciągu godziny znajdzie się we Francji - wyjaśniał dalej łagodnym tonem. - Jest już pani bezpieczna, pani Westheim. Powodzenia. - Uśmiechnął się nieznacznie, a potem nagle strzelił obcasami i uniósł ramię. - Heil Hitler!

- Heil Hitler! - odparła machinalnie, rozumiejąc już teraz wszystko. Zerknęła przez ramię na Teddy i skinęła głową, dając jej znak, że mogą iść dalej, po czym obróciła się z powrotem do pułkownika. Ale jego nie było już na peronie. Zaskoczona i zdumiona zarazem rozejrzała się dokoła, szukając go wzrokiem, jednak bezskutecznie. Dosłownie rozpląnął się w powietrzu.

- Czy wszystko w porządku, pani Westheim? - Teddy, trzymając Maxima za rękę, podbiegła już do niej.

- Tak - odparła Ursula. - W najzupełniejszym porządku. A teraz chodźmy już, wsiądziemy do pociągu. Dojedziemy nim do Liège, a stamtąd do Paryża.

- Czego chciał ten człowiek, mamó? - zapytał Maxim.

- Powiem ci później - szepnęła.

Dopiero gdy siedzieli na swoich miejscach w przedziale, a pociąg, nabierając stopniowo rozpędu, opuszczał dworzec, uzmysłowiła sobie coś dziwnego: ten pułkownik, który przedstawił się jako Oster i życzył jej powodzenia, mówił przez cały czas po angielsku!

18

Pociąg relacji Berlin - Paryż wjechał z łoskotem na dworzec Gare du Nord i zatrzymał się z ogłuszającym zgrzytem hamulców. Ursula spojrzała na zegarek: była szósta trzydzieści rano. Z typowo niemiecką dokładnością pociąg przybył na miejsce o czasie. Ursula wstała i uświadomiła sobie, że napięcie, które narastało w niej w trakcie podróży, zaczyna się teraz ulatniać.

Maxim jest bezpieczny. Teddy jest bezpieczna. Ona sama też jest bezpieczna. Niebawem cała rodzina będzie bezpieczna. Do końca miesiąca wszyscy znajdą się w Paryżu, a wtedy pojedziemy razem na wypoczynek. Potem przeniesiemy się do Anglii i tam zaczniemy nowe życie...

Przyszłość jawiła jej się teraz w różowych barwach, Ursula poczuła się szczęśliwa i pogodna.

Odczekała, aż Teddy i Maxim staną na peronie, podała dziewczynie walizki, jedną po drugiej, i zeszła po stopniach z wagonu.

Szybko znaleźli bagażowego, który umieścił ich rzeczy na rozklekotanym wózku i ruszył przodem, prowadząc ich przez rozległy, stary dworzec na postój taksówek.

Po paru minutach cała trójka siedziała ściśnięta na tylnym siedzeniu staroświeckiego samochodu, przemierzając Paryż w stronę Plaza-Athénée Hotel.

Paryż, pomyślała Ursula. Paryż. Jeszcze nie mogła uwierzyć, że znajdują się we Francji. Wyjrzała przez okno, jak gdyby chciała się upewnić. Nawet w ten zimny, wietrzny poranek miasto prezentowało swą wyjątkową, niepowtarzalną urodę - łagodne, zamglone, łączące blade odcienie szarości

z gęstą czernią. Zupełnie jak malowidło wykonane metodą grisaille, przyszło jej do głowy.

Maxim oparł głowę o jej ramię i przytulił się mocniej. Spojrzała na niego. Biedaczek, pomyślała, z pewnością jest wyczerpany po tak długiej podróży. Ona również czuła się zmęczona, śpiąca, przypuszczała też, że w nie lepszym stanie znajduje się Teddy.

Obróciła głowę w jej stronę i dostrzegła, jak dziewczyna tłumi ziewnięcie.

- Wytrzymaj jeszcze trochę - szepnęła. - Za chwilę będziemy w hotelu. Myślę, że zamówimy jakieś lekkie śniadanie, a potem utniemy sobie drzemkę. Po tej nocy spędzonej w pociągu należy nam się kilkugodzinny odpoczynek.

- Tak, to prawda - przytaknęła Teddy i zerknęła na Maxima. Widząc, że chłopiec ma zamknięte oczy, dodała szeptem: - Najgorsze było to napięcie, pani Westheim. Obie bałyśmy się, że coś popsuje nam szyki, czyż nie?

-Tak.

Teddy kontynuowała tym samym przyciszonym głosem: - Przeraził mnie tamten pułkownik, który zaczepił panią na dworcu. Przez chwilę byłam niemal pewna, że zaraz stanie się coś strasznego, że przez niego nie uda nam się wyjechać z Niemiec.

- Ja też.

- Bałam się mówić w pociągu - przyznała Teddy. - Nawet kiedy przekroczyliśmy granicę belgijską. Ale nie mogłam przestać myśleć o tym człowieku. Przecież... to było naprawdę dziwne! Przez cały czas podróży nie odezwał się nawet jednym słowem, a potem, na dworcu w Aachen, ni stąd ni zowąd podszedł do pani.

- Ale dopiero, gdy przeszliśmy kontrolę celną i paszportową, Teddy, nie zapominaj o tym. Może nie miał odwagi zdemaskować się przede mną wcześniej, w każdym razie nie w pociągu, w obecności esesmana i tamtej dziwnej kobiety. Ten pułkownik to przyjaciel naszego przyjaciela i jestem pewna, że jechał pociągiem do granicy, aby mieć na nas oko.

- Och! - zawołała Teddy, i popatrzyła ze zdumieniem na Ursulę. - Sądzi pani, że był tam, aby interweniować... gdybyśmy znaleźli się w kłopotach?

- Nie jestem tego pewna. Może nie mógłby zareagować bezpośrednio. Chociaż, kto wie... Powiedział mi, że nazywa się Oster i jest z Abwehry.

- A więc był to nasz anioł stróż - szepnęła Teddy.

- Zapewne tak.

Zapadło milczenie, a niebawem taksówka zatrzymała się przed Plaza-Athenee Hotel. Ursula zapłaciła za przejazd, wezwała bagażowego, aby zajął się ich rzeczami, po czym wepchnęła Maxima i Teddy do hallu. Powitał ją natychmiast główny portier, który pamiętał ją doskonale z poprzednich wizyt, oraz dyrektor hotelu, który gawędząc z nią przyjaźnie odprowadził swoich gości do recepcjonistki, a następnie do ich pokoi na szóstym piętrze. Był to apartament, który zajmowała zazwyczaj, tym razem jednak połączono go z dodatkową sypialnią, ze względu na wygodę gości. Ta troska pozwoliła Ursuli zapomnieć o zmęczeniu. Na jej twarzy znowu pojawił się uśmiech.

* * *

- Tak, tak. Sigi, wszystko w porządku! - krzyczała Ursula, starając się ignorować zakłócenia, które utrudniały połączenie telefoniczne z Berlinem. - Podróż przebiegła spokojnie.

- Dostałaś wygodny pokój?

-Tak! - zawołała. Zdawała sobie sprawę, że musi uważać na każde swoje słowo. Nie można było wykluczyć, że telefon na Tiergartenstrasse jest na podsłuchu. - Ten sam apartament, co zawsze - dodała, nie widząc w tej informacji niczego, co mogłoby im zaszkodzić.

W jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga, kiedy odparł: - Cieszę się. To bardzo ważne mieć warunki i otoczenie, do jakich się przywykło. Musisz teraz wypocząć.

- Tak, tak. A jak u ciebie? Wszystko w porządku? -Wszystko jest jak wczoraj, kiedy wyjechaliście. Ucałuj ode mnie Maxima i pozdrów Teddy.

- Dobrze, dziękuję.

- Na razie do usłyszenia. Odezwę się za parę dni.

- Do usłyszenia, Sigi, uważaj na siebie.

Ursula odłożyła powoli słuchawkę i przez dłuższą chwilę stała przy łóżku, z ręką na aparacie. Zanim wyjechała z Berlina, uzgodnili, że ich rozmowy telefoniczne będą z konieczności krótkie i zwięzłe, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, jak olbrzymie uczucie niedosytu powstaje przy tym. Tak bardzo chciała opowiedzieć mężowi o pułkowniku Osterze, tym aniele stróżu, jak nazwała go Teddy, i o wielu innych

sprawach. Trudno, pomyślała, zrobię to, kiedy będzie już tu, z nami.

Przebiegła przez przyległy salonik i weszła do drugiej sypialni. Na jednym z dwóch stojących tuż obok siebie łóżek, przedzielonych jedynie nocną szafką, leżała otwarta walizka Maxima, a Teddy rozpakowywała ją, wyjmując ubrania chłopca. Maxim natomiast przebywał w łazience, wycierając dłonie ręcznikiem.

- Właśnie rozmawiałam z panem Westheimem, Teddy. Prosił, abym przekazała ci jego pozdrowienia.

Teddy uśmiechnęła się, kiwnęła głową i powróciła do bielizny i ubranek dziecka, układając je starannie na łóżku.

Maxim podbiegł do matki, która nachyliła się, pocałowała go w policzek i objęła czułe. - To od papy - powiedziała.

- Kazał cię ucałować.

- Przyjedzie do nas niedługo? - zapytał, podnosząc na nią oczy.

- Tak, skarbie.

- Jestem głodny, mam.

- Zaraz zamówię śniadanie. Jajka na miękko, bułeczki, masło, dżem i czekolada na gorąco. Masz na to ochotę?

- O, tak, mam.

- A ty, kochanie? - zwróciła się do Teddy. - Co byś zjadła?

- To samo, pani Westheim, dziękuję.

- Może powinnaś teraz zatelefonować do Willy'ego w Berlinie - mówiła dalej Ursula, patrząc na nią znaczącym wzrokiem. - Żeby wiedział, że jesteś już w Paryżu.

- Willy pojechał w czwartek z ojcem i siostrą do Frankfurtu

- wyjaśniła Teddy. - Nie będzie ich w Berlinie przez tydzień. Myślę, że napiszę do niego dziś, najpóźniej jutro, i wyślę list natychmiast, tak aby czekał już na Willy'ego, kiedy państwo Herzog wrócą do Berlina.

- W porządku. Ale pamiętaj: reszta naszej rodziny przebywa tam nadal, musisz więc uważać na to, co piszesz.

- To oczywiste! - zawołała Teddy. - Napiszę, mu tylko, że wkrótce spotkam się z ciotką. Willy zrozumie od razu, co mam na myśli. Wie, że mam tylko jedną ciotkę i że ona mieszka w Londynie. Tak, na pewno domyśli się, że opuściłam Niemcy i że jestem już bezpieczna.

- Tak, też tak sądzę. To inteligentny młodzieniec. - Ursula podniosła słuchawkę i zamówiła śniadanie, po czym wzięła Maxima za rękę i przeszła z nim do saloniku.

- Kiedy przyjeżdżałam z papą do Paryża, zawsze mieszkaliśmy w tym apartamencie - powiedziała. - Chciałabym ci coś pokazać - dodała, podchodząc do wysokich, oszklonych drzwi. Otworzyła je i wyszła na wąski taras, z którego roztaczał się widok na drzewa rosnące przy hotelu i na którym ona i Sigi tak często siadywali przy śniadaniu.

- Podejź do mnie - zwróciła się do Maxima. Wygramolił się na taras, ona zaś pochwyciła go w ramiona i stanęła tak, aby mogli popatrzeć na Sekwanę. - Spójrz, Maximie, o tam! Widzisz? To wieża Eiffla.

Niezwykła konstrukcja ze stalowych dźwigarów zdawała się sięgać nieba, błyszczała w jasnych promieniach porannego słońca, które coraz śmieiej wylańiało się zza szarych, spiętrzonych chmur.

Maxim aż wstrzymał oddech z zachwytu. - Jaka ona wysoka, mamó! Nigdy nie widziałem czegoś wyższego!

- Możemy pojechać na samą górę, jeśli chcesz.

- Na samą górę? - powtórzył z niedowierzaniem, zwracając wzrok na matkę. Jego ciemne, marzycielskie oczy zdawały się wypełniać większą część drobnej twarzyczki.

- Tak, stamtąd będziesz mógł popatrzeć na cały Paryż. Kiedyś pojechaliśmy tam z papą. Widok był wspaniały.

- A kiedy pojedziemy na górę? - Jego głos aż drżał z emocji.

- Jutro, Maximie, obiecuję.

Postawiła go na podłodze i delikatnie pchnęła do przodu.

- Wejdz do pokoju, kochanie. Chłodno tu, nie chciałabym, abyś się przeziębł.

* * *

Ursula siedziała przy sekretarzyku, wpatrując się w listę. Trudno było w to uwierzyć, ale naprawdę zdołała załatwić wszystko, co sobie zaplanowała.

W Paryżu przebywali od sześciu dni, ale większość tego czasu spędziła niczym niespokojny derwisz, pędząc to tu, to tam. Oczywiście w niedzielę, tuż po przyjeździe, poświęciła cały dzień Maximowi, zabrała jego i Teddy na szczyt wieży Eiffla, dotrzymując danego słowa, a potem pokazała mu jeszcze inne, godne uwagi widoki w Paryżu. Po południu odbyli przejażdżkę po Lasku Bulońskim, a potem zjedli wczesny obiad w uroczym bistro na lewym brzegu Sekwany. W poniedziałek, z samego rana, udała się do ambasady

brytyjskiej na Rue du Faubourg Saint-Honoré, gdzie spotkała się z czekającym na nią konsulem, panem Stilesem, i otrzymała trzy wizy wjazdowe do Anglii. Pan Stiles okazał się człowiekiem niezwykle miłym, zaoferował nawet swą pomoc, gdyby potrzebowała czegokolwiek podczas pobytu w Paryżu.

Tego samego dnia Ursula kupiła kilka dodatkowych walizek, wyjaśniając Teddy, że muszą zaopatrzyć się w odzież, skoro zabrali ze sobą tak niewiele.

We wtorek spotkała się z panem André Malletem, szefem Banque Mallet, mieszczącego się w pobliżu Place Madeleine. Po omówieniu rozmaitych spraw natury finansowej Ursula podjęła z konta Westheimów znaczną kwotę na pokrycie bieżących wydatków, po czym przez dwa dni zajmowała się zakupami. Maxim i Teddy chodzili z nią do najprzeróżniejszych sklepów i domów towarowych, a Ursula wyszukiwała dla nich ciepłe ubrania i solidne obuwie, pamiętając o deszczowej pogodzie, która zazwyczaj panowała w Anglii.

Dziś zamierzała kupić coś dla siebie, zrezygnowała jednak z wizyty u Jeana Patou czy innych słynnych projektantów mody. Ekskluzywne kreacje stały się teraz dla niej ekstrawagancją, na którą nie mogła już sobie pozwolić. Zresztą tą sprawą nie przejmowała się w najmniejszym stopniu; obecnie istniały inne problemy, które miały dla niej o wiele większe znaczenie, a bezpieczeństwo rodziny liczyło się dla niej najbardziej.

Przenikliwy dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy. Natychmiast podniosła słuchawkę, a telefonistka z centrali hotelowej poinformowała ją, że dzwoni Berlin i za chwilę rozmowa zostanie przełączona do pokoju. Po kilku sekundach usłyszała głos Sigmunda.

- Co za wspaniała niespodzianka! - zawołała uradowana. - Myślałam, że zadzwonisz dopiero jutro, albo nawet w niedzielę. U mnie wszystko w porządku, czujemy się świetnie. A co u ciebie?

- Też w porządku. Tak samo w banku, jak zwykle. Instynktownie wyczuła natychmiast, że to nieprawda, że sprawy wcale nie mają się dobrze, że dzieje się coś złego. Jego głos był dziwnie matowy, zdradzał napięcie.

- Sigi, co się stało!? - krzyknęła, niemal zrywając się z krzesła.

- Moja matka... Obawiam się, że stan jej zdrowia jest poważny. Miała...

Jego głos odpłynął nagle, w słuchawce zaległa cisza, przeradzająca się stopniowo w dziwny pogłos, tak jakby znajdowali się w długim tunelu.

- Sigi! Sigi! Jest złe połączenie, nie słyszę, co mówisz!

- Ja... matka... apopleksję... w czwartek rano... - Głos napłynął z powrotem. - Wczoraj spędziłem z nią prawie cały dzień...

- O, mój Boże! Biedna matka! Tak mi jej żal! Och, nie! Tylko nie Margarete! Och, Sigi, tak mi przykro! - Zaciśnęła kurczowo palce na słuchawce, serce podeszło jej do gardła, strach niemal paraliżował ją, nie pozwalał wypowiedzieć nawet słowa. Wreszcie udało jej się wykrztusić: - Co mówią lekarze? Jakie są rokowania? - Wstrzymała oddech, modląc się w duchu o pomyślną odpowiedź.

- ... nie są pewni... ani przewieźć... nie może jechać...

- Sigi, nie słyszę cię. Czy ty mnie słyszysz?

- Tak... słyszę...

- Co z matką? Czy spodziewana jest poprawa?

- Chyba tak, mamy taką nadzieję. - Jego głos był teraz bardzo wyraźny, brzmiał tak, jakby dobiegał z sąsiedniego pokoju; połączenie zaczęło wreszcie działać jak należy. - Ale ona nie może teraz wyjechać z Berlina. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. A inni?

- ... nie chcą...

- A ty? Czy ty możesz wyjechać na urlop?

-... mam nadzieję... zgodnie z planem. Muszę już kończyć, kochanie, mam... - Głos zanikł ponownie, tym razem zamarł całkowicie.

- Przekaż ucałowania matce! - zawołała Ursula. - I siostram. Pozdrowienia dla was wszystkich! Zadzwoń, będę czekała na telefon. I... Sigi...

Ale połączenie z Berlinem było już przerwane, Ursula trzymała w ręku głuchą słuchawkę. Odłożyła ją na widełki, oszołomiona złymi wieściami, tak zaskakującymi i szokującymi. Biedna Margarete. To straszne, że miała atak akurat w takim momencie swego życia! Tak naprawdę nigdy nie doszła do siebie po śmierci męża, od tamtego czasu zawsze niedomagała trochę na zdrowiu. A teraz jeszcze ten atak... W tym wieku i dla tak kruchej osoby to naprawdę zbyt wiele... Ursula bardzo lubiła Margarete i zwłaszcza po tej rozmowie była całym sercem przy niej i przy Sigim. Sigi zawsze był blisko ze swoją matką...

Ursula nagle uświadomiła sobie, że dopóki Margarete nie wyzdrowieje i nie będzie mogła ruszyć się samodzielnie, Sigi nie wyjedzie z Berlina. Nie ten Sigmund Westheim, którego znała. Był zbyt prawy, zbyt odpowiedzialny i zbyt oddany rodzinie, aby zostawić na łasce losu matkę, którą kochał, i wybierać wolność i bezpieczeństwo dla siebie samego - bez jej udziału.

19

Ursula przeszła na drugą stronę ronda przy Champs-Élysées i skręciła w Avenue Montaigne. Mimo ciepłego, kremowego kostiumu z wełny, jeszcze grubszego kawowo-kremowego palta i filcowego kapelusza, harmonizującego z całością, drżała z zimna.

Dzień - nawet jak na lutowe popołudnie - był wyjątkowo mroźny, od strony równin Europy Wschodniej dał przenikliwy wiatr północny. Przyśpieszyła kroku. Wracała właśnie z Banque Mallet i tęskniła już za ciepłem hotelu.

Maxim chciał dotrzymać jej towarzystwa, pójść razem z nią, ale na szczęście zdołała go przekonać, aby pozostał w pokoju. Nie żałowała teraz, że była wobec niego tak nieugięta, że nie ustąpiła wobec jego próśb i nalegań. I tak już trochę pokasływał, a pogoda - mimo radosnych promieni słońca i pogodnego nieba - była dziś zdradliwa.

Nie chciała kolejnych kłopotów ze zdrowiem w rodzinie, ostatnie choroby trapiące Westheimów były już teraz wystarczająco dokuczliwe. Margarete nadal leżała sparaliżowana po apopleksji, która powaliła ją w połowie stycznia, a na domiar złego Hedy, najmłodsza siostra Sigmunda, przewróciła się w ubiegłym tygodniu na stopniach przed domem i złamała sobie obojczyk. W efekcie tych wydarzeń nikt z członków rodziny, którzy przebywali do tej pory w Niemczech, nie przyjechał do Paryża, ona zaś wpadała w coraz większą panikę, w miarę przedłużającego się oczekiwania. Nieustannie nakazywała sobie w duchu cierpliwość, ale w obecnej sytuacji nie była to sprawa łatwa. Ursula uważała się zawsze za człowieka czynu, a ostatnio uświa-

domiła sobie, że taktyka bierności i oczekiwania działa na nią szczególnie demobilizująco, tym bardziej iż taka postawa była niezgodna z jej naturą.

Zbliżając się do hotelu, westchnęła w duchu. Usiłowała pozbyć się wszystkich tych posepnych myśli, które dręczyły ją przez większość dnia i również teraz nie zostawiały jej w spokoju powtarzała sobie, że powinna patrzeć na świat bardziej pogodnie' ze powinna cieszyć się bezpieczeństwem swego syna i Teddy Tym bardziej ze również samopoczucie Teddy było obecnie dobre Jej ponury nastrój ustąpił w jednej chwili, kiedy otrzymała tak długo oczekiwany list od Willy'ego Herzoga z Palestyny, przesłany przez Londyn, gdzie mieszkała jej ciotka, Ketti Berners - Wydostał się z Niemiec! Wyjechał stamtąd! Jest już w Tel Awiwie! - piszczała wtedy z radości, wymachując listem w powietrzu, a potem wybiegła do swego pokoju, aby natychmiast odpisać narzeczonemu. Ta dobra wieść ucieszyła też Ursulę: każda kolejna osoba, której udało się wymknąć spod tyranii narodowych socjalistów i znaleźć się w innym kraju, w bezpiecznym miejscu, stanowiła powód do prawdziwej radości.

Ursula doszła do hotelu, a portier w uniformie dotknął palcem czapki na jej widok i kiwnął przyjaźnie głową, po czym otworzył szeroko drzwi. Weszła do środka i podeszła do recepcji, gdzie Charles, główny portier, powitał ją uśmiechem - Pewien dżentelmen pytał niedawno o panią, madame Westheim - poinformował. - Udał się teraz na herbatę do Relais Plaza i poprosił mnie, abym powiadomił panią, że będzie tam czekał.

Zaskoczona zmarszczyła brwi. - Czy powiedział, jak się nazywa? ^J

- Nie, madame.

- Dziękuję Charles - mruknęła, ściskając rękawiczki. Nie tracąc czasu skierowała się wprost do Relais Plaza na spotkanie z tajemniczym gościem. Pchnęła drzwi małej restauracji którą łączył z hotelem krótki korytarz, i przystanęła w progu wodząc dokoła wzrokiem.

Ale mężczyzna dostrzegł ją pierwszy. Wstał od stolika i szybkim krokiem podszedł bliżej Ursula wstrzymała oddech, jej twarz rozjaśniła się na widok tego wysokiego, szczupłego mężczyzny w ciemnym garniturze który uśmiechał się do niej już z daleka; droższy nad życie ich kochany, kochany przyjaciel, księżę Kurt von Wittingen

- Kurt! - Pobiegnęła mu na spotkanie, wyciągając obie ręce. Ujął je w dłonie. - Witaj, Ursulo! - Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Pozwól, moja droga, usiądźmy wygodnie. - Poprowadził ją do swego stolika w kącie sali, skinął na kelnera i zamówił filiżankę jej ulubionej chińskiej herbaty, po czym wyjaśnił: - Wybacz, że nie mogłem uprzedzić cię o moim przyjeździe do Paryża. Przyjechałem z Berlina dziś rano. Prosto ze stacji Gare du Nord, gdzie już na mnie czekali, musiałem udać się na spotkanie w sprawach służbowych, następnie uczestniczyłem z obowiązku w przyjęciu i potem w kolejnym spotkaniu. Ani przez chwilę nie byłem sam i dlatego nie mogłem do ciebie zatelefonować.

- Ależ Kurt, nie przejmuj się tym, doprawdy nie stało się nic złego. To cudownie, że mogliśmy się spotkać. Cieszę się, że wróciłam do hotelu akurat teraz. Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym minęła się z tobą, wierz mi.

- Z pewnością poczekałbym na ciebie, moja droga. Nie wyjechałbym z Paryża, nie spotkawszy się z tobą.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. - A jak Sigi? - zapytała, patrząc mu w oczy. - Czy widziałeś się z nim ostatnio?

- Owszem, parę dni temu. Wszystko jest w porządku. Powiedziałem mu, że prawdopodobnie będę w tym tygodniu w Paryżu, poprosił więc, abym przekazał w jego imieniu tobie i Maximowi najgorętsze pozdrowienia. Ale przede wszystkim prosił, abym powiedział ci, że nie ma powodu do obaw. Zrobi co tylko możliwe i ma nadzieję, że jego matka wyzdrowieje niebawem na tyle, aby móc wybrać się w podróż. Zresztą stan jej zdrowia już teraz ulega poprawie. Sigi chciał, abyś o tym wiedziała.

-Dzięki Bogu! Martwię się bardzo o nich wszystkich, a takie czekanie jest straszliwie irytujące, myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Okropnie męczące są też te rozmowy telefoniczne. Oboje pilnujemy się przez cały czas, aby nie powiedzieć za dużo, bo - jak sam zasugerowałaś - aparaty w Berlinie mogą być na podsłuchu. Poza tym te zakłócenia... Słyszeć tylko co drugie słowo. Mimo to czekam zawsze na te telefony z bijącym sercem.

- Tak samo Sigi. One podtrzymują go na duchu.

- Mnie też, Kurt. Ale zachowuję się nieładnie, nie zapytałam nawet, co u Arabelli i dzieci. Jak się czują?

- Doskonale. Arabella przesyła ci ucałowania, tak samo Renata i Reinhard. Bardzo nam ciebie brak, chyba nie muszę ci o tym mówić.

Jej piękne, błyszczące oczy wypełniły się łzami. - Och, Kurt, gdybyś wiedział, jak ja za wami tęsknię - szepnęła ochryplym z emocji głosem.

Ujął jej rękę i uściśnął czule, na jego łagodnej twarzy malowało się współczucie. - Wiem, wiem. Pod wieloma względami sytuacja jest dla ciebie niezwykle trudna, ale prawda jest taka, że znajdujesz się obecnie w miejscu najlepszym z możliwych. Uwierz mi.

- Tak, wiem. - Uniosła dzbanek z herbatą, przyniesiony przed chwilą przez kelnera, i nalała sobie trochę do filiżanki. Przez krótką chwilę panowało milczenie, po czym Ursula spojrzała na Kurta. - Miałam nadzieję, że przynajmniej Sigrid i Thomas przyjadą tu na razie - szepnęła - ale teraz podejrzewam, że Sigrid nie chce opuścić swojej matki, a Thomas oczywiście nie wyjedzie bez żony.

- Tak, jest dokładnie tak, jak przypuszczasz. Poza tym Sigrid uważa, że również ze względu na złamany obojczyk Hedy jej obecność w Berlinie jest teraz potrzebna bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Biedna Hedy, to złamanie jest z pewnością bardzo bolesne. Ale słyszałam od Sigiego, że ona ma się już lepiej.

- Podobno.

Ursula zapytała jeszcze cichszym głosem: - Jak wygląda sprawa wizyjazdowych dla mojej rodziny? - Jej szaroniebieskie oczy przeszywały go na wskroś.

Odwzajemnił spojrzenie. - Te trzy, które miałem obiecane na połowę stycznia, otrzymałem w terminie i przekazałem zainteresowanym. Pod koniec stycznia odebrałem dwie ostatnie i dałem je Sigiemu.

- A więc wszyscy mogliby już wyjechać.

- Tak, o ile pozwoli na to stan zdrowia pani Westheim.

Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. - To wspaniale. - Wyciągnęła rękę i musnęła pieszczotliwie jego ramię. - Dziękuję, Kurt, dziękuję ci za wszystko, co dla nas uczyniłeś. Zachowałeś się jak prawdziwy przyjaciel.

- Wiesz dobrze, że zawsze jestem gotów pomóc tobie i Sigiemu.

Przysunęła się do niego bliżej. - W pociągu jechał pewien mężczyzna... niejaki pułkownik Oster. Powiedział, że jest twoim przyjacielem... - Nie dokończyła zdania.

- Tak, to mój przyjaciel.

- A więc zaaranżowałaś to tak, aby jechał z nami. Jego obecność w przedziale nie była przypadkowa, prawda?
- Owszem, to prawda, ale ja właściwie nie zaaranżowałam tego. Po prostu poprosiłam mego łącznika, aby w twoim przedziale, a więc praktycznie razem z tobą, jechał ktoś, kto miałby na ciebie oko, dopóki nie przekroczysz granicy.
- I admirał Canaris zgodził się? Kurt kiwnął głową.
- On również zachował się wspaniale - szepnęła Ursula. - Admirał to jeszcze jeden człowiek, wobec którego mamy olbrzymi dług wdzięczności. Nie zapomnimy tego do końca życia.
- Podziękowaliście mu już, nawet bardzo.
- Jak to?
- Sigi przekazał mi dużą kwotę na fundusz kontrolowany przez admirała... Fundusz przeznaczony jest na pomoc dla ludzi, którzy nie mają pieniędzy, a muszą wydostać się z Niemiec... Chodzi tu o Żydów, katolików, uchodźców politycznych. Tak więc i wy macie w tym swój udział. Admirał jest wam bardzo wdzięczny.
- To cudownie, że byliśmy w stanie pomóc jemu i ludziom, którzy mają kłopoty, a zwłaszcza takim, którzy nie mieli tyle szczęścia co my.
- Kurt uśmiechnął się i zerknął na zegarek, po czym z żalem potrząsnął głową. - Obawiam się, że będę już musiał iść, Ursulo. Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia, a potem jadę nocnym pociągiem do Zurychu.
- Och, Kurt, jaka szkoda! Takie krótkie spotkanie...
- Urwała i odwróciła głowę, aby ukryć przed nim łzy napływające jej do oczu. Dałaby wiele, żeby zatrzymać go przy sobie na dłużej, tak bardzo potrzebowała właśnie teraz jego zrozumienia, ciepła i przyjaźni.
- Ale Kurt poprosił już o rachunek. Położył pieniądze na stoliku i wyciągnął rękę, pomagając jej wstać z miejsca, po czym wziął ze stojącego obok krzesła swoją teczkę i płaszcz i odprowadził Ursulę do hotelu.
- Mam jeszcze parę minut - powiedział, kiedy stanęli w hallu. - Czy mogę wejść na górę i przywitać się z Maximem?
- Oczywiście, bardzo proszę. - Zdołała się uśmiechnąć.
- Maxim będzie zachwycony.

- Wujek Kurt! Wujek Kurt!

Maxim zeskoczył z sofy, na której siedział wraz z Teddy, przeglądając książkę, i puścił się pędem przez pokój.

Kurt zdążył jeszcze odłożyć teczkę i płaszcz na krzesło stojące w małym foyer i pochwycił chłopca w ramiona.

Dopiero po chwili postawił go na podłodze, przykucnął obok niego i popatrzył na zarumienioną twarzyczkę. - Witaj, Maximie! Przyjechałem aż z Berlina, aby się z tobą zobaczyć.

- Czy papa też przyjechał? - zawołał chłopiec, patrząc z nadzieją na drzwi. - Czy przywiozłeś mojego papę, wujku?

Kurt potrząsnął głową. - Nie, staruszk, nie przywiozłem - odparł łagodnie. - Ale mam od niego mnóstwo całusów dla ciebie. Prosił też, żebym ci powiedział, że niedługo przyjedzie.

Twarz Maxima pojaśniała z radości. - Niedługo? Papa przyjedzie już niedługo?

- Z całą pewnością. - Kurt wstał, wyprostował się, wziął Maxima za rękę i przeszli razem do saloniku. Tam Kurt przywitał się z Teddy, zasiadł w fotelu, ponownie chwycił Maxima w ramiona i posadził go sobie na kolana.

Maxim nie spuszczał z niego oczu. - Czy Christian też przyjechał? A może Diana? Czy są tu z tobą, wujku?

- Nie, Maximie. Zostali w Berlinie, razem z matką.

- Szkoda. Moglibyśmy pobawić się razem, prawda?

- Oczywiście, że tak. A teraz opowiedz mi, staruszk, jak spędzasz czas w Paryżu.

Maxim, jak przystało na grzeczne dziecko, począł wymieniać posłusznie wszystko to, co zwiedził z mamą i Teddy, zaczynając od wieży Eiffla. Książę przysłuchiwał się jego wywodom z uwagą, cierpliwie, przytakując z uśmiechem głową.

Ursula stała w progu pokoju, patrząc na nich z zadowoleniem. Nieoczekiwana wizyta Kurta dodała jej otuchy, pozwoliła zapomnieć o ogarniającym ją ostatnio coraz częściej zwątpieniu. Co więcej: przywiezione przez niego wieści z Berlina o poprawie stanu zdrowia teściowej natchnęły ją ponowną nadzieją na rychłe spotkanie z całą rodziną. Znowu zaczęła patrzeć z większą wiarą w przyszłość.

20

- Jak się miewa twoja ciotka? - zapytała Ursula, kiedy Teddy wróciła do saloniku po rozmowie telefonicznej z Ketti Berners. Rozmowy te odbywały się ostatnio regularnie raz na tydzień.

Teddy, najwyraźniej uradowana, usiadła naprzeciw niej. - Ciocia Ketti czuje się doskonale, nie może się już doczekać, kiedy powita nas w Londynie. Marzy o spotkaniu z panią i z Maximem i wyraziła ponownie ogromną wdzięczność za to, co pani dla mnie zrobiła, zwłaszcza za umożliwienie mi wyjazdu z Niemiec.

- Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że mogłabym cię tam zostawić - odparła Ursula. Po krótkiej chwili milczenia dodała: - Nie wiem dużo o twojej ciotce, opowiadałaś mi tylko, że to siostra twojego ojca i że jest wdową.

- Tak, wujek Harry zmarł przed dwoma laty. Ciotka Ketti skończyła niedawno sześćdziesiąt lat, ma córkę... moją kuzynkę Rachełę, która mieszka w Brighton. Rachel jest mężatką, jej córeczka ma na imię Harriet.

- A ciotka mieszka w Londynie od dawna?

- Od trzydziestu lat, może nawet dłużej. Wyszła za mąż w 1904 roku, gdy miała dwadzieścia sześć lat. Właśnie wtedy zamieszkała w Anglii. Teraz jest Angielką, to znaczy ma obywatelstwo angielskie.

- Wujek był Anglikiem?

- Tak, ale pochodził z Niemiec. Jego rodzice opuścili Berlin mniej więcej w roku 1860, w okresie dużego napływu Asz-kenazyjczyków do Anglii. On i jego dwaj bracia urodzili się już w Londynie. Ciotka Ketti na pewno spodoba się pani, to wspaniała kobieta.

- Jeśli choć trochę przypomina twojego ojca, to rzeczywiście musi być wyjątkowa - przyznała Ursula. Wstała, podeszła do sypialni, otworzyła cicho drzwi i wśliznęła się na palcach do środka. Bezszelestnie zbliżyła się do łóżka, gdzie pod nakryciem leżał skulony Maxim, sprawdziła, czy chłopiec śpi, po czym uspokojona, wróciła do salonu.

Teddy zdążyła już zająć się robótką na drutach. Nie unosząc głowy zauważyła: - Szybko zasnął, prawda?

- Tak - mruknęła Ursula. Usiadła wygodnie w fotelu, odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy.

Jest zmęczona, pomyślała Teddy, patrząc na jej twarz, bladą, wyczerpaną i jakby smutną. Jest zmęczona tym wielotygodniowym czekaniem na rodzinę, tym odmierzaniem upływającego czasu. Bezczytność kłóci się z jej naturą, a jednak nie pozostaje jej nic innego, jak tylko siedzieć i czekać. Ja mam na szczęście zajęcie, opiekuję się Maximem, czuwam nad jego nauką, chodzę z nim na spacer. Ale ona? Biedaczka... Gdybyśmy byli w Londynie, mogłaby zainteresować się szukaniem jakiegoś domu czy mieszkania, kupnem mebli, mogłaby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to takie nie kończące się czekanie i bezczynność, okropna bezradność.

Teddy westchnęła w duchu i powróciła do swojej robótki, wspominając życie, jakie Ursula wiodła w Berlinie. Tam prowadziła dwa domy, rezydencję przy Tiergartenstrasse i starą willę w Wannsee, miała do czynienia ze służbą, zajmowała się działalnością charytatywną jako członkini licznych organizacji dobroczynnych, nie mówiąc już o spotkaniach towarzyskich. Teddy uświadomiła sobie nagle, że Ursula Westheim była zawsze kobietą aktywną, której wszędzie pełno. Jakże odmiennie wygląda jej życie w Paryżu...

Nieoczekiwanie Ursula otworzyła oczy i wyprostowała się w fotelu. - Teddy?

- Słucham, pani Westheim.

- Jak wygląda dom twojej ciotki w Londynie? Czy jest duży?

- Raczej tak. Wynajmuje wprawdzie suterene, jak również strych, który ostatnio przebudowała. Ale nadal ma dla siebie dwa piętra i śliczny ogród za domem, z trawnikiem, ładnym skalniakiem i jabłonią. Mieszka w Belsize Park Gardens, a to jest urocza okolica, niedaleko Hampstead.

- To brzmi dosyć zachęcająco. Teddy... - Ursula jakby zawahała się przez moment, a po chwili zapytała: - Jak sądzisz, czy ciotka pozwoliłaby, abyś została u niej z Maximem przez kilka tygodni?

Teddy podniosła oczy znad robótki, najwyraźniej zaskoczona, kiwnęła jednak głową. - Jestem tego pewna. Ale dlaczego mielibyśmy zostać u niej?

- Ponieważ chciałabym wysłać do Londynu najpierw ciebie z Maximem. Ja przyjechałabym nieco później.

- Och! - Teddy nie zdobyła się na nic więcej. Siedziała skonsternowana, ze wzrokiem wlepionym w Ursulę. Dopiero

po paru długich sekundach zapytała: - Dlaczego nie miałyby pani pojechać od razu, razem z nami?

- Wczoraj podjęłam decyzję... - zaczęła Ursula i urwała. Po chwili dodała cicho i łagodnie: - Postanowiłam wrócić.

Teddy zmarszczyła brwi. - Wrócić... - powtórzyła zdumiona. - Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

- Wracam do Berlina.

Teddy zamarła w bezruchu, ta wiadomość odebrała jej mowę. Szybko jednak doszła do siebie, zerwała się z miejsca, zduszonym, gorączkowym szeptem zaprotestowała: - Nie, nie może pani tego zrobić! Tak nie wolno!

- Owszem, Teddy, mogę to zrobić i zrobię.

- Ale w Berlinie nie będzie pani bezpieczna.

- Może nie będzie tak źle. W każdym razie nie mam innego wyjścia, muszę tam wrócić. Muszę pomóc mężowi.

Jestem mu teraz potrzebna, czuję to instynktownie. Muszę pomóc mu wywieźć matkę. I jego siostry. Nie można inaczej. Musimy wspólnie znaleźć jakiś sposób.

Nagle i dramatyczne oświadczenie Ursuli nie tylko wstrząsnęło Teddy, ale przede wszystkim przeraziło ją. W jej pamięci tkwiły nadal wydarzenia „kryształowej nocy”, budziły w niej lęk, ilekroć przypominała sobie ów wieczór. A przecież sytuacja w Trzeciej Rzeszy nie uległa od tamtego czasu poprawie. Jeśli cokolwiek się zmieniło, to jedynie na gorsze. Zapragnęła nagle zarazić panią Westheim swoim strachem, przekonać ją, że nie wolno teraz wracać do Berlina, czuła się jednak bezsilna. Wiedziała, jak stanowcza i uparta potrafi być matka Maxima, jak trudno nakłonić ją do zmiany raz podjętej decyzji.

Ursula powiedziała stanowczo: - Domyślam się, że chciałabyś teraz wyperswadować mi ten pomysł, ale nic z tego. Posłuchaj: mamy już marzec, wkrótce nastanie wiosna. Nie mogę tu siedzieć tylko i czekać, zdając się na zrządzenie losu. Niepokoję się o moich bliskich, nie wiem, co się tam u nich dzieje. Słyszałaś pewnie, jak wyglądają ostatnio moje rozmowy telefoniczne z mężem; są rozpaczliwe, nie rokują żadnej nadziei, żadne z nas nie ma odwagi powiedzieć otwarcie tego, co wydaje się nieuniknione. Ale jednego jestem pewna: bez mojej pomocy mąż nie da sobie rady z matką. Jego siostry to urocze kobiety, ale niestety, nigdy nie były zbyt zaradne, a tym bardziej w obecnych warunkach nie stanowią dla niego żadnej podpory. Ja natomiast mogę mu pomóc. Wiem też, że mogę

liczyć na pomoc ze strony księcia von Wittingen i jego żony... że zrobią, co tylko możliwe, aby wysłać nas poza granice kraju. Tym bardziej że mogą przyczynić się do tego również admirał Canaris i pułkownik Oster z kontrwywiadu wojskowego.

Teddy zachowała milczenie, Ursula natomiast mówiła dalej: - I jeszcze jedno. Obie wiemy z tutejszych gazet, że wojna pomiędzy Niemcami i Anglią jest nieunikniona i że weźmie w niej udział również Francja. Nie wiadomo, kiedy do tego dojdzie, ale z każdym dniem sytuacja nabrzmiwa coraz bardziej, a nie mogę dopuścić, aby w takiej chwili moja rodzina tkwiła w Berlinie. Muszę coś zrobić, dopóki nie jest jeszcze za późno.

Odchyliła się do tyłu, czekając na odpowiedź Teddy, ponieważ jednak dziewczyna milczała w dalszym ciągu, dodała tonem bardziej natarczywym: - Jestem potrzebna w Berlinie! Czy tego nie rozumiesz?

- Tak, chyba tak - wymamrotała Teddy, starając się rozpaczliwie zagłuszyć dławiący ją strach.

- Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Byłabym ci naprawdę wdzięczna, gdybyś zatelefonowała jutro do ciotki i zapytała, czy możesz przyjechać do niej na dwa tygodnie. Oczywiście ja też z nią porozmawiam.

- Będzie starała się odwieść panią od tego zamiaru.

- Wcale nie, bo ja nie zamierzam mówić jej o mojej podróży do Niemiec. Powiem tylko, że mam do załatwienia pewną sprawę w Szwajcarii, dlatego chciałabym, abyś pojechała z moim synem do Anglii. Musisz przyznać, że obmyśliłam wszystko, prawda?

- Tak, pani Westheim. - Głos Teddy był cichy, brzmiało w nim przygnębienie.

Ursula zerwała się z miejsca, po tych wszystkich dniach letargu i rozpaczy nagle pełna energii i wigoru. Podeszła śpiesznie do sekretarzyka, z górnej szuflady wyjęła dwie koperty i pokazała je Teddy, wyjaśniając szorstkim, rzeczowym tonem: - Te listy dostaniesz w dniu wyjazdu do Londynu. Do tego czasu niech leżą tu zamknięte. Pierwszy adresowany jest do pana Henry'ego Rossitera, z londyńskiego Rossiter Merchant Bank. Rozmawiałam z nim już telefonicznie, tak więc czeka na ciebie, kiedy tylko zamieszkaż u ciotki. Będziesz musiała do niego pójść i wręczyć mu ten list, a są w nim moje pisemne instrukcje. Głównie chodzi o to, abyś mogła pobierać z na-

szego konta pieniądze, kiedy tylko będą potrzebne. Pieniądze z konta w Banque Mallet są właśnie przesyłane do Londynu, do Rossiter Merchant Bank. Zaaranżowałam tę transakcję parę dni temu i chciałabym, abyś pamiętała, że dopóki nie przyjedziemy do was, jesteś upoważniona do korzystania z tych pieniędzy na pokrycie potrzeb własnych i Maxima.

- Nie potrzebuję żadnych pieniędzy - zaproponowała Teddy.

- Moja ciotka zadba o nas, dopóki będziemy pod jej dachem.

- Nie wątpię w to, moja droga. Ale świadomość, że w razie potrzeby możesz podjąć z konta niezbędną sumę, będzie stanowić dla mnie pociechę, przynajmniej w jakimś stopniu.

Teddy kiwnęła głową; dalsza dyskusja na ten temat nie miała sensu.

Ursula, nie tracąc czasu, wyjaśniała dalej: - Drugi list przeznaczony jest dla ciebie. Ale możesz otworzyć go tylko w przypadku, gdyby mnie i memu mężowi przytrafiło się coś złego. Jeżeli zginę, a on zdoła się uratować, przekażesz list jemu. Poprosiłam pana Rossitera o sejf depozytowy w jego banku; tam będzie przechowywany mój list.

- Tak, oczywiście. Ale przecież ani pani, ani panu West-heimowi nie przytrafi się nic złego! - zawołała z emfazą Teddy, zmuszając się do uśmiechu i modląc się w duchu, aby jej słowa okazały się prorocze.

- Muszę powiedzieć ci jeszcze coś - mówiła dalej Ursula.

- Kiedy wyjeżdżaliśmy z Niemiec, część moich kosztowności miałam zaszytą w ubraniach. Głównie brylanty i szafiry. Po przyjeździe do Paryża zniosłam je do Banque Mallet, a monsieur André Mallet umieścił je w moim sejfie. Jutro wszystko zostanie przesłane do Rossiter Merchant Bank w Londynie. Tam klejnoty muszą być również zdeponowane wraz z moim listem w sejfie. Zanim wyjedziesz, wypiszę ci wszystko na kartce.

Teddy kiwnęła głową, wszystko było jasne.

- I ostatnia sprawa. Wiem, jak jesteś mądra, Teddy, i że mówisz dobrze po angielsku, ale pan Stiles z ambasady brytyjskiej w Paryżu uważa, że będzie lepiej, jeśli po przybyciu do Anglii uzyskasz kontakt z pewnym człowiekiem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na wypadek, gdybyś miała kłopoty z załatwieniem formalności imigracyjnych.

- Dziękuję - szepnęła Teddy i spojrzała Ursuli prosto w oczy. - Chyba nie mówiła pani panu Stilesowi, że wraca do Niemiec, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- On z pewnością uznałby to za nierozsądne, podobnie jak ja, może nawet próbowałby panią zatrzymać! - zawołała z przejęciem.

Ursula milczała; uświadomiła sobie, że dziewczyna ma rację.

Po chwili wstała i usiadła obok Teddy na sofie.

Ujęła jej rękę, ścisnęła delikatnie, a potem szepnęła tonem, jakim człowiek zwierza się swemu powiernikowi: - Staraj się zachować spokój, nie obawiaj się. Wszystko będzie w porządku, moja droga, zaufaj mi. Ja po prostu wiem, że wszystko będzie w porządku.

* * *

W ciągu czterech dni od wieczoru, kiedy odbyła się ta rozmowa, załatwiono wszelkie formalności, niezbędne do wyjazdu Teddy i Maxima z Francji.

Ciotka Ketti Berners wyraziła oczywiście natychmiast zgodę na pobyt u niej, dopóki nie przybędą do Londynu Ursula i Sigmund.

- Będę czekała na was na stacji Victoria, tam zatrzymuje się pociąg mający bezpośrednie połączenie ze statkiem z Francji - powiedziała podczas rozmowy z Teddy. To samo powtórzyła Ursuli, zapewniając, jak bardzo cieszy ją ich przyjazd i perspektywa ugoszczenia ich w jej domu.

Od kilku tygodni Ursula borykała się z problemem, który spędzał jej sen z powiek: jak postąpić, jakie rozwiązanie będzie najlepsze dla nich wszystkich? Kochała zarówno syna, jak i męża, sprawa nie polegała według niej na dokonaniu wyboru, lecz raczej na obraniu lepszej drogi. Drogi, która zapewni ostatecznie połączenie rodziny.

Wyglądało na to, że Sigi nie jest w stanie ruszyć się z Berlina, zapewne ze względu na stan zdrowia matki. Nie miała pojęcia, czy istnieją jeszcze inne powody, nie miała też żadnych źródeł informacji. Mogła jedynie liczyć na powtórny przyjazd Kurta von Wittingen do Paryża i kolejną porcję wiadomości z Berlina, ale to wydawało się mało prawdopodobne.

Kilka dni temu postanowiła zatelefonować do Arabelli albo do Renaty, ale niemal natychmiast porzuciła tę myśl.

Było prawie pewne, że ich telefony znajdują się od dawna na podsłuchu, taka rozmowa mogła wpędzić je w poważne kłopoty. Poza tym nie wiedziała, czy jej przyjaciółki powiedziałyby jej

coś konkretnego, nawet gdyby do nich zadzwoniła. Zapewne nie byłyby bardziej rozmowne niż Sigi, podobnie jak on bałyby się powiedzieć zbyt wiele.

I tak postanowiła w końcu powrócić do Berlina, pomóc mężowi wywieźć rodzinę za granicę tak szybko, jak to możliwe. Ani przez chwilę nie wątpiła, że jeśli połączą swe wysiłki, dopną celu. Przecież zawsze tworzyli zgrany zespół, nawet jako dzieci.

Sigi otrzymał już od admirała Canarisa pięć wiz wyjazdowych, Ursula mogła więc po przyjeździe do Berlina zmusić Sigrid oraz jej męża, Thomasa Mayera, do natychmiastowego opuszczenia Niemiec. Ułożyła już sobie nawet plan działania -według niej doskonały: Mayerowie oznajmią służbie, że jadą w sprawach służbowych do Hamburga, co w ich przypadku zdarzało się dość często, i zabierają ze sobą Hedy, dla towarzystwa. W Hamburgu będą mogli zaokrętować się na pierwszy lepszy statek płynący do Anglii, nawet na frachtowiec, o ile nie trafi się nic lepszego. Hamburg był portem wyjątkowo ruchliwym, znalezienie tam statku nie powinno więc nastęrczyć większych problemów.

W tym samym czasie ona i Sigi udadzą się z matką do Szwajcarii, rzekomo w celach leczniczych. Również tę część planu Ursula opracowała już ze wszystkimi szczegółami: pojedą samochodem z Berlina do Frankfurtu, a następnie do Stuttgartu. Stamtąd skierują się do Mannheim i Konstancji, nocując w niektórych z tych miast, tak aby podróż nie dała się Margarete zbyt w znak, i przekroczą granicę w pobliżu Konstancji. Dzięki temu znajdą się od razu niedaleko Zurychu, gdzie mieli kilku zaprzyjaźnionych bankierów. W razie potrzeby mogli na nich liczyć.

Ursula nie wątpiła, że admirał Canaris udzieli im pomocy, jeszcze ten jeden raz. Może nawet ułatwi im przekroczenie granicy, tak aby niemiecka straż graniczna nie badała ich zbyt skrupulatnie.

Podczas gdy ona i Sigi zajmą się wywiezieniem matki z Niemiec, Maxim będzie już przebywał w bezpiecznym miejscu - i ta świadomość dawała Ursuli poważny komfort psychiczny. Teodorę Stein darzyła pełnym zaufaniem, mogła na niej polegać. Teddy była osobą odpowiedzialną, a poza tym kochała Maxima jak gdyby był jej dzieckiem. Nie pozwoliłaby, aby stało mu się coś złego, raczej oddałaby za niego własne życie. Biorąc to wszystko pod uwagę, Ursula wysyłała syna do Anglii pod opieką Teddy ze spokojnym sumieniem. Anglia

była dla niego najlepszym miejscem. Była krajem demokratycznym i cywilizowanym, sprawiedliwość i uczciwość panowały tam na co dzień, a Żydów traktowano dużo lepiej niż w większości miejsc na świecie.

Pocieszający był również fakt, że Ketti Berners jest kobietą rzetelną i uczciwą. Kilka rozmów, jakie Ursula przeprowadziła z nią ostatnio przez telefon, utwierdziły ją tylko w przekonaniu, że to osoba równie wspaniała jak jej zmarły brat, doktor Johann Stein. Maxim i Teddy nie mogli znaleźć się pod lepszą opieką.

A jednak tego ranka, kiedy oboje mieli wyjechać do Anglii, Ursulę ogarnęło przygnębienie. Zapinając Maximowi marynarkę po śniadaniu i przygotowując go do podróży, czuła straszliwy ból w okolicy serca, coś dławiło ją w gardle. Był jeszcze taki mały, miał cztery i pół roku, i w wielu sprawach był taki dziecinny!

Przez chwilę zawahała się, niemal skłonna zmienić zdanie. Uzmysłowała sobie, że nie zniesie tego, jeśli straci go z oczu choćby na sekundę, nie mówiąc już w ogóle o całych tygodniach. Ale potem przypomniała sobie, co czeka ją w Berlinie, i natychmiast wzięła się w garść.

- Chodź, usiądź przy mnie na sofie, skarbie, chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała łagodnie, uśmiechając się do syna.

- A o czym, mamó? - zapytał, podnosząc na nią swoje duże, łagodne, piwne oczy, które zawsze chwytaly ją za serce, ale nigdy do tego stopnia, co dziś.

- O podróży do Anglii - odparła, kiedy usiadł obok niej. Kątem oka widziała Teddy; dziewczyna stała w sypialni rozmawiając przez telefon; z pewnością prosiła o przysłanie kogoś, kto zniósłby na dół bagaże.

Ursula odchrząknęła i zaczęła wyjaśniać: - Pojedziesz teraz z Teddy do Londynu, Maximie. Tam zamieszkaż chwilowo u jej ciotki Ketti. A ja przyjadę do was niebawem.

Jego drobna twarzyczka zmieniła się w jednej chwili, zarysował się na niej lęk, oczy zogromniały, a z ust wydobył się rozpaczliwy okrzyk: - Ale dlaczego nie jedziesz z nami od razu, mamó? Nie chcę jechać bez ciebie!

- Cii, skarbie, nie ma powodów do niepokoju. - Wzięła go za rękę i ścisnęła mocno. - Muszę udać się jutro do Berlina, pomóc papie. Musimy przywieźć babcię do Anglii. Wiesz przecież, że jest chora, a papa nie poradzi sobie z tym wszystkim sam. Jestem mu potrzebna, pomogę mu zająć się babcią w podróży, to przecież już starsza pani i musi mieć opiekę, rozumiesz chyba.

- Nie chcę wyjechać bez ciebie! - powtórzył z uporem Maxim. Jego górna warga zadygotała, całym ciałem przywarł do matki i wybuchnął płaczem.

Objęła go oburącz, przytuliła do siebie ze wszystkich sił, a potem pogłaskała po głowie, starając się go ukoić.

Rozłąka z nim, nawet na tak krótko, raniła jej serce. Oboje z mężem czekali na niego długo, przez wiele lat małżeństwa, tym gorętszą więc darzyła go miłością. Był jej częścią, częścią jej serca...

Czuła jak wzbierają w niej łzy, nie mogła wykrztusić nawet słowa, siedziała tylko, tuląc swego synka w ramionach i kołysząc go jak do snu. Kiedy doszła trochę do siebie, szepnęła: - Za dziesięć dni będziemy znowu razem, myszko, nie później, będziemy razem... ty i ja, i papa... tak jak dawniej, kiedy mieszkaliśmy w Berlinie.

Maxim odsunął od niej główkę, spojrzał jej w oczy, a potem pogłaskał ją pulchną dłonią po policzku. - Przyrzeknij - szepnął głosem nabrzmiętym od łez.

- Przyrzekam. - Ursula wyjęła z kieszeni swego kostiumu chusteczkę i wytarła jego wilgotne policzki. - O, tak już lepiej, prawda, mój skarbie? - powiedziała z uśmiechem. - Nie płacz. Nie rozłączamy się na długo, a przez ten czas masz przecież swoją kochaną Teddy, ona zaopiekuje się tobą.

Kiwnął głową i nawet się uśmiechnął. - Ale powiedz, mamo, czy na pewno przywieziesz ze sobą papę i babcię?

- Oczywiście! Po to właśnie tam jadę... przywieźć ich tu. Spojrzał na nią z uwagą, przechylił głowę na bok i zapytał w końcu: - Ale nie zgubisz mnie, prawda, mamo?

Zaskoczona tym pytaniem i zaniepokojona troską malującą się na jego twarzy, zawołała: - Jakże bym mogła cię zgubić! Skąd ci to przyszło do głowy, kochanie?

- Teddy czytała mi kiedyś... o chłopcu, który nazywał się Hans... jego mama zgubiła go... i już nigdy... nie mogła go odnaleźć. Nie chcę być zgubionym chłopcem... Nie gub mnie, mamo, proszę!

- Nigdy cię nie zgubię, skarbie! Nigdy, nigdy, nigdy! Zbyt wiele dla mnie znaczysz! Za bardzo cię Kocham! -

Wyciągnęła obie ręce, a on wtulił się w jej ramiona, kurczowo, ze wszystkich sił.

Ktoś zapukał do drzwi i Ursula wypuściła syna z objęć, zrywając się na równe nogi. Jednocześnie do salonu wbiegła Teddy. - To pewnie służba hotelowa! - zawołała. Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka dwóch młodych ludzi w liberii.

- Maximie, może zaprowadzisz ich do sypialni i pokażesz walizki, które trzeba znieść na dół? - zaproponowała Ursula, chcąc zająć chłopca czymś innym i zyskać zarazem sposobność do pozostania na chwilę sam na sam z Teddy.
- O tak, już idę! - zawołał, podekscytowany swą misją. Zeskoczył z sofy i wybiegł z salonu. Kobiety odprowadzały go wzrokiem, dopóki nie zniknął za drzwiami sypialni, a potem spojrzwały po sobie.
- Wyjadę do Berlina dopiero, kiedy upewnię się, że jesteście już na miejscu - szepnęła Ursula. - Będę czekała w hotelu na wiadomość.
- Zadzwoń, jak tylko przyjadę do cioci Ketti.
- Nie zapomnisz tego, co ci powiedziałam, prawda, Teddy?
- Na pewno nie zapomnę. A w torebce mam dwa listy, gotówkę, jaką pani mi dała, i spis kosztowności.
- Ufam ci, Teddy, i wierzę, że dasz sobie ze wszystkim radę. Gdyby coś się stało... - Znowu poczuła ów ucisk w gardle, obróciła głowę na bok, nagle niezdolna wymówić choćby słowo. Całą siłą woli nakazała sobie spokój i wkrótce kontynuowała swoim normalnym tonem: - Gdyby nie udało nam się dotrzeć do Anglii, zaopiekuj się Maximem, zrobisz to dla mnie, prawda? Zaopiekujesz się nim, dopóki to będzie potrzebne?
- Przecież pani wie, że tak! - Gestem pocieszenia Teddy położyła jej dłoń na ramieniu. - Ale już niedługo pani sama zajmie się nim w Londynie. Wszystko ułoży się zgodnie z planem.
- Mam nadzieję. - Ursula postąpiła krok do przodu i objęła Teddy. - Uważaj na siebie. I na Maxima.
- Na pewno, pani Westheim. Może być pani o to zupełnie spokojna.
- Tak, wiem. A teraz powinniśmy już chyba pojechać na stację Gare du Nord. Będę za wami tęskniła, ale cieszę się, że znajdziecie się niebawem w Londynie. - Umilkła na chwilę, patrząc dziewczynie prosto w oczy, a potem uśmiechnęła się dzielnie. Cichym, łagodnym głosem dodała: - Tam będziecie bezpieczni, i ty, i on.

Część III
Teodora
Londyn 1944

*Niedola nie przystąpi do ciebie,
a cios nie spotka twój namiot,
Bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie,
cię strzegli na wszystkich twych drogach.
Na rękach będą cię nosili,
abyś nie uraził swej stopy o kamień.*

Psalm 91

21

Był piękny, letni wieczór ostatniego dnia sierpnia.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, ostatnie migotliwe promienie stroiły odległy rąbek nieba purpurą, przechodzącą tu i ówdzie w barwę szafranu, ametystu i bladego bzu, aby w końcu zgasnąć gdzieś za horyzontem. Widok był tak niewiarygodnie piękny, że Teodora wstrzymała na chwilę oddech. Teraz niebo okryło się głębokim, pawim błękitem, maconym przez mroczne chmury; zmierzch zapadał w zdumiewająco szybkim tempie, rzucając perłowe, opalizujące cienie na zieloną murawę, starą jabłoń, wonne krzewy różane oraz na skalniak, obsypany uroczymi górskimi kwiatami.

W ogrodzie, rozpościerającym się przed tarasem, na którym siedziała Teddy, wszystko trwało w absolutnym bezruchu, gałęzie, liście, nawet źdźbła trawy, panowała też głucha cisza.

Teddy wsłuchiwała się w nią z głową odchyłoną do tyłu, delektowała się otaczającym ją spokojem. Powietrze było nieco zbyt ciężkie, ale to jej nie przeszkadzało; potęgowało jedynie błogi, nieco senny nastrój, w jakim się znajdowała.

Miała za sobą bardzo pracowity dzień, chciała więc trochę ochłonać, zanim zajmie się przyrządzaniem kolacji.

Maxim i jego kolega ze szkoły, Alan Trenton, który gościł u nich od kilku dni, absorbowali ją od wczesnego rana: spacery po okolicznym wrzosowisku - nazywali to „ekspedycją badawczą” - po których następowały wypadki do herbaciarni na przedpołudniowy posiłek, najczęściej ciastko z herbatą, ponowna wyprawa na wrzosowisko, przejażdżka łodzią po stawie i wreszcie powrót do domu na lunch.

Przygotowała parówki z frytkami i fasolą, aktualny przysmak chłopców, i wzbogaciła to danie o rzadką w tych czasach delicję - gotowane jajka, które Sam Giles, miejscowy sklepikarz, odłożył dla niej poprzedniego dnia. Przez pół godziny stała w kolejce przed sklepem wraz z innymi kobietami,

czekającymi cierpliwie na moment, kiedy będą mogły dokonać zakupów na weekend, a kiedy wreszcie podała panu Gilesowi trzy kupony żywnościowe, ten przechylił się przez ladę i szepnął jej do ucha konspiracyjnym tonem: „Za trzy kartki mogę dać dwa jajka, panno Stein”, po czym podał jej ukradkiem małą, papierową torebkę. „Proszę włożyć to do kosza, złotko, i nie mówić o tym nikomu. Nie chcę tu zamieszania. Mam do sprzedania jedynie dziewięć jaj, na które czekają dwa tuziny kobiet”.

Podziękowała mu wtedy z całego serca i ostrożnie przyniosła do domu cenny nabytek, który zawdzięczała nie tylko temu, że Sam Giles lubił ją, ale również faktowi, iż była od lat jego stałą klientką, jedną z najlepszych. Teraz odczuwało się brak wszystkiego, zwłaszcza świeżych jaj, cukru, mięsa i owoców z importu. Ludzie zaczęli już zapominać, jak smakują pomarańcze, banany czy grapefruity, a racjonowana żywność oznaczała przede wszystkim brak urozmaicenia w posiłkach. Z tego względu zdobycie czegoś rzadkiego stawało się prawdziwym świętem w domu i Teddy patrzyła z prawdziwą przyjemnością, jak oczy chłopców zabłyśły na widok jajek, kiedy postawiła przed nimi talerze na stole.

Po południu ciotka Ketti sprawiła im kolejną niespodziankę: zabrała ich do kina, aby mogli zobaczyć Claude'a Rainsa w filmie „Upiór w operze”. Ten film wyświetlany był już po raz trzeci w bieżącym sezonie, oni jednak oglądali go z nie słabnącym zainteresowaniem. Filmy w technicolorze należały jeszcze do rzadkości i były dla dziesięciolatków wystarczająco niesamowite, aby wzbudzić ich emocje; w drodze powrotnej do domu wysforowali się przed Teddy i Ketti, strojąc różne dziwaczne miny i naśladując Rainsa, który błąka się w podziemiach paryskiej opery.

Dziesięcioletek, pokiwała w zadumie głową. A więc minęło już tyle czasu, odkąd przybyła z Maximem do Anglii! Pięć lat! Nie mogła odżalować faktu, że do tej pory państwu Westheim nie udało się do nich dołączyć. Myślała o nich niemal bez przerwy, zastanawiała się, gdzie w tej chwili są, jak się czują, czy są bezpieczni. Nie było dnia, aby nie starała się odgadnąć, co się z nimi aktualnie dzieje, a idąc spać modliła się za nich, o ich bezpieczną ucieczkę z Niemiec i przybycie do Anglii. Bywały chwile, kiedy wydawało jej się niemożliwe, aby Maxim miał już dziesięć lat, ale on istotnie osiągnął ten wiek, a pod wieloma względami sprawiał wrażenie jeszcze bardziej doj-

rzalego. Przypuszczała, że ma to związek z jego pobytem z dala od domu, w internacie, gdzie obracał się wśród swoich rówieśników i w pewnym sensie był zdany na siebie. W ciągu ostatniego roku stał się bardzo samodzielny. Ale to wszystko wyjdzie mu tylko na dobre. Nie chciała, aby wyrósł na młodzieńca niezaradnego, trzymającego się stale jej spódnicy i liczącego na jej pomoc. Pragnęła wychować go w taki sposób, aby potrafił stać na własnych nogach, i z satysfakcją dostrzegała efekty swych starań.

Maxim uczył się bardzo dobrze, mógł być stawiany innym za wzór. Kiedy ukończył osiem lat, zdał bez najmniejszego trudu egzaminy wstępne do Colet Court, uzyskując oceny tak doskonałe, że zrobiło to nawet wrażenie na ciotki Ketti. Wynik egzaminów uradował zwłaszcza Teddy, jako że poziom tej starej, słynnej uczelni był wyjątkowo wysoki, a poza tym ona sama przygotowywała Maxima do szkoły.

Po przybyciu do Anglii w marcu 1939 roku Teddy skorzystała z rekomendacji ciotki i wysłała chłopca do małej szkółki wstępnej w Belsize Park, w pobliżu domu. Maxim rozpoczął edukację we wrześniu, a więc niedługo po swoich piątych urodzinach, które przypadały 12 czerwca. Natychmiast przystosował się do nowego otoczenia niczym kameleon, bardzo szybko też opanował język angielski ze wszystkimi jego osobliwościami. Maxim nigdy nie stwarzał problemów, ani w przedszkolu, ani w Colet Court.

Teddy uczyła go angielskiego przez pierwsze pięć miesięcy, które spędzili u ciotki Ketti, następnie zaczął uczęszczać do przedszkola, gdzie okazało się, że ma nieprzeciętny talent do nauki języków obcych. Teraz mówił po angielsku bezbłędnie, mógł nawet poszczycić się nieskazitelną wymową, opanował też biegle język francuski, którego uczył się w szkole przygotowawczej.

Mimo iż Maxim zaczął chodzić do przedszkola już w wieku pięciu lat, Teddy zorientowała się niemal natychmiast, że tutejszy program dydaktyczny nie wykorzystuje wszystkich możliwości tkwiących w chłopcu. Zaczęła więc uczyć go dodatkowo w weekendy, udzielała mu lekcji z historii Anglii, geografii i matematyki. Ten ostatni przedmiot wzbudził szczególne zainteresowanie chłopca, który wykazywał wyjątkowe upodobanie do liczb. Po rozpoczęciu nauki w Colet Court okazało się, że jego najmocniejszą stroną jest właśnie matematyka; nauczyciel nazwał go nawet ge-

nuszem, potwierdzając w ten sposób opinię wypowiedianą od dawna przez Teddy.

Przenikliwe, natrętne wycie syren, ogłaszających alarm przeciwlotniczy, zakłóciło ciszę i spokój ogrodu, przerwało rozmyślanie Teddy o Maximie i poderwało ją z miejsca, przywołując do rzeczywistości, jaką był jeszcze jeden dzień wojny.

Usłyszała za sobą szybkie kroki, odwróciła się i ujrzała ciotkę, Maxima i Alana; wybiegali właśnie z salonu do ogrodu.

- To znowu te latające bomby, Teddy! - zawołał Maxim, mając na myśli rakiety V1, które Niemcy systematycznie wystrzelili na Anglię z drugiej strony kanału la Manche.

- Tak, z pewnością to one! - odrzyknęła, ponagając całą trójkę energicznymi ruchami rąk. - Wszyscy natychmiast do schronu! Natychmiast! Proszę!

- Już idziemy, kochanie - zapewniła ją ciotka. - Ty pierwsza!

Teddy pobiegła czym prędzej do schronu przeciwlotniczego, mieszczącego się na skraju ogrodu i obłożonego taką ilością worków z piachem, że wyglądał raczej na ziemiankę w okopach na pierwszej linii frontu. Zeszła po trzech stopniach na dół, otworzyła drzwi, chwyciła stojącą przy wejściu latarkę, zapaliła ją, po czym podeszła do stołu w głębi pomieszczenia, na którym stały trzy duże świece w słoikach po dżemie oraz dwie lampy naftowe. Zanim nadeszła ciotka z chłopcami, pięć płomyków rozświetliło ciemności schronu.

Ketti zamknęła za sobą drzwi i spoczęła na swoim krześle, wzdychając ciężko. Pięć lat wojny, bombardowań, grozy, strachu, wyrzeczeń, strat, oraz przesiadywania w schronie nawet w ciągu dnia, wyzuło ją z sił.

* * *

Schron, z którego korzystali, był wystarczająco duży, aby pomieścić cztery osoby. Szef lokalnej cywilnej służby przeciwlotniczej, Jock Philips, oraz dwaj jego pomocnicy zbudowali go we wrześniu 1939 roku, wkrótce po tym, jak rząd angielski, sprowokowany okrutną napaścią Hitlera na Polskę, wypowiedział w końcu wojnę Niemcom, podobnie jak uczyniła to Francja.

Trójka mężczyzn wykonała wspaniałą robotę: schron, mający kształt tunelu, był częściowo wpuszczony w ziemię;

ściany, podłoga i dach wspierały się na żelaznych płytach, połączonych w jeden szkielet i obłożonych grubą warstwą ziemi oraz workami z piachem, w celu dodatkowego zabezpieczenia całości.

Pod ścianą ustawione były jedna na drugiej prycze, obok mieściło się jeszcze jedno łóżko, mniejsze od tamtych. Dwa krzesła i sfatygowany perski dywan wnosiły tu odrobinę tak przecież potrzebnej wygody. W kącie stał grzejnik naftowy, zabezpieczający przed chłodem, a pod drugą ścianą najważniejszy mebel - pełniący funkcję spiżarni kredens. Ketti i Teddy załadowały go po brzegi najprzeróżniejszymi puszkami: z peklowaną wołowiną, zupą pomidorową, fasolą, owocami, różnymi odżywkami dla dzieci. Były tam również mleko i jaja w proszku, kakao oraz butelki z wodą - na wypadek zniszczenia wodociągów. Na blacie kredensu stała kuchenka, obok niej piętrzyły się garnki, patelnie, czajnik z gwizdkiem, kubki, a nawet termos. W pudełku po herbacie mieściła się podręczna apteczka, w zasięgu ręki leżały nawet maski przeciwgazowe, obawiano się bowiem ataku gazowego, a w obitej blachą skrzynce przechowywane były takie rzeczy jak mydło, pasta do zębów i inne podstawowe kosmetyki, ręczniki, grube, wełniane plety, swetry, szale, wełniane czapki i rękawice.

Obydwie kobiety zdołały zgromadzić w schronie to wszystko, co może okazać się przydatne w codziennym życiu. Zabezpieczyły się w ten sposób na wypadek, gdyby ich dom ucierpiał wskutek jednego z wielu ataków bombowych, a oni zostaliby zmuszeni do zamieszkania w schronie na dłużej.

Maxim podszedł do najmniejszego z łóżek. - Siadaj, Serdelku - zaproponował Alanowi. - Mam nową układankę, jeśli chcesz, możemy się pobawić.

- Byczo, Książę! - ucieszył się Alan, siadając na łóżku. Wsparł się na łokciu i spojrzał na przyjaciela. - Jaki jest temat układanki?

- Spodoba ci się - odparł z przekonaniem Maxim, wyjmując pudełko ze skrzyni. - Święty Jerzy i smok. Nie wygląda na łatwą.

- Dla ciebie nie ma rzeczy trudnych - odparł Alan z uśmiechem. - Otwieraj, zaczniemy układać.

- Ty otwórz, Serdelku. - Maxim położył pudło na kocu i dodał: - Wyjmę spod szafy tę blaszaną tacę, będziemy na niej układać.

Wkrótce siedzieli obok siebie, pochłonięci do tego stopnia układaniem niezliczonych elementów układanki, że zapomnieli o Teddy, ciotce Ketti, a nawet o ataku lotniczym, trwającym gdzieś na zewnątrz.

Teddy usiadła na krześle, naprzeciw Ketti. - Mam nadzieję, ciociu, że nie będziemy musieli siedzieć tu do rana, jak ostatnim razem - powiedziała cicho.

- Z tymi V1 nigdy nie wiadomo. Wszystko zależy od tego, jak długo będzie trwał ostrzał - odparła rzeczowo Ketti. - Tajna broń Hitlera okazała się prawdziwie szatańską, prawda?

- Tak, masz rację... Tylu zabitych w ciągu zaledwie paru miesięcy! Kilkuset w samym Londynie... Nie mogę o tym nawet myśleć! - Potrząsnęła głową. - Pamiętam, co Churchill powiedział w przemówieniu radiowym w lipcu... że po raz pierwszy od początku wojny jest tyle ofiar wśród ludności cywilnej. Te bomby nadlatują tak nieoczekiwanie... to straszne! Boję się, ciociu Ketti!

Starsza pani wzdrygnęła się, w milczeniu kiwnęła głową i sięgnęła po robótkę na drutach. W duchu przeklinała owego zwariowanego Austriaka, jak nazywała Hitlera, oraz wszystkich narodowych socjalistów. Jeszcze raz westchnęła i zajęła się swetrem, który robiła dla Maxima.

Mimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat Ketti Stein Berners była nadal interesującą kobietą. Nie wyglądała na swój wiek, może dzięki dobremu życiu, jakie wiodła w Anglii, otoczona przez męża miłością, czułością, opieką i wszelkimi wygodami. Śnieżnobiałe włosy mówiły swoje, za to twarz była pełna, różowa i niemal pozbawiona zmarszczek. Imponowała też szczupłą figurą, zdumiewający wigor i żywotność Ketti. Miała łagodne, piwne oczy i pogodne, życzliwe usposobienie. Żałowała tylko jednego: że jej drogi Harry zmarł przedwcześnie. Gdyby nie tamten atak serca, byłiby dziś razem. Harry Berners zabezpieczył jej byt jak mógł najlepiej: jego dwaj bracia, wspólnicy, z którymi prowadził fabrykę włókienniczą, nadal wypłacali jej dywidendy, jakie jemu przypadałyby w udziale, gdyby żył, i mieli postępować w ten sposób aż do jej śmierci. Potem jej córka, Rachel, miała otrzymać udział w zyskach i odpowiednią pensję, dopóki oni dwaj zajmowali się interesami.

Ketti odłożyła raptem robótkę, uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Również chłopcy uciszyli się.

Jakiś donośny dźwięk, niemal huk, narastał, zagłuszając wszystko inne. Już po chwili odnieśli wrażenie, że źródło huku znajduje się tuż nad ich głowami. Była to latająca bomba; wiedzieli o tym i opadła ich trwoga. Hałas wzrósł jeszcze bardziej, a potem nagle ucichł. Przez dwie sekundy panowała złowieszcza cisza, po której nastąpiło coś jakby przeraźliwy grzmot. Powietrze zadrżało od eksplozji.

- O, mój Boże! Dom! - zawołała Ketti, załamując ręce.

- Trafili w nasz dom!

- Nie, to niemożliwe, ciociu Ketti - uspokoił ją Maxim.

- Gdyby latająca bomba uderzyła w nasz dom, huk byłby o wiele głośniejszy. Myślę, że bomba spadła o kilka ulic dalej.

- Maxim ma rację - odezwał się Alan, jak zwykle popierając swego przyjaciela. - Założę się, że tam, gdzie upadła, jest teraz olbrzymi lej.

- Co za czasy, co to za czasy... - szepnęła Ketti, potrząsając ze smutkiem głową. - Codziennie śmierć i zniszczenie... I tyle nieszczęść... - Jej głos, przepełniony boleścią, umilkł.

Pomyślała o swojej córce Racheli i małej wnuczce Harriet, mieszkających w Brighton, i poczęła modlić się w duchu o ich bezpieczeństwo. Modliła się też za swojego zięcia Geralda, który walczył obecnie gdzieś we Włoszech w szeregach armii brytyjskiej generała Alexandra. Dobry Boże, spraw, aby nie spotkało ich nic złego, błagała po cichu. Ocal moją rodzinę, moich bliskich, ocal tych wszystkich dzielnych ludzi, którzy walczą teraz na świecie przeciw faszystom...

- Taka latająca bomba jest wielkości samolotu Spitfire

- zauważył raptem Maxim, a jego słowa zaskoczyły Ketti do tego stopnia, że drgnęła na krześle.

Spojrzała na niego, marszcząc lekko brwi, on zaś kontynuował: - To taki samolot bez pilota, ciociu Ketti, bardzo duży. Dlatego robi taki wielki lej, kiedy uderzy w ziemię.

Alan przytaknął skwapliwie, w jego błękitnych oczach i na piegowatej twarzy malowała się powaga. - Ale mój ojciec mówi, że i tak ich pobijemy, tych Szwabów. Nasze myśliwce i działa przeciwlotnicze zestrzelą całą mnóstwo latających bomb, a na wybrzeżu powstają już nowe baterie przeciwlotnicze.

Ketti zwróciła na niego zdumiony wzrok. - Skąd u dzieci takie wiadomości! - wykrzyknęła. - Takie straszne wiadomości... o działach i samolotach bojowych, i śmierci...

Och, to okropne! Kiedy wreszcie ta okropna wojna dobiegnie końca, kiedy wreszcie nasze dzieci będą mogły zapomnieć

o wszystkich tych samolotach, bombach, czołgach, działach

i pociskach! Kiedy staną się znowu dziećmi i zajmą się tym, co jest przeznaczone dla dzieci!

- Mój ojciec mówi, że wojna niedługo się skończy - odezwał się znowu Alan. - Powiedział, że latem przyszłego roku będziemy świętować zwycięstwo.

- Miejmy nadzieję, że twój ojciec ma rację - mruknęła Teddy. Wstała i podeszła do kredensu. - Co byś powiedziała na filiżankę ciepłej herbaty na ukojenie nerwów, ciociu Ketti?

- Moje nerwy nie wymagają ukojenia, Teddy. Ale z drugiej strony nie miałabym nic przeciwko herbatce z róży.

Wiesz, że rzadko odmawiam sobie tej przyjemności.

- Ja chyba też się napiję. - Teddy wzięła butelkę z wodą, wlała jej zawartość do czajnika, zapaliła kuchenkę i nastawiła czajnik.

Potem siedziały obie w milczeniu, patrząc na chłopców, którzy zajmowali się swoją układanką, gawędząc zarazem o szkole.

- Pamiętasz, jak panna Threscoe obiecała, że zabierze nas na bazar i pokaże nam straganiarzy, a zwłaszcza tego w naj-paradniejszym stroju, z mnóstwem guzików z masy perłowej? - zapytał Maxim. - Jak dotąd, nie zrobiła tego.

- Bo on poszedł na wojnę, jest w marynarce wojennej. Ale zabierze nas tam na pewno, jak tylko szkopy się poddadzą, a on wróci na East End - odparł Alan. - Ale teraz skończmy tę układankę. Chcę wreszcie zobaczyć, jak to wygląda.

- Dobrze - zgodził się Maxim, rozglądając się za elementem, który pasowałby do łba smoka.

- Chłopcy, a wy? Napijcie się z nami? - zapytała Teddy, zalewając wrzątkiem liście w dużym, brązowym dzbanku; tym samym, o którym ciotka Ketti mówiła, że tylko w nim można zrobić prawdziwą herbatę.

- Ja tak, poproszę - powiedział Maxim i spojrzał na przyjaciela. - A ty, Serdelku? Masz ochotę na ziółka?

- Jeszcze jak! Pycha! - zawołał Alan i natychmiast zreflektował się. - Tak, Teddy, jeśli można, bardzo proszę.

Kiwnęła głową. - Dobrze, ale dostaniecie tylko po małej szklaneczce. Nie powinniście pić za dużo tej wody z butelki.

Teddy siedziała popijając herbatę i usiłując nie zwracać uwagi na odgłosy bombardowania, nadal dobiegające z zewnątrz. Nie przychodziło jej to łatwo: ciągle eksplozje, terkot dział przeciwlotniczych, piskliwe syreny ambulansów i donośne wycie samochodów strażackich tworzyły kakofonię dźwięków, przenikającą bez trudu ściany schronu i szarpiącą nerwy.

Bała się nawet myśleć o zniszczeniach na ulicy, o tych, którzy leżeli teraz gdzieś nie opodal ranni albo martwi, o tych, którzy właśnie utracili swoich bliskich lub domy. Każdego dnia powtarzało się to samo, a wszystko z powodu tej przeklętej, bezsensownej wojny!

Powiodła dokoła wzrokiem, uświadamiając sobie, jak bardzo przydał im się ten schron. Przez cały czas bitwy o Anglię, przez wszystkie te długie i okropne miesiące 1940 roku, kiedy Anglia po upadku Francji walczyła osamotniona. Londyn i większość miast legły w gruzach na skutek nie kończących się bombardowań, ludzie ginęli masowo, odnosili rany. Wszyscy nękani byli nalotami bombowców Dornier i Heinkel spod znaku Luftwaffe, nikt nie wiedział, czy dożyje następnego dnia.

Ale w końcu ci dzielni chłopcy z RAF-u* bohatercko odparli wszystkie ataki niemieckiej Luftwaffe, określanej przez prasę jako „największa flota powietrzna, wystawiona przez jakikolwiek kraj”. Lato przeszło w jesień, zima nadeszła i minęła, a na początku nowego 1941 roku okazało się, że Brytyjczycy nadal trwają na swych posterunkach. Sytuacja ta utrzymywała się przez trzy kolejne lata.

Jakie to szczęście, że nikt z nas nie ucierpiał podczas bombardowań, pokręciła w zadumie głową Teddy. Teraz schron ponownie oddawał im nieocenione usługi, chroniąc ich przed śmiertelnościami bombami, które zaczęły spadać na Anglię w czerwcu, zaskakując cały kraj i siejąc strach.

Teddy modliła się nieustannie, prosząc Boga, aby pozwolił Maximowi, cioci Ketti i jej samej dożyć końca wojny. Niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze ani dla nich, ani dla reszty Anglików, chociaż z drugiej strony, podzielała opinię ojca

*** Royal Air Force - ang. - Królewskie Siły Lotnicze, przyp. tłum.**

Alana, że alianci odniosą ostateczne zwycięstwo najpóźniej do lata przyszłego roku. Klęska III Rzeszy, marzenie, które kiedyś wydawało jej się niemożliwe do spełnienia, teraz stała się czymś realnym. Na rozbudzenie owych nadziei złożyło się ostatnio wiele wydarzeń.

Przed dwoma miesiącami, szóstego czerwca, olbrzymia flota angielska przybiła do brzegów Francji, a oddziały brytyjskie i amerykańskie dokonały desantu w Normandii. Dzień „D” okazał się dużym sukcesem aliantów. Tydzień temu, w piątek 25 sierpnia, armia Wolnej Francji, dowodzona przez generała Jacquesa Leclerca i wspierana przez oddziały piechoty amerykańskiej, przekroczyła Sekwanę, zalewając mosty nie kończącym się strumieniem żołnierzy. Czołgi francuskie wdarły się do miasta, piechota opanowała ulice i w ciągu paru godzin generał Leclerc wyzwolił Paryż spod okupacji niemieckiej. Tego samego wieczoru wzięto do niewoli głównodowodzącego wojsk niemieckich w tym rejonie, generała Dietricha von Choltitza, co skłoniło resztki oddziałów hitlerowskich do złożenia broni. Stolica Francji została przekazana z powrotem Francuzom.

Następnego ranka generał Charles de Gaulle przemarszerował wzdłuż Champs-Élysées od Łuku Triumfalnego do Placu Zgody, wiodąc paradę zwycięstwa, a witały go radosne okrzyki rozentuzjasmowanego tłumu.

Teddy, Maxim, ciotka Ketti i Alan obejrżeli te pamiętne wydarzenia, wypełniające całą kronikę filmową, we wtorek w pobliskim kinie, a doniesienia o wyzwoleniu Paryża znalazły się na czołowych miejscach w prasie angielskiej.

Teddy śledziła pilnie przebieg walk, codziennie czytała *Daily Express* i kilka innych gazet, wraz z ciotką Ketti słuchały regularnie wiadomości radiowych, zwłaszcza wtedy, kiedy przed mikrofonem stawał Winston Churchill, zwracając się do całego narodu. Teddy odnosiła się z wielką czcią do „Winniego”, jak nazywali go z sympatią Brytyjczycy, była zresztą jego żarliwą zwolenniczką od pierwszej chwili, kiedy objął urząd premiera, a więc od 10 maja 1940 roku. Tę datę pamiętała doskonale, był to bowiem dzień następujący bezpośrednio po jej dwudziestych pierwszych urodzinach.

Churchill był dla niej uosobieniem honoru i męstwa. Był wzorem nie tylko dla niej i każdego zwykłego obywatela Anglii, ale również dla żołnierzy, walczących na różnych frontach poza granicami kraju. Jego słowa i postawa dodawa-

ły wszystkim otuchy, przekazywały jego siłę woli i wytrwałość w przewycięzaniu wszelkich przeciwności. To, co mówił, Teddy zachowywała w pamięci, czerpała z tego siłę, kiedy dostrzegała nad sobą mroczne chmury, kiedy ogarniały ją rozpacz lub zwątpienie.

Przypomniała sobie lato 1940 roku, tuż po Dunkierce, kiedy powiedział: „Będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na twardym gruncie, będziemy walczyć na polach i ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach; i nigdy się nie poddamy”. Właśnie wtedy, gdy siedziała jak przykuta do miejsca przed odbiornikiem radiowym, poczuła, że odradza się jej odwaga.

W tym samym miesiącu, na krótko przed upadkiem Francji, kiedy cały świat zastanawiał się głośno, co też uczyni Anglia, Winston Churchill złożył przysięgę, że Anglicy będą kontynuować walkę sami. Swoim dźwięcznym, imponującym rodakom głosem oświadczył: „Niechaj więc każdy z nas czyni to, co do niego należy, i wytrwa przy tym, tak aby nawet za tysiąc lat ludzie oceniający historię Imperium Brytyjskiego i Wspólnoty Brytyjskiej mogli powiedzieć o dzisiejszym dniu: To była ich najświetniejsza chwila”.

Ona zaś, Żydówka, która uciekła z Niemiec, słuchała słów Churchilla, nie mogąc powstrzymać łez. Przepelniały ją uczucia dumy i miłości wobec człowieka, który wszystkim Anglikom i reszcie świata dawał tak nadzwyczajny dowód odwagi. Orędzie Churchilla chwyciło ją za serce, zrozumiała, że z takim przywódcą jak on Brytyjczycy nie mogą przegrać wojny. Nawet gdyby na zwycięstwo przyszło poczekać, było ono nieuniknione, gdyż prowadził ku niemu taki człowiek.

Obecnie mieli już lato 1944 roku i **ZWYCIĘŻALI**.

Wkrótce będzie już po wszystkim, pomyślała Teddy. Skończy się całe zło, będziemy mogli wrócić do normalnego życia... do tego, co było przedtem...

Syreny, odwołujące alarm przeciwlotniczy, przywołały ją do rzeczywistości i postawiły na nogi, podobnie jak ciotkę Ketti, która odłożyła na bok swoją robótkę.

Jedynie chłopcy nie zwracali uwagi na to, co dzieje się wokół nich. Pochłonięci układanką, nie podnieśli głów nawet wtedy, gdy Teddy podbiegła do drzwi, otworzyła je szeroko i wyjrzała na zewnątrz. - Już wszystko w porządku, ciociu Ketti! - zawołała. - Dzięki Bogu, przestali wreszcie bombardować! Możemy wracać do domu. Chodźcie, idziemy, Maxim! Alan!

- Możemy wziąć ze sobą układankę? - zapytał Maxim.

Kiwnęła głową i weszła do ogrodu, wpatrując się w niebo, skąd jeszcze przed chwilą spadały śmiertelne bomby. Czarne jak atrament, aksamitne niebo, roziskrzane połyskliwymi gwiazdami i omiatane snopami światła reflektorów, które raz po raz przecinały ciemne chmury, oślepiając bielą, zachwycało swą pięknnością. W kilku miejscach pałało purpurą: tam bomby wzniciły pożary. Tej nocy, podobnie jak w ciągu wielu poprzednich, Londyn stał w płomieniach.

Śmierć i ból, smutek i rozpacz, ruiny i zgliszcza, oto jak wygląda dziś nasze życie, pomyślała Teddy. Zrobiło jej się ciężko na duszy, kiedy uświadomiła sobie, że przyjdzie im znieść jeszcze dużo, bardzo dużo złego, zanim na świat rozdarty walkami spłynie spokój.

Przyśpieszyła kroku. Duszne, sierpniowe powietrze przesycone było zapachem dymu, spalonego drewna i metalu. Mimo ciepła wzdrygnęła się na samą myśl o zniszczeniach, jakie musiały mieć miejsce tuż obok, na sąsiednich ulicach. Wrażenie potęgowały syreny ambulansów i wycie samochodów straży pożarnej. Tej nocy ekipy Czerwonego Krzyża, pogotowia Świętego Jana i innych jednostek ratowniczych będą miały pełne ręce roboty, aż do rana.

Teddy doszła już do domu, otworzyła drzwi do tylnego salonu i przystanąła na progu ciemnego pokoju. Przedtem, kiedy ogłoszono alarm przeciwlotniczy, ciotka Ketti wybiegła pośpiesznie, i najwidoczniej nie wyłączyła radia. Teraz rozbrzmiewał tu znajomy głos Ukochanej Żołnierzy, jak nazywano Verę Lynn: zdobywała serca słuchaczy dzięki prowadzonemu przez siebie programowi radiowemu „Na zawsze twoja”.

Teddy oparła się o framugę, wsłuchując się w słowa jednej z najpopularniejszych piosenek okresu wojny „Anglia będzie istniała”. Kiedy Vera Lynn śpiewała o wiejskich drózkach, domkach stojących przy polach i ruchliwych ulicach, coś ścisnęło ją w gardle. Nieoczekiwanie uzmysłowiła sobie zrozumiałą skądinąd fakt: nie chciała już mieszkać w żadnym innym kraju, tylko tu, w Anglii.

Przez chwilę pomyślała o Willym Herzogu i ogarnął ją smutek. Willy pragnął za wszelką cenę wyjechać do Ameryki, na to wskazywały przynajmniej jego ostatnie listy. Może istniała jeszcze jakaś szansa, aby mu to wyperswadować, namówić, żeby osiadł w Londynie. Czuli, że musi spróbować, i to kategoryczne podejście do sprawy pozwoliło jej pojąć, jak wiele znaczy teraz dla

niej ten kraj. Tu była bezpieczna, w pełni zaaklimatyzowała się wśród Anglików, podobnie jak Maxim. Częściowo była to zasługa Ursuli Westheim, która tak bardzo pragnęła, aby pokochali Anglię, i która nigdy nie przestała mówić o Anglii, odkąd w 1939 znaleźli się w Paryżu. Ursula zawsze wynosiła pod niebiosa cnoty Wielkiej Brytanii, powtarzała, że jest to najlepsze, najbardziej demokratyczne i najbardziej cywilizowane miejsce na świecie, Teddy zaś przekonała się, że w opinii tej nie ma przesady. Była jeszcze oczywiście jej ciotka Ketti, która żyła tu od czterdziestu lat i zdążyła stać się prawdziwym londyńczykiem.

Teddy musiała przyznać w duchu, że w jej przypadku akceptacja Anglii jest po prostu negacją hitlerowskich Niemiec, negacją jej dotychczasowej ojczyzny, której nie mogła już aprobować, gdyż wyznawany tam antysemityzm był dla niej zbyt bolesny.

Usłyszała za sobą kroki ciotki i czym prędzej przeszła do kuchni. Sprawdziła, czy zasłona zaciemniająca należycie okrywa szybę, zapaliła światło i odegnała dokuczliwe myśli o Willym i przyszłości, biorąc się za przyrządzanie kolacji.

Stało się już zwyczajem, że u schyłku dnia Ketti i Teddy siadały obok siebie w saloniku, aby napić się trochę herbaty i pogawędzić o tym i owym przed pójściem do łóżek. Dzisiejszy wieczór nie różnił się pod tym względem od innych. Kiedy Maxim i Alan udali się do sypialni, obie kobiety zmyły naczynia i posprzątały w kuchni, po czym Ketti przeszła do pokoju, czekając na bratanicę i swoją filiżankę herbaty.

- Ciepło dziś - powiedziała kilka minut później Teddy, wnosząc srebrną tacę z herbatą. Postawiła ją na zabytkowym stoliku Ustawionym przy kominku i zapytała: - Może zgasić lampę i otworzyć drzwi na taras?

- Czemu nie? Jest parno, prawda?

Teddy podała jej filiżankę, zgasiła światło, rozsunęła ciężkie, grube zasłony i otworzyła oszklone drzwi, wychodzące na ogród.

Wysoko na niebie wisiał księżyc w pełni, rozjaśniając nieco ciemne chmury i oblewając srebrną poświatą jabłoń, róże i skalniak z górskimi kwiatami, przedmiot dumy i radości Ketti. Lekki wiatr szeleścił wśród liści starego drzewa i przynosił upojny zapach ostatnich letnich róż, zmieszany z ciepłym powietrzem.

Kobiety siedziały w milczeniu, chłonąc oczyma piękno ogrodu, skąpanego w księżycowej poświacie i błogim spokojem. Wojna odeszła raptem gdzieś w dal. Popijały herbatę, pogrążone we własnych myślach.

Pierwsza odezwała się Ketti. - Dzieci wiedzą teraz zbyt wiele

o sprawach, o których powinny dowiedzieć się znacznie później - mruknęła.

- Masz rację, ciociu - przytaknęła jej Teddy. - Ale to wina czasów, w jakich żyjemy.

- To prawda. Przyznaję to niechętnie, ale trudno ukryć przed nimi pewne fakty, o których głośno w radiu, w kronikach filmowych i w prasie.

Teddy zamyśliła się, ale po chwili wyrzuciła z siebie to, co najwidoczniej leżało jej na sercu: - Ciociu Ketti, skąd mam wziąć mądrość potrzebną, aby wychować go właściwie, na prawdziwego człowieka?

Ketti odstawiła filiżankę. Zaskoczona pytaniem, medytowała nad czymś intensywnie, zanim odparła nieco szorstkim tonem: - Dlaczego przyszło ci to nagle do głowy?

- Sama nie wiem, ale kiedy myślę o Maximie, zaczynam od razu zastanawiać się nad jego przyszłością. Nie muszę ci chyba mówić, jaki to mądry chłopiec, sama się o tym zdażyłaś przekonać. Nauczyciele w Colet Court nie mogą się go nachwalić, powtarzają bezustannie, jaki to wspaniały uczeń... Dawniej myślałam, że po prostu kocham go za bardzo

I dlatego dostrzegam w nim same zalety, ale teraz widzę, że to wcale nie jest zaślepienie. Maxim jest naprawdę wyjątkowym dzieckiem, ciociu Ketti, a czasem wydaje mi się nawet, że jest mądrzejszy ode mnie. Pod wieloma względami... Tak więc jak mogę dać mu odpowiednie wychowanie, ja... - Urwała i skierowała na ciotkę pytające spojrzenie.

Ketti wstała, zamknęła drzwi od tarasu. Zaciągnęła z powrotem zasłony, zapaliła lampę, usiadła i zmrużyła oczy, wpatrując się bacznie w Teddy. - Po raz pierwszy jesteś w tak pesymistycznym nastroju, moja droga. Mówisz tak, jakbyś była przekonana, że państwo Westheim nie wezmą sprawy jego przyszłości w swoje ręce. - Zawahała się przez krótką chwilę, nachyliła się do bratanicy i zapytała szeptem: - A może miałaś jakieś złe wieści z Niemiec? Czy wiesz coś, co zataiłaś przede mną?

Teddy potrząsnęła przecząco głową, ale w jej głosie zabrzmiała wyraźnie troska, kiedy odparła: - Nie, nie miałam

żadnych złych wieści, ale nie miałam też dobrych. Byłabyś pierwszą osobą, której bym się zwierzyła, gdybym coś wiedziała. Nie jestem jednak głupia i wiem jedno: nawet jeśli nie zostali wtedy aresztowani i zamknięci w jednym z tych ohydnych obozów, nawet jeżeli pozostali w Berlinie, to czy możemy mieć nadzieję, że nadal żyją? Berlin został przecież zrównany z ziemią przez angielskie i amerykańskie bombowce. Wiesz, jak ciężkie były te naloty. I odbywały się niemal bez przerwy.

- Naloty na Londyn były równie ciężkie, a my jednak żyjemy, prawda? Tak więc nie wolno nam przestać wierzyć, że Westheimom udało się przeżyć. I nawet gdyby wzięto ich do obozu, nie możemy stracić nadziei, że żyją. - Umilkła, zaczerpnęła głęboko tchu i dokończyła z naciskiem: - W każdym razie ja nie przestanę w to wierzyć!

- Ja też staram się wierzyć, że oni żyją, ciociu Ketti, naprawdę! Muszę w to wierzyć, dla dobra chłopca. Ale odkąd po raz ostatni dostałam od nich wiadomość, upłynęło już tyle czasu, tyle lat! Nawet Arabella von Wittingen, najlepsza przyjaciółka Ursuli, przestała się ze mną kontaktować. Nie wiem... może to dlatego, że ma jakieś nowe informacje... straszne informacje... i nie ma odwagi powiedzieć mi o tym...

- Nonsens, Teodoro! Arabella von Wittingen to prawdziwa arystokratka i jako taka nigdy nie uchyliłaby się od obowiązku, nawet gdyby ów obowiązek miał oznaczać przekazanie złych wieści! Wierzę święcie, że Ursula i Sigmund Westheimowie żyją. Ty też musisz w to wierzyć, kochanie. Musisz mieć tę wiarę, tak jak ja.

Jej słowa i postawa musiały wywrzeć na bratanicę zbawienny wpływ, gdyż twarz Teddy pojaśniała natychmiast. - Tak, może masz rację, ciociu Ketti. Chyba rzeczywiście nie powinnam patrzeć na to tak pesymistycznie. Nie mam ku temu żadnych podstaw. Zresztą Ursula Westheim jest kobietą wyjątkowo mądrą i zaradną. Kto inny jak nie ona byłby w stanie przetrwać w trudnych, ekstremalnych warunkach. Zgadzam się z tobą. Ursula Westheim i jej mąż z pewnością żyją i mają się dobrze. Tak samo reszta rodziny. Ursula zadbała już o to.

- Obawiam się tylko, że babcia Maxima odeszła na tamten świat, niech spoczywa w spokoju - szepnęła Ketti.

- Tak, była i tak bardzo słaba, a ten atak pięć lat temu sparaliżował ją... - Teddy urwała, nie miała serca kontynuować tej myśli.

Znowu zapadło milczenie.

Teddy oddała się rozmyśleniom na temat Maxima i jego rodziców, wyraz jej twarzy zdradzał, że jest tym pochłonięta bez reszty. Ketti zerknęła na nią ukradkiem, naląła sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty, nadgryzła sucharek przyprawiony imbirem. To taka dobra dziewczyna, pomyślała, prostolinijna i uczciwa. I ma wspaniały charakter. Jest lojalna, miła i wrażliwa. Ale chyba za mocno kocha to dziecko. Tak, sama sobie szykuje tragedię, traktując Maxima, jak gdyby był jej rodzonym synem. Ale on nie jest jej dzieckiem, a pewnego dnia zjawią się jego prawdziwi rodzice, aby go odebrać. I co wtedy? Będzie miała złamane serce, to łatwo przewidzieć. Cóż to będzie za rozpacz! Wiem, co potrzebne jest Teddy: powinna wyjść za mąż. To złagodziłoby jej ból, kiedy Westheimowie zabiorą Maxima, a uczynią to z pewnością po zakończeniu wojny. Ostatecznie to ich dziecko, nie jej, niezależnie od tego, co wydarzyło się w ciągu tych paru ostatnich lat. Tak, najlepszym wyjściem byłoby małżeństwo. Mąż i własne dzieci, które obdarzyłaby miłością.

Ketti odchrząknęła i zapytała ostrożnie: - Skoro już mowa

o ludziach, którzy przebywają z dala od nas, co słyhać u Willy'ego Herzoga? Ostatnio nie wspominasz go w ogóle. Teddy spojrzała na ciotkę zaskoczona, po czym wzruszyła nieznacznie ramionami. - Wczoraj dostałam od niego list. Oczywiście został skontrolowany przez cenzurę, ze względu na zagraniczny znaczek na kopercie, chociaż w środku nie było nic takiego. Zresztą ja również nie znalazłam w nim nic interesującego, po prostu Willy nie miał mi wiele do powiedzenia. - Westchnęła cicho. - Nigdy nie zrozumiem, czemu Willy opuścił Palestynę i wyjechał do Szanghaju. Doceniam, że jest to miasto o znaczeniu międzynarodowym, ale co to może oznaczać dla Willy'ego? - Potrząsnęła z dezaprobatą głową

I natychmiast odpowiedziała sama na to pytanie: - Nic, zupełnie nic, ot co! Według mnie jego ostatni krok jest zupełnie pozbawiony sensu!

- Jestem tego samego zdania, Teddy. Taki postępek to dla mnie, całkiem zwariowany pomysł - powiedziała cicho

Ketti i dodała po chwili: - Chiny znajdują się tak daleko, tak bardzo daleko!

- Podobnie jak Ameryka - szepnęła Teddy.

- Co masz na myśli, kochanie?

- Przecież wiesz, ciociu, że Willy chce zamieszkać w Ameryce, kiedy już skończy się wojna.

- Tak, mówiłaś mi o tym. Ale myślałam, że i ty chcesz tam pojechać. - Ketti rzuciła bratanicy pytające spojrzenie.
- Tak, rozważałam tę możliwość, kiedy Willy i ja byliśmy jeszcze w Berlinie - odparła pośpiesznie Teddy. - Ale dziś wieczorem uzmysłowiłam sobie bardzo wyraźnie, że nie mogę opuścić Londynu. Chciałabym spędzić tu resztę mego życia, ciociu. Czuję się tu dobrze, i ty tu jesteś, a przecież poza tobą nie mam już nikogo z rodziny. Poza tym Maximowi podoba się życie w Anglii. Lubi Colet Court i nie może doczekać się chwili, kiedy skończy trzynaście lat i pójdzie do St. Paul's School. Kiedy osiągnie odpowiedni wiek, zamierza studiować w Oxfordzie. Rozumiesz więc, że i tak nie mogłabym wyjechać z Willym, choćby ze względu na Maxima. - Spojrzała na ciotkę. - Chyba przyznasz mi rację, prawda?

Ketti milczała przez chwilę skonsternowana, szukając właściwych słów, w końcu powiedziała powoli, dobitnie: - Kiedy Westheimowie przyjadą do Anglii, będziesz mogła robić wszystko, co tylko zechcesz, bo oni zajmą się już wychowaniem swojego dziecka.

- O tak, wiem. Ale... nie zrozum mnie źle, ciociu Ketti, ale gdyby jednak coś im się stało, uchowaj Boże, to ja jestem odpowiedzialna za Maxima, dopóki nie będzie pełnoletni. Przyrzekłam pani Westheim, że dopóki Maxim nie stanie mocno na własnych nogach, będę się nim opiekowała. Ale nawet gdyby okazało się, że rodzice Maxima przyjadą do Londynu, ja i tak wolałabym pozostać w Anglii, być blisko Maxima, widywać go co jakiś czas. W tej sytuacji to chyba normalne, prawda?

- Może - odparła Ketti bezbarwnym głosem.

Przez kilka sekund rozważała coś w duchu, a potem zauważyła łagodnie: - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co mówię, ale z twoich słów wynika, że Maxim znaczy dla ciebie więcej niż Willy Herzog.

Teddy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale potem najwidoczniej zmieniła zdanie i zamknęła je z powrotem.

Ketti nie dawała za wygraną. - Czy nie kochasz Willy'ego?

- Nie wiem - odparła szczerze Teddy. - Nie jestem już nawet pewna, czy chcę go poślubić.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że to prawdziwy mężczyzna i dobry Żyd, że jest mądry i można na nim polegać i ma jeszcze wiele innych zalet. Ale jeśli mnie pamięć nie myli, a do tej pory

nigdy mnie nie zawiodła, nie wymówiłaś ani razu słowa, które w takim układzie liczy się najbardziej: Kocham. Nie powiedziałaś ani razu, że Kochasz Willy'ego.

- Bo nie byłam tego pewna, chyba dlatego, ciociu. - W głosie Teddy dało się wyczuć ubolewanie. - Wtedy, w Berlinie, byłam jeszcze młoda, miałam dziewiętnaście lat, myślałam, że nie znajdę nikogo, kto byłby miłszy od Willy'ego i lepszy niż on, bo Willy naprawdę jest dobrym człowiekiem. Chyba dlatego powiedziałam, że wyjdę za niego.

Ketti milczała, ale w jej głowie kłębiły się myśli. Potrzebna mi przede wszystkim swatka, przyszło jej do głowy. Chociaż... czy swatka może mi w czymś pomóc, skoro wszyscy mili żydowscy chłopcy walczą teraz na tej okropnej wojnie? Mniejsza z tym. Muszę porozmawiać z Rebecą Cohen. Jeżeli nie ona, to może Sarah Levine znajdzie kogoś odpowiedniego. Pójdę do nich jutro. Jedna i druga mają porządnych synów. Ich siostry też mają synów. Wszyscy to kawalerowie. Na pewno znajdę dobrego żydowskiego chłopca dla mojej Teodory, mojej jedynej bratanicy, jedynej córki mego brata. Jej mężem będzie angielski Żyd. Tego właśnie jej trzeba.

- Czy coś się stało, ciociu Ketti?

- Nie, nic takiego, a dlaczego pytasz!?! - zawołała Ketti, obdarzając bratanicę swoim najśłodszym uśmiechem.

- Po prostu wyglądałaś przez chwilę na zatroskaną.

- Nie, wszystko w porządku, w jak najlepszym porządku. Pomyślałam tylko... wiesz... pomyślałam sobie, że pięć lat to szmat czasu, a przecież tyle już trwa twoja rozłąka z Willym. Te pięć lat zmieniło cię, Teddy. Zmieniło cię życie tu. I wojna, i brzemień odpowiedzialności za Maxima i obowiązek podejmowania decyzji w sprawach jego nauki - to wszystko sprawiło, że zmieniłaś się, Kochanie. A poza tym dorosłaś trochę. Nie, to nie tak: wyrosłaś i to bardzo. Masz teraz dwadzieścia pięć lat, a nie dziewiętnaście, Willy też ma dwadzieścia pięć lat i jestem pewna, że również jego zmieniły najprzeróżniejsze doświadczenia oraz życie, jakie wiodł w Palestynie, a obecnie w Szanghaju.

Ketti urwała, po czym dokończyła cicho, patrząc znacząco na Teddy. - Wiesz, można powiedzieć, że ty i on bylibyście dla siebie jak dwoje obcych ludzi, gdyby doszło do spotkania.

- Tak - odparła szeptem Teddy. - Tak. Ja też już o tym myślałam.

23

- Czy możemy pójść na lunch do Lyon's Corner House? - zapytał Maxim.

Teddy kiwnęła głową, wyjmując z torebki pieniądze i talony na odzież. - Oczywiście. Może nawet pójdziemy tam, zanim kupimy ci płaszcz. Jak mawia ciocia Ketti, jestem już głodna jak wilk. A ty?

- Owszem, chętnie bym coś zjadł.

Stali przy ladzie w sklepie z ubraniami Selfridge'a, czekając cierpliwie, aż obsługująca ich ekspedientka sprawdzi, czy ma jeszcze jedną koszulę w rozmiarze Maxima. Po chwili sprzedawczyni wróciła, już z daleka kręcąc głową. - Przykro mi, madame, ale poza tymi dwiema nie mamy innych. Może zechciałaby pani rzucić okiem na swetry?

- Nie, dziękuję. Weźmiemy na razie tylko te koszule - odparła Teddy, wręczając jej książeczkę z talonami i banknot. Ekspedientka wypisała rachunek, wyrwała kupony i wręczyła Teddy książeczkę wraz z resztą, po czym uśmiechnęła się do Maxima. - Letnie wakacje zawsze wydają się za krótkie, prawda? Znowu zaczniesz się szkoła, niestety.

- Ja lubię szkołę - odparł Maxim.

Dziewczyna obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem i z niedowierzaniem uniosła jedną brew, uśmiechnęła się lekko i przeszła dalej, aby obsłużyć kolejną klientkę z synem.

Teddy mrugnęła porozumiewawczo do Maxima, objęła go wpół i wyprowadziła poprzez dział sprzedaży i główny hall do wyjścia, na Oxford Street.

Szli teraz w stronę Lyon's Corner House, nie rozmawiając, zajęci przede wszystkim przeciskaniem się w tłumie przechodniów. Był sobotni poranek, początek września. Niebo miało barwę podświetlonego słonecznymi promieniami błękitu. Dzień był pogodny, spokojny i wyjątkowo ciepły jak na wrzesień; zachęcał raczej do prac w ogrodzie niż do chodzenia po mieście.

Teddy wolałaby teraz siedzieć w cieniu jabłoni, popijając coś chłodnego i przeglądając książkę lub gazetę, musieli jednak wybrać się na zakupy, gdyż za parę dni zaczynała się szkoła, a Maxim potrzebował kilku nowych koszul i nieprzemakalnego płaszcza. Rósł zdumiewająco szybko,

Teddy widziała w nim przede wszystkim długie nogi i ręce Jak na swój wiek był naprawdę wysoki. Nieco rozdrażnionym głosem Maxim powiedział nagle- Tamta ekspedientka, która obsługiwała nas u Selfride'a nie uwierzyła, że lubię szkołę. '

Teddy zerknęła na niego z ukosa. - Bo nie każdy przepada za szkołą, wiesz? Jesteś wyjątkiem. - Roześmiała się, ale w tej samej chwili uśmiech zamarł jej na ustach. Raptownie przystanąła i spojrzała na niebo, podobnie jak Maxim i wszyscy inni ludzie idący ulicą.

To przeraźliwe wycie syren było doskonale znane londynczykom - i jak zwykle wzbudzało strach. Na błękitnym niebie pojawiła się latająca bomba, kierowała się prosto na nich na zdumiewająco niskim pułapie. Syreny przeciwlotnicze prześcigały się teraz, która głośniej obwieści niebezpieczeństwo, zagłuszały wszystko to, co działo się na ulicy.

Przez chwilę Teddy i Maxim stali jak zahipnotyzowani wpatrując się w rozległy, czysty nieboskłon. Rakieta leciała tak nisko, że bez trudu mogli dojrzeć znak swastyki, umieszczony na jej wypukłym brzuchu. Ludzie zaczęli krzyczeć, biegli w popłochu to tu, to tam rozglądali się za jakimś schronem lub w miarę bezpiecznym pomieszczeniem.

Teddy chwyciła Maxima za rękę i powtarzając gorączkowo: - Chodź, chodź - pociągnęła chłopca na środek ulicy, jak najdalej od witryn sklepowych. Rakieta rzucała teraz gigantyczny cien na ulicę i na rozbieganych przechodniów, a potem nagle jej silnik umilkł, co oznaczało, że pocisk zaczyna spadać Zupełnie odruchowo Teddy pchnęła Maxima na ziemię i rzuciła się na mego, osłaniając go własnym ciałem.

Inni ludzie uczynili to samo, mając nadzieję, że w ten sposób uchronią się przed skutkami wybuchu. Jakiś autobus zahamował z piskiem; pasażerowie wyskakiwali w pośpiechu na zewnątrz, wraz z nimi kierowca i konduktor. Tuż przed Teddy i Maximem zatrzymała się taksówka Jej kierowca szarpnął za drzwiczki, a po chwili leżał już plackiem na jezdni, krzycząc do Teddy: - To dopiero! Jeszcze jedna cholerna szwabska bomba i to akurat nad naszymi głowami!

Splótł ręce nad głową i dodał: - Niech pani zrobi jak ja złotko, osłoni siebie i tego kawalera. Przed odłamkami szkła' Najwięcej cholernych szkód wyrządza szkło z wystaw sklepo-

wych. Takie fruujące w powietrzu odłamki szkła mogą pociąć człowieka na kawałki!

- Tak, wiem! - odkrzyknęła Teddy i idąc za jego radą osłoniła sobie głowę dłońmi.

- Uważaj na siebie - dobiegł ją zduszony głos chłopca, na którym leżała. Czym prędzej odparła: - Wszystko w porządku, Maximie, nie przejmuj się - ale słowa jej zagłuszył huk pocisku uderzającego w jakiś obiekt, a w chwilę później odgłos straszliwej eksplozji.

Taksówkarz pierwszy uniósł głowę i powiódł dokoła wzrokiem, wstał, śpiesznie otrzepując ubranie, po czym zwrócił się do Teddy: - Mieliśmy szczęście, złotko. Bomba mogła spaść prosto na nas. A tak to cholerstwo runęło gdzieś za hotelem Cumberland przy Edgware Road. Bez względu na to, kto oberwał, żal mi tych biedaków.

Teddy tylko patrzyła na niego. Za wszelką cenę chciała opanować drżenie rąk i nóg, przez chwilę nie była w stanie się podnieść.

W oddali rozległ się narastający ryk jeszcze jednej rakiety, która - podobnie jak pierwsza - leciała w ich stronę. Oczy wszystkich zwróciły się ku niebu, odgłosy paniki rozbrzmiewały z nową mocą.

Taksówkarz podał rękę Teddy i pomógł jej stanąć na nogi, Maxim podniósł się bez niczyjej pomocy. - Te cholerne szkopy nie wiedzą kiedy przestać - odezwał się znowu taksówkarz. - Bierz chłopaka i biegnij do tunelu metra, duszko. Ten cholerny nalot nie skończy się tak szybko, zobaczysz.

- Słusznie, tam się skryjemy! - zawołała Teddy. - Dzięki za radę!

Nie oglądając się nawet za porzuconą taksówką, jej kierowca począł biec w stronę Marble Arch. Teddy chwyciła torbę z koszulami, ujęła Maxima za rękę i oboje puścili się pędem za taksówkarzem, zdążając ku stacji metra. Zanim jednak dobiegli do schodów, mały, rozmowny mężczyzna zniknął już w tłumie.

Na peronach kłębił się tłum, głównie kobiety z dziećmi, które postanowiły zrobić zakupy w ten sobotni poranek.

Mężczyzn było niewiele, tak samo zresztą jak na ulicach; większość walczyła teraz na wojnie w wojskach lądowych, marynarce wojennej lub w lotnictwie.

Teddy i Maxim zbiegli na dół i przystanęli, dysząc ciężko. Na szczęście znaleźli miejsce za załomem muru,

tuż przy schodach, i tam przykucnęli, przesuając się tak, aby nie przeszkadzać innym.

Poruszeni ciężką próbą, jaką przeszli przed chwilą, siedzieli w milczeniu i zbierali myśli. Musieli jakoś ochłonać.

- Nie bój się, Maximie, tu jesteśmy bezpieczni - odezwała się w końcu Teddy.

- Nigdy się nie boję, kiedy jesteś przy mnie - odparł Maxim. Wyjął z kieszeni chustkę, napluł na nią i począł pocierać nią zbite kolano.

- Pewnie skaleczyłeś się, kiedy pchnęłam cię na ziemię! - zawołała Teddy, nachylając się nad nim.

Potrząsnął z uśmiechem głową. - To tylko draśnięcie i nawet nie boli. Naprawdę.

Zmarszczyła brwi i obejrzała dokładnie kolano. - Nie wygląda źle... ale przydałoby się trochę jodyny... - Uniosła głowę i rozejrzała się dokoła. - Zazwyczaj są tu pielęgniarki z Czerwonego Krzyża, kiedy jest nalot, ale teraz nie widzę żadnej. A ty?

Potrząsnął głową. - Też nie. Ale naprawdę nic mi nie jest. Nie zwracaj sobie tym głowy, Teddy, obmyję sobie kolano w męskiej toalecie, kiedy pójdziemy do Lyon's Corner House. Bo chyba pójdziemy tam na lunch, prawda?

- Jeśli ten nalot przeciągnie się, ograniczymy się może do samej herbaty - mruknęła.

Maxim nie odpowiedział. Oparty plecami o ścianę, siedział z wyciągniętymi nogami i wpatrywał się w czubki swych butów. Wyglądało na to, że rozważa w myślach coś ważnego. W końcu spojrzał na Teddy. - Dziękuję, że osłoniłaś mnie w taki sposób - szepnął.

- Zawsze będę cię osłaniała, dopóki żyję. Jesteś mój i bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Teddy.

Żadne z nich nie odezwało się już nawet słowem, ale po chwili jego dłoń wśliznęła się w jej, a potem Maxim przysunął się jeszcze bliżej i oparł głowę na jej ramieniu. Siedzieli w milczeniu, czując błogi spokój, tak bardzo im potrzebny, i wiedząc, że bez względu na wszystko, co się wydarzy, mają siebie.

Nieoczekiwanie w tunelu metra rozległ się czyjś głos; piękny kobiecy sopran, tak dźwięczny, że wypełnił całe podziemie, aż po wysokie sklepienie sufitu, począł śpiewać: „Znów pojawią się mewy nad skałami w Dover, już jutro, poczekaj, a przeko-

nasz się sam. Znowu pojawią się miłość, uśmiechy i spokój, już jutro, kiedy wreszcie wolny będzie świat".

W miarę kolejnych strof piosenki, kobiecie zaczęli wtórować inni. Niebawem już śpiewał cały potężny chór, wraz z Teddy i Maximem, a kiedy piosenka dobiegła końca, kobieta wstała i pełnym głosem rzuciła pytanie.

- Nie damy się Szwabom, prawda, ludzie?

- Nigdy! - odpowiedział jej zgodny okrzyk.

- Może zaśpiewamy teraz coś innego!? - zawołała jakaś starsza dama.

- Proponuję „Ożywię się, gdy światła zapłoną w Londynie”

- poparła ją inna.

Tłum zaaprobował głośnymi krzykami tę propozycję i znowu, jak poprzednio, sopran zaintonował piosenkę, którą po chwili śpiewali już wszyscy. Potem przyszła kolej na następną piosenkę i jeszcze na inną, ludzie śpiewali z ochotą i z uniesieniem przez całą godzinę. Teddy i Maxim przyłączyli się do chóru bez żadnych oporów, nie zapominając o nalocie, ale też nie zaprzatając sobie nim teraz głowy. Przebywając z tymi londyńczykami, z którymi połączył ich los, dostrzegli u nich właściwe również sobie męstwo, wytrwałość i pogodę ducha, odnaleźli też wśród nich nastrój ciepła i przyjaźni.

Chóralny śpiew przerwał dopiero członek cywilnej obrony przeciwlotniczej, który przecisnął się pomiędzy okupującymi schody ludźmi, zszedł na dół i triumfalnie zagwizdał. Zapadło milczenie, oczy wszystkich skierowały się na niego.

- Odwołano alarm! - zawołał. - Można już wychodzić na górę, na ulicy jest bezpiecznie. Ale proszę zachować porządek, nie chcemy tu bałaganu. I tak mamy dosyć kłopotów!

Maxim skoczył na równe nogi i pomógł wstać Teddy.

- Mam ochotę na grzanek z fasolą - powiedział, kiedy wychodzili na ulicę. - A ty? Co sobie zamówisz?

- Chyba to samo co ty. Teraz i tak nie ma dużego wyboru

- odparła i nagle poczuła, że jest głodna. Chodzi o to, by przeżyć, pomyślała. Tylko to się teraz liczy. Muszę zadbać o to, żebyśmy przetrwali, żebyśmy doczekali chwili, kiedy Hitler zostanie pokonany, a na świecie zapanuje spokój.

24

Maxim ułożył swoje dwie nowe koszule na wierzchu w walizce, która leżała na jego łóżku, zamknął wieko i postawił walizkę przy drzwiach. Następnie podszedł do komody, stojącej pod oknem i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zdjęcia. Robił to każdorazowo przed powrotem do internatu, a przez dwa lata ów zwyczaj zdążył nabrać cech rytuału.

Były to trzy zdjęcia, dosyć duże i osadzone w srebrnych ramkach, tworzące na komodzie regularne półkole. Jedno z nich przykuwało szczególną uwagę chłopca. Właśnie to zdjęcie Maxim lubił najbardziej, ponieważ zawsze, gdy przypominał sobie dzień, w którym zostało ono zrobione, ogarniało go poczucie szczęścia, a goszczący w nim smutek opuszczał go na pewien czas.

Zdjęcie przedstawiało cztery osoby, które kochał najbardziej na świecie. Był na nim on sam, a zdjęcie zrobiono w czwartą rocznicę jego urodzin, w 1938 roku, w ogrodzie przed willą w Wannsee, pomiędzy dwoma jeziorami o tej samej nazwie.

Ciotka Hedy ustawiła całą rodzinę tak, jak to sobie zaplanowała, na trawniku pod lipami, ocieniającymi mniejsze z jezior, Kleiner Wannsee.

Maxim siedział między rodzicami, po obu bokach znajdowali się babcia i Teddy, wszyscy uśmiechnięci, o twarzach rozjaśnionych promieniami słońca, które przedzierały się przez liście i gałęzie drzew. Ze zdjęcia emanowało prawdziwe szczęście, gdyż ten dzień przepełniony był radością i tak właśnie wrył się w pamięć.

Zawsze, gdy Maxim przymykał oczy tak jak teraz, widział wszystko dokładnie, tak jak to było owego popołudnia. Wywoływał wspomnienia w sposób tak doskonały, że dostrzegał każdy szczegół, każdy najdrobniejszy szczegół, i przeżywał tę scenę na nowo...

Kończył dziś cztery lata.

Stał w rozległym ogrodzie, osłaniając dłonią oczy przed jaskrawożółtym słońcem. Dzień był przepiękny: błękitne niebo, po którym płynęły białe, puszyste obłoczki, jezioro u podnóża zielonej skarpy, połyskujące niczym kryształowe lustro, oraz duże, białe żagle łodzi.

Coś zakreśliło go w nosie: zapach bzu, zmieszany z wonią róż i jeziora. Podbiegł przez trawnik do stołu, ustawionego pod płaczącą wierzbą i nakrytego białym, adamaszkowym obrusem. Wytworny, porcelanowy serwis na osiem osób zdradzał liczbę gości, a na sąsiednim stoliku piętrzyły się najprzeróżniejsze, obwiązane kolorowymi tasiemkami pudełka. Domyślał się, że są pełne wspaniałych zabawek, gier i ilustrowanych książeczek.

Usłyszał głos mamy, która go wołała, i oto stali przy nim oboje, mama i papa, uśmiechnięci i czuli, a kątem oka dostrzegł ciotkę Sigrid i wujka Thomasa, którzy zblizali się przez trawnik szybkim krokiem. Za wujkiem Thomasem szedł jego szofer, Heinz, który dźwigał coś dużego, owiniętego brązowym papierem. Heinz położył paczkę przed Maximem, a ciocia Sigrid zawołała: „To dla ciebie, skarbie” i pomogła mu rozerwać papier. I oto jego oczom ukazał się najpiękniejszy koń na biegunach, jakiego widział do tej pory, koń ze złotą grzywą, błyszczącymi chrapami i ze lśniącym siodłem, ozdobionym srebrnymi dzwoneczkami.

Papa posadził go na konia i pchnął lekko, a on bujał się przez jakiś czas, uszczęśliwiony. Ciocia Hedy fotografowała go raz po raz, aż wreszcie papa powiedział: „Wystarczy” i uniósł go w górę. Potem wszyscy wręczali mu pudełka z prezentami i właśnie wtedy ciocia Hedy oznajmiła: „Zrobię wam zdjęcie rodzinne”. Zaprowadziła wszystkich pod lipę, tam też usiedli, ona zaś zaczęła pstrykać zdjęcia, jedno po drugim.

Raptem na tarasie zjawił się Walter, zszedł po stopniach i już kroczył do nich po trawniku, z dużą srebrną tacą w dłoniach. Za nim szła niewielka procesja: Marta, Gerda i Anna, trzy pokojówki z rezydencji przy Tiergartenstrasse, a nawet pani Müller, kucharka. Każda z nich trzymała tacę, na jednej leżały pyszne kanapki, na drugiej zabawne ciasteczka, na trzeciej marcepanowe świnki, a na ostatniej imponujący tort przybrany wiśniami, bitą śmietaną i polewą czekoladową; pani Müller zrobiła go specjalnie na dzisiejszą uroczystość, jako przysmak wieczoru.

Babcia ujęła Maxima za rękę i poprowadziła do stołu. „Musisz usiąść na honorowym miejscu, skarbie”, powiedziała, a potem wszyscy jedli i pili herbatę, gawędzili wesoło, śmiali się, byli szczęśliwi.

Kiedy wyglądało już na to, że podwieczorek dobiegł końca, na tarasie zjawił się znowu Walter. Tym razem przyniósł urodzinowe ciasto z czterema świeczkami, wszyscy odśpiewali pieśń urodzinową i on też przyłączył się do chóru, co strasznie rozbawiło gości. Po piosence musiał zdmuchnąć świeczki, pomyślał sobie przy tym skryte życzenie, tak jak poradziła mu mama, i wszyscy zaczęli go całować, tulić, i był to naprawdę jego najlepszy dzień, najszcześniejszy dzień, jaki kiedykolwiek przeżył...

Otworzył oczy i znowu utkwiał wzrok w zdjęciu, zrobionym w czwartą rocznicę jego urodzin. Ostatnie urodziny, jakie obchodził z rodzicami. Mieli przyjechać do niego do Londynu i razem z nim świętować jego piąte urodziny, ale nie przyjechali, bo babcia rozchorowała się poważnie i nie była w stanie odbyć długiej podróży. A potem wybuchła wojna i rodzice utknęli w Berlinie jak w pułapce. Nawet swoje szóste urodziny musiał obchodzić bez nich, czego nie potrafił odżałować.

O rodzicach myślał każdego dnia, ciągle zastanawiał się, gdzie teraz są i co robią. Niepokoił się o nich, gdyż wiedział, jak Niemcy traktują Żydów; Teddy powiedziała mu o tym, kiedy skończył siedem lat. „Jesteś już wystarczająco dorosły, aby o tym wiedzieć”, oznajmiła i wyjaśniła, że właśnie z tego powodu jego ojciec pragnął, aby oni wyjechali z Niemiec w pierwszej kolejności. Jednak Maxim był święcie przekonany, że jego rodzice są bezpieczni, wierzył, że gdyby stało im się coś złego, gdyby nie żyli, wyczułby to instynktownie. Pod tym względem nie różnił się od ciotki Ketti i od Teddy.

Teddy... Maxim kochał ją z całego serca i wiedział, że ona kocha go równie mocno. Kiedy był mały, a mama nie przychodziła do jego sypialni, często płakał i wtedy Teddy brała go w ramiona i kołysała, tak aby go ukoić, aby poczuł się bezpieczny. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co by zrobił bez Teddy - poza mamą i papą ona była najważniejszą osobą w jego życiu. Kiedy rodzice przybędą wreszcie do Londynu, wszyscy razem zamieszkają w dużym domu, może w Regent's Park albo w Hampstead. Przypuszczał, że zamieszka z nimi również ciotka Hedy, nie był jednak pewien co do babci, nie wiedział bowiem, czy babcia żyje. Nawet wtedy, sześć lat temu, była już stara, bardzo stara, a potem zachorowała. Może w tym czasie, kiedy jej nie widział, przeniosła się do rajy, aby połączyć się z dziadkiem Westheimem. Jeżeli tak, to będzie mu jej brakowało.

Zwrócił spojrzenie na inne zdjęcia.

Na jednym byli jego rodzice w 1935 roku. Teddy nazywała tę fotografię „portretem”, gdyż pozowali do niego w strojach wieczorowych; matka była w białej, atlasowej sukni z pelerynką i nosiła do tego naszyjnik z błyszczących brylantów, ojciec miał na sobie frak i białą muszkę.

Na kolejnym zdjęciu byli matka, Teddy i on. Stali przed Plaza-Athénée Hotel w Paryżu, a sfotografował ich portier, który był dla nich zawsze bardzo miły.

Maxim podszedł do komody jeszcze bliżej, wysunął górną szufladę i wyjął z niej czarny, skórzany portfel papy, który otrzymał w przeddzień wyjazdu do Paryża. Otworzył portfel i po chwili trzymał w ręku powiększoną fotografię mamy; ujęcie szczególnie lubiane przez ojca.

Mama stała tu na molo przed willą w Wannsee na tle połyskującego w promieniach słońca jeziora. Jakże była śliczna z rozwianymi włosami blond, szerokim, pogodnym uśmiechem, z pięknymi, błyszczącymi oczyma... Maxim złożył na jej twarzy pocałunek i czym prędzej wsunął zdjęcie z powrotem do portfela, tam gdzie leżało przedtem. W drugiej przegródce znajdowały się kartki papieru, które dawniej dawał mu ojciec. Nie wyjął ich teraz; i tak znał na pamięć wypisane tam słowa. „To są normy postępowania, którymi powinieneś kierować się w życiu”, mawiał papa. Nie wszystko z tego, co było tam napisane, rozumiał, przynajmniej nie wtedy, gdyż był wówczas mały, miał zaledwie cztery lata. Ale teraz liczył ich sobie już dziesięć, wiedział, co oznaczają te słowa, i zamierzał stosować się do nich w życiu, tak jak stosował się do nich ojciec.

Odłożył portfel na miejsce i zacisnął dłoń na małym, drewnianym koniku. Otrzymał go od ojca tuż przed wyjazdem z Niemiec. Teraz przesuwał po nim delikatnie palcami, przywołując w pamięci papę, a potem mamę, osoby, które kochał tak bardzo.

Zacisnął powieki, powstrzymując łzy, które nagle napłynęły mu do oczu. - Nie dajcie się - wyszeptał na głos. - Nie dajcie się. Wróćcie do mnie. Proszę was, mamó, papo, wróćcie do mnie.

Stał tak przez dłuższą chwilę, tuląc do siebie małego konika i walcząc ze łzami, i czuł, że znowu smutek bierze go całego w posiadanie.

- Maxim! Maxim! - dobiegł go z parteru głos Teddy. - Musimy już iść!

Położył konika obok portfela, zasunął szufladę, po raz ostatni ogarnął zdjęcia, stojące na komodzie tęsknym spojrzeniem i podbiegł do drzwi. Podniósł walizkę, wziął głęboki oddech i wyszedł z pokoju.

* * *

- Nie cierpię stacji kolejowych - oświadczył, idąc z Teddy po peronie dworca Victoria.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, jej serce drgnęło niespokojnie.

- Stacje kolejowe oznaczają zawsze rozstania i pożegnania - dodał Maxim i nieoczekiwanie stanął w miejscu.

Ona również zatrzymała się i spojrzała na niego. Jego twarz, młoda i świeża, tak zdrowa i rumiana, lekko opalona przez letnie słońce, była teraz napięta, w zaciśniętych ustach i dumnie uniesionym podbródku Teddy ujrzała wyraźnie upór jego matki.

- Tak, mój drogi - odparła łagodnie. Odstawiła walizkę, wyciągnęła ku niemu ramiona i objęła czule.

- Na dworcu w Berlinie musiałem pożegnać się z papą, w Paryżu z mamą, a każdorazowo gdy wracam do szkoły, rozstaję się z tobą. I czuję się wtedy okropnie.

Przytuliła go do siebie. - Ale ja nigdzie nie wyjadę, zawsze będę czekać tu na ciebie. A zresztą, jesteś na tyle mądry, aby zrozumieć, na czym polega różnica, kiedy my się żegnamy. Okoliczności, w jakich przyszło ci żegnać się w tamtych przypadkach, były zupełnie inne.

- Tak, to prawda... ale i tak nie cierpię dworców!

- Niebawem wszystko się zmieni, Maximie. Kiedy wojna dobiegnie końca, takie szkoły jak Colet Court i St. Paul's School powrócą do Londynu, a ty będziesz mógł uczyć się w nich i mieszkać tu, w swoim domu.

Ożywiony przytaknął skwapliwie. - Ojciec Alana twierdzi, że nasze dwie szkoły odgrywają ważną rolę w tej wojnie. Ostatecznie w budynku Colet Court stacjonują rekruci, a St. Paul's to główna kwatera generała Montgomery'ego. A on jest absolwentem St. Paul's, nie zapominaj o tym!

Roześmiała się serdecznie. - Jakżebyś mogła! Przecież nie pozwalacie mi na to, ani ty, ani Alan. W każdym razie, kiedy wszystko już wróci do normy, te dwie szkoły znajdą się z powrotem w Hammersmith. A skoro już mowa o ojcu

Alana... czy to nie twój przyjaciel stoi tam z taką strapioną miną?

- Boże, tak, to on! Ciekawe, gdzie podziała się pani Trenton? Przecież zawsze odprowadzała Serdelka na dworzec. Chodźmy, Teddy, zobaczymy w czym rzecz. - Zarzucił na ramię tornister z książkami i pobiegł przed siebie. Tylko raz odwrócił się i kiwnął niecierpliwie na Teddy.

- Nie wlecz tego nowego płaszcza po peronie! - krzyknęła za nim, idąc wolnym krokiem, do czego zmuszały ją bagaże: duża waliza, torebka i dodatkowa torba z kanapkami i słodkimi bułeczkami na lunch.

- Dzień dobry, Teddy - powitał ją uprzejmie Alan, kiedy podeszła bliżej.

- Dzień dobry, Alanie. Gdzie twoja mama?

- Musiała nagle wyjechać, z samego rana ma spotkanie w Whitehall*. W Ministerstwie Pracy. To ma coś wspólnego z zajęciami taty. Odkąd mój wujek miał atak serca, a tata jest w RAF-ie, mama próbuje kierować jego sprawami. A ponieważ wiedziała, że będziesz tu z Księciem, mogła mieć pewność, że wsadzisz mnie bezpiecznie do pociągu.

- Właśnie nadjeżdża! - zawołała Teddy. - Pociąg do Crowthorne! Widzę też paru waszych kolegów ze szkoły. To wspaniale, będziecie mogli siedzieć razem.

Obaj spojrzeli w stronę, w którą zwróciła wzrok, i jęknęli łagodnie.

- Teddy, nie myślisz chyba, że usiądziemy razem z nimi - mruknął Maxim, wznosząc oczy ku niebu. - Są na to za mali, nie widzisz tego?

- To nowy narybek - wyjaśnił Alan.

- Wolelibyśmy mieć przedział tylko dla siebie - oświadczył Maxim. - Jak myślisz, Teddy, czy to da się zrobić?

- Sądzę, że tak. Na peronie nie ma zbyt wielu ludzi, spodziewałam się też, że będzie więcej uczniów.

- Większość z nich pojechała już wczoraj - uśmiechnął się szeroko Alan. - Myślę, że ich matki chciały pozbyć się tych szkaradnych nicponi.

- A wy dwaj to okazy piękności, tak? - odpowiedziała, unosząc brwi.

*** Whitehall - ang. - siedziba większości ministerstw w Londynie, przyp. tłum.**

W sposób typowy dla dziesięciolatków wykrzywili się, strojąc pocieszne miny, a ona roześmiała się, uradowana ich dobrym humorem. Wszystko będzie w porządku, pomyślała w jak najlepszym porządku.

* * *

Jednak kiedy wracała już autobusem do Belsize Park Gardens, poczęła zastanawiać się, czy nie popełniła błędu wysyłając Maxima z domu do szkoły. Ze względu na nieobecność Westheimów byłoby może rozsądniej zatrzymać chłopca u swego boku.

Z drugiej strony, Maxim był tak wspaniałym uczniem, że zasłużył sobie na uczęszczanie do najlepszej szkoły!

Ciotka Ketti zarekomendowała St. Paul's, jak również Colet Court - szkołę przygotowującą do tej pierwszej.

Obydwie szkoły, tworzące całość, grupowały w swych murach uczniów młodszych i starszych, co ułatwiało wzajemne kontakty, a poza tym St. Paul's, jako stara szkoła o wielkich tradycjach liberalnych, nie kierowała się żadnymi uprzedzeniami; uczęszczało do niej wielu chłopców pochodzenia żydowskiego, którzy uciekli z Niemiec.

Henry Rossiter, z Rossiter Merchant Bank, poparł z całego serca sugestię Ketti, wyraził też przekonanie, że Westheimowie w pewnością zaaprobowaliby wybór tej właśnie szkoły dla syna. Zwrócił również uwagę na fakt, że Teddy dysponuje odpowiednimi funduszami, aby móc pokryć koszty nauki podręczników i mundurka, jakkolwiek to ostatnie nie było obowiązkowe ze względu na racjonowanie odzieży.

Postąpiła więc zgodnie z radą ciotki Ketti i Rossitera, przy czym nie można było winić jej za to, że obydwie szkoły zostały ewakuowane do Wellington College w Surrey w 1942 roku, akurat wtedy, gdy Maxim rozpoczął swą edukację.

Zrobiłam tak, jak należało uczynić, pocieszała się w duchu, poprawiając się na siedzeniu autobusu i przeglądając kupioną na dworcu *Evening Standard*. Już pierwsze nagłówki gazety wywołały uśmiech radości na jej twarzy: alianci wypierali Niemców, wyzwalaając ostatnie obszary okupowanej Francji.

25

- Jakże się cieszę, że przyszedłeś, Teodoro! - zawołała Lydia Pell. Z nieklamana radością witała gościa w domu swojej matki, w Hampstead. - Wejź do środka, bardzo proszę, nie stój tak na zimnie.
- Jak się masz, Lydio - odparła z uśmiechem Teddy.
- Obiecałam, że postaram się cię odwiedzić, i oto jestem.
- Zdjęła szal i płaszcz, po czym podała je Lydii.
- Miałam pewne kłopoty z ciocią Ketti; tylko dlatego, że chciała, abym poszła z nią na kolację do pani Levine. Umówiła się z nią, ale nie uprzedziła mnie o tym - wyjaśniła. - W końcu uznała mój punkt widzenia i zrozumiała, że nie powinna umawiać się w moim imieniu, dopóki nie upewni się, że nie mam innych planów. Lydia rzuciła jej szybkie spojrzenie. - Czy pani Levine ma syna? - zapytała.
- Owszem. Nawet dwóch. Obaj są w wojsku. Dlaczego pytasz?
- Założę się, że jeden z nich przebywa teraz w domu na przepustce - zachichotała Lydia. - O ile znam twoją ciotkę Ketti, będzie próbowała skojarzyć cię z jakimś miłym, młodym człowiekiem.
- Och, ona by tego nie zrobiła! - wykrzyknęła Teddy. Ale w jej wzroku, kiedy zerknęła na przyjaciółkę z ukosa, widniała niepewność.
- Na twoim miejscu byłabym bardziej czujna - odparowała Lydia, nie przestając chichotać. Powiesiła do szafy płaszcz i szal gościa, wzięła Teddy pod rękę i powiedziała: - Chodźmy, dołączymy do innych. Ramię w ramię obie kobiety ruszyły przez hall w stronę salonu.
- Zza zamkniętych drzwi dobiegały dźwięki pianina. Ktoś grał z niezwykłym wyczuciem i znawstwem i Teddy przyszedł momentalnie do głowy Sigmund Westheim; on też wspaniale grał na pianinie. Coś ścisnęło ją w gardle. Gdzie oni są w tej chwili, on i Ursula? - pomyślała. Jaki jest ich los? Ale Lydia otworzyła już drzwi i wprowadziła ją do salonu, tak więc Teddy odegnała od siebie czym prędzej przykre myśli i zmusiła się do uśmiechu. Znała ten pokój bardzo dobrze, spędziła w nim z Lydią wiele

sympatycznych wieczorów, odkąd poznały się cztery lata temu. I zawsze czuła się tu dobrze, jak w domu. Pełen staroświeckiego uroku salon przywodził na myśl wiejską rezydencję w dobrym stylu: był ciepły i przytulny co zawdzięczał między innymi ścianom w łagodnym, kremowym kolorze, ciężkim draperiom z czerwonego brokatu i harmonizującemu z całością dywanowi, który sięgał od ściany do ściany. Przed kominkiem leżał dywanik o orientalnej ornamentyce, sofę i krzesła okrywał kwiecisty perkal niegdyś żywy i pełen barw, teraz jednak wyblakły już i przez to bardziej stonowany. Zabytkowe meble wykonane były ze starego drogocennego drewna, na ścianach wisiały interesujące malowidła olejne i akwarele, a nad kominkiem cieszyło oko piękne lustro w stylu królowej Anny. Trzaskające wesoło płomienie kryształowe wazy, w których stały złociste i brązowe chryzantemy, miedziany dzban, ozdobiony gałązkami czerwonego buku - to wszystko przypominało o otaczającej ich jesieni, a w ten chłodny, październikowy wieczór pokój wydawał się jeszcze bardziej przytulny niż zazwyczaj.

Wokół pianina zebrała się niewielka grupka ludzi. Archie brat Lydn, który służył w RAF-ie, obejmował ramieniem swoją narzeczoną, Penelopę Jardene. Tuż obok stali jego dawni przyjaciele, koledzy szkolni z Eton, a obecnie piloci myśliwców, jak i on, Tom Andrews i Victor Spencer oraz aktualna przyjaciółka Victora, Daphne Hodges. Wszyscy nachylali się nad pianinem. ³ Lydia zaanonsowała: - Przyszła wreszcie Teodora' - i ten który grał na pianinie, przerwał, a inni obrócili się ku niej' witając ją ciepło. Teddy odpowiedziała uśmiechem i zawołała - Dobry wieczór wszystkim!

Prowadząc Teddy przez pokój, Lydia szeptała jej do ucha - Jediną osobą, której nie znasz, jest facet, który grał tak wspaniale na pianinie. Służy w eskadrze numer 32, stacjonującej w Biggin Hill w hrabstwie Kent, jest to eskadra Archiego. Nazywa się Mark Lewis.

Ostatnie słowa wypowiedziała nieco głośniejszym głosem, a Mark słysząc swoje imię, wstał i podszedł do nich bliżej.

- Teddy, to jest Mark - przedstawiła go Lydia. - Marku poznaj moją serdeczną przyjaciółkę, Teodorę Stein - Witaj, Teodoro - powiedział Mark, wyciągając do niej rękę. Podała mu swoją, mówiąc: - Dobry wieczór, Marku - i utkwiła wzrok w jego twarzy, tak młodzieńczej, że trudno

było uwierzyć, aby ten człowiek był już pilotem myśliwca. W następnej chwili zwróciła uwagę na jego oczy, brązowe, a przy tym tak ciemne, że niemal czarne, o niezwykle intrygującym wyrazie, niezgłębione, wręcz niezwykle. Oczy dojrzałego człowieka na młodzieńczej twarzy, pomyślała, oczy kogoś, kto widział już zbyt wiele gwałtu, śmierci i zniszczeń. Dopiero potem dostrzegła w nim jeszcze coś, coś co tłumaczyło ową osobliwą melancholię - ból i nadmiar smutku.

- Grałem dla nich ich ulubione melodie - odezwał się Mark, przerywając milczenie. - A jaka jest twoja ulubiona piosenka, Teodoro?

- Nie wiem, nie jestem pewna... - mruknęła, nagle onieśmielona i zbita z tropu. Wysunęła rękę z jego dłoni i cofnęła się o krok, uświadamiając sobie, że doznaje dziwnego wrażenia, przebywając w towarzystwie tego człowieka.

- Nie masz żadnego życzenia? - zapytał.

Potrząsnęła głową, niezdolna teraz wymówić choćby jedno słowo.

Uśmiechnął się lekko, podszedł do pianina i zajął z powrotem swoje miejsce.

- Jeśli nikt nie zgłasza żadnych życzeń, zagraj jeszcze raz dla mnie, Marku, dobrze? - zawołała Daphne. - Bardzo lubię „Spotkamy się znowu”.

- Dobrze - odparł Mark. - Pod warunkiem, że będziesz śpiewała.

- Zgoda! Zaśpiewamy wszyscy, prawda?

- Oczywiście - poparł ją Victor.

Po chwili w salonie zabrzmiał chóralny śpiew. Teddy podeszła do kominka i usiadła na krześle. Za chwilę zbliżyła się do niej Lydia i podała jej kieliszek białego wina.

- Nie chcesz pośpiewać z nimi? - zapytała, przysiadając na poręczu krzesła.

Teddy wzięła od niej kieliszek i podziękowała. - Te piosenki są bardzo ładne i wesołe, lubię ich słuchać, ale dziś nie mam nastroju do śpiewania. Nie pytaj, dlaczego.

- Szczerze mówiąc, ja też nie jestem w nastroju - przyznała Lydia. - Ostatnio tego typu wieczorki stały się najbardziej ulubioną formą spędzania czasu ze znajomymi, ale przez to ludzie rozmawiają ze sobą mniej niż dawniej, prawda?

- Właśnie - przytaknęła Teddy. - Ale może jednak nie powinniśmy siedzieć tak na uboczu, może tak nie wypada?

Podejdźmy do nich, nie musimy przecież śpiewać.

- Dobrze, chodźmy do nich. - Lydia wstała z poręczu krzesła. - Nie chciałabym, aby ktoś poczuł się z naszej winy urażony.

Stały przy pianinie, przysłuchując się grze Marka. Miał wielki talent i Teddy już po raz drugi tego wieczoru pomyślała o Sigmundzie. Opadły ją bolesne wspomnienia, wydało jej się nagle, że znowu przebywa w salonie muzycznym w rezydencji na Tiergartenstrasse. Na moment opanowało ją przygnębienie tak intensywne, że graniczyło z fizyczną torturą. Odetchnęła głęboko, chcąc odegnać ból, zaczęła powtarzać sobie w duchu, że wojna skończy się już wkrótce, że Westheimowie przyjadą wtedy do Anglii i wszyscy będą znowu razem. Tak jak niegdyś w Berlinie. Przeszłość stanie się teraźniejszością - i również przyszłością.

Ta myśl dodała jej otuchy, jak zwykle zresztą, kiedy pocieszała się w ten sposób. Upiła łyk wina i spojrzała znad kieliszka na Marka Lewisa, który nie przestawał grać na pianinie.

Był przystojnym mężczyzną o gładkiej, pełnej twarzy, szerokim czole i wydatnych, zmysłowych ustach. Miał ciemne, kasztanowate włosy, faliste, zaczesane gładko do tyłu, oraz grube, krzaczaste brwi nad marzycielskimi, ale zarazem pełnymi ekspresji oczyma. Barczysty i dobrze zbudowany, górował nad nią znacznie wzrostem, kiedy się witali. Przypuszczała, że ma metr osiemdziesiąt, może więcej. Nawet teraz, siedząc przy pianinie, sprawiał wrażenie bardzo wysokiego.

Nieoczekiwanie podniósł głowę i spojrzał na nią. Usiłowała odwrócić wzrok, ale bez skutku. Spojrzenie jego oczu było tak intensywne, że pozbawiało ją woli. Zaniepokojona poczuła, jak mocno, jak dziwnie mocno bije jej serce, a na twarz występuje rumieniec.

Na krótką chwilę zdołała oderwać od niego wzrok, ale niemal natychmiast jej oczy, jak przyciągane magnesem, powróciły ku niemu, on zaś odpowiedział spojrzeniem jeszcze bardziej bezpośrednim i jeszcze bardziej wymownym niż przedtem.

Opuściła oczy, próbując wziąć się w garść, a kiedy spojrzała na niego ponownie, zauważyła, że Mark przygląda się jej w dalszym ciągu. Potem uśmiechnął się i był to najpiękniejszy uśmiech, z jakim zetknęła się do tej pory, uśmiech który przeniknął ją głęboko, aż do serca, i pozwolił jej zrozumieć, że oto wydarzyło się pomiędzy nimi coś niezmiernie ważnego. Owładnął ją lęk.

Lydia szepnęła jej do ucha: - Idę do kuchni. Pomogę mamie przy przyrządzaniu kolacji. Przepraszam. - I odeszła. Teddy czym prędzej odwróciła się i pobiegła za nią. - Nie przywitałam się jeszcze z twoją mamą - mruknęła, kiedy już szły obok siebie. - Zresztą ja też mogę wam pomóc.

- Mama przygotowała już na pewno to co najważniejsze, kochanie, ale proszę bardzo, chodź ze mną. Możemy wyreczyć ją i zanieść talerze do jadalni.

Szły właśnie korytarzem w stronę kuchni, kiedy Teddy powiedziała cicho: - Mark jest niezwykle utalentowany, prawda?

- Owszem - przytaknęła Lydia. Po krótkiej chwili milczenia zerknęła na przyjaciółkę przez ramię. - Myślę, moja droga, że zrobiłaś na nim duże wrażenie.

- Co masz na myśli? - Teddy spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Pochłaniał cię wzrokiem, wiesz, w **TAKI** sposób.

- Co znaczy: **TAKI**?

- To znaczy w taki, w jaki mężczyzna patrzy na kobietę, kiedy jest nią oczarowany i pragnie zdobyć jej względy.

- Och! - Było to jedyne słowo, na jakie zdobyła się Teddy.

- Czy on ci się podoba?

- Lydio, ja go prawie nie znam!

- Chodzi mi o to, czy podoba ci się z wyglądu?

- Tak - przyznała Teddy. Znowu poczuła zakłopotanie i zająknęła się. - Ja... ja... ja... tak, uważam, że jest przystojny. I wydaje się bardzo miły, bardzo sympatyczny.

- Mark to według mnie prawdziwy specjał. Chciałabym, aby zainteresował się mną, ale nic z tego. Chyba nie jestem w jego typie. - Lydia zerknęła znowu na przyjaciółkę, na jej twarzy pojawił się uśmiech, początkowo nikły, potem coraz szerszy. - Ale za to ty. Dlatego zależało mi na tym, abyś przyszła dziś do mnie.

- Chcesz powiedzieć, że zabawiasz się w swatkę? - zapytała Teddy, marszcząc brwi.

- Tak, chyba tak - roześmiała się Lydia. - Czy widzisz w tym coś złego? Co jest niewłaściwego w kojarzeniu dwojga ludzi?

Teddy milczała, jak gdyby szukała odpowiednich słów, w końcu powiedziała: - Mam nadzieję, że Mark nie odgadł twoich zamiarów. Czuję się okropnie, gdyby tak było, nie wiedziałabym w ogóle, co ze sobą począć.

- Uspokój się, on niczego nie podejrzewa. Naprawdę. A tak na marginesie: Mark to nie tylko sympatyczny facet, ale również bohater. Ma całą masę medali i orderów wojskowych.
- A jest tak młody?! - zdumiała się Teddy. - W każdym razie wierzę, że jest dzielny.
- On ma coś w sobie - szepnęła Lydia w zadumie. - Ma w sobie coś szczególnego, co trudno określić. Archie powiedział, że można na nim polegać i że jest gorącym patriotą. A tak przy okazji: Mark nie jest wcale tak młody, na jakiego wygląda i za jakiego go bierzesz.
- Ile w takim razie ma lat?
- Dwadzieścia pięć, jest o rok starszy od Archiego. W twoim wieku.
- Rozumiem.
- Jest jednym z „Niewielu”, wiesz?
- Brał udział w Bitwie o Anglię! - zawołała Teddy, zaskoczona tą wieścią. - W takim razie rozumiem, skąd ma tyle medali - dodała, przypominając sobie słowa Winstona Churchilla o tych młodych ludziach, właściwie dwudziestolatkach, którzy w 1940 roku bronili Anglii w przestworzach. „Nigdy dotąd w dziejach ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu”, oświadczył wówczas Churchill w trakcie przemówienia, wygłoszonego w Izbie Gmin i od tej pory piloci, którzy brali udział w Bitwie o Anglię, określani byli jako „Niewielu”, a samo uczestnictwo w tej bitwie poczytywane było za szczególny rodzaj zasługi dla ojczyzny, nawet w odniesieniu do tych, którzy nie otrzymali orderów.

26

Julia Pell zaglądała właśnie do pieca, kiedy Lydia i Teddy weszły do obszernej kuchni, odwróciła się jednak natychmiast na dźwięk ich kroków. Widząc, kto przyszedł, rozpromieniła się, Teddy cieszyła się bowiem jej niezwykłą sympatią.

- Teodora! To wspaniale, że znalazłaś czas, by nas odwiedzić!

- Ja też nie mogłam się doczekać tej wizyty, pani Pell

- odparła Teddy, obejmując czule matkę przyjaciółki, a potem zapytała: - W czym mogę pomóc?

- Na razie w niczym, moja droga, ale dziękuję za dobre chęci. Usiądź tu sobie przy stoliku i dokończ wino. Ty też, Lydio. Wszystko mam już prawie gotowe. Za kilka minut wyjmę jedzenie z piekarnika, wtedy przyjdzie kolej na was.

To mówiąc, podbiegła do spiżarni, wyjęła stamtąd dużą szklaną misę, postawiła ją na blacie i skierowała się znowu do spiżarni.

Patrząc na jej zwinne ruchy, na grację, z jaką krzątała się po kuchni, Teddy mimo woli porównała ją w myślach z Lydią; matka i córka były naprawdę podobne do siebie i to pod wieloma względami.

Julia Pell była wysoką, smukłą kobietą o ciemnorudych włosach, niebieskich jak chabry oczach i setkach piegów na ciele. Lydia odziedziczyła po niej wzrost i figurę, żywe, niebieskie oczy i ogniste włosy, ale również wdzięk i pogodne usposobienie. Dziś bardziej niż kiedykolwiek wyglądają raczej na siostry niż na matkę i córkę, przyszło Teddy do głowy. Bardzo lubiła je obie, wielokrotnie w ciągu tych paru ostatnich lat przekonywała się, że ma w nich prawdziwe przyjaciółki. Z Lydią przypadły sobie do gustu od pierwszej chwili, kiedy się poznały, a pani Pell odniosła się do niej równie spontanicznie i ciepło jak jej córka.

Julia i jej mąż, Michael, pochodzili z anglo-irlandzkich rodzin katolickich, oboje urodzili się i wychowali w Irlandii. Od chwili ślubu mieszkali w Londynie i tu również przyszły na świat ich dzieci, nadal jednak posiadali dom w Donegal

- dom, który Michael odziedziczył po swoim ojcu i w którym aż do roku 1939 rodzina spędzała letnie miesiące.

„Kiedy już skończy się wojna i będzie można znowu podróżować do woli, musisz przyjechać tam do nas na całe lato”, mawiała często pani Pell do Teddy, dodając, że zaproszenie obejmuje również naturalnie Maxima, ciotkę Ketti i nawet Westheimów. Teddy żywiła nadzieję, że pewnego dnia skorzystają z tego zaproszenia. Od dawna marzyła o wycieczce do Irlandii. Państwo Pell mieli jeszcze dwoje dzieci: Siobhan, która odbywała aktualnie służbę w szeregach Krajowych Oddziałów Kobiet w Szkocji, oraz Nialla, oficera marynarki handlowej, który uczestniczył w konwojach, płynących do Związku Radzieckiego. Oboje byli równie serdeczni i mili jak reszta rodziny.

Pani Pell podeszła po raz ostatni do spiżarni i wyjęła jeszcze jedną miskę.

- Na tę kolację dla Archiego i jego przyjaciół wydałam wszystkie nasze talony żywnościowe - powiedziała do Lydii - ale myślę, że warto było. Niech twój brat skosztuje swoich przysmaków.

Lydia roześmiała się. - Coś mi się zdaje, że to również przysmaki taty. Szkoda, że przebywa dziś na północy. Na pewno by mu smakowało.

- Tak, to prawda, ale nic na to nie poradzimy, kochanie

- odparła Julia. - Żeby nie wiem co, musiał pojechać do Leeds, do fabryki amunicji, a pociągi wloką się tak niemiłosiernie, że nie ma mowy, aby zdążył wrócić na kolację. Ustaliliśmy więc, że na noc zatrzyma się w Queens Hotel w Leeds, a jutro wróci wygodnie, bez pośpiechu. Tak będzie lepiej.

- Pani Pell, co to za pyszny zapach dochodzi z pieca?

- zapytała Teddy.

Julia rozpromieniła się jeszcze bardziej, zadowolona z pochwały. - Tak, pachnie naprawdę zachęcająco - przyznała i dodała poufnym tonem: - Rzeźnik zostawił dla mnie trochę świeżej wołowiny. Wprawdzie dałam za to wszystkie nasze kupony na kilka następnych tygodni, ale zrobiłam olbrzymią, przekładaną pieczeń. Archie uwielbia coś takiego! Zrobiłam też placek z jabłkami. Widzisz, zachowałam trochę zawekowa-nych jabłek na specjalną okazję i pomyślałam sobie, że dzisiejszy wieczór nadaje się do tego w sam raz. Tyle tylko, że to czas wojny, brakuje więc tego i owego. Nie ma na przykład bananów. Ani innych owoców, które by się przydały. Ale to nic. - Julia wzruszyła ramionami i zachichotała. - Dziękujmy Bogu za to, co mamy: biszkopt, galaretka, krem i sherry. To ostatnie dodaje specjalnego aromatu.

- Dobry Boże, mamó, nie zrobiłaś chyba tego tak jak ostatnim razem! - zawołała Lydia, przewracając oczyma.

- Wiesz, Teddy, mama podała ostatnio taki sam biszkopt w winie z kremem, ale zalała to taką ilością sherry, że upiła nas wszystkich, dosłownie upiła!

Julia otworzyła już usta, aby zaprotestować, ale w tej samej chwili w drzwiach kuchni pojawiła się ryza głowa Archiego.

- Mamó, za ile kolacja? - zapytał. - Moi ludzie są już głodni jak wilki, a z każdą chwilą sytuacja staje się coraz groźniejsza. Jeszcze trochę i wymkną mi się spod kontroli... a wtedy runą tu naszym hordy Czyngis-chana.

- Nie ma obawy, Archie, kolacja już gotowa - odparła pani Pell i uśmiechnęła się do syna. - Wprowadź swoich gości do jadalni, a Lydia i Teddy przyniosą wszystko, co trzeba.

* * *

Kolacja u państwa Pell bywała zawsze niezwykłym wydarzeniem, gdy Archie przebywał w domu na przepustce, a zwłaszcza gdy przyprowadzał swych przyjaciół.

Jak zwykle też, młodzi ludzie z RAF-u wodzili rej przy stole. Relacjonowali ze wszystkimi szczegółami własne przeżycia, od których włos się jeżył na głowie, opowiadali mrozące krew w żyłach historie, sypali przy tym żarcikami, śmiali się wesoło, również z siebie samych, jednym słowem, zabawiali kobiety jak tylko mogli najlepiej. Teddy, zazwyczaj towarzyska, wesoła i pełna życia, była tym razem .milcząca, jakby skrępowana. Wiedziała, że to z powodu Marka Lewisa; siedział tuż przy niej i jego sąsiedztwo wytrącało ją z równowagi. Kilkakrotnie zwracał się do niej, ona zaś odpowiadała uprzejmie, nie podtrzymywała jednak rozmowy, mimo iż gorąco tego pragnęła. To, że była dziś tak małomówna, stanowiło również dla niej olbrzymie zaskoczenie; przy tym człowieku język stawał jej kołkiem!

Problem krył się w niej samej, wiedziała o tym i dlatego usiłowała uporać się ze swymi emocjami. Od pierwszej chwili, kiedy się poznali, była pod silnym wrażeniem Marka, wydał jej się od razu nadzwyczaj atrakcyjny i pociągający jako mężczyzna, a przy tym towarzyski i miły. Czuła też, że to człowiek z charakterem, uczciwy i dzielny, że posiada również wiele innych ukrytych zalet, że jest wrażliwy i delikatny.

W ciągu tych pięciu lat, jakie spędziła w Londynie, zetknęła się z niejednym młodym mężczyzną, który okazał jej swoje zainteresowanie i pragnął zdobyć jej względy, ona jednak uparcie odrzucała wszelkie propozycje spotkań, nie umawiała się z nikim od czasu wyjazdu z Berlina. I postępowała tak nie tylko ze względu na Willy'ego Herzoga, ale także dlatego, że żaden z tych mężczyzn nie wydał jej się godny uwagi. Tym bardziej wstrząsnęło nią teraz jej osobliwe zachowanie wobec Marka, pozornie powściągliwe, a w rzeczywistości podyktowane oszałamiającą świadomością, że oto stało się coś, czemu nie można zaprzeczyć: Mark podobał się jej w nie mniejszym stopniu niż zapewne ona jemu. Wiedziała, że

pragnie ujrzeć go znowu, spotkać się z nim, być z nim sam na sam, poznać go lepiej.

Kiedy siadali do stołu, a on odsunął dla niej krzesło i niechcący musnął ją przy tym dłonią, miała wrażenie, że przeszył ją prąd. Momentalnie odsunęła rękę, mimo że tak naprawdę pragnęła uczynić coś wręcz odwrotnego; chciała jeszcze chociaż przez chwilę poczuć na sobie jego dłoń, a nawet spleść palce z jego palcami. Ogarnęły ją emocje, natrętne, intensywne i - nie znane jej do tej pory. Nigdy dotąd nie czuła się tak jak dziś, nawet w obecności Willy'ego, jej narzeczonego. Biedny Willy. Właśnie pomyślała o nim niedawno i doszła do przekonania, że dla nich dwojga nie ma wspólnej przyszłości. Osoba Marka nie miała z tym nic wspólnego. To nagłe uświadomienie sobie prawdy zawdzięczała raczej ciotce Ketti, która powiedziała, że ona i Willy będą dla siebie jak dwoje całkowicie obcych ludzi, kiedy już spotkają się znowu po pięcioletniej rozłące. Teddy musiała przyznać w duchu, że ciotka ma rację.

Instynktownie czuła, że Mark poprosi ją o spotkanie, i miała zamiar wyrazić zgodę. Mogło się okazać potem, że to pomyłka, że on rozczaruje ją albo ona jego, nie miała też pojęcia, co - o ile w ogóle - mogło jeszcze zdarzyć się między nimi, ale jednego była już pewna: nie kochała Willy'ego na tyle, aby go poślubić. Żywiła wobec Willy'ego siostrzane uczucia i z tego właśnie zdała sobie obecnie sprawę. Wtedy w Berlinie, w 1938 roku, nie kochała go, lecz spodobał jej się sam pomysł wyjścia za męża. Dlatego odpowiedziała „tak”. Ale to nie mógł być wystarczający powód, aby wziąć ślub.

- Od kiedy znasz Pellów? - Głos Marka wyrwał ją z zadumy. Odsunął nieco swoje krzesło od stołu, obrócił się ku niej i założył nogę na nogę.

- Mniej więcej od czterech i pół roku - odparła.

- Jak przypuszczam, poznałaś ich poprzez Lydię?

- Tak, pracujemy razem na cele wojenne.

- Pracujecie razem? - powtórzył, marszcząc brwi. - Ale chyba nie w fabryce? A może jednak?

- Nie. Zostałam skierowana do stacji pomocy przy Havers-tock Hill, zgłosiłam się też jako ochotniczka do Czerwonego Krzyża - wyjaśniła Teddy.

- Rozumiem. A więc właściwie nie masz stałego zajęcia, prawda?

- Cóż... no... raczej nie... - Teddy zawahała się, czy ma powiedzieć mu o Maximie. W końcu postanowiła, że nie.

- Lydia i ja pracujemy w Czerwonym Krzyżu w pełnym wymiarze godzin - mruknęła.

Skinął głową. - Mieszkasz tu gdzieś w pobliżu?

- Tak, w Belsize Park Gardens.

- Z rodzicami?

- Czy zawsze, kiedy kogoś poznajesz, zadajesz tyle pytań?

- zapytała cicho Teddy.

Miał bardzo ładny uśmiech. - Nie - przyznał, pokazując nieskazitelnie białe zęby. Rozsiadł się wygodniej na krześle, kładąc nonszalancko rękę na oparciu, po czym rzucił jej wymowne spojrzenie. - Tylko wtedy, kiedy ktoś mnie zainteresuje - dodał niskim, nieco ochryplym głosem.

Dobrze pojęła sens tej uwagi i z wrażenia słowa uwięzły jej w gardle. Próbowwała oderwać wzrok od tych ciemnych, przeszywających ją oczu, ale to przekraczało jej siły. Poczowała, że jej twarz oblewa się rumieńcem, była zła na samą siebie. Zaczęła już zastanawiać się, co zrobić, aby skierować rozmowę na inne tory, kiedy z opresji wyratowała ją pani Pell.

- Może przejdziemy do salonu na kawę - zaproponowała, wstając od stołu i skierowała się do hallu.

Goście podążyli za nią.

Pod koniec przyjęcia Mark zapytał Teddy, czy może odwieźć ją do domu. Propozycję przyjęła z radością.

Teraz siedzieli oboje w jego czerwonym sportowym kabriolecie, jadąc z Hampstead w stronę Belsize Park Gardens.

Jak na kogoś, kto jeszcze niedawno zasypywał ją pytaniami, Mark był w czasie tej jazdy dziwnie milczący. Teddy natomiast, podobnie jak w domu państwa Pell, rzadko otwierała usta; chyba tylko po to, aby wskazywać drogę.

Kiedy wreszcie samochód zatrzymał się przed domem ciotki Ketti, Mark obrócił się na siedzeniu twarzą do Teddy.

- Chciałbym spotkać się z tobą znowu, Teodoro - powiedział.

- Czy wybierzesz się gdzieś ze mną?

- Tak.

- Tylko tyle? Krótkie tak? - zapytał łagodnie. - Jesteś nieśmiała, prawda?

- Nie, to niezupełnie tak... Po prostu... - Urwała, w półmroku utkwiała w nim wzrok, potem odetchnęła głęboko i powiedziała zdecydowanie: - Chętnie wyjdę z tobą... bardzo chętnie.

- To wspaniale, cieszę się - odparł, a jego niski głos miał w sobie teraz jeszcze więcej ciepła niż dotychczas. - Może w takim razie umówimy się na jutrzejszy wieczór?
- Niestety, jutro mam odwiedzić chorą przyjaciółkę. Obiecałam jej, że przyjdę i nie chciałabym sprawić jej zawodu.
- Rozumiem. Tak się składa, że w piątek będę zajęty.
- Ja też.
- Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie czas w sobotę, Teodoro, gdyż w niedzielę kończy mi się przepustka.
- Dobrze, spotkajmy się w sobotę.
- Wybierzemy się na tańce - zapowiedział, uśmiechając się w półmroku.

27

Mark zabrał ją do hotelu Savoy przy ulicy The Strand, tam też zjedli obiad w pięknej sali, której okna wychodziły na Tamizę, oraz tańczyli przy dźwiękach orkiestry Carrola Gibbonsa.

Teddy utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że nigdy do tej pory nie spotkała kogoś tak przystojnego jak Mark Lewis. Tego wieczoru miał na sobie niebieski mundur Królewskich Sił Powietrznych, na lewej piersi nosił swoje medale i widok jego młodzieńczej twarzy nad tymi wszystkimi odznakami, symbolizującymi męstwo i odwagę pilota, mógł wywołać prawdziwy wstrząs.

Kilkakrotnie dostrzegła pełne uznania spojrzenia mężczyzn i kobiet, rzucane w jego stronę, a w pewnym momencie jakiś starszy dżentelmen w smokingu, tańczący ze swoją żoną, zagadnął go, przesuając się obok na parkiecie: - Powinniśmy być wdzięczni takim ludziom jak pan. Świetna robota, świetna robota, ojczyzna może być z pana dumna, młodzieńcze.

Mark mruknął coś i uśmiechnął się do nieznajomego, nie skomentował jednak tego incydentu nawet jednym słowem, kiedy tańczył z Teddy w takt „Besame mucho”. A potem, całkiem nieoczekiwanie, objął ją mocniej i przyciągnął do siebie, ona zaś zadrzała w jego ramionach. Przez krótką chwilę pomyślała zatrwożona, że Mark usłyszy, jak silnie bije jej

serce, ale oczywiście były to płonne obawy. Bo i jak miałyby to usłyszeć?

Teraz siedzieli przy stoliku, popijając szampana i rozmawiając. Do tej pory poruszali jedynie sprawy ogólnikowe: zgodnie wyrazili niepokój z powodu V2, nowej straszliwej broni niemieckiej, o wiele bardziej niebezpiecznej od V1, a wystrzeliwanej od niedawna na Londyn; omówili przebieg działań wojennych, sukcesy aliantów we Włoszech, przy czym Mark powtarzał to samo, co mówili już wszyscy: że wojna zakończy się najpóźniej latem przyszłego roku. Żadne z "nich nie przeszło jednak do tematów bardziej osobistych, tak jakby oboje lękali się wyjść z taką inicjatywą. Również dziś, podobnie jak parę dni temu u państwa Pell, Teddy czuła się wytrącona z równowagi, kiedy przebywała w towarzystwie Marka, postanowiła jednak nie okazywać swego zdenerwowania. Nadrabiała miną, przywdziewając maskę osoby chłodnej i opanowanej.

- Przykro mi, że czekamy tak długo na ten pudding

- odezwał się Mark. - Może zatańczymy w tym czasie, Teodoro?

Potrząsnęła głową. - Trochę później, jeśli nie masz nic przeciw temu, dobrze? I mów mi Teddy, Teodora brzmi tak poważnie.

Uśmiechnął się. - Wcale nie, myślę, że to piękne imię, takie melodyjne... Te-o-do-ra... Owszem, Teddy jest imieniem bardziej pieszczotliwym... Co do mnie, będę mówił do ciebie raz tak, raz inaczej, raz Teddy, raz Teodora.

Kiwnęła głową na znak zgody, upiła trochę szampana i obdarzyła go uroczym uśmiechem, a potem zwróciła głowę ku orkiestrze. Przez dłuższą chwilę siedziała przysłuchując się muzyce i przytupując nogą pod stołem, zadowolona, że zdecydowała się wydać pięć funtów na tę nową suknię wieczorową, długą, wyszczuplającą i w najmodniejszym obecnie kolorze „przytłumiony róż”. Wiedziała, że wygląda w niej atrakcyjnie. Ujrzała tę suknię na pokazie u Harrodsa i natychmiast uznała, że będzie jej w niej do twarzy. Do sukni założyła sznur pereł, perłowe kolczyki i bransoletkę z ametystem

- wszystko odziedziczone po matce. Również na jej prawej dłoni błyszczał pierścionek zaręczynowy matki.

Przed wyjściem z domu, kiedy już wyszykowała się na randkę i zeszła na dół, ciotka Ketti aż zaniemówiła, a potem zawołała: „Wyglądasz ślicznie!” Teddy nie uwierzyła jej, była przekonana, że to tylko komplement, ale wkrótce zjawił się

Mark i powtórzył to samo i jemu uwierzyła. Może dlatego, że chciała w to wierzyć.

Wprowadziła go do salonu, aby przedstawić ciotce, a ta poprosiła, aby zdjął płaszcz, posiedział trochę i napił się czegoś. Na szczęście odmówił, wyjaśniając, że przed domem czeka taksówka.

Kilka minut później siedzieli już w aucie, a Teddy odetchnęła z ulgą. Ciotka Ketti zasypała ją przedtem całą masą pytań dotyczących Marka, na które ona nie potrafiła odpowiedzieć, bała się więc, że ciotka zacznie wszystko od nowa przy gościu, zadręczając go niezręcznymi pytaniami na temat jego rodziny albo, co gorsza, wyznawanej przez niego religii. Dla niej te sprawy nie miały żadnego znaczenia. Był najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego znała, i tylko to liczyło się dla niej, nic więcej.

Teddy oczywiście nie mogła o tym wiedzieć, ale Mark Lewis był urzeczony nią w nie mniejszym stopniu niż ona nim, i teraz, kiedy siedziała pogrążona w myślach, z rozmarzonym wyrazem twarzy, z trudem zachowywał spokój. Zależało mu na tym, aby zachować się jak dojrzały mężczyzna, a nie jak podekscytowany uczeń na swojej pierwszej randce.

Zapalił papierosa, nie spuszczać oczu z Teddy. W blasku świec jej twarz sprawiała wrażenie anielskiej. Nigdy jeszcze nie widział kobiety piękniejszej od niej... no, może z wyjątkiem Ingrid Bergman w filmie „Casablanca”.

Teddy była do niej zresztą bardzo podobna, z tą swoją pełną twarzą, wyrazistymi kośćmi policzkowymi, drobnym, prostym nosem i szerokimi ustami o zmysłowej dolnej wardze. Miała jasne włosy, ale ciemne, grube brwi, na szczęście nie zeszpecone przez modne ostatnio korygowanie ich linii.

Uwagę zwracały jej oczy, duże, o kryształowo czystym odcieniu zieleni, ocienione długimi, gęstymi rzęsami; nie tylko piękne, ale również emanujące inteligencją, co przekonało Marka, że za tą łagodną twarzą Madonny kryje się nieprzeciętny umysł.

Ujął kieliszek i napił się szampana, raptem załując, że nie ma pod ręką czegoś mocniejszego. Teddy wprowadziła go w niepokój. Pragnął dowiedzieć się o niej jak najwięcej, nie śmiał jednak zadawać więcej pytań. Już raz powiedziała mu, że jest zbyt wścibski, a on skarcił siebie w duchu za swoje zachowanie w środę, u Pellów.

Czy to możliwe, że poznali się dopiero w środę?

Miał wrażenie, jakby znali się od dawna. Przez dwa ostatnie dni rozmyślał o niej bezustannie, śnił o niej nocami. Uzmysłowił sobie, że to najbardziej niebezpieczna kobieta, z jaką zetknął się kiedykolwiek. Niebezpieczna dlatego, że tak szybko zakochał się w niej, że nie potrafił nie traktować jej poważnie. Przez pięć, sześć ostatnich lat miewał do czynienia z różnymi kobietami, ale nigdy jeszcze nie czuł się tak jak teraz...

Teodora Stein różniła się od innych kobiet z jego przeszłości, różniła się od nich w sposób zdecydowany. Było w niej coś, co chwyciło go za serce, coś, co budziło w nim dwojakie uczucia; z jednej strony pragnął czuwać nad nią, pocieszać ją i chronić, z drugiej zaś pożądał jej. Teodora Stein, powtarzał w duchu. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest Żydówką; to samo przypuszczenie wyraziła dziś przy lunchu jego matka.

„Wskazywałyoby na to jej nazwisko: Stein”, powiedziała. Odparł wtedy, że nie wie nic na ten temat, a zresztą to nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Żydówka czy nie, co za różnica? I natychmiast pożałował swych słów; nie powinien był tak mówić. „Lepiej dowiedz się, jak to jest naprawdę, wiesz przecież, jaki jest twój ojciec”, ostrzegła go matka, on zaś jęknął w duchu, zły na samego siebie, że w ogóle zaczął tę rozmowę. Teraz jednak było już za późno na żale, matka z pewnością opowie wszystko ojcu, a jutro, to znaczy w niedzielę, odbędzie się przy lunchu prawdziwe przesłuchanie. Tak było zawsze, ilekroć zainteresował się jakąś kobietą, dlatego że był obecnie ich najstarszym synem. Jego brat David, ukochany David, którego ubóstwiał i naśladował przez całe życie, zginął w czasie walk w Afryce Północnej. Teraz on, Mark, zajął jego miejsce w rodzinie. Tak jakby to było w ogóle możliwe, zastąpić innego człowieka, człowieka wyjątkowego. A jednak od niego oczekiwano właśnie, aby zastąpił swego brata, co gorsza: aby zajął się interesami, prowadzonymi przez ojca, tak jak miał się nimi zająć David. Oczekiwano również, że wybierze sobie odpowiednią kobietę na żonę; odpowiednią oczywiście w oczach rodziny.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał Mark. Będę umawiał się z kim zechcę i poślubię kobietę, którą pokocham, niezależnie od tego, czy będzie to Żydówka, katoliczka, protestantka czy też Hinduska. Zrobię tak, jak mnie to będzie odpowiadało, a nie ojcu. W końcu to moje życie, nie jego, a ja nie jestem nim, tak samo jak nie mogę być Davidem. Będę robił to, co uznam za stosowne. Będę sobą.

Rozgorączkowany myślami o ojcu, Mark nachylił się do przodu, nabrał głęboko tchu i z desperackim wyrazem twarzy przerwał trwające od kilku minut milczenie. - Chciałbym poznać cię lepiej, Teddy- powiedział. - Wiem, że i ty pragniesz wiedzieć więcej na mój temat. Ale nie osiągniemy tego, siedząc tu, słuchając muzyki i uśmiechając się tylko do siebie. Z drugiej strony muszę przyznać, że nie mam odwagi wypytywać cię o cokolwiek, skoro już tamtego wieczoru zgañałś mnie, i dlatego...

- Zgañałś mnie? Wcale nie chciałam, aby to tak wypadło!

- zawołała Teddy. - Chyba nie obraziłeś się na mnie? Zerknął na nią, uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Nie, skądże znowu! W każdym razie... teraz twoja kolej... Możesz pytać mnie, o co tylko chcesz, a ja odpowiem szczerze, przyrzekam.

- Nie, Mark, to ty powinieneś zadawać mi pytania... Jestem ci to winna za to, co powiedziałam w środę.

- Dobrze, skoro tak uważasz... - Umilkł, a po krótkiej chwili spojrzał jej prosto w oczy i zapytał powoli, dobitnie:

- Czy istnieje obecnie ktoś, z kim się spotykasz, ktoś, z kim jesteś związana i kto przebywa w tej chwili w wojsku?

- Nie! - zawołała natychmiast, nie odwracając wzroku.

- Był ktoś... owszem, kiedyś... ale nie widziałam go już od prawie sześciu lat. Obecnie przebywa za granicą. Jest teraz dla mnie... po prostu przyjacielem.

- I przez ten czas nie spotykałaś się z nikim innym?

- Nie.

- Ale... tak piękna dziewczyna jak ty! Teddy, przecież musiałaś mieć adoratorów, a więc dlaczego?

- Tak, miałam adoratorów - przyznała cicho, jakby nieco zakłopotana tym faktem. - Ale nie umawiałam się z nimi... po prostu, nie podobali mi się.

Nie odrywając od niej wzroku, wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni. Poczuł, że zadrżała, i to natchnęło go otuchą. Przynął się do niej jeszcze bardziej i szepnął: - A ja? Czyja ci się podobam, Teodoro?

Owładnięta emocjami, wobec których okazała się bezsilna, nie była w stanie wykrztusić nawet słowa. Patrzyła tylko na niego, przełykając kilkakrotnie ślinę, wreszcie kiwnęła głową.

Przeszył go żar, zacisnął palce na jej dłoni i tym samym co przedtem przyciszonym głosem powiedział: - Nawet nie wiesz, jak bardzo uszczęśliwiłaś mnie w tej chwili, Teddy. I... na

pewno wiesz o tym doskonale, ale muszę ci to wyznać: szalenie mi się podobasz.

Nadal wpatrywała się w niego, jej oczy błyszczały szczęściem, policzki okryły się lekkim rumieńcem.

- Teraz twoja kolej - przerwał milczenie Mark. - Pytaj mnie, o co tylko chcesz.

- Jak u ciebie wygląda ta sprawa? - zapytała po chwili niepewnym, nieco drżącym głosem. - Czy ostatnio spotykałeś się z kimś?

- Nie, możesz mi wierzyć. Oczywiście, w moim życiu były już kobiety, nie będę cię okłamywał, ale nie było to nigdy coś poważnego, a zresztą to już stare dzieje. - I żadna z tamtych kobiet nie mogła równać się z tobą, najdroższa, dokończył w duchu.

Do stolika podszedł kelner, niosąc zamówiony przez nich deser. Patrzyli w milczeniu, jak ustawia salaterki z puddingiem, na który stracili już apetyt, a kiedy znowu zostali sami, Mark oświadczył: - Myślałem, że kiedy przyjdę dziś po ciebie, poznam twoich rodziców. Pewnie wyszli gdzieś?

- Moi rodzice nie żyją - odparła cicho Teddy.

- O Boże, ależ ze mnie głupiec! Zachowałem się skandalicznie! Proszę, wybacz mi, tak mi przykro...

- Ależ Marku, skąd miałeś wiedzieć? Poza tym... moi rodzice nie żyją już od dawna, od bardzo dawna.

- I dlatego mieszkasz z ciotką?

- Tak. A czy twoi rodzice żyją?

- Żyją. Czy masz braci albo siostry? Potrząsnęła głową. - Byłam jedynaczką. A ty?

- Mam młodszego brata. Na imię ma Lionel. Chodzi teraz do szkoły. W Harrow.

- Harrow! To wspaniała szkoła! Uczył się tam Winston Churchill.

- Ja też - pochwalił się Mark.

- Naprawdę? A spotkałeś tam kiedyś Churchilla? - zapytała skwapliwie.

- Tylko raz.

- Szczęściarzem z ciebie. Chciałabym go kiedyś spotkać, zobaczyć z bliska. To wielki człowiek. Największy na świecie, przynajmniej w moich oczach. Jest moim bohaterem.

Mark uśmiechnął się do niej. Chciał już powiedzieć, że wiele by dał, aby samemu stać się jej bohaterem, ale w ostatniej

chwili ugryzł się w język. Zamiast tego, zapytał: - A gdzie ty chodziłaś do szkoły?

- Mojej szkoły zapewne nie znasz, nie mogłeś jej znać... To szkoła w Berlinie.

Zaskoczony wlepił w nią wzrok, nawet zmarszczył lekko brwi. - A co, na Boga, porabiałaś w Berlinie? Czy twoi rodzice przeprowadzili się tam chwilowo z jakiegoś powodu?

- zapytał w końcu.

- Moi rodzice byli berlińczykami. Ja też. Urodziłam się tam.

- Jesteś Niemką? - W głosie Marka dało się wyczuć niedowierzanie.

- Tak.

- Kto by pomyślał! To znaczy... w ogóle nie masz niemieckiego akcentu. Mówisz bezbłędnie po angielsku... powiedziałbym nawet, że wręcz pięknie.

- Mama uczyła mnie angielskiego, kiedy byłam mała

- wyjaśniła Teddy. - Sama mówiła biegle w tym języku, zresztą często jeździłyśmy do Anglii, jeszcze przed wojną, aby odwiedzić ciotkę Ketti. Ciotka mieszka tu już od ponad trzydziestu lat, jej mąż, wujek Harry, był Anglikiem. W każdym razie ja mówiłam dobrze po angielsku już w wieku pięciu lat. Może dlatego mam właściwą wymowę. Małe dzieci potrafią nauczyć się drugiego języka bez obcego akcentu, inaczej niż dorośli.

Markowi nagle coś przyszło do głowy. - Od jak dawna mieszkasz w Anglii?

- Od pięciu lat. Przyjechałam tu wiosną 1939 roku, przez Paryż.

Kiwnął głową, zastanawiając się, czy to możliwe, aby to, co zakiełkowało w jego umyśle jako przypuszczenie, było prawdą.

Teddy wpatrywała się teraz w niego bardzo uważnie, usiłowała pojąć, co oznacza jego mina: zdumienie, zakłopotanie, troskę, czy też mieszaninę tego wszystkiego.

- Jestem Żydówką - wyrzuciła z siebie, a potem odchyliła się do tyłu, patrząc na niego z wyczekiwaniem i zastanawiając się, czy to, co powiedziała, ma dla niego jakieś znaczenie. Miała nadzieję, że nie, że Mark nie jest jednym z tych wstrętnych ludzi, kierujących się uprzedzeniami rasowymi.

Mark nie odpowiedział od razu, siedział w bezruchu zaskoczony, ze wzrokiem wlepionym w dziewczynę. A potem uśmiechnął się dziwnie, wyciągnął rękę nad stolikiem i ujął jej dłoń. - Ja też, Teddy - szepnął. - Jak powiedziałby mój ojciec: nasza rodzina jest wyznania mojżeszowego.

Długo jeszcze siedzieli przy stole, zaabsorbowani tym, co mieli sobie do powiedzenia.

Mark mówił o swojej rodzinie, rozwodził się szczegółowo nad prowadzonymi przez jego ojca interesami, wspominał o tym, że po zakończeniu wojny ma podjąć pracę w firmie ojca, tak przynajmniej życzyliby sobie jego rodzice, a kiedy ojciec przejdzie na emeryturę, on przejmie firmę. Następnie wyjaśnił, że muzyka zawsze stanowiła wyłącznie jego hobby, że nigdy nie zamierzał koncertować, dlatego też plany rodzinne dotyczące jego przyszłości nie martwią go, jako że świat biznesu jest właśnie tym, co go najbardziej fascynuje.

Z kolei Teddy opowiedziała mu ze wszystkimi szczegółami o swoich dziewczęcych latach, spędzonych w Berlinie oraz

o przeprowadzce do rezydencji Westheimów przy Tiergartenstrasse, bardzo dokładnie zrelacjonowała przeżycia, poprzedzające wyjazd z Niemiec, łącznie z przerażającymi wydarzeniami „kryształowej nocy” z 9 listopada, którego to dnia nie była w stanie wymazać z pamięci. Opowiedziała Markowi również o swoim związku z Willym Herzogiem, nie pomijając niczego, potem przeszła do pobytu w Paryżu wraz z Ursulą Westheim i zakończyła opowieścią o podróży do Anglii z małym Maximem, jak również o tym, jak oboje ułożyli sobie życie w Londynie. Przy okazji wyraziła niepokój o Maxima i jego przyszłość.

Mark przysłuchiwał się uważnie jej słowom, a kiedy umilkła, ujął jej dłoń i zapytał: - Tak więc pani Westheim i jej mąż przebywają nadal w Niemczech?

- O tak, jestem tego pewna - odparła Teddy. - Gdyby udało im się stamtąd wyjechać, dowiedziałabym się o tym. Do-
stałabym też jakąś wiadomość od księżnej von Wittingen, gdyby... gdyby coś im się stało. Tymczasem wszyscy milczą. - Teddy uśmiechnęła się ufnie i zakończyła: - Wierzę, że ukryli się gdzieś i są tam bezpieczni. Ciocia Ketti też jest tego zdania.

Kiwnął głową. Na końcu języka miał już uwagę o zmasowanych nalotach bombowców alianckich na Niemcy oraz o obozach koncentracyjnych, jedno i drugie oznaczało bowiem realne zagrożenie dla życia Westheimów, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Nie chciał niepokoić Teddy ani psuć tego wieczoru rozmową, która i tak nie mogłaby niczego

zmienić. Czym prędzej podniósł kieliszek z szampanem.

- Wypiję za ciebie, Teddy! Jesteś naprawdę zachwycająca. Nigdy jeszcze nie widziałem dziewczyny piękniejszej od ciebie, a do tego jesteś niezwykle dzielna i można na tobie polegać.

- Dziękuję - odparła z błyszczącymi ze szczęścia oczyma.

- Ale nie wiem, czemu uważasz mnie za dzielną. Po prostu robię to, co uważam za stosowne. A co do mojej urody, to... wcale nie podzielam twego zdania, że jestem tak piękna!

- Dla mnie jesteś... - Umilkł, a potem dodał ciszej:

- Uważam też, że jesteś bardzo niebezpieczna.

- Niebezpieczna! - powtórzyła zaskoczona, mrużąc swoje zielone oczy i marszcząc brwi. - Nie wiem naprawdę, co masz na myśli!

- Jesteś niebezpieczna dlatego, że jest w tobie coś, co nie pozwala mi nie traktować cię serio, Teddy.

Ponownie słowa uwieźły jej w gardle, nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. I nagle uzmysłowiła sobie, że dokładnie to samo czuje wobec niego. Od pierwszej chwili, kiedy go poznała, lękała się go, gdyż instynkt podpowiadał jej, że Mark może być dla niej niebezpieczny.

- Jesteś pierwszą kobietą, której to mówię - odezwał się znowu Mark. - Chciałbym, abyś mi uwierzyła.

- Tak, wierzę ci.

- Czy sądzisz... czy mogę mieć nadzieję, że i ty potraktujesz mnie serio?

- Tak, Marku - odparła głosem, w którym zabrzmiała siła i zdecydowanie.

Uściskał jej dłoń. - Chodźmy, najdroższa - szepnął, po raz pierwszy zwracając się do niej w ten sposób. - Chciałbym wziąć cię w ramiona... Zatańczmy. - To mówiąc, wziął ją za rękę i odprowadził od stolika.

Przyćmione światła w pomieszczeniu sprawiły, że ludzie na parkiecie stawali się niemal niewidoczni, i tworzyły tym samym romantyczny nastrój, idealny dla młodych kochanków dręczonych lękiem, niebezpieczeństwem i napięciem okresu wojny.

Mark objął Teddy, kiedy orkiestra zaczęła grać jedną z najbardziej sentymentalnych piosenek miłosnych. Powoli, w takt melodii, krążyli po sali przytuleni do siebie, a Teddy poczęła nagle śpiewać refren, głosem tak cichym, że słyszał ją jedynie Mark: „Spotkamy się wkrótce wszędzie tam, gdzie serce i dusza mnie co dzień pcha. W małej kafejce i w parku zielonym, i na karuzeli, i pod dębem młodym...”

Nie знаła wszystkich słów, więc co jakiś czas nucila jedynie melodię, tuląc się do niego tak mocno, że czuła twarde dotyk metalowych guzików jego munduru. Kocham go coraz bardziej, myślała, już u Pellów wiedziałam, że się w nim zakocham. Nie żałowała tego; ogarniało ją uczucie szczęścia, uczucie przemożne, jakiego dotąd nie znała. Mark opuścił oczy, patrząc na nią w półmroku. Na jej uniesionej do góry twarzy wyczytał radość i zachwyt, przyciągnął ją więc do siebie tak mocno, jak tylko mógł, zamykając w zaborczym uścisku, i tkliwie pocałował w czubek głowy. Wiedział, że już nigdy, do końca życia, nie zapomni tej chwili ani tej piosenki... zrozumiał, że oto odnalazł kobietę swego życia.

Nie naruszając rytmu tańca musnął wargami jej policzek i tak, zapominając o otaczającym ich świecie, wirowali dokoła sali jak we śnie.

* * *

Szli wzdłuż nabrzeża, trzymając się za ręce.

Noc była zimna, pogodna, na niebie czystym od chmur świecił księżyc w pełni, oni jednak nie czuli chłodu, mimo iż wiatr wiejący od Tamizy przynosił mróz.

Teddy była opatulona w bobrowe futro ciotki, które pożyczyła specjalnie na dzisiejszy wieczór, głowę chronił różowy szal z moheru, Mark natomiast miał na sobie swój ciężki szynel wojskowy, oficerską czapkę z daszkiem i biały, jedwabny szal.

Oboje byli teraz pochłonięci sobą do tego stopnia, że nie interesowała ich sprawa tak przyziemna jak pogoda; dla nich liczyły się dziś jedynie ich emocje, nic poza tym.

Odcinek nabrzeża, biegnący za hotelem Savoy, skąd przed chwilą wyszli, tonął w gęstym mroku z powodu rygorystycznych przepisów, dotyczących zaciemnienia; w oknach hotelu nie świeciła nawet jedna lampa, pogaszono też latarnie uliczne. Drogę wskazywał jedynie jasny księżyc i w pewnej chwili Mark podniósł oczy ku niebu. - Idealna pogoda na lot - powiedział. - Chciałbym być teraz tam, w górze, mknąć z tobą w przestworzach. Polecieć samolotem w taką noc jest to coś naprawdę porywającego, Teddy, wierz mi! - Spojrzał na nią, mówiąc te słowa, i aż wstrzymał oddech. Teddy spoglądała na niego tak, jak na parkiecie, kiedy tańczyli. W blasku księżycy jej

twarz zdradzała to, co działo się w jej duszy, znowu dostrzegł na niej zachwyty i szczęście, wyczytał z jej oczu, jak wiele dla niej znaczy, i poczuł, że zamiera mu serce. Niemal gwałtownie przyciągnął ją do siebie, objął oburącz ze wszystkich sił i przywarł wargami do jej ust.

Oddała pocałunek żarliwie, pragnąc tego tak samo jak on, i przyłgnęła doń całym ciałem, a kiedy po długiej chwili oderwali się od siebie, brakowało im tchu. Ten pierwszy prawdziwie fizyczny kontakt oszołomił ich oboje. Stali, wpatrując się w siebie jakby z niedowierzaniem.

-Och, Teddy, najdroższa... - zaczął i natychmiast umilkł. Tym razem jemu słowa uwięzły w gardle. Stał tylko, patrząc na nią, upajając się jej urodą i uczuciami, które w nim budziła. Po chwili jednak zdołał dojść trochę do siebie, ponownie objął ją i szepnął z ustami wtulonymi w jej włosy: - Wiesz, przez cały wieczór myślałem o tym, aby cię pocałować... Prawdę mówiąc, marzyłem o tym od pierwszej chwili, kiedy poznaliśmy się u Pellów...

- Ja też chciałam, żebyś mnie pocałował - odparła otwarcie, w typowy dla siebie sposób, prosto z mostu i to wyznanie sprawiło, że Mark przestał panować nad sobą. Tym razem pocałował ją jeszcze namiętniej niż przedtem. Jego usta były ciepłe i czułe, ona zaś odpowiedziała z pasją dorównującą jego żarowi, zarzuciła mu ręce na szyję i w końcu rozchyliła wargi, wpuszczając jego natarczywy język, który przez chwilę tkwił w jej ustach nieruchomo, jak gdyby rozkoszując się poufałą gościnną, aby już po chwili rozpocząć pieszczotę jej języka, muskając go powoli, niemal leniwie. A potem Mark raptownie nakrył jej twarz dłońmi i wpił się w jej usta pożądliwie, z furją, która zaskoczyła ją nie bardziej niż jego samego.

Poczuła, jak narasta w niej namiętność, całe ciało ogarniał niezwykle żar, z każdą chwilą słabła w jego ramionach, poddając się dziwnemu uczuciu, żądzom i pragnieniom, O jakie nie podejrzewała siebie nigdy do tej pory.

Mark zapamiętał się w tym pocałunku, czuł, jak drżą mu nogi, przez chwilę pomyślał, że odmówią mu posłuszeństwa i ugną się pod nim. Ostatkiem woli oderwał usta od jej warg i odetchnął głęboko, wdychając chciwie mroźne powietrze, aby uspokoić w ten sposób bijące jak młotem serce i ostudzić zmysły, wypuścił ją z objęć i powiedział łagodnie: - Kochanie, jest zimno i zrobiło się późno. Myślę, że powinienem odprowadzić cię już do domu. Twoja ciotka zacznie się niepokoić, wyobrażać sobie niestworzone rzeczy.

- To nic - odparła, przesuając palcami po jego ramieniu. - Mam już dwadzieścia pięć lat, wiesz? Nie muszę opowiadać się ciotce.

- To prawda - odparł z niewyraźnym uśmiechem. - Ale nie chciałbym, aby pomyślała sobie o mnie coś złego. To nie wpłynęłoby dobrze na nasze przyszłe stosunki.

- Tak, masz rację - przyznała, przyjemnie zaskoczona jego słowami.

Podał jej ramię, poczekał, aż dziewczyna weźmie go pod rękę, i szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Niebawem opuścili nabrzeże i skierowali się w stronę The Strand, rozglądając się za taksówką. Zanim znaleźli wolną, jedyną w całej okolicy, znaleźli się pod pomnikiem Nelsona przy Trafalgar Square.

- Belsize Park Gardens numer czterdzieści trzy - Mark podał adres taksówkarzowi. Siedzieli z tyłu, trzymając się za rękę, podczas gdy samochód terkotał, jadąc na północ Londynu.

Mark pragnął wziąć Teddy w ramiona, obsypać ją pocałunkami, zdołał jednak zwalczyć pokusę. Wiedział, że w tych warunkach prowadziłoby to donikąd, on zaś byłby po prostu zawiedziony i w rezultacie poczułby się jeszcze bardziej sfrustrowany niż w tej chwili. Przez krótką chwilę bił się z myślami, czy nie powinien kazać taksówkarzowi zawrócić na Farm Street w Mayfair, gdzie mieścił się jego dom, nie zrobił jednak tego. Nie zawahałby się, gdyby chodziło o inną kobietę, ale nie potrafiłby tak się zachować wobec Teddy. Różniła się od kobiet, które znał do tej pory, była kimś wyjątkowym. Miała zostać jego żoną.

Ulice sprawiały wrażenie wymarłych, nie tylko z powodu późnej pory - była już pierwsza nad ranem - ale również racjonowania benzyny, co skutecznie zatrzymywało zmotoryzowanych w domu. Nikły ruch ułatwiał jazdę i niebawem taksówka zatrzymała się przed domem ciotki Ketti.

Mark ujął Teddy pod rękę i odprowadził ją pod drzwi. Kiedy włożyła klucz do zamka, obrócił ją twarzą ku sobie.

- Bardzo się cieszę, że wyszłaś dziś ze mną, Teddy. Dziękuję. Spędziłem wspaniały wieczór i naprawdę znaczy to dla mnie bardzo wiele. Więcej, niż jestem w stanie wyrazić to słowami, najdroższa.

- To ja powinnam być ci wdzięczna, Marku. I jestem. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Dla mnie ten wieczór też znaczył bardzo dużo.

- Cieszę się. - Z bardzo uroczystą miną dodał: - Jest coś, o co chciałbym cię poprosić, Teddy. Bardzo mi na tym zależy.
- Co to takiego?
- Pragnę, abyś została moją dziewczyną. Zgadzasz się, prawda? Chyba dobrze odczytałem z twego zachowania, co do mnie czujesz?
- Tak. I oczywiście będę twoją dziewczyną. - Na zawsze, dopowiedziała w duchu. Do końca życia."
- To wspaniale, że cię poznałem! - zawołał. Ponownie objął ją i pocałował w usta, tuląc do siebie tak mocno, jak tylko mógł. Potem uwolnił ją z objęć i oświadczył: - Mówiłem ci już, że jutro muszę zjeść lunch z moimi rodzicami. Ale zanim wrócę na Biggin Hill, zadzwonię do ciebie.
- Będę w domu przez cały dzień, Marku, będę czekała na twój telefon. A teraz dobranoc.
- Dobranoc, najdroższa.

Zbiegł po schodach, zanim jednak wszedł do taksówki, która czekała na niego, odwrócił się i pomachał do Teddy na pożegnanie. Odpowiedziała tym samym gestem, a potem weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Przez chwilę stała w ciemnym korytarzu, usiłując dojść do siebie, opanować gwałtowne bicie serca. Ten wieczór przyprawił ją o zawrót głowy. Poznanie Marka było dla niej olbrzymim wstrząsem, nie mogła otrząsnąć się z tego fizycznego zauroczenia, jakie nimi owładnęło. Nie miała pojęcia, że jest zdolna do tak gorącej namiętności, nie przypuszczała nawet, że pomiędzy mężczyzną a kobietą mogą zaistnieć tak silne uczucia.

29

Teddy zdjęła futro, powiesiła je w szafie i jak mogła najciszej poczęła wchodzić na piętro. Nie chciała budzić ciotki. Kiedy jednak znalazła się na górze, uśmiechnęła się do siebie. Powinna była wiedzieć, że ciocia Ketti nie pójdzie spać, dopóki nie przekona się, że jej bratanica jest już w domu. Drzwi od sypialni ciotki były otwarte, światło zapalanej lampy docierało aż na schody. Szybkim krokiem Teddy przeszła

przez korytarz, rozsunęła drzwi do sypialni i zawołała: - Jestem już, ciociu Ketti! Niepotrzebnie czekałaś, aż przyjdę! Ketti leżała w swoim dużym, szerokim łóżku, wsparta

o śnieżnobiałe poduszki, i czytała książkę wypożyczoną z biblioteki. Odłożyła ją teraz i uśmiechnęła się. - Jak się masz, kochanie! Wiem, że to było zbyteczne, ale nie chciało mi się spać. Poza tym byłam ciekawa, jak ci się udał wieczór. No

1 pomyślałam sobie, że przed pójściem spać mogłabyś napić się herbaty, jak zwykle. Do tej pory nigdy nie zaniedbywałyśmy tego drobnego rytuału, chyba tylko wtedy, gdy pojechałam do Brighton odwiedzić Rachelę.

- Zejdę na dół i zaparzę herbaty.

- Przygotowałam już wszystko w kuchni, kochanie. Musisz tylko nastawić wodę.

- Zaraz wrócę - powiedziała Teddy i wybiegła z pokoju. Rzeczywiście wróciła po paru minutach, niosąc srebrną tacę z herbatą. Ostrożnie odstawiła tacę na parapet okienny, nalała herbatę do dwu filiżanek, jedną z nich podała ciotce, a z drugą usiadła na krześle.

Ketti upiła mały łyk i podniosła na Teddy badawcze, ostrożne spojrzenie. - Dobrze się bawiłaś? - zapytała w końcu.

- Dokąd zabrał cię Mark?

- Do hotelu Savoy. Zjedliśmy tam obiad i tańczyliśmy. O tak, bawiłam się wspaniale.

Ketti nie spuszczała z niej wzroku. - Mmm- odezwała się po chwili. - Widzę iskierki w twoich oczach.

Teddy skinęła głową, w jednej chwili spoważniała, przybrała niemal uroczystą minę. - Tak, to prawda, ciociu, i nie bez powodu. Mark jest wspaniały, cudowny... - Urwała, zamyśliła się, po czym wyznała: - Myślę, że jestem zakochana.

Wyraz twarzy ciotki Ketti uległ drobnej zmianie; w oczach malowała się teraz troska. Głosem, w którym nie potrafiła stłumić niepokoju, szepnęła: - Teddy, Teddy, to wszystko dzieje się tak szybko, uwierz mi. Tak, moim zdaniem o wiele za szybko.

- Wcale nie! Wiem dobrze, co czuję, to samo Mark!

- Nie chciałabym, aby ktoś sprawił ci ból.

- Co masz na myśli?

- Przecież prawie go nie znasz! Teddy, kochanie, poznałaś go zaledwie przed trzema dniami!

- Mark nigdy by mnie nie zranił, jestem tego pewna!

- zawołała Teddy. Zerwała się z krzesła, podeszła do łóżka

i usiadła na samym brzegu, po czym odchrząknęła i dodała spokojniejszym, bardziej łagodnym tonem: - Wiesz... jest coś, co powinno cię ucieszyć, przynajmniej to jedno...

- Co takiego?

- Mark jest Żydem.

Twarz Ketti rozjaśniła się momentalnie, jej oczy zabłyśły. Widać było, z jaką ulgą przyjęła tę wiadomość.

- Co za szczęście! Jeśli dwoje ludzi wyznaje tę samą religię, los oszczędza im wielu przykrości. Jest ortodoksyjnym Żydem czy reformistą?

- Reformistą. Chociaż odnoszę wrażenie, że Mark w ogóle nie jest zbyt pobożny. Z drugiej strony jego ojciec stale martwi się, że Mark mógłby poślubić kobietę odmiennej wiary.

- Tylko nie mów, że zdążył ci się już oświadczyć! - zawołała Ketti. Z wrażenia aż usiadła w łóżku, wybałuszyła szeroko oczy.

- Oczywiście, że nie, ciociu! Nie bądź niemądra! - odparła Teddy i pokręciła głową, zaskoczona niedorzecznym pomysłem ciotki. - Po prostu opowiadaliśmy sobie o naszych domach. Ale teraz, kiedy odprowadził mnie do drzwi, poprosił, abym została jego dziewczyną. No i zgodziłam się.

- To oczywiste. - Ketti upiła kolejny łyk herbaty, odstawiła z trzaskiem filiżankę i zadała kolejne pytanie. - A co właściwie opowiedział ci o sobie i swojej rodzinie?

- Ma brata, Lionela, który uczy się w Harrow. On też tam uczył się. Zaczynał akurat studia w Oxfordzie, kiedy wybuchła wojna. Wtedy wstąpił do RAF-u. Aha, Mark jest Anglikiem od czterech pokoleń, jego pra-pradziadek przyjechał tu z Odessy na samym początku dziewiętnastego wieku.

-A więc Rosjanin, co? I Aszkenazyjczyk! Świetnie, doskonale. - Ketti skinęła z satysfakcją głową. - Mogłabym się założyć, że jego nazwisko brzmiało pierwotnie Lewenstein, zanim je skrócił i zmienił na Lewis. Mam przyjaciółkę, Ribę Lewis, której rodzina pochodzi z Odessy. Mój Boże, czy to możliwe, aby oni byli spokrewnieni? Czym zajmuje się jego ojciec? Mark nie wspomniał o tym?

- Owszem, mówił. Jego ojciec prowadzi firmę Lewis i Synowie w Hatton Gardens. To handel brylantami. Mają jeszcze kilka sklepów, między innymi sklep jubilerski na Regent Street...

- Ale chyba nie Tannen i Graf! - wykrzyknęła Ketti, rzucając na bratanicę szybkie spojrzenie. - Nie powiesz chyba, że Mark pochodzi z tej rodziny!

- Owszem, ciociu, właśnie z tej. Ale... czemu masz taką dziwną minę? Czy coś się stało?
- Czy coś się stało! Ona się jeszcze mnie pyta! - Ketti westchnęła. - Skądże znowu, moja droga, nic się nie stało, tak mi się przynajmniej wydaje. A więc Tannen i Graf, co? To by znaczyło, że Mark jest wnukiem starego Isadore Tannena.
- Znasz jego dziadków, ciociu Ketti? Och, proszę, opowiedz mi coś o jego rodzinie, błagam! - zawołała Teddy.
- Och, to taka długa historia, naprawdę... Ale skoro tak bardzo ci na tym zależy, spróbuję opowiedzieć ci o tym pokrótce. Isadore Tannen był właścicielem Tannen i Graf, którą to firmę odziedziczył po swoim ojcu, a ten znowu otrzymał ją w spadku po swoim ojcu. Matka Marka, Isabelle, była jedynaczką, tak więc sklep należy teraz do niej. Otrzymała go swego czasu od ojca. Isadore to już staruszek, ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Sklep prowadzony był przez kilka lat przez męża Isabelle, Charlesa Lewisa, który jest ojcem Marka. Tannenowie to niemieccy Żydzi. Ich prawdziwe nazwisko, Tannenbaum, skrócono do Tannen; w ten sposób stało się dla Anglików łatwiejsze do wymówienia, a poza tym brzmi ono bardziej po angielsku. Isadore Tannen jest typem, który ja określam jako „ekstrawagancki Żyd”; jest niezmiernie bogaty, mieszka w prawdziwych pałacach, ma wielkie aspiracje i ambicje, arystokratów angielskich nazywa swoimi ziomkami. - W głosie Ketti zadźwięczała nuta sarkazmu.
- A Lewisowie? Czy wiesz coś o nich?
- No, to już inna para kaloszy. Rodzina Lewisów to intelektualiści, myśliciele, muzycy, malarze, jakkolwiek muszę dodać, że zawsze należeli do ludzi zamożnych, a zarazem ekstrawaganckich, podobnie jak Tannenowie. Byli też jednak wielkimi filantropami. Jak już wiesz od Marka, przybyli w ubiegłym wieku z Rosji. Część z nich zajęła się sprzedażą brylantów, tak jak w Rosji, inni członkowie rodziny trudnili się lichwiarstwem oraz działalnością bankową, pozostali - sztuką. To liczna rodzina, bardzo rozgałęziona, o ile dobrze pamiętam.
- Rozumiem... Czy kiedykolwiek spotkałaś się z rodzicami Marka?
- Raz... przelotnie... na jakiejś imprezie dobroczynnej. Jeśli chodzi o Isabelle Lewis, wykonuje dobrą robotę. Wydaje miliony na cele charytatywne, głównie aby ratować dzieci i ludzi chorych. Jej mąż również jest filantropem, podobnie jak dawniej jego ojciec.

- Ciociu Ketti, skąd właściwie wiesz tak dużo o Tannenach i Lewisach?
- My, Żydzi w Londynie, wiemy wzajemnie o sobie bardzo dużo - odparła Ketti. - W pewnym sensie jest to niewielka społeczność, a każdy z nas stara się dowiedzieć jak najwięcej o innych. Ale jeśli chcesz znać prawdę, to moja przyjaciółka Riba jest spokrewniona z rodziną Marka. To daleka kuzynka ojca Marka. I właśnie dzięki niej wiem tyle o rodzinach i przodkach Marka. Riba poślubiła jednego z Lewisów i... wydaje mi się, że poznałaś ją kiedyś na przyjęciu, byliśmy tam razem.
- Tak, chyba tak, ciociu Ketti. Jaki ten świat mały, prawda? Ketti skinęła głową.
- Nastąpiła krótka chwila milczenia, a potem Teddy zapytała: - Dlaczego miałaś przedtem tak dziwną minę? Czyżbyś nie lubiła rodziny Marka?
- Jak mogłabym ich lubić lub nie, skoro nie znam ich osobiście. Mówiłam przecież, moja droga, że oni nie obcują z takimi jak ja.
- Jak to? Co masz na myśli?
- Są bardzo snobistyczni, tworzą zamknięty klan. I zdążyli się zanglizować.
- To tak jak ty, ciociu Ketti! Przecież przebywałeś w Anglii od ponad trzydziestu lat. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł być bardziej zanglizowany niż ty. Jesteś prawdziwą londynką!
- Tak, to wszystko prawda, ale nie urodziłam się tu, nie mam też angielskich przodków. Poza tym pochodzę z innych kręgów niż oni. Należę do klasy średniej, tak chyba można powiedzieć, prawda? Oni zaś to wyższe sfery. Cóż, można by nawet zaryzykować twierdzenie, że są bardziej angielscy niż Anglicy.
- Skądś już to znam.
- Ketti spojrzała na nią pytającym wzrokiem. - Tym razem ja nie rozumiem. Co masz na myśli?
- Niemieccy Żydzi byli też bardziej niemieccy niż Niemcy.
- Tak, to przykre, ale są ludzie, którzy wyznają taką zasadę. Nagła myśl wpadła Teddy do głowy. - Sądzisz, że rodzina Marka mogłaby uznać mnie za nieodpowiednią partię dla Marka!? - zawołała. - Czy to właśnie chciałaś mi dać do zrozumienia?
- Ależ skąd! Przecież ty pochodzisz z dobrej, kulturalnej i wykształconej rodziny, w której pełno doktorów i profes-

rów. Jesteś dostatecznie dobrą partią dla najbardziej wymagających, gdyby mnie ktoś o to zapytał. I wydaje mi się, że Mark myśli podobnie.

Teddy uśmiechnęła się. - Tak, ciociu Ketti. Sądzę, że takie ma właśnie przekonania.

Ketti odwzajemniła uśmiech. - A ty? Coś mu opowiedziała

O swoim życiu?

- Wszystko.

- Coś podobnego! Wszystko? A więc również o Maximie?

- Oczywiście! - Teddy spojrzała na ciotkę zaskoczona. - Czemu nie miałabym mu powiedzieć o Maximie?

Ale Ketti, zamiast odpowiedzieć, wzruszyła tylko ramionami.

- Mark uważa - mówiła dalej Teddy - że nie mogłam wybrać lepiej, posyłając Maxima akurat do tej szkoły. Chciałby poznać go na Boże Narodzenie, albo nawet wcześniej, gdyby to było możliwe. Jestem pewna, że przypadną sobie do gustu.

- Tak, też tak sądzą - odparła Ketti pojednawczym tonem, widząc, że Teddy podniosła nieco głos. Stłumiła ziewnięcie

I zerknęła na zegar w kształcie karety, stojący na obramowaniu kominka. - Dobry Boże, aleśmy się rozgadały! Już druga! Czas spać, kochanie. Ucałuj mnie na dobranoc i kładź się do łóżka.

Teddy nachyliła się nad ciotką i objęła ją czule, po czym wstała i zebrała filiżanki. - Zniosę je na dół i zmyję jeszcze.

Ketti kiwnęła głową i położyła się wygodniej, a kiedy Teddy wyszła i zamknęła za sobą drzwi, zgasila lampę.

Jednak już po chwili Ketti uświadomiła sobie, że nie zaśnie. Opadły ją raptem myśli o Tannenach i Lewisach, zachodziła w głowę, jak też się zachowają, jeśli Mark potraktuje poważnie swoją znajomość z Teddy i zechce ją poślubić. Wiedziała na ich temat wystarczająco wiele, aby zdawać sobie sprawę, że są to rodziny nadzwyczaj ambitne, przeświadczone o wyższości swojej klasy nad innymi i mające wysokie aspiracje, kiedy wyłaniała się sprawa ożenku. Obydwa klany stanowiły elitę Żydów angielskich, śmietankę towarzyską i z pewnością nie zamierzały dopuścić do tego, aby ktokolwiek o tym zapomniał.

Ketti westchnęła ciężko. Chciała znaleźć dla Teodory dobrego angielskiego Żyda. Nie pomyślała jednak, że mógłby to być ktoś aż tak dobrze urodzony.

Zgodnie z obietnicą Mark zatelefonował do Teddy w niedzielę, zanim jeszcze wrócił do 32 eskadry, stacjonującej w Biggin HM. I od tej pory robił to codziennie.

W te dni, kiedy nie dzwonił, wiedziała, że jego eskadra otrzymała zadanie bojowe, że leci gdzieś nad Niemcami, i wtedy czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Spokój nadchodził dopiero, gdy znowu słyszała jego głos. Wrażliwa z natury, zawsze przejmowała się losem tych, których kochała, teraz zaś w jej życiu zjawiała się kolejna osoba, której pomyślność miała absorbować wszystkie jej myśli. Ale Mark i Teddy nie ograniczali się do rozmów telefonicznych; regularnie pisywali do siebie, co sprawiało, że w miarę upływu kolejnych tygodni łączyło ich coraz więcej.

Pod koniec października Mark otrzymał niespodziewanie przepustkę na dwadzieścia cztery godziny i czym prędzej przyjechał do Londynu. Chciał spotkać się zarówno z rodzicami, jak też z Teddy, nie miał jednak czasu na dwie wizyty, wobec czego zdecydował się na rozwiązanie najbardziej praktyczne: zaprosił całą trójkę na obiad u Claridge'a.

Okazało się, że Teddy przypadła do serca Isabelle i Charlesowi Lewisom w nie mniejszym stopniu niż ich synowi. Matka Marka doceniła wdzięk i subtelność Teddy, jej niewinność i skromność, uznała, że ta młoda kobieta zapowiada się doskonale jako przyszła matka i natychmiast wyrobiła sobie pozytywne zdanie na jej temat. Doszła do przekonania, że Teodora byłaby dla Marka idealną żoną - o ile sprawy zajdą tak daleko.

Również ojciec Marka był oczarowany Teddy, uważał, że jest śliczna. W tym przypadku była to istotna cecha, wiedział bowiem, że Mark zwraca uwagę na ładną buzię i ceni urodę zewnętrzną. Obiad przy wspólnym stole wystarczył Charlesowi: jedno spojrzenie na Teddy powiedziało mu, że ta dziewczyna na pewno usatysfakcjonuje Marka pod względem fizycznym. Najbardziej zachwycała go jej świeżość. Inne kobiety, które Mark przyprowadzał w przeszłości do domu, miały na sobie przede wszystkim całą masę „barw wojennych”, jak Charles określał kosmetyki. Dobre do łóżka, myślał czasem, ale nic poza tym. Ta dziewczyna miała w sobie coś więcej. No i oczywiście była Żydówką, co dla Charlesa Lewisa miało istotne znaczenie. Jeśli jego syn był poważnie zaintereso-

wany Teodorą, a na to wyglądało, to ta znajomość może zaowocować ślubem. Nie zniósłby tego, gdyby Mark poślubił kobietę, wyznającą inną wiarę. Tak więc Charles postanowił zaakceptować Teddy, jakkolwiek decyzję tę zachował na razie dla siebie, nie wypowiadając swego zdania na głos.

Od pierwszej chwili, kiedy Teddy ujrzała rodziców Marka, zorientowała się, że opinia Ketti na ich temat niezupełnie odpowiada prawdzie. Nie zauważyła u nich wygórowanych ambicji ani manii wielkości, nie sprawiali też wrażenia snobów. Wręcz przeciwnie: Teddy oceniła ich jako ludzi miłych, nawet uroczych, szczerych i wcale nie zarozumiałych. Wyczuła też, że zdobyła sobie ich sympatię.

I w ten sposób wieczór u Claridge'a okazał się sukcesem, a przyszłość dwojga zakochanych poczęła rysować się w jasnych, różowych barwach.

* * *

Teddy nie mogła doczekać się chwili, kiedy dojdzie do spotkania Maxima z Markiem. Los był dla niej łaskawy: tak się złożyło, że kolejna przepustka Marka na weekend zbiegła się w czasie z przerwą semestralną w Colet Court, a więc z pobytem Maxima w domu.

Obaj polubili się od pierwszej chwili, kiedy Mark wszedł do salonu w swoim olśniewającym mundurze RAF-u i uścisnął Maximowi dłoń. Potem zapytał chłopca, czy miałby ochotę na przejażdżkę samochodem albo też spacer łodzią po Whites-tone Pond w Hampstead. Maxim był zachwycony.

Właśnie ten weekend, w ciągu którego Teddy obserwowała ich obu, jak zajmują się wspólnie wieloma rzeczami, jak rozprawiają o piłce nożnej i krykiecie, o samolotach i samochodach sportowych, uświadomił jej, jak wiele traci Maxim, pozbawiony w domu kontaktu z mężczyzną i zdany wyłącznie na towarzystwo kobiet: jej i ciotki Ketti. Ogarnął ją smutek, jak zwykle, kiedy wspominała ojca Maxima. On i Ursula rzadko wychodzili jej z głowy, każdego dnia modliła się o ich bezpieczeństwo i o ich szybki przyjazd do Anglii.

W niedzielę wieczorem, kiedy Mark pojechał już z powrotem do swojej eskadry, Teddy i Maxim jedli razem kolację. Byli sami, gdyż ciotka Ketti poszła do Sarah Levine na partyjkę kart, i w pewnym momencie Maxim spojrzął jej prosto w oczy. - Teddy, czy Mark to twój chłopak?

Pytanie spadło na nią niczym piorun z jasnego nieba, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. W końcu uśmiechnęła się i odparła: - Tak, myślę, że można go tak nazwać.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za niego?

Nie odwracając od niego wzroku, odparła ostrożnie: - Nie wiem, kochanie, jeszcze mnie o to nie poprosił.

- Ale gdyby poprosił - nalegał Maxim.

- Chyba wyraziłabym zgodę.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem chłopiec zapytał tak cicho, że usłyszała go z trudem: - A co wtedy stałoby się ze mną?

- Nic by się nie stało! - zawołała gwałtownie, prostując się na krześle i marszcząc brwi. - Zostałbyś ze mną! I jeszcze coś: gdybym kiedykolwiek zdecydowała się poślubić Marka, albo kogoś innego, poczekałabym z tym krokiem, dopóki nie przyjadą tu twoi rodzice. Chcę, abys o tym wiedział.

Skinął głową. - Zawsze mówiłaś, że będziemy mieszkać razem. Ty, ja, mama i papa. Jeśli wyjdiesz za Marka, to chyba zamieszkaasz razem z nim, prawda?

- Tak. Ale wtedy wyszukalibyśmy dom albo mieszkanie blisko was, widywałabym się z wami codziennie i z tego powodu niewiele by się zmieniło - zapewniła szybko Teddy, czując, że w chłopcu narasta poczucie zagrożenia.

Uśmiechnęła się, z jej oczu emanowały miłość i oddanie.

- Wiem o tym - odparł Maxim, ale opuścił przy tym wzrok na talerz.

Teddy przyglądała mu się bacznie, raptem zaniepokojona. Zastanawiała się właśnie, co zrobić, aby pocieszyć Maxima, kiedy chłopiec podniósł nagle głowę, a w jego oczach dostrzegła taką rozpacz, takie napięcie, że zalekniona wstrzymała oddech, a w sercu poczuła bolesne ukłucie.

- Maxim, o co chodzi? Czy Mark Lewis nie spodobał ci się?

- Owszem - szepnął. - Jest bardzo miły...

- A więc co cię gnębi, kochanie?

Głosem cichym i drżącym Maxim powiedział powoli: - A jeśli mama i papa nie przyjadą? Co wtedy?.. Jeśli coś im się stało... - Nie dokończył. Strach o rodziców sprawił, że dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Zagryzł wargi, zduślił szloch rodzący się już w krtani.

Teddy zerwała się na równe nogi, podbiegła do niego i usiadła na krześle stojącym tuż obok, po czym objęła go mocno ramieniem.

- Nie powinieneś się niczego obawiać - szepnęła łagodnie. - Nic ci nie grozi, bądź dobrej myśli. Twoi rodzice przyjadą do Londynu, kiedy tylko skończy się wojna i wszystko wróci do normy. Ale chciałabym, abyś wiedział, że cokolwiek się zdarzy, ja będę zawsze przy tobie. I dla ciebie. Będę opiekowała się tobą, dopóki będzie to potrzebne. Mówiłam ci o tym już wiele razy, prawda?
- Tak - odparł cicho, nie odsuwając twarzy od jej ramienia i z widocznym trudem powstrzymując się od łez.
- Jesteś moim chłopcem, nie zapominaj o tym. I bardzo cię kocham.

30

Kilka dni później przerwa semestralna dobiegła końca, Maxim wyjechał z powrotem do Colet Court, a Teddy zajęła się ponownie swoją ochotniczą pracą w stacji Czerwonego Krzyża.

Tygodnie zdawały się teraz mijać coraz szybciej jeden po drugim i zanim Teddy zdołała zdać sobie sprawę z upływu czasu, Maxim znowu przyjechał na ferie zimowe. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędzili tak miło, jak nie zdarzyło im się to już od wielu lat - przyznali to jednomyślnie. Tak dobry nastrój związany był nie tyle z obecnością Marka, który dotrzymał im towarzystwa przez kilka dni, ale również z napływającymi zewsząd wieściami, coraz pomyślniejszymi i napełniającymi otuchą.

Kiedy styczeń 1945 roku przeszedł w luty, siły aliantów opanowywały już całą Europę, a w Anglii ludzie byli przekonani, że pokój nastanie nie później niż na wiosnę.

W kwietniu Teddy przypomniała sobie prognozy głoszone przez ojca Alana. Okazało się, że pan Trenton miał rację. Wszystkie gazety brytyjskie twierdziły, że upadek faszystowskich Niemiec to teraz tylko kwestia tygodni, a przecież Arthur Trenton powtarzał wielokrotnie jej i chłopcom, że będą świętować zwycięstwo jeszcze przed jedenastymi urodzinami Maxima, więc przed czerwcem.

Stojąc w kuchni, gdzie przyrządzała śniadanie dla ciotki Ketti i dla siebie, Teddy westchnęła ciężko. Bywały takie

momenty, jak właśnie dzisiejszego ranka, kiedy nie mogła już znieść tego oczekiwania... Jej myśli krążyły jak zwykle wokół rodziców Maxima. Ile to już czasu...? Sześć lat temu, w Paryżu, Ursula odprowadziła ich do pociągu, który miał połączenie ze statkiem, płynącym do Anglii. Jacy dumni byliby teraz, i ona, i Sigmund, gdyby mogli ujrzeć Maxima. Okazało się, że to naprawdę wyjątkowe dziecko. Doskonale spisywał się w szkole, ale nie stał się przez to przemądrzały. W święta Bożego Narodzenia matka Marka, która ujrzała go wtedy po raz pierwszy, powiedziała, że Maxim to mały dżentelmen. Teddy ucieszyła się wówczas niepomiernie, a jej duma z chłopca urosła jeszcze bardziej. Jego rodzice byliby zdumieni widząc go dziś: w ciągu paru ostatnich lat dosłownie wystrzelił w górę. Maxim był naprawdę wysoki jak na swój wiek, wyglądał też poważniej niż jego rówieśnicy.

Teddy usłyszała raptem brzęk klapki skrzynki pocztowej przy drzwiach frontowych. Ciekawe, czy listonosz wrzucił prasę czy też list od kogoś, pomyślała. Wniosła do stołowego tacę z serwisem śniadaniowym, po czym podeszła pod drzwi; na podłodze leżały poranne gazety, a pod nimi listy.

Listonosz pośpieszył się dzisiaj, pokręciła głową, biorąc gazety pod pachę i przerzucając koperty; miała nadzieję, że jeden z listów jest od Marka. Na widok jego charakteru pisma uśmiechnęła się, nie tracąc czasu pobiegła do kuchni, rzuciła gazety oraz pocztę na stół i rozerwała kopertę od Marka. Jego list był jak zwykle romantyczny, pełen uczucia i planów na następne spotkanie, jak również na przyszłość. Przeczytała go dwa razy, po czym uśmiechając się do siebie, wsunęła do kieszeni.

Obróciła się, jej wzrok padł na pierwszą stronę *Daily Express* i uśmiech zniknął momentalnie z jej twarzy. Chwyciła gazetę, utkwiała spojrzenie w nagłówkach i zamieszczonych pod nimi zdjęciach, a w jej oczach, pociemniałych nagle ze zgrozy, pojawiło się przerażenie.

Dostrzegła jedynie nazwy miejscowości, krzyczące do niej z tytułowej strony gazety. Ohrdruf... Belsen...

Buchenwald... A potem te przerażające słowa, które kłuły ją w oczy. ***Obozy śmierci... okrucieństwa... bestialstwo... eksterminacja Żydów... miliony pomordowanych... ludobójstwo...***

Opuściła oczy na zdjęcia, ale te napełniły ją jeszcze większą trwogą, prezentowały bowiem wyraźnie niesłychaną brutalność i zwyrodnienie oprawców, którzy dopuścili się bezlitosnych tortur i masowych mordów na niewinnych ludziach.

Ręce Teddy zadygotały, musiała odłożyć gazetę na bok. Zamknęła oczy, aby nie widzieć i nie czytać nic więcej, ale po chwili przemogła się i otworzyła je z powrotem. Musiała dowiedzieć się wszystkiego, aż do końca.

Nachylona nad stołem, pożerała wzrokiem zdjęcia w gazecie. Zza ogrodzenia z drutu kolczastego gapili się niewidzącym wzrokiem półnaczy więźniowie obozu koncentracyjnego, wychudzeni do tego stopnia, że nie wyglądali już na ludzi, a raczej na żywe szkielety o straszliwych oczodołach, pozbawione włosów. I kolejne zdjęcia... piece gazowe... izby tortur... stosy, olbrzymie hałdy ciał wrzuconych jak popadło do masowych grobów, niczym śmieci... eksperymentalne laboratoria medyczne... abazury wykonane z ludzkiej skóry... całe góry wyrzuconych sztucznych zębów, okularów i butów... i znowu stosy ciał, zwłoki mężczyzn, kobiet, dzieci, a nawet niemowląt... ofiary hitlerowskiej maszyny śmierci.

Teddy podniosła dłonie do ust, aby zdusić rodzący się w gardle jęk, palące łzy pociekły po twarzy na gazetę, ona zaś opłotła się rękami i kołysząc się bezwiednie na wszystkie strony zaszlochała: - O Boże, nie! O mój Boże, nie! To niemożliwe! To nie może być prawda... nie! To niemożliwe!

Opadła na krzesło, nie mogąc ustać na bezwładnych nogach, skuliła się, zgięta cierpieniem, i znowu zakryła usta dłonią, chcąc stłumić swój własny krzyk bólu i gniewu.

Upłynęło kilka minut, zanim opanowała się na tyle, aby móc sięgnąć po resztę gazet. Zdawała sobie w pełni sprawę, że dalsze czytanie tych artykułów to samoudręka, nie mogła jednak inaczej. Musiała dowiedzieć się wszystkiego, co donosiła prasa.

W *Daily Mail* zamieszczono taką samą ilość zdjęć, co w *Express* i w *Daily Telegraph*, relacje w tych trzech gazetach nie różniły się niczym od siebie, ujawniały upiorne, straszliwe fakty. W ciągu paru ostatnich dni oddziały brytyjskie i angielskie wkroczyły do obozów w zachodnich i wschodnich Niemczech, to zaś, co tam zastały, okazało się naprawdę przerażające. Pierwszy z oswobodzonych obozów mieścił się w Ohrdruf, w pobliżu Gothy, i tam Amerykanie odkryli głębokie doły wypełnione po brzegi czterema tysiącami ciał. Byli wśród nich Żydzi, rosyjscy jeńcy wojenni i robotnicy przymusowi z Polski, wszyscy zagłodzeni na śmierć albo też pozbawieni całkowicie opieki medycznej; część z nich padła ofiarą chorób, inni zostali pomordowani. Kiedy Brytyjczycy wkroczyli do Belsen, widok, jaki tam zastali, zaszokował

ich i napęłnił zgrozą. W ten sam sposób zareagowali Amerykanie, którzy wyzwolili Buchenwald, a generał Bedell Smith, szef sztabu armii generała Eisenhowera, wypowiedział cytowaną potem wielokrotnie opinię, że pośród wyzwolonych ostatnio obozów koncentracyjnych Buchenwald jest „szczytem bestialstwa”.

Teddy poczuła, że ogarniają ją mdłości; zachwiała się na krześle, przez chwilę myślała, że zwymiotuje, zdołała jednak w końcu wziąć się w garść. Odłożyła wszystkie gazety na bok, ogłuszona tym, co przeczytała, i niezdolna do przyjęcia czegokolwiek więcej. Siedziała tak, patrząc tępo przed siebie, wreszcie wstała, nastawiła czajnik i stanęła obok kuchenki czekając, aż zagotuje się woda. Potem zaparzyła herbatę w brązowym dzbanku, tak lubianym przez ciotkę Ketti, i ustawiła na tacy filiżankę ze spodkiem oraz mały pojemnik z mlekiem, robiąc to wszystko zupełnie odruchowo; jej myśli krążyły ustawicznie wokół straszliwych doniesień prasowych.

Wzięła tacę, weszła na górę i pchnęła ramieniem drzwi do sypialni ciotki. Przez zaciągnięte starannie zasłony przenikało światło dnia. Teddy zerknęła na łóżko, zastanawiając się, czy ciotka jeszcze śpi, kiedy usłyszała jej głos:

- Dzień dobry, Teodoro. To dopiero przyjemność, dostać herbatę do łóżka!

- Dzień dobry - odparła cicho Teddy, nie poznając własnego głosu. Postawiła tacę na parapecie i jednym ruchem rozsunała zasłony, wpuszczając do sypialni jaskrawe, oślepiające promienie słońca. Wzięła filiżankę herbaty i podała ją ciotce, która usiadła w łóżku, opierając się o poduszki.

- Dziękuję - powiedziała Ketti. Momentalnie dostrzegła, jak mocno drży ręka Teddy, a kiedy podniosła wzrok na twarz bratanicy, ujrzała, jak jest blada i spięta. - Teddy, wyglądasz okropnie! Co się stało!?! - zawołała. - Coś złego? Teddy kiwnęła tylko głową, na nic innego nie starczyło jej sił.

- Chyba nie chodzi o Marka, prawda? Nic mu się nie stało? Powiedz! - zawołała Ketti, niemal zrywając się z miejsca.

- Nie, to nie Mark - odparła Teddy. Usiadła ciężko na brzegu łóżka i nie wiedząc, od czego zacząć, uciekła się do kluczenia. - Ciociu Ketti... - powiedziała powoli. - Ten komitet, w którym działasz... ten komitet... ten komitet pomocy uciekinierom, mieszczący się w synagodze...

- Wiem, o jaki komitet ci chodzi. Co z nim? - przerwała jej ciotka.

- Opowiadałaś mi takie straszne historie, te które przekazywali uciekinierzy z różnych miejsc w Europie, Ketti skinęła głową. - Masz na myśli te okropne rzeczy, które według nich działy się w obozach koncentracyjnych, czy tak?

- Ciociu, to działo się naprawdę, to absolutna prawda

- szepnęła ochryple Teddy. - I nie są to wcale obozy koncentracyjne, ale obozy śmierci. Dowody znajdują się w dzisiejszych gazetach, dowody dla całego świata.

Ketti wpatrywała się z niedowierzaniem w bratanicę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - wymamrotała w końcu, kręcąc głową.

- Przez kilka ostatnich dni żołnierze brytyjscy i amerykańscy wchodzili na tereny tych obozów, aby je wyzwolić, a to, co tam znaleźli, było tak straszne, tak okropne, że po prostu nie mieści się w głowie. Niewiarygodne okrucieństwo, upadek człowieczeństwa, trudno to nawet określić słowami. Wymordowano tam całe miliony ludzi: Żydów, Polaków, Czechów i Cyganów, ale przede wszystkim... Żydów.

Filiżanka i podstawka, trzymane przez Ketti, zabrzęczały gwałtownie w jej ręku. Teddy wzięła je od ciotki i odstawiła na stojący przy łóżku stolik.

- To chyba niemożliwe - szepnęła Ketti. Jej twarz poszarzała, oczy pałały dziwnym blaskiem. - Oni nie mogli... nie śmieliby...

- A jednak to zrobili! - odparła Teddy cichym, zawziętym głosem. - Gazety brytyjskie nazwały to ludobójstwem.

* * *

Nieco później Ketti, niepokojąc się o bratanicę, poczęła szukać jej po całym domu. Znalazła ją w pokoju Maxima. Teddy siedziała na krześle w całkowitym bezruchu, wpatrzona w zdjęcia Westheimów, ustawione na komodzie. Słyszając skrzypnięcie drzwi odwróciła wzrok w inną stronę, a Ketti domyśliła się, że Teddy płakała.

- Czy wszystko w porządku, kochanie? - zapytała.

- Tak - odparła Teddy.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, wejdź, proszę.

Ketti weszła do pokoju i usiadła na brzegu drugiego krzesła. Wiedziała, że Teddy lęka się o los Westheimów,

i bała się nawet wymienić ich nazwisko. Nie chciała denerwować jej jeszcze bardziej.

Ale Teddy, jak gdyby odgadując przyczynę rozterki ciotki, odezwała się pierwsza. - Odkąd przeczytałam te gazety, nie mogę przestać myśleć o Ursuli i Sigmundzie. Chyba zauważyłaś to...

- Owszem, Teddy. Byłaś do nich bardzo przywiązana i nie ma w tym nic dziwnego, że po tym, jak... jak dowiedziałaś się z gazet, co zrobili hitlerowcy, niepokoisz się o Westheimów bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie mogę wymazać z pamięci tych zdjęć... tych okropnych zdjęć w gazetach. Och, ciociu Ketti! - załkała. - A jeśli Sigmund i Ursula rzeczywiście zginęli w jednym z tych ohydnych miejsc? - Jej głos drżał, w oczach lśniły łzy. - Tak bardzo boję się o nich, nie jestem w stanie zebrać myśli!

- Wiem, kochanie, jakie to trudne, ale musisz mieć nadzieję. I musisz też pamiętać, że ostatnia wiadomość, jaką dostałaś od Arabelli von Wittingen, była bardzo pocieszająca.

- Ale to było przecież tak dawno, kilka lat temu!

- Cóż z tego. - Ketti nachyliła się i kontynuowała spokojnym, kojącym głosem. - Księżna nie kontaktowała się z tobą od tamtej pory, wiem o tym. Ale to może również oznaczać, że nic się nie zmieniło. Kiedy zatelefonowała do ciebie wówczas ze Szwajcarii, powiedziała ci, że Westheimowie przebywają u von Tiegalów, w ich zamku, i że są bezpieczni. I ty sama powtarzałaś mi potem wiele razy, że tam nic im nie grozi.

- Tak, to prawda. U von Tiegalów byliby bezpieczni. W tym starym zamczysku jest cała masa podziemnych przejść i lochów. Myślę, że są tam nawet sekretne pomieszczenia i tajne korytarze. - Teddy zerknęła z ukosa na ciotkę i powtórzyła: - W zamku byliby bezpieczni, jestem tego niemal pewna. Ale my nie wiemy przecież, czy przebywają tam nadal. I tym właśnie martwię się od dawna... że z jakiegoś powodu wyjechali stamtąd i wrócili do Berlina. A w mieście mogli zostać od razu aresztowani i wysłani... do obozu. Mogli też zginąć podczas nalotu aliantów na Berlin.

- Teddy, kochanie, rozmawialiśmy już o tym tyle razy... Nie próbuję cię pocieszać, nie twierdzę też, że nie ma powodu do niepokoju, Bóg jeden wie, że są podstawy ku temu, aby martwić się losem Ursuli i Sigmunda. Musisz jednak wierzyć, że udało im się przeżyć, bez względu na to, gdzie przebywali i w jakich okolicznościach. Jeśli w to zwątpisz, doprowadzisz się do szaleństwa.

Teddy milczała.

Powoli, łagodnym tonem, Ketti dodała: - I pamiętaj, kochanie, jest jeszcze Maxim. Trzeba pomyśleć o nim. Jesteś mu bardzo potrzebna.

- Nigdy nie porzucę nadziei, że oni żyją - szepnęła Teddy. - Będę wierzyła w to tak długo, dopóki nie otrzymam dowodu... dowodu, że zginęli.

31

Czerwono-biało-niebieskie flagi brytyjskie wisały w każdym oknie, powiewając na wietrze.

Ludzie tańczyli na ulicach śpiewając i wiwatując, śmiejąc się i płacząc, obcy na równi ze znajomymi obejmowali się i całowali, przepelnieni radością, szczęściem i dumą.

Okna, pozbawione wreszcie zaciemnienia, tryskały jaskrawym światłem, tu i ówdzie widać było kukły Hitlera, pożerane przez płomienie. W pubach rozochoczone tłumy wiwatowały na cześć dzielnych chłopców w kolorach niebieskim i khaki, rozbrzmiewały okrzyki: „Niech żyje Winston, to dzięki niemu przetrwaliśmy!”

Był wieczór, wtorek, ósmego maja, a cała Anglia szalała z radości. Poprzedniego dnia, w nocy z siódmego na ósmego maja, dokładnie o godzinie drugiej czterdzieści jeden nad ranem, generał Alfred Jodl, przedstawiciel Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, oraz admirał Hans von Friedeburg, działający z upoważnienia Wielkiego Admirała Karla Doenitza, pełniącego obowiązki szefa państwa niemieckiego, podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji wszystkich niemieckich lądowych, morskich i powietrznych sił zbrojnych w Europie, które tym samym poddały się alianckim ekspedycyjnym siłom zbrojnym w Europie oraz Armii Czerwonej. Wojna z Niemcami definitywnie dobiegła końca.

Wielka Brytania odniosła zwycięstwo, a Brytyjczycy świętowali Dzień Zwycięstwa wszędzie, gdzie było to możliwe: w domach, w parkach, w pubach i na ulicach. Należało uczcić ten pamiętny dzień, który oznaczał obalenie najbardziej nikczemnego reżimu w dziejach świata.

Teddy i ciotka Ketti stały wśród wielotysięcznego tłumu, zgromadzonego przed siedzibą Izby Gmin, czekając na przemówienie premiera. O trzeciej po południu Churchill wygłosił przemówienie do narodu, transmitowane przez radio, ale ludzie pragnęli usłyszeć coś więcej z ust „brytyjskiego buldoga”, ich ubóstwianego Winniego, ich wielkiego przywódcy - może największego w historii tego kraju - który przywiódł ich do zwycięstwa, wywalzonego z olbrzymim uporem i z honorem.

Zgiełk tłumu przerodził się w ogłuszający wrzask, kiedy

O dziesiątej trzydzieści Churchill pojawił się na balkonie jednego z gmachów rządowych, pokazując prawą ręką swój słynny gest „V” oznaczający zwycięstwo.

Przed nim rozciągało się rozległe na mile morze głów. Kiedy zaczął przemawiać, na ulicach w Whitehall zaległa kompletna cisza, wyrażająca głęboką cześć i szacunek dla tego męża stanu.

- Drodzy przyjaciele - zaczął Churchill - oto wasza chwila. Nie jest to zwycięstwo jednej partii albo jednej z klas. Jest to zwycięstwo narodu brytyjskiego jako całości. My pierwsi na tej starożytnej wyspie dobyliśmy miecza, aby zwalczyć tyranie, a niebawem zostaliśmy sami, mając przeciw sobie najbardziej straszliwą siłę militarną, jaką zna historia. Byliśmy osamotnieni przez cały rok. I trwalibyśmy osamotnieni. Czy ktoś z nas chciał dać za wygraną? - Churchill urwał na chwilę, a tłum zawołał zgodnie w odpowiedzi: - Nie! - Czy poddaliśmy się rozpacz? - zapytał znowu Churchill. - Nie! - odpowiedziały mu jednogłośnie tysiące.

Premier mówił dalej: - Światła pogasły, runęły na nas bomby. Ale nikt w tym kraju, żaden mężczyzna, żadna kobieta i żadne dziecko, powtarzam: nikt nie pomyślał o zaprzestaniu walki. Londyn nie poddaje się. I dlatego po długich miesiącach spędzonych w paszczy śmierci powróciliśmy, wydostaliśmy się z otchłani piekieł, budząc tym samym podziw całego świata. Twierdzą, że jeszcze długo, przez długie lata, które czekają nas w przyszłości, nie tylko obywatele tej wyspy, ale mieszkańcy całego świata, gdziekolwiek w sercach ludzi zagnieździł się ptak wolności, będą oglądać się wstecz, wspominając to, czego my dokonaliśmy, i mówić: „Nie rozpaczaj, nie poddawaj się gwałtowi i tyranii, kroc prosto przed siebie i oddaj swe życie, jeśli to niezbędne - ale niepokonany”. Tym razem zdołaliśmy przetrwać śmiertelne zmagania; straszliwy wróg został rzuco-

ny na ziemię i oczekuje teraz naszego osądu i naszego miłosierdzia.

Teddy zorientowała się, że po policzkach ciekną jej łzy. czym prędzej wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła sobie twarz.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytała Ketti, ujmując ją pod rękę i zaglądając bacznie w oczy.

-Znakomicie, ciociu. - Teddy wydmuchała nos i zamrugała oczyma, aby ujrzeć coś przez łzy. - Zawsze jestem wzruszona, kiedy słucham, jak przemawia Churchill. On potrafi w taki specyficzny sposób mówić o sprawach oczywistych i prawdziwych, i zarazem uspokajać. Nie ma sobie równych, to pewne.

Wygląda na to, że tego samego zdania były tłumy na ulicach, wsłuchujące się w końcową część przemówienia.

Kiedy Churchill skończył, rozległy się gromkie wiwaty, ludzie krzyczeli, zrywając płuca, a potem zaczęli śpiewać „For He's a Jolly Good Fellow” i „Land of Hope and Glory”. Ketti i Teddy przyłączyły się do innych.

Churchill pomachał ręką i opuścił balkon, tłum zaczął z wolna rozchodzić się, obydwie kobiety udały za innymi.

Robiło się późno, one zaś były zmęczone; miały za sobą długi i pracowity dzień, ekscytujący, ale i forsowny. W pobliżu dworca Victoria znalazły wolną taksówkę i zadowolone wsiadły do środka. Zapragnęły znaleźć się wreszcie w domu. z dala od zgiełku i tłumy.

Mimo półmroku Teddy dostrzegła znużenie na twarzy Ketti. - Ciociu! - zawołała. - Wyglądasz na zupełnie wyczerpaną!

- Tak. nie mam już sił. A ty?

- Ja też - przyznała Teddy. - Ale to nic. Najważniejsze, że mogłyśmy uczcić klęskę hitlerowców i 111 Rzeszy.

* * *

Nazajutrz, 9 maja, Teodora kończyła dwadzieścia sześć lat i z tej okazji ciotka Ketti urządziła niewielkie przyjęcie urodzinowe dla bratanicy, na które zaprosiła Julię i Lydię Pell.

Obie przyszły punktualnie o czwartej, z uroczym zapakowanymi prezentami. Teddy rozwinęła paczuszki i uradowana jak zwykle pomyślała z rozrzewnieniem o przyjaciółkach. Pani

Pell przyniosła jej jedwabny, ręcznie malowany szal w miłych, pastelowych kolorach: lila, purpurowym i róż, a od Lydii otrzymała sznur pięknych ametystów. - Rozpieszczacie mnie, naprawdę, niepotrzebnie kupiłyście mi tak drogie prezenty! - zawołała Teddy, pocałowała panią Pell, następnie jej córkę i dodała: - Bardzo wam dziękuję. Nieco później ciotka Ketti wniosła tacę z herbatą i cztery kobiety zasiadły wokół stolika w stylu królowej Anny, zastawionego misternymi kanapkami, trójkątnymi placuszkami oraz lukrowanym ciastem urodzinowym z symboliczną świeczką. Delektowały się jeszcze tymi smakołykami, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Któż to może być? - zdziwiła się Ketti. - Chyba nie spodziewamy się nikogo, prawda, Teddy?

- Pójdę otworzyć, zobaczymy, kto to - zaoferowała się jubilatka. Podbiegła do frontowych drzwi, otworzyła je i zaskoczona ujrzała w progu Marka.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie! - zawołał. Wszedł do środka, objął ją i uniósł w górę, okręcając się wraz z nią dookoła.

- Przecież złożyłeś mi już życzenia przez telefon - powiedziała, kiedy w końcu postawił ją na podłodze i pocałował w policzek.

- Chciałem zrobić to osobiście. I wręczyć ci coś - dodał, podając jej paczkę, którą trzymał w ręku. - To butelka najlepszego różowego szampana od taty.

- Och, jak to miło z twojej strony, Marku, dziękuję. Wejdz, proszę, ciocia Ketti jest w salonie, razem z Lydią i panią Pell. Napijesz się herbaty i zjesz kawałek ciasta.

- Nie dziękuję - odparł z uśmiechem. - Wolałbym szampana.

Kobiety nie kryły zaskoczenia na widok Marka, kiedy Teddy wepchnęła go do salonu, on zaś przywitał się z nimi wylewnie i zaproponował otwarcie butelki. - Jest dziś tak zimno, że przyda się odrobina alkoholu - wyjaśnił, czekając aż Teddy wyjmie z barku kieliszki. - Ojciec zawsze ma kilka ochłodzonych butelek na wszelki wypadek, a ja capnąłem jedną z piwnicy na dzisiejszą okazję. - Korek z butelki Dom Perignon wystrzelił z hukiem, trochę musującego wina przelało się na stół. - Hej! - zawołał Mark, czym prędzej przenosząc butelkę nad kieliszki. - Nie wolno marnować tak cennego trunku!

Uniósł kieliszek, wygłosił toast na cześć Teddy, do którego przyłączyli się inni, a kiedy wszyscy już upili szampana, Mark

odstawił kieliszek i zwrócił się do dziewczyny. - Czy mógłbym porozmawiać z tobą sam na sam? - zapytał.

- Oczywiście. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, zastanawiając się, czy wszystko w porządku. Był dziś wyjątkowo uroczy i pełen powagi...

Przeprosili resztę towarzystwa i wyszli do ogrodu. Wiedząc, że Teddy lubi siedzieć pod starą jabłonią, Mark zaprowadził ją teraz właśnie tam, po czym ujął jej dłoń.

- Kocham cię, i chciałbym się z tobą ożenić - powiedział, patrząc jej w oczy. - Wiem, że i ty mnie kochasz. Ale do tej pory nie wyraziłaś zgody na nasze zaręczyny. Stale mówiłaś, że chcesz poczekać do zakończenia wojny. No i wojna dobiegła końca. A więc proszę cię dziś, powiedz „tak”, zostań moją narzeczoną.

- Tak, Marku, zgadzam się - odparła po krótkiej chwili wahania. Radość, jaką odczuwała, mąciła troska o West-heimów, nie chciała jednak okazać tego Markowi. Podniosła wzrok na jego twarz, na której malowało się uwielbienie i uśmiechnęła się promiennie.

Wsunął rękę do kieszeni swojej lotniczej kurtki, wyjął czarne skórzane pudełko i podał je Teddy bez słowa.

Przemawiały tylko oczy, czujne, wpatrzone w nią natarczywie.

Powoli otworzyła pudełko. W fałdach białego atlasu spoczywał zapierający dech w piersi pierścionek z prostokątnym ciętym szmaragdem, który otaczały brylanty. - Och, Marku! Jest śliczny!

- Tak jak i ty, moja najdroższa - odparł. - Czy naprawdę ci się podoba?

- Czy mogłoby być inaczej?! Jest wspaniały!

- Szmaragd to kamień przychylny dla twego znaku zodiaku, a poza tym kolor twoich oczu. Dlatego go wybrałem. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, kochana.

- Och, Marku!

Wyjął pierścionek z pudełka i włożył go jej na środkowy palec lewej dłoni. - Teraz nadaliśmy temu oficjalny charakter - szepnął, wziął Teddy w ramiona i pocałował.

Trzymając się za ręce, wrócili do domu, aby ogłosić swoje zaręczyny. Ani ciotka Ketti, ani Julia i Lydia nie były zaskoczone tą informacją, pogratulowały gorąco zakochanym, a Ketti dodała: - Wiecie, czekałyśmy na to już od dawna. Właśnie przed chwilą doszliśmy do przekonania, że nigdy jeszcze nie widziałyśmy młodych bardziej zakochanych w sobie niż wy dwoje.

Wszyscy roześmieli się, Teddy i Mark podziękowali za miłe życzenia, po czym wzniesiono kolejny toast. Mark upił jedynie łyk, odstawił kieliszek i oświadczył: - Niestety, muszę już iść, Teddy, wracam do Biggin Hill. Moja przepustka jest ważna tylko parę godzin. Dostałem ją dzięki uprzejmości bardzo romantycznego dowódcy eskadry, który zgodził się ze mną, że powinnaś otrzymać pierścionek zaręczynowy w dniu swoich urodzin. Nawiasem mówiąc, twierdzi on też, że musi być obecny na naszym ślubie.

- W takim razie zaprosimy go - odparła Teddy.

Mark pożegnał się z ciotką Ketti, Julią i Lydią, a Teddy odprowadziła go do drzwi, gdzie wspięła się na palce i pocałowała go.

- Ustalmy datę ślubu - zaproponował Mark, kiedy już wypuścił ją z objęć.

Wyraz jej twarzy uległ natychmiast zmianie. - Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Marku. Nie mogę, dopóki nie otrzymam jakiegóż wiadomości od Westheimów, dopóki nie dowiem się, kiedy tu przyjadą. Mówiłam ci już wielokrotnie, że nie byłabym w stanie wyjść za ciebie przed przyjazdem rodziców Maxima do Anglii.

- Ale zanim otrzymasz od nich jakieś wieści, mogą upłynąć całe miesiące! W Niemczech zapanował teraz kompletny chaos!

- Tak, to prawda, Marku, ale znam Ursulę Westheim bardzo dobrze i wiem, że na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby się ze mną skontaktować. I to niebawem. Jeśli nie ona sama, zrobi to ktoś inny w jej imieniu.

- No, dobrze - mruknął zrezygnowany. - Poczekamy jeszcze trochę ze ślubem. - Uśmiechnął się, a Teddy odpowiedziała uśmiechem, nie dostrzegając w jego oczach niepewności. Nie wiedziała też jeszcze, jak bezowocne będzie jej wyczekiwanie. Tygodnie, które upływały jeden po drugim, nie przyniosły nic nowego: od Westheimów nie nadchodziły żadne wieści.

I tak oto Teddy zdecydowała się w końcu pojechać do Niemiec, aby szukać Westheimów. A kiedy przybyła już na miejsce, odniosła wrażenie, jakby znalazła się w zupełnie obcej, nie znanej jej krainie.

Nie mogła poznać miasta, w którym przyszła na świat i wychowywała się niemal do dwudziestego roku życia. Nie pozostało tu nic, co pozwoliłoby jej wrócić pamięcią do tamtego okresu. Berlin usiany głębokimi kraterami i fantastycznie ukształtowanymi górami, stertami rumowisk i zgliszczy przywodził teraz na myśl krajobraz księżycowy.

Miasto zostało obrócone w perzynę przez bombowce alianckie, które zrównały z ziemią pięćset tysięcy budynków, a więc jedną trzecią wszystkich zabudowań Berlina. To zaś, co ocalało po nalotach aliantów, legło w gruzach drugiego maja, kiedy to do miasta wkroczyła Armia Czerwona pod dowództwem marszałka Żukowa: Rosjanie skierowali na to, co jeszcze pozostało z dumnego niegdyś Berlina, lufy dwudziestu dwu tysięcy dział i ów bezlitosny ostrzał artyleryjski doprowadził dzieło zniszczenia do końca.

Widok miasta wprowadził Teddy w osłupienie. W Anglii czytała gorliwie wszelkie doniesienia prasowe z zagranicy, zwłaszcza te, które dotyczyły Niemiec, śledziła skwapliwie wszystkie wydarzenia kilku ostatnich miesięcy, nie wyobrażała sobie jednak, że Berlin może być aż tak zrujnowany, że mógł do tego stopnia przemienić się w pustynię. Podróż z Londynu do Berlina Teddy odbyła na początku października, a w przygotowaniach do niej wydatnej pomocy udzielili jej ojciec Marka i Julia Pell. Charles Lewis dopilnował, aby wszystkie niezbędne dokumenty były w porządku, nalegał też na opłacenie wszelkich kosztów. Teddy opierała się początkowo, uważała bowiem, że nie może pozwolić na tak hojne wsparcie z jego strony, w końcu jednak jego argumenty przeważyły i Teddy dała za wygraną, przyjmując jego ofertę z wdzięcznością.

Zakwaterowanie w Berlinie załatwiła natomiast matka Lydii, która skontaktowała się w tej sprawie z niejaką Anne Reynolds, osobą wysoko postawioną we władzach Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i zaprzyjaźnioną z Julią od ponad dwudziestu lat. Anne Reynolds, obecnie wdowa,

mieszkała z mężem w Niemczech jeszcze przed wojną, mówiła biegle po niemiecku i doskonale знаła ten kraj. Między innymi właśnie te dwa ostatnie czynniki sprawiły, że po zakończeniu wojny powierzono jej tak odpowiedzialną i ważną funkcję w Berlinie.

Wysłano ją tam, jak opowiadała Julia Pell, w lipcu, kiedy do miasta wkroczyły oddziały brytyjskie, amerykańskie i francuskie, aby wspólnie z Armią Czerwoną przejąć kontrolę nad Berlinem. Anne Reynolds otrzymała niewielki apartament w Charlottenburg, w strefie brytyjskiej i zdążyła już odpisać Julii, zapewniając ją, iż jakkolwiek jej mieszkanie nie jest zbyt obszerne, chętnie ugości u siebie Teodorę tak długo, jak będzie to potrzebne. Dodała też, że często podróżuje w sprawach służbowych po całej brytyjskiej strefie okupacyjnej, prawdopodobnie więc Teddy przez większość czasu będzie przebywała w jej mieszkaniu sama. Jak się później okazało, jej przewidywania nie odbiegały od prawdy.

Już w dniu przyjazdu Teddy do Berlina Anne niemal od razu po serdecznym powitaniu powiadomiła ją z ubolewaniem, że musi udać się natychmiast do Frankfurtu.

- Obawiam się, że zdążymy zaledwie napić się herbaty, za chwilę wychodzę - oświadczyła.

- Nic nie szkodzi, pani Reynolds, proszę się mną nie przejmować. Doskonale rozumiem, że ma pani obowiązki służbowe - zapewniła Teddy, która już w pierwszej chwili poczuła sympatię do tej wysokiej, frapującej kobiety po czterdziestce, o blond włosach i typowej dla Angielek różowej karnacji, z przyjaznym uśmiechem na twarzy i o stanowczym, aczkolwiek pogodnym i życzliwym sposobie bycia.

- Proszę się rozgościć - zaproponowała Anne - a ja zaparzę tylko herbatę i zaraz przyjdę. - Potem najwidoczniej zmieniła zdanie: - Chociaż może byłoby lepiej, gdyby poszła pani razem ze mną do kuchni. Przy okazji pokażę wszystko, co gdzie leży, i pogawędzimy sobie przez chwilę.

- Bardzo chętnie, pani Reynolds. I jeszcze raz dziękuję, że pozwoliła mi pani zamieszkać u siebie. To bardzo wspaniałomyślne wobec obcej osoby, gdyż taką przecież jestem.

Anne uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym zaprowadziła gościa do małej kuchenki, raczej wnęki w ścianie niż osobnego pomieszczenia, i wyjaśniła: - Julia Pell bardzo troszczy się o panią, jak o własną córkę. A ponieważ jest moją najdroższą przyjaciółką, byłam zachwycona, że mogę pomóc

komuś, kto tak wiele dla niej znaczy. Zresztą tu nie ma teraz hoteli, nie mam więc pojęcia gdzie pani mogłaby zamieszkać, jeśli nie u mnie. Kaiserhof, Eden i Adlon zostały zniszczone nie do poznania, podobny los dotknął mniejsze hotele. Wolne pokoje są teraz w cenie. - Westchnęła ciężko i dodała: - Większość berlińczyków mieszka dziś w piwnicach albo koczuje pośród ruin. W mieście panuje kompletny bałagan, stale napływają tu tłumy Niemców.

- A skąd? - zainteresowała się Teddy.

- Ze wszystkich stron. Przeważnie są to powracający berlińczycy, którzy opuścili miasto podczas wojny, ale przybywają również ludzie z różnych miejsc w Niemczech. Łudzą się, że tu powiedzie im się lepiej niż gdzie indziej.

- Pokręciła głową. - To oczywiście złudne nadzieje. Warunki życia są tu okropne, nigdy w życiu nie spotkałam się z większym przeludnieniem.

Zapaliła gaz pod czajnikiem i westchnęła. - Szczerze mówiąc, nie mamy gdzie pracować. Prawie wszystkie szpitale przestały istnieć, część została zniszczona podczas nalotów, a te, które przetrwały, to nie nadające się do niczego ruiny. Brakuje nam leków, żywności i opału. Pomieszczenia szpitalne są przepełnione, a gruźlica, tyfus i dyfteryt powodują wiele zgonów. - Anne urwała i zapytała rzeczowym tonem: - Skoro już o tym mowa... była pani szczepiona na te dwie ostatnie choroby, prawda? Uprzedziłam Julię, że to konieczne.

- Tak, poddałam się szczepieniu - odparła Teddy. Znowu pomyślała o Ursuli i jej mężu. Czyżby znajdowali się w tej fali uchodźców, powracających obecnie do Berlina? Otworzyła już usta, aby wspomnieć o nich, ale potem zmieniła zdanie; zdecydowała, że lepiej poczekać z tym parę minut. Porozmawia o nich z panią Reynolds, kiedy usiądą razem przy herbacie.

- W mieście szaleje zaraza - odezwała się Anne. - Można nawet powiedzieć, że czuje się ją w powietrzu, które wdychamy. Wszędzie leżą tysiące trupów, które nie zostały jeszcze pogrzebane.

- Mój Boże, to okropne! - wzdrygnęła się Teddy, oszołomiona i zarazem przerażona. - Gdzie leżą ciała?

- W rzece, pod stosami śmieci, w ogródkach, dosłownie wszędzie. Nie wpływa to korzystnie na czystość powietrza. No i jeszcze te szczury, których pełno na każdym kroku.

Teddy wzdrygnęła się ponownie, poczuła na ciele gęsią skórę. - Na ulicach musi być okropnie!

- Jest okropnie - przyznała Anne. Pokręciła ze smutkiem głową. - Mamy do spełnienia niezmiernie trudne zadanie, ale spróbujemy zrobić, co tylko w naszej mocy.

- Pracowałam w londyńskim Czerwonym Krzyżu i wiem, jak wyjątkowa jest działalność oddziału międzynarodowego - odparła Teddy. - Nie wyobrażam sobie, co by zrobił świat, gdyby nie było tej organizacji. Jestem dumna, że związałam się z Czerwonym Krzyżem.

- Ja też - mruknęła Anne, ustawiając na tacy filiżanki, podstawki i niewielki pojemnik z mlekiem w proszku. Otworzyła kredens, obróciła się do Teddy i wyjaśniła: - Tu leży cały sprzęt kuchenny, porcelana i tak dalej. Na tej półce są podstawowe artykuły i żywność. Zgromadziłam tu sporo tego, głównie puszki, o... tu na przykład wołowina, a tam zupy.

Otworzyła drugą szafkę. - Tu ułożyłam trochę delikcji... owoce w puszkach, wafle w czekoladzie i inne przysmaki, które zdobyłam dzięki znajomości z pewnym majorem armii amerykańskiej. Jest na tyle miły, że stale zaopatruje mnie w różne puszki, tak więc proszę się nie krępować i korzystać ze wszystkiego, na co będzie pani miała apetyt.

- Dziękuję bardzo, pani Reynolds - szepnęła Teddy. - Jest pani dla mnie nadzwyczaj miła i z pewnością tego nie zapomnę. - Uświadomiła sobie nagle, że bez pomocy Anny nie dałaby sobie rady w Berlinie. Co za szczęście, pomyślała, że mam takich przyjaciół jak Pellowie, że poznałam tak troskliwych, uczynnych ludzi jak Charles Lewis, mój przyszły teść. To dzięki nim mogła przystąpić do poszukiwań Westheimów, a w każdym razie miała ułatwione zadanie.

* * *

Później, kiedy w małym pokoiku zasiadły do herbaty, Teddy postanowiła poruszyć wreszcie sprawę rodziców Maxima. Jednak Anne Reynolds zaczęła wprowadzać ją właśnie wtedy w tajniki życia codziennego w Berlinie i Teddy znowu musiała przesunąć decydującą rozmowę na potem.

- Po podpisaniu przez Niemców kapitulacji Rosjanie zdołali uruchomić w krótkim czasie zaopatrzenie miasta w gaz i prąd - opowiadała Anne. - Działają już też metro, tramwaje i kolej miejska, co umożliwia poruszanie się po Berlinie. Jest również trochę rozklekotanych ciężarówek, ale niedużo, ze względu na brak benzyny. Ale niech pani nie przyjdzie czasem do głowy

opuszczać sektor brytyjski - ostrzegła. - Proszę unikać sektora rosyjskiego, to zbyt niebezpieczne. Nadal zdarza się tam mnóstwo gwałtów.

- Rozumiem.

- Łączność telefoniczna pozostawia jeszcze sporo do życzenia - mówiła dalej Anne. - Raz działa, raz nie. Jeśli zechce pani zadzwonić do ciotki, aby poinformować ją, że przybyła tu pani bezpiecznie, proszę spróbować. Nie gwarantuję jednak, że to się uda.

- To bardzo miło z pani strony. Chętnie zadzwonię dziś do ciotki Ketti, jeśli nie ma pani nic przeciw temu - odparła Teddy. - Zapłacę za każdą minutę rozmowy.

- Proszę nie mówić takich rzeczy! - obruszyła się Anne.

- Nie powiedziała pani jeszcze ani słowa na temat Westheimów - zauważyła Teddy. - Przypuszczam więc, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż nie zdobył do tej pory żadnych informacji o miejscu ich pobytu lub chociażby pośrednio związanych z nimi.

Anne potrząsnęła głową. - Tak, to niestety prawda. Gdybym wiedziała cokolwiek, powiedziałabym pani o tym natychmiast.

Teddy zagryzła wargi, na jej twarzy odmalowało się z wątpienie.

- Proszę tylko nie upadać na duchu - szepnęła Anne, momentalnie łagodząc ton. - Nawet jeśli nie mam jeszcze potrzebnych informacji, to niewiele znaczy. Mówiłam już, że mamy tu wszędzie kompletny chaos. Po całej Europie błąkają się ludzie pozbawieni domów, jest ich dziesięć milionów, o ile mamy dokładne dane. Akta tych ludzi zostały zniszczone, część w wyniku nalotów, inne przez samych hitlerowców, którzy w obliczu klęski chcieli zatrzeć wszelkie ślady swoich zbrodni. Doprawdy, to zadanie na miarę sił Herkulesa, wpaść teraz na ślad zaginionych. Odnalezienie ich może zabrać trochę czasu, ale z pewnością powiedzie się pani, czuję to przez skórę.

Teddy kiwnęła głową, modląc się w duchu, aby prognozy pani Reynolds sprawdziły się. Anne uśmiechnęła się do niej życzliwie, po czym wskazała na stojące pod oknem biurko. - Wypisałam tu nazwy i adresy agencji, które powinna pani jutro odwiedzić, jak również numer telefonu w moim biurze. Moja sekretarka, Elizabeth Jefford, to bardzo zdolna i kompetentna osoba, jest obeznana z sektorami angielskim

i amerykańskim, tak więc proszę śmiało dzwonić do niej, gdyby potrzebowała pani jakiegokolwiek pomocy. A tu komplet kluczy.

- Dziękuję serdecznie, pani Reynolds, dziękuję za wszystko.

- Proszę nie dziękować - odparła Anne. - Cieszę się, że mogłam w czymś pomóc. Chciałam też powiedzieć...

- Jest jeszcze jedna sprawa - przerwała jej Teddy. Nachyliła się i zdecydowanym tonem oświadczyła: - Jeśli nie uzyskam odpowiednich informacji tu, w Berlinie, będę musiała udać się na zamek von Tiegalów w Marchii Brandenburskiej. Zdaję sobie sprawę, że jest to sektor radziecki, ale może...

Tym razem Anne nie pozwoliła dokończyć wypowiedzi.

- Nie musi pani tam jechać, Teodoro - powiedziała. - Właśnie chciałam wyjaśnić, że kilka tygodni temu dostałam list od Julii; napisała w nim, że Westheimowie przebywali na zamku. W tej sytuacji poprosiłam mego amerykańskiego przyjaciela, majora Evansa, aby zbadał sprawę. Na szczęście udało mu się to zrobić, chociaż teren ten znajduje się pod kontrolą radziecką. Okazało się, że zamek nie ucierpiał podczas wojny, mimo iż Poczdam i Brandenburg zostały zbombardowane.

- To wspaniała wiadomość! - zawołała Teddy, a jej oczy natychmiast zabłyśły.

- Owszem. Skoro zamku nie zbombardowano, możemy przyjąć, że Westheimowie nie zginęli w wyniku nalotu, przynajmniej tam. Jednak zamek stoi teraz pusty, nikt w nim nie mieszka jeśli nie liczyć dozorczy, pozostawionego tam przez Rosjan. Od majora Evansa dowiedziałam się, że Rosjanie zamierzają przekształcić zamek w koszary.

- A ten dozorca nie jest w stanie udzielić informacji?

- zapytała Teddy, wpatrując się w Anne z nadzieją.

- Nie, żadnych. Powiedział tylko, że wszyscy opuścili zamek.

- Wygląda na to, że Westheimowie zniknęli bez śladu, prawda? - mruknęła pośpiesznie Teddy. Entuzjazm malujący się jeszcze przed chwilą na jej twarzy, zniknął teraz.

- Tak - przyznała Anne. - Ale z drugiej strony nie ma żadnych podstaw ku temu, aby przypuszczać, że nie żyją.

Wstała z krzesła i wyszła do przedpokoju, wyjęła z szafy płaszcz, ubrała się, po czym powiedziała: - Niestety, czas już na mnie. Głowa do góry, Teodoro. I proszę pamiętać: w razie

potrzeby moja sekretarka udzieli pani wszelkiej możliwej pomocy. Zobaczymy się pod koniec tygodnia.

- Dziękuję, pani Reynolds. Do zobaczenia i szczęśliwej podróży - odparła Teddy.

Nazajutrz Teddy wyszła z mieszkania skoro świt, wsiadła do metra i dojechała do stacji ZOO, położonej najbliżej Tiergartenstrasse.

Po wyjściu z dworca udała się pieszo wzdłuż Budapesterstrasse i Sttillerstrasse w stronę Tiergarten, pięknego, starego parku, po którym dawniej spacerowała często z Maximem i Ursulą.

Był mglisty, mokry październikowy dzień i Teddy przyśpieszała co chwila kroku. Po drodze rozglądała się na boki, zaszokowana zniszczeniami. Przyszło jej do głowy, że może nie ma sensu iść dalej i szukać miejsca, gdzie niegdyś stał dom Westheimów. Do tej pory nie minęła jeszcze żadnego całego budynku, dlaczego więc na Tiergartenstrasse miałyby być inaczej? Berlin był teraz jednym wielkim rumowiskiem, przekonała się o tym już wcześniej, a potwierdziły to słowa pani Reynolds.

Szła jeszcze przez chwilę i raptem przystanęła jak wryta, nie posiadając się ze zdumienia. Tam, gdzie spodziewała się ujrzeć park, nie było teraz ani jednego żywego drzewa. Ogołocony całkowicie teren parkowy z wiszącym nad nim szarym, jesiennym niebem sprawiał wyjątkowo przygnębiające wrażenie.

Dopiero po chwili do świadomości Teddy dotarł osobliwy zgrzyt, tak jakby ktoś uderzał czymś metalowym o kamień. Zaintrygowana odwróciła się i odszukała wzrokiem źródło tego dźwięku.

Tuż obok, zaledwie parę metrów dalej, jakaś kobieta krzątała się wśród gruzów zalegających plac, na którym stał przedtem dom; ułamaną łopatą waliła raz po raz w tynk, obtłukując go starannie. Następnie brała oczyszczone w ten sposób cegły i kładła je na prowizoryczną taczkę, skleconą z dwóch małych kół i starej, drewnianej skrzynki. Całość powiązana była sznurkiem i kawałkami drutu.

Teddy podeszła bliżej. - Przepraszam bardzo - zwróciła się do kobiety. - Co się stało z tymi drzewami w parku? Dlaczego park został tak zdewastowany?

Kobieta zmierzyła ją nieufnym wzrokiem, nie odpowiedziała od razu. Wreszcie mruknęła szorstko, niechętnie: - Pewnie pani nie stąd, skoro zadaje takie pytania.

- Zgadza się. To co z tymi drzewami? - powtórzyła Teddy. - Co się z nimi stało?

- Zostały wycięte - wyjaśniła zwięźle kobieta. - Na opał. Berlińczycy potrzebowali czegoś, żeby się ogrzać, a nie mieli przez cały czas wojny nic innego.

- Tak, rozumiem - szepnęła Teddy. - Danke... dziękuję, bardzo dziękuję. - Skinęła głową i odeszła czym prędzej, uciekając przed nienawistnym spojrzeniem kobiety.

W ciągu paru sekund znalazła się w centrum Tiergartenstrasse, tam gdzie przed wojną wznosił się piękny dom West-heimów, zwolniła kroku, a potem przystanęła, spoglądając ze strachem na stosy gruzu i śmieci, kałuże błota i sterty żelastwa.

Raptem odezwały się wspomnienia, wyraźne i natrętne, na moment cofnęła się w czasie o kilka lat, do dawnych dni. owych pięknych chwil, spędzonych w tym domu wraz z Maxi-mem i jego rodzicami.

Oczyrna wyobraźnia ujrziała znowu ich wszystkich.

Ursulę, tak śliczną o blond włosach, wytworną i elegancką, poruszającą się z gracją po domu i ogrodzie; Sigmunda, przystojnego, miłego i dystygowanego, siedzącego często przy pianinie i wyczarowującego z tego instrumentu piękną muzykę; Maxima, kręcącego się stale to przy mamie, to przy tacie, z wyrazem uwielbienia na twarzy.

Wspomnienia były gorzkie i słodkie zarazem, przywodziły bowiem na myśl przeszłość taką, jaką była, i tym dobitniej obnażały teraźniejszość, szpetną i bolesną. Teddy poczuła, że coś dławi ją w gardle, łzy zapiekły pod powiekami. Czym prędzej zamrugła oczyma.

Po co tu w ogóle przyszła? Teraz były to jedynie bezładne sterty kamieni. To miejsce nie miało już nic wspólnego z ludźmi, którzy zamieszkiwali tu niegdyś, którzy stworzyli tak cudowny dom, pełen szczęścia i miłości dla siebie i swojego dziecka. I również dla niej.

Teddy odwróciła się, ogarnął ją niewysłowiony smutek. Wolnym krokiem ruszyła z powrotem, minęła Hofjägerallee i skręciła w stronę Liitzowufer, tam gdzie niegdyś mieszkali von Tiegalowie. Nie opodal mieszkał też Willy Herzog...

Zanim jednak dotarła na miejsce, uświadomiła sobie, że ma przed sobą jeszcze jedną kamienistą pustynię.

Zrezygnowana zawróciła ku stacji ZOO. Nie miała tu czego szukać.

Nie mogę żyć przeszłością, pomyślała, ani karmić się wspomnieniami. Jedyna rzecz, która się liczy, to teraźniejszość. Moim celem w Berlinie jest odnalezienie Westheimów i muszę zrobić wszystko, aby to osiągnąć.

To postanowienie towarzyszyło jej przez resztę dnia. Kiedy odwiedzała rozmaite agencje, wypisane na kartce przez Annę Reynolds. Były wśród nich komitety do spraw uchodźców żydowskich, organizacje syjonistyczne, zajmujące się zaginionymi osobami, jak również Stowarzyszenie Przyjaciół, kierowane przez kwaków amerykańskich, którzy podjęli się dzieła rekonstrukcji w tym doświadczonym przez wojnę mieście. Ludzie, z którymi rozmawiała, mieli dobre chęci, w każdej agencji wręczano jej długie listy nazwisk tych, którzy zostali wysłani do obozów, deportowani przez hitlerowców lub uznani za zmarłych: w żadnym z tych wykazów nie figurowało nazwisko Westheim.

- Proszę nie tracić nadziei - pocieszyła Teddy urzędniczka w Stowarzyszeniu Przyjaciół. - 1 radzę przychodzić codziennie, gdyż stale przybywają nam nowe nazwiska.

Teddy podziękowała uprzejmej Amerykance i wróciła do mieszkania w Charlottenburg. przyrzadziła sobie lekką kolację, po czym poszła do łóżka, zdecydowana kontynuować swoje poszukiwania.

33

Tiergarten i jego okolice, gdzie właściwie spędziła większość życia, przyciągały ją niczym magnes.

Od owego deszczowego poranka, kiedy odwiedziła to miejsce po raz pierwszy, powracała tam kilkakrotnie, wabiona wspomnieniami. Nie znalazła jednak nic godnego uwagi, a już na pewno nic, co pomogłoby jej odnaleźć Westheimów. Potem jechała do domu coraz bardziej zrezygnowana, zatrwożona, i przyrzekała sobie w duchu, że dziś była tam naprawdę po raz ostatni.

Ale pewnego sobotniego popołudnia, dwa tygodnie po przybyciu do Berlina, Teddy postanowiła wybrać się ponownie na Tiergartenstrasse. Dzisiejsza wizyta miała jednak różnić się od poprzednich, dziś istniał konkretny cel.
Elizabeth

Jefford, sekretarka pani Reynolds, poradziła jej, aby spróbowała porozmawiać z Triimmerfrauen, kobietami, które pracowały w zorganizowanych grupkach, odgruzowując Berlin.

Elizabeth wyjaśniła jej poprzedniego dnia przez telefon, że Triimmerfrauen dysponują własną, niezależną od innych, siecią łączności, stanowiącą niezwykle źródło informacji na temat wszystkiego - od czarnego rynku aż po ludzi, którzy przepadli bez wieści. Pracowały w obrębie ulic, na których niegdyś stały ich domy i na których większość z nich mieszkała w dalszym ciągu w prowizorycznych, skleconych naprędce norach. Nie można było wykluczyć, że jedna z owych kobiet widziała lub usłyszała coś, co mogłoby okazać się użyteczne w dalszych poszukiwaniach.

Dlatego Teddy postanowiła pojechać tam ponownie. Jeszcze tylko ten jeden raz, przyrzekała sobie w duchu, wsiadając do metra, które dowiozło ją do stacji ZOO. Wolnym krokiem, ostrożnie, rozglądając się czujnie dokoła, szła potem wzdłuż Tiergartenstrasse i już wkrótce przekonała się, że dziś nie ma tu pracujących przy gruzach kobiet. Jej rozczarowanie z tego powodu było tak dotkliwe, że nagle uświadomiła sobie, jak duże wiązała z tym dniem nadzieje.

Zrezygnowana miała już zawrócić, kiedy tuż obok częściowo uporządkowanego już placu dostrzegła trzy kobiety z łopatami. Stały rozmawiając i dzieląc się jednym papierosem.

Teddy przystanęła nie opodal, przyglądając im się z zainteresowaniem przez kilka sekund. Każda z kobiet zaciągała się papierosem, po czym podawała go następnej, a Teddy zauważyła, z jaką radością delektują się tym drobnym luksusem.

Elizabeth ostrzegła ją, aby nie szła z pustymi rękoma, dlatego też Teddy miała w torebce paczkę papierosów Lucky Strikes i trzy tabliczki czekolady ze specjalnego zapasu w kuchennym kredensie. Pani Reynolds spędzała ten weekend ze swoim przyjacielem, amerykańskim majorem, w Bonn, a Elizabeth poradziła Teddy, aby wzięła te papierosy i czekoladę, zapewniając ją jednocześnie, że pani Reynolds nie będzie miała nic przeciwko temu. Teddy nie żałowała teraz, że posłuchała jej rady; prezenty, które miała przygotowane w torebce, mogły pomóc rozwiązać tym kobietom języki.

Kiedy podeszła do nich, umilkły natychmiast i obrzuciły ją wzrokiem. Ich twarze były nieodgadnione i zamknięte, oczy zimne, przypominały tamtą kobietę, która z widoczną wrogość-

cią wyjaśniała brak drzew w Tiergarten. Teddy miała nadzieję, że te trzy będą bardziej uprzejme.

- Bardzo przepraszam... chciałam poprosić o pomoc - powiedziała.

Kobiety wpatrywały się w nią, milcząc.

Nie dawała za wygraną. - Bitte... poszukuję przyjaciół albo informacji na ich temat... To małżeństwo, które znałam przed wojną. Mieszkali tam... - Wskazała ręką na Tiergartenstrasse. - W jednym z tych dużych domów. Pan Sigmund Westheim i pani Ursula Westheim. Mieli takiego ślicznego synka, nazywał się Maximilian.

Trzy pary oczu przewiercały ją na wylot, żadna z nich nie mrugnęła nawet powieką.

Teddy zwróciła się do najbliższej stojącej kobiety. - Może pani znała Westheimów.

- Nein.

- A pani? - zapytała Teddy kobietę w środku, która właśnie zaciągała się papierosem. Tamta wypuściła dym nosem i potrząsnęła głową. - Nein.

Teddy uznała, że nie ma już sensu pytać trzeciej. Te Trümmerfrauen okazały się bezużyteczne, nie pomogą jej.

Mimo to, po krótkiej chwili wahania, Teddy otworzyła torebkę i wyciągnęła paczkę papierosów.

- Proszę bardzo - podsunęła ją kobietom. Każda z nich wzięła po jednym papierosie, mruknęła „danke”, tylko to jedno słowo „dziękuję”, nic poza tym. Schowały papierosy do kieszeni.

- Muszę odnaleźć tych ludzi - zaczęła znowu z jeszcze większym naciskiem niż poprzednio, mając nadzieję, że tym razem odniesie sukces. - Jeśli wiecie coś o tych ludziach, cokolwiek, proszę, powiedzcie mi, bardzo proszę. - Po kolei wlepiła wzrok w każdą z nich, w jej oczach widniało błaganie.

Nastała chwila milczenia i wreszcie jedna z nich odezwała się; ta, która stała najdalej: - Tamten dom został zbombardowany jak wszystkie inne przy Tiergartenstrasse, przecież sama pani widzi. Nikt nie ocalał.

- A jednak kilka osób uratowało się - sprostowała inna i nie czekając na dalsze pytania wyjaśniła: - Jest taka kobieta, co pracuje na Lützowufer przy odgruzowywaniu. Znała masę ludzi, którzy mieszkali tu przed wojną. Może ona coś pani poradzi.

- Dobrze, pójdę do niej! - zawołała Teddy, ożywiona nową nadzieją. - Jak ona się nazywa? Jak ją poznam?

- Nie mam pojęcia, jak się nazywa, słyszałam tylko o niej - odparła ta najsympatyczniejsza z trójki. - Musi pani popytać o nią tu i tam. któraś z Trümmerfrauen pokaże ją na pewno.

- Dziękuję! Bardzo pani dziękuję! - Teddy nie posiadała się z radości. - Bardzo mi pani pomogła!

Szybkim krokiem ruszyła przed siebie, a zanim jeszcze dotarła do mostu wiodącego na drugą stronę Landwehrkanal, do Lützowufer, niemal biegła. Wreszcie przystanąła i dysząc ciężko rozejrzała się dokoła. Ku swemu rozczarowaniu musiała przyznać w duchu, że cała okolica jest jeszcze bardziej wyludniona niż Tiergartenstrasse. Wokół panowała głucha niesamowita cisza.

Teddy oddychała głośno, zastanawiając się, gdzie mogą być teraz owe Trümmerfrauen. Elizabeth zapewniała ją, że pracują przez siedem dni w tygodniu. Teddy postanowiła nie rezygnować; skoro już doszła tak daleko, powinna przeszukać wszystkie sąsiednie ulice. Drżąc z zimna otuliła się szczelniej płaszczem i ruszyła dalej. Mroźny wiatr dał od strony wody i Teddy zrozumiała po chwili, dlaczego nikogo nie ma na ulicy. Wiatr wzbijał z rumowisk tumany piachu, który osiadał na włosach, policzkach i ustach, wdzierał się w oczy. oślepiał.

Nie ma sensu kręcić się tu teraz, pomyślała, to jest jak burza piaskowa. Pójdę lepiej do domu. Zawróciła i skierowała się w stronę mostu. Żałowała już, że zdecydowała się na tę kolejną wyprawę. Jeszcze jedna pogoń za mirażem, jak wszystkie poprzednie, przyszło jej do głowy.

Ciszę przerwał nagle piskliwy głos dziecka, dobiegający gdzieś spośród ruin: - Tu, dziadku! Tu jeszcze jeden! Teddy zatrzymała się, powiodła dokoła wzrokiem. Nie dostrzegła nikogo, usłyszała za to głuchy kaszel, a potem męski, zachrypnięty głos: - Mamy już cały stos kafli' Wilhelmie. Dobrze nam dziś poszło.

- Ja, ja! - odpowiedział dziecięcy głosik, łamiący się z emocji.

Teddy nie miała pojęcia, skąd dochodzą owe głosy, ich brzmienie wskazywało jednak, że nie są zbyt odległe.

Natężyła wzrok i w tym samym momencie usłyszała ponownie kaszel mężczyzny: dobiegał z za sterty gruzu, nieco na prawo od niej. Domyśliła się, że tam właśnie pracuje mężczyzna z dzieckiem

Rezygnując z udeptanej ścieżki Teddy zapuściła się w rumowisko, brnąc po błocie i kamieniach. Szczęśliwie dotarła do

wzniesienia, obeszła je i przyspieszyła kroku, widząc przed sobą starszego mężczyznę i chłopca. - Bardzo przepraszam - zawołała.

Obaj znieruchomieli, zaskoczeni jej nagłym pojawieniem się na tej kamiennej pustyni; najwidoczniej nie słyszeli w ogóle, że ktoś nadchodzi.

Przez chwilę gapili się na nią, a potem mężczyzna zapytał wrogim, agresywnym głosem: - Kim pani jest? I czego pani chce?

Poczuła falę niepokoju, wywołanego tą wrogością, i czym prędzej wyjaśniła, chcąc załagodzić sytuację: - Jestem z innego miasta i szukam pewnej kobiety, która pracuje tu gdzieś na Lützowufer przy odgruzowywaniu.

- Po co?

- Jedna z Trümmerfrauen na Tiergartenstrasse powiedziała, że ona mogłaby mi pomóc.

Mężczyzna roześmiał się nieprzyjemnie. - W jaki sposób taka biedna kobiecina mogłaby pani pomóc? - Zmierzył ją wzrokiem, najwyraźniej taksując jej zadbane wygląd i eleganckie ubranie.

- Może udzieliłaby mi informacji o pewnych ludziach, którzy mieszkali tu kiedyś - mówiła Teddy. - Poszukuję tych ludzi. A kobieta, którą spodziewam się tu zastać... o ile wiem, znała tu wszystkich przed wojną.

- Możliwe - warknął mężczyzna. - Nic o tym nie wiem. Nie wiem też, o którą kobietę pani chodzi. Na tej ulicy pracuje ich wiele, widzi pani sama, ile tu roboty. Ale dziś nie przyszła żadna z nich, to chyba też widać, chyba nie jest pani ślepa! Niech pani już stąd idzie!

- A czy jutro przyjdą tu pracować? - zapytała cierpliwie Teddy.

- Skąd mam to wiedzieć! Nie jestem ich nadzorcą! - warknął znowu gniewnie i, jakby uznał rozmowę za zakończoną, zajął się układaniem zebranych kafelków.

Chłopiec, który do tej pory przysłuchiwał się im, nie spuszczał oczu z Teddy, otworzył nagle usta. - Bitte... - odezwał się żalnym głosem. - Czy ma pani coś do jedzenia? Jestem głodny... - Błagalnym gestem wyciągnął ku niej ręce i powtórzył: - Bitte... może ma pani... cokolwiek...?

Spojrzała na niego zaskoczona. Jego ciemne, zapadłe oczy odcinały się wyraźnie od drobnej, bladej twarzy; mimo woli pomyślała o Maximie. Ale ten chłopiec nie mógł równać się z Maximem: był niski, drobny i wychudzony, nawet

zamorzony głodem. Jego wiek oceniała na siedem lub osiem lat, miał jednak spojrzenie kogoś starszego, kogoś, kto widział już wiele i jest znużony życiem.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej tabliczkę czekolady i bez słowa podała ją chłopcu.

- Danke! - zawołał podniecony, rozrywając srebrzysty papier i łapczywie, oburącz, wepchnął sobie czekoladę do ust. Niemal natychmiast, po przełknięciu pierwszego kęsa, wyciągnął tabliczkę z powrotem, przełamał ją na pół i podał jedną część mężczyźnie. - Weź, dziadku, ty też jesteś głodny - mruknął.

- Danke, Wilhelm - uśmiechnął się tamten.

Teddy stała w bezruchu, obserwując, jak połykają czekoladę. Od jakiegoś czasu miewała mieszane uczucia, rozmyślając o Niemcach. Jej oczy spoczęły na starym mężczyźnie. Ciekawe, coś robił w „noc kryształową”, przyszło jej do głowy. Gdzieś był, kiedy moich rodaków zaganiano do pieców gazowych, do izb tortur lub do pociągów, którymi jechali na śmierć? Co byś teraz powiedział, gdybym zadała ci te pytania? Czy zaprzeczyłbyś, że byłeś faszystą? Czy tłumaczyłbyś się niewiedzą, twierdziłbyś, że nie miałeś pojęcia, w jak bestialski sposób traktuje się Żydów? **ALE PRZECIEŻ WYŚCIE WIEDZIELI O TYM, WIEDZIELIŚCIE O WSZYSTKIM!** Ty i każdy inny Niemiec, wiedzieliście doskonale o istnieniu obozów koncentracyjnych. Żaden Niemiec, który przeżył, nie może temu zaprzeczyć. Ciekawe, co byś zrobił, gdybyś dowiedział się teraz, że jestem Żydówką? Czy nadal zażerałbyś się moją czekoladą? Jadłbyś czekoladę, którą dostałeś z rąk parszywego Żyda?

Zdusiła w sobie te myśli natychmiast, nie chcąc, aby wymknęły jej się spod kontroli i rozbudziły w niej gniew, może nawet nienawiść. Ostatecznie nie każdy Niemiec był faszystą, przeciętny mieszkaniec tego kraju był bezsilny, nie miał szans, aby przeciwstawić się Hitlerowi i jego bandzie zbirów. Nikt też nie przypuszczał na początku, jak daleko posuną się ci zbrodniarze, nikt nie podejrzewał, że może dojść do masakry, milionów ofiar. Dla normalnych ludzi, bez względu na wyznawaną religię, systematyczne dokonywanie masowych mordów na całym narodzie wydawało się nie do pomyślenia, po prostu niemożliwe.

Teddy przeniosła wzrok na chłopca. Nie powinno się karać dzieci za grzechy ich ojców, pomyślała nagle. Otworzyła

ponownie torebkę, wyjęła z niej dwie pozostałe tabliczki czekolady, podała jedną chłopcu, a drugą jego dziadkowi. Zaskoczeni jej hojnością i uszczęśliwieni poczęli rozpląwać się w podziękowaniach. A potem mężczyzna uklonił się unieźnienie i wyjaśnił: - W soboty Trümmerfrauen zanoszą swoje cegły na plac składowy, dlatego nie ma ich tu. Dziś dostają wypłatę. Ale jutro przyjdą tu znowu. - Umilkł na chwilę, po czym dodał z nikłym uśmiechem: - Widzi pani, to jedyne miejsce, gdzie mogą iść.

- Proszę przyjść jutro - powiedział Wilhelm, pokazując w szerokim uśmiechu zęby umazane czekoladą.

- Dobrze, przyjdę - odparła. Zwracając się do mężczyzny, dodała: - Danke.

- My też dziękujemy, łaskawa pani - powiedział mężczyzna i uklonił się ponownie.

* * *

Nazajutrz, kiedy Teddy wróciła w to samo miejsce, na rumowisku pracowała tylko jedna kobieta. Teddy, nie tracąc czasu, podeszła do niej. - Guten Morgen.

Kobieta, która pchała właśnie stary wózek mleczarski, podniosła na nią wzrok, po czym ku zdumieniu i uldze Teddy uśmiechnęła się.

- Guten Morgen - odwzajemniła uprzejmie pozdrowienie. Zachęcona jej przyjazną postawą, Teddy kontynuowała:

- Mam nadzieję, że mogłaby mi pani pomóc.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko będę w stanie - odparła kobieta tak samo uprzejmie jak poprzednio.

- Wczoraj rozmawiałam z Trümmerfrauen pracującymi przy Tiergartenstrasse - wyjaśniła Teddy. - Poprosiłam je o pewne informacje na temat ludzi, którzy mieszkali tam przed wojną, a one poradziły mi, abym zwróciła się z tym do jednej z kobiet, która pracuje przy Lutzowufer i mogła ich znać, albo nawet wie gdzie oni się teraz znajdują.

- Co do mnie, znam wszystkie kobiety, porządkujące to rumowisko. Jak nazywa się ta, o którą pani chodzi?

Teddy wzruszyła ramionami. - W tym właśnie sęk, że nie znam jej nazwiska... - Uświadomiła sobie nagle, jak niedorzecznie musi teraz wyglądać jej prośba i umilkła.

Kobieta pochyliła się ponownie nad swoim zdezelowanym wózkiem, nakryła cegły kawałkiem linoleum, po czym

wyprostowała się i przechyliła nieco głowę, kierując na Teddy spojrzenie żywych, niebieskich oczu. - W takim razie nie mogę niestety pani pomóc - mruknęła.

Coś w jej głosie wydało się Teddy znajome, a może też sprawił to ów ruch głową, w każdym razie wpiła wzrok w starszą kobietę, czując, jak odżywają jakieś odległe wspomnienia.

Podobnie jak czyniły to inne Trümmerfrauen, również ta kobieta okryła sobie włosy chustą i zawiązała ją z tyłu niczym turban, miała też na sobie dziwaczne ubranie. A jednak, mimo znoszonego, połatanego płaszcza, mimo męskich, niezgrabnych butów na nogach, emanowało z niej coś wytwornego, pewne dostojeństwo, które nakazywało szacunek i pozwalało domyślać się u niej dobrych manier..

I nagle przyszło olśnienie, tak jakby w pamięci odchyliła się nieoczekiwanie właściwa szufladka. Teddy w ostatniej chwili zdusiła okrzyk, jaki zrodził się w jej krtani, odczekała chwilę, aby dojść do siebie, a potem, kiedy odzyskała już oddech, powiedziała powoli: - Właściwie, wydaje mi się, że to pani jest osobą, której szukam.

Kobieta zmarszczyła brwi. - Ja? - zapytała zdumiona. - O nie, to chyba nieporozumienie, z pewnością nie chodzi o mnie.

Ale Teddy pozbyła się już wszelkich wątpliwości, wiedziała, kogo ma przed sobą. - Owszem - szepnęła. - Wiem, kim pani jest. Pani też mnie zna. Jestem Teodora Stein, niania Maxima.

Kobieta zamarła w bezruchu, przez chwilę stała oniemiała, wreszcie wykrztusiła: - To ty, Teddy? To naprawdę ty? - Tak, to ja! - zawołała Teddy, rzucając się do przodu i ujmując oburącz popękane, spracowane dłonie najbliższej przyjaciółki Ursuli, księżnej Iriny Trubeckiej.

34

Stały, trzymając się za ręce i patrząc na siebie z niedowierzaniem. Nie usiłowały nawet ukryć przepełniającego je podniecenia; zdumienie i radość ze spotkania w tym zniszczonym, zrujnowanym przez wojnę mieście, rysowały się wyraźnie na ich twarzach.

Po chwili księżna postąpiła krok do przodu, objęła Teddy i obie kobiety trwały tak w uścisku pośród gruzów zalegających Lützowufer.

- Co z Maximem? - zawołała w końcu księżna. - Jak on się miewa? Czy wszystko w porządku? Na pewno jest już duży!

- Tak, rzeczywiście urósł - przytaknęła Teddy. - Jest najcudowniejszym chłopcem na ziemi, uczy się wspaniale w bardzo dobrej szkole w Anglii. - Wlepiała wzrok w księżną, odchrząknęła i zapytała głosem pełnym napięcia: - Przyjechałam do Berlina tak szybko jak tylko mogłam, aby odnaleźć jego rodziców. Czy pani wie, gdzie oni są? Uśmiech zniknął z twarzy Iriny. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- A kiedy widziała ich pani po raz ostatni, księżno?

- We wrześniu 1941 roku, kiedy przebywali na zamku von Tiegalów. Niedługo potem zachorowałam na bronchit. Kiedy poczułam się lepiej i pozwolono mi wychodzić z łóżka, dowiedziałam się, że już wyjechali.

- Może znaleźli gdzieś schronienie? Czy też po prostu opuścili zamek?

- Naprawdę nie wiem. To było... cóż, wszystko odbyło się tak jakoś tajemniczo.

- A von Tiegalowie... czy oni też nie wiedzieli, dokąd wyjechali ich goście?

Irina ponownie potrząsnęła głową, jej twarz posmutniała.

- Oni również zniknęli... tak jakby rozplynęli się w powietrzu. Teddy przeszywała ją czujnym i pytającym wzrokiem.

- Czy

zniknęli w tym samym czasie co Westheimowie? - zapytała.

- A może później?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nikt z nich nie przebywał w zamku w listopadzie 1941 roku, kiedy pojechałam tam w nadziei na spotkanie z nimi.

- W takim razie musiała wiedzieć coś na ten temat służba.

Pamiętam, że von Tiegalowie zatrudnili tam kilka osób, a Gretchen miała nianię, nazywała się Irmgard.

- To prawda. - Irina podeszła bliżej, spojrzała Teddy prosto w oczy. - Ale w 1941 roku wszyscy mężczyźni, zatrudnieni na zamku zostali wysłani na front, a kobiety do pracy w fabryce amunicji, albo do innych fabryk, zaopatrujących wojsko. Tamtego dnia w listopadzie, kiedy zjawiłam się na zamku, spotkałam jedynie starą dozorczynię. Powiedziała mi, że hrabia wrócił kilka dni wcześniej do Berlina i że znajdę ich w mieszkaniu. Mieli mieszkanie tu, przy Lützowufer, gdzie teraz stoimy. Niestety nie zastałam ich tam, nie było nikogo, nawet służby.

- I od tamtej pory von Tiegalowie nie pojawili się już nigdzie? Nigdy pani o nich potem nie słyszała? - zapytała cicho Teddy, nie odrywając oczu od twarzy starszej kobiety.

- Nie. Ani o nich, ani o Sigmundzie i Ursuli. Tamtego lata dom na Tiergartenstrasse został zbombardowany podczas nalotu i może dlatego nie wrócili już do niego. Pojechałam nawet do ich willi w Wannsee, aby trafić na jakiś ślad, ale i tamten dom wyglądał na opuszczony. Drzwi były zaryglowane, zamknięte okiennice.

- Ja też byłam w ich willi w ubiegłym tygodniu - powiedziała Teddy. - Zawiozła mnie tam moja znajoma, pani Anne Reynolds, która pracuje w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu. Nie oczekiwałam, że spotkam tam Westheimów, ale musiałam sprawdzić i ten ślad, dla własnego spokoju. Porozmawiałam z kobietą, która mieszka tam obecnie, ale nie dowiedziałam się od niej niczego. Twierdziła, że w ogóle nie zna żadnych Westheimów. Księżna kiwnęła głową i obrzuciła Teddy znaczącym spojrzeniem. - Ta willa została potem przejęta przez wysoko postawionego hitlerowca - mruknęła. - Takie rzeczy były wówczas na porządku dziennym. Grube ryby w III Rzeszy okradały wszystkich, kogo tylko się dało.

- Zwłaszcza Żydów - dopowiedziała Teddy. Zawahała się przez chwilę, po czym szepnęła łagodnie: - Ale proszę mi powiedzieć, księżno, czy naprawdę nie usiłowała pani wyjaśnić zagadki zniknięcia Westheimów i von Tiegalów? Nie próbowała pani dowiedzieć się czegoś na ten temat... choćby poprzez ruch oporu, jakieś organizacje podziemne?

- Ja sama byłam członkiem takiej organizacji, Teddy, i oczywiście chciałam ustalić, czy moi przyjaciele zdołali

opuścić Niemcy, czy też wpadli w łapy gestapo. Nie udało mi się jednak niczego dowiedzieć, ani mnie, ani moim znajomym. Nie mieliśmy szczęścia. Ale uwierz mi, Teddy, nie było w tym nic nadzwyczajnego, że ludzie przepadali wówczas bez śladu. W ten sposób znikало wielu, znikaly miliony. I te miliony nadal przebywają nie wiadomo gdzie, ich los w każdym razie jest nieznanym.

- A co z resztą rodziny Westheimów? Czy ma pani o nich jakieś wieści?

- Pani Westheim, matka Sigmunda, zmarła na wiosnę 1940 roku. Była to śmierć naturalna, atak serca. Od jakiegoś czasu chorowała, nie czuła się najlepiej. Tego samego roku Sigrid i jej mąż, Thomas Mayer, zginęli podczas nalotu bombowego, kiedy byli w Hamburgu, a biedna Hedy siedziała w domu przy Tiergartenstrasse, akurat wtedy, gdy latem 1941 roku trafiła w niego bomba. O ile wiem, zginęła na miejscu wraz ze służbą.

Teddy stała jak skamieniała, wpatrując się w Irinę, niezdolna teraz powiedzieć cokolwiek. Ogarnęło ją przygnębienie, do oczu napłynęły łzy, kiedy pomyślała o ciotkach Maxima

I o Thomasie, jego wujku. Byli jeszcze tacy młodzi, żadne z nich nie przekroczyło trzydziestki.

Westchnęła ciężko. - Jakie to smutne, że oni nie żyją - szepnęła. - Co do babci Westheim, byłam właściwie pewna, że nie przeżyje wojny, jej wiek i stan zdrowia... można się było tego spodziewać... Ale inni... W głębi duszy miałam nadzieję, że przynajmniej jedno z nich doczeka pokoju... O Boże, jakie to wszystko okropne!

- Tak, wiem o tym, niestety. - Księżna pokręciła głową, jej twarz wyrażała bezmierny smutek. - Nikt z nas nie chciał tej wojny! - wykrzyknęła, dając upust nagłej fali gniewu. - Rozpoczął ją szaleniec, a była przecież tak bezsensowna, tak niepotrzebna. Nie powinna być w ogóle się wydarzyć! Tymczasem ot! Przetoczyła się po całym świecie. A skutki? Miliony zabitych albo okaleczonych na resztę życia, zniszczone miasta w ten czy w inny sposób... i takie straty... tyle ofiar... tyle ludzi odeszło... na zawsze...

Teddy spoglądała gdzieś w dal, w jej głowie kłębiły się posępne myśli. W pewnej chwili obróciła się twarzą do księżnej. - Muszę przyznać, że nie wiem już, co robić - szepnęła z rozpaczą w głosie. Urwała, bezradnie wzruszając ramionami. - Byłam już we wszystkich właściwych agencjach, w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu, w organizacjach żydowskich i syjonistycznych,

nawet u kwaków. Przejrzałam już tyle list, nazwisko po nazwisku, nie natknęłam się jednak na nich ani na Westheimów, ani na Tiegalów. To dziwne, to zupełnie bez sensu... jak to możliwe, że tak po prostu... zniknęli?

- Mówiłam już, Teddy, wielu zniknęło w ten sposób.

- Księżna dotknęła lekko jej ramienia i powiedziała: - Ale nie stójmy tak, wejdźmy lepiej do mojego mieszkania, jest małe, ale można w nim porozmawiać. - Odwróciła się, chwyciła swój stary wózek i popchnęła go, powtarzając:

- Pójdziemy do mnie. Trudno to nazwać eleganckim apartamentem, ale mam za to dach nad głową. I na pewno będzie nam tam cieplej niż tu.

- Tak, to najchłodniejszy dzień od czasu, kiedy przyjechałam do Berlina - potwierdziła Teddy, stąpając ostrożnie po kamieniach i rozglądając się za domem, o którym wspomniała Irina. Nie dostrzegła jednak niczego, co mogłoby służyć za mieszkanie, nawet najbardziej skromne.

- Gdzie pani teraz mieszka, księżno? - zapytała wreszcie.

- Gdzie jest pani dom?

- Och, stąd nie widać go jeszcze - odparła Irina i zaniósła się krótkim, dziwnym śmiechem. - Ja nazywam to domem, ale właściwie mieszkam w norze, pod ziemią.

Teddy powstrzymała się od odpowiedzi; była tak zaszokowana, że zabrakło jej słów.

Kilka metrów dalej księżna zatrzymała się i wskazała ręką na widniejący nie opodal lej.

- Oto moja jama! Tam właśnie mieszkam... niczym jaskiniowiec. - Zerknęła kątem oka na Teddy i mówiła dalej:

- Proszę się nie niepokoić, to brzmi o wiele gorzej niż wygląda. Hmm... te cegły zostawię na razie na zewnątrz, zajmę się nimi trochę później.

Podciągnęła wózek pod stos odpadków, usypany w pobliżu jamy, uklękła i poczęła obkładać kamieniami jego przednie koła.

Teddy uczyniła to samo, nie chciała bowiem stać bezczynnie, a potem spojrzała na Irinę: - Księżno? -Tak?

- Dlaczego zdecydowała się pani zbierać cegły?

Irina Trubecka zwróciła na Teddy spojrzenie swoich błękitnych, dumnych oczu. - Ponieważ nie mam nic innego do roboty - odparła po prostu. Westchnęła lekko, po czym wyjaśniła: - A zresztą dostaję za te cegły pieniądze i dodat-

kowy przydział żywności. - Uśmiechnęła się. - No i jest jeszcze jeden powód. Zbierając cegły mam wrażenie, że robię coś pożytecznego i wartościowego, coś, co przyda się w przyszłości. Z odzyskanych cegieł będzie można odbudować kiedyś Berlin. Dzięki temu mamy jakiś cel w życiu, ja i inne podobne do mnie kobiety.

- Rozumiem. - Teddy skinęła w zadumie głową. - Rozumiem, co pani ma na myśli. - Mimo woli jednak pomyślała o tym, jak inaczej ułożyłoby się życie księżnej, gdyby nie doszło do wybuchu rewolucji bolszewickiej. Przecież matka Iriny, księżna Natalia, pochodziła z rodu Romanowów, była kuzynką cara Mikołaja, a więc Irina mogłaby wieść wygodne, dostatnie życie na dworze rosyjskim. Z całą pewnością nie musiałaby włóczyć się po ruinach Berlina, zbierać cegieł i mieszkać w ziemiance.

Księżna podniosła się z klęczek, spojrzała na Teddy, która nadal siedziała na ziemi, pogrążona w myślach, i zawołała: - Chodźmy! - Podeszła do wykopu i po chwili zniknęła z pola widzenia.

Teddy zdusiła okrzyk przerażenia, skoczyła na równe nogi, podbiegła nad skraj jamy i z lękiem spojrzała w dół: na dno prowadziły kamienne schodki. Były częściowo zniszczone, najwidoczniej uszkodzone przez bomby. Księżna schodziła po nich ostrożnie, przytrzymując się ręką ścian wykopu. Teddy odetchnęła głęboko i podążyła za nią.

- Te schody wiodły z kuchni do piwnicy w domu mego ojczyma - poinformowała ją Irina. - I tylko one ocalały z rezydencji barona, jak pani widzi, jeśli nie liczyć mego mieszkania, które znajduje się tuż za tymi drzwiami, o tu.

35

Księżna wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła ciężkie, drewniane drzwi. - Proszę poczekać chwilę, Teddy, zapalę tylko lampę - powiedziała i weszła do środka.

Niebawem zawołała: - Może już pani wejść, Teddy, proszę bardzo.

Teddy przestąpiła próg i znalazła się w małej piwnicy. Jedynym źródłem światła były tu lampy naftowe, których

jaskrawe płomyki wydobywały z mroku tylko część wnętrza. Teddy zmrużyła oczy, aby przyzwyczać wzrok, i nie kryjąc ciekawości rozejrzała się dokoła.

Piwnica umeblowana była nadzwyczaj skromnie. Pod tylną ścianą znajdowała się stara, sfatygowana sofa o zapadłych sprężynach, po obu jej stronach stały małe, ciemne stoliki z lampami. Dwa fotele zwrócone były przodem do sofy, a pośrodku tego wszystkiego znajdowała się duża, drewniana skrzynia, nakryta koronkową serwetą; najwidoczniej służyła jako stolik, przy którym Irina pijała kawę. Do drugiej ściany przystawiony był staroświecki kredens, pamiętający z pewnością lepsze czasy, w nim mieściły się książki, gruba, biała świeca w ozdobnym, drewnianym lichtarzu, oraz kilka wyszczerbionych filiżanek i talerzy z białej porcelany.

Widać było, że księżna zrobiła wszystko co możliwe, aby uczynić z piwnicy pomieszczenie w miarę ciepłe i przytulne, namiastkę prawdziwego domu: cementową podłogę ozdobił wyblakły, przetarty tu i ówdzie dywan, na sofie obitej granatowym brokatem leżały zużyte, upstrzone plamami poduszki, a sprany, bezbarwny już koc okrywał jeden z foteli. Na skrzyni stał słoik po dżemie z niewielkim bukietem sztucznych kwiatów. W tej mało przekonującej imitacji normalności było coś nad wyraz rozrzewniającego i Teddy poczuła, że coś dławi ją w gardle.

Księżna nie spuszczała z niej oczu. Przeszła na środek piwnicy i nieco szorstkim głosem zauważyła: - Nie jest to nic specjalnego, wiem, ale większość berlińczyków nie ma nawet tego. Cała masa ludzi włóczy się po mieście, trzymając swój dobytek w papierowych torbach i nocując wśród ruin, gdzie popadnie. Ja mogę cieszyć się tym, co mam. Jest tu sucho, ciepło i - co najważniejsze - bezpiecznie. Nie jest pani chłodno, Teddy? Jeśli tak, zapalę kuchenkę, doleję tylko trochę nafty.

- Nie, nie! - zawołała Teddy. - Niech jej pani nie marnuje, przyda się później. Mam ciepły płaszcz, nie będzie mi zimno.

- Dobry pomysł - powiedziała księżna. - Ja też zostanę w płaszczu. - Zachichotała, spoglądając na męskie palto, które miała na sobie, wyświechtane już i zbyt obszerne. Otuliła się nim szczelniej i dodała: - Nosił je mój ojczym. Wiem, wyglądam w nim okropnie, ale przynajmniej jest ciepłe. - Wskazała ręką na krzesło. - Bardzo proszę, Teddy, niechże pani usiądzie. Chętnie poczęstowałabym panią czymś, ale nie

bardzo wiem nawet, co mogłabym zaoferować. Zaraz zobaczę, co mi zostało.

- Bardzo dziękuję, księżno, naprawdę, proszę nie zawracać sobie tym głowy - powiedziała stanowczo Teddy.

Usiadła, zdjęła rękawiczki i wsunęła je do kieszeni płaszcza, po czym rozwiązała długi, kraciasty szal, zostawiając go jednak na szyi.

Irina usiadła naprzeciw niej na sofie i machnęła ręką w powietrzu. - Dawniej mieścił się tu cały skład, baron trzymał w tym pomieszczeniu srebra, porcelanę i różne inne wartościowe rzeczy - wyjaśniła. - Tędy - wskazała na drzwi obok kredensu - wchodziło się do piwnicy po wino, ale dziś nie ma tam ani jednej butelki. Nie przetrzymały nalotu. Za to ja mam wygodną sypialnię.

Teddy przyglądała się wszystkiemu z dużym zainteresowaniem. - A te meble? - zapytała. - Wyciągnęła je pani z gruzów?

- O nie, z naszego domu nie zostało prawie nic, przecież alianci bombardowali miasto codziennie przez prawie trzy miesiące. To, co pani widzi, było tu już wcześniej. Ojczym przerobił piwnicę na schron przeciwlotniczy dla nas i służby jeszcze w 1940 roku. Tak więc moje mieszkanie czekało na mnie, a ja przeniosłam się tu, kiedy bomba trafiła w dom.

- A baron... a księżna Natalia...? - Teddy urwała, przyszło jej raptem do głowy, że nie powinna kończyć tego pytania. Nie chciała sprawić Irinie przykrości; może jej matka i ojczym zginęli?

Domyślając się, na czym polega jej dylemat, Irina wyjaśniła pośpiesznie: - Wszystko w porządku, oboje miewają się dobrze, dzięki Bogu. Matka i ojczym zamieszkali w domku ogrodnika na terenie jednej z posiadłości barona, niedaleko Baden-Baden. Zamek jest oczywiście na razie nieczynny... bez służby, opału i różnych zapasów nie można inaczej.

- To wspaniała wiadomość! Cieszę się, że są zdrowi i że nie spotkało ich nic złego. - Teddy rozejrzała się po wilgotnej, posepnej piwnicy i zapytała cicho: - Ale czy nie byłoby lepiej, księżno, gdyby zamieszkała pani razem z nimi, na wsi?

- Ależ skąd! - Irina potrząsnęła gwałtownie głową. Na samą myśl o takiej perspektywie zmarszczyła brwi, ale potem nieoczekiwanie roześmiała się i wyjaśniła: - To osobliwa para, ta rosyjska księżna i pruski baron. Są jak... papużki-nierozłączki... tak, to chyba najbardziej trafne określenie. I jestem pewna, że wolą teraz być sami. Zresztą ten domek ogrodnika

jest niewielki, a troje ludzi, jak to mówią, to już tłum.

- Irina usiadła wygodniej, opierając się plecami o ścianę i krzyżując swoje długie, smukłe nogi. - Ja zaś wolę być w Berlinie, gdzie coś się dzieje, mimo iż życie nie jest tu proste. No i przynajmniej nie przebywam w sektorze rosyjskim.

- Pani Reynolds mówiła mi, że w strefie czerwonych nie jest bezpiecznie, zwłaszcza dla kobiet.

- A tym bardziej dla takich Rosjanek jak ja, nie popierających rewolucji! Wyobrażasz sobie, jak by mnie potraktowali bolszewicy!?! - zawołała Irina. - Kiedy w maju zdobyli Berlin, byłam chora ze strachu. Ukrywałam się tu przez kilka tygodni, aż wreszcie nadeszli Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie, aby zająć swoje strefy... Ale dosyć już na dziś, najważniejsze, że teraz nic mi nie grozi.

Teddy zastanawiała się jeszcze nad czymś przez chwilę.

- Widzę jednak, że nie jest pani łatwo - powiedziała w końcu.

- Mimo iż ma pani dach nad głową. Wiem, jak tu teraz krucho z żywnością, chętnie przyniosę jutro trochę przysmaków. Jestem pewna, że pani Reynolds ucieszy się, mogąc pomóc, zwłaszcza jeśli powiem jej o pani sytuacji.

- Dziękuję bardzo, Teddy, ale to zbyteczne. Dam sobie jakoś radę, a w razie potrzeby zawsze mogę jeszcze wybrać się do Tiergarten.

- Do Tiergarten? - powtórzyła Teddy, patrząc ze zdumieniem na księżną.

- Tak, w parku jest teraz bazar, działa na zasadzie czarnego rynku - wyjaśniła Irina. - Za odpowiednią cenę można tam dostać masło, kawę, herbatę, czekoladę, papierosy i pastę do zębów... wiele rzeczy.

- Mimo to chciałabym przynieść pani trochę produktów. To dla mnie żaden kłopot, naprawdę. Chcę pomóc w jakiś sposób, proszę mi nie odmawiać - błagała.

- Dobrze, Teddy, bardzo dziękuję. - Księżna z wdziękiem skłoniła głowę i uśmiechnęła się. - To bardzo, bardzo miło z pani strony. W tak ciężkich czasach trzeba nieraz skorzystać z uprzejmości przyjaciół.

- Ja też mam w Londynie cudownych przyjaciół - oświadczyła Teddy. - Właśnie oni pomogli mi przyjechać do Berlina, tak abym mogła zająć się poszukiwaniem państwa West-heimów. A pani, księżno, czy ma pani dobrych przyjaciół? Tu, w Berlinie.

- Owszem, ale nie więcej niż dwie osoby. Niestety... mówię to z prawdziwym smutkiem, większość moich przyjaciół nie przeżyła wojny. - Irina odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, a kiedy otworzyła je po chwili, były pociemniałe z udreki i lśniące od łez.

Cierpienie rysowało się teraz tak wyraźnie na jej twarzy, bladej i ściągniętej w blasku lamp naftowych, że Teddy poczuła wzburzoną w niej żal. - Tak mi przykro - szepnęła. - Tak bardzo mi przykro!

- Moi przyjaciele zostali wymordowani, straszliwie wymordowani... - Głos Iriny zadrżał, załamał się i ucichł.

Szlochała teraz bezgłośnie, dając upust bezbrzeżnej rozpacz, a potem wyciągnęła z kieszeni jakąś pomietą szmatkę i wytarła oczy.

- Przepraszam - powiedziała, zmuszając się do nikłego uśmiechu. - Myślałam, że jestem silna, ale wzruszyła mnie pani dobroć, a kiedy pomyślałam o moich biednych przyjaciółkach...

- Znowu umilkła i zamknęła oczy, a potem westchnęła, jak gdyby nie mogła już znieść przepelniającego ją smutku.

Teddy wpatrywała się w księżną, czekając aż odzyska równowagę ducha; wiedziała, że nie ma takich słów, jakimi mogłaby ją pocieszyć. Ponownie pomyślała o ciężkim, bolesnym życiu, jakie stało się udziałem tej rosyjskiej arystokratki. Obserwując Irinę w nikłym świetle lamp naftowych, dostrzegła regularne rysy, idealny układ ust i kształt podbródka, gładkie, wysokie czoło i symetryczną linię kasztanowatych brwi nad zaskakująco niebieskimi oczami. W kącikach oczu i ust tworzyły się już pierwsze nikłe zmarszczki, nadal jednak była piękną kobietą. Teddy oceniała ją na trzydzieści trzy, trzydzieści cztery lata, ale wyglądała na nieco starszą. Nic dziwnego, po tym wszystkim, co przeszła, pomyślała znowu Teddy.

Księżna wyprostowała się nagle na sofie i obrzuciła Teddy szybkim spojrzeniem. - Kurt von Wittingen i ja działaliśmy wspólnie w ruchu oporu. Mieliśmy dobrego przyjaciela, admirała Canarisa - szepnęła. - Tak, Wilhelm Canaris. To on pomógł Ursuli, Maximowi i pani wyjechać z Niemiec. Wiedziała pani o tym?

- Tak. Od pani Westheim.

- Wilhelm Canaris nie żyje - poinformowała ją cicho Irina.

- Nienawidził Hitlera, czuł odrazę do wszystkiego, co reprezentował ten zbrodniarz. I zapłacił życiem za swoje przekonania. - Spoglądała teraz w jakiś odległy punkt w piwnicy,

oddając się wspomnieniom, i upłynęła długa chwila, zanim zaczęła mówić dalej: - Admirał Canaris wziął na siebie niewiarygodne ryzyko, decydując się na wspieranie ruchu oporu, na udzielanie pomocy ofiarom faszyzmu, którym my za wszelką cenę chcieliśmy ocalić życie... - Ponownie urwała, nie kończąc zdania.

Teddy zauważyła wyraz udręki na twarzy Iriny; odgadła nagle, że księżna ukrywa jakąś straszliwą tajemnicę.

Przeszedł ją dreszcz, z zapartym tchem czekała na dalsze jej słowa.

Ta zaś nieoczekiwanie poderwała się z sofy, podeszła do kredensu, wysunęła szufladę i wyciągnęła z niej paczkę papierosów, odwróciła się do Teddy i zapytała: - Czy pani pali? Proszę się poczęstować.

Teddy potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję. Ale mam coś dla pani, proszę. - Otworzyła torebkę i wyjęła paczkę Lucky Strikes, po czym położyła ją na skrzyni, tuż obok słoika z kwiatami z wyblakłego jedwabiu. - Nie wiedziałam, że pani pali... dałabym je już wcześniej.

- Bardzo dziękuję, Teddy - szepnęła Irina, przyjmując z wdzięcznością mały, lecz jakże cenny prezent. Wróciła na sofę, zapaliła papierosa i zaczęła opowiadać o Wilhelmie Canarisie.

- Admirała aresztowano latem w 1944 roku, oskarżono go

o zdradę III Rzeszy. - Umilkła na chwilę, aby zaciągnąć się łapczywie, po czym dodała ciszej: - Został powieszony w obozie koncentracyjnym w Flossenburgu, w kwietniu tego roku. Było to, jak na ironię, tuż przed wyzwoleniem obozu przez aliantów.

- Czytałam o tym w gazetach. Jaka szkoda, że Amerykanie przybyli tam za późno, aby go uratować! To naprawdę straszne! - Teddy umilkła, rozpamiętując ponownie śmierć tego dzielnego człowieka.

Również księżna wpadła w zadumę. Siedziała tak przez dłuższą chwilę, otulona kłębamii dymu z papierosa, a potem odetchnęła głęboko i powiedziała wolno, dobitnie, akcentując każde słowo: - Mam nadzieję, że w Anglii zaczynają już rozumieć, iż w Niemczech była pewna ilość dzielnych ludzi, którzy ze wszystkich sił walczyli przeciw Hitlerowi i jego bandzie, próbując ich powstrzymać. Ludzi prawych i godnych uznania, którzy chcieli ocalić innych przed reżimem, tyranią

1 złem, którzy robili wszystko co możliwe, aby obalić Hitlera i faszyzm, i którzy zginęli z tego powodu.

- Tak, teraz Anglicy wiedzą o tym - zapewniła ją Teddy.

- Sama czytałam ostatnio kilka artykułów o niemieckim ruchu

oporu. Prasa brytyjska nazywa admirała Canarisa bohaterem.

- Bo był nim naprawdę.

- Maxim i ja zawdzięczamy mu życie - szepnęła Teddy.

- Tak, to prawda. Ale również inni ludzie pomagali wam wydostać się z Niemiec. Czy pamięta pani tego pułkownika, który jechał z wami w przedziale od Berlina aż do Aachen?

- Oczywiście, to pułkownik Oster. Pani Westheim powiedziała mi o nim, kiedy tylko pociąg znalazł się w Belgii.

- Pojechał z wami, aby mieć na was oko, upewnić się, że jesteście bezpieczni i że udało się wam przekroczyć granicę. Był prawą ręką admirała, obu łączyło wiele, a zwłaszcza nienawiść do hitlerowców.

Zgasiła papierosa i odchyliła się do tyłu, splatając ręce na brzuchu. Opuściła na nie wzrok. Wydarzenia ostatnich lat były nadal żywe w jej pamięci, najwidoczniej nie mogła ich stamtąd wymazać. Nie podnosząc oczu, zaczęła opowiadać: - W 1944 roku zawiązano spisek, aby dokonać zamachu na Hitlera... proszę sobie wyobrazić, w ubiegłym roku... Ale teraz wydaje się to już tak dawno temu, może dlatego, że od tamtej pory wydarzyło się tak wiele.

Nazwano to „spiskiem 20 lipca”. Niestety, wszystko poszło na opak, Hitler został tylko ranny, a nie zabity, jak to było w planie, mimo iż hrabia Klaus von Stauffenberg umieścił teczkę z bombą zaledwie trzy i pół metra od niego. Hitler przeżył, niestety schwytano kilku spiskowców. Pułkownik von Stauffenberg został rozstrzelany tego samego dnia... o północy, na dziedzińcu przed Ministerstwem Wojny.

Księżna sięgnęła po drugiego papierosa i kontynuowała:

- Gestapo, przekonane o współudziale Oстера w tym zamachu, aresztowało go w tym samym miesiącu.

Przesłuchiwany był w ich kwaterze głównej na Prinz-Albrecht-Strasse i z pewnością straszliwie torturowany.

Byliśmy pewni, że oni wszyscy byli torturowani...

- A kim byli ci inni? - zapytała szeptem Teddy.

- Adam von Trott zu Solz, Gottfried Bismarck, Fritz Schulenberg... trudno wymienić wszystkich. Żaden z nich nie załamał się podczas tortur, nie wymienił nazwisk, nie wydał nas... - Irina spojrzała Teddy prosto w oczy i oświadczyła:

- Byłam związana ze spiskowcami, współpracowałam z nimi ściśle, ale nigdy nie zostałam aresztowana. Zginęli, osłaniając mnie i wiele innych osób, mężczyzn i kobiet.

- Och, księżno, wykazała pani wielką odwagę! Przecież oni mogli panią zabić! - zawołała Teddy. Przypomniała sobie teraz, że Irina zawsze sprawiała wrażenie osoby niezależnej i dzielnej, a Ursula nazywała ją nawet kobietą heroiczną.

Irina kiwnęła głową. - Tak, mogłam zginąć - przyznała. - Ale nie zginęłam, przeżyłam. Po to, aby oplakiwać innych. W piwnicy zaległo milczenie.

Teddy poczuła nagle chęć dowiedzenia się czegoś o księciu Kurcie von Wittingen, chciała zapytać o jego losy, ale zanim jeszcze otworzyła usta, Irina znowu zaczęła mówić; wyglądało na to, że zrzuca z siebie niezmiernie dokuczliwe brzemię.

- Tak wielu moich przyjaciół zostało straconych pod koniec wojny - szepnęła. - Niektórzy zginęli w okropny sposób, aż trudno o tym myśleć. Adam von Trott został powieszony na strunie od fortepianu, którą zaczepiono na haku rzeźniczym. Było to w więzieniu w Plötzensee w sierpniu ubiegłego roku. Umierał bardzo długo. Teddy, czy może pani to sobie wyobrazić? Ci oprawcy robili zdjęcia i filmowali sceny egzekucji na hakach rzeźniczych, aby pokazać je potem Hitlerowi! Co za sadyści! Hans Oster został powieszony w kwietniu tego roku w Flossenburgu, w tym samym czasie co admirał Canaris. Serce mi się kraje, kiedy o nich myślę. Nigdy nie zapomnę żadnego z nich, dopóki żyję.

Teddy była tak wstrząśnięta tym, co usłyszała, że przez długą chwilę nie była w stanie wykrztusić nawet słowa. W końcu zauważyła zdławionym głosem: - Jaka to strata, jaka tragiczna strata, że tacy ludzie musieli zginąć! Świat powinien dowiedzieć się o tych zbrodniach, tak jak dowiedział się o istnieniu obozów koncentracyjnych. Chociażby po to, żeby nie dopuścić już nigdy do powtórzenia się tego wszystkiego!

Irina odetchnęła głęboko. - Dobrze przynajmniej, że Hitler nie żyje. Chociaż ja osobiście żałuję, że udało mu się popełnić w bunkrze samobójstwo na dwa tygodnie przed kapitulacją, że nie mógł zostać aresztowany przez aliantów i osadzony jak należy za zbrodnie przeciw ludzkości, tak jak inni przestępcy wojenni. Za miesiąc rozpoczyna się proces w Norymberdze, a trybunał międzynarodowy będzie reprezentowany przez cztery mocarstwa.

Sprawiedliwości musi stać się zadość. Musi. W imię tych milionów, które zginęły. I po to, żeby pokazać, że tamci nie oddali swego życia na próżno.

- I tak się też stanie, jestem tego pewna - oświadczyła Teddy z zawziętą miną. - Zbrodniarzy osiągnie kara, to co zrobili

nie ujdzie im płazem. Jeszcze zawisną na szubienicy. Chociaż, moim zdaniem, nie zasłużyli na tak łagodny wyrok jak szubienica.

- Oko za oko, ząb za ząb... - mruknęła Irina, jakby do siebie samej.

Teddy nachyliła się do przodu i zapytała drżącym głosem:

- Nie powiedziała pani jeszcze ani słowa o księciu von Wittingen... Chyba nie został schwytany i stracony jak tamci, prawda?

- W każdym razie nie przez hitlerowców. - Błękitne oczy Iriny pociemniały, nerwowo zaciągnęła się papierosem i dopiero potem zaczęła wyjaśniać dalej: - Tak naprawdę, Teddy, nikt nie wie, co się z nim stało. Kurt był w Berlinie tego lata. Ja nie widziałam go, to prawda, ale spotkał się z nim Wolfgang Schröder, jeden z członków naszej grupy oporu. Kilka dni później widział go po raz drugi: Kurt rozmawiał wtedy z jakimiś oficerami rosyjskimi w tej części Berlina, która dziś nazywa się strefą wschodnią. Od tamtej pory nikt już nie zobaczył Kurta. Po prostu zniknął bez śladu.

- Podobnie jak Westheimowie i von Tiegallowie.

Irina w pierwszej chwili pozostawiła to bez odpowiedzi. Popatrzyła gdzieś w dal, a potem szepnęła: - To niezupełnie to samo.

- Sądzi pani, że księżę nie żyje?

- Nie można tego wykluczyć. Kiedy nie pojawił się nigdzie pod koniec wojny, przyszło nam na myśl, że może został ranny w trakcie ostatnich walk. Zresztą walki nadal trwały, nawet po zdobyciu miasta przez Rosjan. Zaczęliśmy szukać go po szpitalach, przetrząsnęliśmy cały Berlin, przepytaliśmy kogo się dało. Poszukiwania prowadził też Dieter Müller, członek naszej organizacji, jednak nasze starania okazały się bezowocne. Nigdy nie odnaleźliśmy Kurta. Ani jego ciała.

- A czy... czyjego ciało nie może leżeć gdzieś pod gruzami?

- zapytała Teddy, przypominając sobie, co mówiła jej Anne Reynolds o zwłokach odnajdywanych w ruinach i wylawianych z rzeki.

- Tego też nie możemy wykluczyć. Ale Dieter Müller ma na ten temat własne zdanie. Jest przekonany, że Kurt został aresztowany przez tych oficerów rosyjskich, z którymi widział go Wolfgang Schröder. Może stało się to właśnie wtedy.

Teddy siedziała nieruchomo na fotelu. Chłoneła każde słowo księżnej, a w głowie roilo się jej od pytań, zadała jednak

tylko jedno, to najistotniejsze. - Dlaczego Rosjanie mieliby aresztować księcia Kurta von Wittingen?

- Może dlatego, że uważali go za szpiega - zasugerowała Irina, unosząc lekko brwi. A ściślej mówiąc, za szpiega pracującego dla Amerykanów, co czyniłoby z niego wroga Związku Radzieckiego. Wie pani, bolszewicy są pod tym względem wyjątkowo obłąkani, zwłaszcza w odniesieniu do Ameryki. Takie rozumowanie wszczepił im ich przywódca, Józef Stalin, jeszcze jeden tyran o rękach splamionych cudzą krwią.

- A pani? Jak pani myśli? Czy księżę został aresztowany?

- Naprawdę nie mam pojęcia, Teddy. Chciałabym wiedzieć, ale nie jestem w stanie zdobyć odpowiednich informacji.

- Któs go dnia poszłam obejrzeć dom von Wittingenów... Pani z pewnością już wie, że jest tam dziś tylko kupa gruzów. Teraz to typowy obrazek w Berlinie. A księżna Arabella przebywa w Zurychu?

- Tak. Latem przyjechała do Berlina, tak szybko jak tylko mogła, ale nie miała tu czego szukać: Kurt zniknął, dom był zniszczony. A więc wróciła natychmiast do Szwajcarii wraz z Dianą i Christianem.

- Tak też myślałam.

- Arabella jest... jakby to powiedzieć... nie jest już sobą. Odkąd Kurt przepadł bez śladu, jej umysł... czasem szwankuje.

Teddy załamała ręce. - To okropne! Biedna kobieta!... Ale przynajmniej ma przy sobie dzieci.

- To prawda. Diana i Christian są dla niej olbrzymią pociechą.

Milczały przez chwilę, oddając się własnym rozmyśleniom. Pierwsza odezwała się Irina. - Boże, rozprawialiśmy o samych smutnych sprawach. I bolesnych. To moja wina, to ja mówię przez cały czas. - Wyprostowała się na sofie i zawołała: - A przecież nie widziałyśmy się przez sześć długich i ciężkich lat, chciałam właściwie dowiedzieć się czegoś o pani i Maximie, o tym jak wam się powodzi w Londynie. Musi mi pani opowiedzieć o wszystkim, z najdrobniejszymi szczegółami!

- Dobrze - obiecała Teddy i po raz pierwszy, odkąd tu przyszły, uśmiechnęła się pogodnie. - Rzeczywiście mam dużo do opowiedzenia. - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła niewielką paczuszkę. - Mam tu parę pięknych zdjęć z Maximem. Przywiozłam je dla jego rodziców. Będą dumni, kiedy zobaczą

go wreszcie na własne oczy. To wspaniały chłopiec. I jak wyrósł!

Irina nie mogła wypowiedzieć nawet słowa.

Wstała i nieco chwiejnym krokiem podeszła do kredensu. Ręce jej drżały, kiedy wysunęła szufladę, udając, że czegoś szuka. Musiała zrobić wszystko, co tylko możliwe, aby Teddy nie dostrzegła na jej twarzy lęku. Ani łez, które nagle napłynęły jej do oczu.

36

Było późne popołudnie następnego dnia, kiedy Teddy wróciła do piwnicy na Liitzowufer.

Księżna najwidoczniej czekała już na nią, gdyż natychmiast po pierwszym puknięciu otworzyła drzwi, aby powitać serdecznie swego gościa i wprowadzić do „mieszkania”, jak uparcie nazywała piwnicę.

Dla Teddy była to tylko nędzna nora, ciemna, wilgotna, stęchła i niezdrowa, nie potrafiła sobie wyobrazić, aby w czymś takim można było mieszkać - a zwłaszcza, aby mogła tu mieszkać księżna Irina Trubecka. Poprzedniego wieczoru, po powrocie do domu, przeprowadziła długą rozmowę z Anne Reynolds, która obiecała w końcu zainteresować się losem księżnej i w miarę możliwości pomóc jej. Teddy odetchnęła z ulgą; ta obietnica uradowała ją.

Irina zdążyła nagrzać w piwnicy, która dzięki temu nie wydawała się już tak zimna i wilgotna jak wczoraj, mimo iż dzień był deszczowy. Świeca i dwie lampy naftowe płonęły jasno, dając iluzoryczne wrażenie ciepła i przytulności.

Teddy zdjęła płaszcz, a Irina zaproponowała: - Pomyślałam sobie, że dobrze by nam zrobił kieliszek wódki.

Strasznie dziś zimno. - Wskazała ręką na kredens, a potem starannie przewiesiła płaszcz Teddy przez poręcz krzesła.

Teddy spojrzała na kredens i ujrzała ustawione już na jego blacie dwa wyszczerbione kryształowe kieliszki oraz napoczętą butelkę Kirschwasser. - Dziękuję, chętnie się napiję - odparła, mimo iż nie przepadała za wiśniówką. Z drugiej jednak strony nie chciała urazić księżnej, która z pewnością zadała

sobie wiele trudu, aby poprawić choć trochę nastrój, panujący w piwnicy. Miłym gestem było też zaoferowanie tej odrobiny, która pozostała w butelce, tym bardziej jeśli brało się pod uwagę obecne warunki i trudności w zdobyciu czegokolwiek.

- Ale zanim się napijemy, chciałabym najpierw dać pani kilka rzeczy, księżno - powiedziała podnosząc torbę, którą postawiła na podłodze, kiedy weszła do środka. - Udało mi się zdobyć coś dla pani.

- Jestem pani bardzo wdzięczna, Teddy - odparła Irina, a jej oczy pojaśniały natychmiast.

Teddy podeszła do kredensu i zaczęła wyładować z torby to, co przyniosła. - Oto paczka herbaty, prawdziwa kawa, wafle czekoladowe, amerykańskie, pyszne, a tu bochenek chleba i pół kostki masła. I jeszcze trochę konserw.

Mielona wołowina, łosoś i sardynki, wszystko z magazynów amerykańskich, puszka sproszkowanego jaj i mleko w proszku. A na dnie parę drobiazgów. Niech pani sama popatrzy.

- Mój Boże! - zawołała Irina, zaskoczona taką ilością produktów. Kiedy podeszła do Teddy, na jej twarzy widać było radość i wdzięczność. Niemal z nabożną czcią dotykała każdej rzeczy, która leżała na blacie, a potem zajrzała do torby i obróciła się zdumiona do Teddy. - Pasta do zębów, mydło i... och, Teddy, to cudowne! Szminka do ust Max Factor i woda kwiatowa! Dziękuję, och, dziękuję! - Postąpiła krok do przodu i objęła Teddy oburącz, uśmiechając się promiennie.

- Cieszę się, że chociaż w ten sposób mogłam pani pomóc, księżno Irino.

- A skąd, na Boga, wytrzasnęła pani takie delicje?

- Od pani Reynolds z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, opowiadałam już o niej, i od jej sekretarki, Elizabeth Jefford. Dały mi dla pani swoje własne przydziały, a pani Reynolds zdobyła jeszcze trochę od swego przyjaciela, majora Evansa, z amerykańskich sił okupacyjnych. To dzięki niemu przyniosłam tę czerwoną szminkę. A pani Reynolds dała mi dla pani wodę kwiatową.

- To bardzo wspaniałomyślne i miłe z ich strony. Musi im pani podziękować w moim imieniu bardzo, bardzo serdecznie. Coś podobnego, Max Factor! To cudowne, mieć znowu własną szminkę!

- Wygląda na to, że jest pani bardziej poruszona widokiem szminki niż jedzeniem - zauważyła Teddy i roześmiała się.

Irina zawtórowała jej. - Niezupełnie - odparła. - Ale to rzeczywiście ekscytujące, mieć po tych wszystkich latach wyrzeczeń coś luksusowego, przeznaczonego dla kobiet. A teraz napijmy się.

- Chętnie. - Teddy podeszła do sofy i usiadła, przyglądając się, jak księżna napełnia kieliszki.

Tym razem Irina Trubecka wyglądała lepiej niż poprzedniego dnia, przypominała bardziej tamtą Irinę sprzed wojny. Miała na sobie czarną wełnianą suknię, pamiętającą jeszcze lata trzydzieste, grube, czarne pończochy i czarne, spacerowe buty, ale ten niezbyt fortunny strój nie był w stanie zatrzeć wrażenia pewnej elegancji, która z niej emanowała, jakiegoś osobliwego dostojęstwa, związanego zapewne w dużym stopniu z jej arystokratycznym pochodzeniem i sposobem bycia. Jej włosy były tak wspaniałe jak niegdyś - miały barwę połyskliwego brązu - i, o dziwo, tylko gdzieniegdzie przyprószone srebrzystymi smużkami. W jakiś sposób zdołała je umyć na dzisiejsze spotkanie, pomyślała Teddy. Również twarz Iriny była teraz lśniąca, pozbawiona warstwy kurzu, jaką Teddy dostrzegła u niej wczoraj, kiedy odnalazła ją wśród gruzów. Dziś księżna wyglądała na swój wiek, nie jak kobieta po czterdziestce, a w migotliwym świetle lamp naftowych była tak piękna jak dawniej.

Irina podała Teddy kieliszek wiśniówki i powiedziała:

- Chciałabym wzniesić toast za panią, pogratulować zaręczyn.

- Stuknęły się kieliszkami, po czym dodała: - Nawet pani nie wie, jak bardzo ucieszyła mnie ta wiadomość.

- Dziękuję. - Teddy upiła trochę, starając się nie dotykać wargami wyszczerbionej części kieliszka.

Irina wypiła i usiadła na fotelu twarzą do sofy.

Teddy odstawiła kieliszek na skrzynię, otworzyła torebkę i wyjęła niewielkie zdjęcie w skórzanej ramce. - Wczoraj miałam przy sobie tylko fotografie Maxima - wyjaśniła. - A to jest Mark, mój narzeczony. - To mówiąc, podała zdjęcie księżnej.

- Muszę przyznać, że prezentuje się wspaniale - odparła z uznaniem Irina. - I jest z pewnością bardzo dzielny, sądząc po tych medalach na jego mundurze.

- Brał udział w bitwie powietrznej o Anglię.

Księżna kiwnęła głową i oddała zdjęcie. - Wczoraj, kiedy zostałam sama, przypomniałam sobie, że przed wojną spotykała się pani z synem profesora Herzoga. Zdaje się, że

mieszkali przy Lutzowufer. O ile wiem, ten młody człowiek wyjechał w 1939 roku do Palestyny... Co się z nim stało?

- Willy nie pozostał długo w Palestynie. Przeniósł się, pojechał do Szanghaju. Nadal tam przebywa, ale stale myśli o wyemigrowaniu do Ameryki. Ma nadzieję, że któregoś dnia osiągnie swój cel. Pisywaliśmy do siebie bardzo regularnie

I nigdy nie spotykałam się z nikim innym, dopóki nie poznałam Marka. Zakochałam się w nim i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że muszę napisać do Willy'ego, zerwać nasze nieoficjalne zaręczyny.

- I co on na to? Czy bardzo był załamany?

Teddy potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. - Nie, wcale nie, wręcz przeciwnie, przyjął tę wieść z ulgą. Od razu odpisał mi, pogratulował i wyjaśnił, że również on poznał tam kogoś, nie wiedział tylko, jak mi o tym powiedzieć. Tak więc obeszło się bez zranionych serc, jesteśmy teraz dobrymi przyjaciółmi. W ostatnim liście napisał, że niebawem bierze ślub, myślę, że teraz jest już żonaty.

- A kiedy pani planuje wyjść za mąż? - zainteresowała się księżna, upijając kolejny łyk wiśniówki.

- Och, jeszcze nie tak prędko. Nie mogłabym tego zrobić pod nieobecność państwa Westheim. Mark zrozumiał, że musimy poczekać ze ślubem do momentu, kiedy ich odnajdę albo oni skontaktują się ze mną.

Irina wyprostowała się na fotelu. Bez słowa wpatrywała się w swą rozmówczynię, a jej twarz zrobiła się w jednej chwili biała jak papier.

Jej reakcja nie uszła uwagi Teddy. Spoglądając z niepokojem na księżną, zapytała: - Co się stało? Czy nie czuje się pani dobrze?

Irina nie odpowiedziała od razu. Dopiero po dłuższej chwili wyszeptała niepewnie: - Tak... Ale to zaraz mi przejdzie. Jeszcze trochę, proszę poczekać... - Odstawiła kieliszek i widząc, jak mocno drży jej ręka, zacisnęła dłoń i spojrzała na swego gościa.

Teddy odwzajemniła przenikliwe spojrzenie księżnej, mimo woli zwróciła uwagę na jej oczy, bardziej niebieskie niż zazwyczaj i niezwykle piękne, a potem dostrzegła w nich łzy.

- Księżno Irino, o co chodzi? Co pani jest?

- Nie powiedziałam wczoraj prawdy - odparła Irina ochryplym głosem. - To nie znaczy, że panią okłamałam, ale nie byłam w pełni szczerą. - Raptem potrząsnęła głową i wydeła

ironicznie wargi. - Ale po co te wykręty? Dlaczego mówię teraz, że nie kłamałam, skoro wprowadziłam panią w błąd.

- Co... pani... ma... na myśli? - wykrztusiła Teddy. Słowa więzły jej w gardle. W tej samej chwili tknęło ją straszliwe przecucie, serce poczęło tłuc się w piersi jak oszalałe.

- Wprowadziłam parną w błąd... - Księżna urwała, zaczerpnęła głęboko tchu, a potem słowa posypały się szybko, jedno po drugim. - Zataiłam coś, Teddy. Coś, co wiem na temat Sigmunda i Ursuli. Coś, co powinnam była powiedzieć już wczoraj. Kilka razy miałam to już na końcu języka, ale nie starczyło mi odwagi.

- Ale co?! - zawołała Teddy przenikliwym, łamiącym się głosem. - Musi mi pani powiedzieć! Och, proszę, niech mi pani powie!

- Droga Teddy... Teddy... już ich pani nie odnajdzie... I oni nie skontaktują się z panią... Ursula i Sigmund nie znajdują się wśród uchodźców, którzy starają się powrócić do Berlina, ani wśród więźniów uwolnionych z obozów. Oni nie wrócą tu, nigdy już nie wrócą.

Irina wstała, podbiegła do siedzącej na sofie Teddy i ujęła ją za rękę.

Usta Teddy zadrżały, oczy, otwarte teraz szeroko i jakby spłoszone, wpatrywały się w białą twarz Iriny. Ścisnęła jej rękę z całych sił, aż do bólu, i zawołała zduszonym głosem: - Oni nie żyją, prawda? Ursula i Sigmund nie żyją!

Księżna skinęła głową. - Tak - szepnęła. Pochwyciła Teddy w ramiona i przytuliła do siebie, kurczowo przyciskając ręką.

Teddy wybuchnęła niepohamowanym płaczem. - Wiedziałam... naprawdę... czułam to w głębi duszy... wiedziałam chyba od samego początku - szlochała. - Tak bardzo bałam się o nich. Mieli jedną szansę na milion. Wiedziałam, że to beznadziejne, ale nie dopuszczałam do siebie myśli, że... mogli zginąć.

Irina tuliła ją jak małe dziecko, usiłując jakoś pocieszyć i ukoić, przez dłuższą chwilę trwały tak w uścisku, ale nagle Teddy wyrwała się i zawołała: - O Boże, dlaczego oni? Dlaczego musieli to być akurat oni?

Irina pokręciła głową. Nie potrafiła udzielić na to pytanie żadnej sensownej odpowiedzi.

Łkanie cichło z wolna. Obie kobiety wytarły oczy, a Teddy zapytała cicho: - Gdzie... gdzie oni umarli?

Irina przesunęła wierzchem dłoni po wilgotnym policzku. - Sigmund zginął w Buchenwaldzie. W 1942 roku.

- Czy to pewne?

- Tak. Tę wiadomość zdobył Kurt von Wittingen... poprzez zakłady Kruppa w Essen... Przesłano tam grupę więźniów z Buchenwaldu na przymusowe roboty. Przede wszystkim były tam kobiety. Jedna z nich, polska arystokratka, znała Sigiego jeszcze sprzed wojny. Widziała go w Buchenwaldzie i przekazała potem wiadomość o dokonanej na nim egzekucji. Został rozstrzelany. - Oczy Iriny ponownie wypełniły się łzami, zakryła usta dłonią, aby zdusić jęk. Kiedy już opanowała się, wyjaśniła: - Zazwyczaj źródłem wszelkich tego typu informacji był Kurt. Ale nie zawsze mógł coś zdziałać.

- A Ursula? - zapytała Teddy. - Czy ona też była w Buchenwaldzie?

- Nie, w Ravensbrück. Zmarła tam w 1943 roku.

- Na pewno?

- Tak. Maria Langen, która należała do naszej grupy oporu, przebywała w Ravensbrück od 1943 roku do lata 1944 roku, kiedy to nieoczekiwanie została wypuszczona na wolność. W obozie widziała Ursulę i Renatę. Były tam razem. Renata też zginęła w Ravensbrück.

- Zostały rozstrzelane? W jaki sposób zginęły?

Irina zagryzła wargi, zamruwała oczami i odwróciła głowę. Przelykając nerwowo ślinę, siedziała w bezruchu, wpatrując się w jakiś punkt na ścianie piwnicy.

- Błagam... - zawołała Teddy. - Ja MUSZĘ wiedzieć! Irina spojrzała na nią i łzy, których nie potrafiła dłużej powstrzymać, pociekły po jej twarzy, na dłonie spoczywające bezwładnie na kolanach.

Głosem cichszym niemal od szeptu powiedziała: - Została wysmagana pejcem na śmierć.

- O, mój Boże, nie! Nie! Nie! Nie! Nie Ursula! - zawołała Teddy, podrywając się z miejsca. - O Boże, nie! Nie zniosę tego, nie! - Szlochała rozpaczliwie, nie mogąc pogodzić się z myślą o tak straszliwej śmierci Ursuli, o jej cierpieniach. Skuliła się, jakby w śmiertelnej udreće, jej ciałem wstrząsały spazmy, płakała tak długo, aż w oczach zabrakło łez, a potem kołysała się na wszystkie strony, przepełniona bólem.

Irina obejmowała ją ramieniem tkliwie, niczym matka. Chciała podnieść ją na duchu, wiedziała jednak, że nie jest w stanie jej pocieszyć. I tak, połączone wspólną rozpaczą, opłakiwały Ursulę i Sigmunda.

Upłynęło dużo czasu, zanim Teddy uspokoiła się trochę, ale w końcu wzięła się w garść. Sięgnęła po kieliszek, przełknęła spory łyk, po czym zapytała cichym, zrezygnowanym tonem: - Jak zginęła Renata von Tiegal? Czy... w ten sam sposób? Wie pani coś na ten temat?

- Renata nie została tak straszliwie pobita. Ale zmarła, ponieważ dostała ataku ślepej kiszki. W obozie nie było odpowiedniej opieki lekarskiej, wdało się zapalenie otrzewnej i nie można było jej pomóc. To było parę miesięcy po śmierci Ursuli.

Teddy przygryzła dolną wargę, odwróciła wzrok i zapytała z wysiłkiem: - A Reinhard von Tiegal?

- Nigdy nie udało nam się dowiedzieć, co się z nim stało.

- A więc może jeszcze żyje? - zapytała Teddy z nadzieją w głosie.

- Wątpię. W Ravensbrück Renata opowiedziała Mani Langen, że cała ich czwórka opuściła zamek, ponieważ ostrzeżono ich, iż mają zostać aresztowani. Sigi i Ursula dlatego, że byli Żydami, a Renata i Reinhard, gdyż ukrywali Żydów. Poza tym gestapo podejrzewało Reinharda o przynależność do jednej z grup oporu. Pod tym względem nie mylili się.

- Nie udało im się znaleźć jakiejś bezpiecznej kryjówki?

- Nie. Dotarli do Poczdamu i tam zostali aresztowani. Renatę i Ursulę wywieziono do Ravensbrück. Nigdy nie dowiedziały się, gdzie przebywa Reinhard i Sigi.

- Ale dlaczego ich nazwiska nie figurowały na żadnej z list sporządzonych przez agencje, które odwiedziłam? - zastanawiała się na głos Teddy, marszcząc brwi.

- Nie mam pojęcia - odparła Irina, kręcąc powoli głową. Bezradnie wzruszyła ramionami. - Wszyscy wiemy, jak skrzętnie hitlerowcy prowadzili rejestry więźniów, jak dokładnie spisywali numery, którymi tatuowali ręce swoich ofiar. Ale nie mniej gorliwie wzięli się za mszczenie tych wykazów, kiedy zawisło nad nimi widmo klęski, a zwłaszcza gdy alianci poczęli wyzwalać obozy koncentracyjne. - Inna umilkła, a potem powtórzyła: - Nie wiem, Teddy, jak to wytłumaczyć. Ich nazwiska powinny znajdować się na listach więźniów, które zostały zniszczone przez hitlerowców.

- Tak... - Teddy spojrzała nagle na księżną ze zdwojoną uwagą. - A pani przyjaciółka, Maria Langen z ruchu oporu... czy mogłabym spotkać się z nią, porozmawiać? Może byłaby w stanie powiedzieć mi coś więcej...

- Niestety, zmarła niedawno, Bóg jeden wie, jak bardzo cierpiała! Biedna Maria... po tym, co przeszła w obozie, nigdy już nie wyzdrowiała tak naprawdę.

Teddy odchyliła głowę do tyłu i oparła się o ścianę.

Powiedziały już sobie wszystko, co miały do powiedzenia.

Zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom. Pamięć podsunęła jej obraz pięknej twarzy Ursuli, znowu słyszała jej słodki, delikatny głos i poczuła, że w gardle narasta jej jakiś przemożny krzyk. Ostatkiem sił zdusiła go, a potem zacisnęła mocno powieki, aby powstrzymać natrętne łzy. Nie mogła przestać myśleć o Ursuli, o jej okropnej śmierci, przed którą musiała przejść bicie i tortury. I wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie zdoła wymazać z pamięci bestialstwa oprawców Ursuli, nie zapomni o tym do końca życia.

37

- Proszę bardzo, panno Stein, tu będzie nam z pewnością wygodnie - powiedział pan Johnson z Rossiter Bank, wprowadzając ją do niewielkiego gabinetu. - Proszę łaskawie złożyć tu swój podpis, a ja przyniosę natychmiast sejf depozytowy.

- Dziękuję, panie Johnson. - Teddy usiadła przy stole, podpisała się na upoważnieniu, podsuniętym jej przez urzędnika i oddała mu dokument.

Johnson uśmiechnął się uprzejmie, po czym wyszedł z pokoju.

Czekając na jego powrót, Teddy skierowała wzrok na obraz, wiszący tuż przed jej oczyma, ale nie widziała go wcale. Jej myśli krążyły ustawicznie wokół rozmowy, jaką przed chwilą odbyła z Henrym Rossiterem.

Właściciel banku przyjął ze zrozumiałym smutkiem tragiczną wieść, jaką Teddy przywiozła z Berlina, ale nie sprawiał wrażenia zbytnio zaskoczonego, kiedy dowiedział się, że

Westheimowie nie żyją. Po złożeniu kondolencji, co uczynił w sposób delikatny i najwidoczniej szczerzy, oświadczył, że ona przejmuje teraz całkowitą opiekę nad Maximem do czasu osiągnięcia przez niego wieku dwudziestu jeden lat.

- Takie było wyraźne życzenie pani Westheim - wyjaśnił. - List od niej, który wręczyła mi pani w 1939 roku, po przybyciu do Anglii, potwierdził tylko treść rozmowy telefonicznej, jaką odbyłem z nią tydzień wcześniej. Myślę, że chciałaby pani przeczytać teraz ten list. - Henry Rossiter podał jej przez biurko kartkę papieru, którą Teddy przeczytała szybko i oddała z powrotem. - Czy wszystko jest jasne? - zapytał, a ona przytaknęła ruchem głowy. Następnie wyraziła życzenie, aby pan Rossiter nadal pełnił rolę jej doradcy w sprawach, dotyczących lokowania funduszy Westheimów w rozmaitych inwestycjach, i podziękowała za dotychczasową opiekę. W odpowiedzi uśmiechnęła się grzecznie, jak zwykle, i zapewnił, że jest do jej usług.

Rozmyślania Teddy zostały nagle przerwane, kiedy drzwi otworzyły się, a do gabinetu wszedł pan Johnson. W rękę trzymał jej sejf depozytowy, który postawił na stole. - Oto sejf, panno Stein. I proszę się nie spieszyć - oświadczył, po czym zniknął za drzwiami, zanim zdążyła mu podziękować.

Po raz pierwszy, odkąd weszła w posiadanie sejfu sześć lat temu i zamknęła go, mogła przejrzeć jego zawartość. Teddy siedziała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w niego, zanim wyciągnęła z torebki klucz, aby go otworzyć. Pudełko wypełniały kosztowności Ursuli Westheim, które spoczywały w wyłożonych aksamitem puderkach. Ursula kupiła te szkatułki w Paryżu w 1939 roku, kiedy chodziły razem po sklepach. Teddy wyjęła z sejfu jedną z nich, otworzyła i ujrzała szeroką bransoletkę z brylantami, które świeciły wszystkimi barwami tęczy.

Delikatnie przesunęła po niej palcem, wspominając dzień, kiedy Ursula nosiła ją po raz ostatni w Berlinie. Było to w 1937 roku, państwo Westheim wydali niewielkie przyjęcie, a Ursula wyglądała wprost prześlicznie; miała wówczas na sobie aksamitną suknię wieczorową w kolorze burgunda, podkreślającą jej jasną cerę, blond włosy i eteryczną urodę. Teddy poczuła znowu łzy, napływające do oczu. Nerwowo zamrugnęła powiekami, powstrzymując się od płaczu i tłumiąc żal za zmarłą.

Odkąd księżna Irina Trubecka opowiedziała jej tydzień temu o śmierci pani Westheim, Teddy dręczyły koszmary. Nie mogła zamknąć oczu, aby natychmiast nie pojawiał się obraz Ursuli, pobitej, z maltretowanej, poddanej bestialskim torturom przez hitlerowskich oprawców w Ravensbriick. Ostatnie dni pozwoliły jej zrozumieć, że musi zrobić wszystko, aby zachować w pamięci Ursulę taką, jaką była przed wojną: śliczną i zwiewną. Tylko w ten sposób nie pograży się do reszty w rozpacz. Niestety, zdarzały się chwile, kiedy nawiedzały ją ponure, straszliwe wizje, a kiedy wyobrażała sobie, jakie cierpienia Ursula musiała znieść przed śmiercią, ona sama przechodziła prawdziwe katusze. Coraz częściej zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła odzyskać spokój ducha. Muszę, myślała, dla dobra Maxima i mojego, dla Marka i dla naszej wspólnej przyszłości.

Zaczęła wyjmować z sejfu resztę klejnotów, ułożyła je na stole i sięgnęła po leżącą na samym dnie sejfu dużą, brązową kopertę.

Ursula wręczyła ją jej w Paryżu tego dnia, kiedy odprowadziła ją i Maxima na dworzec kolejowy, skąd oboje pojechali do Anglii. Na kopercie Ursula napisała dużymi literami:

ŚCIŚLE POUFNE: OTWORZYĆ W PRZYPADKU ŚMIERCI SIGMUNDA I URSULI WESTHEIM. Pod spodem widniał dopisek: Panna Teodora Stein. Teddy otworzyła kopertę i znalazła w niej dwie mniejsze. Jedna była zaadresowana do niej, druga do Maxima.

Rozerwała tę pierwszą; na papierze listowym z Pla-za-Athenee-Hotel Ursula napisała:

Paryż, 10 marca 1939 roku.

Droga Teddy,

Kiedy zaczniesz czytać ten list, mój mąż i ja nie będziemy już żyli. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ani on, ani ja, ani ktokolwiek inny z naszej rodziny nie przeżyje prześladowań w Trzeciej Rzeszy; wracam do Berlina zdając sobie z tego sprawę. Jeśli nie zginiemy z rąk hitlerowców, to nie można wykluczyć, że zostaniemy zabici podczas wojny między Niemcami i innymi krajami Europy, która jest już nieunikniona.

Dlatego też wiem, że muszę napisać do ciebie w sprawie niezmiernej wagi, dotyczącej mego syna Maximiliana.

To, czego się teraz dowiesz, będzie dla ciebie z pewnością dużym zaskoczeniem, może nawet szokiem, ale chcę, żeby ktoś znał prawdę, na wypadek, gdybym zginęła. Tym kimś możesz być tylko ty. Zanim wyjaśnię, w czym rzecz, muszę jeszcze podkreślić, że to, co przeczytasz, ma pozostać dla innych osób tajemnicą. Nikt nie może poznać treści tego listu, oprócz oczywiście Maxima - o ile zechcesz powiedzieć mu wszystko, kiedy będzie już na tyle dorosły, aby to zrozumieć. Decyzja w tym względzie należy wyłącznie do ciebie, zdaję się całkowicie na twój osąd. Może uznasz, że lepiej będzie nie mówić mu o niczym, tak aby nigdy nie poznał prawdy.

Nie wiem, czy postępuję właściwie, kładąc na twoje barki brzemię tak olbrzymiej odpowiedzialności, ale sprawa jest tak delikatnej natury, że nie mogę powierzyć jej nikomu innemu. Tobie ufam bez zastrzeżeń, Teddy. Nie jestem w stanie udzielić ci rady, jak należałoby postąpić, gdyż ja sama nie byłam nigdy pewna, co zrobić, gdy Maxim dorośnie: powiedzieć mu prawdę, czy nie. Ale ty jesteś silna, mądra i wrażliwa, jestem więc pewna, że podejmiesz decyzję właściwą i korzystną dla mego syna, którego - jak wiem - kochasz w nie mniejszym stopniu niż ja.

Aby opowiedzieć ci wszystko po kolei, muszę cofnąć się w czasie do 1931 roku. Wtedy to...

Wzrok Teddy przesuwiał się szybko po papierze, chłonąc linijka po linijce to, co Ursula tak starannie napisała w Paryżu przed sześcioma laty. List był długi, a kiedy Teddy dotarła do ostatniego zdania, oparła się plecami o poręcz krzesła i odchyliła głowę do tyłu. Była tak zaskoczona, że przez chwilę nie potrafiła zebrać myśli.

Żałowała tylko, że Ursula Westheim napisała do niej ten list.

* * *

Wyszła z banku i udała się na drugą stronę Berkeley Square. Był pogodny, zimowy dzień, pełen słońca, i Teddy miała nadzieję, że rześkie powietrze pomoże jej dojść do siebie. List spowodował niezwykle zamęt w jej głowie, wiedziała jednak, że musi przestać roztrząsać ten problem, przynajmniej na jakiś czas. Czekala ją inna sprawa, ważna i nie cierpiąca zwłoki: Maxim przyjeżdżał dziś do domu na weekend, może nawet

czekał już na nią, ona zaś musiała powiedzieć mu, że jego rodzice nie żyją. Nie wiedziała, jak to zrobić, i bezustannie łamała sobie nad tym głowę.

W pobliżu Marble Arch zatrzymała taksówkę i przez całą drogę do domu medytowała intensywnie. Kiedy wysiadła przy Belsize Park Gardens, podjęła pierwszą decyzję: bez względu na wszystko, nie wolno mówić Maximowi dokładnie jak zginęła jego matka. Tylko człowiek nieodpowiedzialny mógłby obarczyć umysł dziecka tak przerażającą wiedzą.

Najwidoczniej Maxim czekał na nią niecierpliwie, wyglądając przez okno sypialni, gdyż zbiegł pędem ze schodów w tej samej chwili, kiedy ona weszła do domu.

- Tu jestem, .Teddy! - zawołał, po czym rzucił się jej w ramiona i przycisnął do siebie z całych sił. Objęła go czule, a gdy uniosła wzrok, ujrzała ciotkę Ketti; stała w progu, patrząc na nich z troską i lękiem.

- Poczekaj, kochanie, zdejmę tylko płaszcz - powiedziała Teddy do Maxima i czym prędzej podeszła do szafy.

- Chociaż raz pociąg przyjechał punktualnie - odezwała się Ketti. - Pani Trenton była na stacji, wyszła po Serdelka. Zaprosiła Maxima na jutro na lunch. Ale przed chwilą zadzwonił Mark. Mam przekazać ci wiadomość, że dostał przepustkę na cały weekend. Tak więc będziesz musiała skontaktować się z panią Trenton i powiedzieć jej, co postanowiłaś w sprawie tego lunchu.

- Dobrze, ciociu, zadzwonię do niej później. Dziękuję, że pojechałaś po Maxima.

- Jeśli Mark przyjeżdża na weekend, to wolałbym spotkać się z nim, nie z Serdelkiem. Przecież jego widuję w szkole codziennie, prawda? - wtrącił się do rozmowy Maxim. -1 codziennie jadam z nim lunch.

- To prawda - powiedziała Teddy. - Ale Serdelek mógłby pojechać z nami. Byłoby miło spędzić weekend z Markiem. Otoczyła chłopca ramieniem i wspólnie przeszli przez korytarz. Przed drzwiami prowadzącymi do małego pokoju Teddy przystanęła. - Wejźmy tu na chwilę, chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

- Ojej, jak to poważnie zabrzmiało! - zawołał marszcząc brwi. - Mam nadzieję, że to nic związanego ze szkołą. Ten staruszek, pan Helliwell...

- Nie, nie chodzi o szkołę. Nie zrobiłeś nic złego - odparła, otwierając drzwi i wchodząc do środka. Usiadła na sofie

i poklepała dłonią poduszkę, leżącą tuż obok. - Usiądź przy mnie, Maximie.

Posłuchał jej, nie kryjąc zaciekawienia.

- Przez parę tygodni nie było mnie w Anglii - powiedziała Teddy. - Byłam w Berlinie.

Jego ciemne, duże oczy powiększyły się jeszcze bardziej.

- I nie uprzedziłaś mnie o tym! - zawołał urażonym, niemal oskarżycielskim tonem.

- Chciałam odnaleźć twoich rodziców i bałam się, że niepotrzebnie rozbudzę w tobie nadzieję.

- Znalazłaś ich? - zapytał zrywając się z miejsca.

- Nie, niestety.

- Ale dowiedziałaś się czegoś? - nie ustępował. Przełknęła ślinę. - Niezupełnie. W każdym razie niewiele.

- A konkretnie co?

- Że wraz z von Tiegalami przebywali w zamku w 1941 roku, a potem wszyscy czworo zniknęli. Po prostu wszelki ślad po nich zaginął.

- Tylko tyle? To wiedzieliśmy już przedtem!

- Nic więcej nie zdołałam wykryć.

- Nie wierzę! - zawołał. Na jego twarzy pojawił się tak typowy dla niego wyraz uporu. - Znam cię dobrze, Teddy.

Znam cię nie od dziś. Jesteś zbyt sprytna, aby wrócić z pustymi rękami, bez nowych wieści. Wiem, że dowiedziałaś się czegoś nowego!

- Wcale nie - zaprotestowała. Milczał i tylko przeszywał ją wzrokiem.

Teddy słyszała prawie, jak pracuje jego umysł, na moment wstrzymała oddech. Maxim miał dopiero jedenaście lat, był jednak nad wiek rozwinięty, zbyt mądry i bystry, aby można go zbyć byle czym. Z pewnością nie da za wygraną... Teddy poczuła, że zaschło jej w ustach, uświadomiła sobie, że nie wie, od czego zacząć, jakich użyć słów. Zamrugła oczyma, aby powstrzymać cisnące się do nich łzy.

Zauważył to natychmiast. - Czy oni... czy oni... nie żyją?

- Tak mi przykro, kochanie, tak bardzo, bardzo przykro

- wyszeptała głosem przepelnionym miłością i sięgnęła po jego dłoń.

Uścisnął jej rękę mocno, aż do bólu, a potem zapytał cicho:

- Jak zginęli mama i papa?

Teddy poruszyła ustami, ale nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

- Podczas nalotu czy... czy... w obozie? - dodał z wahaniem, jeszcze ciszej niż przedtem.

Teddy milczała nadal; mówienie było ponad jej siły. Co więcej, nie mogła już nic poradzić na łzy, które niepostrzeżenie płynęły teraz po policzkach.

- A więc w obozie - szepnął tak cicho, że dosłyszała go z trudem. - Mama i papa zginęli w obozie, prawda?

- Tak.

- W którym?

- Twój ojciec w Buchenwaldzie... a mama w Ravensbriick.

- W jaki sposób?

- Tego nie wiem, naprawdę. Daję słowo, Maximie, że nie wiem, w jaki sposób umarli - zapewniła cichym, lecz żarliwym głosem.

Siedział w milczeniu, patrząc na nią. Jego twarz zszarzała, I oczy wyrażały udrękę.

- Och, Teddy, Teddy...! - zawołał w końcu z twarzą wykrzywioną bólem.

Rzucił się jej w objęcia, a ona przygarbowała go do siebie, ściskając czule, kiedy on wypłakiwał swą żalność i rozpacz. t Kołysała go tklawie, aby ukoić jego tęsknotę, a potem wyszeptała do ucha: - Zawsze będę przy tobie, Mark też.

Wiem, że to nie to samo, ale będziesz miał nas. Będziesz naszym kochanym chłopcem. '

Nie odpowiedział, była jednak pewna, że usłyszał jej słowa i zrozumiał, jakkolwiek szlochał rozpaczliwie jeszcze przez dłuższą chwilę.

Potem, kiedy zdołał już wziąć się trochę w garść, posadziła go na sofie, wytarła mu twarz chusteczką i sięgnęła do kieszeni swego żakietu.

- Tego dnia, gdy w 1939 roku wyjeżdżaliśmy z Paryża, twoja mama wręczyła mi brązową kopertę. Pamiętasz? Przytaknął ruchem głowy.

- Był w niej ten list - wyjaśniła, podając mu małą kopertę z jego imieniem, wypisanym ręką Ursuli.

Wziął list i wpatrywał się w niego bez słowa. Wreszcie szepnął: - Chciałbym teraz pójść do mego pokoju, Teddy, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Nie, oczywiście, rozumiem - odparła. Odchyliła się do tyłu, odprowadzając go wzrokiem, kiedy powoli przechodził przez pokój. Czowała, jak kraje jej się serce. Był jeszcze tak dziecinny pod wieloma względami, a przy tym jakże dzielny!

* * *

Maxim siedział na krześle twarzą do komody, na której stały fotografie rodziców. Nie odrywał od nich oczu i upłynęło parę minut, zanim otworzył list od matki i zaczął czytać:

Paryż, 10 marca 1939

Najdroższy Maximie,

Wracam do Berlina mając świadomość, że może nie zobaczymy się już nigdy. A jednak jadę z lżejszym sercem, tak lekkim, jakiego nie miałam już od dłuższego czasu, gdyż wiem, że już niebawem będziesz bezpieczny w Anglii, razem z Teddy. Tam nic ci nie grozi. Papie i mnie zawsze zależało najbardziej na tym, aby zapewnić ci dobrobyt i szczęście, pamiętaj o tym.

Jedynym powodem, dla którego wracam do Berlina, jest chęć, aby pomóc Papie przy babci i wydostać ją z Niemiec w jakieś bezpieczne miejsce.

Papa i ja czekaliśmy na ciebie tak długo! A dzień, kiedy przyszedłeś na świat, był najszczęśliwszym dniem w naszym życiu. Teraz wyrastasz na wspianego chłopca, a Papa i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Gdybyśmy nie mogli przyjechać do Anglii, zajmie się tobą Teddy i otoczy cię opieką, dopóki nie dorośniesz. Ufaj jej zdaniu i jej mądrości, i kochaj ją zawsze tak, jak ona kocha ciebie.

Cokolwiek się wydarzy, wiedz, że Papa i ja kochamy Cię bardzo, bardzo mocno. Jesteś częścią nas samych, tą najlepszą częścią.

Będiesz zawsze w moim sercu, mein Schatz.

Twoja kochająca i oddana Ci

Matka.

Odłożył list i sięgnął po chusteczkę, wytarł oczy, wsunął chusteczkę z powrotem do kieszeni, a potem siedział w bezruchu, trawiony straszliwym bólem. Miał wrażenie, jakby właśnie utracił część siebie.

W końcu wsunął list z powrotem do koperty, podszedł do komody, wyjął z szuflady portfel ojca, włożył do niego kopertę z listem, następnie położył portfel obok drewnianego konika i zamknął komodę.

- Mamo, mamo - wyszeptał. Dławiły go żal i tęsknota za nią, nie potrafił pogodzić się z myślą, że nie zobaczy jej już nigdy, że nigdy nie usłyszy jej głosu, nie przytuli się do niej, nie poczuje jej perfum o zapachu konwalii. Nie mógł uwierzyć, że nigdy więcej nie będzie wędrował z ojcem po lesie, nie pożegluje z nim po jeziorze, nie pójda razem do Westheim Bank, tak jak mieli to zrobić, kiedy on osiągnie pełnoletniość. - Papo, papo! - wykrzyknął bezgłośnie. Zamknął oczy i raptem wydało mu się, że słyszy muzykę, że to ojciec gra na pianinie w saloniku przy Tiergartenstrasse...

Wziął fotografię, na której mama i papa stali w swoich wieczorowych strojach, i wpatrywał się w nią, a z oczu spływały mu łzy. I raptem zrozumiał, że smutek, który zagnieździł się w jego duszy, już nigdy go nie opuści. Będzie tkwił tam zawsze. Do końca jego życia.

Część IV
Anastazja
Paryż 1959

*Miły mój odzywa się i mówi do mnie:
Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdz!
Bo to minęła już zima, Deszcz ustał i przeszedł.
Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic,
głos synogarlicy już słyhać w naszej krainie.*

Pieśń nad pieśniami

Dziewczęcy głos doszedł do jej uszu w chwili, kiedy poczęła wchodzić na górę po szerokich, kręconych schodach. W ten ciepły, lipcowy dzień głos wydawał się szczególnie dźwięczny, liryczny i melodyjny, tym piękniejszy, że był tak naturalny, nie afektowany.

Jest jak stworzona na scenę lub ekran, pomyślała Margot Derevenko, ale dzięki Bogu nie wykazuje żadnych ambicji w tym kierunku. A nawet gdyby miała, jej ojciec nigdy nie wyraziłby zgody, aby została aktorką. Zbyt dobrze zna ten twardy i niepewny świat, aby jej na to pozwolić.

Margot weszła już na piętro i przystanąła, nadstawiając ucha, z dłonią na błyszczącej, dębowej poręczy. W drugiej ręce trzymała niewielki koszyk ze świeżo ściętymi kwiatkami z ogródka. Głos słyszała teraz wyraźniej i domyśliła się, że dziewczyna rozmawia ze swoją krawcową.

- I wtedy, Marie, powiedziałam do tego kloszarda: Chodź ze mną, wiem, że jesteś głodny. Zapraszam cię do tej kawiarenki naprzeciwko.

Marie aż jęknęła z wrażenia. - I on naprawdę poszedł z panią do tej kawiarni? - zapytała z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie, Marie! Spojrzał na mnie takim dziwnym wzrokiem, jakbym zapraszała go na pogrzeb. Na jego własny pogrzeb. Wtedy powiedziałam: W porządku, jeśli nie chcesz iść ze mną do kawiarni, pójdźmy do mego domu. Nasza kucharka, Maruba, przyrządzi ci coś wspaniałego do jedzenia. I wyobraź sobie, Marie, co się stało. Na pewno nie odgadniesz!

- Nie, panienko, nie mam pojęcia. Co takiego?

- On odmówił.

- To dobrze, że odmówił - powiedziała po chwili Marie rzeczowym tonem. - Nie sądzę, aby rodzice panią byli zachwyceni, gdyby w tym pięknym domu zjawił się nagle obdarty włóczęga.

Z całą pewnością nie byliby tym zachwyceni, przyznała w duchu Margot. Anastazja milczała.

Upłynęła dłuższa chwila, a potem krawcowa zapytała, nie kryjąc zdumienia: - A właściwie, mademoiselle, dlaczego chciała pani zaprosić tego włóczęgę na posiłek?

- Po prostu dlatego, Marie, że był głodny.

- Ale przecież to jego sprawa, nie panienki. Poza tym wszyscy kloszardzi nad Sekwaną to ciemne typy.

- Jak możesz mówić coś takiego! Czy to ich wina, że przyszło im żyć w tak ciężkich czasach? Zawsze z nimi rozmawiam, kiedy widzę ich na ulicy, i możesz mi wierzyć, Marie, że nie dla przyjemności mieszkają pod mostami, śpią pod gołym niebem bez względu na pogodę i żebrzą o jedzenie.

- Sami są sobie winni, że wiodą takie życie, a nie inne.

- Ja w to nie wierzę. I próbuję im pomóc.

Marie nie odpowiedziała, a dziewczyna dodała po chwili: - I już udało mi się pomóc jednemu z nich, a właściwie jednej z nich, bo to była kobieta. Teraz jest na najlepszej drodze, aby prowadzić lepsze życie.

- Naprawdę? - w głosie Marie zabrzmiało powątpiewanie.

- Tak, naprawdę jej pomogłam. Namówiłam ją, żeby wyrzuciła butelkę wina, którą trzymała, a ona mnie posłuchała. Teraz ma już pracę i znalazła mieszkanie.

- Aha. Ale proszę mi powiedzieć, mademoiselle, czy rodzice wiedzą o tym, że pani troszczy się tak o tych włóczęgów?

- Oczywiście. I nawet to pochwalają.

Doprawdy? Pochwalamy to? - pomyślała Margot. Ciekawe, od kiedy? Pokręciła głową i przeszła przez obszerny hall, którego ścianę zdobiły dwa obrazy Degasa; na jednym cieszyła wzrok mała balerina, drugi przedstawiał tancerki baletu w zielonych strojach. Degas i Monet należeli do najbardziej ulubionych malarzy jej męża; jeden i drugi byli w tym domu znakomicie reprezentowani.

Szerokie, podwójne drzwi do salonu były otwarte. Margot zatrzymała się przed nimi, zajrzała przez próg i aż wstrzymała oddech, zaskoczona i zachwycona zarazem.

Jej osiemnastoletnia córka stała na środku pokoju i z wyciągniętymi przed siebie ramionami obracała się z wolna, tak aby Marie mogła rzucić ostatnie krytyczne spojrzenie na suknię wieczorową, którą ukończyła poprzedniego dnia.

Suknia, pajęczynka z szyfonu o barwie będącej połączeniem delikat-

nego błękitu i bladej szarości, otaczała dziewczynę niczym obłoki mgły. O ile suknia była wspaniała, to dziewczyna była uosobieniem doskonałości.

Poranny blask wdzierał się do pokoju przez wysokie okna, oblewając dziewczynę łagodnym światłem. Jej długie blond włosy, sięgające wiotkiej talii, zdawały się płonąć w promieniach słońca i tworzyły błyszczącą aureolę wokół owalnej twarzy, która przywodziła na myśl rzeźbę z kości słoniowej. Szeroko osadzone oczy o pięknym, nieco zamglonym odcieniu szarego błękitu ocienione były długimi gęstymi rzęsami; zwiewne rękawy sukni okrywały niczym pelerynka nadzwyczaj urocze ramiona; smukłe, kształtne nogi i zgrabne stopy dopełniały obrazu tej piękności średniego wzrostu.

Jest tak śliczna, że wydaje się nieprawdziwa, jak wytwór fantazji, pomyślała Margot. Nigdy nie sprawiała wrażenia istoty realnej, nawet jako dziecko. Jest na to zbyt subtelna, zbyt słodka i zbyt delikatna. Żyjąca marzeniami, romantyczna idealistka. I co ja mam z nią zrobić? Jest tak niepraktyczna, zbyt łatwowierna jak na ten twardy świat, w jakim dziś żyjemy. Margot westchnęła w duchu i weszła do salonu.

- Ach, tu jesteś, Anastazjo! - zawołała, uśmiechając się do córki.

- Spójrz tylko, mamó, czy nie jest cudowna? - Mówiąc to, Anastazja pochwyciła palcami rąbek sukni, okręciła się w miejscu i spojrzała na matkę.

Margot skinęła z uznaniem głową, a potem przeniosła wzrok na krawcową. - Dzień dobry, Marie. Jak widzę, znowu stworzyłaś prawdziwe arcydzieło.

- Bonjour, madame. Myślę, że ten efekt to również pani zasługa, nie tylko moja - odparła Marie, spoglądając wymownie na Anastazję. Najwidoczniej komplement sprawił jej przyjemność, gdyż uśmiechnęła się przy tym do madame Derevenko.

- Obawiam się, że i ja nie mogę przypisać sobie całej zasługi stworzenia Anastazji - zachichotała Margot. - Sądzę, że jej ojciec też ma w tym swój udział.

Anastazja roześmiała się, wtórując matce. Był to wesoły, beztroski śmiech, tak samo dźwięczny jak jej głos. - Ale musisz przyznać, że ta suknia jest boska, prawda? Uważam, że Marie przeszła tu samą siebie. Merci beaucoup, Marie - podziękowała, składając głęboki ukłon.

Na twarzy krawcowej odmalowała się radość. Zadowolone z jej pracy klientki; to właśnie liczyło się dla niej najbardziej.

Zwłaszcza, jeśli były to kobiety z rodziny Derevenko. Szyła dla nich już od lat, chociaż ostatnio były to kreacje przede wszystkim dla Anastazji. Szycie dla tej dziewczyny sprawiało nie lada satysfakcję; jej nadzwyczajna uroda, wiotka figura i idealna postawa podnosiły jeszcze bardziej wartość strojów. Margot przyglądała się córce z namysłem i nagle wykrzyknęła:

- Opale! To będzie to! Musisz założyć do tej sukni moje opale! Będą cudownie harmonizowały z tym błękitem i szarością.

- Och, mamó, dziękuję! To wspaniale, że chcesz mi je pożyczyć!

- Będiesz wyglądała porywająco. I na pewno zostaniesz królową balu.

- Wątpię. Kolej na Yvette, aby zabłysła jako gwiazda. I powinna nią zostać. W końcu to jej szczególny dzień

- powiedziała z naciskiem Anastazja.

Margot uśmiechnęła się tylko i obiegła wzrokiem cały salonik. Solange, pokojówka, ustawiła na stolikach najprzeróżniejsze ozdobne wazony z wodą i Margot poczęła teraz krzątać się po pokoju, wydając z koszyka kwiaty i wkładając je do szklanych i porcelanowych pojemników. Wreszcie cofnęła się trochę, aby ogarnąć krytycznym spojrzeniem swoje dzieło, i stała tak przez chwilę z głową przechyloną na bok.

Anastazja obserwowała matkę, podziwiając jej smak artystyczny, który przejawiał się zwykle przy układaniu kompozycji kwiatowych, dekorowaniu stołu czy pokoju. W takich momentach prezentowała w pełni swój talent i kunszt.

Margot odwróciła się nagle i popatrzyła na córkę swymi piwnymi oczami. - Rozmarzyłaś się, jak widzę?

- Nie, mamó - roześmiała się Anastazja. - Pójdę już lepiej i przebiorę się. Marie, czy mogłabyś pomóc mi zdjąć tę sukienkę?

- Oczywiście, mademoiselle.

- Lunch jest o pierwszej w ogrodzie, Anastazjo.

- Tak, mamó, już mi o tym mówiłaś - odparła dziewczyna, sunąc ku drzwiom w swojej szyfonowej kreacji niczym obłoczek mgły i pozostawiając za sobą woń Ma Griffé.

* * *

Pensjonat należący do Alexandra i Margot Derevenko mieścił się przy eleganckiej Faubourg Saint-Germain i był zaledwie jedną z wielu przepięknych rezydencji na tej ulicy,

stojących za wysokimi, kamiennymi parkanami. Faubourg Saint-Germain znajduje się w VII Okręgu, który jest częścią jednej z najwykwintniejszych dzielnic lewego brzegu Sekwany: enklawy dla artystokratów i zarazem rajy dla studentów, artystów i pisarzy.

Dom państwa Derevenko sąsiadował z muzeum Rodina, Akademią Francuską oraz Uczelnią Wojskową, jak również z Kościołem Inwalidów, kryjącym w swych katakumbach grobowiec Napoleona I. Wokół tych historycznych budowli usytuowały się małe, urocze kawiarenki, sklepy z antykami i galerie sztuki oraz dwa najsłynniejsze w Paryżu miejsca spotkań pisarzy i artystów: Café des Deux Magots i Café de Flore.

Pensjonat ukryty był przed wzrokiem przypadkowych przechodniów dzięki masywnej, ciemnozielonej bramie, za którą mieściła się mała stróżówka. Dalej rozciągał się typowy paryski dziedziniec, brukowany, z fontanną pośrodku i kasztanowcem.

Sam dom o wydłużonym kształcie, miał klasyczną fasadę, z licznymi wysokimi oknami, opatrzonymi żaluzjami, oraz szerokimi kamiennymi schodami, prowadzącymi do podwójnych drzwi frontowych. Wnętrze składało się z przestronnych pomieszczeń, pełnych powietrza i światła, które zawdzięczały swą elegancję i urok nadzwyczajnemu smakowi Margot Derevenko.

Hall wejściowy na parterze wiódł poprzez cały szereg szklanych drzwi do ogrodu, prawdziwego arcydzieła stworzonego przez lata pod wprawnym okiem Margot. Madame Derevenko mieszkała we Francji niemal od dzieciństwa, studiowała na Sorbonie, z pochodzenia jednak była Angielką. Dlatego też urządzając własne zacisze w sercu Paryża, postanowiła wzorować się na wielkich ogrodach angielskich, czerpiąc inspiracje ze słynnego White Garden* przy zamku Sissinghurst. Podobnie jak ogród w hrabstwie Kent, również ten zminiaturyzowany paryski odpowiednik tamtego, skryty w cieniu Kościoła Inwalidów, stanowił połączenie zieleni oraz kwiatów i krzewów ozdobnych z jednym tylko kolorem - bielą. Właśnie prostota i schludność tego biało-zielonego zakątka nadawały ogrodowi akcent spokoju i elegancji.

Ozdobne głązy okalały oczko wodne z wyrastającymi z niego liliami, tuż obok zielenił się starannie strzyżony

*** Białego Ogrodu - ang. - przyp. tłum.**

trawnik, który sąsiadował z pięknymi rabatkami, pełnymi najprzeróżniejszych białych kwiatów - azalii, róż, tulipanów, narcyzów, chryzantem i śnieżyczek, w zależności od pory roku. Za kwietnikami rosły bzy i kasztanowce oraz inne krzewy kwitnące, takie jak rododendrony i hortensje, całość zaś obwodziło wysokie kamienne ogrodzenie, porośnięte połyskliwym bluszczem.

Wzdłuż domu biegł taras, wyłożony kamiennymi płytkami, z którego roztaczał się widok na ogród, i tu właśnie, przy ogrodowym stoliku z kutego żelaza, ocienionym przez duży parasol, zasiadły do lunchu Margot i Anastazja. Mamba, ich kucharka, pochodząca z Afryki Północnej, przyrządziła prosty posiłek: pieczoną na ruszcie rybę, zieloną sałatę oraz plastry brzoskwini zalane szampanem.

Pomiędzy jednym kęsem i drugim Margot powiedziała do córki: - Nie myśl, że cię podsłuchiwałam, ale kiedy przedtem weszłam na górę, przypadkowo usłyszałam twoją rozmowę z Marie. Wiesz, powinnaś zaprzestać tych kontaktów z kloszardami. To po prostu nie przystoi takiej pannie jak ty.

- Ależ mam, ja tylko usiłuję im pomóc!

-W tym rzecz, że nie możesz im pomóc. Moim zdaniem, oni sami obrali taki a nie inny styl życia.

- Mam, jak możesz! Mówisz zupełnie jak Marie! Naprawdę wierzysz, że ktoś mógłby z własnej woli zdecydować się na takie życie?

Margot pokręciła głową. - Och, kochanie, nie bądź naiwna... - Urwała i zamyśliła się, a potem dodała: - Ojciec i ja martwimy się o ciebie. Myślę, że nawet nie zdajesz sobie sprawy z własnej urody, a kto wie, co tym włóczęgom może...

- To bardzo mili i grzeczni ludzie - wpadła jej w słowo Anastazja. - Wbrew temu, co próbujesz mi dać do zrozumienia, nie są wcale niebezpieczni. Z pewnością nie będą próbowali mnie obrabować ani zgwałcić. Nie powinnaś się niepokoić i nie gniewaj się na mnie... nie mogę tego znieść, kiedy ty lub tata patrzycie na mnie krzywym okiem.

- Wielki Boże, wcale się nie gniewamy, tylko troszczymy się o twoje dobro. - Margot uśmiechnęła się do córki. - Swoją drogą, twój ojciec i ja jesteśmy zachwyceni, że zdałaś maturę z wyróżnieniem, no i że dostałaś się na Sorbonę. To doprawdy cudowne. Ale...

-Wiem, co chcesz powiedzieć, mam - ponownie przerwała jej Anastazja. - Mam nie zadawać się z tymi włóczęgami.

- Właśnie.

- Biedacy! Nie mogę nawet myśleć spokojnie o ich ubóstwie, o życiu, jakie wiodą.

- Tak, Anastazjo, to smutne. Ale świat jest pełen niesprawiedliwości, taki był zawsze i obawiam się, że ani ty, ani ktokolwiek inny nie jest w stanie pomóc tym ludziom w jakiś istotny sposób.

- Nie wierzę w to, mamó. Według mnie, udzielenie pomocy choćby jednej osobie może mieć duże znaczenie.

Margot obrzuciła ją baczny wzrokiem. Lepiej zmienić teraz temat, pomyślała. Anastazja, mimo iż tak słodka, ma swoje zdanie, jest bystra i nie w ciemię bita. A do tego jest uparta. Jeśli nie przestanę krytykować jej za kontakty z włóczęgami, jeszcze bardziej zatnie się w uporze. I tak wyjeżdżamy za parę dni.

Rzeczywiście, niebawem mieli wyjechać na resztę lipca i sierpień do swojej willi w Cannes, a potem Anastazję czekał wyjazd do babci, która mieszkała w Anglii. Tym samym traciła kontakt z kloszardami, a zresztą, można było przypuszczać, że studia zaabsorbują ją całkowicie.

Margot odetchnęła z ulgą i zmieniła temat rozmowy. - Po południu wybieramy się z Lucrezią po zakupy. Czy chciałabyś pójść z nami, kochanie?

- Dziękuję, ale niestety, nie mogę. Muszę rozejrzeć się za paroma książkami do historii, które są mi potrzebne. Yvette poradziła mi, abym zapytała o nie w tej starej księgarni przy Quai Saint-Michel.

Margot kiwnęła głową. - Ale nie zapomnij, że potem jemy razem obiad. Ojciec zaprosił kilka osób z Hollywood.

- Tak, mówił mi o tym. Dokąd pójdziemy?

- La Tour d'Argent.

- Na pewno będzie tam pełno bogatych turystów z zagranicy. Wiesz, co tam się zwykle dzieje w lipcu.

Margot uśmiechnęła się. - Ale to piękny lokal. Pomyśl o tym cudownym widoku na Notre Dame i na Sekwanę. Zresztą ci ludzie z Hollywood chcieli pójść właśnie tam.

- Jak zwykle - mruknęła Anastazja, a potem zapytała: - Czy tata bierze się teraz za kolejny amerykański film?

- Wygląda na to, że tak. Około ósmej będą w domu drinki, a o dziewiątej przeniesiemy się do restauracji.

- Nie martw się, mamó, wrócę na czas. Wiem dobrze, ile znaczą dla taty te służbowe wieczory. I obiecuję zachować się

wzorowo. - Zerknęła na matkę, a kąciki jej ust drgnęły podejrzenie, kiedy dodała: - Co najważniejsze: nie wspomnę nawet jednym słowem o kloszardach.

39

Maxim przechadzał się wolnym krokiem po nabrzeżu Sekwany, delektując się pogodnym popołudniem. Właśnie zjadł lunch ze swoim amerykańskim współnikiem, który przyjechał do Francji, i z satysfakcją rozmyślał o korzystnej transakcji, jaką przeprowadził. Pierwszy dzień spędzony w Paryżu okazał się nadzwyczaj udany.

Doszedł do Bulwaru Woltera i przystanął, zastanawiając się, czy nie wstąpić do Deux Magots na filiżankę kawy, jednak szybko zrezygnował z tego zamiaru. Wolał nie zbaczać z obranego już kierunku.

Nie szedł bez celu. Zmierzał w stronę katedry Notre Dame, której imponujące gotyckie wieże odcinały się niczym gigantyczni wartownicy od letniego, błękitnego nieba. Tafla Sekwany migotała nieznacznie w zamglonym blasku słońca, które przedzierało się przez listowie rosnących nad rzeką drzew.

Paryż był ulubionym miastem Maxima; przedkładał je nad Londyn, gdzie mieszkał i pracował, nad Nowy Jork, gdzie często przebywał w interesach, jak również nad Berlin, gdzie przecież przyszedł na świat. Ilekroć wracał do Paryża, miasto wydawało mu się jeszcze piękniejsze niż zachował je w pamięci. I każdorazowo było to dla niego przyjemne zaskoczenie.

Po raz pierwszy ujrzał to miasto na początku 1939 roku, kiedy wraz z mamą i Teddy uciekli z hitlerowskich Niemiec. Nigdy nie zapomniał tamtego okresu swego dzieciństwa, tych wspaniałych, szczęśliwych tygodni spędzonych z matką - ostatnich, jakie z nią spędził. Zachował w pamięci wiele wspomnień, wiele scen, i wiedział, że pozostaną już na zawsze, że stały się częścią jego samego.

Upłynęło aż trzynaście lat, zanim przyjechał tu po raz drugi. Było to w 1952 roku, kiedy obchodził swoje osiemnaste urodziny; pomysł pochodził od Marka, który zaproponował także, aby zaprosić na tę wycieczkę również Alana. Spędzili

wtedy wspaniałe chwile, a szczególnie zadowolona była Teddy. W lutym przyszło na świat jej drugie dziecko, chłopczyk, któremu dała imię David, na cześć brata Marka, który zginął podczas wojny, i perspektywa długiego weekendu w Paryżu wprawiała ją w nastrój podniecenia.

- Tego właśnie potrzebuję! - zawołała, kiedy Mark przedstawił jej swój pomysł świętowania urodzin Maxima w Paryżu.

- Przez cały okres ciąży wyglądałam jak wieloryb nakryty namiotem i teraz, kiedy odzyskałam dawną figurę, nie mogę się już doczekać, żeby kupić sobie trochę tych wdzięcznych francuskich ciuchów! Paryż to cudowny pomysł!

- Prawdziwym powodem jej entuzjazmu była jednak świadomość, jak wiele znaczy Paryż dla Maxima, który wiązał z tym miastem miłe wspomnienia kilku miesięcy spędzonych tam z Ursulą. Bez wahania zostawiła swą dwuletnią córeczkę Kay pod opieką niani i matki Marka, zaabsorbowana teraz wyłącznie osiemnastą rocznicą urodzin Maxima oraz podróżą do Paryża. Maxima traktowała jak własne dziecko, jak własnego syna, myślała o nim wiele. Był - i nie wątpiła, że tak będzie zawsze

- jej dumą i radością, był jej ulubieńcem, wierzyła w niego. Jak się okazało, podróż do Paryża w 1952 roku zapisała się

na trwale w ich pamięci, gdyż wtedy, w czerwcu, świętowali nie tylko rocznicę urodzin Maxima; większość czasu Maxim i Alan spędzili na wiwatowaniu i składaniu sobie wzajemnie gratulacji, jako że odnieśli właśnie swój pierwszy sukces zawodowy. Miesiąc wcześniej sprzedali należącą do nich parcelę na East End jednemu z wielkich londyńskich przedsiębiorstw budowlanych, teraz zaś dowiedzieli się, że zrobili na tym doskonały interes.

Ta udana transakcja doszła do skutku dzięki zbiegowi okoliczności, a ściślej mówiąc - dzięki pani Threscoe, kobiecie, która przychodziła regularnie do państwa Trenton sprzątać dom.

Alan i pani Threscoe darzyli się sympatią od czasów jego dzieciństwa, a z biegiem lat młodzieniec stał się jej najbardziej zaufanym powiernikiem. Kiedy w 1950 roku jej mąż został potrącony przez ciężarówkę i zmarł wskutek odniesionych obrażeń głowy, pani Threscoe, osoba bezdzietna, przyleciała do Alana z płaczem i przedstawiła swój problem. Jack Threscoe pozostawił niewiele oszczędności; niemal wszystko, co posiadał, było ulokowane w parceli na East End, rumowisku z czasów wojny, które nabył w 1946 roku. Teraz jego żona

była gotowa sprzedać tę ziemię, co więcej: musiała to uczynić, jak wyjaśniła Alanowi. Kłopot polegał na tym, że nie mogła znaleźć kupca.

Alan przekazał tę wiadomość swemu najlepszemu przyjacielowi, Maxim zaś medytował nad tym przez kilka dni, a potem zaproponował, aby razem obejrzeliby parcelę. „Jeśli mamy zostać biznesmenami, to właśnie teraz nadeszła pora działania”, oświadczył, dodając, że w różnych częściach Londynu rozpoczęła się już odbudowa zbombardowanych budynków. „Ta parcela może kryć w sobie duże możliwości, Serdelku. Wydaje mi się, że powinniśmy ją kupić. Z jednej strony pomożemy w ten sposób pani Threscoe, a poza tym, przy odrobinie szczęścia, dokonamy korzystnej inwestycji”.

Okazało się, że miał rację.

Zanim dwaj szesnastoletni chłopcy kupili działkę, należącą do Threscoe, Maxim poprosił o opinię Henry'ego Rossitera, który nadal dysponował jego majątkiem. Bankier skontaktował się ze swymi rzeczoznawcami do spraw nieruchomości, ci dokonali oględzin parceli i sporządzili raport, z którym zapoznał się Henry Rossiter, informując następnie Maxima, że inwestycja byłaby bezpieczna.

- Może nie zarobisz na tym wielkich pieniędzy, młodzieńcze, kiedy odsprzedasz tę ziemię, co z pewnością uczynisz któregoś dnia, ale też nie stracisz na tym - powiedział i w końcu kupił parcelę w ich imieniu. Pani Threscoe zaproponowała cenę pięć tysięcy funtów, co dawało jej przyzwoity i zarazem niewygórowany zysk, na co chłopcy przystali bez targów, dzieląc się kosztami na pół i stając się tym samym współnikami. Maxim podjął pieniądze z konta rodziców, kontrolowanego nadal przez Henry'ego Rossitera, Alan natomiast, za zgodą ojca, wykorzystał cały spadek po swoim wuju, dodając do tego trzysta funtów, które wniosła jego matka.

Dwa lata później obaj młodzieńcy sprzedali nabytą od pani Threscoe posiadłość za dwadzieścia pięć tysięcy funtów, zarabiając w ten sposób na czysto dwadzieścia tysięcy, ku własnemu zaskoczeniu oraz zdumieniu innych.

W tym samym czasie ukończyli w lipcu St. Paul's School i zamiast - jak to planowano uprzednio - podjąć studia w Oxfordzie, zdecydowali się utworzyć na bazie zarobionych dopiero co pieniędzy własną firmę.

Zarówno Teddy, jak również ojciec Alana, wyrazili sprzeciw, ale ostatecznie upór obu osiemnastolatków zwyciężył, głównie dzięki interwencji Henry'ego Rossitera.

„Zmuszać ich teraz do studiowania w Oxfordzie, to jak zamykać wrota zagrody już po ucieczce koni”, zauważył Rossiter w rozmowie z Teddy i panem Trentonem. „Odnoszę wrażenie, że ci dwaj młodzieńcy wybrali już swoją drogę kariery zawodowej, zdecydowali się na prowadzenie interesów i odnieśli swój pierwszy sukces. Po co więc ich hamować? Myślę, że dadzą sobie doskonale radę”.

Mark przychylił się do jego zdania i to ostatecznie przekonało Teddy, że nie popełni błędu, zezwalając Maximowi na rezygnację z wyższych studiów i zajęcie się interesami.

Maxim zamierzał właściwie być finansistą, nie myślał o handlu nieruchomościami i nie uczyniłby tego, gdyby nie Alan. Jednak posiadłość na East End przyniosła im tak olbrzymi zysk, że po rozmowie z Alanem, po wysłuchaniu jego argumentów, zgodził się pozostać w tej sferze interesów, przynajmniej na jakiś czas. Obaj przyjaciele otworzyli swoje biuro na Jermyn Street i utworzyli spółkę, nadając jej nazwę Westrent, co stanowiło połączenie ich nazwisk, po czym zajęli się skupowaniem terenów, które ucierpiały podczas wojny wskutek bombardowań, rozglądając się za nimi gdzie tylko się dało.

Przede wszystkim skoncentrowali się na najważniejszych miastach przemysłowych kraju, gdyż tam właśnie kierowała się niegdyś większość bombowców Luftwaffe, a więc głównie na Leeds, Bradford, Sheffield, Coventry i Birmingham - i szczęście dopisywało im, znajdowali bowiem parcele,

o jakie im chodziło, i to po przystępnej cenie. Po uporządkowaniu tych terenów i ogrodzeniu ich, spółka Westrent wystawiała je na sprzedaż, czekając na korzystną ofertę. W kilku przypadkach wspólnicy musieli czekać parę lat na odpowiedniego klienta, w sumie jednak ich działalność okazała się nadzwyczaj rentowna ze względu na świetną koniunkturę, jaką budownictwo w Anglii przechodziło w latach pięćdziesiątych.

W 1952 roku wydarzyło się jeszcze coś ważnego: Maxim postanowił zmienić legalnie swoje nazwisko. Kiedy powiedział Teddy, że chciałby zanglizować je, odrzucając końcówkę „heim” i pozostawiając tylko „West”, pochwaliła ten pomysł

1 zaaprobowała. „Twoi rodzice chcieli zrobić to samo, a twoja

matka rozmawiała ze mną wielokrotnie na ten temat w 1939 roku, kiedy przyjechaliśmy do Paryża. Wiesz, jak bardzo kochała Anglię i chciała, abyśmy byli Anglikami. Na pewno ucieszyłaby się z twojego zamiaru, tak samo twój ojciec. O zmianie nazwiska na West myślał już, zanim opuściliśmy Niemcy, ale książę von Wittingen powiedział mu, że admirał Canaris nie zdoła wyrobić mu paszportów na inne nazwisko".

I w ten sposób Maxim zmienił nazwisko, jak również narodowość. Stał się Maximilianem Western, naturalizowanym obywatelem brytyjskim, z brytyjskim paszportem i prawem do głosowania w wyborach. Kolejne lata potwierdziły trafność jego postępowania.

Kiedy handel nieruchomościami zaczął go nudzić, Maxim kupił kilka drobnych, nierentownych firm: drukarnię w Wakefield, przedsiębiorstwo autobusowe w Bristol i cegielnię w Nottingham. W stosunkowo krótkim czasie zdołał postawić je z powrotem na nogi, co zawdzięczał umiejętnie przeprowadzonej reorganizacji, jak również nowym zespołom kierowniczym, którymi zastąpił poprzednie, mniej udolne. Następnie sprzedał owe trzy firmy, robiąc na tym znowu świetny interes. I w ten sposób narodziło się jego kolejne przedsiębiorstwo: Westinvest.

Poza znakomitą orientacją w interesach, Maxim znał się pierwszorzędnie na zestawieniach bilansowych, cechowała go również niezwykła wyobraźnia i umiejętność patrzenia perspektywicznego oraz wyjątkowa intuicja, na której zwykł polegać i którą przedkładał czasem nad sprawozdania ekspertów i analizy. Zdawał się wtedy na wyczucie, miał bowiem w tych sprawach „nosa". To wszystko składało się na jego sukces i rokowało pomyślnie na przyszłość. Obecnie, w wieku dwudziestu pięciu lat, był dyrektorem generalnym firmy Westrent i przedsiębiorstwa Westinvest, posiadał elegancko urządzone mieszkanie w Mayfair oraz jeździł nowym, wiśniowym jaguarem, należał do kilku najwytworniejszych klubów w mieście, budził zainteresowanie śmietanki towarzyskiej Londynu, pokazując się u boku pięknych, młodych kobiet, między innymi znanych gwiazd filmowych, a prasa brytyjska określała go jako kogoś w rodzaju playboya. Uwielbiali go dziennikarze specjalizujący się w ploteczkach i skandalikach, prześcigali się w zachwytach nad jego olśniewającą prezencją, jego elegancją i stylem, urodą otaczających

go kobiet, wpaniałością przyjęć, jakie wydawał, oraz nad jego bogactwem.

On zaś traktował owe przyjęcia, kobiety i życie towarzyskie jako pewnego rodzaju dodatek, mile widziany przez innych, lecz mało znaczący. Jedyną rzeczą, do której przywiązywał wagę i która naprawdę sprawiała mu satysfakcję, była praca.

Alanowi oświadczył, że do chwili ukończenia trzydziestu lat zamierza zebrać majątek w wysokości miliona funtów - i Alan ani przez chwilę nie wątpił, że jego przyjaciel dopnie celu. Również Maxim podszedł do swoich słów z całą powagą; ów milion miał stać się miarą jego osiągnięć. I ta świadomość dopingowała go do potęgowania wysiłków. A więc jeszcze pięć lat, pomyślał dochodząc do Place Saint-Michel. Przystanął, czekając na zmianę świateł, i uśmiechnął się: był przekonany, że osiągnie to, co postanowił.

Dotychczasowe sukcesy Maxima wiązały się głównie z jego poświęceniem w pracy i zdolnością do długotrwałego zajmowania się interesami bez konieczności wypoczynku. Pomagał mu w tym jego wigor. Zazwyczaj wystarczało mu około pięciu godzin snu, często wstawał już o czwartej nad ranem, o wpół do piątej siedział przy biurku, załatwiając do siódmej całą korespondencję i pracę papierkową, po czym udawał się do swego biura przy Jermyn Street, gdzie spędzał resztę dnia. Pracował przez siedem dni w tygodniu, od dawna zdobył sobie miano „zatwardziałego pracoholika”, dlatego też parskał tylko śmiechem, kiedy kolejna gazeta kreowała go na playboya. Również teraz przypomniał sobie o tym i zachichotał w duchu. Też mi playboy, pokręcił głową. Gdyby oni wiedzieli, jaki jestem naprawdę!

W rzeczywistości wszystkie te ślicznotki, które zdobywał, pełniły jedynie rolę dekoracji na pokaz. Wprawdzie kilkakrotnie zakochał się i miał liczne romanse, ale z żadną z tych kobiet nie pozostał na dłużej. Po prostu nie trafił jak dotąd na odpowiednią. Czasem zastanawiał się, jakiej właściwie szuka. Idealnej? Był już na tyle mądry i doświadczony, aby wiedzieć, że nie istnieje coś takiego jak kobieta idealna. Ani mężczyzna idealny. Nie rozglądał się więc za brylantem bez skazy. Mimo to prawdziwa miłość zdawała się omijać go szerokim łukiem.

Światła zmieniły się na zielone i Maxim przeszedł na drugą stronę placu, kierując się ku Rue de la Huchette.

Idąc tą wąską, starą uliczką, poczuł przyływ nostalgii. Rozejrzył się dokoła. Po lewej stronie mieścił się hotel Mont Blanc, gdzie on i Serdelek zatrzymywali się kilkakrotnie, naprzeciwko znajdował się El Djazier, północnoafrykański klub nocny, gdzie obaj przychodzili często, aby napić się herbaty miętowej, popatrzeć na egzotyczne dziewczyny, wykonujące taniec brzucha i zjeść kuskus, potrawę z mielonego mięsa i prosa polaną pikantnym sosem. Kilkanaście metrów dalej mieściły się słynne kluby jazzowe, gdzie schodzili się melomani różnych narodowości, aby posłuchać występujących tu sław amerykańskiego jazzu. On też wpadał tu co pewien czas z Alanem.

Stanął jak wryty na widok Rue du Chat-qui-Pêche.

Była to mała uliczka, gdy był jeszcze dzieckiem. „To znaczy: Ulica Kota, Który Łowi Ryby”, przetłumaczyła wtedy mama, a on roześmiał się, ubawiony.

Odbywali właśnie jedną z tych swoich wycieczek po mieście, on, mama i Teddy. Ich inspiratorem była mama, która nazywała je „badaniem najciekawszych zakątków Paryża”. Rzeczywiście były ciekawe. Maxim polubił te malownicze zaułki i w późniejszych latach często przechadzał się po wąskich, brukowanych uliczkach, zaglądając przy okazji do księgarń i galerii sztuki.

Maxim minął kilka małych greckich i afrykańskich restauracji, doszedł do wylotu Rue de la Huchette i skierował kroki do jednej z kawiarenek, której okna wychodziły na rząd uroczych ogródków oraz na katedrę Notre Dame. Znalazł wolny stolik z widokiem na ulicę, a kiedy zjawił się kelner, zamówił napój cytrynowy. Dzień stał się ciepły i duszny; Maxim odchylił się do tyłu na wiklinowym krześle, rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli. W ciągu paru chwil na stoliku pojawił się napój, Maxim upił trochę i odprężył się, oddając się zadumie. Dziwne, jak bardzo był przywiązany do miejsc, gdzie spędzał dzieciństwo. Każdorazowo, gdy przyjeżdżał do Berlina w sprawach służbowych, albo też na spotkanie z ciotką Iriną, nie potrafił powstrzymać się od tego, aby pójść na Tiergartenstrasse lub do parku.

Urok wspomnień z dzieciństwa, pomyślał. Jak silnie działa na mnie! Ciekawe, czy inni odczuwają to w podobny sposób... A może to dlatego, że jako dziecko utraciłem tak wiele...? Czyżbym dlatego wracał stale do Paryża i Berlina, gdyż mam nadzieję odnaleźć tam coś, co wymknęło mi się z rąk

dawno, dawno temu? Czyżbym znajdował się w wiecznej pogoni? Ale za czym?

Jak zwykle, nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania...

Nieco później Maxim wszedł do Shakespeare and Company, antykwariatu księgarskiego prowadzonego przez sympatycznego Amerykanina o imieniu Bill, z którym znał się już od paru lat. Kiedy zapytał o niego, młoda ekspedientka poinformowała go, że Bill przyjdzie dziś dopiero po szóstej.

- Czy coś mu przekazać? - zapytała z miłym uśmiechem, pokazując nieskazitelnie białe zęby.

Potrząsnął głową. - Proszę mu tylko powiedzieć, że Książę chciał się z nim przywitać. Spróbuję wpaść tu jeszcze jutro.

- Okay, Książę - odparła dziewczyna i ponownie zajęła się układaniem książek na półce.

Maxim obserwował ją przez dłuższą chwilę, zaintrygowany doborem tytułów; były tam powieści Richarda Wrighta, Henry'ego Millera, Lawrence Durrella i Anais Nin. Przecież ci pisarze nie mieli ze sobą nic wspólnego! Czytał ich utwory i wiedział, że nie pasują do siebie, czemu więc ta dziewczyna ustawia ich książki na jednej półce? Raptem przypomniał sobie, że oni wszyscy mieszkali w Paryżu w tym samym czasie, a nawet byli przyjaciółmi. Może to właśnie dziewczyna uznała za cechę łączącą. Paryska koteria, pomyślał i z uśmiechem pokręcił głową.

Przez kilka minut szperał wśród wystawionych na sprzedaż staroci i w pewnej chwili dostrzegł egzemplarz „Młodych lwów” Irwina Shawa, którego uwielbiał. Otworzył książkę i zorientował się, że ma oto w ręku pierwsze wydanie, opublikowane przez Random House w 1948 roku. Natychmiast zapłacił za książkę i wyszedł ze sklepu, ściskając ją pod pachą, zadowolony z zakupu. W swoim londyńskim mieszkaniu miał całą półkę pierwodruków, był przekonany, że pierwsze wydanie „Młodych lwów” będzie znakomitym uzupełnieniem kolekcji.

Przeszedł na drugą stronę placu i skręcił w Quai Saint-Michel, do kolejnego antykwariatu, różniącego się nieco od księgarni Billa. W Arcel et Fils prowadzono sprzedaż jeszcze starszych książek, nawet z osiemnastego wieku, prawdziwych białych kruków, ale również pierwodruków.

Słyszając, że ktoś otworzył drzwi, właściciel antykwariatu odwrócił się od regałów, przy których stał, i na widok Maxima rozpromienił się na twarzy.

- Monsieur West! Cieszę się, że pana widzę.

- Ja też się cieszę, że pana widzę, monsieur Arcel - odparł Maxim. Postąpił do przodu i wyciągnął rękę.

Pan Arcel potrząsnął nią z zapalem. - Książkę, o której panu pisałem, trzymam na zapleczu. Zaraz ją przyniosę. Proszę poczekać chwilę.

Chodziło o rzadki album zabytkowej biżuterii i Maxim miał nadzieję, że monsieur Arcel nie przesadził w liście, zachwalając tę książkę. Byłby to doskonały prezent dla Marka.

Wsparł się łokciem o kontuar i powiódł dokoła wzrokiem. I właśnie wtedy dostrzegł tę dziewczynę. Wyprostował się i spojrzął na nią z uwagą.

Stała pod przeciwległą ścianą, mając za sobą okno, a światło późnego, popołudniowego słońca tworzyło wokół niej coś w rodzaju aureoli, przeobrażając jej długie blond włosy w zwój złotych nici. Twarz, którą widział z profilu, była szczytem doskonałości. Zauważył gładkie czoło, zgrabny, prosty nos, idealny, jakby rzeźbiony podbródek i długą szyję, wyłaniającą się z białej, jedwabnej bluzki, do której dziewczyna nosiła niebieską, bawełnianą spódnicę. Była smukła i gibka. Bose stopy tkwiły w sandałkach i mimo prostoty stroju z dziewczyny emanowała autentyczna elegancja, jakaś arystokratyczna godność.

Maxim nie mógł oderwać od niej oczu. Kim była?

Jakby uświadamiając sobie, że ktoś ją obserwuje, nieznajoma odwróciła się powoli i ich spojrzenia spotkały się. Miała duże, błyszczące oczy w popielato-niebieskim kolorze. Oczy marzycielki, pomyślał zafascynowany, nadal pochłaniając ją wzrokiem. Był zahipnotyzowany jej urodą. Ale kryło się w niej coś więcej, nie tylko uroda, coś co kazało mu wstrzymać oddech.

Nieoczekiwanie dziewczyna uśmiechnęła się. Był to najśliczniejszy uśmiech, jaki znał; kąćki jej pięknych ust uniosły się lekko i zarazem filuternie, tworząc wdzięczne dołki w policzkach oraz wnosząc do roziskrzonych oczu nagłą wesołość i radość.

Maxim odwzajemnił uśmiech.

Raptem poczuł się bardzo szczęśliwy, radość rozsadzała mu piersi. Był pewien, że sprawił to jej uśmiech, który zdawał się wypełniać pustkę w jego sercu.

Stali tak, wpatrując się w siebie.

- Oto ona, monsieur - odezwał się nagle właściciel antykwariatu, podchodząc do Maxima z albumem w rękę. - Książka jest naprawdę rzadka, a ilustracje są... wspaniałe!

Z widoczną niechęcią Maxim oderwał wzrok od dziewczyny i przeniósł go na album, który Francuz rozłożył przed nim na ladzie.

- Proszę spojrzeć na te zdjęcia! - zawołał monsieur Arcel.

- Tak, istotnie - mruknął Maxim. Przez chwilę posłusznie podziwiał książkę, ale niemal natychmiast, ulegając nakazowi impulsu, zerknął przez ramię. Niestety, tu czekało go rozczarowanie: dziewczyny nie było już przy oknie. Po prostu zniknęła.

Maxim odwrócił się do właściciela księgarni: - Tam przy oknie stała taka młoda kobieta - powiedział. - Czy ona już wyszła?

- Tak, monsieur West, dosłownie przed sekundą. Wtedy, gdy pan przeglądał książkę.

- Przepraszam pana - mruknął Maxim. Jednym susem znalazł się przy drzwiach, wybiegł na ulicę i zaniepokojony rozejrzał się dokoła.

Dostrzegł ją o kilkanaście metrów dalej; właśnie wsiadała do taksówki.

- Proszę poczekać! - zawołał.

Ale zgiełk uliczny zagłuszył jego słowa. Dziewczyna nie mogła go usłyszeć.

Stał i patrzył bezradnie jak taksówka włącza się w ruch uliczny w oddali. Potem westchnął i zniechęcony wrócił do księgarni.

- Czy pan zna tę dziewczynę, która tu była, monsieur Arcel?

- zapytał podchodząc do lady.

Francuz potrząsnął głową. - Bardzo mi przykro, ale nie. Widziałem ją dziś po raz pierwszy. Ale trzeba przyznać, że jest śliczna, prawda, monsieur West?

- To najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem - odparł Maxim.

* * *

- Nigdy jeszcze nie byłeś tak markotny jak dziś, Książę

- szepnął Alan, spoglądając ponad stolikiem na przyjaciela.

- Na miłość boską, rozchmurz się.

Maxim powstrzymał się od odpowiedzi. Podniósł tylko kieliszek burgunda, zamówionego wcześniej przez Alana, i upił trochę.

Alan poszedł za jego przykładem, ale nie przestał patrzeć w zadumie na Maxima.

Siedzieli przy narożnym stoliku w Chez André, wykwintnym bistro na Rue Marbeuf, w pobliżu Plaza-Athénée Hotel, gdzie zatrzymali się tym razem.

Odkąd wrócili o wpół do siódmej do hotelu, posepny nastrój Maxima nie dawał Alanowi spokoju. Wypił kolejny łyk, odstawił kieliszek i zauważył: - Masz minę, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata.

- I tak się też czuję. - Maxim spojrział na Alana, po czym mruknął: - Na pewno nie odnajdę już tej dziewczyny.

- Nie do wiary! - zawołał Alan. Na jego twarzy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. - Właśnie ty zachowujesz się w ten sposób z powodu jakiejś spódniczki! Ty! A przez te wszystkie lata sprawiałeś wrażenie, że jedyne, co cię ekscytuje i bawi, to robienie interesów! Widać z tego, jakim byłem idiotą, prawda?

- Z ubolewaniem pokiwał głową. - Doprawdy, Książę, wystrychnąłeś mnie na dudka!

Chcąc rozładować nieco ponurą atmosferę, Maxim zmusił się do uśmiechu. - To zachowanie nie pasuje do mnie, prawda?

- Tak mi się wydaje.

Milczeli przez chwilę, wreszcie Maxim nachylił się nad stolikiem i szepnął: - Czy mogę zdradzić ci pewną tajemnicę?

- Czemu nie? Jestem twoim powiernikiem, odkąd ukończyłeś osiem lat. Dlaczego mielibyśmy to teraz zmienić?

- Chyba jestem zakochany.

- Och, dajże spokój! - wybuchnął znowu Alan, oszołomiony tą nowiną, a potem parsknął śmiechem, nie przestając wpatrywać się w Maxima. Jednak niebawem uśmiech zamarł mu na ustach, on zaś zauważył ze smutkiem: - Dobry Boże, ty naprawdę nie żartujesz! Ale jak to możliwe, abyś zakochał się w dziewczynie, z którą nie zamieniłeś nawet jednego słowa? I to ty, Maxim West! Kobiety były przecież u ciebie zawsze na ostatnim miejscu!

- Tak, wiem. I oczywiście masz rację, Alanie - mruknął Maxim, czując się w tej chwili rzeczywiście trochę niezręcznie.

- Zachowuję się głupio, prawda? A więc zapomnijmy o tej dziewczynie i tych wszystkich głupstwach. Bo przecież to czyste głupstwa, nic więcej. A jak przebiegło twoje spotkanie?

- zapytał zmieniając temat.

- Dobrze. A nawet lepiej. Francuzi są gotowi do rozmów, co znaczy, że opłaciło mi się jechać do Wersalu na spotkanie z monsieur Verlandem. Rzeczywiście jest zainteresowany ropą z Afryki Północnej, powiedzmy: z Libii. W każdym razie zgadza się przyjechać na pertraktacje do Londynu, kiedy mój

ojciec wróci z Hongkongu. Myślę więc, że staruszek będzie ze mnie zadowolony. - Alan rozsiadł się wygodniej na krześle i obdarzył przyjaciela nikłym uśmiechem. - Co z tego, skoro ja wołałbym nadal być twoim wspólnikiem, stary druhu.

- Ja też, Serdelku. A więc wróć! Powiedz ojcu, że ropa naftowa zdążyła cię znudzić i że wolisz pracować ze mną w Westrent.

- Chciałbym tak zrobić, ale wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę. Opuszczając teraz ojca, zabiłbym go. Jestem mu naprawdę potrzebny.

- Wiem. Ale pamiętaj: zawsze powitam cię z radością, jeśli wrócisz do mojej firmy. Brakuje mi ciebie.

- Wzajemnie, Maximie. Byliśmy dobrymi wspólnikami, prawda? Dobraliśmy się.

- Rzeczywiście, trudno dobrać się lepiej.

Alan najwidoczniej łamał sobie nad czymś głowę. - A ta dziewczyna... ile miała lat?

- Siedemnaście, osiemnaście, coś koło tego. Czemu pytasz?

- Z pewnością jakaś studentka. Założę się, że kupowała u Arcela książki, jakich potrzebuje, i że jeszcze tam wróci. Może byśmy tak wpadli tam jutro? W sobotę i tak nie mamy nic do roboty.

- Ale po co? W jakim celu?

- Moglibyśmy zadać staremu Arcelowi kilka pytań. Z pewnością wie więcej niż mu się zdaje. To nic, odświeżymy mu pamięć. Nigdy nie wiadomo, może powiedziała mu coś, co pozwoli ustalić jej tożsamość, a on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Och, Serdelku... to nic nie da... po co... - Maxim umilkł. Dałby wiele, aby dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna i aby odnaleźć ją znowu.

40

Anastazja ujrzała go, zanim jeszcze on dostrzegł ją. Stał tyłem do niej, ale kiedy obrócił trochę głowę, zauważyła zarys jego twarzy i poczuła, że serce zamarło jej na moment. Od razu zorientowała się, że to ten sam, który wczoraj wpatrywał się w nią tak uparcie w antykwariacie Arcela.

To, że przyszedł na przyjęcie zorganizowane z okazji zaręczyn Yvette z Philipem Arnaudem, było już wystarczająco zdumiewające, ale najbardziej intrygował ją fakt, że zauważyła go w tłumie około dwustu osób. Co więcej: rozmawiał właśnie z jej matką, a przynajmniej zabawiał ją rozmową towarzyszącą temu nieznanemu blondyn, ON zaś stał obok, przysłuchując się im uprzejmie. Wyglądało na to, że blondyn i jej matka znają się dosyć dobrze, wskazywały na to ich miny.

Anastazja stała nieco dalej, obok olbrzymiej donicy z orchideą, jednej z wielu, jakie zdobiły ogród przed domem de Millinetów w Neuilly-sur-Seine, w pobliżu Łasku Bu-łońskiego.

Przesunęła się jeszcze bardziej za roślinę, tak aby skryć się przed wzrokiem innych i zarazem móc obserwować bez przeszkód matkę i owych dwóch nieznanymi.

* * *

Anastazja przybyła z rodzicami na przyjęcie mniej więcej pół godziny temu. Przywitali się z gospodarzami, złożyli gratulacje i życzenia narzeczonemu, a potem przystanęli w kącie, popijając szampana i podziwiając wystrój domu oraz elegancję gości. Mężczyźni nosili czarne muszki, kobiety miały na sobie suknie wieczorowe i mnóstwo biżuterii. Zapowiadało się nadzwyczaj wykwintne przyjęcie, śmietanka towarzyska Paryża mieszała się z osobistościami filmu i rekinami finansjery.

Niebawem rodzina Derevenko rozdzieliła się: Alexander dostrzegł kilku znajomych z branży filmowej i podszedł do nich, aby pogawędzić przy barku, Margot dołączyła do swoich przyjaciółek, Lucrezii i Sophii, Anastazja zaś kręciła się bez celu tu i tam, rozglądając się za kimś, z kim mogłaby porozmawiać. Rozczarowana stwierdziła niebawem, że na przyjęciu jest niewiele dziewcząt, zwłaszcza takich, z którymi łączy ją zażyłe stosunki. Poczuli się zagubiona, tym bardziej że Yvette nie odstępowała Philippa, swego narzeczonego, nawet na krok, tak jakby przestała istnieć dla wszystkich innych. W ogóle młodych ludzi było tak mało, że Anastazja zaniepokoiła się nie na żarty. Czyżby miało to być jeszcze jedno z tych nudnych przyjęć, takich... tylko dla starszych? Może państwo de Millinet zaprosili więcej swoich znajomych niż rówieśników córki?

A potem, zaledwie sekundę później, dostrzegła **JEGO**. I natychmiast pomyślała sobie: To **PRZEZNACZENIE**. Było nam przeznaczone spotkać się ponownie. Wiedziałam, że tak będzie.

Od wczorajszego popołudnia myślała o nim bezustannie. Kiedy wróciła do domu, nie mogła odżalować swojej panicznej ucieczki z antykwariatu monsieur Arcela na Quai Saint-Michel. Ale ten przystojny mężczyzna sprawiał wrażenie tak pewnego siebie i wpatrywał się w nią tak intensywnie swymi ciemnymi, przenikliwymi oczyma, że raptem ogarnął ją strach. Wydała się sobie mało warta, nieśmiała, niezręczna, dziecinna. Rzeczywiście, jeśli chodziło o kontakty z mężczyznami, była jeszcze bardzo mało doświadczona. Dlatego też uciekła, wybiegła na ulicę i wskoczyła do pierwszej lepszej taksówki.

Tego samego dnia, wieczorem, kiedy wybierała się z rodzicami do restauracji, aby spotkać się ze znajomymi ojca z Hollywood, postanowiła uczynić z siebie osobę bardziej dojrzałą, starszą. Doświadczoną, dopowiedziała w duchu, malując usta różową szminką i zakładając jedną ze swoich nowych kreacji, dwuczęściową suknię z czarnego jedwabiu i czarne pantofle na wysokim obcasie.

Ojciec sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego, kiedy wyszła do ogrodu przywitać się z gośćmi. Bąknął coś o tym, że wygląda sztywnie, takiego słowa nie używał nigdy w stosunku do niej, matka natomiast uśmiechnęła się i skinęła z uznaniem głową. Potem, kiedy byli już w La Tour d'Argent, Anastazja zauważyła, że mnóstwo ludzi zerka w jej stronę. Sprawilo jej to przyjemność.

Wczorajszy wieczór był właściwie testem; miał ją przysposobić, przyszykować na spotkanie z NIM. Była pewna, że ich drogi zetkną się kiedyś ponownie, nie wiedziała tylko, kiedy.

To było nam sądzone, myślała teraz, obserwując jego wyrazisty profil. Zastanawiała się, co powinna uczynić, i doszła do przekonania, że najlepiej byłoby podejść do niego natychmiast, tak żeby matka, zajęta rozmową z blondynem, mogła dokonać wzajemnej prezentacji.

Zawahała się i w tej samej chwili zauważyła, jak matka skinęła z wdziękiem głową i oddaliła się w stronę stojącej nieopodal grupki znajomych.

Teraz, ponagliła siebie w duchu. Idź teraz. Idź, zanim będzie za późno, zanim zniknie w tłumie.

Idąc skrajem parkietu, gdzie kilka par tańczyło już w takt dyskretnej muzyki, znalazła się wkrótce po drugiej stronie ogrodu i przystanąła tuż za NIM.

Był wysoki, wyższy niż myślała. Przynajmniej metr osiemdziesiąt, może nawet więcej. I dobrze zbudowany.

- Dobry wieczór - powiedziała.

Odwrócił się zaskoczony, to samo uczynił towarzyszący mu blondyn, i obaj wlepili w nią wzrok. Usłyszała, jak głośno nabiera tchu, dostrzegła na jego twarzy niedowierzanie, a potem jego oczy zajaśniały radością.

- To pani! - wykrzyknął.

- Witam.

Wyciągnął do niej rękę. - Jestem Maximilian West. Proszę podać mi swoje nazwisko. Ale natychmiast, zanim znów pani zniknie.

Ścisnęła mu lekko dłoń. - Jestem Anastazja Alexandra Derevenko.

- Jakie piękne imiona! Witaj, Anastazjo. Witaj, witaj.

- Obrócił się do przyjaciela. - Alanie, to Anastazja, owa młoda dama z antykwariatu Arcela.

- Domyśliłem się tego - odparł Alan. - Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo się cieszę, Anastazjo. A jeszcze przed chwilą rozmawiałem z pani matką. Bo pani jest córką madame Derevenko?

Kiwnęła głową i zmarszczyła lekko brwi. - Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

Alan uśmiechnął się. - Moi rodzice mają willę w Cannes i przyjaźnią się z de Millinetami. Jeśli chodzi o nas oboje, to owszem, myślę, że poznaliśmy się kiedyś. Co prawda przelotnie i dawno temu. Miała pani wtedy około dwunastu lat.

- Uśmiechnął się ponownie. - Ale teraz muszę was przeprosić. Zauważyłem moją dobrą znajomą, Camille Galland, aktorkę. Powinienem chyba podejść do niej i porozmawiać. Wygląda na samotną i trochę tu zagubioną. Zobaczymy się potem.

- Już myślałem, że znowu cię straciłem - szepnął Maxim po odejściu Alana. Nadal trzymał ją za rękę. - Bałem się, że już nigdy cię nie odnajdę.

- A ja wiedziałam, że się spotkamy - odparła z rozbijającą szczerością.

- Naprawdę?

- O tak, byłam tego pewna.

- Dlaczego? To znaczy... jak mogłaś być tego pewna?

- To przeznaczenie.

Zaskoczony, szukał przez chwilę słów. - Chcesz powiedzieć, Anastazjo, że jestem twoim przeznaczeniem?

- Tak. A ja twoim.

- Daj Boże, aby tak było. Uśmiechnęła się lekko, spoglądając na niego coraz bardziej rozmarzonym wzrokiem. Wczoraj w księgarni zrobił na mej duże wrażenie, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest AZ TAK przystojny, miał twarz o niezwykle męskich, wyrazistych rysach, ciemne i błyszczące oczy, prosty, kształtny nos nad ustami, o których mogła powiedzieć tylko jedno: piękne, były bowiem pełne, szerokie i zmysłowe. Nie ma w nim nic pośledniego, pomyślała, wygląda na człowieka o wielkim sercu. Mówiły jej to jego oczy i wargi, jak również wyraz jego twarzy. Ciemne, kasztanowate włosy były zaczesane do tyłu, odsłaniając wysokie czoło, dostrzegła też natychmiast nieskazitelność jego stroju; smoking został uszyty z pewnością przez najlepszego krawca w Savile Row, a guziki na gorsecie cienkiej, jedwabnej koszuli wykonane były z ładnie oszlifowanych szafirów osadzonych w złocie. Kosztowne i zarazem wytworne, podobnie jak płaski, złoty zegarek na jego rękę. Staranna elegancja jego wyglądu sprawiła Anastazji przyjemność. Lubiła, kiedy mężczyzna był dobrze ubrany, tak jak jej ojciec.

Również Maxim nie mógł oderwać oczu od twarzy, która ukazywała mu się niemal nieprzerwanie przez całą ostatnią dobę. Była to twarz nieskończenie piękna i delikatna, z nikłym rysem tajemniczości, co dostrzegł już wczoraj. Twarz anioła, pomyślał, anioła Botticellego. Tym, co urzekało go w niej najbardziej, były jednak jej oczy: błyszczące i pełne światła, o wspaniałym kolorze przyćmionego błękitu. Przypominały mu oczy matki. . .

Uzmysłowił sobie, że dziś dziewczyna wygląda na bardziej dojrzałą niż wczoraj. W dużym stopniu było to zasługą uczesania; włosy, splecione w warkocze, tworzyły na czubku głowy coś w rodzaju małej korony. Całości dopełniała różowa szminka na ustach oraz tusz na długich, gęstych rzęsach. Wczoraj nie była w ogóle umalowana. Szyfonowa suknia, jaką dziś założyła, i wytworna biżuteria z opalami i diamentami podkreślały tylko jej naturalną urodę.

Dopiero po dłuższej chwili zdołał przemówić. - Czym się zajmujesz, Anastazjo?

- Chodzę do szkoły. A raczej chodziłam, bo niedawno zdałam maturę. Jesienią zaczynam studiować na Sorbonie.
- Ile masz lat?
- Osiemnaście. A ty, Maximilianie?
- Dwadzieścia pięć. I mów mi Maxim.
- Dobrze, Maximie. A czym ty się zajmujesz?
- Jestem finansistą.

Roześmiała się. - Mając dwadzieścia pięć lat!

- Oczywiście. - Spojrzał na nią przekornie. - Jestem bardzo mądry.
- Nie wątpię w to. - Roześmiała się ponownie. - Może zatańczymy? To moja ulubiona piosenka.
- Jak się nazywa?
- „Darling, Je Vous Aime Beaucoup”*.
- Wydaje się stosowna do tej chwili i do nas, a więc zatańczmy.

Nie puszczając jej dłoni, objął ją wpół drugim ramieniem i poprowadził na parkiet. Tam przystanął i trwał tak przez chwilę, przyciskając ją do siebie tak mocno, że słyszała, jak szybko bije mu serce. Tak szybko jak jej.

- Bardzo ładna piosenka - powiedział z uśmiechem, kiedy zaczęli tańczyć.
- To utwór znajomej mego ojca - poinformowała go. - Nazywa się Anna Sosenko. Ona również pracuje w rozrywce.
- Czy to znaczy, że i twój ojciec pracuje w tej branży?
- Tak, jest producentem filmowym.

Poruszali się w rytm melodii, a kiedy Maxim przesunął nieco w dół rękę, którą obejmował ją w pasie, Anastazja przywarła do niego całym ciałem. Tańczyli w milczeniu, policzek przy policzku, ona zaś żałowała, że ten taniec nie może trwać wiecznie. Maxim myślał o tym samym.

Przetańczyli jeszcze kilka melodii, nie chcąc przerywać intymnego nastroju, jakiemu poddali się z ochotą. W końcu jednak Maxim poprosił: - Usiądźmy gdzieś i porozmawiajmy, Anastazjo.

Było kilka ważnych spraw, które musiał z nią omówić.

* „Skarbie, bardzo cię kocham” - przyp. tłum.

41

Usiedli przy małym, dwuosobowym stoliku, ukrytym w kącie, tuż obok klombu, gdzie kwitły hortensje, tulipany i azalie, i napili się szampana.

- Cieszę się, że poznałem twoją mamę - odezwał się Maxim. - To naprawdę czarująca osoba. Czy jest tu również twój ojciec?

- Tak, oczywiście. Stoi przy barku z przyjaciółmi. To ten z niebieskim chabrem w butonierce. - Anastazja uśmiechnęła się. - Tata zawsze przypina sobie kwiatki. To coś w rodzaju... znaku firmowego.

Maxim spojrział we wskazanym kierunku, wyciągając szyję.

- Tak, już wiem który. Bardzo atrakcyjny mężczyzna.

- Obrócił się do niej i zauważył: - Masz rosyjskie nazwisko, ale przypuszczam, że twój ojciec mieszka we Francji już od dawna, prawda?

- On się tu urodził. W 1918 roku. Moi dziadkowie opuścili Rosję po wybuchu rewolucji, przybyli do Paryża w 1917 i zamieszkali tu na stałe.

- A twoja mama, sądząc po akcencie, jest Angielką?

- Tak, ale matka jej ojca była Francuzką, tak więc w nas obu płynie francuska krew. W każdym razie kropla krwi francuskiej. Z domieszką rosyjskiej i angielskiej oczywiście, taki już ze mnie mieszaniec.

- Powiedziałbym, że wybitnie uroczy.

Zarumieniła się, słysząc komplement, i wymamrotała: - Ty natomiast jesteś Anglikiem, Maximie, prawda?

- Tam wychowałem się i uczyłem, mam też obywatelstwo angielskie, ale urodziłem się w Niemczech.

- Coś podobnego! Nigdy bym nie pomyślała! - Impulsywnie nachyliła się nad stolikiem. - Ale teraz mieszkasz w Paryżu?

- Nie, w Londynie, niestety.

- Dlaczego: niestety?

Rzucił jej długie, wymowne spojrzenie. - Bo ciebie tam nie ma.

Nie odwróciła wzroku. W jej oczach zatańczyły iskierki.

- Uwielbiam Londyn i często tam przyjeżdżam. Odwiedzam moją angielską babcie.

- A więc spotkajmy się, kiedy tam będziesz.

Kiwnęła głową. - Babcia spodziewa się mnie w sierpniu.

- Przyjadę po ciebie na lotnisko.

- Cudownie.

Spojrzał na nią uważnie. - Czy pozwolą ci wyjść za mąż?

- Kiedy?

- Natychmiast.

- Nie, jeszcze nie. Kiedy ukończę dwadzieścia lat. Może. Za dwa lata.

- W przyszłym roku?

- Może.

- Mówię poważnie, Anastazjo.

- To oczywiste, wiem o tym. Ja też mówię poważnie. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie, nie mówiąc nic, rozpamiętując to, czego właśnie dowiedzieli się o sobie.

- Chodź, zapoznam cię z moim ojcem - powiedziała Anastazja.

Wstali i przeszli przez ogród, kierując się w stronę barku.

Na widok córki Alexander Derevenko rozpromienił się; widać było, że jest jego oczkiem w głowie. Ojciec Anastazji był wysokim, postawnym, atrakcyjnym, mężczyzną o ciemnych, kędzierzawych włosach, jasnoszarych oczach i nieco szerokiej, słowiańskiej twarzy. Miał na sobie doskonale skrojony, wytworny smoking; w kieszonce na piersi tkwiła fantazyjnie złożona, granatowa jedwabna chusteczka, harmonizująca znakomicie z drobnym, świeżym chabrem w butonierce.

- Anastazjo! - zawołał. - Gdzieś ty się podziewała przez ostatnie pół godziny?

- Tańczyłam... i rozmawiałam... z Maximem, tato. - Spojrzała na Maxima i przeniosła wzrok na ojca. - Chciałabym ci go przedstawić. Maximilian West... Alexander Derevenko.

- Bardzo mi miło - powiedział Maxim, ściskając podaną mu rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie West. Pozwoli pan, że przedstawię mu swoich przyjaciół. Ilya Lopert, Gregory Ratoff, Anatole Litvak i Sam Spiegel.

Maxim podał im kolejno rękę, oni zaś przywitali się serdecznie i natychmiast skierowali uwagę na Anastazję; najwidoczniej była ich ulubienicą.

Alexander zwrócił się do Maxima. - Czy poznał pan de Millinetów w Paryżu, panie West? A może w Cannes?

- W Cannes. Ale, prawdę mówiąc, nie znam ich zbyt dobrze. Przyjaźnią się z Trentonami, rodzicami mego najbliższego przyjaciela, Alana, który przyszedł ze mną na to przyjęcie.

- O, a więc są tu i Trentonowie! - zawołał Derevenko. - Chętnie się z nimi przywitam. Widywałem ich od czasu do czasu w Cannes, głównie w towarzystwie de Millinetów. Uroczą parę.

- To prawda. Ale obecnie przebywają w Hongkongu. Dlatego właśnie Alan i ja wyrwaliśmy się tu z Londynu na weekend. Chcieliśmy uczestniczyć w przyjęciu zaręczynowym Yvette, jak również dopilnować trochę interesów.

- A jakiego rodzaju interesy pan prowadzi, panie West?

- Finanse. Jestem finansistą.

- To ciekawe - odparł Derevenko.

Anastazja wzięła Maxima pod rękę. - Musimy już iść, odszukać Alana - oświadczyła. - Obiecaliśmy mu, że usiądziemy przy stole obok niego.

- Och tak, rzeczywiście - powiedział czym prędzej Maxim, odgadując jej intencje.

Anastazja, z uroczym uśmiechem na twarzy, przesłała ojcu i jego przyjaciółom kilka całusów, po czym oddaliła się, uwieszona na ramieniu Maxima.

- Przykro mi, że musiałam skłamać - szepnęła. - Ale gdybyśmy nie umknęli, tata wciągnąłby cię w nie kończącą się rozmowę na temat finansowania filmów i wszystkich tych nudnych spraw zawodowych. Dostrzegłam już ten błysk w jego oczach, kiedy powiedziałeś mu, że jesteś finansistą.

Maxim uśmiechnął się. - Ale ja nie finansuję produkcji filmowej.

- On tego nie wie. Poza tym nie mamy chyba zamiaru siedzieć przy stole z moimi rodzicami, prawda?

Potrząsnął głową. - Miałaś dobry pomysł. I naprawdę myślę, że powinniśmy odnaleźć Alana, dowiedzieć się, co on zamierza z Camillą Galland.

- Znasz ją? - zapytała Anastazja, zerkając na niego kątem oka.

- Nie, jeszcze nigdy z nią nie rozmawiałem. Ale obejrzałem jej ostatnią sztukę na East End. To niezła aktorka.

- O ile wiem, ma zagrać w filmie jednego ze znajomych taty, Pierre'a Petrovicci. Może właśnie dlatego jest tu dzisiaj. Pierre jest bliskim przyjacielem Jacquesa de Millineta, którego bank finansuje mnóstwo filmów, a zwłaszcza te, które są realizowane przez kolegów taty.

- A kim są ci czterej, których poznałem? Czym się zajmują?

- To bywalcy hotelowi - odparła Anastazja, w jej oczach

zajaśniały wesołe iskierki. - Mama mówi zawsze, że nie było nigdy i nie ma większych od nich.

- Nie bardzo rozumiem. - Maxim spojrział na nią zdumiony, marszcząc brwi. - Dlaczego ich tak nazwałaś?

- Bo zawsze można ich znaleźć w najlepszych hotelach świata. W George Cinq i Prince de Galles w Paryżu, w londyńskim Claridge's, w Exscelsior w Rzymie, w nowojorskim St. Regis i w Beverly Hills - wyjaśniła. - Tam prowadzą swoje nie kończące się rozmowy służbowe. - Znowu roześmiała się, a potem dodała: - Ale żarty na bok... to naprawdę grube ryby w przemyśle filmowym.

- Co konkretnie robią?

- Sam Spiegel jest doskonałym producentem. Zrealizował „Most na rzece Kwai” i „Afrykańską królową”, żeby wymienić tylko te najważniejsze. Teraz rozmyśla o filmie na temat Lawrence'a z Arabii, tak mi powiedział tata. Grisza Ratoff i Tole Litvak są reżyserami, a Ilya Lopert jest producentem, podobnie jak tata i pan Spiegel. Jednym z jego ostatnich filmów jest „Pora letnia”. Wtedy, gdy powstawał, tata zabrał nas do Wenecji, gdzie kręcono zdjęcia. Wenecja to moje ulubione miejsce, wiesz? W każdym razie film był piękny, bardzo romantyczny... i smutny. Może go widziałeś?

- W samej rzeczy. Z Katharine Hepburn i Rossano Brazzini, prawda? A twój ojciec? To znaczy, czy mogłem widzieć któryś z jego filmów?

- Jestem pewna, że tak. Jego ostatni to „Oczy miłości”.

- Po krótkiej chwili milczenia dodała: - Grała w nim Camilla Galland, ale nie ona była w nim gwiazdą. Główną rolę kobiecą grała Janice Mills.

- Tak, znam ten film. Był wspaniały. To piękna historia... Ale w takim razie musisz znać Camillę.

- Niezupełnie, chociaż widywałam ją kilkakrotnie.

- A ja nie. Może podejmiemy i przywitamy się z nią? Spójrz, stoi tam... cały czas z Alanem. Najwidoczniej przypadł jej do gustu. Albo vice versa. - Maxim przeniósł wzrok na Anastazję i mrugnął do niej, robiąc poważną i markotną minę. - Dobry, stary Serdelek! Cieszę się, że znalazł sobie dziewczynę na wieczór.

- Serdelek! - zawołała Anastazja. - Co za dziwne imię! Mimo woli Maxim roześmiał się. - To prawda - przytaknął.

- I cała wina leży po mojej stronie. Kiedyś nazwałem go tak w internacie, mieliśmy wtedy osiem czy dziewięć lat. I tak już

zostało. W rewanżu nazwał mnie Księciem, była to aluzja do księcia austriackiego, Maximiliana, bo uznał, że mam w sobie coś wielkopańskiego, władczygo.

- A masz?

- Czasem tak. A przynajmniej tak uważa Alan. Zamyśliła się, po czym oświadczyła: - W każdym razie Książę to dużo pochlebniejszy przydomek niż Serdelek.

- Z pewnością - przyznał jej rację. - Chodźmy, przyłączmy się do nich.

* * *

- Witaj, Anastazjo! Cieszę się, że znowu cię widzę! - Camilla Galland uśmiechnęła się słodko, nachyliła się i cmoknęła dziewczynę w policzek.

- Ja też się cieszę - odparła Anastazja. - Chciałabym przedstawić ci Maximiliana Westa. To przyjaciel Alana. Camilla i Maxim podali sobie ręce.

- Właśnie chcieliśmy rozejrzeć się za wami - powiedział Alan. - Myślę, że powinniśmy znaleźć sobie jakiś stolik... goście zaczynają już siadać do posiłku.

- Tak, to prawda - poparła go Anastazja. - Yvette uprzedziła mnie, że dziś nie będzie karnecików, możemy więc siadać tam, gdzie chcemy.

- Oto przyjemny stolik dla naszej czwórki, usiądźmy przy nim - zaproponował Maxim. Nie czekając na zgodę pozostałych, poprowadził Anastazję we wskazanym kierunku, mówiąc przy tym cicho: - Wybrałem mały stolik, bo tam będzie bardziej intymnie. Teraz, kiedy cię odnalazłem, nie mam zamiaru dzielić się tobą z całym tłumem.

Spojrzała na niego z powagą i przyznała niskim głosem:

- Ani ja, Maximie.

Patrzyli sobie w oczy, niepomni na wszystko, co działo się wokół nich. Maxim musiał zapanować nad sobą, chciał porwać Anastazję w ramiona i pocałować ją w obecności innych, natychmiast. Przy niej zapominał o całym świecie. Poprowadził ją dalej, zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim znajdą się sam na sam.

Po chwili siedzieli już przy stoliku, a Maxim ujął Anastazję za rękę: - To niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności, że przyszliśmy dziś z Alanem na to przyjęcie

- oświadczył.

Skinęła głową i zaczęła rozmyślać o tym, jaki Maxim jest wspaniały. Żałowała, że nie są w tej chwili sami; wtedy mógłby ją pocałować. Wiedziała, że i on pragnie tego samego.

Camilla i Alan przysiedli się do nich; Camilla nawiązała od razu rozmowę z Maximem, Alan natomiast zwrócił się z miłym uśmiechem do Anastazji: - Twoja matka powiedziała mi, że macie nową willę w Cannes?

- Tak, wśród wzgórz otaczających miasto. To piękny teren, matka uwielbia go, bo ma tam większą przestrzeń i może oddać się do woli swojej pasji ogrodniczej. O ile wiem, twoi rodzice mają tam w pobliżu dom?

Alan kiwnął głową. - Kilka lat temu dokupili jeszcze jedno miejsce. Posłuchaj, myślę, że pod koniec miesiąca moglibyśmy spotkać się wszyscy razem. Maxim i ja zamierzamy pojechać do Cannes jeszcze w lipcu. Będiesz tam w tym czasie?

- O tak!

Maxim, który gawędząc z Camillą przysłuchiwał się ukradkiem ich rozmowie, ścisnął dłoń Anastazji.

- Muszę mieć numery twoich telefonów w Paryżu i w Cannes, dam ci też swoje - szepnął. - Tak aby w ...

- Już wiem, skąd cię znam, Maximilianie! - przerwała mu Camilla. - Widziałam twoje zdjęcia w gazetach, prawdę mówiąc, prasa zamieszcza je bezustannie. Dla dziennikarzy jesteś widocznie smacznym kąskiem.

Maxim miał tylko nadzieję, że aktorka nie powie teraz nic na temat jego reputacji playboya, tym bardziej że nie miało to wiele wspólnego z prawdą. Na szczęście Camilla nie wspomniała o tym nawet jednym słowem, zapytała natomiast:

- Przyjaźnisz się z Faith Carr, prawda?

- Tak, podobnie zresztą jak Alan. Jej narzeczony, John Fuller, prowadził z nami interesy. Czy to twoja przyjaciółka?

- Jedna z najbliższych - odparła z uśmiechem. Anastazja oparła się wygodnie o poręcz krzesła, popijając chłodzony napój podany właśnie przez kelnera i przysłuchując się jednym uchem rozmowie przy stoliku. Jej myśli krążyły wokół osoby Camilli Galland; było w niej coś, co jej się nie podobało, a nawet przeszkadzało. Nie potrafiła powiedzieć, co to takiego, wiedziała tylko, że w towarzystwie Camilli czuje się niezbyt pewnie, tak samo zresztą jak wielokrotnie w przeszłości. Postanowiła mieć się na baczności.

Tamta trójka roześmiała się właśnie, najwidoczniej bawiąc się doskonale, ale Anastazja poczuła się raptem jeszcze

bardziej spięta. Miała wrażenie, jakby była raczej obserwatorem niż uczestnikiem, przynajmniej w tej chwili. Maxim nie przestawał mówić i zdawał się nie dostrzegać jej skrępowania, za co była mu wdzięczna. Nie chciała, aby pomyślał o niej, że trzyma się na uboczu, bo jest snobką. To nie było tak. Po prostu zachowywała się powściągliwie i ostrożnie ze względu na obecność Camilli. Znowu zaczęła szukać w myślach przyczyny swojej nieufności. Prawie nie знаła tej angielskiej aktorki, do tej pory spotkała się z nią zaledwie parę razy kiedy Camilla grała w filmie jej ojca. Musiała też przyznać w duchu, że ta młoda kobieta była wobec niej zawsze miła i serdeczna. Tak samo jak dziś, pomyślała Anastazja i spojrzała na nią z uwagą. Camilla wydawała się ładna, ale mogła to być opinia jedynie kogoś niezbyt wymagającego. Lekko rudawe włosy, jasna cera i zielonkawe oczy czyniły z niej typową Angielkę. Miała dwadzieścia sześć lat, wyglądała jednak na młodszą, mimo bardzo eleganckiej wizytowej sukni obszytej czarną koronką i kosztownej biżuterii.

Ciekawe, od kogo ma te diamenty, pomyślała Anastazja i aż poruszyła się nerwowo na krześle. Nagle coś jej się przypomniało. W zeszłym roku, kiedy byli u ciotki Lucrezu w Cannes podsłuchiwała przypadkowo rozmowę ciotki z matką o Camilli Galland; obie zastanawiały się, kto jest aktualnym „opiekunem Camilli, i omawiały imponującą kolekcję klejnotów aktorki, po czym Lucrezia zauważyła: „A sprawia wrażenie, jakby nie umiała nawet zliczyć do czterech, prawda?” Obie roześmiały się, a matka dodała jeszcze: „Moim zdaniem, na tę małą lepiej mieć oko . Czyżby chodziło właśnie o to? - rozmyślała teraz gorączkowo Anastazja. Czy moja niechęć do niej wiąże się z tym, co sugerowały już wcześniej matka i ciotka Lucrezia, czy też niepokoi mnie w niej coś innego? Nie była pewna.

- Nic nie mówisz, Anastazjo - usłyszała głos Maxima - ale to moja wina. Przez cały czas rozprawiamy o ludziach, których nie znasz, to niegrzeczne z naszej strony. - Spojrzał na nią uważnie. - Wyglądasz na przygnębioną. Czy coś się stało?

- Nie, skądże - zapewniła, patrząc z uśmiechem w jego ciemne oczy.

- Chodź, zatańczymy - zaproponował i podał jej rękę, gdy wstawiała z małego, pomalowanego na żółty kolor krzesła. I znowu trzymał ją mocno wymionach, a ona tuliła się do niego całym ciałem. Oboje zdawali sobie sprawę, że znaczą dla siebie bardzo dużo.

Upłynęło zaledwie kilka sekund, kiedy Maxim szepnął jej do ucha: - Yvette jest twoją przyjaciółką, musisz więc znać dobrze ten dom. Czy nie moglibyśmy wymknąć się gdzieś na chwilę, być tylko we dwoje, pospacerować? Zauważyłem, że posiadłość de Millinetów jest naprawdę duża.

- Tak, to prawda. Chętnie przejdę się z tobą zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Tu zrobiło się dosyć duszno. Trzymając się za ręce, opuścili parkiet, i skierowali się do tej części ogrodu, gdzie nie rozstawiono ani jednego z trzech olbrzymich namiotów na dzisiejsze przyjęcie.

Wieczór był piękny, ciepły, kojący i łagodny. Czarne jak atrament niebo, usiane drobnymi gwiazdami, usiłował rozświetlić nieco zamglony księżyc w pełni. Powietrze przesycone było zapachem kapryfolium, róż i innych rosnących tu obficie kwiatów.

Maxim nabrał chciwie powietrza w płuca. - Piękny wieczór - szepnął. - A ty jesteś prześliczna, moja cudowna, nieprawdopodobna Anastazjo! - Objął ją ramieniem i lekko pocałował w policzek, a potem w milczeniu ruszyli dalej, w stronę klombu z różami. Wczoraj, kiedy Anastazja obdarzyła go uśmiechem, Maxim poczuł się niezwykle szczęśliwy i uświadomił sobie natychmiast, że ta dziewczyna jest dla niego kimś specjalnym. W jej towarzystwie odnosił wrażenie, jakby smutek, który tkwił w nim od lat, odpływał gdzieś w dal.

Przechadzali się przez jakiś czas między różami, a kiedy usiedli na prostej, żelaznej ławeczce, Maxim wyciągnął rękę, obrócił twarz Anastazji ku sobie i spojrzał jej głęboko w oczy. 'Potem odnalazł ustami jej miękkie, pełne wargi i przywarł do nich w namiętym pocałunku. Odpowiedziała z nie mniejszym żarem, ich podniecenie narastało z każdą chwilą, oboje przedłużali pocałunek, zapominając o całym świecie. Anastazja drżała na całym ciele, jakieś gwałtowne, rozkoszne uczucia brały nad nią górę, wiedziała już na pewno, że chce być zawsze z Maximem, że on, nikt inny, jest dla niej właściwym mężczyzną. Jedyńm, którego pragnęła. Jedyńm, jakiego będzie kiedykolwiek pragnęła. Zrozumiała to już wczoraj.

Maxim delikatnie uwolnił się z jej objęć, oparł jej głowę na swoim ramieniu i zapytał cicho, jak gdyby odczytał jej myśli: - Dlaczego powiedziałaś przedtem, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

- Byłam tego pewna, odkąd ujrzałam cię w księgarni. Wiedziałam w głębi duszy, że spotkamy się znowu. Często

miewam w różnych sytuacjach tego typu wrażenia... niemal przecucia. Mama twierdzi, że jestem niczym medium, a ojciec nazywa mnie czarownicą. - Westchnęła lekko i pogłaskała go po policzku, a potem szepnęła: - Qué sera, sera. - Co będzie, to będzie - powtórzył za nią Maxim i pocałował ją czule, obejmując z całych sił. Czuł, że należą do siebie. Dwie połówki, które odnalazły się, aby utworzyć harmonijną całość. I kiedy siedzieli tak pośród róż, coś zaszło między nimi, coś, co zrozumieli oboje, mimo iż żadne z nich nie wypowiedziało tego na głos.

42

- Wiesz, zamierzam poślubić tę piękną dziewczynę
- oznajmił nieoczekiwanie Maxim. Był poniedziałek, on zaś wraz z Alanem wracał samolotem do Londynu po długim weekendzie spędzonym w Paryżu.
Alan zerknął na niego spod oka. - Tak, wiem - mruknął.
- Prawdę mówiąc, wiedziałem o tym już w sobotę wieczorem.
- Dobry Boże! - zawołał Maxim. - Czyżby to było aż tak widoczne?
- Dla mnie tak. Kiedy jestem w pobliżu zakochanych, wyczuwam to natychmiast, zwłaszcza jeśli jest to miłość od pierwszego wejrzenia. A z tym właśnie mamy do czynienia w twoim przypadku.
- Żebyś wiedział, że tak. Jestem w niej naprawdę zakochany. Chcę, aby została moją żoną, aby była matką moich dzieci, chcę spędzić z nią resztę życia. I zdradzę ci jeszcze coś, Serdelku: na samą myśl o tym, że mógłbym żyć z dala od niej, robię się chory. - Jakby z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Nigdy nie odczuwałem czegoś takiego. Obawiam się, że wpadłem po uszy.
- Wcale ci się nie dziwię, Książę... to rzeczywiście piękna dziewczyna. Cudownie ciepła i otwarta. - Zawahał się i po chwili dodał ciszej: - Ale też bardzo młoda.
- To prawda. Choć z drugiej strony może to być jej wielka zaleta. Ma dopiero osiemnaście lat, może więc da się łatwiej prowadzić.

- Co do tego, nie byłbym taki pewny. Może się okazać, że Anastazja nie jest wcale tak uległa, jak ci się wydaje. Maxim uniósł brew i rzucił przyjacielowi przenikliwe spojrzenie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo obserwowałem ją bacznie w sobotę. Przede wszystkim wydaje mi się, że ma charakter i jest bardzo stanowcza... może nawet uparta jak diabli. Co więcej, jest naprawdę bystra. Po tym przyjęciu przypomniałem sobie wiele rzeczy, jakie słyszałem o małej Derevenko, między innymi od moich rodziców. Znakomicie radziła sobie w szkole, jest nadzwyczaj inteligentna, ale też utalentowana artystycznie, podobnie jak jej matka, która, nawiasem mówiąc, zajmuje się projektowaniem wnętrz i uchodzi w Paryżu za eksperta w tych sprawach.

- Nie wiedziałem. Anastazja nie wspomniała o matce nawet słowem. Myślę, że byliśmy zbyt zajęci sobą.

- Jednym słowem, ta dziewczyna jest wyjątkowa, Maximie. I mam wrażenie, że nie jest to typ uległej kobietki.

- Och, co do tego podzielam twoje zdanie. I bardzo się z tego cieszę. Uległość nie jest cechą, jaką szczególnie cenię u kobiet... Powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Mówiąc o tym, że Anastazja da się może prowadzić, miałem na myśli, że nie będzie uparcie obstawać przy swoim, lecz okaże się osobą elastyczną, chętną do nauki. Pragnę kobiety, która podąży ze mną wszędzie, będzie doświadczać życia jak ja, nie zaś takiej ulepionej z miękkiej gliny, którą mógłbym modelować wedle mego widzimisię.

Czyżby? - pomyślał z powątpiewaniem Alan, ale na głos powiedział: - W takim razie Anastazja jest dla ciebie stworzona. - Poprawił się na siedzeniu, przechylił głowę i zapytał cicho: - Mówisz, że zamierzasz ją poślubić. A co na to jej rodzice? To znaczy... czy nie pomyślą, że jest jeszcze troszkę za młoda, aby wychodzić za mąż w tym roku?

- Tak, oczywiście. Dlatego też Anastazja jest zdania, że powinniśmy zaplanować ślub na przyszły rok, kiedy ona skończy dziewiętnaście lat.

- To znaczy, że już się jej oświadczyłeś! - Tym razem Alan nie potrafił ukryć zdumienia.

Maxim zachichotał cicho. - Można uznać, że tak. W sobotę na przyjęciu. Nie uczyniłem tego w oficjalny sposób, raczej dałem jej to tylko do zrozumienia, ale wiedziała, że mówię serio, i również ja wiedziałem, że nie rzuca słów na wiatr, kiedy

zapewniała mnie o swoich uczuciach. Oboje rozumiemy się wspaniale, Alanie. Naprawdę. - Maxim umilkł, spojrział na obłoki, przesuujące się za oknem samolotu i natychmiast popatrzył ponownie na przyjaciela: - To istotnie bardzo dziwne, ale ona i ja funkcjonujemy na tej samej częstotliwości.

- Szczęściarz z ciebie! Mam nadzieję, że któregoś dnia i ja przeżyję coś takiego, że i ja poczuję się tak bardzo zaangażowany.

- Z całą pewnością, nie wątpię w to. A co z Camillą Galland? Odniosłem wrażenie, że jest ci z nią bardzo dobrze. Asystowałeś jej cały czas na przyjęciu, a potem spotkałeś się z nią w niedzielę. Nie jesteś nią zainteresowany?

- Byłbym, owszem, ale moim zdaniem coś z nią jest nie tak.

- Czy ona spotyka się z innym mężczyzną?

- Sądzę, że nie, w każdym razie nie teraz. Myślę, że jest sama od dłuższego czasu. Mam wrażenie, że była z kimś związana, nawet bardzo mocno, ale on zmarł. Nagle, nieoczekiwanie. To bardzo interesująca kobieta, Księżę, i nie taka, za jaką mogłaby uchodzić, gdyby ktoś brał pod uwagę cały ten szum wokół niej. Nie jest wcale powierzchowna, raczej roztropna i czujna, a podczas weekendu odkryłem, że pod wieloma względami cechuje ją duża wrażliwość, że wcale nie jest typem głupiotki, jasnowłosej gwiazdki.

- Wcale nie uważałem jej za kogoś takiego. Jest na to zbyt dobrą aktorką. Ale skoro nie jest teraz z nikim związana, mógłbyś chyba spotkać się z nią ponownie, prawda?

- Wysłałem już jej zaproszenie - przyznał się Alan z niepewnym uśmiechem. - Przyjęła je. W piątek jemy razem kolację.

Maxim klepnął go po ramieniu i roześmiał się serdecznie. - No tak, powinienem był się domyślić, że nie będziesz tracił czasu.

- Zaraz, zaraz, to nie ja jestem playboyem, ale ty! - odparował Alan.

- Wiesz doskonale, że to wymysł prasy brytyjskiej - zaprotestował Maxim, broniąc jak zwykle swej reputacji, mimo iż uwaga uczyniona została żartem; nie nauczył się jeszcze podchodzić do tej sprawy z dystansem.

- Wiem, wiem - odparł Alan pojednawczy[^] tonem. - Nie bierz tego, co powiedziałem, tak na serio. Kiedy zamierzasz polecieć do Paryża, aby zobaczyć się z wybranką twego serca?

- Na weekend. Ale nie do Paryża. Spotkam się z nią w Cannes. Anastazja i jej matka wyjeżdżają w środę do swej

willi, wezmę więc chyba samolot w piątek i spędzę długi weekend na Lazurowym Wybrzeżu.

- W ich domu?

- Nie zostałem zaproszony, Serdelku.

- Jeśli chcesz, możesz zamieszkać w willi moich rodziców. Ostatecznie, jest przygotowana na przyjęcie gości, i świeci teraz pustkami.

- Nie, dziękuję, jestem ci wdzięczny za propozycję, ale nie skorzystam. Zarezerwuję sobie apartament w hotelu Carlton, tak będzie wygodniej.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. - Alan rozsiadł się wygodniej w fotelu, ale raptem wyprostował się i popatrzył na przyjaciela ze zdumieniem. - Chcesz polecieć w piątek? Przecież tego dnia masz w Sheffield spotkanie z dyrektorem Hardcastle Silversmiths. Chodzi o zakup jego firmy!

- To prawda, ale tu dokonałem drobnej zmiany. Do Yorkshire pojadę w czwartek, nie będzie więc żadnego problemu.

- To pasuje do całości - zauważył Alan.

- Co masz na myśli?

- Że przedkładasz tym razem kobietę nad interesy. Nigdy dotąd nie postępowałeś w ten sposób. Co oznacza, że Anastazja naprawdę jest dla ciebie tak ważna.

- Tak, nie mylisz się. A zresztą, gdybym nie spotkał się z Anastazją w ten weekend, mógłbym zobaczyć się z nią potem dopiero na początku sierpnia.

- Dlaczego? Czy to znaczy, że nie spędzisz z nami lipca w Cannes?

- Obawiam się, że będę mógł do was dołączyć dopiero w pierwszym tygodniu sierpnia, Serdelku. Bardzo żałuję, ale nic na to nie poradzę. Muszę polecieć do Berlina, zobaczyć się z ciotką Iriną, a z Berlina na trzy dni do Nowego Jorku. Mam tam spotkanie z kilkoma bankierami z Wall Street.

- Wygląda na to, Książę, że rozkład zajęć na ten miesiąc masz już wypełniony do końca.

- Och, nie jest tak źle. Mówiąc szczerze, cieszę się z tego. - Przez chwilę wpatrywał się w Alana, a potem uśmiechnął się promiennie i zapytał: - Będiesz moim drużbą, prawda?

Alan odwzajemnił uśmiech. - Czy musiałeś o to pytać?

Maxim siedział w restauracji hotelu Savoy i czekał na Teddy. Ten hotel należał do jej ulubionych, budził w niej romantyczne wspomnienia - dlatego też Maxim wybrał go na miejsce spotkania/Chciał, aby Teddy była w dobrym nastroju, kiedy poinformuje ją o Anastazji.

Przyszedł do restauracji pierwszy, a kiedy kilka minut później stanęła w progu, popatrzył na nią, jak zwykle, z uznaniem. W wieku czterdziestu lat Teddy była naprawdę piękną kobietą. Czas obszedł się z nią nadzwyczaj łaskawie, a udane małżeństwo z Markiem sprawiało, że jej twarz promieniowała szczęściem. Teddy, pomyślał, moja najdroższa, kochana Teddy. Co ja bym począł bez ciebie? Kiedy dorastałem, byłaś mi podporą, stałaś przy mnie bez względu na wszystko inne! Kochał ją bardzo i dlatego tak ważne było, by zaakceptowała jego wybór.

Wstał, kiedy zbliżała się do stolika prowadzona przez kierownika sali. Wyglądała naprawdę sztywnie w granatowym kostiumie od Givenchy'ego z jedwabną różą na ramieniu, gustownym białym kapelusiku i białych rękawiczkach.

- Wyglądasz zachwycająco, Teddy - powitał ją i pocałował w policzek.

- Dziękuję, mój drogi - uśmiechnęła się wdzięcznie. Usiadła i zdjęła rękawiczki. - Ty też prezentujesz się nieźle. Musiałeś mieć w Paryżu udany weekend.

- Czego się napijesz?

Spojrzała na jego szklaneczkę. - Jeśli to tonik, a zdaje mi się, że tak, poproszę o to samo.

Zamówił dla niej tonik, a potem nachylił się przez stół. - Mniej więcej za tydzień odwiedzę ciotkę Irinę. Może pojechałabyś do Berlina razem ze mną?

- Och, Maximie, to by było cudowne! - zawołała i w następnej chwili zagryzła wargi. - Naprawdę, bardzo bym chciała, ale nie będę mogła. Wybieramy się z Markiem na kilkudniowy wypoczynek, tylko we dwoje, bez dzieci. Zaplanowaliśmy to już dawno temu. Zatrzymamy się w Donegal*>wiesz, w domu Pellów, tam gdzie spędziliśmy nasz miodowy miesiąc. Tak więc niestety, nie mogę ci towarzyszyć do Berlina. Ale mam kilka rzeczy dla Iriny. Mógłbyś wziąć je ze sobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ oczywiście, przekażę je... - Odchrząknął, spojrzał na nią uważnie i przeszedł do sedna sprawy. - Teddy, chciałbym ci coś powiedzieć.

Jego głos zabrzmiał tak poważnie, że mimo woli zmarszczyła brwi. - Co? Co takiego? Czy stało się coś złego?

-Nie, wcale nie... Po prostu poznałem dziewczynę. I chcę ją poślubić.

Twarz Teddy rozjaśniła się w jednej chwili. - Och, kochanie, tak się cieszę! Kto to taki? I dlaczego jej jeszcze nie znamy, skoro masz wobec niej tak poważne zamiary? Dlaczego nie zaprosiłeś jej do nas na obiad?

- Bo znam ją od niedawna, Teddy.

- To znaczy: od kiedy? - Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego badawczo.

Do stolika podszedł kelner. Maxim odczekał, aż postawi szklaneczkę przed Teddy, i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie.

- Poznałem ją w ten weekend. Mówiąc ściśle: w piątek. To znaczy... w piątek zobaczyłem ją po raz pierwszy, a porozmawialiśmy w sobotę.

- Ale... przecież dziś mamy dopiero środę!

- To nic. Wiem, co do niej czuję. Żadnej innej kobiety nie darzyłem tak ogromnym uczuciem. Jest tą, której szukałem.

Oszołomiona wpatrywała się w niego bez słowa.

- Zobaczysz, że ci się spodoba - zapewnił Maxim.

- Jest dziewczyną, jakiej zawsze dla mnie pragnęłaś, uwierz mi, Teddy.

- Och, Maxim, kochany, to... to stało się tak nagle... Skąd możesz wiedzieć... być pewny...

- A ile czasu ty potrzebowałaś, aby upewnić się w swoich uczuciach do Marka? - zapytał łagodnie Maxim, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

Rozważała coś przez chwilę. - Cóż, chyba mnie złapałeś

- powiedziała w końcu. - To była kwestia kilku godzin... najwyżej kilku dni.

- No właśnie! Nie trzeba dużo czasu, aby zorientować się, jakie uczucia budzi druga osoba. Co do mnie, przekonałem się, że wystarczy chwila.

- To prawda.

- W każdym razie nie zamierzam żenić się z nią jutro, a więc będziemy jeszcze mieli wiele okazji, aby poznać się lepiej.

- A na kiedy planujesz ślub?

- Na przyszłe lato. Musimy odczekać ten rok, bo... widzisz, ona ma dopiero osiemnaście lat.

Teddy usiłowała ukryć, jak bardzo zaskoczyła ją ostatnia informacja, ale bezskutecznie. Podniosła szklanę, upiła łyk, odstawiła szklanę z powrotem i zapytała: - Kim jest ta dziewczyna?

- Nazywa się Anastazja Derevenko... - zaczął, a potem opowiedział wszystko po kolei, od momentu, w którym po raz pierwszy zwrócił uwagę na Anastazję.

- Chciałabym poznać ją jak najszybciej - oświadczyła Teddy, kiedy skończył. - Nie mogę się już tego doczekać. Wygląda na to, że jest niezwykłą kobietą... i z dobrego domu. Mogłabym...

- To nie są Żydzi, Teddy - przerwał jej szybko. - Mówię to na wszelki wypadek, gdybyś przypuszczała, że są rosyjskimi Żydami, Aszkenazyjczykami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu. - Położył jej dłoń na ramieniu, jego ciemne oczy przeszywały ją na wskroś.

Wpatrywała się w niego bez słowa, wreszcie pokręciła głową. - Nie, nie sędzę, aby mi to naprawdę przeszkadzało - powiedział powoli, z namysłem. - Oczywiście, byłoby dobrze, gdybyś ożenił się z Żydówką. Łatwiej potem wychować dzieci, kiedy rodzice wyznają tę samą religię. Ale sprawą dla mnie najważniejszą jest twoje szczęście. Jeśli Anastazja naprawdę cię uszczęśliwi, to niech tak będzie.

- Uśmiechnęła się czule i dodała: - Mogłoby się przecież zdarzyć, że ożeniłbyś się z Żydówką i nie zaznał z nią szczęścia. A więc lepiej już poślubić dziewczynę odmiennego wyznania i być szczęśliwym.

Maxim odetchnął z ulgą, wyraz napięcia, widoczny jeszcze przed chwilą na jego twarzy, zniknął bezpowrotnie. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Teddy. Wiedziałem, że nie pozwolisz, aby kwestia religii przesłoniła to, co istotne. Zresztą ty nigdy nie byłaś pod tym względem zbyt surowa. Mark też nie jest chyba bardzo pobożny, prawda? - Tak, masz rację, nigdy taki nie był. Na przykład nigdy nie nalegał, abyś odbył w synagodze *bar mjęwę*. Jednak jego rodzice, mimo iż tak postępowi, są bardzo pobożni i hołdują tradycji. Wiesz również, jaka jest ciotka Ketti. Ale nie przejmuj się tym, Maximie, masz już dwadzieścia pięć lat i z pewnością wiesz, co robisz.

Poza tym, pomyślała, ja też przestałam już przejmować się tak bardzo sprawami religii. Zwłaszcza po tym, co nam zrobił

Bóg. Bóg opuścił Żydów dawno, dawno temu. Jeśli On naprawdę istnieje, to jak mógł dopuścić do czegoś takiego jak holocaust!

Maxim ujął jej dłoń i ścisnął mocno. - Dziękuję ci, Teddy. Dziękuję za to, że jesteś właśnie taka, a nie inna. Nie ma drugiej kobiety, która mogłaby równać się z tobą.

- Ty też jesteś kimś wyjątkowym, kochanie. Ale wróćmy do Anastazji. Daję ci moje błogosławieństwo i wiem, że Mark uczyni to samo. Pytanie tylko, kiedy ją poznamy?

- W sierpniu. Anastazja przyleci do Londynu, aby odwiedzić babcię, która mieszka niedaleko was, na Chester Street. Pomyślałem sobie, że mogłabyś urządzać w domu małe przyjęcie, tylko dla nas czworga. Chyba, że wolałabyś pójść gdzieś na obiad.

- Zastanowię się jeszcze jak to zorganizować.

Maxim kiwnął głową. - Masz teraz trochę czasu, czy się śpieszysz?

- Trochę czasu mam. A dlaczego pytasz?

- Chciałbym pójść z tobą do banku Rossitera, przejrzeć nasz sejf. Chodzi mi o diamentowy pierścionek mamy.

Pomyślałem sobie, że Mark mógłby oczyścić go i odświeżyć, a ja dałbym go Anastazji jako prezent zaręczynowy.

- To doskonały pomysł, Maximie. Udamy się do banku prosto stąd i chciałabym, aby szkatułka została przy okazji przepisana na ciebie. Proponowałam ci to już wiele razy i nie wiem, dlaczego się wzbranasz.

- Jakoś mi niezręcznie, Teddy. Wolałbym, żebyś nadal dysponowała nią ty.

- Szkatułka powinna należeć do ciebie - nalegała.

- No dobrze, skoro uważasz, że tak będzie lepiej. Załatwimy to dzisiaj.

- Świetnie. Powinieneś też rzucić okiem na resztę biżuterii twojej mamy. Może postanowisz dać Anastazji coś jeszcze oprócz tego pierścionka.

- To doskonały pomysł. Może zamówimy teraz jakiś lunch?

- Tak, pośpieszmy się, o ile mamy być w banku przed trzecią.

Maxim skinął na kelnera, który natychmiast podszedł do stolika z dwiema kartami dań. Teddy wzięła jedną i schowała za nią twarz. W tej chwili nie myślała o jedzeniu; medytowała nad listem, napisanym przez Ursulę w Paryżu dwadzieścia lat temu. Teddy nigdy nie wręczyła go Maximowi, nie zdradziła

mu też jego treści. Nawet wtedy, gdy ukończył dwadzieścia jeden lat. List spoczywał nadal w sejfie depozytowym w banku; swego czasu zdecydowała się na ten dodatkowy środek ostrożności, oddzielając list od biżuterii Ursuli. Ale teraz, skoro dorósł już do ożenku, jest też z pewnością dorosły na tyle, aby poznać treść listu, pomyślała. Dam mu go. Muszę to uczynić. Tak, dam mu ten list, zanim jeszcze dojdzie do ślubu. I podejmując tę decyzję po tak długich latach wahań, poczuła raptem olbrzymią ulgę, tak jakby ktoś zdjął z jej ramion wielki, nieznośny ciężar. Szybko przebiegła wzrokiem po wypisanych w karcie nazwach dań i uśmiechnęła się do Maxima. - Mam ochotę na krewetki. To na początek. Potem zjem pieczoną solę.

- Trafiłaś w dziesiątkę! - roześmiał się Maxim. - Właśnie wybrałem dla siebie to samo.

Złożył zamówienie i znowu wdali się w ożywioną rozmowę. Teddy cieszyła się szczęściem Maxima.

Zaabsorbowana jego planami na najbliższą przyszłość, puściła w niepamięć sprawę listu Ursuli. Zajmę się tym później, pomyślała. List może jeszcze trochę poczekać.

Nie mogła wiedzieć, że niebawem straci ponownie odwagę i zmieni zdanie, a list pozostanie w zamknięciu w Rossiter Marchant Bank przy Berkeley Square, niedostępny dla Maxima.

43

- To, co osiągnął Maxim, jest godne podziwu, nie sądzisz? - odezwała się Margot Derevenko, spoglądając na Alexandra.

Jej mąż siedział na swoim ulubionym krześle pod oknem, w saloniku domu na Faubourg Saint-Germain. Był ciepły, pogodny lipcowy wieczór 1961 roku, a państwo Derevenko delektowali się aperitifem tuż przed obiadem.

Alexander wypił łyk szkockiej z wodą sodową i pokiwał głową.

- Tak, tak, to rzeczywiście niewiarygodne. Zbić majątek wartości miliona funtów jeszcze przed ukończeniem trzydziestu lat! Chylę przed nim czoło!

- Jest taki dobry dla Anastazji! - mruknęła Margot, a potem raptem potrząsnęła głową i roześmiała się cicho, jakby do samej siebie. - I pomyśleć tylko, że miałam masę wątpliwości, kiedy poinformowali nas dwa lata temu, że chcą się pobrać!

- Co do mnie, nia miałem wtedy żadnych obiekcji, wiesz

O tym dobrze - odparł Alexander. - I z całą pewnością nie wierzyłem we wszystkie te bzdury, jakoby Maxim był play-boyem. - Zachichotał i rzucił żonie wymowne spojrzenie, dodając z mądrą miną:

- Mówiąc szczerze, Margot, raczej miałem nadzieję, że Maxim wyszumiał się jeszcze przed poznaniem Anastazji i że po ślubie będzie już przykładowym mężem. Jestem zdania, że mężczyzna powinien przejść przez tego typu sprawy, zanim zdecyduje się założyć rodzinę.

- Och, co do tego, zgadzam się z tobą w pełni! - zawołała Margot. Opadła na niewielką sofę w stylu Ludwika XV, wysłaną beżowym jedwabiem, skrzyżowała swoje smukłe nogi

I z namysłem upiła trochę szampana. - Maxim jest bardzo bystry, prawda, Alex? - zauważyła po chwili.

- Bystry to za mało powiedziane, moja droga. Moim zdaniem to geniusz. Genialny finansista.

Spojrzała nań zdziwiona. - Dlaczego? Z jakiego powodu? To znaczy: co twoim zdaniem czyni z niego takiego geniusza?

- To trudno wyjaśnić. - Alexander zastanawiał się przez kilka sekund, w końcu odstawił szklaneczkę na zabytkowy stolik, poderwał się z krzesła i szybkim krokiem przeszedł przez pokój. W progu odwrócił się i skinął na żonę. -

Pozwól na chwilę, Margot - powiedział, po czym zniknął za drzwiami.

Margot wstała i wyszła za nim do hallu.

Alexander stał przed obrazem Degasa, ukazującym tancerki w zielonych szatkach, a kiedy zbliżyła się do niego, wskazał ręką na obraz, pytając: - Co to jest?

- Jak to: co? Oczywiście obraz.

- Tak, obraz, ale jest to również skutek, albo jak wolisz: rezultat geniuszu artystycznego. Westinvest, firma stworzona przez Maxima od zera, jest natomiast wytworem geniuszu finansowego. Czy rozumiesz, do czego zmierzam?

Skinęła głową.

Alexander wyjaśniał dalej: - Nie potrafię wytłumaczyć, co to takiego impuls twórczy, co tkwi w duszy artysty, że jest on w stanie stworzyć dzieło tak zapierające dech w piersi jak to, nie potrafię ci też wytłumaczyć, co tkwi w Maximie, że jest on

w stanie utworzyć nadzwyczaj sprawną, dochodową firmę lub doprowadzić do zdumiewająco korzystnej transakcji.

- Potrząsnął głową i uśmiechnął się lekko. - Nie potrafię również wytłumaczyć istoty geniuszu Rachmaninowa i Pucciego, Williama Shakespeare'a i Emily Brontë.

- Na tym polega talent - powiedziała Margot, a w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. - Geniusz artystyczny to wielki talent! Człowiek nie zdobywa go, lecz rodzi się z nim; talent tkwi w nim od pierwszej chwili przyjścia na świat, uwidacznia się w dzieciństwie i rozkwita w miarę dojrzewania człowieka Maxim został obdarzony tym darem natury podobnie jak wielcy artyści, pisarze i kompozytorzy. Teddy powiedziała mi kiedyś, że już w wieku sześciu czy siedmiu lat zadziwiał wszystkich swoimi zdolnościami matematycznymi. Był cudownym dzieckiem.

- Tak, pamiętam, co mówiła Teddy. Ale sądzę, że za tym kryje się coś więcej niż świetne opanowanie rachunków. - Alexander wziął żonę pod rękę i zaprowadził z powrotem do saloniku. - Moim zdaniem, Maxim ma w sobie coś nadprzyrodzonego - mruknął. - Jest obdarzony olbrzymią inteligencją i, co może ważniejsze, niezwykle wyobraźnią. - Jak na kogoś, kto twierdził, że nie potrafi wytłumaczyć istoty geniuszu finansowego, uczyniłeś to w sposób bardzo przejrzysty - uśmiechnęła się Margot, patrząc na męża z uznaniem.

- Chyba jednak nie wyjaśniłem tego do końca, kochanie, a tylko prześliznąłem się po kilku cechach jego charakteru. Nie sądzę, abym zdołał kiedykolwiek zgłębić sekret Maxima, zrozumieć, jak on funkcjonuje. To raczej niemożliwe. Margot przytaknęła ruchem głowy. - Jestem przekonana, że nikt nie potrafi tego uczynić. Maxim jest człowiekiem raczej skrytym, nadzwyczaj skomplikowanym. Nawet Anastazja jest

tego zdania. , Alexander rzucił jej szybkie, przenikliwe spojrzenie. - Ale nie mają żadnych problemów, prawda?

- Nie, kochanie, żadnych. Są w sobie szaleńczo, gorąco, nienormalnie zakochani. Ale o tym wiesz chyba sam.

- To że jest człowiekiem skrytym i skomplikowanym, wcale mnie nie dziwi. Biorąc pod uwagę jego przeżycia w przeszłości... - Alexander umilkł, zerknął na żonę i wyznał: - Czasem mam wrażenie, jakby istniał dodatkowy zmysł,

który podpowiada Maximowi, co należy zrobić. Nie potrafię pojąć, skąd on czerpie swoje pomysły, co skłania go do podjęcia takiej a nie innej decyzji, dlaczego robi taki a nie inny krok. Faktem jest, że każdorazowo trafia w dziesiątkę, prowadzi swoje interesy w sposób godny najwyższego podziwu. Jestem przekonany, że Maxim zdobędzie jeszcze gigantyczny majątek i olbrzymią władzę. Sprzedaż Westinvest i osiągnięcie czystego zysku w wysokości miliona funtów to dopiero początek. Nie zapominajmy, że on ma dopiero dwadzieścia siedem lat.

- W interesach udowodnił, że potrafi przewidywać - powiedziała Margot. - I z pewnością jest czułym, kochającym mężem, co oznacza, że będzie z niego cudowny ojciec. Jest taki już teraz. Uwielbia wprost Alix.

- Skoro mowa o naszej wnuczce, chodźmy na górę do niej na chwilę, zanim wyjdziemy na obiad, dobrze?

Margot odpowiedziała mu szerokim uśmiechem, zerwała się na równe nogi i pierwsza opuściła salonik. Weszli na piętro, gdzie dawniej mieściła się sypialnia Anastazji, urządzona teraz na nowo przez Margot jako pokój dziecięcy czteromiesięcznej Alix.

W progu sąsiedniego pokoju pojawiła się Jennifer, niania małej Alix.

- Czy możemy zerknąć na Alix, zanim pójdziemy na obiad?

- zapytała Margot.

- Oczywiście, madame Derevenko. Alix śpi smacznie, jak zwykle. - Jennifer, młoda Angielka, uśmiechnęła się szeroko.

- To kochane dziecko, nigdy nie płacze.

Margot i Alexander weszli na palcach do tonącego w półmroku pokoju, a potem spoglądali przez kilka chwil na wnuczkę, śpiącą smacznie w różowym, wiklinowym łóżeczku, ozdobionym różowymi, jedwabnymi wstążeczkami i kokardkami.

Kiedy w końcu podnieśli głowy, uśmiechnęli się do siebie z radością i dumą, po czym opuścili pokój tak samo cicho, jak do niego weszli, aby nie zbudzić dziecka.

Schodząc na dół, Alexander szepnął: - To dobrze, że pojechali do Wenecji na drugi miesiąc miodowy. Przy odrobinie szczęścia przysporzą nam kolejnego wnuka. Tym razem chłopca.

Wenecja była niczym miraż, jak powiewne, bajeczne zjawisko, pełne błękitów i szarości, łagodnych, mglistych obłoków wznoszących się z lagun i kanałów, z zabytkowymi, starymi budowlami tworzącymi niewyraźne zarysy w przyćmionym blasku dnia. I wszędzie, na każdym kroku, to wrażenie spokoju i ciszy.

- La Serenissima - szepnęła Anastazja używając nazwy, jaką Wenecjanie obdarzyli swe miasto setki lat temu. La Serenissima... jakże urzekająco piękna w swojej izolacji, uwięziona pomiędzy wodą i niebem... Pokochała to miejsce od pierwszej chwili, kiedy je ujrzała, już jako dziecko. Tu wszystko fascynowało ją i intrygowało, to miasto podbiło ją, była w jego mocy już na zawsze, oczarowana jego tajemniczością, jego wiekuiącą urodą i cudowną bajkowością. Stała teraz przy oknie apartamentu, zapatrzona w lagunę spowitą jeszcze poranną mgłą. Szczęście przepelniało ją do tego stopnia, że nawet nie śmiała o nim rozmyślać, w obawie, że mogłoby ją opuścić. Nie wystawiaj na próbę zazdrosnych bogów, pomyślała, podchodząc bosą jeszcze bliżej do okna. Przyłgnęła czołem do szyby, jakby jeszcze nie całkiem rozbudzona, nadal tonąc w rozmyślaniach. W ich centrum znajdował się Maxim, to on był jej jawą i snem, to on był jej światem - słońcem i księżycem, i gwiazdami. Gdyby nie on, ogarnęłaby ją pustka.

Westchnęła z żalem. Niedługo będą musieli wracać, wyjechać z Wenecji. Upłynął już tydzień, czas kurczył się w zastraszającym tempie, ich krótki letni urlop dobiegnie niebawem końca. Ale każdy z tych dni był cudowny, wspaniały, był powtórzeniem ich miodowego miesiąca - tyle tylko, że wszystko było jeszcze piękniejsze niż przedtem, chociaż jej wydawało się już, że to niemożliwe. A jednak było możliwe, dzięki niemu, jej zachwycającemu mężowi. Kochała go tak bardzo, że czasem myślała, iż tego nie zniesie. Nie mogła Ścierpieć chwil spędzonych bez niego, pragnęła być zawsze u jego boku.

Przyszedł jej raptem do głowy fragment Pieśni nad pieśniami: ***Miły mój jest mój, a ja jestem jego (...)***. Tak, to była prawda, te słowa odnosiły się do nich. Należeli do siebie. Przypomniała sobie inny werset z tej samej pieśni: (...) ***bo chora jestem z miłości***. Jakże trafne były te słowa. Ona też czuła się często chora, ogarniała ją gorączka, nogi odmawiały

posłuszeństwa, drżała na całym ciele, tak bardzo go pragnęła. Nie było dnia ani chwili, żeby nie łaknęła dotyku jego dłoni na swoim ciele. Był cudownym kochankiem i nie mniej wspaniałym mężem...

Pograżona w myślach nie usłyszała, kiedy Maxim wstał z łóżka, nie usłyszała też jego kroków; drgnęła zaskoczona, gdy poczuła na gołych ramionach jego silne, chłodne dłonie.

- Co robisz tu tak wcześnie, kochanie? - wyszeptał w jej długie blond włosy i obrócił ją twarzą ku sobie.

- Nie mogłam spać - odparła cicho, muskając palcami jego policzek i wpatrując się w niego błyszczącymi, roziskrzonymi miłością oczyma.

Przywarli do siebie, usta szukały ust, a kiedy złączyli się w pocałunku, Maxim objął ją jeszcze mocniej, zamknął w ramionach, a potem przesunął dłonie w dół po jej obleczonych w jedwab plecach, na krągłe pośladki, i przycisnął do siebie. Ich ciała przylegały szczelnie do siebie. Dwie połówki połączone w całość, pomyślał i wtargnął językiem w jej usta, aby dotknąć jej języka. Anastazję ogarnęła żądza, fala narastającego ciepła rozprzestrzeniła się po całym ciele. Maxim, czując to przez cienki materiał, wypuścił ją z objęć, chwycił za rękę i poprowadził z powrotem do łóżka. Odgadł jej pragnienie. Przyłgął ustami do jej warg, aż opadli na kołdrę, a pocałunek stał się bardziej namiętny i gwałtowny.

Maxim pragnął jej nie mniej niż ona jego, ale po chwili przerwał pocałunek i wsparty na łokciu nachylił się nad nią. Lekko, delikatnie, niczym łagodny wietrzyk, począł muskać wargami jej czoło, powieki, nos i policzki, dopóki nie wyciągnęła ku niemu ramion. Wtedy wtulił się w nie i przywarł do niej całym ciałem i raptem jego pocałunki odzyskały niedawną werwę. Reakcja Anastazji była jak zawsze żarliwa, na namiętność Maxima odpowiadała z ferworem, który przewyższał jego zapal, jej ciało dygotało, trawione żądzą.

Na moment odsunął się trochę i spojrzał na nią, sycąc oczy jej urodą; leżała z głową odrzuconą do tyłu, prezentując długą, białą szyję, i w pozie tej było coś tak bezbronnego, delikatnego i ustepliwego, że nie panując nad sobą wtulił się twarzą w ciepły zakątek między uszami a ramieniem i począł wodzić po nim ustami. Jego ręka spoczęła na jej piersi i pogłaskała ją delikatnie, a sutka stwardniała momentalnie i wyprężyła się, stercząc pod jedwabiem.

On również poczuł, że sztywnieje, jego erekcja była ogromna, jak zwykle przy Anastazji. Z jego gardła wydarł się jęk, kiedy opuścił dłoń na jej wklęsły brzuch i odchylił przejrzysty jedwab okrywającej ją koszulki.

Od momentu ślubu zdołał poznać doskonale każdy zaulek jej ciała i teraz, dążąc do jej najczulszego miejsca, nie szukał długo. Jego palce musnęły lekko i Anastazja jęknęła głucho, wyginając się w łuk. Cały dręczący ją żar skupił się teraz w dole, w rdzeniu jej kobiecości.

Maxim wiedział, że nie sposób oprzeć się dłużej jej wilgotnemu ciału. Owładnęła nim chęć pogrążenia się w niej, pragnął wziąć ją, osiąść całkowicie, do końca, ze wszystkich sił, powstrzymywał się jednak, chcąc, aby ona pierwsza zaznała rozkoszy. Szarpnął za jedwabną koszulkę, która ześliznęła się z jej ramion, i nakrył dłonią pełną pierś, połyskującą perłowo w bladym świetle poranka. Jego usta rozpoczęły wędrówkę po jej ciele, chłodnym i gładkim jak marmur, a kiedy westchnęła głęboko, przeciągle, usiadł raptownie, ściągnął jej koszulkę przez głowę i zrzucił pidżamę. Jego ruchy były teraz szybkie, niecierpliwe.

Nadzy ułożyli się na bokach, tak aby móc patrzeć na siebie, ale ich ciała nie dotykały się. Jego ciemne, błyszczące oczy przeszywały ją na wskroś, kiedy wyszeptał ochrypłym, niskim głosem: - Kocham cię, Anastazjo, nawet nie wiesz, jak bardzo. Brak mi słów. Proste „kocham cię” to za mało.

- Wiem, najdroższy, bo ja kocham cię tak samo - powiedziała cicho. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go czule po policzku.

Obrócił ją na wznak, ukląkł nad nią i spojrzał w jej duże, szaroniebieskie oczy. - Jesteś moim życiem - szepnął. Z półuśmiechem na twarzy wyciągnęła się na łóżku, lubieżnym gestem rozsunała lekko uda i zamknęła oczy, on zaś nachylił się nad jej smukłym ciałem, zachwycony jego perfekcją i świeżością. Chcąc sprawić jej rozkosz, począł całować jej piersi, najpierw jedną, potem drugą, dopóki nie napęczniały, a sutki stwardniały i wyprężyły się czupurnie. Potem jego usta przeniosły się na jej brzuch i powędrowały niżej, jeszcze niżej, aż w końcu spoczęły między udami. Pieścił ją lekko, delikatnie, samym językiem i koniuszkami palców, a ona otwierała się przed nim, coraz usilniej parła ku niemu i wreszcie wyprężyła się, cała rozdygotana, powtarzając raz po raz jego imię.

Wsparł się nad nią na rękach, a ona skwapliwie przyjęła go w siebie, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Pragnęła posiadać go teraz w nie mniejszym stopniu, niż on ją.

Odetchnął przeciągle, kiedy wtargnął w nią głęboko, ona zaś objęła go kurczowo i oplótła nogami. Natychmiast odnaleźli swój rytm, podobnie jak owej pamiętnej nocy, pierwszej po ich ślubie, byli bowiem stworzeni dla siebie; unosili się coraz wyżej i wyżej, poddając się namiętności, a kiedy wreszcie dotarli na sam szczyt, Maxim wykrzyknął jej imię, nawet o tym nie wiedząc, i wspólnie opadli w nieskończoność.

* * *

Potem, gdy już leżeli w bezruchu, obejmując się wzajemnie, Maxim powiedział: - Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, zaszłaś w ciążę z Alix. Mam nadzieję, kochanie, że dokonaliśmy ponownie tej samej sztuki.

- Obaj macie taką nadzieję, ty i tata - roześmiała się. Położyła głowę na jego piersi, zaborczym gestem objęła go ramieniem i spojrzała mu prosto w oczy, dodając kpiącym tonem: - Niestety, mam wrażenie, że nic z tego.

Przynajmniej na razie. Może powinniśmy spróbować jeszcze raz? To takie cudowne, próbować robić dzieci.

Doprawdy, nie wiem, czy istnieje jakieś zajęcie, któremu mogłabym się oddać z większą ochotą.

Maxim uśmiechnął się i wtulił twarz w jej włosy. - Jest pani nienasycona, pani West.

- Jeśli to prawda, ty jesteś temu winien. To ty sprowadziłeś mnie na tę grzeszną drogę, ty nauczyłeś mnie wszystkiego. - Roześmiała się cicho, kusząco, przesunęła dłonią po jego udach i zacisnęła ją na nim delikatnie.

- Muszę przyznać, że z ciebie bardzo gorliwa, zapalona i zdolna uczennica - szepnął ochryple, czując, jak wzbiera w nim po raz drugi żądza. Uniósł jej głowę, nakrył usta gorącym pocałunkiem i od nowa rozpoczął miłosną grę.

* * *

W południe wynajęli łódź do Torcello, jednej z licznych wysepek, która była niegdyś wioską rybacką. Długo przechadzali się po starożytnych uliczkach, aż wreszcie znaleźli się przy swojej ulubionej trattorii i weszli do środka. Właściciel

kawiarenki, Giovanni, ucieszył się na ich widok i powitał radośnie, a potem zaprowadził ich na zewnątrz, do ogródka.

- Poprosimy o Campari z wodą sodową - powiedział Maxim, kiedy usiedli przy jednym ze stolików.

- Si, signore - odparł z uśmiechem Giovanni. Skłonił się i pośpieszył wypełnić zamówienie.

Stolik stał pod rozległym baldachimem z maty; poprzez szczeliny w słomianej plecionce sączyły się nieśmiało nikłe promienie słońca, przemieniając włosy Anastazji w płynne złoto i rzucając na jej twarz delikatne cienie. Maxim spoglądał na nią z zachwytem.

- Boże, jakaś ty piękna! - szepnął. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham!

- Ja ciebie też - powiedziała z uśmiechem, siadając wygodniej na krześle. Uwielbiała tę małą kawiarenkę, skromną i uroczą w swej prostocie. Ocieniony ogródek, w którym teraz siedzieli, wychodził na imponującą murawę i liczne rabatki, zdobione przez kapryfolia, róże i azalie; te ostatnie zachwycaly swą barwą ciemnego burgunda. Tu i ówdzie rosły drzewa, dające tak pożądaną w te upalne sierpniowe dni cień: okazałe cyprysy i wierzby, a tuż obok ich stolika wznosiła się olbrzymia magnolia z kwiatami wielkości męskiej dłoni.

- Och, Maximie! - wykrzyknęła w pewnej chwili Anastazja.

- Jak tu pięknie! Tak cicho i spokojnie. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa jak teraz! Nigdy!

- A ja zawsze czuję się szczęśliwy, kiedy jestem z tobą, niezależnie od tego, gdzie przebywamy - odparł Maxim. - Przy tobie czuję się wspaniale, nie dręczy mnie ból. - Ugryzł się w język, ale było już za późno; powiedział to, co wolałby zatrzymać wyłącznie dla siebie.

Anastazja spojrzała na niego zdumiona, marszcząc brwi. Otworzyła usta, ale w tej chwili zjawił się kelner z kieliszkami.

- Grazie, grazie - podziękował Maxim. Podniósł swój kieliszek, uderzył nim lekko o jej, po czym upił trochę.

- Wspaniale - mruknął. - Bardzo orzeźwiające. Anastazja poszła za jego przykładem, ale natychmiast odstawiła kieliszek i zapytała: - Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie dręczy cię ból, kiedy jesteś ze mną?

Co za głupiec ze mnie, po co to powiedziałem! - skarcił się w duchu. - Naprawdę nie wiem, co miałem na myśli - skłamał, a potem dodał śpiesznie, wykorzystując wymówkę, która przyszła mu akurat do głowy: - Byłem nieszczęśliwy w miłości,

nieszczęśliwy z kobietami, z którymi się zadawałem, zanim cię poznałem... - Wyciągnął do niej rękę, uściskał jej smukłą dłoń.

- A ty odmieniłaś to wszystko.

Uśmiechnęła się radośnie. - Tak się cieszę, Maximie! Nie mogłabym znieść myśli, że czujesz się nieszczęśliwy lub smutny. Czy jako dziecko byłeś samotny?

Potrząsnął głową. - Oczywiście, że nie! - zawołał trochę zbyt gwałtownie. - Miałem przy sobie Teddy. I poczciwego Serdelka.

Przy stoliku zjawił się znowu Giovanni, aby zareklamować specjalność dnia. Po przyjęciu zamówienia udał się do kuchni, Maxim natomiast zaczął z Anastazją rozmowę na temat swojej bliskiej podróży do Berlina, gdzie miał spotkać się z Iriną.

- Pomyślałem sobie, że mogłabyś pojechać ze mną - dodał.

- Wybieram się tam około dziesiątego, tego miesiąca.

- Chciałabym, tym bardziej że nie lubię być z dala od ciebie - szepnęła Anastazja. - Ale musiałabym wtedy znowu zostawić Alix samą, a nie jest to wskazane, zwłaszcza teraz, natychmiast po powrocie z Wenecji. Chyba nie masz mi tego za złe?

- Mam i to jak. Ale rozumiem cię. - Obdarzył ją ciepłym uśmiechem, jego spojrzenie było czułe, jak zawsze.

Ich lunch zjawił się po paru minutach i był wyśmienity. Zaczęli od ciepłej polenty z drobnymi, smażonymi krewetkami, przyprawionymi delikatnie; tak miękkimi, że rozpływały się wprost w ustach. Potem podano im fritto misto, niewielką smażoną rybę, bardzo kruchą i soczystą, a do tego zieloną sałatę i chrupiące pieczywo własnego wypieku. Maxim zamówił jeszcze białe, chłodne wino; było łagodne, klarowne i młode. Pił je już kiedyś, gdy był tu poprzednim razem, i nie żałował wyboru.

- Smakowało wspaniale! - pochwaliła jedzenie Anastazja, kiedy już skończyli. - Ale mam ochotę na coś jeszcze. Nie sądzisz, że jem za dwoje?

- Niewykluczone, że nawet za troje, biorąc pod uwagę, jak spędzamy tu czas - odparł Maxim z figlarnym uśmiechem na twarzy. - Chciałbym nawet, aby to okazało się prawdą. Nie miałbym nic przeciw bliźniakom. Roześmiała się radośnie, a kiedy zjawił się kelner, aby zabrać talerze i zaoferować desery, zdecydowała się na drobne poziomki bez śmietany i cukru, wonne i bardzo smaczne w tej postaci, bez zbędnych dodatków. Maxim

zamówił dla siebie plaster sera Bel Paese z winogronami, jak również dwie czarne kawy dla nich obojga.

Po lunchu wybrali się łódką na wysepkę Giudecca, po drugiej stronie laguny.

Bez pośpiechu przechadzali się po ulicy biegnącej wzdłuż Giudecca Canal i Grand Canal, które opływały lagunę. W pewnej chwili przystanęli, a Maxim, obejmując żonę ramieniem, sięgnął wzrokiem w dal. Wenecja leżała za rozległą taflą wody - rozświetlona, wspaniała, olśniewająca, oblana blaskiem popołudniowego słońca.

- To najpiękniejszy widok, jaki znam - odezwał się Maxim. - Spójrz na ten idealny rząd wieżyczek i kopuł!

Powiedli wzrokiem po wznoszących się przed nimi zabytkowych budowlach: Pałacu Dożów, okazałych kamienicach zmarłych przed wiekami weneccjan, kościołach zaprojektowanych przez Andréa Palladia oraz magazynach, w których niegdyś suszono sól z laguny. Urok tego miasta, które zdawało się unosić na powierzchni wody, zapierał dech w piersiach.

- Nic dziwnego, że Canaletto i Turner pragnęli uwiecznić Wenecję na swoich obrazach - zauważyła Anastazja. -

Myślę, że każdy prawdziwy artysta chciałby to zrobić.

- Tak, Wenecja to nieprzemijające piękno - przytaknął Maxim. W jego głosie zabrzmiał niekłamany zachwyt.

Ręka w rękę przeszli przez całą wysepkę, po czym zawrócili i wsiedli do łodzi.

* * *

Leżeli w wygodnym łóżku, spoczywając na obszernych, miękkich poduszkach z pierza - takich, jakie Maxim pamiętał z czasów swego dzieciństwa w Berlinie. Po lunchu i przejażdżce łódką czuli się rozleniwieni i ospali, na szczęście jednak w sypialni, osłoniętej przed słońcem drewnianymi okiennicami, było chłodno.

Powiódł ustami po jej nagim ramieniu, delektując się dotykiem jedwabistej skóry i jej zapachem. Ciało Anastazji przesycone było ciepłą wonią słońca i słonym smakiem morskiego wiatru, który towarzyszył im w drodze powrotnej z wyspy Giudecca do hotelu. Skóra w kolorze złota, w kolorze brzoskwini, pomyślał. I jaka gładka! Delikatnie przesunął palcem po całej ręce, od ramienia aż po dłoń. I ma przy tym czar róży, dopowiedział jeszcze w duchu.

Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się rozmarzona; dopiero co zaspokojona w miłości i nieco senna od wina, które pili przy lunchu.

- Zdrzemnij się trochę - zaproponował, nachylając się i muskając ustami jej włosy.

- Mmmm, chyba rzeczywiście tak zrobię - mruknęła, wtulając się w poduszki, po czym machinalnie podciągnęła prześcieradło, okrywając nagie ciało.

Wsparł się na łokciu i przez dłuższą chwilę sycił wzrok jej widokiem. Była naprawdę niezwykłą dziewczyną, pełną wyjątkowego ciepła i radości, a przy tym wielkoduszną. Okazała się również kobietą zmysłową i namiętą, co cieszyło go niezmiernie.

Mój kochany aniołek, wypisz wymaluj jak u Botticellego, ma w sobie wiele erotyzmu, uśmiechnął się w duchu.

Przypomniawszy sobie miesiąc miodowy. Kiedy ją poślubił, była jeszcze dziewicą, a jednak w sprawach seksu nauczyła go więcej niż jakakolwiek inna kobieta, z którą przedtem sypiał. Nie było w niej bojaźni czy fałszywej skromności, a już po pierwszych miesiącach małżeństwa poznał jej pragnienia i żądę; korzystała bowiem z każdej chwili, aby dać mu do zrozumienia, co sprawia jej największą przyjemność. Co najdziwniejsze, odsłoniła przed nim również tajniki jego ciała, tchnęła w nie życie tak, jak nie udało się to jeszcze żadnej innej. Uwielbiała jego ciało i nie kryła się z tym; czerpała z niego tyle rozkoszy, ile potrzebowała, a w zamian zaspokajała go w nie znany mu dotąd sposób, kiedy zaś oboje krzyczeli wspólnie w momencie szczytowej ekstazy, nie było pomiędzy nimi żadnych zahamowań czy skrepowania.

Maxim wysunął się z łóżka i podszedł do okna, gdzie o świcie stała Anastazja i upajał się pięknym, niezwykłym widokiem, który rozpościerał się przed nim w gasnącym blasku późnego popołudnia.

Wiedział, że nigdy nie zapomni chwil spędzonych z żoną w Wenecji, że już na zawsze zachowa w pamięci to łagodne powietrze... spokój... mgliste obłoki i szaroniebieskie niebo, tak bardzo przypominające jej oczy... upojne noce... odgłos chlupotania w kanale, kiedy woda uderzała miarowo o pale. Wiedział, że Wenecja już na zawsze będzie mu się kojarzyć z cudowną Anastazją, jego piękną dziewczyną z marzeń, jego najukochańszą, najdroższą żoną, jedyną, jakiej kiedykolwiek pragnął.

- Bardzo ci dziękuję za smakowity lunch, doprawdy przeszedł tym razem samą siebie - powiedział Maxim, uśmiechając się do księżnej Iriny. Odłożył serwetę na stół, odsunął nieco krzesło i założył nogę na nogę.

- Cieszę się, że ci smakuje - odparła, a w jej błękitnych oczach zajaśniała radość.

- Zawsze smakuje mi to, co przyrządzasz, ale moim zdaniem dzień jest zbyt gorący, abyś spędzała go w kuchni. Powinnaś była wyjść gdzieś ze mną, tak jak ci proponowałem.

- Nie, nie, mój drogi, kiedy jesteś w Berlinie, muszę przyrządzić ci coś specjalnego - odparła. - Jesteś dla mnie taki dobry, że chętnie zrobię dla ciebie choć tyle.

- Ale wieczorem zabieram cię stąd, ciociu Irino. Najpierw zjemy coś w jednej z twoich ulubionych restauracji, a potem, jeśli chcesz, pójdziemy potańczyć. Wiem, jak bardzo to lubisz.

- Maximie, doprawdy, rozpieszczasz mnie. Ale przyznaję, że przy tobie czuję się znowu młoda - roześmiała się pogodnie.

- Mówisz tak, jakbyś była stara!

- W marcu skończyłam pięćdziesiąt lat, nie zapominaj o tym.

- Pięćdziesiąt to wcale nie tak dużo, a zresztą nikt by ci nie dał tylu lat - zaproponował z pełnym przekonaniem, myśląc o tym, jak pięknie dziś wyglądała w niebieskiej, jedwabnej sukni, pasującej wspaniale do koloru jej oczu. Była smukła

i elegancka, kasztanowate włosy błyszcząły jak dawniej, z pewnością dzięki staraniom i kunsztowi fryzjera, ale efekt był imponujący: doskonale harmonizowały z alabastrową cerą. Najbardziej jednak zwracała uwagę jej twarz, nadal piękna i niemal pozbawiona zmarszczek, mimo niewątpliwie trudnych warunków życia.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała.

- Patrzę z podziwem, ciociu Irino. Wiesz, wyglądasz naprawdę wspaniale.

- Dzięki tobie i twojej trosce, dzięki pomocy, jakiej udzielasz mi od lat, i dzięki Teddy, która odnosi się do mnie z wielkim uczuciem. Jesteście dla mnie tacy cudowni, nie wiem nawet, w jaki sposób mogłabym się zrewanżować!

- Nie musisz dziękować, przecież jesteśmy twoją rodziną - odparł. - Co byś powiedziała teraz na szklanekę herbaty z cytryną? Co do mnie, uważam, że przydałaby się po tym

wiśniowym torcie ze Schwarzwald. - Zrobił przy tym tak zabawną minę, że Irina roześmiała się serdecznie.

- Nie zmuszałam cię, żebyś go jadł, a poza tym wiesz dobrze, że za nim przepadasz. Zajadałeś się tym jako małe dziecko.

- Czekolada i ciasto owocowe z kremem to dobre dla kilkuletnich brzdąców, ale kiedy ma się dwadzieścia siedem lat, należy tego unikać. Chyba że ktoś chce przytyć.

Irina pokręciła głową. - Stale zapominam o twoim wieku

- powiedziała powoli. - Ciągle mam wrażenie, że jeszcze wczoraj trzymałam cię na kolanach i kołysałam do snu, goszcząc u twoich rodziców w Wannsee.

- Czas ucieka, ciociu Irino.

- To prawda. I pomyśleć, że twój ojciec miał tyle lat, co ty teraz, kiedy widziałam go po raz pierwszy. Mój Boże, ile to już minęło... Dopiero potem, po kilku latach, ty przyszedłeś na świat. - Irina odwróciła raptownie głowę, popatrzyła w dal, po czym wstała. - Przepraszam na chwilę, pójdę poprosić Hildę, aby nastawiła wodę na herbatę.

- Szybkim krokiem odeszła od stołu.

Maxim, który wstał razem z nią, zawołał: - Wypijmy ją w saloniku, dobrze?

- Czemu nie, tam jest przynajmniej chłodniej niż tu

- odparła kierując się do kuchni.

Spoglądał za nią zdumiony, świadomy nagłej zmiany jej nastroju, wreszcie wzruszył ramionami i przeszedł do saloniku. Pokój był przestronny i przewiewny, jego okna wychodziły na Lützowufer i Landwehrkanal. Maxim popatrzył na obsypane zielonymi liśćmi drzewa w Tiergarten, na drugim brzegu kanału.

On i baron, ojczym Iriny, kupili dla niej ten apartament w 1956 roku, a kiedy wraz z Teddy przylecieli wtedy do Berlina, aby go obejrzeć, obie kobiety parsknęły śmiechem, okazało się bowiem, że nowy budynek stoi prawie w tym samym miejscu, gdzie przed laty znajdowała się „ziemianka” Iriny. Maxim nigdy nie miał okazji obejrzeć piwnicy, w której mieszkała Irina, słyszał o niej jednak od Teddy i przeżył z tego powodu prawdziwy szok; tym większy, że cała ta sprawa dotyczyła przecież księżniczki, kobiety z rodu Romanowów.

Kiedy przyjechał do Berlina w 1950 roku, po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, Irina mieszkała nie opodal Kurfurstendamm, w miejscu, które znalazła dla niej pani Reynolds. W jego opinii nie było ono odpowiednie, podobnie

ocenił zresztą nieco większe mieszkanie przy Budapesterstrasse, do którego Irina przeprowadziła się niebawem. Dlatego, kiedy zaistniała możliwość kupna wygodnego apartamentu, chętnie pokrył koszty transakcji. Od dawna pragnął, aby Irina miała ładne mieszkanie, takie, które oznacza prawdziwy dom.

Za pośrednictwem frankfurckiego oddziału Deutsche Bank, który utrzymywał stały kontakt z Rossiter Marchant Bank, przesyłał Irinie pieniądze, odkąd ukończył szesnaście lat. Nie prosiła nigdy o nic, ale warunki, w jakich mieszkała i żyła, martwiły go do tego stopnia, że postanowił jej pomóc. Teddy, jako jego prawna opiekunka, wyraziła zgodę, a obydwie banki uzgodniły między sobą sposób najmniej kłopotliwego transferu pieniędzy bezpośrednio do niej. Ojczym Iriny, choć nie należał już do ludzi zbyt zamożnych, również wspomagał ją finansowo w miarę możliwości, ale ona sama też pracowała, stała się dla kilku niemieckich wydawnictw cenionym tłumaczem. Jednak Maxim nie zwracał na to uwagi, czy Irina pracuje, czy też nie; z chęcią udzielał jej pomocy, wiedząc, że gdyby żył jego ojciec, postąpiłby w tych warunkach z pewnością tak samo.

Najbardziej radował go sposób, w jaki Irina wykorzystwała meble otrzymane w prezencie od barona, stwarzając w swoim mieszkaniu atmosferę wygody, przytulności i piękna, jak też pełnej uroku prostoty. Powiódł teraz wzrokiem po salonie i dostrzegł kilka przedmiotów, których nie było tu za jego poprzednim pobytem: jedwabne poduszki na szerokiej sofie, wyściełanej kremowym brokatem i lampy z jedwabnymi abażurami. Nowe były też zdjęcia jego córeczki, Alix, oprawione w ramki i ustawione na pianinie, tuż obok innych fotografii.

Maxim podszedł do pianina i nachylił się, aby obejrzeć zdjęcia dokładniej. Po jednej stronie stały reprodukcje jego ulubionych, tych, które przechowywał od dzieciństwa. Mama i papa w wieczorowych strojach - słynny „portret” z 1935 roku - oraz zdjęcie grupowe, upamiętniające czwartą rocznicę jego urodzin. Na trzecim widoczni byli mama, Teddy i on na tle Plaza-Athénée w Paryżu w 1939 roku. Wspaniale był też przedstawiony jego ślub z Anastazją; Maxim wziął do ręki zdjęcie oprawione w srebrną ramkę, na którym widnieli razem w Paryżu, tuż po ceremonii ślubnej, i wpatrywał się w nie z zachwytem. Jak wspaniale wyglądała jego żona w tej wytwornej, koronkowej sukni z białym,

powłóczył w welonem i w koronie z pomarańczowych kwiatów.

Odstawił fotografię na miejsce i odwrócił się w tej samej chwili, kiedy Irina weszła do salonu, niosąc tacę z dwiema szklankami parującej herbaty cytrynowej.

- Wczoraj otrzymałam bardzo miły list od państwa Dere-venko - oznajmiła. - Zaprosili mnie do siebie na ostatni tydzień września do Cannes.

- Myślę, że powinnaś pojechać, to by ci dobrze zrobiło

- powiedział, siadając w fotelu, jednym z dwu stojących przy sofie.

- Właśnie mam taki zamiar. To sympatyczna para, lubię ich towarzystwo.

- Alexander kupił niedawno na aukcji niezwykle obraz. Jeszcze jeden Degas. Muszę przyznać, że zdołał już zebrać naprawdę imponującą kolekcję... - Urwał nagle, sięgnął po szklankę i upił parę łyków herbaty, a potem odchylił się z powrotem w fotelu. Sprawiał teraz wrażenie przygnębionego i ważącego coś w myślach.

Irina, zaintrygowana przedłużającym się milczeniem, nie spuszczała z niego oczu. W końcu zapytała łagodnym tonem:

- Znowu rozmyślasz o kolekcji sztuki Westheimów, prawda? Przytaknął skinieniem głowy. - Nie sądzę, abyśmy dowiedzieli się kiedykolwiek, co się stało z obrazami Renoira i innymi, które znajdowały się w posiadaniu mojej rodziny.

- Tak, obawiam się, że... zniknęły bez śladu. Ale podczas wojny zaginęło wiele cennych obrazów i dzieł sztuki, Maximie. Część uległa zniszczeniu w wyniku nalotów, część została skonfiskowana przez hitlerowców. A raczej: skradziona. To lepsze określenie.

Maxim skierował na nią przenikliwe spojrzenie swych ciemnych oczu. - Nigdy nie zrozumieć, dlaczego mój ojciec nie opuścił Niemiec na początku lat trzydziestych, kiedy wyjeżdżało stąd tak wielu Żydów!

- Mówisz mi to co rok, odkąd ukończyłeś szesnaście lat, a ja nigdy nie byłam w stanie odpowiedzieć na to ani wyjaśnić. I tak jest nadal. Nigdy ci tego nie wytłumaczę.

- Był tak wspaniałym człowiekiem, bankowcem o międzynarodowej renomie - mruknął Maxim. - Wiedział wszystko na każdy temat. Nigdy, dopóki żyję, nie zrozumieć, dlaczego zwlekał, dlaczego opóźniał moment wyjazdu, aż stało się za późno.

- Wielu postępowało podobnie, Maximie. Miliony Żydów niemieckich żyły w przekonaniu, że nic złego im się nie przydarzy, że nie może się zdarzyć. Tak myśleli zwłaszcza ci, którzy posiadali znaczny majątek, stanowisko i dobrą pozycję społeczną. Oczywiście był to fałszywy osąd... tragiczna pomyłka...

- Tak, wiem, mówiłaś mi o tym już wiele razy. Ale nadal nie mogę pojąć, jak mój ojciec mógł zignorować wszelkie te oznaki...

- Twój ojciec nie był jedyną osobą, która dokonała mylnej oceny sytuacji. Taki sam błąd popełniło mnóstwo innych. Gdyby ocenili sytuację właściwie, gdyby w odpowiednim momencie opuścili Niemcy, uniknęliby holocaustu.

- Tak, masz rację.

- Kiedy twój ojciec podjął decyzję o wyjeździe, o ucieczce wraz z całą rodziną, nikt z nas nie myślał, że jest już za późno: ani Kurt, ani ja, Reinhard czy Renata. Byliśmy przekonani, że przy pomocy admirała Canarisa i pułkownika Oстера zdołamy przewieźć was w bezpieczne miejsce... ale o tym wszystkim mówiłam ci już przecież wiele razy.

- Przepraszam, że zanudzam cię tą sprawą każdorazowo, gdy przyjeżdżam do Berlina, ale to chyba silniejsze ode mnie.

- Doskonale to rozumiem. Z Berlinem wiąże się dla ciebie tyle wspomnień! Nic dziwnego, że zwracasz się myślą ku matce i ojcu. - Irina przeniosła spojrzenie na wieko pianina, wpatrywała się przez dłuższą chwilę w fotografię Ursuli i Sigmunda, a potem szepnęła z niewyraźnym uśmiechem: - Tak bardzo jesteś podobny do niego, kiedy był w twoim wieku. On... - Nie dokończyła zdania, jej usta zadygotały, w oczach zalśniły łzy. Nakryła wargi dłonią i gwałtownym ruchem odwróciła głowę w inną stronę.

- Ciociu Irino, có się stało? - zapytał przejęty.

Nie od razu zdołała wziąć się w garść. W końcu obróciła się do niego plecami i wyjawiała cichym, łagodnym głosem:

- Bardzo go kochałam, wiesz? Och, proszę, nie zrozum mnie źle, między nami nigdy do niczego nie doszło, on nie widział świata poza twoją matką, z pewnością nie wiedział nawet, co do niego czuję, potrafiłam skrywać swoje emocje. - Umilkła, po jej twarzy przemknął cień uśmiechu. - Byliśmy wspaniałymi przyjaciółmi, twój ojciec i ja, i w ten właśnie sposób traktował mnie przez cały czas. Byłam dla niego... no, kimś w rodzaju dobrego kumpla. Ale tak naprawdę pokochałam go

od razu, kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Berlina i poznałam ich, jego i Ursulę. Ją też polubiłam, była moją najbliższą przyjaciółką, taką od serca. - Irina westchnęła głęboko i zwróciła na Maxima wilgotne oczy. - Twój ojciec to jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochałam.

Maxim podszedł bliżej, usiadł przy niej na sofie. - Och, ciociu Irino, ciociu Irino - szepnął. Ujął oburącz jej dłonie, zatopił wzrok w jej oczach. - Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie wiem, może myślałam, że nie jest to zbyt stosowne wyznanie. A zresztą, upłynęło już tyle czasu...

- Tak, to prawda. - Uścisnął jej rękę. - Teraz już wiem, dlaczego nigdy nie wyszłaś za męża.

Objął ją ramieniem i przytulił do siebie, owładnięty współczuciem do niej.

* * *

Po wyjściu Maxima Irina wróciła na sofę, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Za każdym razem, kiedy Maxim przyjeżdżał do Berlina, wszczynał z nią rozmowę na ten sam temat, ona zaś powtarzała mu niezmiennie to samo. Chętnie przekazałaby mu jakieś nowe informacje, ale nie było to możliwe. Czas nie zmienił niczego. Ona sama stawiała sobie mnóstwo pytań i nie było dnia, aby nie rozmyślała o Ursuli i Sigmundzie, o ich tragicznym losie: egzekucji Sigiego w Buchenwaldzie i torturach oraz cierpieniach Ursuli w Ravensbrück. Jej zdaniem Teddy postąpiła bardzo mądrze, że nie ujawniła przed Maximem prawdy o śmierci jego matki, że zataiła, w jaki sposób zginęła Ursula. Kto byłby w stanie żyć potem spokojnie z tak straszliwą świadomością, z tak okrutną wiedzą na temat śmierci własnych rodziców?

Jej przyjaciółka z ruchu oporu, Maria Langen, więziona przez pewien czas w Ravensbrück wraz z Ursulą i Renatą, opowiedziała jej w 1944 roku, kiedy znalazła się na wolności, wiele rzeczy. Rzeczy, których Irina nie mogła wtedy spokojnie słuchać i o których próbowała zapomnieć, ale bezskutecznie; nie zdołała wymazać ich z pamięci mimo gorących starań.

Maria opowiedziała jej na przykład o ścianie w Ravensbrück, ścianie kary. Więźniarki były stawiane pod nią i bite

bezlitośnie przez strażniczki obozowe, bite bez sensu i bez opamiętania, a potem musiały tam stać, mimo iż nogi odmawiały im posłuszeństwa. Maria opowiedziała, że ich krzyki, jęki i płacz rozlegały się w obozie niemal bezustannie, dniem i nocą, że musiały tam stać w deszczu i na mrozie, bez jedzenia i picia, nawet bez kropli wody. Wedle słów Marii, Ursula była tyle razy stawiana pod ścianą kary i bita z takim okrucieństwem, że aż dziw brał, iż przeżyła tak długo. Renata i Maria podkradały się do niej nocą, próbowały ją pocieszyć, napić wodą, robiły co mogły, darły nawet na strzępy swoje ubranie, aby opatrzyć jej rany. Każdorazowo, kiedy zostały przyłapane, same stawały pod ścianą, otrzymywały karę chłosty i stały tam potem wraz z Ursulą, nie dbały jednak o to. Nie przestawały troszczyć się

O nią aż do dnia, kiedy Ursula, stojąc pod ścianą, umarła w ramionach Renaty.

Były niesłychanie dzielne, pomyślała Irina, miały godną podziwu odwagę. One obie były prawdziwymi bohaterkami i zapłaciły za to własnym życiem: Renata jeszcze w Ravens-briick, Maria nieco później, po wyjściu na wolność.

Wiedza o tym, w jaki sposób zginęli Ursula i Sigmund, dręczyła Irinę bezustannie, stała się jej koszmarem, który nie dawał za wygraną. I wyglądało na to, że miał już nigdy jej nie opuścić, że będzie prześladować ją aż do śmierci.

45

Wracając taksówką do hotelu Kempniński, Maxim nie przestawał rozmyślać o Irinie.

Jej wyznanie na temat uczucia, jakim darzyła jego ojca, zaskoczyło go w pierwszej chwili. Potem zrobiło mu się jej żal. Miłość bez wzajemności to jedna z najsmutniejszych rzeczy, jakie mogą spotkać człowieka w życiu. Nie miał pojęcia, co mógłby jej teraz powiedzieć, w jaki sposób pocieszyć. A może dziś, po tylu latach, nie można jej już pocieszyć? Może nauczyła się jakoś żyć z tym bólem?

Spojrzał za okno, kiedy taksówka skręciła w Kurfürstendamm.

Berlin, pomyślał. Zawsze, kiedy przebywał zbyt długo poza tym miastem, coś nie dawało mu spokoju. Czasem wydawało mu się, że Berlin ukrywał coś przed nim, nie wiedział jednak, jakiego rodzaju miałyby być owa tajemnica. Bywały momenty, kiedy sądził, że do Berlina ciągnie go nostalgia, wspomnienia dotyczące rodziców i jego dzieciństwa. Teraz uzmysłowił sobie, że przyjeżdża tu również po to, aby spotkać się z Iriną.

Kiedy wrócił po raz pierwszy do swego rodzinnego miasta, w 1950 roku, odniósł wrażenie, że Irina potrzebuje jego obecności. Teraz wiedział już, dlaczego. Był ogniwem łączącym ją z jego rodzicami, a zwłaszcza z ojcem, który - jak się okazało - był jedyną miłością w jej życiu.

Z drugiej strony, Irina oznaczała to samo dla niego... więź z przeszłością. Była rówieśniczką jego rodziców, ich bliską przyjaciółką, przebywała niegdyś często w ich towarzystwie. Dlatego też była w stanie powiedzieć tak wiele na ich temat. Nawet więcej niż Teddy, przynajmniej pod paroma względami. Często rozmawiał z Iriną o swoich rodzicach, ona zaś wspominała czasy spędzone wraz z nimi, sprawiała, że w pewnym sensie żyli nadal; przynajmniej w wyobraźni Iriny i również jego. Fakt ten stanowił dla nich dużą pociechą i tylko to się teraz liczyło.

Uświadomił sobie raptem, że skoro jest synem Sigmunda, Irina może widzieć w nim własne dziecko, dziecko, jakie mogłaby mieć z Sigmundem, gdyby ich życie potoczyło się inaczej.

Ach, te zawilości ludzkiego serca, pomyślał. Cieszył się, że jest w stanie pomagać Irinie finansowo, że regularnie przyjeżdża do niej z wizytą. Miał nadzieję, że dzięki temu Irina czuje się mniej samotna.

* * *

Wspólnie z Iriną spędzili cudowny wieczór - jak zwykle, gdy Maxim przebywał w Berlinie. Dużo rozmawiali, cieszyli się swoim towarzystwem przy obiedzie, po czym zgodnie z propozycją Maxima udali się na dancing do jednego z klubów przy Ku'damm.

W takim samym wesołym nastroju opuścili klub o drugiej nad ranem. Maxim wziął Irinę pod rękę, spacerowali wolnym krokiem, delektując się rześkim, nocnym powietrzem. Jak

zawsze w sobotni wieczór, klub był pełen ludzi i dymu z papierosów, a ostatnia godzina stała się nie do zniesienia. Tak więc mimo iż ten niedzielny sierpniowy poranek zwiastował kolejny upalny dzień, oboje odetchnęli z ulgą wychodząc z dusznego klubu na ulicę.

Przechadzali się przez kilka minut, w końcu Maxim zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Za ledwie zajęli miejsca na tylnym siedzeniu, kierowca odwrócił do nich głowę i spojrzał na nich posepnym wzrokiem. - Budują barykadę - powiedział.

- Kto? - zapytał Maxim marszcząc brwi. Nie wiedział w ogóle, o co chodzi.

- Ci ze wschodnich Niemiec - odparł taksówkarz. - Komuniści.

Maxim poczuł, jak Irina prostuje się niespokojnie na siedzeniu. Rzucił jej szybkie spojrzenie, po czym zapytał: - Gdzie? Gdzie budują tę barykadę?

- Na Potsdamer Platz.

- To i tak nasz kierunek, więc proszę nas tam zawieźć. Chciałbym zobaczyć, co się dzieje! - polecił Maxim.

- Już się robi! - zawołał kierowca.

Taksówka ruszyła wzdłuż Ku'damm, kierując się w stronę Lutzowufer, jednej z ulic wiodących do Potsdamerstrasse i Potsdamer Platz, miejsca styku dwu stref okupacyjnych.

Irina pierwsza przerwała milczenie. — Zbyt wiele osób opuściło w ciągu ostatniego roku Niemcy Wschodnie, ponad dwieście tysięcy. I przeważnie byli to ludzie młodzi.

Maxim spojrzał na nią z uwagą. - Czy dobrze się domyślam, co masz na myśli?

- Chyba tak. Ta barykada nie ma na celu odizolować Berlin Zachodni, ale raczej powstrzymać tych z Berlina Wschodniego, nie dopuścić do tego, żeby przedostawali się do zachodniej części miasta. - Roześmiała się głucho, jakby nieszczercze. - To właśnie daje swoim obywatelom reżim komunistyczny. Muszą otoczyć swój kraj drutem kolczastym, aby ludzie nie uciekali za granicę.

- Tak, masz rację.

Taksówka jechała teraz wzdłuż Potsdamerstrasse, a Maxim i Irina, widząc gromadzące się w okolicy tłumy, wymienili zatroskane spojrzenia.

- Tu wysiadziemy - powiedział Maxim. Taksówka podjechała do krawężnika i zatrzymała się, Maxim pomógł Irinie wysiąść, zapłacił za kurs i oboje ruszyli szybkim krokiem w stronę Potsdamer Platz.

Widok, jaki ukazał się ich oczom, był rzeczywiście niezwykły i przerażający: plac przegradzano olbrzymimi zwojami drutu kolczastego, który miał uniemożliwić wszelki ruch pomiędzy wschodnim a zachodnim sektorem. Żołnierze straży granicznej mocowali druty i łączyli je w gigantyczne zasieki; pracowali przy wtórze gromkich i gniewnych okrzyków oraz gwizdów mieszkańców Berlina Zachodniego, którzy stali po drugiej stronie wznoszonej barykady, przypatrując się poczynaniom swoich ziomków z Berlina Wschodniego. Scenerię oświetlały gigantyczne lampy, a całą akcję zabezpieczały czołgi i oddziały ciężko uzbrojonych żołnierzy, nadjeżdżających co chwila na ciężarówkach.

- To wszystko wygląda mi na szeroko zakrojoną operację wojskową - mruknął Maxim.

Irina przytuliła się do jego boku, poczuł, jak zadrżała mimo ciepłej, sierpniowej pogody. - Widać, że podeszli do tego poważnie - szepnęła. - A my będziemy mieli miasto całkowicie podzielone, niczym dwie osobowości schizofrenika. Już do tej pory było źle, ale teraz wszystko pogorszy się jeszcze bardziej. - Znowu zadrżała, zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - Proszę, Maximie, odprowadź mnie do domu.

- Oczywiście, chodźmy, zrobiło się późno

Zawrócili i odeszli od zasieków, kierując się ku Lutzowufer. Po chwili Irina odezwała się ponurym głosem: - Jestem pewna, że drut kolczasty nie wystarczy im. Jeszcze trochę, i zbudują mur, dzielący miasto na dwie części, zobaczysz. Jak się niebawem okazało, miała rację.

* * *

Mur ciągnął się na przestrzeni około stu pięćdziesięciu kilometrów i miał wysokość ponad dwa i pół metra. Od strony wschodniej pomalowano go na biało, po drugiej pokryto barwnymi graffiti.

Maxim pokazał Anastazji mur, kiedy przyjechała z nim do Berlina w czerwcu 1963 roku. Nie było jej w tym mieście od dłuższego czasu, mur ujrzała więc po raz pierwszy; jego widok wywołał w niej odrazę.

- To okropne! - zawołała, patrząc na Maxima i Irinę. - Straszne!

- Tak, to prawda - przyznał Maxim.

- Zastrzelono już wiele osób, które próbowały uciec przez mur - wyjaśniła Irina. - Ale kilka tysięcy zdołało przedostać się na wolność tu, do sektora zachodniego. - Potrząsnęła głową i zawołała urągliwie: - Komuniści! Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze!

- Mnie też - mruknął Maxim i zwrócił się do żony: - Chodźmy, pokażę ci te graffiti na murze, myślę, że cię zainteresują. Gdzieś tam są agresywne, miejscami obraźliwe, niektóre są dowcipne, inne smutne lub prowokujące. Jest ich cała gama, do wyboru, do koloru, naprawdę. - Ujął obie kobiety pod rękę i cała trójka ruszyła wolnym krokiem oglądając kolorowe malowidła.

- Nazwano je najdłuższym rysunkiem na świecie - powiedziała Irina. - Ciągną się wiele, wiele kilometrów.

- Niektóre z nich to prawdziwe dzieła sztuki - dodał Maxim. - Wspaniała robota!

Anastazja również rysowała w domu, miała duży talent artystyczny, tym bardziej więc fascynowały ją malowidła na murze, przy wielu z nich zatrzymywała się na dłużej. Nieco później Maxim zaprowadził ją na jedną z platform widokowych, wznoszących się na wysokość prawie sześciu metrów i oferujących widok na Berlin Wschodni, który rozciągał się po drugiej stronie muru.

- Jakże tam pęse, nieprzyjemne ulice! - mruknęła Anastazja do Maxima, który stanął na platformie tuż przy niej.

- Sprawiają wrażenie zupełnie wymarłych! Gdzie się podzieli ludzie, którzy tam mieszkają?

Wzruszył ramionami. - Nie wiem... chyba pracują. A ci, którzy akurat nie pracują, nie mają zapewne po co kręcić się w tych okolicach. Oglądałam te ulice za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Berlina i podchodzę do muru - zawsze są takie same: wyludnione i smutne.

- Wyglądają jak pustynia - powiedziała Anastazja. - Jaka to różnica, jeśli porówna się je z Berlinem Zachodnim, pełnym życia i ruchu!

Przypomnieli sobie jej słowa nazajutrz, kiedy udali się razem na plac Rudolfa Wilde'a. Pobyt Maxima i Anastazji w Berlinie zbiegł się w czasie z wizytą prezydenta Kennedy'ego, który odbywał właśnie swoją europejską podróż. Setki tysięcy berlińczyków z zachodniej części miasta wyległy na ulice, kierując się podobnie jak oni ku ratuszowi Schoneberg. To właśnie tam prezydent Kennedy miał wygłosić przemówienie po obejrzeniu muru i wpisaniu się do Złotej Księgi miasta.

Kiedy Kennedy pojawił się w towarzystwie burmistrza Willy'ego Brandta oraz kanclerza Republiki Federalnej Konrada Adenauera, tłum począł wiwatować, klaskać i wymachiwać rękoma, wyrażając swoje uznanie dla dostojnego gościa, kiedy zaś począł przemawiać, na placu zaległa głucha cisza. Słyszeć było jedynie jego słowa: „Nie znam drugiego takiego miasta, które by było okupowane przez osiemnaście lat i nadal wykazywało taką żywotność, siłę, nadzieję i determinację, jak Berlin Zachodni. Ten mur stanowi najbardziej widoczny, najbardziej jaskrawy dowód krachu systemu komunistycznego, jego upadku, który widzi dziś cały świat...”

Prezydent Kennedy umilkł na chwilę, po czym zakończył dramatycznym oświadczeniem: „Wszyscy wolni ludzie, gdziekolwiek żyją, są obywatelami Berlina i dlatego, jako człowiek wolny, stwierdzam z dumą: Ich bin ein Berliner”*.

Na te słowa tłum ogarnęło uniesienie, ludzie krzyczeli coś, po twarzach wielu z nich, Niemców i cudzoziemców, spływały łzy. Wszyscy wiwatowali na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych, poruszeni do głębi jego słowami. Maxim poczuł raptem wiszącą w powietrzu histerię. Instynktownie objął Anastazję i Irinę, przygarnął je do siebie. Przez chwilę zastanawiał się, czy aby na pewno zrobił dobrze, przychodząc dziś z nimi na ten plac. W takim tłumie jak ten, liczącym setki tysięcy podekscytowanych ludzi, mogło bardzo łatwo dojść do wypadku, to mrowie mogło wyrwać się spod kontroli, stratować i zranić przypadkowych gapiów, podobnych do nich. Dopiero gdy obie kobiety znalazły się całe i zdrowe w hotelu, w jego apartamencie, odetchnął z ulgą.

Jednak kilka miesięcy później Maxim znalazł się w sytuacji, kiedy słowa, jakie usłyszał na placu Rudolfa Wilde'a w Berlinie, odżyły w jego pamięci, on zaś doszedł do przekonania, że bardzo dobrze zrobił, idąc w tamten ciepły, czerwcowy dzień wysłuchać przemówienia Johna Kennedy'ego.

*** Jestem Berlińczykiem - niem. - przyp. tłum.**

Dzień był piękny i słoneczny, niebo zachwycalo nieskazitelnym błękitem, nie zmaconym przez najmniejszy obłoczek.

Anastazja odnosiła wrażenie, jak gdyby cały Manhattan został dopiero co starannie wypolerowany. Drapacze chmur i inne budowle błyszczaly w słońcu owego piątkowego poranka, kiedy szła przez Piątą Aleję w stronę Bergdorf Goodman.

Już po chwili pchnęła obrotowe drzwi wejściowe do tego ekskluzywnego domu towarowego i pojechała windą na górę, do działu dziecięcego. Wczoraj zwróciła uwagę na uroczą sukieneczkę, która mogła być dobra dla dwuletniej Alix, oraz inne rzeczy, jak wymarzone dla ich drugiego dziecka, chłopczyka. Michael miał teraz osiemnaście miesięcy i rósł jak na drożdżach.

Anastazja uśmiechnęła się w duchu, rozmyślając o nich. Maxim nazwał Alix i Michaela „weneckimi dziećmi”, jako że zostały poczęte właśnie tam, w Wenecji: Alix w lipcu, podczas miodowego miesiąca, a Michael w sierpniu, kiedy pojechali tam spędzić swój drugi miesiąc miodowy.

Mimo iż przebywali z Maximem w Nowym Jorku dopiero od tygodnia, zdążyła stęsknić się za dziećmi i nie pocieszał jej wcale fakt, że zajmuje się nimi ich niania, Jennifer, która w każdej chwili może liczyć na pomoc gosposi i zarazem kucharki, pani Woodson. Jak również na pomoc Margot, która specjalnie w tym celu przyleciała z Paryża i na czas nieobecności córki i zięcia wprowadziła się do domu w Mayfair.

Nie powinnam się tak denerwować, pomyślała wychodząc z windy. Dzieci znajdują się teraz w dobrych rękach, mają zapewnioną doskonałą opiekę. A jednak nie lubiła rozdzielać się z dziećmi; one i mąż stanowili dla niej cały świat. Oprócz nich liczyło się dla niej niewiele.

Z zadowoleniem stwierdziła, że różowa sukienka z organ-dyny w dalszym ciągu zdobi wystawę, i przystanęła na moment, wyobrażając już sobie, jak bardzo do twarzy będzie w niej jej niebieskookiej córeczce, zwłaszcza przy tych ślicznych blond włosach.

Niemal natychmiast u jej boku znalazła się ekspedientka, potwierdziła, że jest to odpowiedni rozmiar, i zdjęła sukienkę

z wieszaka. Podczas gdy sukienkę owijano w cieniutką bibułę, pakowano do srebrzystego pudełka i obwiązywano purpurową wstążką, Anastazja rozglądała się za śpioszkami i koszulkami dla Michaela. W końcu wybrała po trzy jednego i drugiego.

Dwadzieścia minut później zjeżdżała windą, trzymając dwie pokaźne torby z zakupami. Wychodząc ze sklepu spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza, a to oznaczało, że nie spóźni się na spotkanie z Maximem. Umówili się na lunch w Sali Dębowej w Plaza Hotel, po drugiej stronie placu, naprzeciw domu towarowego.

Wchodząc do hotelu nie dostrzegła nawet poruszenia, jakie wywołała swoją osobą, nie zauważyła pełnych zachwytu spojrzeń, rzucanych w jej kierunku. W wieku dwudziestu dwu lat była jeszcze piękniejsza niż przedtem. Długie blond włosy upięła dziś wysoko, miała na sobie ciemne futro z norek, które Maxim kupił jej kilka dni temu, czarne, lakierowane pantofelki na wysokich obcasach i długie beżowe rękawiczki. W uszach połyskiwały małe diamenty, a szyję okalał sznur pereł.

Szybkim krokiem udała się do damskiej garderoby, zostawiła tam torby z zakupami oraz futro, po czym przeszła do Sali Dębowej.

Jakiego przystojnego mam męża, pomyślała. Jak wspaniale prezentuje się w tym ciemnoszarym, prążkowanym garniturze i jasnobłękitnej koszuli! Na tej sali nie było drugiego mężczyzny tak wytwornego jak on. A te błyszczące oczy mogły oznaczać tylko jedno: miał dziś udany poranek, spotkanie na Wall Street przebiegło znakomicie. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Od dawna wiedziała, że ma męża geniusza, a wszyscy dokoła twierdzili, że Maxim posiadał czarodziejską sztukę króla Midasa. Każda sprawa, którą prowadził, przynosiła olbrzymie zyski. Jej ojciec powiadał, że Maxim to najwspanialszy, najzdolniejszy biznesmen, jakiego kiedykolwiek poznał

- a taka pochwała w ustach Alexandra Derevenko miała nie być jakieś znaczenie.

Kiedy podeszła do stolika, Maxim uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. - Wyglądasz bajecznie - szepnął. -

Powinnaś częściej chodzić w czerwieni, kochanie, naprawdę do twarzy ci w tym kolorze.

- Pięknie dziękuję, łaskawy panie - uśmiechnęła się zalotnie.

- Jak widzę, musiałeś oczarować swoich kontrahentów i ban-

kierów. Twoja mina świadczy, że znowu powiodło ci się dziś na Wall Street.

Nachylił się ku niej, jeszcze bardziej zniżył głos. - Dopóki będzie mi się z tobą, moja najdroższa, nic innego się nie liczy. Nie pamiętam, kiedy mówiłem ci o tym po raz ostatni, a więc na wszelki wypadek powiem to teraz: uwielbiam cię. Na dzisiejsze popołudnie mam bardzo rozległe plany... wobec nas obojga. Na dziś skończyłem już pracę, jestem do twojej dyspozycji. Po lunchu pójdziemy z powrotem do hotelu i - tu przysunął się jeszcze bliżej i wyszeptał jej do ucha: -i pokochamy się, tak jak to my potrafimy. I kto wie, może uda nam się zrobić jeszcze jednego dzidziusia. Roześmiała się, na jej twarzy pojawił się lekki, uroczy rumieniec. Oczy błyszczały bardziej niż kiedykolwiek. - Doskonale pomysł. I wiesz? Ja też cię uwielbiam. - Wyciągnęła do niego rękę, mocno ścisnęła dłoń, a potem zerknęła na stojący przed nim kieliszek.

- To alkohol? - zapytała tonem, w którym zabrzmiało wyraźnie zdumienie.

- Tak. Wiem, to do mnie niepodobne, pić w ciągu dnia, ale zamówiłem butelkę Sancerre. Pomyślałam sobie, że może wypada uczcić toastem moją drobną transakcję. Jest wprawdzie warta dwadzieścia jeden milionów dolarów, ale to dopiero początek.

- Och, kochanie, to wspaniale! Gratuluję ci z całego serca! Ale co miałeś na myśli, mówiąc, że to dopiero początek?

- Początek West Investments w Ameryce. Czy napijesz się ze mną białego wina z tej okazji?

- Oczywiście.

Maxim skinął na kelnera, który czaił się w pobliżu, a ten podszedł natychmiast i napełnił kieliszek Anastazji, po czym odstawił butelkę do kubelka z lodem i zapytał, czy podać lunch.

- Za kilka minut, dziękuję - odparł Maxim. Obrócił się do żony i podniósł kieliszek. - Za wielką przygodę, jaka czeka nas w Nowym Jorku. - Uderzył lekko kieliszkiem o jej kieliszek.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Jaką przygodę?

- Chciałbym spędzać w Stanach więcej czasu niż do tej pory, może otworzyłbym tu własne biuro, mógłbym też wykupić apartament przy Piątej Alei, w Park albo w Sutton Place. Gdzie tylko chcesz. Co byś powiedziała na to, gdybyśmy spędzali część roku na Manhattanie?

Zawahała się przez króciutką chwilę i zapewniła: - Tak, oczywiście, zgadzam się, jeśli ty tego chcesz. Nowy Jork to bardzo ekscytujące miasto. Ale... co z dziećmi? Co z ich nauką i wieloma innymi sprawami tego typu?

- Kochanie, przecież to jeszcze małe dzieci! Mamy mnóstwo czasu, aby zacząć myśleć o ich szkole. Masz natomiast całkowitą rację, jeśli chodzi o Nowy Jork: to rzeczywiście niezwykle ekscytujące miejsce, ekscytujące pod wieloma względami. Zwłaszcza dla biznesmenów. Moim zdaniem tu właśnie jest przyszłość. I dlatego użyłem przed chwilą słowa „przygoda”.

- Wszyscy bez wyjątku twierdzą, że jesteś człowiekiem z olbrzymią wyobraźnią i głową nie od parady. I mają rację.

- Umilkła, uśmiechnęła się lekko i dodała: - Zgadzam się na wszystko, co postanowisz.

Jego spojrzenie wyrażało teraz miłość i zarazem autentyczną radość. - Dziękuję za zaufanie, moja droga. To cudowne, co powiedziałaś. Na całym świecie nie ma wspanialszej żony od ciebie.

- Nawet gdyby taka była, i tak istnieję dla ciebie tylko ja!

- odparowała i roześmiała się wraz z nim.

- Może już czas zajrzeć do menu - zaproponował Maxim, podając jej kartę.

- Dziękuję. - Pbiożyła ją na stoliku i wzruszyła ramionami.

- Chociaż właściwie już wiem, na co mam apetyt. Najpierw zupa ze skorupiaków, a potem wątlusz pieczony po bo-stońsku.

- Co do zupy wybieram to samo, ale na drugie wolałbym raczej taki rostbef, jaki widzę na tamtym stoliku. Wygląda bardzo zachęcająco.

Złożył zamówienie, a kiedy kelner oddalił się od nich, Anastazja zauważyła: - Jesteś dziś wyjątkowo tajemniczy, jeśli chodzi o tę nową transakcję. Nie mógłbyś powiedzieć mi, czego dotyczy, zwłaszcza teraz, kiedy została już zawarta?

- Oczywiście, że mogę. Wykupiłem firmę Allandale Group z siedzibą w Nowym Jorku.

- A co to za firma? Jej nazwa nic mi nie mówi.

- Allandale Group jest firmą skupiającą najrozmaitsze przedsiębiorstwa, na przykład małą wytwórnię kosmetyków Marianna Montecchio. Do firmy należą też agencje nieruchomości na Manhattanie i Long Island, fabryka narzędzi oraz duża piekarnia, która zaopatruje połowę sklepów w cent-

rum i przyległych dzielnicach. Jak już powiedziałem, Allandale Group skupia różne przedsiębiorstwa - i w tym właśnie tkwi główny problem. Zamierzam sprzedać zakłady nierentowne, a pozostawić sobie wyłącznie te, które przynoszą zysk.

- To znaczy które?

- Handel nieruchomościami i wytwórnię kosmetyków. Chciałbym je zreorganizować. W przyszłym roku mógłbym uruchomić linię produkcyjną kosmetyków Montevecchio w Anglii i Europie. Wiem, że to miałyby sens, ich jakość jest bardzo dobra. - Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z siebie. - Na tym właśnie polega sztuka przejmowania firm: należy wiedzieć, co sprzedać, a co zatrzymać dla siebie.

- Jak widzę, te twoje drobne operacje finansowe przypadły ci do gustu?

Spojrzał na nią zdumiony. - Drobne? Wcale nie są tak drobne, moja ty Brzoskwinko.

Zmarszczyła brwi. - Chciałabym, żebyś nie nazywał mnie w ten sposób.

- Dlaczego? To nazwa jak stworzona dla ciebie! Jesteś tak apetyczna, że mógłbym cię schrupać. Przejęcie firmy to wspaniałe przedsięwzięcie, oszczędza wiele lat pracy nad stopniowym tworzeniem własnego interesu i pozwala osiągnąć świetny zysk. Jest to również bardzo ekscytujące, znaleźć odpowiednią firmę do przejęcia, a potem obmyślać dla niej najkorzystniejszą strategię rozwoju.

- Wydaje mi się, że to ostatnie pociąga cię w pracy najbardziej. Potrząsnął głową. - Przyznaję, że to bardzo interesujące, ale

fascynuje mnie również wiele innych problemów: branie się za bary z kłopotami natury finansowej, restrukturyzacja firmy, wnoszenie do niej czegoś nowego, twórczego, tak aby stała się większa i lepsza. Nie buduję imperium z papieru, nie jestem też łowcą pakietów czy akcji. Firmy, które kupuję, staram się zatrzymać i zarządzać nimi jak należy. A w każdym razie...

Urwał na widok podchodzącego właśnie do ich stolika kelnera, który począł ustawiać przed nimi miseczki z zupą.

- I sądzisz, że ta wytwórnia kosmetyków ma przed sobą przyszłość? - zapytała Anastazja, nie czekając na dokończenie tej myśli.

- Tak, nawet dużą. Nie tylko tu, ale również w Europie. Widzisz, do tej pory firma była źle zarządzana. Potrzebny jej nowy marketing, natomiast wytwarzane produkty są bardzo dobrej jakości i ...

- Maxim urwał, jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie przy drzwiach wejściowych. Dwaj kelnerzy rozmawiali z ożywieniem z kierownikiem sali, jeden z nich gestykulował wyjątkowo gwałtownie, drugi zdawał się szlochać, a ich szef był zupełnie biały na twarzy.

- Dziwne... Chyba coś się stało - mruknął Maxim, marszcząc brwi. Spojrzał na kierownika sali; wyglądał jakby był chory. A kelnerzy nie robili nic, aby mu pomóc.

- Może ktoś poczuł się źle... - Anastazja powiodła wzrokiem po sali, ściągnęła na siebie uwagę kelnera, który właśnie wybiegał z kuchni, i skinęła na niego.

Podszedł do ich stolika.

Natychmiast dostrzegła jego minę, posępną i jakby przerażoną.

- Co się stało? - zapytała szeptem. - Czy coś złego? Zauważyliśmy, że...

- Zastrzelono go - powiedział kelner drżącym, łamiącym się głosem. Po chwili dodał: - Zastrzelono prezydenta.

- Prezydenta... - powtórzył Maxim, patrząc na niego ze zdumieniem. - Chyba nie ma pan na myśli prezydenta Kennedy'ego, prawda?

Kelner skinął tylko głową, nie mogąc już wykrztusić nawet słowa. Do oczu napłynęły mu łzy, twarz wykrzywił jakiś dziwny, bolesny grymas. Raptem obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do kuchni.

Maxim i Anastazja siedzieli w bezruchu, spoglądając na siebie, jak gdyby nie rozumieli sensu otrzymanej przed chwilą informacji.

Ale wieść rozchodziła się już szybko po całej sali. Ludzie wstawali z miejsc, podchodzili do innych stolików, zagadywali obcych. W ciągu paru chwil restauracja wypełniła się gwarem.

Maxim rzucił serwetkę na stół, odsunął krzesło i zerwał się na równe nogi. - Chodźmy! - zawołał i ruszył ku wyjściu tak szybko, że musiała biec, aby dotrzymać mu kroku.

Przystanęli obok kierownika restauracji, a Maxim zapytał cichym, chrapliwym głosem: - Czy to prawda?

Słyszeliśmy, że ktoś strzelał do prezydenta Kennedy'ego.

Twarz mężczyzny wyrażała bezbrzeżny smutek. - W Dallas. Około pierwszej trzydzieści. Właśnie podawali tę wiadomość przez radio.

Maxim i Anastazja stali oniemiałi.

Dopiero po chwili Maxim sięgnął do kieszeni po portfel, wciął z niego dwa banknoty studolarowe i podał je kierownikowi. Ujął żonę za rękę i pociągnął za sobą, wybiegając z restauracji na zewnątrz.

* * *

Stali pośrodku saloniku w swoim apartamencie hotelowym, wpatrzeni w ekran telewizora. . .

Na ich twarzach malowało się niedowierzanie i trwoga, kiedy nie ruszając się z miejsca, jakby przykuci tam na stałe, wsłuchiwali się w słowa Waltera Cronkite'a który relacjonował przebieg wydarzeń i podawał wszelkie fakty, dotyczące zabójstwa prezydenta.

Twarz Cronkite'a dygotała nerwowo, głos drżał, a jednak niezmordowanie, z należytą powagą, powtarzał relację raz po raz, najwidoczniej z myślą o widzach, którzy dopiero teraz włączyli odbiorniki. , John Fitzgerald Kennedy, trzydziesty piąty prezydent Stanów Zjednoczonych, był martwy. Kula zamachowca roztrzaskała mu twó słowy kiedy na czele kawalkady samochodów przejeżdżał ulicami Dallas. Ciało zamordowanego prezydenta spoczywało obecnie w teksaskim szpitalu Parkland Memorial Hospital.

Maxim nie przyjmował tego do wiadomości. Gorączkowo przełączał telewizor z kanału na kanał, wysłuchując kolejno serwisów informacyjnych CBS, NBC i ABC a potem znowu od początku, łowił chciwie słowa innych komentatorów telewizyjnych, tak samo przygnębionych i wstrząśniętych jak Walter Cronkite. , . ,

W pewnym momencie Anastazja opuściła wzrok i zwróciła uwagę na rąbek swojej czerwonej sukni. O Boże to przecież kolor krwi! - przyszło jej nagle na myśl. Nakryła dłonią usta wybiegła do sypialni i płacząc rozpięła suknię. Zrzuciła ją z siebie, przebrała się w granatowy, kaszmirowy sweter i niebieską spódnicę, po czym wróciła do salonu Maxim był tak bardzo zaabsorbowany wiadomościami w telewizji, że nawet nie zauważył jej krótkiej nieobecności. Dopiero gdy podeszła do sofy i usiadła na mej, dołączył do niej po chwili. Siedzieli obok siebie, patrząc w ekran i trzymając się za ręce.

Nieoczekiwanie Maxim spojrzał na żonę i zawołał ochryplym głosem: - Nie mogę w to uwierzyć! Przecież tak niedawno,

latem, widzieliśmy go, jak przemawiał przed berlińskim ratuszem! To niemożliwe, że został zabity.

Dostrzegła, że jego oczy są pełne łez, i mocno ścisnęła mu rękę. Maxim sięgnął po chusteczkę, otarł sobie twarz i opadł bezwładnie plecami na oparcie sofy.

- Wtedy, w Berlinie, wyglądał tak młodo... - szepnęła. - Był taki przystojny z tymi swoimi jasnorudawymi włosami, połyskującymi na słońcu. Powiedział wtedy: „Ich bin ein Berliner”.

- Tak, pamiętam, pamiętam doskonale...

- Ale dlaczego, Maximie? Dlaczego? Dlaczego został zabity? Pokręcił głową. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, a przynajmniej takiej, która miałaby jakiś sens.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić prezydenta Ken-nedy'ego? - powtórzyła, tym razem bardziej natarczywie.

- Nie wiem, kochanie, po prostu nie wiem.

- Cóż to za okropny świat, w którym żyjemy! - załkała.

- Taki był już zawsze - mruknął Maxim.

- To prawda, kochanie, wiem - szepnęła. Momentalnie pomyślała o strasznej śmierci jego rodziców, o okropnościach holocaustu.

Siedzieli tak przed telewizorem jeszcze przez kilka godzin, odzywając się do siebie tylko sporadycznie i starając się nie uronić nawet jednego słowa z kolejnych dzienników telewizyjnych. Łaknęli każdego szczegółu tego bezsensownego zabójstwa, najbardziej przerażającego w historii Stanów Zjednoczonych.

Wieczorem tego samego dnia, w piątek 22 listopada, o godzinie osiemnastej piętnaście, przed kamerami telewizji wystąpił Lyndon Johnson. Jako nowy prezydent państwa złożył swoje pierwsze oświadczenie na temat smutnego i zarazem niezrozumiałego aktu przemocy, który wydarzył się w Dallas.

- On nie żyje - mruknął Maxim, bardziej do siebie samego niż do Anastazji. - John Kennedy nie żyje. - I westchnął ciężko, jakby fakt ten dotarł do jego świadomości dopiero teraz.

* * *

„Ich bin ein Berliner. Ich bin ein Berliner. Ich bin ein Berliner”.

Maxim otworzył oczy. Słowa Kennedy'ego, uparcie rozbrzmiewające w jego głowie, wyrwały go ze snu. Zamrugał oczyma, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności sypialni,

i spojrzął na Anastazję, która leżała na boku, oddychając miarowo. Przez chwilę usiłował zasnąć z powrotem, ale prędko uświadomił sobie, że to niemożliwe. Wysunął się z łóżka i przeszedł po cichu do salonu, zamykając za sobą drzwi sypialni. . .

Okna salonu ich apartamentu wychodziły na Piątą Aleję. Maxim wyjrzał na zewnątrz, stał przez długą chwilę, zapatrzony w drzewa Central Parku. Potem obrócił głowę nieco w lewo. Światła rozjaśniały cały plac przed frontem hotelu, ulice były jak wymarłe, w tym bladym oświetleniu sprawiały posępne, przygnębiające wrażenie.

Maxim westchnął, odwrócił się od okna, podszedł do sofy i położył się. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Zabójstwo prezydenta Kennedy'ego nie miało najmniejszego sensu; jego zdanie na ten temat pokrywało się ze zdaniem ośólu o ile prawdziwe były komentarze telewizyjne. Czyżby był to wyczyn pojedynczego człowieka, działającego na własną rękę? A może szaleńca? Albo też grupy spiskowców. Ale w takim razie, kogo reprezentowali zabójcy? Faszystów? Komunistów? Czy prawda wyjdzie kiedykolwiek na jaw? W każdym razie miniony dzień zaznaczył się w historii nedorzecznym aktem szaleństwa, bezsensownym, przerażającym aktem gwałtu. . . ^ Od dawna miał wrażenie, że zło czai się wszędzie, za każdym rogiem. Był o tym przekonany zwłaszcza od czasu, kiedy Teddy opowiedziała mu o okrucieństwach zaznawanych przez Żydów w Trzeciej Rzeszy. Teddy miała do Niemców stosunek dosyć ambiwalentny, on natomiast nie czuł do nich nic szczególnego, a już z pewnością nie darzył ich nienawiścią. Niemcy raczej intrygowali go. Co więcej, mimo iż był Żydem, którego rodzice padli ofiarą polityki władz hitlerowskich, nie sądził, aby za zbrodnie popełnione w przeszłości miało dziś odpowiadać kolejne pokolenie. Często, gdy przyjeżdżał do Berlina zobaczyć się z Inną, obserwował Niemców na ulicach, w kawiarniach i sklepach. W takich chwilach zastanawiał się, jak do tego doszło, że naród tak silny i kulturalny dał się omamie, udzielając poparcia Hitlerowi. Rozumiał oczywiście, że ten megaloman oślepił ich siłą swojej osobowości, skuteczną retoryką, obietnicami lepszego życia i mocnego, stabilnego państwa, wolnego od komunizmu. Większość Niemców poszła za nim bez wahania, nie dostrzegając w nim szarlatana,

lecz charyzmatycznego przywódcę, który jest w stanie dać im pomyślność i sławę.

Oprócz matematyki i języków obcych ulubionym przedmiotem nauki w St. Paul's była dla Maxima historia. Uczył się jej pilnie i wiedział doskonale, że Hitler, ucieleśnienie Zła, stworzył najbardziej nikczemny reżim w dziejach świata, reżim oparty na fanatyzmie, rasizmie, brutalności, ucisku i gwałcie. Przez dwanaście lat i cztery miesiące Trzecia Rzesza deptała, zastraszala i tyranizowała Europę, stosując politykę terroru w stopniu nie znanym dotąd ludzkości. Była to machina zniszczenia i śmierci, obsługiwana przez okrutnych, bezwzględnych ludzi o najgorszych intencjach i umysłach przestępców.

Kiedy przestępcy przejmują władzę, zamiast siedzieć w więzieniu, nastają rządy chaosu i krwawych morderstw, pomyślał. Ale jak do tego doszło, że ludzie źli wzięli górę nad dobrymi? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Ale może jednak byłby w stanie to wytłumaczyć. Diaboliczne typy pokroju Hitlera i jego popleczników zawsze wykorzystywały ignorancję, słabość i lęk innych. Niemcy, choć tak kulturalni i cywilizowani, poparli antysemitką politykę Hitlera. Maxim westchnął ciężko. Leżąc w ciemnościach, bił się z myślami. Źli ludzie mogą wywołać u innych nienawiść i uprzedzenia, był tego świadomy. Mówiły o tym wyraźnie podręczniki historii - mógł poczytać w nich o Świętej Inkwizycji w Hiszpanii, pogromach w carskiej Rosji, o rzeziach tureckich dokonywanych na Ormianach. Okrucieństwa zdarzały się na świecie od wieków, popełniali je ludzie rzekomo cywilizowani. Na kogo teraz przyjdzie kolej? - pytał w duchu Maxim.

Wstał i podszedł do niedużego kredensu, gdzie na tacy stało kilka butelek z alkoholem. Nalał sobie kieliszek koniaku i wrócił na sofę, a kiedy upił trochę, uświadomił sobie ze smutkiem, że od początku świata nic się nie zmieniło. I nic się nigdy nie zmieni. Zawsze znajdują się ludzie źli, którzy zechcą podporządkować sobie i tyranizować innych. A potem jeden z takich szaleńców przycisnie guzik i roztrzaska wszystko w drobny mak.

W przypadku Johna Kennedy'ego okrutna, bezlitosna śmierć dotknęła młodego, wspaniałego człowieka w kwiecie wieku. Teraz opłakiwała go nie tylko cała Ameryka, ale również cały świat. Tak jak on. Maxim wstał i włączył telewizor. Na ekranie pojawiły się sceny, nakręcone w Berlinie

kilka miesięcy temu, kiedy prezydent Kennedy wygłosił swoje słynne zdanie: „Ich bin ein Berliner”. Oto widniał teraz na ekranie, stał przed Maximem tak, jak sześć miesięcy temu na berlińskim placu, uśmiechając się lekko, podczas gdy słaby wiatr rozwiewał mu włosy. Człowiek pełen ciepła i humoru. Maxim poczuł znowu łzy, napływające do oczu, zaklął gniewnie i z furją uderzył pięścią w poręcz krzesła.

47

- Jeśli chodzi o Allandale Group, Maxim dokonał niebywałego wyczynu! To prawdziwy sukces, nie sądzisz?
- zauważyła Margot Derevenko, odkładając na stolik najnowszy numer *Time* i kierując wzrok na córkę. - Ten artykuł to same hymny pochwalne na jego cześć.
- Anastazja nie odpowiedziała. Siedziała w bezruchu, wpatrzona w śliczny ogród, który jej matka pielęgnowała z takim oddaniem od lat, i dumiała nad pięknem oazy spokoju w samym sercu Paryża. Jak tu cicho, pomyślała. Tak bardzo, bardzo cicho! Stłumiła westchnienie, nie chciała, aby matka zaczęła podejrzewać, że coś nie jest w porządku. A rzeczywiście nie było. Czuli się zmęczeni; wyczerpani, pozbawieni wszelkiej energii. Już od dłuższego czasu.
- Kochanie, słuchasz mnie? - zapytała Margot. Anastazja drgnęła, uśmiechnęła się do matki jakby nigdy nic.
- Przepraszam! - zawołała. - Chyba zamyśliłam się przez chwilę.
- Mówiłam o tym artykule na temat Maxima. Piszą o nim same dobre rzeczy. Trzeba przyznać, że sukces Allandale Group jest nie lada osiągnięciem.
- Tak, w ciągu ostatnich siedmiu lat Maxim przekształcił ją w firmę, nie mającą sobie równych. Ale tym samym stworzył prawdziwy krzyż pański, który muszę teraz dźwigać - odparła Anastazja cichym, bezbarwnym głosem. Margot zmarszczyła brwi. - Co ty wygadujesz!
- To jest właśnie źródło naszych problemów... - zaczęła Anastazja i umilkła, żałując wypowiedzianych słów.

- Problemów! - zawołała Margot, prostując się na ogrodowym krześle. - O czym ty, na Boga, mówisz?
- Och, mam, naprawdę nie mam ochoty roztrząsać tej sprawy, w każdym razie nie teraz. Błagam cię, zapomnij, że mówiłam cokolwiek.
- Tego nie potrafię, Anastazjo, nie mogę o tym zapomnieć. Już od roku nie wyglądasz najlepiej. Jeśli chcesz znać prawdę, to twój ojciec i ja bardzo się o ciebie martwimy. Byłam zachwycona, kiedy powiadomiłaś mnie, że przyjedziesz i spędzisz z nami parę tygodni. - Ścisnęła dłoń córki: - Proszę, zaufaj mi, przecież byliśmy dla siebie zawsze najlepszymi przyjaciółkami. - Odczekała chwilę i dodała: - Ojciec i ja czujemy, że już od dłuższego czasu nie jesteś sobą, ale nie przyszło nam nawet do głowy, że ty i Maxim moglibyście mieć jakieś problemy.
- Może naprawdę ich nie mamy. Może te problemy tkwią po prostu we mnie.
- Co to znaczy? - zapytała Margot.
- Przez cały czas czuję się zmęczona, osłabiona. Tak jakbym była chora. Odnoszę wrażenie, że nie zostało we mnie nic z życia, nawet jedna iskierka.
- Nic z życia! - zawołała znowu Margot. - Na miłość boską, przecież ty masz dopiero trzydzieści jeden lat!
- Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale taka jest, niestety, prawda. Ostatnio brak mi energii, przez cały czas jestem jakaś przygnębiona.
- Jej słowa zatrzwożyły Margot Derevenko; popatrzyła na bladą twarz córki i niemal natychmiast doszła do przekonania, że Anastazja mówi poważnie.
- Współczucie szybko zastąpiło niedowierzanie. - Anastazjo... kochanie... ze wszystkich ludzi właśnie ty masz najmniej powodów, aby być przygnębiaoną. Jesteś młoda, jesteś bardzo ładna, masz przystojnego, czarującego męża, który cię uwielbia, a poza tym jest milionerem i zapewnia ci luksusowe życie. Masz dwoje ślicznych i mądrych dzieci, kochających rodziców, oraz dom w Mayfair, który można by prezentować na wystawach, jak również piękną willę w Beaulieu i apartament przy Piątej Alei. - Pokręciła głową. - Więc jeśli czujesz się przygnębiaona, coś najwidoczniej nie jest w porządku. I to coś musi mieć podłoże zdrowotne. Myślę, że powinnaś porozmawiać z lekarzem.
- Nie potrzebuję żadnego lekarza, mam. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego mi trzeba. - Ależ tak, wiem doskonale,

pomyślała. Potrzebuję Maxima, takiego jaki był, kiedy braliśmy ślub. Ten dzisiejszy Maxim stał się dla mnie nieosiągalny. Nie jest już taki, jaki był przedtem. Nie wiem dlaczego, ale nasze drogi jakby się rozeszły.

- Uczucie przygnębienia wiąże się czasem z nieodpowiednim pożywieniem. Co byś powiedziała na wizytę u gastrologa?

- zapytała Margot.

Anastazja potrząsnęła energicznie głową.

Matka spoglądała na nią z namysłem, wreszcie zasugerowała: - A może teraz, skoro dzieci przebywają w szkole z internatem, czujesz się trochę osamotniona?

- Nie sądzę, aby to miało jakiś związek z moim obecnym samopoczuciem.

- Przed chwilą, kiedy rozmawialiśmy o Allandale Group, powiedziałaś, że tam tkwi źródło waszych problemów. Co miałaś na myśli? Jeśli mi się nie zwierzysz, nie będę w stanie udzielić ci pomocy ani rady.

Anastazja spojrzała na matkę, a kiedy dostrzegła na jej twarzy, nadal pięknej mimo upływu czasu, miłość i troskę, w jej oczach zabłyśły łzy. - Jestem samotna, mam - wyznała.

- Ale nie z powodu Alix i Michaela. Brak mi Maxima. Tak często przebywa z dala ode mnie. Ciągłe tylko lata do Nowego Jorku i z powrotem; tak jest, odkąd kupił Allandale. Potem znowu wyjeżdża do Hongkongu, do Australii albo do Los Angeles. Albo też w inne miejsce. Mam wrażenie, jakby w ciągu ostatnich sześciu lat nie wysiadał w ogóle z samolotu. Wszystko z powodu Allandale. Och, rozumiem, na tym opiera się jego imperium, odniósł zresztą olbrzymi sukces. Ale za jaką cenę? - Westchnęła i dodała ciszej: - Moim zdaniem, za cenę naszego małżeństwa.

- Anastazjo... nie miałam w ogóle pojęcia...

- Dla niego liczy się przede wszystkim praca. Zawsze tak jest, było i będzie. Praca absorbuje go bez reszty. Teraz to zrozumiałam. On nie jest normalny, wiesz? W każdym razie, jeśli chodzi o pracę. Maxim jest pracoholikiem, mam, chociaż tak naprawdę nie ma określenia na człowieka, który pracuje tak jak on, dzień i noc na okrągło. Jest niezmordowany jak byk i dąży tylko do jednego celu.

- Myślę, że nie można ganić go za to, że ciężko pracuje. Ale może rzeczywiście trochę cię zaniedbuje.

- O to właśnie chodzi. Nawet wtedy, gdy jest ze mną, jest zaabsorbowany czym innym, swoimi interesami. W pewnym

sensie stał się bardziej zamknięty w sobie, mniej rozmowny, towarzyski.

- To nic nowego, przecież zawsze mówiłaś, że jest człowiekiem skrytym, skomplikowanym.

- Tak, masz rację. - Anastazja zaśmiała się głucho i potrząsnęła głową. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale nawet dziś, po dziesięciu latach małżeństwa, nie potrafię powiedzieć, co byłoby w stanie poruszyć Maxima.

- Anastazjo, kochanie, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego, co mówię, ale może powinnaś jeździć z nim częściej niż robiłaś to dotychczas. Kiedy leci do Nowego Jorku, leć z nim razem, zwłaszcza teraz, gdy dzieci przebywają w szkole.

- To nie zmieniłoby wiele, mamu. Mój pobyt w Nowym Jorku nie rozwiązałby sytuacji. Maxim wychodzi do biura z samego rana i zostaje tam do późnego wieczora. Nasze życie towarzyskie równa się wtedy zeru. Kiedy jestem w Nowym Jorku, nudzę się. Nie mam tam wielu przyjaciół, a zresztą Maxim jest w stanie w każdej chwili wyskoczyć na dzień lub dwa do Los Angeles, zostawiając mnie samą.

Margot zastanawiała się przez chwilę, a potem, patrząc na córkę wymownym wzrokiem, zapytała cicho: - Czy między wami... czy inne sprawy między wami układają się dobrze? Chodzi mi o waszą sypialnię... wasze pożycie seksualne...

- Jeśli chcesz mnie zapytać, czy nadal śpimy ze sobą, to odpowiedź brzmi: tak. Maxim jest mężczyzną bardzo namiętnym, zmysłowym... Tak, śpimy ze sobą. Choć nie tak często jak dawniej, nawet gdy jest w domu.

- Rozumiem - mruknęła Margot; jej głos i mina zdradzały troskę. - Ale nie przypuszczasz, aby w grę wchodziła jakaś inna kobieta, prawda? - zapytała ostrożnie.

Anastazja potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna, że nie ma jakiejś kochanki w Nowym Jorku?

- Wątpię. Och, oczywiście... może przytrafiło mu się kiedyś coś na jedną noc... w końcu przebywa tak długo z dala ode mnie, ostatnio to już pół roku. Nie sądzę jednak, aby zaangażował się tam uczuciowo... - Urwała nagle, przygryzła dolną wargę i odwróciła wzrok.

- Co się stało? - zawołała Margot. - Przyszło ci coś do głowy, prawda? A może raczej: ktoś?

- Niezupełnie. Po prostu parę tygodni temu, kiedy Maxim był w Londynie, zobaczyłam go raz, gdy wchodził do Clarid-

ge'a z pewną kobietą. Akurat przejeżdżałam w tym momencie taksówką obok hotelu. Wyglądało na to, że szli na lunch.

- Kto to był, znasz ją może?

Anastazja zawahała się, po czym wyrzuciła z siebie: - Camilla Galland.

- Camilla! Ależ ona dopiero co wyszła za mąż!

- Mamo, nie bądź naiwna! Więzy małżeńskie nie wykluczają cudzołóstwa!

- A więc podejrzewasz go o zdradę?

- Nie wiem... Nie, to nieprawda. Wiem i oczyszczam Maxima z podejrzeń. Nie sądzę, aby było coś pomiędzy nim a Camillą Galland. Po prostu... mówiąc szczerze, mam, nigdy jej nie lubiłam i może dlatego nigdy jej nie ufałam.

- Kochanie, nie zaczynaj od razu wyobrażać sobie Bóg wie czego, tylko dlatego, że widziałas, jak Maxim wchodzi z nią do Claridge'a. Nikt nie zna lepiej mężczyzn i ich pokrętnych dróg niż ja i odkąd poślubiłaś Maxima, czułam, że to człowiek uczciwy i lojalny.

- Przecież uważałaś go za kobieciarza.

- To przed waszym ślubem. Potem zmieniłam zdanie. - Margot nachyliła się do przodu i zacisnęła dłoń na ramieniu córki. - Chciałabym pomóc ci zorganizować lepiej twoje życie z Maximem. W przyszłym miesiącu przyjedzie do nas do Francji, a wtedy musisz mu powiedzieć, że zamierzasz podróżować razem z nim częściej niż dotychczas.

- Och, sama nie wiem... - Anastazja zawiesiła głos, na jej twarzy malowało się powątpiewanie.

- Czyżbyś przypuszczała, że Maxim nie będzie z tego zadowolony?

- Nie, ale...

- Żadnych ale, moja droga. Sprawa załatwiona!

* * *

Był gorący, zamglony dzień. Nieco wcześniej Maxim przypuszczał, że nadciąga mistral, ale wkrótce lekki wiatr ustał, niebo przejaśniało, a morze przywodziło na myśl gładką powierzchnię stawu.

Maxim stał na tarasie La Serenissima, ich willi w Beau-lieu-sur-Mer, pomiędzy Niceą a Monte Carlo, spoglądając na widoczne nieco dalej, za zieloną murawą i basenem, Morze Śródziemne.

Miesiąc spędzony tu z rodziną dobrze mu zrobił, wiedział

o tym doskonale. Czuł się wypoczęty i zrelaksowany, pełen werwy i życia. Był szczęśliwy, że może przebywać wraz z Anastazją i dziećmi. Po całym tygodniu bezczynności odbył kilka krótkich podróży do Londynu, aby zająć się interesami, każdorazowo jednak wracał prawie natychmiast. Od tej pory pozostał na miejscu, a sprawami swoich firm kierował z gabinetu urządzonego w willi. Gabinet został wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt biurowy, pełnił też funkcję centrum komunikacyjnego, które umożliwiała łączność z biurami w Londynie, Nowym Jorku, Paryżu i Hongkongu.

- Tatusiu, tatusiu!

Maxim odwrócił głowę i ujrzał Alix, która wchodziła po schodach, wiodących z plaży, wymachując przy tym ręcznikiem. Tuż za nią szedł jej braciszek, Michael, taszcząc kubełek i sieć rybacką.

Jaki śliczne miał dzieci!

W wieku dziewięciu lat Alix była pomniejszoną kopią Anastazji, o takich samych jak matka blond włosach i jasnej cerze, o takiej samej delikatnej budowie ciała. Ale jej oczy miały barwę szarej, przydymionej zieleni, wyglądało też na to, że Alix będzie dużo wyższa od matki. Była smukła, wiotka, przywodziła na myśl rozbrykanego żrebaka.

Ośmioletni Michael przypominał z kolei ojca, miał takie same ciemne włosy i oczy oraz podobną budowę ciała, zapowiadał się też na wysokiego mężczyznę. Oboje tryskali wręcz zdrowiem i energią; kiedy tak biegli teraz po trawie, młodzi, opaleni przez letnie słońce na ciemnozłocisty kolor, wydali się Maximowi najpiękniejsi na świecie.

- Czy rozpalimy dziś ognisko, tato? - zapytał Michael, kiedy stanęli już zadyszani na tarasie.

- Oczywiście - odparł Maxim, przypominając sobie nagle o dokumentach, które miał zniszczyć. Przy śniadaniu obiecał synowi, że rozpalą potem ognisko; urządzenie tnące papier na ścinki nie zostało jeszcze naprawione.

- Czyja też będę mogła pomóc? - poprosiła Alix, wdzięcznie przechylając głowę na bok i marszcząc noseć.

- Czemu nie? Myślę, że powinniśmy zająć się tym jeszcze przed lunchem, im wcześniej tym lepiej. Mamie z pewnością nie spodobałby się zapach dymu przy jedzeniu, zwłaszcza iż spodziewamy się gości. Musicie odszukać Marcela, powie-

dzieć mu, żeby rozpałił ogień, a ja przyniosę papiery. Za kilka minut spotkamy się przy małym zagajniku.

- Chodźmy! - zawołał Michael do siostry i razem pobiegli na złamanie karku przez trawnik, kierując się za willę.

Maxim wszedł do domu. Przechodząc przez salon mimo woli ogarnął go spojrzeniem pełnym uznania; pokój był wytworny i zarazem przytulny, urządony w pastelowych barwach od kremowej poprzez biel aż do kawy z mlekiem, z występującymi tu i ówdzie odcieniami brzoskwiniowymi i żółtozielonymi. Anastazja odziedziczyła po matce talent dekoratorski, cała willa była doskonałym świadectwem jej umiejętności i dobrego smaku.

Niemal zderzył się z nią wchodząc do marmurowego hallu i aż wstrzymał oddech, zachwycony jej widokiem. Miała na sobie seledynową, bawełnianą sukienkę bez ramiączek, duży, beżowy kapelusz słomkowy z przypiętymi do tasiemki makami i bławatkami, w ręku trzymała koszyk pełen kwiatów. Złociste włosy, jaśniejsze niż kiedykolwiek od słońca i morza, spływały po plecach prawie do pasa, ten sam złocisty kolor zdobił jej ramiona i ręce, nogi i tkwiące w sandałkach stopy.

Uśmiechnęła się do niego, Maxim odpowiedział uśmiechem, a potem objął ją wpół i przyciągnął do siebie.

Pocierając twarzą o jej szyję, wymamrotał: - Jesteś dziś bardzo apetyczna, Brzoskwinko.

Roześmiała się i delikatnie uwolniła się z objęć. - Muszę poukładać kwiaty.

- A ja spalić papiery.

- Popływamy w basenie przed lunchem?

- Oczywiście - odparł i mrugnął do niej filuternie. Rozeszli się w przeciwne strony; Anastazja udała się do kuchni, Maxim natomiast na lewo, do swego gabinetu. Od kilku dni gromadził niepotrzebne dokumenty w dwóch dużych plastikowych torebkach. Teraz wziął je i wyniósł za dom.

Alix i Michael czekali już na niego, obok nich stał Marcel, ogrodnik, który zdążył rozniecić ognisko. Rozstawili się dokoła, a Michael i Alix dorzucali papiery, pilnując, aby płomienie nie zgasły przedwcześnie.

- Dlaczego je palisz, tatusiu? - zapytała nagle Alix.

- Bo to papiery poufne - odparł Michael, zanim jeszcze Maxim zdołał otworzyć usta.

- Tak, wiem. Ale czy nie można by po prostu zamknąć ich w sejfie? - nie dawała za wygraną.

- Po pierwsze, skarbie, jest ich na to zbyt wiele. Po drugie, nie będą mi już nigdy potrzebne. A więc zamiast je gromadzić nie wiadomo po co, lepiej zniszczyć, tak jak teraz albo w szarpaku.

- Rozumiem - odparła Alix i dodała po chwili: - Bo nie chcesz, żeby ktoś zobaczył je i przeczytał, prawda?

- Sprytna z ciebie dziewczyna - roześmiał się Maxim, obejmując ją ramieniem.

- Nie znam sprytniejszej od niej - oświadczył z dumą Michael. - Jest tak sprytna, tato, że moglibyśmy nawet wprowadzić ją potem w nasze interesy.

- Pomysł z pewnością wart zastanowienia - odparł Maxim. Usta drgnęły mu podejrzenie, zdołał jednak stłumić uśmiech, widząc rysującą się na twarzy syna powagę. - Jeśli Alix chce zająć się razem z nami interesami, nie mam nic przeciw temu.

- Chyba zechcę - powiedziała Alix rozpromieniona, mile polechtana nieoczekiwanym komplementem z ust brata. - Muszę to sobie przemyśleć. Nie zastanawiałam się jeszcze, co będę robić w przyszłości.

Maxim i Michael wymienili tylko mądre spojrzenia, jak na dwóch mężczyzn przystało, i wrzucili w płomienie kolejne papiery.

* * *

Tego samego ranka, po odbyciu przez telefon paru pilnych rozmów służbowych z Londynem, Maxim poszedł z dziećmi popływać w basenie. Lubił przebywać z nimi, a oni odwzajemniali jego uczucia; całą trójkę łączyła ścisła, specyficzna więź.

Na godzinę przed lunchem do basenu podeszła Anastazja; przystanęła nad brzegiem, obserwując ich, jak baraszkują bez troski w wodzie, i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie wejdiesz do nas, mamo? - zawołała Alix, podnosząc do góry dużą, gumową piłkę.

- Właśnie, mamo, chodź! - poparł ją Michael, machając ręką.

- Może trochę później, teraz nie mam ochoty - odparła i podeszła do jednego z rozłożonych leżaków. Zdjęła szlafrok, usiadła, wzięła najświeższy numer *Nice-Matin* i zagłębiła się w lekturze.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytał kilka minut później Maxim, stając przed nią i przyglądając się uważnie, ze zmarszczonymi brwiami.

- Czuję się świetnie, ale nie mam nastroju do zabaw w wodzie.

Usadowił się na sąsiednim leżaku, wyciągnął swoje długie nogi, podłożył dłonie pod głowę i popatrzył w czyste, błękitne niebo. - Wspaniała pogoda, prawda? W ogóle trzeba przyznać, że mamy w tym roku cudowne wakacje.

- Tak, to prawda - przyznała, obdarzając go szerokim i czułym uśmiechem. To dzięki tobie, pomyślała. Wakacje są udane, ponieważ spędzasz z nami większość czasu, nie jesteś zajęty swoimi sprawami, tak jak to bywało przez ostatnie lata.

Rzeczywiście, lipiec był pod każdym względem wyjątkowy; Anastazja już od dawna nie czuła się tak szczęśliwa jak teraz, a przynajmniej od czasu, kiedy Maxim przejął Allandale Group.

Uniosła gazetę i powróciła do lektury, odprężona i zadowolona.

Maxim zamknął oczy, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych. Słońca nigdy nie miał dość, było dla mego czymś krzepiącym, dodającym sił. Właśnie pod tym względem nie podobała mu się Anglia; nie odpowiadała mu tamtejsza pogoda.

Zwrócił się myślą ku nowej firmie, którą zamierzał utworzyć. Znalazł już nawet dla niej nazwę: West International. Miała to być firma holdingowa, zajmująca się przejmowaniem kolejnych przedsiębiorstw, a takie rysowały się już na horyzoncie. Zwłaszcza jedno. Zależało mu na nim bardziej niż na innych.

Czekał go wielki, ważny krok.

Sama myśl o tym ekscytowała go bardziej niż wszystko inne. W pewnym sensie praca była dla niego prawdziwym afrodyzjakiem, wiedział o tym doskonale i nie potrafiłby tego zmienić, nawet gdyby chciał. Gdyby tylko Anastazja mogła to zrozumieć!

Przez krótką chwilę rozważał, czy nie powiedzieć jej już teraz o nowej firmie, niemal natychmiast jednak rozmyślił się. Anastazja nie będzie tym zainteresowana. Interesy, jakimi się zajmował, nudziły ją. Tak było zawsze. Ale fakt ten wcale mu nie przeszkadzał. Anastazja miała wiele innych cennych zalet i bardzo ją kochał.

- Nastko...

- Słucham, kochanie? - Przeniosła na niego wzrok i odłożyła na bok gazetę.

- Dwa tygodnie temu, kiedy byłem w Londynie, wstąpiłem do Camper and Nicholson na Berkeley Street.
 - Naprawdę? Och, najdroższy! - Wyprostowała się na leżaku, przełożyła nogi na jedną stronę. - Czyżbyś zamierzał wyczarterować od nich na przyszłe lato jacht? Tak jak obiecywałeś?
- Maxim nie odpowiedział. Podobnie jak ona, opuścił nogi na ziemię, po czym utkwiał w niej wzrok, a na jego twarzy malował się tajemniczy uśmiech.
- Powiedz! - zawołała podniecona, chwytając go za rękę.
 - Powiedz!
 - Zleciłem im budowę jachtu. Pięknego jachtu dla mojej pięknej żony.
 - Och, Maximie!
 - Moim zdaniem tam właśnie mają najlepszych na świecie projektantów, inżynierów budowlanych i elektryków okrętowych. Firma zajmuje się tym od 1782 roku, tak więc z pewnością wykonają dobrą robotę. W każdym razie najpierw przedstawią nam projekt do akceptacji, a potem, jeśli go zatwierdzimy, przystąpią do pracy.
 - Kiedy jacht byłby gotowy?
 - To potrwa parę lat. Ale nie dłużej niż trzy. A kiedy już budowa zostanie zakończona, chciałbym, abyś zaprojektowała jego wnętrze. Jeśli chcesz, możesz wziąć mamę do pomocy.
 - Och, Maximie, ona będzie tym z pewnością zachwycona.
 - Dla mnie liczy się bardziej, czy ty będziesz zadowolona.
 - Jeszcze jak!
- Nachylił się, ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował w usta. Potem zerwał się na równe nogi i pociągnął ją za sobą, kierując się do umiejscowionego na skraju ogrodu barku.
- Mam ochotę otworzyć butelkę mojego najlepszego Roe-derer Cristal, aby uczcić ten jacht.
 - Spełnię ten toast razem z tobą.
- Usiadła na taborecie, on zaś wyjął ze stojącej pod ladą lodówki butelkę szampana i ostrożnie począł odwijać drucik.
- A właściwie kto przychodzi dziś do nas na lunch?
 - zapytał.
 - Tylko grupa tutejszych - roześmiała się.
 - Gotów jestem założyć się, że to Teddy i Mark. I twoi rodzice.

- Zgadłeś. Prócz nich Yvette i Philippe Arnaud. No i oczywiście Serdelek ze swoją ostatnią ukochaną. Dzwonił niedawno, aby mi o tym powiedzieć.
- Chciałbym, aby ten stary rozpustnik ustatkował się wreszcie i znalazł sobie żonę. Anastazja roześmiała się ponownie. - O tym samym marzy jego matka.
- Maxim napełnił szampanem dwa kieliszki, podsunął jeden z nich Anastazji i uniósł swój. - A więc, za twój jacht, Brzoskwinko.
- Za nasz jacht, kochanie - sprostowała z szerokim uśmiechem.

48

Maxim ochrzcił jacht imieniem Marzenie - i rzeczywiście był to jeden z najwspanialszych jachtów oceanicznych, zbudowany ściśle według życzeń Maxima przez firmę Camper and Nicholson. Jacht zachwycał smukłą, elegancką linią oraz wyposażeniem, które umożliwiało żeglowanie po wszystkich wodach świata. Jego długość wynosiła 213,9 stóp, mógł osiągać prędkość piętnastu węzłów na godzinę. Początkowo Maxim myślał o mniejszym i krótszym jachcie, który mógłby rozwijać dużą prędkość i byłby bardziej zwrotny, przystosowany do skomplikowanych manewrów. Dostyc szybko jednak doszedł do przekonania, że aby odczuwać pełną radość z posiadania jachtu, musi dysponować jednostką na tyle dużą, by móc zapraszać niekiedy gości i zabierać ich w rejs.

Przy tak licznej rodzinie, jaką mieli z Anastazją, duża liczba kabin, mniej lub bardziej luksusowych, była absolutną koniecznością. Trzeba było zabezpieczyć wygodę i odpowiednie warunki nie tylko dla siebie i dzieci, ale również dla wszystkich bliskich: rodziców Anastazji, Teddy, Marka i ich dzieci, których Maxim traktował w pewnym sensie jak swoje rodzeństwo. Kay, która ukończyła już dwadzieścia cztery lata, pracowała dla niego w londyńskiej filii West International, a jej brat David, młodzieniec dwudziestodwuletni, ukończył

niedawno Oxford i miał lada chwila przystąpić do rodzinnego interesu prowadzonego przez Marka, a mianowicie rozpocząć pracę w firmie jubilerskiej. I on, i Kay patrzyli w Maxima jak w obraz; był dla nich wzorem, starszym bratem. Istniały jeszcze dwie osoby, które w życiu Maxima odgrywały ważną rolę: Irina Trubecka oraz jego najbliższy przyjaciel, wierny, oddany Serdelek.

Po zakończeniu wszelkich prac przy budowie jachtu, które pochłonęły kilka milionów funtów, Marzenie mogło pomieścić dwudziestu pasażerów oraz dwudziestu członków załogi.

Niewątpliwie stanowiło szczyt komfortu. Oprócz trzech luksusowych kabin, pod pokładem znajdowało się jeszcze siedem kajut, z których każda wyposażona była w oddzielną łazienkę. Jacht posiadał również elegancki salon i przestronną jadalnię na bardziej oficjalne imprezy, bibliotekę, gabinet Maxima oraz kompletnie wyposażone centrum łączności, które mieściło się tuż obok pomieszczenia przeznaczonego na sekretariat. Basen oraz pokłady na dziobie i na rufie umożliwiały szukanie ochłody w wodzie, jak również kąpiele słoneczne, natomiast pomieszczenia pod pokładem głównym służyły jako świetlica i dodatkowa jadalnia. Maxim uznał też, że na jachcie powinno znaleźć się lądowisko dla helikoptera; przewidział to z góry w swoim projekcie i dzięki temu miał stale zapewnioną możliwość przylotu i odlotu.

Marzenie budowano przez trzy lata. Kolejny rok trwało meblowanie i dekorowanie wnętrza jachtu, czym zajęły się gorliwie Anastazja i jej matka. Kiedy roboty dobiegły końca, jacht zaprezentował się w całej swojej urodzie i okazałości. Był stylowy i imponujący, nie wywoływał jednak wrażenia pretensjonalności. Przytłumione, pastelowe kolory, francuskie i angielskie antyki, piękne dzieła sztuki, w tym obrazy - oto, co uderzało na każdym kroku. Maxima zachwyciła zwłaszcza wnętrze, komfortowo urządzone, pełne wdzięku i elegancji.

Jacht został oddany do użytku w lipcu 1974 roku, a kiedy Maxim ujrzał go w jednej z najlepszych przystani w Monte Carlo, aż oniemiał z podziwu. Stał obok Anastazji, Alix i Michaela, wpatrując się w zadzierzystą linię jachtu i jego wysoki dziób o pięknym, opływowym kształcie, Marzenie natomiast błyszczało w porannym słońcu, odcinając się od połyskliwej, ciemnoniebieskiej powierzchni wody. Bez wątplenia było najatrakcyjniejszym jachtem w Monte Carlo, nie

wyłaczając Atlantis, należącego do greckiego milionera Stav-rosa Niarchosa.

- Warto było czekać, prawda Nastko? - powiedział Maxim, kiedy wchodzili po trapie na pokład.

- Tak, rzeczywiście. I trzeba było nie tylko poświęcić czas, ale również włożyć w to mnóstwo talentu i miłości - odparła cicho Anastazja. - Szkoda tylko, że jacht nie był gotowy na twoje czterdzieste urodziny.

- Nie sądzę, abyśmy mieli się tym naprawdę przejmować - roześmiał się Maxim, podając żonie rękę i wprowadzając ją na pokład. Razem podeszli do kapitana, który czekał już na nich z załogą, aby dokonać ceremonii powitania.

W ten weekend Marzenie popłynęło wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, kierując się w stronę Saint-Tropez. W tym krótkim rejsie brali również udział zaproszeni przez Maxima goście: Margot i Aleksander Derevenko oraz Teddy i Mark. Po czterech wspaniałych dniach spędzonych na morzu, jacht zawrócił do Monte Carlo; na jego pokładzie miało odbyć się pierwsze przyjęcie dla siedemdziesięciorga gości; kolacja połączona z tańcami.

* * *

Anastazja ozdobiła jacht kwiatami i udekorowała migocącymi światłami, wynajęła najlepsze trio na Lazurowym Wybrzeżu, zamówiła całe skrzynki z szampanem Roederer Cristal i po konsultacji z dwoma francuskimi mistrzami kucharskimi zaplanowała wykwintne menu. Miało to być niezapomniane przyjęcie, impreza roku 1974.

Przez cały wieczór goście gratulowali jej, powtarzając jeden po drugim, że ma na swoim koncie dwa olbrzymie sukcesy: piękny jacht i cudowne przyjęcie.

Anastazja dziękowała im z uśmiechem i zachowała tę minę przez resztę wieczoru, mimo przygnębienia, które dręczyło ją nie dając spokoju. Sprawy pomiędzy nią a Maximem nie miały się dobrze - i to już od kilku lat. Dziś natomiast czuła się szczególnie nieszczęśliwa, obawiała się nawet całkowitego załamania nerwowego.

Stała po drugiej stronie parkietu, obserwując męża. Maxim tańczył z młodą Marokanką, Chedlyą El Bahi, która przyszła na przyjęcie z Davidem Mainesem, przyjacielem Serdelka. Dziś Maxim wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie; beżowy, jedwabny

smoking podkreślał opaleniznę, ciemne włosy i błyszczące, ciemne oczy. Nie odrywając wzroku od Marokanki, gawędził z nią beztrudnie, uśmiechał się do niej i słuchał z zainteresowaniem tego, co mówiła. Ma czas dla wszystkich, tylko nie dla mnie, pomyślała z goryczą Anastazja. Urzeka i olśniewa cały świat - dzięki swojemu nieodpartemu wdziękowi, władzy i dzięki wielkiemu bogactwu. Nawet memu ojcu poświęcał więcej uwagi niż mnie, kiedy płynęliśmy do Saint-Tropez. Widocznie nie ma mi wiele do powiedzenia, oprócz poleceń wydawanych w ten swój władczy sposób. Rzeczywiście, prawdziwy Książę Maximilian. Przygryzła wargę i zamrugnęła szybko oczyma, widząc jak Maxim nachyla się do Marokanki i szepcze jej coś do ucha. Chętnie roześmiała się i podniosła na niego wzrok. Trzeba przyznać, że jest w nim coś hipnotyzującego, coś uwodzicielskiego, pomyślała znowu Anastazja. Swoim urokiem podbija większość ludzi, z którymi ma do czynienia. Z rozpaczą dostrzegła, że Maxim i Marokanka tańczą teraz jakby bardziej przytuleni do siebie, owładnięta nie-pohamowaną zazdrością poczuła, jakby coś gniozło ją w dołku. Niestety, nie było to coś nowego. Od jakiegoś czasu nie mogła zaznać spokoju. Przygnębienie nie opuszczało jej nawet na chwilę, dręczyła ją samotność. A wszystkiemu winien był styl życia Maxima, jego postawa. Co do tego nie miała wątpliwości. Niemal stale przebywał poza domem, w biegu, w locie, to do Londynu i Paryża, to do Nowego Jorku i Los Angeles, zresztą, Bóg jeden wie, dokąd jeszcze. Właśnie te długotrwałe rozłąki odebrały jej wiarę w to, iż Maxim nie miewa przygód miłosnych z innymi kobietami. Takie skoki w bok stały się zapewne częścią składową jego życia, snuła przypuszczenia, czekając. Czekając na niego, kiedy wreszcie raczy wrócić do domu. Uświadomiła sobie raptem, że od kilku lat nie robi nic innego, tylko czeka. Czekala na Maxima. Czekala na zakończenie budowy jachtu. Czekala na wyposażenie wnętrza jachtu - na antyki, obrazy, na tkaniny i dywany, na to wszystko, co było potrzebne do stworzenia tego pływającego pałacu, jaki Maxim sobie wymarzył. Czekala, czekała, czekała. I zamartwiała się. Zamartwiała się na śmierć. Cofnęła się pamięcią do lata 1970 roku, kiedy ona i matka porozmawiały sobie od serca. Potem spędziła z Maximem

i z dziećmi cudowne wczasy w Beaulieu. To była prawdziwa sielanka. Kiedy lato dobiegło końca, zaczęła zgodnie z radami matki podróżować razem z nim, ale już wkrótce ta strategia przestała zdawać egzamin. Rozkład zajęć Maxima, istota jego pracy, obowiązki w świecie wielkiego biznesu - to wszystko niosło ze sobą problemy, których nie zdołała przewidzieć od razu. Czasem przylatywali do Nowego Jorku, aby wyjechać już po dwóch dniach, mimo iż pobyt miał być o wiele dłuższy. Okazywało się, że muszą pilnie - oczywiście w sprawach służbowych - lecieć do Londynu. Albo do jakiegoś innego miasta w Stanach Zjednoczonych. Lub do Hongkongu czy nawet Australii. Interesy mogły wezwać Maxima do każdego dowolnego miejsca na kuli ziemskiej. Tymczasem Anastazja nie przepadała zbyt za lataniem, brakowało jej również odporności fizycznej i psychicznej, która cechowała męża. Wkrótce tak intensywny tryb życia sprawił, że zaczęła chorować.

Poza tym istniały inne obowiązki, które sprawiały, że musiała pozostawać we Francji i Anglii: prowadzenie dużego domu w Mayfair i willi w Beaulieu; problemy ze służbą, wymagające od niej ciągłego podejmowania decyzji; i wreszcie dzieci, przynajmniej podczas przerw w szkole i ferii.

Po roku musiała zrezygnować z podróży u boku męża, ale wtedy, zanim jeszcze zdołała złapać oddech, wyłoniła się sprawa jachtu. I znowu spadły na nią liczne obowiązki, drobne i uciążliwe, którym jednak musiała podołać, jako że Maxim przebywał stale w innych miastach i krajach, załatwiając ważne interesy.

W konsekwencji okresy ich rozłąki poczęły wydłużać się jeszcze bardziej niż dotychczas, coraz częściej całe tygodnie, spędzali z dala od siebie. Potem owe tygodnie przekształciły się w miesiące. Anastazja mogła mówić teraz o szczęśliwym trafie, jeśli przebywała z mężem przez sześć miesięcy w roku.

Nasze drogi rozchodzą się, pomyślała. Nagle ogarnął ją straszliwy lęk.

Znowu przeniosła wzrok na Maxima, swojego męża, którego kochała ponad wszystko na świecie. Ujrzała, że nadal trzyma w ramionach młodą Marokankę, i ponownie poczuła dotkliwy ból w sercu. Owładnęła nią zazdrość i zarazem gniew, ręce zatrzęły się z nerwów, ostatkiem sił nakazała sobie spokój. W zazdrości kryje się więcej egoizmu niż miłości, przypomniała sobie zasłyszana niegdyś maksymę La Rochefoucaulda.

Dostrzegła nagle całą sprawę jasno i bezstronnie: Maxim posiada ów nieodparty urok, który zniewala kobiety. Nie czekając na jakąkolwiek zachętę z jego strony, po prostu lecą na niego. A czy znajdzie się w ogóle mężczyzna zdolny oprzeć się takiej pokusie?

On by się na pewno nie oparł, pomyślała, nie mogąc oderwać wzroku od męża i Marokanki, do której czuła coraz większą nienawiść.

Maxim zauważył ją i uśmiechnął się z daleka, ale ona odwróciła już głowę w inną stronę, udając, że go nie widzi. Wolnym krokiem oddaliła się od tańczących, kipiąc ze złości. Zazdrość i gniew narastały w niej znowu z każdą chwilą, grożąc wybuchem.

Tuż przed sobą dostrzegła Davida Mainesa; było już za późno, aby go ominąć, w przeciwnym razie mógłby poczuć się urażony, tego zaś chciała mu oszczędzić. Za bardzo go lubiła. Scenarzysta filmowy, a obecnie powieściopisarz, mogący się poszczycić wieloma bestsellerami, przyjaźnił się od lat z jej ojcem i zawsze kręcił się przy ekipach filmowych w Paryżu i w Londynie. Alan przyprowadził go kiedyś do ich domu, jakieś pięć lat temu, i od tamtej pory był u nich częstym gościem. Kiedy przyjeżdżali na południe Francji, zjawiał się tam i on, jak na zawołanie. Jadał z nimi obiady, dotrzymywał im towarzystwa, grywał z nimi w tenisa. Dwa lata temu odwiedzili go w jego pięknej willi na szczycie wzgórza w Tangerze i spędzili z nim długi weekend. Potem zjawiała się Chedlya...

David zatrzymał się, powitał ją szarmanckim ukłonem.

- Moja przyjaciółka, Chedlya, zarekwirowała twego męża dla siebie - powiedział. - Myślę więc, że postąpię właściwie i sprawiedliwie, czyniąc to samo z tobą. Zatańczmy, Anastazjo.

- Och, ale ja... - Urwała, uświadamiając sobie, że jako gospodyni nie może zachować się niegrzecznie wobec gościa.

- Chętnie, Davidzie.

Poprowadził ją na parkiet, chwalać po drodze wspaniałe przyjęcie. - A co do jachtu - dodał - jest on kwintesencją piękna i dobrego smaku.

- Dziękuję. Szczerze mówiąc, łatwiej było zorganizować to przyjęcie niż zbudować jacht. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Sporo też zawdzięczam mojej matce, wiesz? Jest niezwykle utalentowana, jeśli chodzi o dekorowanie wnętrz.

- Ty też - uśmiechnął się, patrząc na nią z podziwem. Niezależnie od jej uzdolnień artystycznych, nie mógł nie zwrócić uwagi na jej urodę. Mimo woli pomyślał z zazdrością o Maximilianie, który poślubił tak cudowną kobietę.

- Nawet nie wiedziałem, że ty malujesz - powiedział, wirując z nią w tańcu. - Byłem zachwycony akwarelami, które wiszą w salonie, a Alan poinformował mnie, że są twoim dziełem.

- To już historia. Kilka lat temu pacykowałam, co tylko mi przyszło do głowy - mruknęła, aby odpowiedzieć cokolwiek. Ponad jego ramieniem powiodła wzrokiem po sali, szukając Maxima. Bezskutecznie; ulotnił się jak kamfora.

- Jeśli to nazywasz pacykowaniem, to nie miałbym nic przeciw temu, abyś pobazgrała tak trochę dla mnie - odparł David. - Posłuchaj, Anastazjo, gdybyś zorganizowała kiedykolwiek wystawę swoich obrazów, albo gdybyś przeznaczyła niektóre z nich do sprzedaży, daj mi natychmiast znać. Kupiłbym kilka z nich do mego domu w Tangerze.

- To miłe z twojej strony, że tak mówisz, Davidzie

- powiedziała, głowiąc się w dalszym ciągu wyłącznie nad jednym problemem: gdzie mogli podziąć się Maxim i przyjaciółka Davida. - Tylko że ja nie maluję zbyt często, to nawet nie jest moim hobby. - Marzyła o tym, aby wymknąć się stąd. Serce waliło jej ze wszystkich sił, ogarnęła ją jakaś dziwna gorączka, niemal panika. Czyżby Maxim wyprowadził tę dziewczynę w jakieś ustronne miejsce, aby znaleźć się z nią sam na sam? Aby móc kochać się z nią?

- Davidzie, czy bardzo byłbyś na mnie zły, gdybyśmy przestali tańczyć? - zapytała, może trochę zbyt gwałtownie.

- Właśnie przypomniałam sobie, że muszę powiedzieć coś kucharzowi.

- Ależ nie ma sprawy, rozumiem to - odparł i natychmiast odprowadził ją na bok. - O, a oto i Chedlya! Z pewnością mnie szuka. Na razie, moja droga.

Anastazja obdarzyła go nikłym uśmiechem, przeprosiła i oddaliła się czym prędzej. Kątem oka dostrzegła Maxima: stał przy barze razem z jej ojcem i z Alanem, śmiejąc się do rozpuku z jakiegoś kawału. Odetchnęła z ulgą. Mimo to nie mogła tu zostać, powiedziała bowiem Davidowi, że ma jakąś sprawę do kucharza.

Mijając bar przeszła obok matki i Iriny, które pomachały energicznie rękoma, aby ściągnąć na siebie jej uwagę, i udała się poprzez główny pokład do łazienki. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że z trudem zamknęła drzwi. Dopiero po chwili zbliżyła się do lustra i spojrzała na swoje odbicie.

Niestety, zamiast pięknej kobiety, dostrzegła jedynie bijący z oczu strach, zacięte usta, napiętą minę i kropelki potu na twarzy i szyi. A przecież była teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, u szczytu urody. Dziś miała na sobie fantazyjnie udrapowaną suknię bez ramiączek z białego szyfonu, prezent od Maxima. Zarówno suknia jak i naszyjnik zyskiwały znacznie na wyglądzie dzięki kontrastowi, jaki tworzyły z jej złocisto-śniadą cerą, blond włosy, upięte wysoko na głowie, układały się w loki - jednym słowem było w niej tego wieczoru coś, co zapierało dech w piersi.

Ona jednak nie dostrzegała tego wszystkiego, zaślepiona zazdrością, gniewem i bólem. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl. Maxim zaniedbywał ją. Wszystkiemu winna była jego ciągła nieobecność. Jego całkowite oddanie się pracy i interesom.

Znowu oblała się zimnym potem i sięgnęła po ręcznik, aby wytrzeć się do sucha. Za bardzo go kocham, pomyślała. Jest dla mnie wszystkim, a ja stanowiąc zaledwie jego cząstkę i w tym właśnie sęk. Jej szaroniebieskie oczy napełniły się łzami, przywołała na pomoc resztkę sił, aby je powstrzymać, i ponownie zerknęła w lustro. A może ze mną jest coś nie tak? Nie, żadne „może”, ze mną dzieje się naprawdę coś niedobrego. Jestem chora z miłości. Z miłości do niego. Przypomniała sobie inny werset z Biblii: ***Mój jest mój miły, a ja jestem jego.*** Tylko że on nie jest mój, już nie, pomyślała. Mimo iż ja jestem jego i będę jego zawsze, do końca życia.

Och, dlaczego on nie może być zwyczajnym człowiekiem? Dlaczego musi być geniuszem od interesów, znakomitym biznesmenem z wyobraźnią i olbrzymią odwagą? Westchnęła ciężko, pozwoliła, aby łzy pociekły z wolna po jej policzkach. Tak bardzo pragnęła, żeby ich małżeństwo wyglądało znowu tak jak dawniej, na samym początku. Chciała go całego dla siebie. Ale to nie było możliwe; Maxim nie odda się jej cały.

Nie mogę ciągnąć tego dalej w ten sposób, pomyślała. Muszę coś zrobić. Nie zniosę dłużej tego bólu.

Przypomniała sobie gości. Musiała wziąć się w garść. Chusteczką wytarła sobie oczy, szybkim krokiem przeszła do

swojej kabiny, usiadła przy toalecie, poprawiła makijaż, skropiła się perfumami, odgarnęła niesforny lok z czoła, po czym wstała, nabrała głęboko tchu i wróciła do gości.

* * *

- Moje gratulacje, Brzoskwinko - powiedział parę godzin później Maxim, zdejmując swój beżowy smoking i wieszając go na poręczy krzesła.

Anastazja, która stała pod przeciwległą ścianą kabiny, obróciła się powoli i utkwiała w nim wzrok. Tak bardzo go kochała, tak mocno go pragnęła! Ale nic z tego. Traciła go. Tak samo wyraziście, jak zrozumiała przy ich pierwszym spotkaniu piętnaście lat temu, że są dla siebie przeznaczeni, teraz uświadomiła sobie, że jest im sądzone rozstanie.

Que sera, sera... co będzie, to będzie.

Nie mogła już znieść tych wszystkich kobiet które nie odstępowały go na przyjęciu nawet na krok, bez przerwy wdzięczyły się do niego, narzucały się a przy pożegnaniu, kiedy już wychodziły z przyjęcia, obcałowywały go bezczelnie. Nienawidziła ich wszystkich, nienawidziła każdej z nich.

Poczuła, że robi jej się niedobrze, nogi miała jak z waty Maxim zdjął muszkę, odłożył ją na bok i rozpiął koszulę nie odrywając od niej wzroku. Na jego twarzy błąkał się dobrze jej znany, ujmujący uśmiech. - Przyjęcie było bardzo udane, jacht jest wspaniały, a twój diamentowy naszyjnik wygląda olśniewająco - powiedział i uśmiechnął się ponownie.

Nieoczekiwanie coś pękło w niej, rozpryskując się na drobne szczątki, wyciągnęła rękę, aby uchwycić się poręczy krzesła.

- A więc na tym polega ostatnio moja rola, czy tak? - zapytała zimno. - Jestem od tego, aby wydawać twoje przyjęcia, ozdabiać twoje domy i nosić twoje diamenty!

Spojrzał na nią osłupiały; te dziwne słowa i lodowaty ton zbiły go z tropu. Jednak już po chwili otrząsnął się z zaskoczenia. - Jesteś też osobą, którą kocham.

- Osobą, którą kochasz! Dobrze sobie! Ile jeszcze kobiet kochasz oprócz mnie? . .

- O czym ty mówisz, na miłość boską? - zapytał zmienionym głosem. Z jego spojrzenia zniknęło ciepło, zaskoczenie ustąpiło miejsca irytacji.

- Och, dajże spokój, nie odgrywaj tu przede mną roli zranionego świętoszka! Wiem dobrze, że miewasz przygody z innymi kobietami!
- Nic podobnego! - zawołał, dotknięty do żywego tym oskarżeniem.
- Chyba nie spodziewasz się, że uwierzę, iż mężczyzna tak namiętny, tak zmysłowy jak ty, wzbrania się przed drobnymi miłostkami, przebywając z dala od domu? Nie zaprzeczaj, znam cię bardzo dobrze, Maximie, i wiem, jak wiele znaczy dla ciebie seks. Powiedziałabym nawet, że bez niego nie mógłbyś żyć.
- Jeśli twierdzisz, że jestem kobieciarzem, to znaczy, że w ogóle mnie nie znasz! - odparował podniesionym głosem.
- W moim życiu nie ma i nigdy nie było innych kobiet. Wobec ciebie byłem zawsze lojalny!
- Co w takim razie powiesz o Camilli Galland, tej zesłanej przez niebiosą gwiazdzie angielskich scen?
- Camilla Galland! - zawołał i roześmiał się z niedowierzaniem. - Cóż za nedorzeczna insynuacja! Chyba nie mówisz tego poważnie, Anastazjo!
- Oczywiście, że mówię poważnie. Pomijając fakt, że ja sama widywałam cię z nią wiele razy, dostrzegli was również inni.
- Ty mnie z nią widziałaś! - zakrzyknął. - A kiedy to było?
- Na przykład na wiosnę, wchodziliście do Ritza. A kilka lat temu zauważyłam, jak wchodziliście do Claridge'a. Wygląda na to, że dosyć często jadasz z tą damą lunch. Nie wspominam już o kolacjach w Nowym Jorku. Tam też cię z nią widziano wiesz? A więc nie zaprzeczaj.
- Wcale nie mam zamiaru zaprzeczać, bo i po co? Camilla i ja przyjaźnimy się od wielu lat, to żadna tajemnica. Byłam z nią w Londynie na lunchu, czasem też, jak ci o tym wiadomo, rozmawiamy przez telefon. Jadłam z nią kolację w Nowym Jorku, zgadza się, wtedy, gdy występowała na Broadwayu. Od lat udzielam jej rad w sprawach finansowych, kiedy zamierza ulokować gdzieś pieniądze. I tak się składa, przynajmniej jeśli chodzi o kolację w Nowym Jorku, że zawsze był z nami jej mąż. Na wypadek, gdyby to umknęło twojej uwadze, Camilla wyszła pięć lat temu za mąż. Za Petera Jarvisa. I nadal jest jego żoną.
- Mężowie dowiadują się zazwyczaj ostatni o zdradzie małżeńskiej. Tak samo żony. Nie próbuj mydlić mi oczu tą wieścią o małżeństwie Camilli, bo to mnie wcale nie przekonuje.

Maxim stracił już panowanie nad sobą. Postąpił krok do przodu i zawołał: - Zapytaj Alana! Idź natychmiast do jego kajuty i zapytaj, do diabła! Na pewno potwierdzi, że udzielam jej porad w sprawach inwestycji! I to na jego prośbę! - Zapytać Alana! - Jej głos był pełen sarkazmu. - No, no, oto doczekałam się kawału stulecia! Zapytać Alana! Dobrze sobie! Jakiś ty śmieszny, Maximie! To jasne, że Alan powie wszystko, aby cię osłonić. Sprzedałby nawet swoją matkę, gdyby mógł w ten sposób uczynić coś dobrego dla ciebie! W jego oczach jesteś przecież bogiem.

- O co tu w ogóle chodzi? - zawołał Maxim, tracąc już zupełnie głowę. Jego twarz poszarzała gwałtownie. - I to wszystko po tych paru pięknych dniach, które spędziliśmy razem? Po tym wspaniałym przyjęciu?

- Przyjęcie było może wspaniałe dla ciebie, ale z pewnością nie dla mnie. Byłam pozostawiona samej sobie, podczas gdy ty umizgiwałeś się do Chedly i każdej innej kobiety obecnej na jachcie.

- Wygadujesz coraz większe bzdury. Zatańczyłem z Cnedlyą tylko raz. I nie zapominaj, że byłem tu gospodarzem. Musiałem prosić do tańca kobiety, które zaprosiliśmy na przyjęcie. .

Na twarzy Anastazji pojawił się nagle dziwny, nieładny grymas, który sprawił, że Maxim wstrzymał na chwilę oddech; wydało mu się, że ma przed sobą zupełnie obcą osobę.

- Sprawy między nami nie układają się już tak, jak powinny, Maximie! - zawołała. - Ciebie nigdy nie ma w domu. Nie dzielisz ze mną życia. Wygnałeś mnie z niego wiele lat temu! - Zatrzęsła się ze złości tak silnie, że musiała znowu uchwycić się krzesła, aby nie stracić równowagi.

-Wcale nie wygnałem cię z mego życia - zaprotestował, siny z wściekłości. - Po prostu nie interesujesz się moimi sprawami zawodowymi, dlatego nie rozmawiam o nich z tobą. Te sprawy cię nudzą. Zawsze cię nudziły. Co do mnie, robię wszystko co tylko możliwe, aby spędzić z tobą jak najwięcej czasu, ale ty me chcesz ze mną podróżować, bo twierdzisz, że mój styl życia za bardzo cię męczy. A więc, na Boga, czego ty ode mnie chcesz?

Nie odpowiedziała. . .

- Wiesz dobrze, że cię kocham, Nastko - powiedział łagodniejszym tonem i podszedł do niej bliżej. - Zawsze kochałem tylko ciebie. Jesteś jedyną kobietą, jakiej pragnąłem i pragnę nadal. Staram się jak mogę, aby ci to okazać. Od lat

marzyłaś o jachcie, a więc kazałem wybudować go dla ciebie. I nazwałem go Marzenie, gdyż tym właśnie jesteś dla mnie: ślicznym jak w bajce zjawiskiem, o jakim się marzy - dodał kojącym szeptem, uśmiechając się do niej.

- Nie chcę twego jachtu! - zawołała. - Nie chcę twoich diamentów! - Ogarnięta furją, chwyciła za naszyjnik, jednym ruchem zerwała go z siebie i rzuciła na łóżko. - Nie chcę tego wszystkiego, rozumiesz?!

Wzdrygnął się i cofnął o krok, jakby ktoś uderzył go znienacka, oblała go fala przejmującego chłodu. Nie mógł zrozumieć, o co tu w ogóle chodzi, co spowodowało wybuch zony. W tym momencie wiedział tylko jedno, że musi natychmiast wyjść na świeże powietrze; czuł, że brak mu tchu, że jest mu niedobrze.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł z kabiny, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Chcę tylko ciebie, Maximie! To właśnie próbowałam ci powiedzieć! Chcę tylko ciebie! Rzeczy materialne nie mają dla mnie żadnego znaczenia! - zawołała za nim, wpatrując się w zamknięte drzwi. Ale Maxim nie wracał. Anastazja czekała jeszcze chwilę, po czym rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać powtarzając raz po raz: - Chcę tylko ciebie, najdroższy! Chcę tylko ciebie!

Ale Maxim nie słyszał jej słów.

49

Przeszedł po głównym pokładzie, pustym, jako że wszyscy już spali, i oparł się o reling, patrząc na zamglony horyzont. Gorączkowo nabierał do płuc całe hausty świeżego powietrza, pragnąc uspokoić się i dojść jakoś do równowagi po tych słowach, które zraniły go boleśnie.

Tak, Anastazja zraniła go, zraniła tak bardzo, że nie mógł tego znieść. Oskarżenia, które rzuciła mu w twarz, były na tyle śmieszne, że mógłby je skwitować śmiechem. To nie one sprawiły mu tyle bólu. O wiele dotkliwiej ubódl go sposób, w jaki cisnęła na łóżko diamentowy naszyjnik, krzycząc przy tym, że wcale go nie chce.

Naszyjnik był czymś nadzwyczajnym i kosztował fortunę. Ale i to nie miało dla niego znaczenia. Liczyło się przede wszystkim uczucie, jakie włożył w jego powstanie. Poszedł wtedy do Marka i poprosił o coś naprawdę wyjątkowego dla żony, a najbardziej utalentowany projektant w firmie Tannen and Graf opracował ten właśnie wspaniały wzór. Potem Mark spędził cały rok na kompletowaniu nieskazitelnych bia-ło-niebieskich kamieni. Maximowi zależało na tym, aby diamenty i naszyjnik dla Anastazji były naprawdę doskonałe, gdyż kochał ją nade wszystko na świecie, a Mark zrozumiał to i postanowił stworzyć arcydzieło.

Przez cały czas trwania prac nad naszyjnikiem Maxim wpadał do sklepu jubilerskiego przy Regent Street kiedy tylko mógł, chciał bowiem obejrzeć na własne oczy osadzanie kamieni w misternej siateczce z białego złota. Niecierpliwie czekał na zakończenie pracy, nie mógł już doczekać się chwili, kiedy wręczy naszyjnik Anastazji, kiedy będzie mógł podziwiać go na jej szyi i zachwycać się jej urodą.

Dał go jej tego dnia, kiedy po raz pierwszy weszli na jacht, aby popłynąć do Saint-Tropez. Naszyjnik wyglądał na niej olśniewająco, a Anastazja nie posiadała się z radości - takie przynajmniej można było odnieść wrażenie. A tymczasem parę minut temu rzuciła go na łóżko! Maxim zbierał gorączkowo myśli. Uświadomił sobie raptem, że sam gest Anastazji nie miał większego znaczenia, był wyrazem jej gniewu, gniewu skierowanego przeciw niemu. Nie rozumiał jednak, dlaczego Anastazja była na niego wściekła, nie potrafił pojąć, czym sprowokował jej wybuch. Westchnął, podszedł do barku i nalał sobie szklanek wody, a potem wrócił do relingu i począł pić wodę małymi łykami, chcąc dojść z samym sobą do ładu. Niezależnie od jej gniewu, musiał jeszcze uporać się w jakiś sposób z tymi bezsensownymi, niedorzecznymi oskarżeniami, jakimi obsypała go nie wiadomo z jakiego powodu. Jak wiele małżeństw, również oni miewali w przeszłości sprzeczki, ale żadna z nich nie była podobna choćby w przybliżeniu do tej dzisiejszej. Nigdy przedtem nie widział swojej żony w stanie takiej hysterii, nigdy przedtem nie zachowywała się tak... irracjonalnie. Dzisiejsze zachowanie było przecież sprzeczne z jej naturą, zazwyczaj zachwycała wszystkich swoim opanowaniem, pełnym dystynkcji spokojem.

Z pewnością jest przemęczona, pomyślał, wyczerpana po całej tej pracy, jaką włożyła przez ostatni rok w wykończenie

jachtu. To było rzeczywiście karkołomne zadanie, nawet jeśli pomagała przy tym Margot. Anastazja potrzebuje teraz wypoczynku, relaksu, mnie, mojej obecności i miłości, doszedł do przekonania. Tak, potrzebuje tego, abym był wraz z nią, abym mógł się nią zająć. Jest taka delikatna i wrażliwa, moje piękne marzenie.

Z prawdziwą radością pomyślał o swojej niespodziance dla niej: planowanym rejsie na wyspy greckie. Mieli odpłynąć za parę dni i przez trzy tygodnie żeglować po Morzu Egejskim. Tego typu urlop przyda się im obojgu, może nawet okaże się taką samą sielanką, jak tamten przed czterema laty.

A kiedy już wrócą z rejsu, spróbuje ułożyć nieco inaczej swoje życie zawodowe, tak aby mogli wspólnie spędzać więcej czasu. I tak rozmyślał już o tym wielokrotnie; naprawdę chciał ją uszczęśliwić.

Noc była ciepła i Maxim pozostał na pokładzie przez kilka godzin, rozmyślając i układając plany na przyszłość.

Kiedy wreszcie wrócił do kabiny, Anastazja już spała.

Odetchnął z ulgą; nie mógł wykluczyć, że rozmowa z żoną w tej chwili przerodziłaby się niebawem w kolejną sprzeczkę. Ostrożnie, niemal na palcach, przeszedł do garderoby i przebrał się do spania, zapewniając siebie w duchu, że z rana, po spokojnie przespanej nocy, Anastazja będzie znowu sobą.

A przy śniadaniu powie jej o rejsie na wyspy greckie. Wiedział, że ucieszy ją tą wieścią, i nie mógł już doczekać się chwili, kiedy poruszy przy niej ten temat.

* * *

- Tatusiu! Tatusiu! Wstań! Obudź się! - krzyczała Alix, szarpiąc go za rękę.

Maxim poderwał się gwałtownie, wybity ze snu, i wlepił wzrok w córkę, stojącą obok Michaela przy łóżku.

- O co chodzi? - zapytał i dodał, zarażony ich podnieceniem: - Co się stało?

- Mama wyjeżdża. Na lotnisko w Nicei - poinformował Michael, wskazując ręką na iluminator. - Właśnie w tej chwili odlatuje helikopter, tato.

Zanim skończył mówić, nad jachtem rozległ się warkot śmigłowca. Maxim odrzucił prześcieradło, wyskoczył z łóżka i podbiegł do iluminatora, aby wyrzeć na zewnątrz. Niestety,

helikopter wzbił się już wysoko i oddalał się, tworząc ciemną, ruchliwą plamę na tle pogodnego, błękitnego nieba.

- Mama wraca do Londynu, tatusiu - odezwała się Alix, podbiegając do niego i chwytając za rękę. - Kiedy wstałam, płakała. - Spojrzała na ojca, jej usta zdrząły podejrzenie.

- Tatusiu, chyba nie zamierzacie wziąć rozwodu, prawda? Michael i ja nie chcemy, żebyście się rozwiedli!

Maxim spojrzał na nią oszołomiony. - Oczywiście, że nie rozwiedziemy się! Skąd ci to przyszło do głowy, skarbie?!

- Nachylił się, objął ją i przytulił do siebie, a potem przywołał gestem dłoni Michaela. Dwunastoletni chłopiec rzucił mu się w ramiona i wszyscy troje trwali tak w bezruchu, obejmując się ze wszystkich sił. Maxim czuł, że ściska mu się serce; uwielbiał swoje dzieci i zdawał sobie sprawę, że ten nagły, dramatyczny krok Anastazji oznacza dla nich prawdziwy wstrząs.

Wypuścił dzieci z objęć, wyprostował się i oświadczył:

- Wszystko będzie dobrze, przyrzekam wam. I nie martwcie się o nic. Rozumiecie?

- Tak - szepnęła Alix. - Ale dlaczego mama pojechała od nas?

- Naprawdę nie wiem - odparł Maxim z pełnym przekonaniem. - A teraz zmykajcie oboje, muszę wziąć prysznic, ogolić się i ubrać.

- Co teraz zrobisz, tato? - spytał Michale.

- Sprowadzę mamę z powrotem. Bardzo ją kocham. I dlatego właśnie muszę sprowadzić ją z powrotem.

* * *

- Na miłość boską, Książę, daj mi poprowadzić! - wykrzyknął Alan. - Jeśli nie będziesz ostrożny, rozbijesz tego rollsa Margot. Nie pędź jak wariat!

Maxim zwolnił nieco pedał gazu nowego rolls-royce'a, pożyczonego od teściowej. - Masz rację, Serdelku, tym bardziej że nie wiem, po co tak pędzę. Zanim dojedziemy do Nicei, samolot Anastazji będzie już w powietrzu. Jeśli Margot nie udało się wyczarterować dla mnie drugiego samolotu, będę musiał czekać na rejsowy.

- Jestem pewny, że Margot załatwi ci czarter, mimo iż to niedziela - uspokoił go Alan. - W każdym razie, kiedy dotrzesz do Londynu, Anastazja ochłonie już, masz na to moje słowo.

Wiesz przecież, jakie są kobiety: kapryśne niczym najbardziej narowiste konie.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście nie będzie już w takim nastroju jak wczoraj - mruknął Maxim. - Bóg jeden wie, co ją napadło. Ja w każdym razie nie mam pojęcia, nie wiem, o co jej chodziło.

- Bardzo się starała przygotować jacht na twoje urodziny w czerwcu. I chociaż nie zrobiła tego na czas, bo trochę się spóźniła, trzeba przyznać, że odwalila kawał dobrej roboty. Może wczoraj nie wytrzymała już dłużej tego napięcia i stresu

- poddał myśl Alan. - Może była po prostu przemęczona?

- Tak, to możliwe. - Maxim zacisnął dłonie na kierownicy, **DO** czym wyznał: - Anastazja oskarżała mnie przede wszystkim o to, że spałem z Camillą Galland.

Nastała krótka chwila milczenia, potem Alan zapytał:

- A jak było naprawdę? Spałeś z nią czy nie?

- Och, dajże spokój, Serdelku, nie wygłupiaj się! Oczywiście, że nie spałem z nią. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- Wiem tylko jedno: że Camilla od lat ma na ciebie oko. Mówiąc wyraźniej: ma na ciebie chrapkę.

Maxim rzucił mu kątem oka szybkie spojrzenie i parsknął z niedowierzaniem. - Nonsens!

- Masz na to moje słowo. Wystarczy, że kiwniesz na nią a będzie twoja.

- Mylisz się. Zresztą ja z całą pewnością nie jestem zainteresowany Camillą i nigdy nie byłem.

Alan milczał przez chwilę, po czym zadał cicho pytanie:

- Nie sądzisz chyba, że do Anastazji dotarły te wieści, co?

- Wieści? O czym ty, do diabła, mówisz?

- No wiesz, plotki o tobie i o innych kobietach...

- Jakich kobietach?

- Tych, z którymi romansowałeś.

- Odkąd jestem żonaty, miałem tylko kilka przygód, takich na jedną noc - warknął Maxim. - Trudno nazwać to romansami, jak się wyraziłeś.

- Sally Batterson spędziła z tobą więcej niż jedną noc, Książę. Wiem co nieco na ten temat, bo byłem z tobą w Nowym Jorku.

- No dobrze, spędziłem z nią trzy tygodnie! To była taka trochę przedłużona noc, nic więcej. Cała przygoda nie miała dla mnie żadnego znaczenia. A ty, mój przyjacielu, jesteś jedyną osobą, która o tym wie.

- Tak, jeśli nie liczyć samej damy, o której mówimy. Maxim zerknął na niego z ukosa, nie powiedział jednak nawet słowa.

- Wie o tym również Sally - nie ustępował Alan.

- Nie sędzę, aby miała powiedzieć o tym komukolwiek.

- A to dlaczego? Niektóre kobiety obnoszą się ze swoimi przygodami miłosnymi, a ty - spójrzmy prawdzie w oczy - jesteś osobą, którą warto się pochwalić.

- Posłuchaj, Sally z pewnością nie pisnęła nawet słówka o naszej krótkiej przygodzie. Była zaręczona, o czym wtedy nie miałem pojęcia. Dowiedziałem się o tym parę miesięcy później, kiedy otrzymałem od niej zaproszenie na ślub. Alan roześmiał się cynicznie. - Dzisiejszy świat jest pełen kobiet, które idą przez życie, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, prawda?

Maxim skoncentrował się na ruchu ulicznym, przyhamował, skręcił w Corniche, ulicę biegnącą równolegle do brzegu, a gdy znaleźli się znowu na pustej drodze, przyśpieszył ponownie. Nie mógł już doczekać się chwili, kiedy dojedzie na lotnisko. - Nie, to niemożliwe, aby Anastazja wiedziała o plotkach na mój temat - mruknął po chwili. - Nie miała żadnego powodu, aby mnie podejrzewać. Od dawna wiodę przykładne życie. Zresztą, jeśli zechcesz sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze takie wiodłem. - Roześmiał się głucho. - Wiem, że istnieją ludzie, którzy chcieliby przedstawić mnie jako playboya, kogoś pośredniego między Porfirio Rubirosą i Aly Khanem, ale w tym nie byłoby ani krzty prawdy.

- Niech spoczywają w spokoju - powiedział Alan. - Obaj umarli młodo, ale... jakie mieli życie! - Westchnął, a po chwili dodał: - Wiem, że nie jesteś kobieciarzem, mnie nie musisz przekonywać o swojej wierności wobec Anastazji. Mogę zaświadczyć, że jesteś bardzo dobrym mężem i ojcem. Niech to diabli, żałuję teraz, że prosiłem cię wtedy, abyś pomagał Camilli w jej sprawach finansowych. - Zmarszczył brwi. - Ale co właściwie skłoniło twoją żonę do zwrócenia uwagi na Boga ducha winną Camillę?

- Zauważyła, jak tamtej wiosny wchodziłem z Camillą do Ritza. Zjedliśmy wtedy lunch z jej księgowym. Poza tym ktoś z usługnych przyjaciół poinformował ją, że poszedłem w Nowym Jorku na kolację z Camillą. - Pokręcił z niesmakiem głową. - Tylko że ten ktoś zapomniał dodać, że przez cały czas był z nami mąż Camilli.

- To właśnie dowód, że kiedy jesteś żonaty, musisz mieć się stale na baczności. Dobrze, że udało mi się zostać kawalerem! I nie zamierzam tego zmieniać. Nawet lubię być wiecznym narzeczonym.

Maxim roześmiał się wesoło. - Jeśli któryś z nas jest playboyem, to raczej ty! Nigdy nie zrozumiem, dlaczego ludzie uparli się, aby to mnie przypiąć tę etykietkę.

- Bo bardziej pasujesz do tej roli niż ja - odparł Alan i zrobił zabawną minę. - Jesteś wspaniałą, dziarską, olśniewającą, czarującą i tak dalej. Dla wielu ludzi ja stanowię zaledwie twój mizerny cień.

- Dobry Boże, gdyby tylko wiedzieli! Szybkie kobiety, szybkie samochody, szybkie łodzie, szybkie ruletki! Ale dobrze ci radzę, staruszkule: uważaj na siebie, zwłaszcza w tych samochodach i motorówkach. Nie chciałbym cię utracić!

- I kto to mówi! To przecież ty wciskasz zawsze pedał gazu, ile tylko się da! W każdym razie nie ma powodu do obaw: zamierzam dotrzymać ci towarzystwa jeszcze przez dłuższy czas. - Alan opadł plecami na oparcie siedzenia. Maxim prowadził samochód w milczeniu.

- Ona zawsze była zaborcza wobec ciebie - odezwał się Alan.

- Też mam takie wrażenie.

- I trochę zazdrosna. Bardzo lubię Anastazję, to naprawdę wspaniała dziewczyna, ale ogarnia ją wściekłość, gdy tylko spojrzysz na inną kobietę.

Maxim zerknął znowu na przyjaciela, zmarszczył brwi.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście.

- Ale ona z pewnością wie, jak bardzo ją kocham. Zawsze ją uwielbiałem.

- Tak, wiem, ale kobiety są niekiedy bardzo dziwne. - Alan zawahał się i dodał: - Jest jeszcze jedna rzecz. Anastazja nie lubi, kiedy przebywasz z dala od niej... Może to zabrzmie dziwnie, ale myślę, że twoja żona jest zazdrosna o twoją pracę, zazdrosna o czas, jaki jej poświęcasz.

- Ależ ja nie mogę tak po prostu przestać pracować!

- zawołał Maxim. - Przez ostatnie lata zbudowałem potężne imperium. Mam określone obowiązki wobec tysięcy ludzi, moich pracowników, udziałowców, wobec opinii publicznej, a nawet wobec siebie samego. I tak się składa, że lubię moją pracę.

- Jestem przekonany, że ona to zrozumie - odparł śpiesznie Alan. - I wcale nie twierdzę, że Anastazja chce, abyś zrezygnował ze swojego imperium. Jest zbyt inteligentna, żeby oczekiwać od ciebie takiego kroku. Chciałem jedynie zaznaczyć, że... cóż, musisz przyznać, że naprawdę spędzasz bardzo wiele czasu z dala od niej. Która kobieta nie zdenerwowałaby się w takiej sytuacji?

Maxim kiwnął głową. - Tak, masz rację, Serdelku, muszę ci to przyznać. Spróbuję zorganizować mój rozkład zajęć nieco inaczej.

Westchnął ciężko i zrobił przy tym tak posepną minę, że Alan zawołał od razu: - Hej, Książę, daj spokój, wszystko ułoży się jak najlepiej, zobaczysz. A jutro albo pojutrze przyjadę znowu rollsem do Nicei, aby zabrać was oboje z lotniska.

- Mam nadzieję, że będzie tak, jak mówisz. Chciałbym, aby wszystko między nami było już dziś tak jak dawniej.

* * *

Oboje podali sobie ręce na zgodę, odbyli rejs jachtem po Morzu Egejskim i przez pewien czas małżeństwo funkcjonowało prawidłowo. Jednak po upływie roku dawne kłopoty odezwały się na nowo. Dla Anastazji oznaczało to prawdziwe załamanie nerwowe, jej wrażliwa psychika nie potrafiła poradzić sobie z licznymi problemami, zarówno tymi prawdziwymi jak i wyimaginowanymi. Mimo woli, nie zdając sobie nawet sprawy z tego co robi, pogłębiała systematycznie dzielącą ich przepaść oraz, również bezwiednie, uniemożliwiała Maximo-wi przerzucenie pomostu na jej stronę. W 1976 roku, nie mogąc dłużej znosić stresów i napięć oferowanego przez Maxima stylu życia, wystąpiła z wnioskiem o separację. Początkowo sprzeciwił się temu stanowczo, ale w końcu wyraził zgodę. Nie chciał dłużej narażać jej zdrowia na szwank, zbyt mocno ją kochał.

Kiedy w 1977 roku Anastazja przeprowadziła rozwód, było to dla wszystkich ciężkie przeżycie: Maxim był zaskoczony i zdruzgotany, dzieci nie rozumiały dlaczego do tego doszło i poczuły się dotknięte, krewni i przyjaciele byli zaszokowani i niepocieszeni.

Część V
Camilla
Tanger 1981

Lecz król mi rzekł:
Czemu tak smutno wyglądasz?
Przecież nie jesteś chory!
Nie, lecz masz jakieś zmartwienie?
- Księga Nehemiasza

50

Czekając na Davida Mainesa, Camilla Galland siedziała w chłodnym, wyłożonym marmurem barze hotelu El Minzah w Tangerze, gdzie zatrzymała się po przyjeździe.

Była to owa spokojna pora dnia, kiedy gwar uliczny, dobiegający z zewnątrz, zamiera. Słońce wisiało nisko na niebie, zdobiąc granatową powierzchnię morza złotymi i fioł-koworóżowymi cętkami, co oznaczało, że niebawem zapadnie zmrok, szybko i nagle, jak zwykle.

Camilla uwielbiała ten osobliwy moment, typowy dla Afryki Północnej, kiedy to dzień dobiegł już końca, ale nie nastąpiła jeszcze noc.

Ciszę w barze macił jedynie przytłumiony furkot wirujących pod sufitem skrzydeł wentylatorów oraz odległy, płaczliwy głos muezina, zwołującego z minaretu wiernych na modlitwę.

W przyćmionym oświetleniu baru dostrzegła nagle Davida. Zbliżał się ku niej wysoki, chudy, ładnie opalony przez te wszystkie spędzone tu lata. Zatrzymał się przy jej stoliku, ujął oburącz jej dłonie i poderwał ją na nogi, tuląc do siebie.

- Camilla! To cudownie, że mam cię wreszcie tu, na swoim podwórku! Witaj!

- Cieszę się, że cię widzę, Davidzie - odparła szczerze. Zajęli miejsca, patrząc na siebie taksującym wzrokiem, a potem parsknęli śmiechem. Lubili pracować razem przy filmach, zwłaszcza tych, których scenariusze zostały napisane specjalnie dla niej; w pewnym sensie łączyło ich wiele, byli niczym starzy towarzysze broni.

- Nie przypuszczałem nawet, że przyjedziesz do Tangeru

- powiedział David, sadowiąc się wygodniej na krześle.

- Jak wiesz, rozwiodłam się z Peterem Jarvisem. To już dwa lata.

- Czytałem o tym w kronice towarzyskiej. Ale teraz miałem na myśli to, czego dowiedziałem się na twój temat od Alana Trentona. Poinformował mnie, że związałaś się z Maximem Western. A więc: gdzie podziewa się ten wielki Maxim? Nie wątpię, że załatwia właśnie kolejny, olbrzymi interes.

Zaskoczona jego słowami, wyjąkała: - Nie wiem, kiedy rozmawiałeś z Alanem, ale na pewno dawno temu. Maxim i ja nie widzieliśmy się już od sześciu miesięcy. - Sięgnęła po kieliszek z winem i opróżniła go jednym haustem, chcąc ukryć zmieszanie.

Jego bystre oko pisarza dostrzegło wszystko. - Och, moja droga, czuję, że wsadziłem nos nie tam, gdzie trzeba, czy tak? Poruszam się jak słoń w składzie porcelany! Proszę, wybac mi! - Uśmiechnął się ciepło i zaproponował: - Pozwól, że przyniosę coś do picia, a potem sobie poplotkujemy. Kieliszek białego wina?

- Tak, proszę.

Podszedł do baru, powiedział coś w miejscowym języku do barmana, ona zaś, korzystając z tej chwili, gorączkowo zbierała myśli. Żałowała, że nie napisała do Davida z Paryża przed wyjazdem. Przynajmniej zaoszczędziłaby sobie w ten sposób zakłopotania z powodu Maxima i - co więcej - przykrych refleksji. Bo nadal odczuwała ból, który jej zadał.

- Chcesz o tym teraz pogadać? Czy wolisz poczekać?

- zapytał David, podchodząc z powrotem do stolika i siadając na krześle.

- Wszystko mi jedno. - Wzruszyła lekko ramionami, po jej twarzy przemknął cień, jak gdyby odczuwała teraz żal. - Nie mam wiele do opowiadania. Natknęłam się na Maxima w Nowym Jorku, to było we wrześniu, no i związaaliśmy się. Na trzy miesiące! A potem, zupełnie nieoczekiwanie, porzucił mnie. - Zmusiła się do uśmiechu, pokiwała głową.

- W każdym razie... wiesz, jaki on jest, ostatecznie przyjaźniłeś się z nim i z Alanem przez kilka dobrych lat. Zawsze ugania się za interesami, za nową transakcją... taki już jest i na tym polega problem z nim.

- Ten facet ma niewątpliwie bzika na punkcie pracy

- zauważył David.

-1 to sporego - przytaknęła. - Pod tym względem Anastazja miała rację.

David spojrział na nią przenikliwie. - Czy to właśnie dlatego rozwiedli się?

- Nie wiem. Maxim nie zdradził mi zbyt wielu szczegółów na temat swojego byłego małżeństwa. Jest typem milczka. Jest skryty. Prawdę mówiąc, wydał mi się bardzo zagadkowy, trudno go rozgryźć. Jest dla mnie osobą tajemniczą, naprawdę. Mimo naszej wieloletniej przyjaźni, mimo iż byliśmy sobie bliscy, mimo tych trzech miesięcy intymnych stosunków, naprawdę nie potrafię powiedzieć, jaki to właściwie człowiek

David słuchał jej z widocznym zdumieniem, nie zadawał jednak pytań. - Przykro mi, że zerwaliście ze sobą - powiedział w końcu. - Maxim wydawał się bardzo samotny po tym rozwodzie... w moich oczach był najbardziej samotnym mężczyzną na świecie. .

Camilla nie odpowiedziała, choć sprawiała wrażenie, jakby podzielała jego zdanie.

- O, nadchodzi Mahammed! - zawołał David.

Kelner, z zawodowym uśmiechem na twarzy, ustawił przed nimi kieliszki z zimnym, białym winem, skłonił się i odszedł.

David dotknął jej kieliszka swoim. - Do dna - zaproponował. Roześmiał się i mrugnął porozumiewawczo.

- Do dna! - powtórzyła. Upiła trochę wina, po czym przyznała: - Maxim naprawdę jest samotny, Davidzie. Martwię się o niego, jego los nadal nie jest mi obojętny, mimo wszystko... trzeba przyznać, że ma klasę.

- Rozumiem. - David usiadł wygodniej, skierował na nią spojrzenie swoich bystrych oczu, po czym zmienił temat.

- Powiedz mi, co porabiasz w Tangerze?

- Zaczęłam myśleć poważnie o kupnie jakiegoś domu tutaj

- odparła. - Uwielbiam ten klimat, mam stąd dobre połączenie z Paryżem i Londynem, gdybym zagrała w filmie lub na scenie... to coś w rodzaju zejścia z utartej drogi. - Roześmiała się na widok zdumionej miny Davida i dodała: - Jestem podobna do ciebie, mój drogi. Od czasu do czasu potrzebny mi łyk samotności. . . .

-To cudowna wiadomość, Camillo. Nawet me wiesz, jak się cieszę, że będziesz w Tangerze. Mamy tu bardzo miłą, choć nieliczną społeczność angielsko-amerykańską; powitają cię z otwartymi ramionami. Ale jeśli będziesz chciała mieć ciszę i spokój, nie będą ci się narzucać. Na tym właśnie polega urok Tangeru. Co do mnie, kocham to miejsce.

- Miałam nadzieję, że pokierujesz mną trochę, tak abym wiedziała, jak się poruszać. I że skontaktujesz mnie z agentem od nieruchomości.

Uśmiechnął się chytrze. - Z właściwym agentem od nieruchomości. Tutaj to bardzo ważne. Owszem, znam pewną cudowną Francuzkę, która wyszukała dla mnie willę. Zatelefonuję do niej jutro i zaproszę na lunch, w ten sposób spotkamy się we troje. Spodziewam się, że jesteś wolna.

- Jak ptak. Ale teraz twoja kolej. Odpowiedz mi wszystko o sobie. Czy nadal jesteś z tą śliczną dziewczyną z Maroka...?

- Masz na myśli Chedlyę El Bahi? Nie, to już historia. Parę lat temu wyszła za męża. Za młodego malarza, swojego rodaka. Mieszkają trochę tu, trochę w Casablance. A ja jestem wolny, tak jak moje serce. - Po krótkiej chwili milczenia dodał:

- Szczerze mówiąc, delektuję się teraz świadomością, że nie jestem z nikim związany. Chociaż raz w życiu. I znowu zapadło milczenie.

- Przy okazji - odezwał się David - gratuluję ci kolejnego Oscara za najlepszą rolę kobiecą. Wysłałem ci w kwietniu kartę z gratulacjami, mam nadzieję, że ją otrzymałaś.

- Tak, bardzo dziękuję - odparła Camilla z uśmiechem, a potem zaczęła opowiadać, jak kręciła film, za który otrzymała Oscara. David zamówił ponownie wino i tak, popijając, rozmawiali o sprawach zawodowych i prywatnych jeszcze przez godzinę albo dłużej, aż wreszcie David zaproponował:

- Chodźmy coś zjeść.

Wyszli z blado oświetlonego hotelu na główną ulicę Tan-geru. Było ciemno. Na czarnym niebie, połyskiwało tysiące mikroskopijnych gwiazd, pośród których nieśmiało przypominał o sobie księżyc.

David poprowadził Camillę w stronę nabrzeża, do swojej ulubionej restauracji, która mieściła się na szczycie najwyższego budynku w mieście. - Tak naprawdę nie jest szczególnie wysoki - wyjaśnił. - Trudno porównać go z wieżowcem na Manhattanie. Ale restauracja ma duże okna z tafłowymi szybami, od podłogi do sufitu, możesz więc popatrzeć na całe miasto i jeszcze dalej, o ile jest odpowiednia pogoda.

Minęli Socco i Grand Socco, dwa targowiska. Przed jedną z kawiarenek siedziała grupka Marokańczyków; otuleni szczelnie swoimi dżalabijami, rozprawiali o czymś z ożywieniem. Wyglądało na to, że zapomnieli nawet o szklankach z miętową herbatą, stojących przed nimi na stoliku.

Ciemne uliczki wyglądały nieco tajemniczo i nie zachęcały do spacerów. Camilla zadrżała, przysunęła się bliżej Davida.

- Strasznie tu posepnie - szepnęła, biorąc go pod rękę. Roześmiał się, kojącym gestem pogłaskał jej dłoń. - Jesteś ze mną, Camillo, i nic ci nie grozi. Uwierz mi.

Odprężyła się dopiero, gdy dotarli w okolice nabrzeża. W kawiarniach, których okna wychodziły na ocean, panował duży ruch, Marokańczycy i Europejczycy okupowali tłumnie wszystkie lokale, barwne światła przenikały na ulice, oświetlając drogę. Kilka Berberyjek, człapiąc boso po piachu, wracało w góry; w swoich długich szatach, okrywających je szczelnie, wyglądały niczym brunatne kokony. Tuż za nimi podążał z wyraźną niechęcią osioł, objuczony przerażającą stertą pakunków.

- Dziś był dzień targowy - wyjaśnił David, widząc, że Camilla przygląda się kobietom. - Z pewnością przyniosły tu na sprzedaż warzywa i kwiaty, a wracają do siebie z herbatą i ubraniami. Jeśli dopisało im szczęście, kupiły sobie jeszcze trochę cukru i mąki.

- To dziwne, że nie noszą na twarzy żadnej zasłony - zauważyła Camilla.

- Kobiety ze wsi nigdy tego nie robią. Czasem jedna czy druga okrywa się całą swoją szatą, haik, aby ukryć twarz przed wzrokiem obcych. Nieliczne wyemancypowane Marokanki, mieszkające w miastach, też nie noszą już na twarzach zasłony. O, jesteśmy na miejscu. - Poprowadził ją w stronę domu, gdzie mieściła się restauracja.

Camilla obejrzała się za siebie, jeszcze raz rzucając okiem na Berberyjki. Wyglądały jak istoty nie z tego stulecia, czarne oczy błyszczały niczym paciorki w brązowych, pomarszczonych twarzach, przywodzących na myśl wypolerowane skorupy orzechów. Albo też małe wróbelki, uśmiechnęła się w duchu Camilla.

Dawid wprowadzał ją już do hallu budynku, nadzwyczaj nowoczesnego, o błyszczących podłogach z marmuru, ścianach obwieszonych lustrami i suficie ozdobionym kryształowymi żyrandolami. Windą wjechali na najwyższe piętro i przez szklane drzwi weszli do udekorowanej kwiatami restauracji.

Za progiem powitał ich wylewnie maître d'hotel i wskazał stojący w kącie stolik. David zamówił od razu butelkę białego wina, a Camilla wykorzystała ten moment, aby ogarnąć

wzrokiem wspaniały widok za szklaną ścianą. Kiedy obróciła lekko głowę, ujrzała cały Tanger: port i przystań, osobliwy układ domów, przypominający układankę z kostek, jak również ciemniejące w oddali wzgórza. Natomiast wprost przed nią łączyły się ze sobą w bezkresną przestrzeń powierzchnia oceanu i niebo.

- Davidzie, to fantastyczne! - zawołała przejęta.

- Prawda? Taki widok sprawia, że czujesz się bosko. - David uśmiechnął się i dodał: - Oto twój Tanger, Camillo. Masz go u swych stóp.

- Tak bardzo się cieszę, że przyjechałam, Davidzie. Myślę, że będę zadowolona. I mam nadzieję, że znajdę tu dla siebie dom. Prawdziwy dom.

- Jestem tego pewien. Tymczasem, mam pomysł. Dlaczego nie miałybyś się wprowadzić do mojej willi, zamieszkać na razie u mnie? Mam obszerny i bardzo ładny dom. Sam go zachwalam, ale zobaczysz, że to prawda.

- Bardzo wspaniałomyślna propozycja, ale... - Urwała, zawahała się.

- Och, daj spokój, powiedz tak - nalegał. - Miałbym w ten sposób wspaniałe towarzystwo.

- No, dobrze, umowa stoi! - powiedziała i uśmiechnęła się promiennie.

- Świetnie! A teraz zamówimy coś do jedzenia. Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

- Szczerze mówiąc, ja też.

David zamówił, wybierając na początek pasztet francuski, a potem miejscową rybę, pieczoną z ziołami i przyprawami, oraz bukiet parujących jarzyn.

Czekając na posiłek popijali chłodzone Pouilly-Fuissé, a David opowiadał barwnie i szczegółowo o życiu, jakie prowadził w Tangerze. A potem, już podczas obiadu, zapoznał ją z treścią swojego nowego scenariusza i nieoczekiwanie zaproponował, aby zagrała w tym filmie.

- To dla ciebie wspaniała rola - zapewnił ją pomiędzy jednym a drugim kęsem ryby. - Będę szczery: kiedy zaczynałem pisać ten scenariusz, nie myślałem o tobie. Ale wtedy nie myślałem o żadnej konkretnej aktorce. Teraz, kiedy tu jesteś i patrzę na ciebie, tak piękną, wiem, że jesteś jak wymarzona do tej roli.

- Ładna mi piękność! Mam już czterdzieści siedem lat!

- Ależ moja opowieść traktuje właśnie o starszej kobiecie, jeśli wybaczysz mi to określenie - wyjaśnił z uśmiechem. Nie

odrywał od niej oczu, a w jego spojrzeniu widniał szczerzy zachwyty. Camilla miała dziś na sobie seledynową, jedwabną suknię i szmaragdowe kolczyki; jasnorude włosy, zielone oczy i jasna cera czyniły z niej prawdziwą różę Anglii. Co za głupiec z tego Maxima, że ją porzucił, pomyślał David. Niezależnie od urody, jest bardzo miła i niezwykle mądra. Niektórzy mężczyźni nie potrafią docenić szczęścia, kiedy już się do nich uśmiechnie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? - zapytała Camilla.

- Właśnie przyszło mi do głowy, że mogłabyś uchodzić za kobietę trzydziestosześcioletnią. - Nachylił się nad stolikiem i zatopił w niej spojrzenie swych chłodnych, szarych oczu. - Wiesz co? Może nawet wyglądasz zbyt młodo jak na tę rolę!

Parsknęła śmiechem.

- Ja nie żartuję! Mówiłem poważnie.

- Zamknij się i opowiedz mi treść - odparła. - Dobra rola może okazać się odpowiednim lekarstwem na to, co mi teraz dolega.

* * *

Potem, kiedy leżała w swoim pokoju hotelowym pod chłodnym prześcieradłem, poczęła rozmyślać o filmie. David Maines streścił jej cały scenariusz i zaintrygował ją nim. Może powinna zagrać w tym filmie. Tak, to z pewnością sprawa godna zastanowienia. A kiedy powiedziała, że dobra rola może wyleczyć ją z obecnych dolegliwości, nie żartowała.

Kochała swoją pracę, a kariera aktorska zawsze liczyła się dla niej najbardziej, dawała jej większą satysfakcję niż cokolwiek innego. Nie rozumiał tego żaden z jej mężów, dlatego też oba małżeństwa zakończyły się rozwodem. Jeden i drugi czuli się zagrożeni przez jej karierę, przez jej sławę, przez odnoszone przez nią sukcesy. Jedynie Charles Mallingham rozumiał ją, rozumiał jej głęboką potrzebę występowania na scenie lub przed kamerą. Poznała go na samym początku swojej kariery i związała się z nim, niestety, zmarł niebawem na atak serca w wieku czterdziestu dziewięciu lat. Ona była wówczas dziewczyną dwudziestotrzyletnią, ale nigdy przedtem nie dostrzegła tej różnicy wieku. Nagła śmierć Charlesa pograżyła ją w prawdziwym smutku. Był wybitnym bankierem, wdowcem bez dzieci, w efekcie pozostawił jej w spadku większą część swojego majątku i uczynił osobą bogatą.

Charles był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała, z wyjątkiem Maximiliana Westa. Kiedy w 1959 roku poznała Maxima w Paryżu, wywarł na niej olbrzymie wrażenie, on jednak nie zwracał na nią uwagi, spoglądał jedynie na Anastazję. Camilla, osoba pragmatyczna, pogodziła się z losem, skryła głęboko uczucia jakie żywiła wobec Maxima i w rezultacie poślubiła kolejno dwóch innych mężczyzn. Jej pierwszym mężem był Roland Vickers, angielski aktor. Drugim - Peter Jarvis, reżyser sceniczny o raczej umiarkowanym talencie. Z biegiem czasu Camilla i Maxim zaprzyjaźnili się ze sobą, on udzielał jej czasami pomocy, doradzając w sprawach finansowych. Nigdy jednak, ku jej niezmiernemu rozczarowaniu, nie doszło między nimi do kontaktów bardziej intymnych - i było tak do września 1980 roku, a więc do owego momentu sprzed dziesięciu miesięcy, kiedy to natknęli się na siebie w Nowym Jorku.

Maxim zaprosił ją kilkakrotnie na obiad i raptem - ku jej zaskoczeniu i olbrzymiej radości - znajomość przerodziła się w romans. Camilla była tym zachwycona. Maxim okazał się kochankiem czułym, uwodzicielskim i czarującym, a nawet żarliwym, przysyłał jej kwiaty i książki, jak również biżuterię. W grudniu, tuż przed odlotem do Londynu, gdzie miał spędzić święta Bożego Narodzenia wraz z Anastazją i dziećmi, podarował jej diamentową broszkę od Cartiera.

Do Nowego Jorku wrócił w styczniu, ale był to już zupełnie inny człowiek: chłodny, nieprzystępny, nie wykazujący nią żadnego zainteresowania. Bez żadnego wstępu, niemal brutalnie, oświadczył, że wszystko między nimi skończone. Kiedy zapytała o powód, uciekł się do jakiejś wykrętnej odpowiedzi, a potem stał się zimny jak lód i mało komunikatywny. Właśnie wtedy dostrzegła w nim cechę, która ją przeraziła: potrafił być twardy, a nawet bezwzględny. To odkrycie nie wpłynęło na zmianę jej uczuć do niego chociaż i tak nie miała już wyboru. Musiała zrobić dobrą minę do złej gry i żyć dalej, jakby nigdy nic.

Sztuka, w której grała na Broadwayu, została zdjęta ze sceny na początku marca, a Camilla udała się do Kalifornii, na uroczystość rozdania nagród Akademii Filmowej. Dwa miesiące później, ściskając z dumą swojego Oscara, siedziała w samolocie lecącym z Los Angeles do Paryża, gdzie miała mieszkanie. Tam był od lat jej dom.

Niecierpliwie przekreśliła się na drugi bok. Nadal nie mogła zasnąć. Powróciła myślami do scenariusza pisanego przez

David. Tak, postanowiła, zrobię to. I do diabła z Maximem! Na samo wspomnienie Maxima poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Zaszlochła w poduszkę, poddając się bólowi. W głębi duszy wiedziała doskonale, dlaczego Maxim zdecydował się przerwać ich związek: nadal kochał Anastazję. Była tego pewna już wtedy, gdy zachowywał się wobec niej jak romantyczny kochanek. Zawsze będzie kochał Anastazję. I tylko ją, żadnej innej.

Gwałtownie odrzuciła prześcieradło, którym była nakryta, i udała się do łazienki, gdzie odszukała pudełko z serwetkami. Otarła sobie oczy, wydmuchała nos i spryskała twarz zimną wodą.

Kochać mężczyznę, który nie odwzajemnia tego uczucia, to strata czasu. Tak naprawdę nigdy nie pozbiierała się po tym, jak Maxim wrócił z Londynu w styczniu, okazując jej całkowitą obojętność. Do diabła z nim, mruknęła do siebie. Podjęła już decyzję: zagra w tym filmie. Jutro, kiedy David przyjedzie po nią, aby zawieźć ją do swojej willi, powie mu o tym.

Praca uśmierzy mój ból i smutek, pocieszyła się, gasząc światło w łazience, po czym wróciła do łóżka.

51

Z trudem wyjaśniła taksówkarzowi, dokąd ma jechać; ta olbrzymia, biała willa na wzgórzu, będąca domem Davida, pełna książek, obrazów i innych cennych przedmiotów zebranych przez niego na przestrzeni wielu lat podczas licznych podróży po świecie, nadal nie miała nazwy.

A jednak dojechali na miejsce. Zapłaciła taksówkarzowi i pchnęła ciężką żelazną bramę. Dzwonek zakołysał się, wydając melodyjny dźwięk, ona zaś kiwnęła głową dozorczy, który wyszedł ze swojej stróżówki i uklonił się nisko, dotykając palcem ciemnoczerwonego fezu. Uśmiechnęła się do niego i po skrzypiącym żwirze ruszyła ścieżką w stronę domu.

Willa stała na niewielkim wzniesieniu, jej śnieżnobiałe marmurowe kolumny połyskiwały w popołudniowym słońcu, podobnie jak trawa, zraszana obficie wodą dzięki licznym urządzeniom zainstalowanym przez Davida.

Drzewa i krzewy

cieszyły oko wielobarwnym kwieciem. Camilla przebywała tu od trzech tygodni, odkąd wyprowadziła się z hotelu El Minzah, nadal jednak nie czuła się oswojona z pięknem tego domu.

Kiedy doszła po schodach wiodących na górę, do drzwi frontowych, odwróciła się i spojrzała za siebie, jak zwykle nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu zachwytu.

Stromy teren przy willi porastała zielona murawa, drzewa eukaliptusowe i pomarańczowe, a za kamiennym murem, okalającym posiadłość, widoczne były dachy Tangeru. Jeszcze dalej rozciągały się blade, piaszczyste plaże wybrzeża i ak-wamaryna Morza Śródziemnego.

W willi panowała cisza.

Camilla położyła paczki na zabytkowej ławie inkrustowanej perłami, po czym otworzyła drzwi, prowadzące z marmurowego hallu do salonu. Zamknięte okiennice nie dopuszczały słońca i Camilla musiała zamrunąć kilkakrotnie oczyma, zanim przyzwyczaiła wzrok do ciemności.

Już pierwszego wieczoru, jaki spędziła w tym domu, znalazła nazwę dla salonu: miętowy - ze względu na prześliczny zestaw zieleni, kontrastujących z białą ścian i bladymi, żółtozielonymi draperiami z jedwabiu. Białą, marmurową podłogę pokrywały ciemnozielone dywany; na białych sofach i krzesłach w stylu Ludwika XV, wyściełanych białym materiałem, leżały jedwabne poduszki o najrozmaitszych odcieniach zieleni. Pod oknami stały mosiężne cebrzyki z gigantycznymi roślinami tropikalnymi o ciemnozielonych liściach. W tym chłodnym, utrzymanym w jednolitym tonie pomieszczeniu, jedynymi punktami, prezentującymi bardziej żywe kolory, były wiszące na ścianach obrazy malarstwa nowoczesnego i kolorowe okładki książek ustawionych na półkach.

Camilla uśmiechnęła się w duchu na widok niskiego, mosiężnego stolika. Stał na nim zabytkowy, srebrny imbryczek do herbaty i szklaneczki w misternie wykonanych, filigranowych koszyczkach ze srebra.

„Nazwałaś ten pokój miętowym i dlatego od tej pory będzie się w nim piło herbatę miętową”, powiedział David parę tygodni temu. I rzeczywiście, codziennie po południu Fatma albo Menoubah stawiały na stoliku imbryczek ze świeżą herbatą i szklanki. Było to coś w rodzaju nowego rytuału.

Camilla zamknęła za sobą drzwi od salonu i przeszła przez hall, kierując się w stronę biblioteki. Już z dala usłyszała stukot

maszyny do pisania; David tworzył swój scenariusz. Nadal używał tej staroświeckiej, elektrycznej maszyny, zamiast skorzystać z nowoczesnych osiągnięć techniki.

Wyglądało na to, że ma w tej chwili natchnienie, i Camilla zaczęła zastanawiać się, czy może mu teraz przeszkadzać. Znieruchomiła ze wzniesioną ręką, bojąc się zapukać, ale jej wahania przerwał głos Davida, dobiegający wyraźnie zza ciężkich drzwi ozdobionych mosiężnymi okuciami:

- Wejdz, Camillo, wiem, że to ty. Poznają odgłos tych pantofli na wysokich obcasach. Fatma i Menoubah kręcą się po domu wyłącznie boso. Chyba że - tu drzwi otworzyły się szeroko - chodzi o niespodziewaną wizytę jakiejś kobiety.

- Nie przeszkadzam ci? - zapytała, podnosząc na niego oczy. Wprowadził ją do biblioteki. - Nie, skądże, zawsze czekam

z utęsknieniem, kiedy znowu usłyszę, jak przechadzasz się po tym wielkim, starym domu.

- Davidzie, byłeś dla mnie taki dobry, taki wspinały, a ten dom jest wprost bajeczny... Chciałabym zostać tu na zawsze.

- Nie musisz się stąd wyprowadzać, Camillo. Możesz zostać u mnie tak długo, jak tylko zechcesz.

- Jesteś naprawdę kochany, ale ja muszę poszukać sobie własnego domu.

- Tak, wiem... Znalazłaś już coś ciekawego? Potrząsnęła głową. - Janine nadal przetrząsa cały Tanger.

Ale, jak dotąd, to, co widziałam, nie przypadło mi za bardzo do gustu. Może dlatego, że jestem już rozbałamucona twoją willą; jest naprawdę jak raj.

- Najważniejsze to nie śpieszyć się, w końcu znajdziesz wille,

o jaką ci chodzi. I to w najmniej spodziewanym momencie. A teraz... co byś powiedziała na drinka? Już prawie szósta

I chciałem nalać sobie szampana. Różowego Pommery and Greno. - Podeszedł do barku pod przeciwległą ścianą biblioteki. - Masz ochotę na kieliszek? - zapytał, wyjmując z lodówki butelkę.

- Czemu nie? To dobry pomysł. Dziękuję.

Po chwili wrócił do niej z dwoma kieliszkami w rękę i z paczką czarnych, cieniutkich papierosów, które palił od czasu do czasu.

- Jakaż to tajna misja sprawiła, że wybrałaś się na lunch do miasta? - zapytał i mrugnął figlarnie. - Wiem, że nie rozglądałaś się dziś za domem dla siebie. Janine powiedziała mi, że jedzie do Fezu z jakimś bogatym klientem, Amerykaninem.

Roześmiała się. - Poszłam kupić sobie paputki, żeby móc poruszać się po domu tak bezszelestnie jak Fatma i Menoubah. I trochę książek.

- Mam nadzieję, że kupiłaś przynajmniej jedną Davida Mainesa. Potrzebne mi pieniądze - zażartował.

- Nie. Ale kupiłam książkę dla Davida Mainesa, najbardziej wielkodusznego i najukochańszego z moich przyjaciół.

- Wstała i wyszła z biblioteki, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Miała nadzieję, że sprawi mu swoim prezentem przyjemność. Przez kilka godzin obchodziła sklepy i stragany; chciała wyszukać dla niego coś naprawdę specjalnego, wyrazić w ten sposób wdzięczność za jego wyjątkową uprzejmość.

Kiedy wróciła i podała mu paczuszkę, zaczął otwierać ją gorączkowo, niczym małe dziecko podniecone swoim pierwszym ważnym prezentem.

- Camillo, to naprawdę zbyteczne, ale skłamałbym mówiąc, że nie jestem tym uradowany. Jediną dziewczyną, od której otrzymuję prezenty, jest moja dwudziestoletnia córka Polly.

- Rozerwał już ostatnią kolorową bibułę i aż krzyknął z zachwytem. - Stare, marokańskie wydanie Koranu! Gdzie to zdobyłaś!? Czegoś takiego szukam już od lat! Kochanie, to prawdziwe cacko! - Podekscytowany, przeglądał książkę, kartkując ją ostrożnie, muskając palcami złoconą oprawę ze skóry.

- To stare wydanie, prawda? - zapytała z obawą w głosie.

- Chciałam, aby to był autentyk.

- Oczywiście, że stare. Moim zdaniem to arcydzieło, biały kruk. Wydane w Fezie, starym mieście uniwersyteckim.

Dziękuję ci, Camillo, bardzo dziękuję. - Odłożył Koran na pobliski stolik, objął ją i pocałował w policzek.

- To ja ci dziękuję, Davidzie.

Uśmiechnął się i usiadł z powrotem na sofie, zapalając jednego ze swoich cieniutkich papierosów. - Chodź, kochanie, wypij szampana, zanim się nagrzeje.

Usiadła naprzeciw niego, z masywnego, mahoniowego stolika inkrustowanego mosiądzem wzięła swój kieliszek i wypila łączywie łyk. - Mmmm, jakie to dobre, zwłaszcza w takie upalne popołudnie. A ty pracujesz ciężko przez cały czas, prawda? Słyszałam stukanie maszyny, kiedy przyszłam do domu. Jak scenariusz?

- Dobrze mi idzie, Camillo, jestem zadowolony. Za kilka dni powinienem skończyć wstępną wersję i chciałbym, abyś ją

wtedy przeczytała. Rozmawiałem już z Dickiem Tomlin-sonem. Jest zachwycony pomysłem, abyś zagrała w tym filmie.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy przeczytam scenariusz. Rozmawiali jeszcze przez chwilę o scenariuszu i filmie, popijając szampana, wreszcie David powiedział: - Zapomniałem cię uprzedzić. Dziś na obiedzie będziemy mieli gości.

- To ktoś, kogo znam? - zapytała, unosząc brwi.

- Nie, nie miałaś jeszcze okazji ich poznać. To Marronowie z Casablanki. Jego żona, Leya, jest Marokanką, razem z synem, Michele, spędzają kilka dni w Tangerze. Zadzwonili z samego rana i zaprosiłem ich na obiad. Spodobała ci się, są naprawdę mili. I, co mnie wcale nie dziwi, są bardzo podekscytowani spotkaniem z tobą. To twoi wielbiciele.

Camilla uśmiechnęła się i zerknęła na zegarek. - W takim razie będą tu chyba już niedługo, a ja siedzę tak, jak przyszedłam z ulicy, spocona, w byle jakiej sukni.

- Oni nie przyjdą wcześniej niż za półtorej godziny, tak więc masz mnóstwo czasu, żeby się przygotować i przebrać. A ja pójdę lepiej do kuchni i pogonię trochę starą Fatmę. Ostatnio robi się zbyt opieszala.

Wstali i przeszli do hallu, Camilla wzięła torbę z zakupami, które zostawiła tu przedtem, i skierowała się w stronę szerokich, kręconych schodów. Mijając kuchnię, usłyszała Fatmę, kucharkę i gospodynię zarazem, która chichotała wesoło, rozbawiona poleceniami, wydawanymi po arabsku i hiszpańsku przez Davida.

* **

David oddał do jej dyspozycji sypialnię, którą uznała za najładniejszą w całej willi. Przestronna i widna, z trzema oszklonymi drzwiami, wychodzącymi na taras, oferowała widok na ogrody i wodę.

W pierwszej chwili zaprotestowała, przeświadczona, że wypędza go z jego własnego pokoju, on jednak przysięgał, że wcale z niego nie korzystał, a ona po namyśle uwierzyła mu. Pokój miał zresztą zbyt kobiecy charakter, aby pasował dla mężczyzny. Dopiero potem David pokazał jej własny apartament, ciąg połączonych ze sobą pomieszczeń, umeblowanych raczej skromnie i w sposób bardzo męski. Pokoje te, podobnie jak biblioteka na dole, były urządzone z myślą o jego pracy i przystosowane do kawalerskiego trybu życia.

Willę i większość stojących na piętrze mebli David odkupił od pewnego francuskiego bankiera, mającego już dosyć życia w Tangerze. - Dostałem to wszystko za psie pieniądze

- opowiedział Camilli pierwszego dnia jej pobytu u siebie.

- Biedny dureń! Ten dom kojarzył mu się ze zbyt wieloma tragicznymi wspomnieniami. Miałem niemal wyrzuty sumienia, że kupiłem to tak tanio. - Ten bankier zbudował willę dla swojej kochanki, młodej Algierki, która potem zatoneła w pobliskiej zatoce. Zajmowany przez Camillę pokój należał kiedyś właśnie do niej i Camilla łąpała się na tym, że często rozmyślała o tamtej dziewczynie, usiłując wyobrazić sobie jej twarz.

Sypialnia miała w sobie coś czystego, prawie dziewiczego. Obszerna i wysoka, o białych ścianach i białej marmurowej podłodze, mieściła szerokie łóżko z baldachimem, ozdobną szafę i toaletkę. Wszystkie meble, utrzymane w hiszpańskim stylu, były wykonane z czarnego drewna i inkrustowane mosiądzem, natomiast dywany i draperie były białe. David ożywił ten panieński buduar kilkoma barwnymi obrazami, a Menoubah przynosiła codziennie świeże kwiaty, wkładając je do dużych glinianych wazonów.

Camilla wzięła kąpiel w przestronnej, wyłożonej mozaiką łazience, która przylegała do jej sypialni, zastanawiając się przy tym, co założyć na wieczór. Był lipiec, w Tangerze panował upał, zdecydowała się więc na krótką, bladoszarą suknię z szyfonu bez ramiączek, fałdzistą na górze i szeroką, rozkloszowaną ku dołowi.

Po wyjściu z kąpieli owinęła się ręcznikiem i usiadła przed toaletką, wyszczotkowała włosy i upięła je w kok, spinając dwoma srebrnymi grzebykami, które kupiła na jednym ze straganów.

Tutejsze słońce zdążyło już przyciemnić lekko jej skórę, dzięki czemu nie potrzebowała mocnego makijażu; jedynie odrobinę brązowego tuszu do oczu, srebrny cień do powiek i czerwoną szminkę do ust. Następnie spryskała się ulubionym Joy, założyła bladoszarą, koronkową bieliznę, bladoszare pończochy przetykane srebrem, sukienkę i szare, jedwabne pantofelki na wysokich obcasach, na szyję zaś zarzuciła długi szal w mysim kolorze, tak aby jego końce zakrywały plecy.

Spojrzała w lustro, zadowolona ze swojego odbicia. W szarym wyglądała łagodnie i delikatnie, zwłaszcza przy tej lekkiej opaleniznie. Biel lub błękit nie dałyby takiego efektu. Doszła

do przekonania, że nie potrzebuje teraz zbyt dużo biżuterii. - Nie złośmy lilii - mruknęła, otwierając meduzę, podróżną szkatułkę. Po namyśle wyjęła z niej jedynie duże perłowe kolczyki oraz wizytowy zegarek wysadzany diamentami. Uznała, że to wystarczy.

Spojrzała na zegarek: za dwadzieścia osma. To oznaczało, że spóźniła się zaledwie kilka minut. Dzięki Bogu. Nie lubiła zjawiać się na przyjęcia ostatnia, nie cierpią a triumfalnych wejść, jakich inni, zwłaszcza nieznajomi, mogliby spodziewać się po niej, słynnej aktorce.

Zeszła na dół i skierowała się do salonu, łączącego się z długim tarasem, na którym David zwykł podawać koktajle. Kiedy przeszła przez próg, ujrzała go, jak rozmawia z kimś przez oszklone drzwi tarasowe, otwarte na oścież.

Weszła głębiej, zawołała: - Ach, tu jesteś, Davidzie, mam nadzieję, że nie... - Nagle urwała, wlepiając wzrok w mego i w jego rozmówcę.

Był to Maximilian West.

Stał, uśmiechając się do niej. Jego pociągłą, przystojną twarz pokrywała intensywna opalenizna, miał na sobie nieskazitelnie skrojony jedwabny garnitur w kolorze- kremowym, harmonizującą z nim koszulę i granatowy krawat.

Wyglądał raczej na gwiazdora filmowego niż potentata finansowego, zaabsorbowanego interesami.

Camilla, która rzadko dawała zbić się z tropu, teraz nie mogła wykrztusić nawet słowa. Stała jakby przykuta do miejsca, zaskoczona jego widokiem do tego stopnia że nawet nie odwzajemniła uśmiechu. Czowała, że drży na całym ciele, a nogi uginają się jej w kolanach.

- Życzę wam obojgu miłego wieczoru - odezwał się David.

- Zobaczymy się później.

Camilla odzyskała wreszcie głos. - Alez Davidzie, dokąd idziesz!?! - zawołała, zła na samą siebie za nieudolne skrywanie emocji.

- Na randkę - odparł David, mrugając zabawnie oczami.

- Bawcie się dobrze. - Pomachał niedbale ręką i zniknął za drzwiami.

-Wygląda na to, że zostaliśmy sami, Camillo - powiedział Maxim Odepchnął się od poręczy tarasu i wolnym krokiem ruszył ku niej.

- Wpadłam w zasadzkę! - zawołała gorączkowo Camilla. - Ty i David zastawiliście na mnie pułapkę! To nie fair! Czuję się dotknięta!

- Nie masz powodu, jesteś na to zbyt piękna - odparł Maxim z uśmiechem, siadając przy małym stoliku na tarasie.

- To nie jest tak, jak ci się wydaje, naprawdę, Camillo.

- A jak jest? - zapytała krótko.

Nie odpowiedział. Wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją machinalnie i drgnęła natychmiast, uświadamiając sobie, że nadal znajduje się pod jego urokiem, a jego dotyk, tak jak dawniej, burzy w niej krew. Usiłując zapanować nad swoimi uczuciami, pozwoliła się zaprowadzić do okalającej taras poręczy.

- Co widzisz przed sobą? - zapytał Maxim.

- Nic niezwykłego - odparła zdumiona, wodząc wzrokiem po ogrodzie. - Trawnik, drzewa, kwiaty...

- A za ogrodem? Spójrz dalej.

Posłusznie spojrzała we wskazanym kierunku i zawołała zaskoczona: - Och! To twoja łódź, prawda?

- Statek - sprostował. - Ściślej mówiąc, jacht. Tak, to Marzenie. Płynąłem z kilkoma przyjaciółmi, a Serdelek wpadł na wspaniały pomysł, żeby przybić tu do brzegu i spotkać się z naszym starym kumplem, Davidem. Sprawić mu niespodziankę, że tak powiem. No i w ten sposób wczoraj wieczorem znaleźliśmy się w Tangerze i zarzuciliśmy kotwicę.

Ponownie wskazał ręką na jacht i mówił dalej: - Alan zatelefonował od razu do Davida, aby zapowiedzieć nasze przybycie. I, w typowy dla siebie sposób, wprosił się w imieniu nas wszystkich na lunch. Na co David oświadczył niedwuznacznie, że to niemożliwe. Ponieważ ty gościsz u niego w domu, a on nie chciałby stawiać cię w niezręcznej sytuacji.

Umilkł i wpił w nią wzrok, po czym dodał: - Dokładniej mówiąc, nie chciałby sprawić ci przykrości moją obecnością.

- Uśmiechnął się niewesoło. - David zadzwonił potem specjalnie do Alana, prosząc, abym nie czuł się urażony.

- A poczułeś się tak?

- Niezupełnie. Ale zrobiło mi się nieprzyjemnie i przemyślałem sobie to wszystko. I uświadomiłem sobie, że jestem ci winien przeprosiny.

- Czy dlatego jesteś tu teraz?

- Można by tak powiedzieć.

- Co to znaczy? - zapytała natychmiast, czując nadchodzące niebezpieczeństwo, gotowa stawić opór. Maxim był najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego знаła. Co więcej, kochała go od wielu lat. Bez trudu mógł doprowadzić do jej zguby. Musiała mieć się na baczności.

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili powiedział łagodnie, powoli, głosem pełnym skruchy: - Camillo, jest mi przykro, bardzo przykro. Zachowałem się wobec ciebie wyjątkowo brzydko. Z całą pewnością nie zasłużyłaś sobie na tak nonszalanckie traktowanie. Postąpiłem niewłaściwie.

Ponieważ zachowała milczenie, zapytał: - Czy przyjmujesz moje przeprosiny? -Tak.

Uśmiechnął się niewyraźnie. - W takim razie przypieczętujemy to pocałunkiem i pogódźmy się.

- O, nie! - zawołała. - Tylko bez pocałunku. - Cofnęła się o krok i wyciągnęła rękę. - Uściskajmy sobie dłonie i pogódźmy się.

Ubawiony jej reakcją roześmiał się, gestem niemal oficjalnym podał jej rękę, a potem nieoczekiwanie pochylił głowę i musnął wargami wierzch jej dłoni.

Dotyk jego ust wytrącił ją z równowagi. Gwałtownie wyrwała mu rękę, podeszła czym prędzej do stolika i sięgnęła po stojący na nim kieliszek szampana. Usiłując ukryć panikę, która ogarniała ją coraz bardziej, powiedziała głosem nienaturalnie piskliwym: - Jeśli David był tak nieugięty i chciał oszczędzić mi niezręcznej sytuacji, to w jaki sposób Alan zdołał go namówić, aby przyjął cię dziś wieczorem?

- Alan nie ma z tym nic wspólnego - odparł, podchodząc do niej bliżej. - Dziś rano zatelefonowałem do Davida z jachtu. Powiedziałem mu, że chciałbym się z tobą zobaczyć. Wyjaśniłem, że jestem ci winien przeprosiny i że pragnę, abyśmy znowu byli przyjaciółmi. Wtedy zaproponował, żebyś wpadł 0 siódmej trzydzieści. Na drinka.

- I tak łatwo ci ustąpił? - zapytała z niedowierzaniem, w duchu wymyślając Davidowi od mięczaków.

- Wcale nie tak łatwo. Był wobec mnie bardzo twardy. Prawdę mówiąc, musiałem długo tłumaczyć mu wszystko i przekonywać. Ale w końcu dał za wygraną.

O tak, pomyślała, potrafisz być niezwykle przekonujący, kiedy ci na tym zależy. Wiem coś o tym. Aż nazbyt dobrze. - Mimo wszystko - powiedziała na głos - czuję się tak, jakbym wpadła w zastawioną przez was obu pułapkę. - Proszę cię, Camillo, pozbadź się tego wrażenia. I nie gniewaj się na Davida. To wspaniały człowiek. Bardzo cię lubi i był przekonany, że działa na twoją korzyść. Chce dla ciebie dobrze, tak samo zresztą jak ja.

Camilla rzuciła mu chłodne, badawcze spojrzenie. - Parę minut temu, kiedy zapytałam cię, czy przyszedłeś, aby mnie przeprosić, powiedziałeś, że można to tak określić. Chciałabym teraz dowiedzieć się, co miałeś na myśli.

- Posłuchaj, Camillo, nie przybywam tu tylko po to, aby cię przeprosić. Chciałem zobaczyć się z tobą, porozmawiać, zaprosić cię na obiad.

- Niestety, to niemożliwe! - zawołała, czując ponownie, jak zalewa ją fala strachu. - Pomijając już inne, rzucające się w oczy powody, wiem, że obiad jest już dla mnie przygotowany. Jem tutaj. Sama.

Uśmiechnął się jedynie.

Zirytowana, dodała zimnym tonem: - Poza tym... czy nie zorientowałeś się jeszcze, że nie mam ochoty iść z tobą na obiad?

Zignorował jej pytanie. - David polecił kucharce, aby przyrządziła kuskus. To jedna z moich ulubionych potraw.

Dawniej jadałem ją w El Djazier przy Rue de la Huchette w Paryżu. - Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. - Tak więc zjemy tu razem. Oboje.

Cofnęła się o krok, jak gdyby chciała zachować bezpieczną odległość między sobą a nim. A potem, przesywając go wzrokiem, syknęła: - Jednak miałam rację! Obaj zastawiliście na mnie pułapkę!

* * *

Camilla nie wątpiła, że padła ofiarą spisku. Tak jakby willa i ogród nie były same w sobie wystarczająco piękne, aby złamać jej opór, to jeszcze David usunął się im z drogi!

Obiad dla nich dwojga zorganizował w ogrodzie, przy świecach, a usługiwać mieli im Aly, służący, i Menoubah, gospodyni. Kiedy tylko zaczęło się ściemniać, Aly włączył ukryte reflektory, rzucające snopy światła na fontanny, drze-

wa pomarańczowe i wielobarwne rabatki. Ogród zamienił się momentalnie w krajobraz z bajki. Podczas całego posiłku rozbrzmiewała dyskretnie nastrojowa, romantyczna muzyka, wybrana wcześniej przez Davida.

Okrągły stół ustawiono w pobliżu kępy drzew eukaliptusowych przy skraju murawy, opadającej łagodnie w dół, ku morzu, które połyskiwało srebrzyście w poświacie księżyca. Był to jeden z tych czarownych wieczorów, które zapierają dech w piersiach; wieczór o ciemnym, bezchmurnym niebie roziskrzonym gwiazdami, o ciepłym powietrzu przesyconym zapachem jaśminu.

Co jakiś czas Aly dolewał do jej kryształowego kieliszka białego, chłodzonego wina i Camilla poczuła, że zaczyna się odprężyć. Nie była głodna, więc tylko co jakiś czas nabierała widelcem odrobinę kuskusa, zagryzając zieloną sałatą.

Wbrew własnej woli i zdrowemu rozsądkowi poddawała się od nowa urokowi Maxima, oczarowana jego wdziękiem, hipnotyzującym głosem, wyglądem i niezrównanym ciepłem. Kochała go przez połowę swego życia, odkąd ukończyła dwadzieścia pięć lat, wiedziała więc doskonale, jak bardzo jest wobec niego uległa. Reagowała na wszystko tak, jak on się tego spodziewał: śmiała się z jego zabawnych historyjek, chłoneła każde jego słowo i każdą chwilę spędzoną w jego towarzystwie.

Był z nią do tego stopnia otwarty i szczery, że w pewnej chwili, gdy siedzieli jeszcze przy stole, miała już na końcu języka pytanie o przyczynę jego nagłego zniknięcia z jej życia w styczniu. Nie zadała jednak tego pytania. Po prostu obawiała się odpowiedzi, wołała jej nie słyszeć. Nie była pewna, jak by się zachowała, gdyby jej powiedział, że postąpił wtedy tak a nie inaczej, gdyż nadal kocha Anastazję. Sama myśl o tym wzburzyła w niej krew, przypomniała sobie własne postanowienie, że nie ulegnie już więcej jego czarowi. Musiała jednak przyznać w duchu, że tego wieczoru Maxim znajduje się w szczytowej formie. Był olśniewający. Dlatego też, kiedy w pewnej chwili roześmiał się z jakiegoś żartu i musnął ustami jej policzek, a potem ujął jej dłoń i pocałował koniuszki palców, nie odsunęła się ani nie zaprotestowała.

Jednak nieco później, kiedy Aly ustawił przed nimi filiżanki z mocną, słodką kawą, Camilla spojrzała bacznie na twarz Maxima, oświetloną przez płomień świec.

Wpatrywała się w niego, dopóki nie odwzajemnił spojrzenia, a wtedy zapytała: - Czego właściwie chcesz?

- Chcę ciebie, Camillo.

- Na jak długo?

- Na dzisiejszą noc. Na najbliższe dwa tygodnie tak długo, ile tu będę.

- A potem?

- Tego nie wiem.

- Cóż, przynajmniej stawiasz sprawę uczciwie.

- Bo chcę być wobec ciebie uczciwy, Camillo. Należy ci się choć tyle. Więc jak będzie z nami? Odpowiedz mi.

- Ja też pragnę cię, Maximie, nie będę temu zaprzeczać Ale... boję się.

- Niepotrzebnie. Przyrzekam, że nie zranię cię ponownie.

- Zranisz, jeśli będziesz się ze mną kochać, rozbudzisz moje uczucia, a potem odejdziesz i porzucisz mnie.

Milczał. Na jego smagłej, pięknej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

Również Camilla zachowała milczenie.

Wpatrywali się w siebie, czując i widząc w swoich oczach jak narasta w nich pragnienie.

- Nie będę twoją kochanką - szepnęła.

- Wiem - odparł równie łagodnym głosem. Wstał odsuwając krzesło do tyłu. - Przejdźmy się po ogrodzie - zaproponował i pomógł jej wstać.

Wziął ją za rękę, a ona ruszyła posłusznie tam, gdzie ją prowadził. Miała wrażenie, jakby była pozbawiona woli dopóki u jej boku jest Maximilian West. Nagle zatrzymał się i kładąc dłoń na jej nagim ramieniu, obrócił ją twarzą ku sobie, a potem musnął palcami jej policzek.

- Jesteś tak piękna, Camillo! Pragnę cię bardzo, bardzo mocno, ale nie chciałbym ci się narzucać. Decyzja należy do ciebie.

- Ja też cię pragnę, Maximie - szepnęła.

Nachylił się i pocałował ją lekko w usta, po czym wyprostował się natychmiast. - Wejdzmy do środka. Zdobyła się jedynie na to, by kiwnąć głową.

* * *

Maxim zamknął drzwi sypialni, obrócił się i oparł o nie plecami.

Camilla weszła do pokoju pierwsza, a teraz stała pośrodku, nieruchoma jak posąg, w blasku poświaty. Nie mógł oderwać od niej oczu. Była przepiękną kobietą, typową różą Anglii, pogodną i dystyngowaną. Ale pod tą fasadą łagodności i opanowania kryła się natura prawdziwej kobiety, impulsywnej, zmysłowej, pełnej seksu. I właśnie ta sprzeczność w niej ekscytowała go najbardziej, sprawiała, że krew płynęła mu szybciej w żyłach. Już za pierwszym razem, kiedy się kochali, odkrył u niej duży temperament, który wciąż na nowo rozniecał w nim żądę i umożliwił mu osiągnięcie orgazmu kilkakrotnie w ciągu jednej nocy.

W ciągu tych trzech miesięcy, jakie spędzili w ubiegłym roku razem, Camilla zaspokajała go za każdym razem, kiedy się kochali. Czegoś takiego nie zaznał dotąd z żadną inną kobietą prócz Anastazji, którą już przecież utracił... Nie, nie chciał teraz myśleć o swojej żonie. O eks-żonie, ściślej mówiąc. Takie rozpamiętywanie mogło okazać się zgubne. Gdyby stale obnosił się z wizerunkiem Anastazji w sercu, mógłby stać się impotentem. Nie po to przecież przebył tak daleką podróż w pogoni za Camillą, marząc o pójściu z nią do łóżka i odnowieniu ich związku, aby teraz nie stanąć na wysokości zadania tylko dlatego, że odżywa w nim przeszłość. Frustracja była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Żył z tym przez ostatnie pół roku. Również ona, o ile ją dobrze oceniał. Camilla nie należała do kobiet, puszczających się na lewo i prawo, był przekonany, że w jej życiu nie zjawił się po nim żaden inny mężczyzna.

- Och, Maximie... - szepnęła, wpatrując się w niego jak urzeczona, i postąpiła krok do przodu.

Rzucił marynarkę na krzesło, zdjął krawat i ruszył ku niej, rozpinając gwałtownie koszulę. Powoli odwinął długi, szyfonowy szalik, który miała na szyi, opuścił go na podłogę i wyjął srebrne grzebienie z jej włosów, które opadły miękką kaskadą na jej twarz, dotknął stanika jej sukni i powiedział łagodnie:

- Zdejmij to.

Odsunęła suwak, poczekała aż suknia opadnie na podłogę, wyszła z niej prosto w jego ramiona i przywarła nagimi piersiami do jego ciała.

Maxim pocałował ją lekko w usta, jak parę minut temu w ogrodzie, nachylił się i prowadząc ją do łóżka począł wędrować wargami 4)0 piersiach, drobnych, krągłych, nabrzmiałych i wysoko osadzonych; piersiach młodej dziewczyny.

A kiedy ułożył ją na łóżku, zdjął z jej nóg pantofelki i ściągnął z bioder szare, koronkowe majteczki, następnie odpiął podwiązki, jedną po drugiej i powoli, delikatnie zsunął pończochy. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie mogłem przestać myśleć o tobie - powiedział ochryple. - Pragnąłem cię stale, od miesiący. I nie chcę się teraz śpieszyć.

- Tak - szepnęła. Serce tłukło się w niej jak oszalałe, drżała niczym w gorączce, czuła, jak narasta w niej żądza. Tak nie było z żadnym innym mężczyzną. Tylko z Maximem Western. Wystarczyło, by na nią spojrział. A sposób, w jaki uwalniał ją z bielizny, tak delikatnie i powoli, rozpalał ją jeszcze bardziej. Zamknęła oczy, stłumiła jęk rodzący się w jej krtani; nie chciała zakłócać tego narastającego w nich obojgu napięcia najdrobniejszym dźwiękiem. Chcę cię teraz, pomyślała. Natychmiast. Weź mnie. Już. Kocham cię. Kocham cię. Maximie, Maximie. Zawsze kochałam tylko ciebie. Przez całe moje życie. Kochałam tylko ciebie. Weź mnie, weź mnie. Te słowa rozbrzmiewały w jej głowie bez przerwy, wciąż od nowa, niczym natrętna fuga Bacha.

Nagle przestał pieścić jej ciało, odsunął się od niej. Usłyszała jego kroki i otworzyła oczy: Maxim zdjął już spodnie, stał przy krześle, rozbierając się gorączkowo. Wpatrywała się bacznie, chciwie łowiła wzrokiem każdy zarys jego ciała: szerokie ramiona, szczupłe biodra, długie nogi. Dopiero gdy był nagi, powrócił do łóżka, do niej, a kiedy ujrzała, jak bardzo jest podniecony, jej serce zamarło na chwilę.

Położył się obok niej, wziął ją w ramiona i pocałował, biorąc w posiadanie jej usta swoimi ciepłymi wargami.

Poczuła na języku dotyk jego języka, miękkiego i słodkiego, przypadli do siebie tak szczelnie, że wydawało się, jakby piła chciwie jego oddech.

Przedtem przyrzekła sobie w duchu, że już nigdy nie pozwoli, aby Maxim znalazł się blisko niej. Teraz zastanawiała się, dlaczego w ogóle złożyła taką przysięgę. Przecież tak naprawdę nic innego nie miało znaczenia, tylko ich miłość. Tylko te chwile, kiedy leżeli obok siebie, jego usta przy jej ustach, jego dłonie na jej ciele. Te cudowne dłonie, tak delikatne i łagodne, które błądziły po niej całej, dotykały jej piersi i przesuwały się niżej, poszukując z zapałem najbardziej sekretnych miejsc.

Otworzyła znowu oczy, obserwowała, jak jego usta całują jej brzuch i uda, jak muskają ją leciutko i wędrują dalej,

poczuła jego dłonie, które dołączyły do warg, wspólnie z nimi zawładnęły źródłem jej kobiecości i błyskawicznie, jak tylko one to potrafiły, obdarzyły rozkoszą. Jednak gdy ciałem jej wstrząsnęły pierwsze dreszcze, przywołała na pomoc resztki sił, aby się powstrzymać.

- Nie walcz ze mną - szepnął, unosząc na moment głowę i wpijając w nią przenikliwy wzrok. Tak więc nie pozostało jej nic innego, jak pozwolić mu na wszystko, co chciał z nią zrobić, zdała się na niego, zupełnie bezwolna, i poczuła niebawem, że cała poddaje się jego ciału. A kiedy nie mogła się już dłużej powstrzymać, krzyknęła, owładnięta namiętnością, podnieceniem i upojeniem: - Maximie! Och, Maximie!

Wziął ją szybko, gorączkowo, wszedł gwałtownie, a gdy wykonał pierwszy ruch, jej ciało wygięło się w łuk, idąc mu na spotkanie, a dłonie spoczęły na jego plecach. Wsunął pod nią obie dłonie, aby unieść ją jeszcze bardziej... jeszcze wyżej i wyżej, ona zaś zaplotła nogi na jego pośladkach, zespalając się z nim. I tak poruszali się razem w idealnej harmonii.

Wszystkie zmysły Maxima domagały się jej po tych długich miesiącach tęsknoty, pragnął doprowadzić ją na sam szczyt fizycznej ekstazy, na który zdążał teraz i on. Uderzał ciałem o ciało, poruszał się coraz szybciej, coraz gwałtowniej, ona zaś zaakceptowała ten rytm, falując wraz z nim; niepomny w tej chwili na nic, oddał się jej w całości.

Potem, gdy leżeli na łóżku obok siebie, Maxim wsparł się na łokciu, spojrzał na nią i zapytał, odgarniając jej z twarzy złocisty kosmyk włosów: - Bardzo byś się gniewała, gdybyśmy wszyscy, Alan, ja i nasi przyjaciele, odwiedzili cię dziś w porze lunchu?

- Tak. Ale nie dałabym tego poznać po sobie. Żaden z was nie zorientowałby się, co czuję. Wiesz przecież, że jestem dobrą aktorką.

- Nie tylko dobrą. Wielką. - Pocałował ją w czubek nosa. - Ale przez ostatnią godzinę nie grałaś. To było prawdziwe.

- Tak.

- Ja też nie grałem.

- Wiem.

Zawahał się, a potem powiedział: - Nie musisz w to wierzyć, ale od tamtej pory nie spałem z żadną inną kobietą. To znaczy od stycznia, kiedy się rostaliśmy.

Nie sprawiała wrażenia bardzo zaskoczonej. - Wierzę ci

- odparła. - Po co miałbyś mnie teraz okłamywać? Ale dlaczego nie miałeś żadnej kobiety przez tyle czasu?

- Byłem zbyt zajęty czym innym.

- Drań!

W jego oczach pojawił się figlarny błysk. - To tylko część prawdy. Byłem rzeczywiście zaabsorbowany pracą, ale z drugiej strony nie chciałem iść do łóżka z inną kobietą niż ty.

- Wtulił twarz w jej włosy i wymruczał do ucha: - Jesteś cudowna, Camillo.

Uśmiechnęła się, wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki, a po chwili wróciła z dużym ręcznikiem kąpielowym.

Włączyła wentylator zainstalowany pod sufitem, wśliznęła się z powrotem do łóżka i wytarła ręcznikiem najpierw Maxima, potem siebie.

- Ciepło tu - powiedziała. - Oboje jesteśmy spoceni. Nie przeszkadza ci, że włączyłam wiatraczek? Trochę nas ochłodzi.

- Nic nie zdoła mnie ochłodzić, dopóki leżysz przy mnie

- odparł z szelmowską miną.

Uśmiechnęła się domyślnie, ukłękła tuż obok niego i poczęła błądzić dłońmi po jego ciele, tak jak on robił to kilkanaście minut temu. Powoli, ochoczo pieściła go ustami i dłońmi, aż wreszcie jego oddech stał się płytki i chrapliwy. A kiedy rozkosz stała się nie do zniesienia, jednym ruchem nakrył ją swoim ciałem i posiadał ponownie.

- Nie jestem za ciężki? - zapytał.

- Nie, lubię czuć cię na sobie.

Mimo to zsunął się z niej, całując uprzednio w policzek, i opadł z powrotem na poduszkę. - Czy znajdzie się tu jakaś butelka wody, Cam?

- Jasne, zaraz przyniosę. Mnie też zachciało się pić. Podeszła do komody, napełniła dwie wysokie szklaneczki i przyniosła je do łóżka.

- Muszę ci coś wyznać - stwierdził po chwili.

- Co takiego?

- To nie był pomysł Serdelka, aby przyjechać z wizytą do Davida, lecz mój. Pod koniec czerwca przebywałem w Paryżu. Zanim wyjechałem do Monte Carlo, aby wsiąść na jacht, wydzwaniałem do ciebie bez przerwy przez kilka dni. Wreszcie udało mi się skontaktować z twoją służącą. Powiedziała, że jesteś teraz w Tangerze, w hotelu El Minzah. Zatele

fonowałem tam i dowiedziałem się, że opłaciłaś już rachunek i mieszkasz gdzie indziej. Zacząłem nalegać, aby dali mi twój aktualny adres, i w końcu zdradzili mi, że jesteś u Davida Mainesa.

- Dlaczego mnie szukałeś?

- Przecież wiesz. Milczała.

- Nie zaprzeczysz chyba, że łączy nas silne pożądanie

- dodał.

- A więc to dlatego przyjechałeś?

- Tak.

- Byłeś bardzo pewny tego, jak się zachowam, prawda?

- zapytała.

- Niezupełnie. Ale mam już czterdzieści siedem lat, ty też. Nie jesteśmy dziećmi. Pomiedzy nami istnieje bardzo silna więź seksualna. Wystarczy zostawić nas samych na kilka minut, a na pewno znajdziemy się po chwili w łóżku. Nadal wpatrywała się w niego, milczała.

- Musisz przyznać, że mam rację, Camillo. Wiesz doskonale, jak bardzo pragniemy siebie wzajemnie i jak bardzo zaspokajamy się w łóżku.

- Tak - powiedziała w końcu. Tak, powtórzyła w myślach. Tylko że oprócz tego ja cię kocham. I na tym polega różnica między nami. Postanowiła nie zwierzać mu się ze swoich uczuć. Najwidoczniej on jej nie kochał. Lubił ją, ale nic poza tym.

- Próbowałem cię odnaleźć z jeszcze innego powodu. Chciałbym, abyś odbyła z nami ten rejs. - Delikatnie przesunął palcem po jej policzku i uśmiechnął się. - Przyłączysz się do nas na kilka najbliższych tygodni?

- Po co?

- Jesteś mi potrzebna, Cam.

- Ale na jak długo będę ci potrzebna?

- Rejs potrwa mniej więcej dwa tygodnie.

- Nie miałam na myśli rejsu. Maximie, dobrze o tym wiesz. Już przedtem, w ogrodzie, powiedziałam ci, że nie odpowiada mi status kochanki.

- Domyślałam się, że chodzi ci o małżeństwo. Ale tego nie mogę ci jeszcze obiecać. Nie śpieszmy się tak, zobaczymy, jak się wszystko ułoży, jak wpłyną na nas te dwa tygodnie na jachcie. Popłyniesz z nami?

- Zastanowię się jeszcze.

Pokręcił głową. - Jesteś niemożliwa - mruknął. Nachylił się i nakrył ustami jej wargi. A potem delikatnie, bez pośpiechu, pocałował kochać się z nią od nowa.

53

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że płyniesz z nami - powiedział Alan. Wraz z Camillą siedzieli przy porannej kawie pod pokładem, jak to już stało się ich zwyczajem, woleli bowiem uniknąć pierwszych palących promieni słońca.

- Ja też się cieszę - odparła z uśmiechem. - Te dwa ostatnie tygodnie były wspaniałe.

- Nie tylko dla ciebie. Zauważyłem, jak bardzo zrelaksował się Maxim, odkąd jesteś przy nim. Po rozwodzie był naprawdę samotny, Camillo, a ty okazałaś mu czułość, rozumiałaś jego potrzeby. Dzięki tobie odzyskał radość życia.

- Ja go kocham - wyrzuciła z siebie i natychmiast ugryzła się w język. Pokręciła głową. - Boże drogi, za dużo mówię, prawda? Żałuję, że ci to powiedziałam.

- Och, przecież i tak o tym wiedziałem. Wiem o tym od lat. Kochasz Księcia od 1959 roku, prawda?

Spojrzała na niego zaskoczona. - Czy to było aż tak widoczne? - zapytała bez tchu.

- Nie, wcale nie. Ale wtedy nie interesowałaś się w ogóle mną, w każdym razie nie tak jak kobieta mężczyzną, kiedy... no, nazwijmy to: kiedy wychodziliśmy razem. Za to zadawałaś mi wiele pytań na jego temat. Któregoś dnia zrozumiałem, w czym rzecz. Ale nie martw się: dotrzymam tajemnicy. - Uśmiechnął się i uścisnął jej ramię. - Dobra z ciebie dziewczynka, Camillo.

Parsknęła śmiechem. - Ładna mi dziewczynka!

- W każdym razie mam nadzieję, że zakręcisz się koło niego.

- Nie jestem pewna, co masz na myśli.

- Po zakończonym rejsie. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że potem życie potoczy się dalej - zachichotał.

- David chce, abym zagrała w filmie na podstawie jego scenariusza...

- Tak, wiem - wpadł jej w słowo Alan. - Powtarza mi to przy lunchu każdego dnia. I muszę przyznać, że oddał się temu

całkowicie. Codziennie z rana zamyka się w swojej kajucie, zamiast korzystać z rejsu, ciężko pracuje. Ale mnie chodziło właściwie o Maxima... byłoby dobrze, gdybyś została przy nim.

- Nie mam pojęcia... Nie wiem jeszcze, jak to wszystko potoczy się dalej.

Spowaźniał i spojrzał na nią bacznie. - Zostań przy nim, Camillo. Jesteś mu potrzebna.

Zamyśliła się. Po chwili szepnęła: - Chciałabym wiedzieć, co on naprawdę czuje do mnie. Maxim jest bardzo skryty, nie odsłania swojej duszy.

- Bardzo cię lubi, to widać - zapewnił ją Alan. - Oboje pasujecie do siebie i dobrze wam ze sobą. Posłuchaj... - Nachylił się i spojrzał na nią swoimi bladoniebieskimi oczyma.

- Jeśli dwoje ludzi po kilku tygodniach spędzonych razem na jachcie nadal wypowiada się pochlebnie na swój temat, to moim zdaniem zdali pomyślnie egzamin.

- Zauważyłam, że ani razu nie użyłeś słowa: miłość.

- Nie baw się ze mną w grę słów, Camillo. Nie masz już siedemnastu lat, tak samo Księżę. Oboje macie już po czterdzieści siedem. I myślę, że dopisuje wam piekielne szczęście, jeśli na tym cholernym świecie udało się wam stworzyć wspólnie to, co macie. Wasz związek ma wiele plusów; a nie o każdej parze małżeńskiej, jaką znam, mogę powiedzieć to samo.

- Czy Maxim rozmawiał z tobą kiedykolwiek na mój temat? Czy mówił, co do mnie czuje?

- Nie - skłamał Alan. - Po chwili odchrząknął i wyjaśnił:

- Maxim, jak wiesz, jest niezwykle dyskretny. Nigdy nie omawiałby ze mną tego typu spraw, tak intymnych i osobistych. Jest prawdziwym dżentelmenem.

Skinęła głową, przysunęła się do niego bliżej i szepnęła:

- Po prostu powiem szczerze, Serdelku; nie chcę być wieczną kochanką. Bardzo mi na nim zależy, ale to rola nie dla mnie.

- Rozumiem. Nadal jednak uważam, że powinnaś być przy nim. Jeśli nie dla dobra Maxima, to jest inny nie mniej ważny powód.

- Jaki?

- Dla twojego dobra, Camillo. Czujesz się przy nim świetnie, to widać. Wyglądasz wspaniale, lepiej niż kiedykolwiek przedtem, nie zostało w tobie nic z dawnego napięcia. Prawdę

mówiąc, wyglądasz kwitnąco. Zapytaj Davida, jeśli mi nie wierzysz. Jest tego samego zdania.

- Och, a więc obmawiacie mnie za moimi plecami, czy tak!?

- zawołała z udanym oburzeniem.

- Owszem, ale są to raczej same komplementy. Uśmiechnęła się. Siedziała w milczeniu przez dłuższą chwilę, wpatrzona w ciemnoniebieską toń Morza Śródziemnego. W duchu przyznawała Alanowi rację. Maximilian był dla niej bardzo dobry, jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa jak teraz. Od pierwszej chwili, kiedy weszła na pokład Marzenia, Maxim odnosił się do niej z głębokim uczuciem i szacunkiem, okazywał jej względy. Niezależnie od tego, często rozmawiali ze sobą na różne tematy i bardzo miło spędzali czas. A potem następowały upojne, namiętne noce. Jego żądza nie wygasła

- wyglądało na to, że nie potrafi się nią nasycić. Ona zresztą czuła to samo.

Szybko uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę nigdy nie udało jej się poznać Maximiana Westa. Ich długoletnia przyjaźń miała raczej powierzchowny charakter. Był żonatym mężczyzną, nie zainteresowanym nią nawet w najmniejszym stopniu, musiała więc starannie ukrywać swoje uczucia wobec niego. Natomiast potem, w ciągu tych trzech miesięcy ubiegłego roku, które spędzili razem, mieli bardzo mało czasu. Spędzali ze sobą tylko wyrwane ukradkiem chwile, wieczór lub dwa w tygodniu, oraz niedziele. Głównym powodem tak sporadycznych spotkań były ich obowiązki zawodowe, kolidujące ze sobą. Camilla grała wtedy w sztuce na Broadwayu, on zaś kierował imperium finansowym wartym miliardy. Kiedy szykował się do łóżka, ona po ostatniej kurtynie kłaniała się widowni i marzyła przy tym, aby pójść gdzieś do restauracji i odprężyć się. Pod względem wolnego czasu nigdy nie byli zsynchronizowani.

Ale w ciągu tych dwóch tygodni, kiedy opływali Baleary i Sycylię, przebywali ze sobą niemal bez przerwy.

Właściwie nie tracili siebie z oczu; chyba tylko rankiem, gdy Maxim pracował, lub wczesnym wieczorem, przed posiłkiem. W rezultacie udało jej się poznać go lepiej. Do tej pory kochała go; teraz zaczęła również cenić go za wiele zalet - za jego dobroć i uczciwość, za życzliwy stosunek do innych. Był dobrym człowiekiem. Zdawała sobie sprawę, że bywa twardy i nieugięty w interesach, może nawet nieco bezwzględny. Należał

jednak do ludzi z charakterem, do ludzi honoru, i za to go uwielbiała.

Może Serdelek ma rację, pomyślała Camilla. Może powinnam zostać z Maximem... Przecież on tego właśnie oczekuje, mówił mi to nie raz. Co w tym złego, być jego kochanką? A plotki? - przyszło jej nagle do głowy. Och, do diabła z tym wszystkim, co mnie obchodzi reszta świata!?! Nie mogę planować swojego życia zgodnie z tym, co myśli świat. Muszę przede wszystkim być w zgodzie z sobą. A w takim razie chcę być z Maximem...

- Dałbym wiele, aby poznać twoje myśli - usłyszała głos Alana.

- Poznasz je za darmo - uśmiechnęła się. - Myślałam, że może., mmmm... może powinnam pójść za twoją radą i pozostać przy nim. Ostatecznie nie muszę przejmować się tym, co sądzi o tym świat.

Alan, zaskoczony jej słowami, zmarszczył brwi. - Moja droga, jesteś już chyba zbyt mądra i zbyt dorosła, aby martwić się takimi bzdurami. Bądź ponad to. Zresztą Maxim nie skompromitował cię w najmniejszym stopniu, odkąd przebywasz na jachcie. Masz własną kabinę, a on swoją kajutę...

- Skoro już o tym mowa, chciałabym cię o coś zapytać - przerwała mu. - Kiedy zjawiłam się na jachcie, Maxim wyprowadził się ze swojej kabiny i odstąpił mi ją. Było to bardzo miłe z jego strony, ale naprawdę nie pojmuję, dlaczego on nie mieszka teraz także w kabinie. Dotąd myślałam, że na jachcie są trzy.

- Bo są. Ty masz jedną. Marcia i ja drugą. A trzecia pozostaje stale zamknięta.

- Dlaczego?

- Bo należy do Anastazji. Trzecia kabina jest do jej dyspozycji.

Camilla wlepiła w niego wzrok, zaskoczona. - Nadal nie rozumiem.

- Kiedy doszło do rozwodu, Maxim oświadczył, że Anastazja może wziąć wszystko, na co ma ochotę: dom w Mayfair, willę w Beaulieu, apartament przy Piątej Alei, albo też ten jacht. Dosłownie wszystko. Ona jednak poprosiła tylko o kabinę na jachcie. Chciała korzystać z niej, gdyby miała odbywać rejsy wspólnie z Maximem i dziećmi. Powiedziała też, że wolałaby, aby nikt inny nie korzystał z tej kabiny. Maxim zastosował się do jej życzenia. Kabina jest przez cały czas

zamknięta na klucz. Chyba że Anastazja przebywa na jachcie, to oczywiste.

- Ale dlaczego zatrzymała sobie tylko kabinę? Dlaczego nie poprosiła o cały jacht?

Alan nachylił się do niej, wyjaśnił poufnym tonem: - Anastazja nie chciała od Maxima niczego, tylko pieniądze.

Tyle, żeby wystarczyło na wygodne życie. Zrezygnowała ze wspaniałych domów i tego jachtu. Rozwiodła się z nim dlatego, że za bardzo go kochała. Nie chodziło jej więc o to, aby oskubać go z tego, co ma. Wiesz, jej miłość była zaborcza, graniczyła z obsesją. Anastazja żyła w cieniu Maxima, uczyniła go centrum swego świata. - Alan wydał wargi, ze smutkiem pokiwał głową. - Tak nie można. Taka miłość nikomu nie może przynieść szczęścia. Anastazja zrozumiała to w końcu i dlatego odeszła. Aby uratować siebie, jeśli to tak można ująć.

- Ale Maxim z pewnością kochał ją. A ona wiedziała o tym.

- Oczywiście. Tylko że nie była w stanie poradzić sobie z jego życiem, jego interesami, z jego rozlicznymi obowiązkami zawodowymi. Maxim nie należy do ludzi, którzy pracują w ściśle wyznaczonych godzinach, od dziewiątej do piątej. Jest bardzo sumienny i ambitny, jest perfekcjonistą we wszystkim, czym się zajmuje...

- A właściwie dlaczego postępuje w ten sposób? Po co kupuje coraz to nowe przedsiębiorstwa, dlaczego nie zadowala się tym, co już ma?

- On już z natury jest twórcą imperium, niczym protoplasta rodu. I nic na to nie można poradzić, Camillo, taki już jest. Ale trzeba przyznać, że w tym, co robi, nie ma sobie równych.

- Przecież teraz musi już mieć wystarczająco dużo pieniędzy, aby zwolnić obroty. Jest multimiliarderem.

Alan uśmiechnął się. - To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. W grę wchodzi przede wszystkim jego potrzeba tworzenia, emocje związane z prowadzeniem interesów i podejmowanie wyzwań, jak również satysfakcja z osiągniętego celu. Posłuchaj, to tak, jakbyś zapytała, dlaczego alpinista uparł się wejść na Mount Everest.

- No właśnie: dlaczego?

- Bo tam należy się wspinać. Zdobyć szczyt. Maxim też zdobywa szczyt.

- Czyżby Anastazja nie potrafiła tego zrozumieć? - zapytała łagodnie Camilla.

- Myślę, że zrozumiała. Ale zrozumieć, to nie znaczy jeszcze akceptować. W każdym razie ona nie mogła się z tym pogodzić. Zawsze uważałem, że Anastazja jest mało odporna psychicznie. Moim zdaniem, kobieta, która chce iść przez życie u boku Maxima, musi być w dostatecznym stopniu twarda. - Umilkł, a po chwili dodał: - Ty uporałabyś się z tym zadaniem.

- Chcesz powiedzieć, że jestem twarda!? - zawołała, rzucając mu prowokujące spojrzenie.

- Mam nadzieję, że taka jesteś! Owszem, jest w tobie coś twardego, Camillo, należysz do gatunku zdobywców. Proszę, nie zrozum mnie źle. Kiedy mówię: twarde, mam na myśli wytrwałość, siłę woli i zdolność robienia uników. Ale nie myl tego z surowością czy bezwzględnością. Twarda kobieta może być również uczuciowa, wrażliwa, łagodna i czuła. Właśnie ty jesteś taka...

- Dziękuję za miłe słowa.

Uśmiechnął się. - W przeciwieństwie do tego kobieta surowa jest pozbawiona uczuć, często bywa zawzięta.

- Czyli według ciebie Anastazja nie była na tyle wytrwała, żeby móc podołać wszystkim napięciom takiego życia, jakie wiecie Maxim?

- Właśnie. Nie mogła też znieść tego całkowitego oddania się pracy, podporządkowania wszystkiemu interesom. Ale to już przeszłość. Jak zapewne wiesz, Anastazja przeżyła tuż przed rozwodem prawdziwe załamanie nerwowe, teraz jednak czuje się już dużo lepiej.

- Słyszałam, że są znowu przyjaciółmi...

- Tak. Ona nadal go kocha, a nawet czci ziemię, po której on stąpa. Ale to przyjaźń na odległość. Myślę, że tylko w ten sposób Anastazja może rozwiązać problem swojej miłości do niego. Jestem przekonany, że nie zdobyłaby się na ponowne uleganie jego stylowi życia.

Camilla kiwnęła głową, rozmyślając nad czymś intensywnie. Korciło ją, aby zapytać Alana, czy Maxim nadal kocha Anastazję, ale powstrzymała się od tego. Uświadomiła sobie nagle, że woli nie wiedzieć nic na temat uczuć Maxima do jego byłej żony.

Pod pokładem zjawił się nagle David Maines. - Dzień dobry! Dzień dobry! - zawołał, ucinając w ten sposób dalszą rozmowę na temat Anastazji.

- Piekielnie dziś gorąco! - dodał po chwili. - Można się

ugotować. Pozwolicie, że poczęstuję się filiżanką kawy? Czy też jest to spotkanie prywatne? Nie przeszkadzam?

- Oczywiście, że nie. - Camilla wstała natychmiast, podeszła do kredensu i naląła kawy dla Davida.

- Dziękuję, moja droga - powiedział.

- Jak posuwa się praca nad scenariuszem? - zapytał Alan.

David wymownym gestem uniósł kciuki do góry. - Fantastycznie. Odkryłem, że nie ma to jak pisać na jachcie.

Jestem tu odizolowany od reszty świata, nic mnie nie rozprasza.

W drzwiach stanął Maxim, w ręku ścisnął plik dokumentów. Niedbale oparł się o framugę. - Dzień dobry wszystkim.

Za chwilę znikam wam z oczu, muszę trochę popracować, ale przedtem chciałbym wam coś oznajmić: otóż zamierzam przedłużyć rejs o jeszcze dziesięć dni. Kto z was zostaje ze mną? - Zwracał się do wszystkich, ale jego ciemne, lśniące oczy utkwione były w Camilli.

- Ja, kochanie - odparła natychmiast z miłym uśmiechem na twarzy.

- Możesz liczyć na mnie, kapitanie - odezwał się David.

- Wspaniały pomysł, Książę! - zawołał Alan. - Marcia i ja chętnie zostaniemy tu na dłużej.

Maxim promieniał na twarzy. - Lane'owie i Turnerowie opuszczają nas jutro, jak planowali. Wracają do Londynu i Stanów. Tak więc zostanie nas tylko piątka.

54

Z dziesięciu dni zrobiły się dwa tygodnie. Marzenie popłynęło w stronę Sycylii, dotarło do Malty, zapuściło się nawet na wody Morza Jońskiego i zarzuciło kotwicę przy wyspach greckich. Następnie zawróciło i wzięło kurs na Tanger.

Po opuszczeniu pokładu jachtu przez innych gości, Camilla odniosła wrażenie, że Maxim jest teraz bardziej odprężony i spokojny niż zazwyczaj. Czowała się szczęśliwa: większość czasu Maxim spędzał u jej boku, tak jakby nie mógł nacieszyć się jej towarzystwem. Mimo iż nie przestawał pracować po kilka godzin dziennie, był wobec niej czuły, pełen ciepła, odgadywał

jej potrzeby i pragnienia. A nocami, w chwilach intymnych, spędzonych w kabinie, był nie mniej namiętny niż miesiąc wcześniej, kiedy tak nieoczekiwanie pojawił się w Tangerze.

Pewnego wieczoru, kiedy inni poszli już spać, Maxim pozostał przy barze na pokładzie głównym dłużej niż zazwyczaj. Byli teraz sami, gdyż również załoga udała się na spoczynek, i wtedy powiedział cicho: - Camillo, chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

- Oczywiście, ale co się stało? Masz taki poważny głos i wyglądasz na zmartwionego.

- Nie, nie, wcale nie jestem zmartwiony. Co do powagi, to owszem. - Wpatrywał się w nią przez długą chwilę i wreszcie zapytał: - Czy wyszłabyś za mnie za męża?

Znieruchomiała. Była to ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewała. Zaskoczona, jedynie wlepiała w niego wzrok. Zachichotał cicho. - Wyglądasz na zdumioną, kochanie. Nawet zaniemówiłaś. Ale zanim powiesz „tak” lub „nie”, pozwól, że ci wyjaśnię kilka reguł, które obowiązywałyby w naszym małżeństwie. Czy chcesz je poznać?

Kiwnęła głową, chociaż tak naprawdę nie interesowała się nimi w tej chwili; zgodziłaby się na małżeństwo z Maximem za każdą cenę. Kochała go aż do szaleństwa i była gotowa przystać na wszystkie jego warunki. Wolałaby nawet być jego wieczną kochanką niż go utracić.

- Jeśli mnie poślubisz, nie chciałbym, abyś rezygnowała z kariery filmowej - powiedział. - To istotna część twego życia, Cam, i powinnaś ją kontynuować. Chciałbym też, abyś zagrała w styczniu w filmie Davida.

- Domyślałam się, że wołałbyś, abym była czymś zajęta, podczas gdy ty będziesz kierował swoim imperium.

- Zgadza się. Ale to ma plusy również dla ciebie. Jesteś wielką aktorką, znajdujesz się u szczytu kariery. Jesteś osobistością, dużą osobistością. Nie chciałbym, abyś z tego rezygnowała, abyś poświęciła to wszystko, do czego pięłaś się przez całe życie. Chcę, abyś odnosiła sukcesy.

- Muszę pracować, Maximie, podobnie jak ty. Gdybym przestała, odwieźliby mnie w końcu w kaftanie bezpieczeństwa. W każdym razie, nie wiedziałabym nawet, czym się zająć, gdybym zrezygnowała z mojej pracy.

- Tak, wiem o tym. I jeszcze coś: muszę mieć mnóstwo przestrzeni po to, aby dobrze wykonywać moją pracę. Nie chciałbym, żebyś trzymała się mnie kurczowo, żebyś

traktowała jak cel życia. Muszę wiele podróżować i mam nadzieję, że to zrozumiesz. Oczywiście możesz jeździć ze mną, będę szczęśliwy, mając cię przy sobie, ale nie w przypadku krótkich wypadów; z reguły są to bardzo nerwowe, męczące wizyty, odbywam wtedy mnóstwo spotkań i wolałbym nie rozpraszać się, a tak byłoby, gdybyś mi towarzyszyła. W takich chwilach mam głowę pełną planów, dalekosiężnych wizji, i nic na to nie poradzę. Taki już jestem i nie potrafię się zmienić. Prowadzenie interesów stanowiło zawsze istotną, olbrzymią część mego życia.

- Wiem o tym.

- No i są jeszcze pewne okresy, kiedy muszę zobaczyć się z Anastazją i z dziećmi, pobyc trochę z nią, Alix i Michaeliem. Urodziny, niektóre święta. Nie będziesz miała nic przeciw temu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Uznałabym to nawet za dziwne, gdybyś się z nimi nie widywał. Ale co z Alix i Michaeliem? Jak przyjmą wiadomość o naszym ślubie? Drugie żony nie zawsze są lubiane.

- Pod tym względem nie będzie problemu. Oboje są już dorośli, Alix skończyła dwadzieścia lat, a Michael dziewiętnaście. Nie są małymi dziećmi.

Skinęła głową. - W porządku, mów dalej. Chciałabym poznać resztę reguł.

- Nie ma żadnej reszty, i tak wymieniłem ich całą masę. Camilla milczała, rozważała coś w myślach.

- A ty? Może ty masz jakieś warunki? - Spojrzał na nią pytająco.

- Nie, Maximie, nie mam żadnych.

- Wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, że wyjdę za ciebie. - Nie powiedziała mu, że jest to jedyna rzecz, jakiej od dawna pragnęła.

Jego twarz pojaśniała. Usiadł przy niej na sofie i objął ramieniem. - Nie nadaję się do tego, by wieść życie kawalera, wiesz? Za dużo we mnie z monogamisty. - Delikatnie musnął palcami jej policzek. - I zawsze będę dla ciebie dobry, Camillo.

- Wiem - odparła rozpromieniona.

Nachylił się, pocałował ją namiętnie i szepnął we włosy: - Czy mam otworzyć butelkę szampana, aby uczcić nasz przyszły ślub? A może uczymy to w łóżku?

Nie odpowiedziała, lecz oswobodziła się delikatnie z jego objęć, wstała i wyciągnęła rękę, posyłając mu wymowny uśmiech.

Ujął jej dłoń i razem weszli do kabiny.

Nie mógł doczekać się chwili, kiedy Camilla naga znajdzie się w łóżku. Żądza ogarnęła go niczym atak szału, eksplodował niemal w tym samym momencie, kiedy ją posiadł, i po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich tygodni ich miłości wykrzyknął głośno jej imię, szczytując i dając jej siebie.

Później, tej samej nocy, kiedy już bez pośpiechu posiadł ją ponownie i obdarzył pełnią rozkoszy, usiadł na łóżku, wsparł się na łokciu i spojrzał jej prosto w oczy. - Nie czekajmy dłużej, Cam. Pobierzmy się natychmiast.

- Kiedy tylko zechcesz - odparła i przeczesła mu dłonią włosy.

- Zrobimy to jutro - zdecydował. - Albo pojutrze. Za kilka godzin będziemy w Tangerze. Konsul brytyjski udzieli nam ślubu. Zajmę się wszystkim, co trzeba. Zgadzasz się?

- Zgadzam się na wszystko, co postanowisz, Maximie. Chcę tylko jednego: być przy tobie.

Był złoty listopadowy dzień, dzień babiego lata.

Na bezchmurnym, nieskazitelnie błękitnym niebie świeciło jaskrawe słońce. Camilla przystanęła na schodkach domu Maxima w Mayfair, gdzie mieszkała od chwili ślubu, i pełną piersią nabrała tchu, delektując się świeżym, wonnym powietrzem. Zapowiadał się śliczny dzień, jak wymarzony, aby pojechać na wieś.

Kiedy zeszła ze schodków, Humphrey, szofer Maxima, wysiadł z jaguara, obszedł samochód dokoła i otworzył drzwiczki. - Dzień dobry, pani West - powitał ją uprzejmie. Podał jej rękę i pomógł wejść do środka.

- Dzień dobry, Humphreyu. Piękny mamy dzień, prawda? Wcale nie czuje się, że to zima.

- Rzeczywiście ładny dzień, madame. - Humphrey zamknął drzwiczki i wrócił za kierownicę. - Czy pojedziemy dziś znowu do East Hendred, pani West? - zapytał. - Pan West polecił mi zawieźć panią na wieś.

- Tak, tam właśnie pojedziemy. - Camilla poprawiła się na siedzeniu. - Mamy mnóstwo czasu. Umówiłam się w naszym nowym domu z dekoratorami wewnątrz, ale nie spodziewają się mnie przed dwunastą.

- Dobrze, pani West - odparł, ruszając łagodnie.

Oddała się rozmyślaniam, podczas gdy samochód jechał do East Hendred, małej wioski w Oxfordshire. Tam właśnie kupiła niedawno uroczy dworek. Odkryli go na początku września, tuż przed kolejną podróżą służbową Maxima do Nowego Jorku. Spodobał się im obojgu na pierwszy rzut oka, zdecydowali się więc natychmiast kupić go. Kiedy zaczęła nalegać, że sama pokryje wszelkie koszty związane z transakcją, Maxim zaprotestował, rozbawiony nawet jej propozycją. A jednak postawiła na swoim, potem zaś oświadczyła, że to prezent ślubny dla niego. Głęboko wzruszony tym gestem, przyjął prezent z wdzięcznością.

Dworek Lacey Court, stał opustoszały przez dwa lata, gdyż poprzedni właściciel mieszkał teraz na Barbadosie, ale mimo to stan domu był stosunkowo dobry. Projektanci wnętrz, których Camilla wynajęła, pracowali już w pocie czoła, tworząc przytulny, bezpretensjonalny wystrój, jakiego życzyli sobie ona i Maxim. Miało to być cudowne zacisze na weekendy dla nich obojga, a zwłaszcza dla Maxima. Po całym tygodniu wyteżonej pracy potrzebował miejsca, gdzie mógłby odpocząć i odprężyć się na łonie natury.

Odchyliła głowę do tyłu i na moment zamknęła oczy; znowu pomyślała o swoim mężu, mężczyźnie, którego kochała od tak dawna. Przez wiele lat była przekonana, że Maxim jest dla niej nieosiągalny, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie wtedy, że mogłaby zostać jego żoną. Albo że mogłaby zaznać szczęścia u jego boku. Był najwspanialszym mężczyzną na świecie. W głębi duszy wiedziała, że Maxim nie kocha jej tak mocno, jak ona jego, ale to nie miało teraz dla niej większego znaczenia: był namiętny w łóżku, odnosił się do niej czule i okazywał przesadną niekiedy hojność. Od sierpnia, kiedy wzięli ślub, obsypywał ją nieprzerwanie prezentami - były wśród nich piękne obrazy, wykwintna biżuteria, cenne antyki, jak również srebra do nowego domu.

Jeśli zdarzały się momenty rozczarowania, że nie słyszy od niego „kocham cię”, to tylko sporadycznie i coraz rzadziej. Pamiętała jeszcze słowa Alana na jachcie, kiedy zwierzyła mu się ze swej miłości do Maxima. „Dopisuje wam piekielne szczęście, skoro udało się wam stworzyć wspólnie to, co macie”, powiedział wtedy. Tak, to była prawda, nie mogli uskarżać się na brak szczęścia. Zresztą Maxim zaczął ostatnio okazywać jej swoje uczucia, na przykład szeptał jej do

ucha „uwielbiam cię" albo Jesteś cudowna". Jego ciemne oczy były przy tym pełne żaru, a głos był pełen miłości. Powróciła myślą do dnia ich ślubu, który odbył się w konsulacie brytyjskim w Tangerangze. Może inni dziwili się, że Maxim nie poprosił kapitana jachtu o udzielenie im ślubu, ale nie ona. Przecież Marzenie zbudował dla Anastazji. Nie mógł poślubić na jego pokładzie innej kobiety, w jego oczach byłby to czyn wysoce niestosowny. W takich sprawach, Maxim bywał bardzo wrażliwy, a Camilla wiedziała, że spora część jej męża, spora część jego serca nadal należy do Anastazji. Również Alan zorientował się chyba w pewnym momencie, dlaczego ślub odbywa się w konsulacie, gdyż rzucił jej szybkie spojrzenie i uśmiechnął się znacząco, jak gdyby chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Ale dla niej miejsce zawarcia ślubu nie miało znaczenia.

Niebawem i Alan poszedł wreszcie w ich ślady, zrywając z życiem playboya. Jego ślub odbył się we wrześniu, kiedy ona i Maxim wrócili ze Stanów. Panną młodą była urocza Marcia Bell, a ceremonia miała miejsce w Caxton Hall. Maxim był drużbą, Camilla czyniła honory pani domu, po czym oboje wydali przyjęcie weselne w Mayfair.

Wśród gości weselnych znajdowali się również Teddy i Mark; ku niezmiernej radości Camilli polubili ją. Byli zadowoleni, że poślubiła Maxima, co więcej: z ulgą stwierdziła, że cieszą się z tego powodu także jego dzieci. Ani Alix, ani Michael nie okazali niechęci na wieść o powtórnym ożenku ojca - wręcz przeciwnie. Z Alix, która okazała się nadzwyczaj piękną i inteligentną młodą kobietą, Camilla nawiązała nawet bardzo ciepły kontakt.

Jestem taka szczęśliwa, pomyślała znowu Camilla. Jestem najszczęśliwsza na świecie. Mam naprawdę wszystko, czego pragnęłam: Maximiliana Westa, cudowną karierę, a nawet dzieci - gdyż zdążyła już przywiązać się do Alix i Michaela, jak gdyby była ich matką. Będąc sama jedynaczką, osieroconą zresztą już od wielu lat, oraz kobietą bezdzietną, czuła się teraz jak w pełnej rodzinie.

Uśmiechnęła się bezwiednie, w jej zielonych, wyrazistych oczach widniała radość i szczęście.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej mały notatnik i sprawdziła, jakie sprawy czekają ją jeszcze w tym tygodniu do załatwienia. Dziś wieczorem miała spotkanie z Davidem Mainesem: wczoraj przyleciał z Londynu i przywiózł ze sobą scenariusz do

nowego filmu. Camilla zgodziła się zagrać w nim i nie mogła już doczekać się chwili, kiedy przeczyta ostateczną wersję.

Dwie godziny później Humphrey skręcił w ślimakowatą drogę, wiodącą do Lacey Court.

Dom stał w płytkiej dolinie, u podnóża łagodnego wzniesienia porośniętego zagajnikiem; piękny ową uniwersalną, ponadczasową urodą. Tego ranka wszystkie okna błyszczały w słońcu, a stare, szare, kamienne ściany rysowały się miękko na tle mrocznego, zimowego krajobrazu z drzewami pozbawionymi liści.

Humphrey zaparkował naprzeciw drzwi frontowych, odnowionych połyskliwą bielą, i natychmiast na schodach zjawili się oboje młodzi, zajmujący się urządzaniem wnętrza.

Camilla, która nigdy nie cierpiała jakichkolwiek ceremonii, otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu, zanim Humphrey zdołał jej pomóc, po czym pobiegła im na spotkanie.

Alison Dixon i Tony Campbell, zatrudnieni przez nią nie po raz pierwszy, powitali ją z uśmiechem i wprowadzili triumfalnie do domu.

- Wszystko idzie wspaniale - zapewnił Tony i cofnął się, aby mogła swobodnie pochodzić tam i z powrotem po obszernym hallu. - A materiały, jakie wybrałaś, będą wyglądały jak w bajce. Teraz, kiedy ściany w pokojach są już pomalowane, widać to doskonale. Wszystko pasuje jak ulał, Camillo.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy dom będzie gotowy

- odparła Camilla, zadowolona z efektów pracy. Rozejrzała się dokoła, sycąc oczy widokiem ciemnołososiowych ścian, obrazów, georgiańskiego lustra w mosiężnej ramie oraz drogocennych świeczników, kryształowych i z brązu.

- Zdziwisz się dopiero, kiedy zobaczysz resztę domu

- powiedziała Alison. - W ciągu ostatniego tygodnia zrobiliśmy naprawę dużo.

Wprowadziła Camillę do biblioteki i dodała: - Jak już wiesz, pokoje zostały pomalowane, podłogi są wycyklinowane, jak nowe... o, wczoraj nadeszły łóżka od Harrodsa. A ten pokój, jak widzisz, jest wykończony.

Brakuje jeszcze tylko kanapy, książek i paru drobiazgów.

Camilla stała pośrodku biblioteki, z uznaniem oglądała dzieło Alison i Tony'ego, nie pomijając niczego. Stare ściany, pokryte boazerią, zostały odświeżone, podobnie jak regały na

książki; georgiańskie biurko i krzesła, wygodne fotele, wytworny dywan, mosiężna lampa z jedwabnym, kremowym abazurem - wszystko sprawiało imponujące wrażenie. Dostrzegła nawet nad kominkiem jeden ze swoich ulubionych obrazów, który przedstawiał konie.

- Gratuluję! - zawołała zachwycona. - Dokonaliście cudu! Jak wiecie, ten pokój będzie dla Maxima. Cieszę się, że w pierwszym rzędzie wykończyliście właśnie ten. Przynajmniej Maxim będzie miał miejsce do pracy, kiedy się wprowadzimy, nawet gdyby reszta domu nie była jeszcze gotowa.

Oprowadzili ją po innych pomieszczeniach, a potem zeszli z powrotem na dół. - Myślę, że przygotujemy wszystko na połowę grudnia, Camillo, praca idzie nam naprawdę szybko - powiedział Tony. Otworzył przed nią drzwi, a kiedy weszła do kuchni, dodał: - Aha, nie chciało się nam iść potem do pubu, przynieśliśmy więc jedzenie ze sobą. Tak będzie chyba przyjemniej, a poza tym pokażemy ci próbki materiałów, jakie wybraliśmy na te zabytkowe meble z wikliny, oraz glazurę do łazienki dla gości.

- Świetny pomysł - odparła Camilla. - Ale lepiej wyjdę na chwilę, poproszę Humphreya, aby pojechał do pubu i zjadł sobie coś. Może przyjechać po mnie za parę godzin. Zaraz przyjdę.

- Napijesz się z nami wina? - zapytała Alison, wyjmując butelkę z koszyka.

- Czemu nie. Dzięki - powiedziała Camilla i wybiegła z kuchni.

Odesłała szofera, ale jeszcze przez chwilę stała przed domem i rozglądała się dokoła. Będę musiała jak najszybciej zatrudnić ogrodnika, pomyślała. Wprawdzie listopad dobiegał końca, nie można więc już było niczego zasadzić, ale ogród był zapuszczony, wszędzie rozpanoszyło się zielsko, z którym należało uporać się przed nastaniem wiosny. Tam będą rosły żonkile, pod drzewami, gdzie popadnie, postanowiła. I krokusy ze śnieżyczkami. Muszę też mieć tu krzewy bzu. Maxim uwielbia bez.

Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli sprowadzić się tu na Boże Narodzenie, przyszło jej do głowy, kiedy wchodziła do domu. Maxim powiedział, że będzie z nimi Alix. Michael pojechał z Anastazją na Jamajkę. Przeszła korytarzem do kuchni, na moment zatrzymała się przed drzwiami do sutereny; przypomniała sobie o głównym prezencie świą-

tecznym dla Maxima: część sutereny miała być przeznaczona na piwniczkę winną z najlepszymi gatunkami tego trunku. Alan pomógł jej już wybrać te, które lubił Maxim, poradził też, jakiego kupić szampana. Maxim nie pił dużo ani często, przykładał jednak wielką wagę do podawania gościom wyłącznie dobrego rocznika. Alan udał się nawet w tym celu na aukcję win i sprowadził dla Camilli wyborne gatunki; nadawały się na każda okazję.

Ponieważ Tony i Alison zajmowali się jeszcze przyrządzaniem lunchu w kuchni, Camilla postanowiła rzucić okiem na suterene. Otworzyła drzwi wiodące na dół, zapaliła światło i poczęła schodzić po długich, drewnianych schodkach wąskich i stromych.

Zaledwie kilka stopni niżej obcas pantofla utknął w szparze między deskami. Camilla szarpnęła nogę, chcąc uwolnić się z tej przypadkowej pułapki, i raptem straciła równowagę. Krzyknęła przeraźliwie, kiedy poczuła, że leci w dół, odruchowo złapała się za poręcz, ale spróchniałe drewno'oderwało się od muru i pękło na drobne kawałki, Camilla zaś krzyknęła jeszcze raz i uderzyła ciężko o cementową podłogę u podnóża schodów, gdzie pozostała nieruchoma. Alison i Tony, zwabieni jej krzykami, biegli już korytarzem. Natychmiast dostrzegli otwarte drzwi do sutereny, skierowali się w tamtą stronę, a Tony, który stanął przy schodach i spojrzał na dół, jęknął przerażony: - O, mój Boże! Camilla spadła ze schodów! - Ostrożnie, ze ściśniętym gardłem, zszedł niżej.

Na jednym ze stopni znalazł pantofel; jego obcas nadal tkwił w szczelinie, zdradzając, jak doszło do wypadku.

Alison, biała jak papier, dygotała na całym ciele, jednak dzielnie podążała za Tonym. Kiedy dotarła na dół Tony klęczał przy Camilli.

Jej ciało, nienaturalnie wykręcone, nadal pozostawało w bezruchu, piękna twarz była zupełnie biała, oczy zamknięte. Spod złocistych włosów wypływała strużka krwi.

- Jest poważnie ranna - szepnęła cicho Alison. Uklękła obok Tony'ego, starając się opanować drżenie rąk i nóg.

Tony nie krył przerażenia. - Chyba nie powinniśmy jej ruszać - powiedział niepewnie. - To by jej mogło zaszkodzić. Zostanę tu przy niej, a ty wezwij pogotowie.

Kiwnęła głową. Nogi miała jak z ołowiu, ale posłusznie zaczęła wchodzić po schodach na górę.

Tony odprowadzał ją wzrokiem, a kiedy zniknęła za drzwiami, odwrócił się do Camilli. Nie powiedział tego Alison, jednak był niemal pewny, że Camilla, spadając na dół, skrzyła sobie kark i że na jakąkolwiek pomoc jest już za późno.

Maxim nie potrafił pogodzić się ze śmiercią Camilli.

Zaledwie ceremonia pogrzebowa dobiegła końca, załamał się całkowicie. Cios okazał się dla niego zbyt ciężki. Nie mógł uwierzyć, że ta piękna, pełna życia, utalentowana i czuła kobieta odeszła od niego na zawsze.

W tych ciężkich chwilach najbardziej pokrzepiła go na duchu Alix, chociaż Alan, Teddy i David również robili co tylko mogli, aby uśmierzyć jego ból.

Nazajutrz po pogrzebie Camilli, Alix siedziała wraz z ojcem w jego domu w Mayfair. W pewnej chwili położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała cicho: - Bardzo ją lubiłam, tato, nawet zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Kiedyś wyznała mi, że jestem dla niej jak córka, której nigdy nie miała, i zapytała, czy może mnie tak traktować. Zapewniłam ją, że będzie mi bardzo miło.

Maxim rzucił jej krótkie spojrzenie, ale zachował milczenie.

Alix odwzajemniła jego spojrzenie. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo zmienił się ojciec. Twarz, niegdyś pięknie opalona, miała teraz ziemisty kolor, ciemne oczy, zazwyczaj bardzo błyszczące, były dziś posępne, pełne bólu.

Wzięła głęboki oddech i dodała: - Po mamie, Camilla była dla mnie najmilszą kobietą pod słońcem, jaką znałam.

Bardzo mi przykro z powodu tego wypadku, chciałabym, żebyś wiedział, że możesz na mnie liczyć, ilekroć będziesz mnie potrzebował.

Maxim nadal nie mógł wydobyć z siebie słowa. Ujął rękę córki, uściśnął ją, wreszcie powiedział: - Camilla była niezwykłą kobietą...

- Tak. I bardzo cię kochała, tato.

- Ja też ją kochałem. Nie tak, jak twoją mamę... nie można kochać dwóch kobiet w ten sam sposób... ale jednak kochałem ją, zajmowała szczególne miejsce w moim życiu, w ciągu tych ostatnich miesięcy dała mi wiele szczęścia. Dzięki mej nie czułem się tak samotny... - Urwał, głos odmówił mu posłuszeństwa.

Dopiero po dłuższej chwili opanował się. - Nigdy nie powiedziałem jej, że ją kocham - szepnął. - Ani razu. I nigdy sobie tego nie wybaczę. - Jego oczy zaszklily się, czym prędzej otarł je dłonią.

Alix objęła go ramieniem, oparła o niego głowę. - Camilla wiedziała, że ją kochasz, tato.

- Powiniennem był jej powiedzieć - mruknął szorstko.

- Kobieta zawsze wie, czy jest kochana, naprawdę - zapewniła go Alix. Serce jej pękało, kiedy patrzyła na jego ból. - Mówi jej to instynkt. A zresztą, Camilla była z tobą szczęśliwa.

Odwrócił się do córki. - Naprawdę tak myślisz, Alix?

- Tak. Uczyniłeś ją bardzo, bardzo szczęśliwą. Powiedziała mi o tym sama, na kilka dni przed wypadkiem.

Maxim opadł na sofę i zamknął oczy. Słowa córki podniosły go nieco na duchu, ale nie na tyle, aby mógł odzyskać spokój.

Niedługo potem Maxim zniknął z życia publicznego. Jeszcze bardziej niż dotychczas zagrzebał się w pracy, zrezygnował całkowicie z kontaktów towarzyskich. Odtąd istnieli dla niego jedynie ludzie, z którymi załatwiał interesy oraz członkowie rodziny. Prasa rozpisywała się na prawo i lewo o śmierci Camilli, o ich małżeństwie i życiu, co szarpało mu nerwy. Wreszcie wynajął całą armię prawników i doradców, aby poskromić dziennikarzy i usunąć swoje nazwisko z łamów plotkarskich gazet.

Maximilian West odgrodził się od ludzi fosą i podniósł za sobą most zwodzony.

Część VI
Adriana
Nowy Jork 1987

*Najmędrsza z niewiast dom sobie buduje,
własnoręcznie go niszczy głupota.*
- Przypowieści Salomona

Adriana Macklin West stała pośrodku salonu w apartamencie przy Piątej Alei, wodząc dokoła niechętnym, zawistnym wzrokiem.

Nie lubiła tego mieszkania - już od pierwszej chwili, kiedy półtora roku temu postawiła tu nogę. Apartament był wspaniały, przestronny, pełen światła, oferował też piękny widok na Central Park, miał jednak ogromną wadę - został urządzony przez pierwszą żonę Maxima. Adriana nie cierpiała tych mebli - uważała, że są okropne, niemodne, pozbawione smaku i stylu. Od chwili ślubu z Maximem marzyła o tym, aby zmienić wystrój mieszkania, on jednak, gdy tylko o tym wspominała, machał ręką i twierdził, że podoba mu się tak jak jest. Kiedy tylko wspomniała o odnowieniu mieszkania, stawał natychmiast okoniem i nawet nie chciał słuchać jej argumentów.

Za którymś razem zaproponowała, że pokryje sama wszelkie koszty, on jednak powiedział, że pieniądze nie mają tu żadnego znaczenia, że nie o to chodzi.

Ciemnobrązowe oczy Adriany otaksowały dokładnie każdy przedmiot, podobnie jak czyniły to już wiele razy od kilku miesięcy. Problem polegał na tym, że salon był jej zdaniem zbyt surowy, niemal zimny, z nadmiaru białych kolorów, białych tkanin, jasnego drewna i obrazów utrzymanych w jasnej tonacji. Ona natomiast potrzebowała jaskrawych kolorów, krzykliwych tkanin, efektownych dywanów, ładnych lamp z porcelany, nowoczesnego malarstwa i przyciągających oko dzieł sztuki. Dopiero zmiana wystroju wnętrza dałaby wrażenie przepychu, na którym jej zależało, nowojorskiego blasku, jaki był nieodłączną cechą wszystkich jej dawnych mieszkań. Taki właśnie wygląd odpowiadał jej, gdyż stanowił informację dla całego świata, że właściciel tego apartamentu ma pieniądze, władzę i odnosi sukcesy.

Opuściła oczy na żółty blok rysunkowy, który trzymała w ręku, i zaczęła przenosić na papier swoje pomysły co do zmiany wystroju mieszkania. Przeznaczone były dla cieszącego się międzynarodową sławą projektanta wnętrz, którego wynajęła, gdy spotkali się w biurze wytwórni kosmetyków Empress Eugenia Beauty. Adriana była prezesem tej firmy i jej dyrektorem.

Valentine Lubbock spodobał jej się od pierwszej chwili, kiedy wszedł do jej gabinetu, i sympatia ta okazała się wzajemna. Już sam początek ich rozmowy wykazał, że doskonale się rozumieją. Valentine miał doskonałe wyczucie smaku; wiedziała o tym, gdyż znała jego dotychczasowe osiągnięcia. Nie wątpiła więc, że uda mu się stworzyć i tym razem coś nadzwyczaj efektownego, że zaprojektuje to mieszkanie tak, aby jego klimat odpowiadał pozycji towarzyskiej żony Maximiana Westa.

Valentine nie był tani, zmiany w wystroju apartamentu według jego projektu z pewnością kosztowałyby masę pieniędzy, cztery do pięciu milionów dolarów, mogła sobie jednak na to pozwolić. Podobnie jak Maxim, nie musiała oszczędzać. Jej drugi mąż, Arthur Macklin, pozostawił jej prawdziwy majątek, gdy umarł przed czterema laty, jak również wytwórnię kosmetyków, jedną z największych w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy rozmawiała z Valentinem Lubbockiem, powiedziała, że chce, aby zmieniony został wystrój każdego pokoju, nie tylko tego salonu. Gruntownemu przeistoczeniu chciała poddać również bibliotekę, pokój stołowy, gabinet Maxima, jej salonik i wszystkie sypialnie. Valentine miał przyjść tu ze swoim zespołem już jutro, aby przejrzeć dokładnie cal po calu to... to... mauzoleum.

Doskonale wiedziała, że Maxim sprzeciwiłby się jej planom, gdyby o nich wiedział. Postanowiła przedstawić mu potem swoje racje, wyjaśnić je - ale już po fakcie. Umiała owinać go sobie wokół palca, postawić na swoim, zwłaszcza gdy byli w łóżku. W takich chwilach stawał się bardziej otwarty i przystępny, bardziej ustępliwy, w takich chwilach różnił się w znacznym stopniu od tego Maxima, jakiego znała na co dzień: trudnego w pożyciu, skomplikowanego i skrytego.

Adriana westchnęła. Sęk w tym, że od jakiegoś czasu nie byli razem w łóżku. Wyglądało na to - chociaż nie mogła zrozumieć dlaczego - że przestała pociągać go seksualnie.

Wtedy, kiedy się poznali, zachowywał się wobec niej jak młody ogier, nie dawał jej spokoju, nigdy nie miał dość. Przez pierwsze pół roku małżeństwa był naprawdę nienasycony. Ale teraz wszystko się zmieniło, miały miesiące, on zaś nawet jej nie dotknął. Zgoda, często wyjeżdżał daleko w interesach, ona też musiała ostatnio udać się to do Kalifornii, to do Teksasu, potem znowu do Rzymu, tak więc często przebywali z dala od siebie, ale teraz nie opuszczał Manhattanu od miesiąca i przez cały ten czas nie kochali się ani razu. Kiedy delikatnie dawała mu do zrozumienia, że czas iść do łóżka, zbywał ją jakąś wymówką, a miał ich całą masę: raz był zaabsorbowany zawieraną właśnie transakcją, kiedy indziej zmęczony, albo po prostu w nieodpowiednim nastroju. Potem szedł zazwyczaj do swojej sypialni. Ten pomysł z oddzielnymi sypialniami nie przypadł jej do gustu już od pierwszej chwili, gdy po ślubie we Francji wrócili do Nowego Jorku, on jednak uparł się, aby niczego nie zmieniać.

- Prowadzę tak zwariowane życie - powiedział. - Wstaję skoro świt, rano muszę kontaktować się z moimi biurami w Londynie i w Paryżu, tak więc budziłbym cię tylko niepotrzebnie. - Pocałował ją i posłał jej swój rozbijający uśmiech, a potem mruknął: - Będzie jeszcze mnóstwo nocy, które spędzę z tobą w jednym łóżku, Adriano, nie miej co do tego żadnych wątpliwości. Ale w ten właśnie sposób żyję od dawna. Potrzebuję osobnego pokoju, spróbuj to zrozumieć i nie rób z tego problemu.

Ona jednak widziała w tym problem i nie była przekonana, czy powinna mu wierzyć, kiedy twierdził, że również przy swoich poprzednich żonach miał osobną sypialnię. Tym bardziej że przychodził do jej sypialni coraz rzadziej. Gdyby nie znała go tak dobrze, zaczęłyby może podejrzewać, że znalazł sobie kochankę. Ale to nie byłoby w jego stylu. Miał tylko jedną pasję: pracę, nie starczało mu więc czasu na kobiety.

Jej uwagę zwrócił przekrzywiony nieco obraz na ścianie. Podeszła bliżej, aby go poprawić, zatrzymała się jednak na chwilę, kiedy przechodziła obok konsoli w stylu Ludwika XV, na której stało oprawione w srebro zdjęcie ślubne jej i Maxima z września 1985 roku. Ceremonia ślubna odbyła się w ratuszu IV dzielnicy Paryża, gdyż tam właśnie zagnały go interesy. Adriana założyła wtedy błękitną kreację od Givenchy'ego, a Maxim wydał przyjęcie w Lasserre. Podniosła zdjęcie,

przyjrzała mu się przez chwilę i pomyślała z uznaniem o mężu. Kiedy się pobierali, miał pięćdziesiąt jeden lat, a jak wspaniale się prezentował! Był taki przystojny, taki szczupły i opalony!

Kiedy w 1984 roku jej doradcy do spraw inwestycji podjęli nieudaną próbę wykupienia od niego Marianna Monteyecchio, zrezygnowała chwilowo z ekspansji swojej Empress Eugenia. Zamiast tego zainteresowała się samym Maximilianem Western, doszła bowiem do przekonania, że to fascynujący i ekscytujący mężczyzna, a przy tym stanowi dobrą partię. Latem 1985 roku zdołała doprowadzić do poznania z nim w Monte Carlo, tak się też szczęśliwie złożyło, że natychmiast zrobiła na Maximie duże wrażenie. Najwidoczniej zwrócił uwagę nie tylko na jej talent do robienia interesów, lecz również na ładną twarz i nieskazitelną figurę. Sześć tygodni trwały zapierające dech w piersiach zaloty, po których - ku zaskoczeniu jego rodziny i przyjaciół - pobrali się pod koniec lata. Adriana zdawała sobie sprawę, że nie cieszy się sympatią jego syna i córki, ona zresztą również nie przepadała za nimi, uważała, że są straszliwie zarozumiali. Co zaś do jego byłej żony, Anastazji; ciągle chciała pomówić z nim o czymś albo spotkać się w ważnej rzekomo sprawie. A on pędził natychmiast na spotkanie z nią, niczym posłuszny piesek. Adriana usiłowała ukrócić te eskapady, ale naraziła się jedynie na straszliwy wybuch gniewu z jego strony.

Zapowiedział nawet, żeby nigdy więcej nie wymawiała przy nim imienia pierwszej żony. Ta suka miała więc na niego nadal duży wpływ, nie wiadomo tylko, jak to osiągnęła. Może dzięki dzieciom. Adriana często zastanawiała się, co takiego dostrzegł mężczyzna pokroju Maximiliana Westa w tej mdłej, przesłodzonej blondynce. Jego druga żona, aktorka, która spadła ze schodów i skrzyła sobie kark, też była raczej nijaka.

Adriana ustawiła zdjęcie z powrotem na konsoli, podeszła do obrazu Maneta i poprawiła go, a potem spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Maxim powiedział, że wróci do domu o siódmej i chce zjeść w mieszkaniu. Był czwartek, kucharka i lokaj mieli dziś wychodne. Zazwyczaj Maxim zabierał ją do Le Cirque, La Grenouille, La Caravelle, The Four Seasons albo do jakiejś innej wykwintnej restauracji nowojorskiej, tego ranka jednak, przed wyjściem do biura wyjaśnił, że musi do jutra przejrzeć jeszcze całą stertę dokumentów. Tak więc kucharka przyrzadziła dziś kolację na zimno do spożycia na miejscu: sałatkę, wędzonego łososa,

kurczaka i pieczeń, sery oraz świeże owoce - wszystko to, co Maxim lubił najbardziej.

Adriana pośpiesznie przeszła do kuchni, otworzyła lodówkę, sprawdziła, czy jest wystarczająco dużo chłodzonego szampana Dom Pérignon i kawioru, po czym udała się do sypialni.

Czym prędzej zdjęła ciemny kostium, w którym była w biurze, zrzuciła wytworną bieliznę i weszła do łazienki. Hojną ręką wrzuciła do wanny wonne kryształki, odkręciła wodę i stanęła przed lustrem. Upinając włosy, zastanawiała się, co założyć na wieczór. Na pewno coś seksownego. Musi być dla męża powabna i porywająca, musi wygrać z nim dzisiejszej nocy... pod każdym względem.

Przez kilka minut, kiedy leżała w wannie i rozkoszowała się gorącą, pachnącą wodą, nie przestawała rozmyślać o Maximie. Jej ślub z nim miał być wydarzeniem stulecia. I tak się stało. Była obecnie żoną najbogatszego człowieka na świecie, miliardera w kwiecie wieku. Nieźle, jak na zwyczajną dziewczynę z Westchester, która pochodziła z klasy średniej, miała wychowanie typowe dla klasy średniej, oraz - na szczęście już za sobą - dwa nieudane małżeństwa: pierwsze, bardziej nudne, ze swoją młodzieńczą miłością, a potem, nieco mniej nudne, ze starszym, bogatym mężczyzną.

Pomyślała o Arthurze Macklinie. Była jego żoną przez dziesięć lat, do 1983 roku, kiedy zmarł w wyniku powikłań pozawałowych. Miał wtedy siedemdziesiąt lat, a ona liczyła ich sobie trzydzieści jeden. Adriana była bardzo zadowolona z małżeństwa z Arthurem; dzięki niemu znalazła się w zupełnie innym świecie.

Po rozwodzie ze swoim pierwszym mężem, Larry Tucke-rem, przeprowadziła się na Manhattan, znalazła dla siebie niewielki apartament i została modelką.

Sukces nie kazał na siebie długo czekać. Po serii zdjęć wykonanych przez Scavulla Adriana stała się dziewczyną z okładki; jej twarz zdobiła teraz każde niemal czasopismo, od *Vogue* po *Mademoiselle*. I wtedy zwrócił na nią uwagę Arthur Macklin. Za pośrednictwem agencji reklamowej uczynił z niej dziewczynę Empress Eugenia. Pół roku później jej twarz można było zobaczyć wszędzie: na ekranach telewizorów, w kolorowych czasopismach i prasie codziennej, na olbrzymich plakatach w domach towarowych. Jej frapujący, egzotyczny wygląd gwiazdy filmowej był dokładnie tym, co

miało Macklinowi pomóc w promocji jego środków piękności. Uroda Adriany oczarowała też właściciela firmy w życiu prywatnym: „dziewczyna Empress Eugenia” stała się jego dziewczyną. Nie odstępował jej nawet na krok, w widoczny sposób zalecał się do niej. Obsypywał ją prezentami, od biżuterii po futra, a wreszcie rozwiódł się z żoną, z którą przeżył wspólnie trzydzieści lat, i zanim jeszcze Adriana zdołała złapać oddech i otrzepać ze swych stóp kurz Westchesteru, ożenił się z nią.

Przez kilka kolejnych lat pozostawała dziewczyną Empress Eugenia, objęła też funkcję rzecznika prasowego firmy. Arthur, człowiek nadzwyczaj bystry, który sam sobie utorował drogę w życiu, zorientował się bardzo szybko, że jego piękna żona ma również nieprzeciętny umysł. Ponieważ nie miał dzieci, począł wprowadzać ją w interesy. Osobiście przygotowywał ją do roli następcy i w tym celu zapisał jej swoją firmę w testamencie. Kiedy wiosną 1983 roku powalił go atak serca, Adriana roztoczyła nad nim troskliwą opiekę i zajęła się sprawami firmy tak umiejętnie, że on nie uczyniłby tego lepiej. Po jego śmierci obrała nowy kierunek, poprowadziła Empress Eugenia ku nowym czasom. Po wykupieniu kilku mniejszych firm kosmetycznych i dokonaniu z nimi fuzji, zmieniła opakowania swoich produktów, zleciła francuskim specjalistom opracowanie dla niej nowych perfum, a chemikom - nowej serii kosmetyków ziołowych. Serię tę nazwała „Piękne ciało” i otworzyła na terenie całego kraju sieć butików o tej samej nazwie. W konsekwencji firma Adriany zdystansowała wielu konkurentów, w tym Marianna Montevectchio, filię The Allandale Group, należącą do Maxima. Kiedyś zamierzała nabyć tę firmę i połączyć ją z Empress Eugenia, potem jednak zmieniła zdanie. Co najdziwniejsze: Maxim zaczął oskarżać ją o konkurowanie z nim. Początkowo roześmiała się, myślała bowiem, że Maxim żartuje, potem jednak zorientowała się, że on naprawdę tak myśli. W rzeczywistości zawsze dążyła do współzawodnictwa, taką już miała naturę i nic na to nie mogła poradzić. Oczywiście konkurowała z Montevectchio, podobnie zresztą jak swego czasu z Lauder, Arden i Revlon, ale nie było w tym nic osobistego. Maxim najwidoczniej odebrał to jako atak na siebie. Pół roku wcześniej każde z nich zwróciło uwagę na niewielką firmę, produkującą środki do pielęgnacji rąk. Z jej strony starania o firmę miały charakter partnerskiej rywalizacji, traktowała to

jak świetny żart. On podszedł do tego zupełnie inaczej. Szef jego działu akwizycji w Nowym Jorku, Peter Heilbron, wpadł w szal.

Adriana znieruchomiała, usiadła w wannie. Czyżby Maxim żywił do niej nadal urazę o tamto? Nie, na pewno nie. Roześmiała się na głos. Chyba Maxim nie zamierza pozbawić jej rozkoszy cielesnych na wzór tych kobiet, które czując się obrażone odmawiają swych wdzięków mężom. Nie, to niemożliwe. Był mężczyzną zbyt dużej klasy, aby stosować tak głupie gierki. Nie sypia z nią teraz, bo za bardzo absorbują go interesy. Ma duży temperament, ale potrafi narzucić sobie dyscyplinę, jeśli to konieczne. Kiedy chce, może nakazać sobie wstrzemięźliwość trwającą miesiącami, a nawet latami. Kiedyś, w rzadkiej chwili szczerości, zwierzył się jej, że po śmierci swojej drugiej żony trwał w celibacie przez dwa lata. Było to dla niej ogromne zaskoczenie, uświadomiła sobie jednak zarazem, jak niezwykle siłą woli dysponuje ten mężczyzna. Mój mąż, dopowiedziała w duchu i wyszła z wanny.

Stała przed lustrem, które sięgało w łazience od podłogi aż po sufit, i wpatrywała się w siebie przez długą chwilę, obracając się na wszystkie strony. Nadal miała nieskazitelną figurę, bez grama zbędnego tłuszczu, a przy tym nie przypominała w niczym owych żywych szkieletów, jakie można było nieraz spotkać w Nowym Jorku. Adriana знаła kilka takich kobiet; na ich widok przesywał ją dreszcz zgrozy, zwłaszcza iż wiedziała, że odmawiają sobie jedzenia i usychają z głodu. Ona sama umiała zachować złoty środek: nie była ani koścista, ani pulchna. Należała do kobiet raczej wysokich, mierzyła bowiem pięć stóp i osiem cali, nie musiała więc od razu wpadać w panikę, kiedy czasem zdarzyło się jej przytyć ćwierć kilo. Jeszcze raz zakreśliła się powoli na pięcie, zadowolona z efektów ćwiczeń, jakie dwa razy w tygodniu odbywała pod okiem trenera.

Piersi miała może nieco zbyt ciężkie, ale były za to kształtne i wystarczająco bujne, aby podniecić Maxima. Rok temu, kiedy zrzuciła wagę, zauważyła, że jej mąż nie lubi u kobiet nadmiernej szczupłości.

Sięgnęła po emulsję do ciała i perfumy o zapachu bzu, gdyż taki właśnie zapach uwielbiał Maxim, spryskała się nimi, a potem wyszczotkowała gęste, ciemne włosy. Narzuciła na siebie jedwabny szlafrok, przeszła do sypialni, usiadła

przed toaletką i znowu przejrzała się w lustrze, zastanawiając się, jakiego typu makijaż podziałałby skutecznie na Maxima tego wieczoru. Czy ma zadbać o łagodny, dziewczęcy wygląd, ze słodkimi różami, pudrem i delikatnym, pastelowym cieniem do powiek, czy też przekształcić się w kobietę bardziej poważną?

Nachyliła się bardziej do przodu, bacznie wodziła wzrokiem swoje odbicie. Miała pełną, okrągłą twarz, szerokie czoło, lekko skośne oczy, kształtne, ciemne brwi i ładnie zaokrąglony podbródek z dołeczką. Będzie po prostu sobą, zdecydowała. Sięgnęła po jasnomigdałowy podkład i nałożyła go na wysokie kości policzkowe. Będzie tą, którą ubóstwia: Adrianą Macklin. Zresztą, kiedy jestem sobą, staję się szczególnie ponętą kobietą. Apetyczną trzydziestopięcioletnią kobietą.

56

Maxim zebrał się w sobie, zanim włożył klucz do zamka i otworzył drzwi apartamentu przy Piątej Alei. Przede wszystkim musiał skupić się na interesach, nie był dziś w nastroju do męczącej dyskusji z Adrianą. A sprzeczka była nieunikniona.

Najwidoczniej usłyszała go, jak wchodzi, gdyż zanim jeszcze zdążył zdjąć trench, wybiegła z biblioteki, aby go powitać.

- Jesteś, aniołku! - zawołała, śpiesząc mu na spotkanie. Wykwintny, purpurowo-złocisty kaftan migotał na niej niczym bajeczny obłok.

- Witaj, Adriano - odparł cicho, z nikłym uśmiechem, i odłożył teczkę na małą ławę w stylu Ludwika XV.

Zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła w usta. - Mmmm. Ładnie pachniesz.

Jego twarz drgnęła. Zdjął płaszcz, powiesił go do szafy i wziął z powrotem teczkę.

- Jest już zimny szampan, kolacja czeka - poinformowała go Adriana jedwabistym głosem. Ujęła go pod rękę i razem przeszli przez hall. - Pomyślałam sobie, że otworzę szampana już teraz i napijemy się trochę przed jedzeniem. Co ty na to, kochanie?

- Nie teraz, Adriano. Chciałbym wziąć prysznic i przebrać się w coś swobodniejszego. Potem może się napiję. - Skierował się do swojej sypialni. - Zaraz przyjdę - dodał ciszej.

- Będę w bibliotece, aniołku. - Odprowadziła go wzrokiem, a kiedy zniknął w swoim pokoju, zmarszczyła brwi. Maxim zamknął za sobą drzwi dosyć ostentacyjnie; odebrała ten gest jako jednoznaczny. Jeszcze przez chwilę stała zamyślona. Usiłowała ocenić jego dzisiejszy nastrój. Dzięki Bogu, nie sprawiał wrażenia tak rozdrażnionego jak przez kilka ostatnich tygodni, kiedy wrócił z Europy. Może nie był w dobrym nastroju, ale na pewno też nie w złym. W pośrednim, pomyślała. Uśmiechnęła się w duchu. Wyglądało na to, że tego wicVoru poradzi sobie z nim. Trochę czułości, słodkich słów, szampan i kawior, nastrojowa muzyka i łagodne pocałunki... W ten sposób przełamie jego opór co do zmiany wystroju mieszkania. A potem, kiedy już zmiękczy go na dobre, zaciągnie go do łóżka. Tym razem musi się udać.

Maxim rozebrał się i wszedł pod natrysk. Gorąca woda spływała z góry nieprzerwanie, podczas gdy on wyciągał i zginał ręce nad głową, poruszał ramionami i kręcił głową tam i z powrotem, aby pozbawić się chociaż trochę napięcia. Przez cały długi dzień spędzony w biurze narastało w nim, aż wreszcie stało się nie do zniesienia. Powrócił myślą do rozmowy z Graeme Longdon, którą odbył tuż przed wyjściem do domu. Podzielała jego zdanie, że powinni zrezygnować z transakcji, nad którą ostatnio pracowali, mimo iż Peter Heilbron wypowiedział się przeciw wszelkim gwałtownym krokom, przynajmniej na razie. „Nie działajmy pochopnie”, poradził Maximowi, odprowadzając go do windy, on zaś obiecał, że prześpi się z tym problemem. Po kąpieli potrzebował tylko jednego: całkowitego odprężenia, nie był jednak pewny, czy jest to możliwe przy Adrianie, która ostatnio irytowała go coraz bardziej. W każdym razie musiał teraz przestać myśleć o interesach, przewietrzyć głowę na parę godzin. Poczł ochęć na kilka drinków, lekką rozrywkę i sześć godzin głębokiego snu. Jutro rano musi być wypoczęty; czeka go podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie otrzymanej ostatnio oferty. Był właśnie w trakcie jej załatwiania, co oznaczałoby przejęcie ważnej amerykańskiej spółki Palmyra-Kettelson - i raptem uświadomił sobie, że nie jest tak do końca przekonany, czy chce sfinalizować tę transakcję.

Sięgnął po mydło i natychmiast poczuł zapach bzu. Perfumy Adriany! Wszędzie jej pełno, pomyślał. Roześmiał się niewesoło. Jego żona stawiała się wyjątkowo uciążliwa i to pod wieloma różnymi, żeby nie powiedzieć zaskakującymi, względami. Z drugiej strony była jedną z najbardziej frapujących kobiet, jakie znał; nie mógł odmówić jej oryginalnej, egzotycznej urody.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał ją w Monte Carlo, natychmiast ścięło go z nóg. Był nią oczarowany. Jej niewiarygodnie piękna, zmysłowa twarz, idealne ciało oraz długie, zgrabne nogi, jak również przyczajony erotyzm, który zdawał się emanować z mej nieprzerwanie, wprowadził go w stan silnego podniecenia. Tamtego lata - było to półtora roku temu - przedstawiał sobą łatwy cel. Po raz pierwszy od śmierci Camilli był skłonny związać się z kobietą, zapragnął iść z kobietą do łóżka, zapomnieć przy niej o wszystkim. I to właśnie przytrafiło mu się z Adrianą. W trakcie ich sześć-tygodniowej znajomości znaleźli się pewnego razu w hotelu Carlton w Cannes i przez trzy doby nie opuszczali apartamentu, nie mogąc nasycić się sobą seksualnie.

Musiał przyznać, że Adriana stanowiła dla niego odmianę. Różniła się znacznie od innych kobiet, które poznał i poślubił. Do tej pory interesowały go głównie dystygowane blondynki o łagodnym wyglądzie; Adriana miała ciemne włosy, była typem ciemnookiej demonicznej kobiety o egzotycznej urodzie. Od innych kobiet różniła się także pod innymi względami: miała dziwne poczucie humoru, potrafiła bowiem zachowywać się niezwykle swobodnie, niemal rubasznie. Początkowo wydało mu się to zabawne, dziś uznawał za odpychające. Szybko odkrył w niej całą masę innych, równie niemiłych, cech. Była osobą zawziętą, upartą do przesady, a przy tym cyniczną i nazbyt zuchwałą. Co więcej, jej talent do prowadzenia interesów, do pojmowania świata finansów, nie fascynował go już tak, jak dawniej. A pod powłoką całej tej egzotycznej urody kryła się zdumiewająco męska natura.

Męska natura, powtórzył w duchu. Cóż za dziwne określenie w stosunku do Adriany, a jednak... Tak, uzmysłowił sobie zaskoczony, to trafne określenie. Czyżby właśnie dlatego nie mógł przy niej osiągnąć erekcji? Czy odstraszała go ze względu na tę męską żyłkę? Jego szaleńcza żądza do niej szybko wygasła. Sześć miesięcy po ich ślubie, zawartym w Paryżu, małżeństwo okazało się niewiele warte, przynajmniej w jego opinii. Biorąc ją za żonę, popełnił straszliwy błąd.

Powinien był przewidzieć, że jego gorące pragnienie, aby przespać się z nią, jego pożądanie podsycane przez jej apetyt na niego, szybko się wypali. I tak rzeczywiście się stało.

Jego impotencja zaskoczyła go. Był tym zaszokowany i początkowo zaniepokojony. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien poradzić się lekarza. Potem jednak spędził noc ze swoją dawną znajomą i z ulgą przekonał się, że pod względem seksualnym jest nadal tak sprawny jak niegdyś. Pod warunkiem, że przebywam z blondynką, wytłumaczył to sobie w duchu. A więc najwidoczniej problem tkwił nie w nim, lecz w Adrianie.

Nie martwił się już o własne ego. Jego organizm i ciało funkcjonowały należycie. Uśmiechnął się do siebie. Erekcja u mężczyzny nie następuje bez udziału umysłu i duszy. Większość mężczyzn to istoty pod względem psychicznym bardziej wrażliwe niż kobiety, na tym między innymi polega różnica między mężczyznami a kobietami. U mężczyzny musi odezwać się przynajmniej niewielkie pożądanie, bez którego erekcja, a co za tym idzie zbliżenie seksualne, nie są możliwe. Kobieta natomiast jest w stanie kochać się z partnerem, nie czując do niego pożądania: wystarczy, jeśli położy się i pozostawi mężczyźnie inicjatywę. Jeśli nic z tego nie wychodziło, obwiniała o to wyłącznie jego, nigdy siebie. No, może czasem także siebie, ale to zdarzało się bardzo rzadko.

Ponieważ owa niemoc ogarnęła go właśnie przy Adrianie, zaczął unikać wszelkich kontaktów seksualnych z nią. Miał nadzieję, że w ten sposób uniknie kłopotliwej sytuacji. Nie było to łatwe, jako że Adriana należała do kobiet o bujnym temperamentem i kiedy tylko mogła, deptała mu po piętach, na szczęście jednak udawało mu się unikać jej. Rok temu doszedł do przekonania, że powinien przeprowadzić rozwód, potem jednak przestał o tym myśleć. Nadal nie poruszał z nikim tej sprawy. Dużo podróżował, przebywał z dala od domu i chwilowo odpowiadał mu układ, w którym pozostawał człowiekiem żonatym. Posiadanie żony stanowiło pewne zabezpieczenie i ochronę przed zaborczymi kobietami. Poza tym był za bardzo zaabsorbowany pracą, aby wdawać się teraz w jakieś emocjonalne rozgrywki czy wstrząsy.

Postanowił nie przyspieszać biegu wypadków: uzbroi się w cierpliwość i porozmawia z Adrianą nieco później.

Założył ciemnoszare, flanelowe spodnie, czarny golf, czarną marynarkę sportową z kaszmiru i przeszedł do biblioteki.

Nie dostrzegł nigdzie Adriany.

Z magnetofonu rozbrzmiewała cicho łagodna muzyka, w srebrnym kubelku z lodem na małej komodzie stała otwarta butelka Dom Pérignon. Niski stolik przed kominkiem, w którym płonął ogień, był już zastawiony do kolacji. Adriana była teraz pewnie w kuchni, szykowała tackę z kawiozem, cząstkami cytryny i grzankami; podawała to ostatnio przerażająco regularnie, aż do znudzenia.

Maxim podszedł do komody, nalał sobie kieliszek szampana, po czym upił spory łyk, delektując się trunkiem.

Rozejrzał się dokoła i zamrugał oczyma; w pokoju było za ciemno. Zbliżył się do biurka, zapalił lampę i natychmiast zwrócił uwagę na żółty blok rysunkowy. Przez chwilę stał w bezruchu, patrząc na notatki Adriany, a zwłaszcza na wypisane tam nazwisko Valentine'a Lubbocka, które wprost kłuło w oczy. Lubbock był najdroższym dekoratorem wewnątrz na świecie. Maxim nachylił się nad biurkiem, odczytał uważnie długą listę życzeń, sporządzoną przez żonę. W tej samej chwili Adriana wróciła z kuchni. Z tacką w ręku przystanąła jak wryta w progu biblioteki, gromiąc w duchu samą siebie za tak bezdenną głupotę. Że też musiała zostawić ten blok na wierzchu! Co za nieostrożność! Niezadowolenie przerodziło się w lęk, kiedy Maxim podniósł głowę i spojrzał na nią. Wstrzymała oddech na widok jego miny.

Machnął w powietrzu blokiem. - Cóż to takiego!?! - zawołał gniewnie. - Zamierzasz zmienić wystrój mieszkania, czy tak?

- Rzucił jej złowróżbne spojrzenie.

- Nie, nie skądże znowu! po prostu...

- Po prostu co? - nie czekając na odpowiedź, grzmiał dalej:

- Nie pozwolę, abys zmieniała tu cokolwiek! W żadnym wypadku! Mieszkanie jest piękne, w doskonałym guście i takie mi właśnie odpowiada! Nie przestawisz ani nie zmienisz tu nawet jednej rzeczy, zrozumiałaś!?

- Nie musisz krzyczeć. Chciałam tylko zmienić wystrój twojego gabinetu. Jako prezent urodzinowy. - Improvizowała naprędce, odstawiając tackę na stolik. Podeszła do biurka, obdarzyła męża jednym ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów i dodała: - Ten gabinet aż się prosi, żeby go wreszcie odnowić. Maximie, musisz przyznać...

- Co z tego? Nie mam zamiaru zmieniać tam czegokolwiek! I nie mydl mi oczu moimi urodzinami. Na tej kartce - machnął jej przed oczyma blokiem - zaznaczyłaś każdy pokój! Nie jestem głupi. Moja teściowa jest dekoratorem wnętrz...

- Twoja była teściowa! - Przeszywała go teraz zimnym wzrokiem.

Zignorował jej wybuch. - Za jej pośrednictwem poznałem kiedyś Lubbocka. Nie zawracałby sobie w ogóle głowy, gdyby chodziło tylko o jeden pokój. Lubbock przyjmuje zlecenia wyłącznie, jeśli dotyczą całych apartamentów! - Cisnął blok z powrotem na biurko. - Uparłaś się, jak widzę. Przecież powiedziałem ci, że nie dopuszczę do tego, aby to mieszkanie przekształciło się w kosztowną, przeładowaną ozdóbkami, błyszczącą imitację jakiegoś tendetnego hoteliku w Miami

- i to za sprawą przereklamowanego, napszonego, niezbyt zdolnego, ale za to bardzo drogiego pana Lubbocka! To do ciebie podobne: wybrać kogoś tak pretensjonalnego, tak pozbawionego smaku i tak niekompetentnego jak on!

- On jest wspaniały! A w ogóle za kogo ty się, do diabła, uważasz? Czyżbyś stał się nagle wielkim ekspertem od urządzania wnętrz? - Roześmiała się piskliwie. - Też mi ekspert! Wystarczy rozejrzeć się po tym zimnym, bezbarwnym, staroświeckim mauzoleum, aby pojąć, że nie masz zielonego pojęcia

0 tych sprawach!

Nie zadał sobie nawet trudu, aby jej odpowiedzieć; stał tylko

i patrzył na nią.

Trzęsąc się ze złości, syknęła: - To wszystko jest zbyt francuskie! Bez stylu!

Zmrużył oczy, odchylił głowę do tyłu i parsknął wzgardliwie. - Ty idiotko! Właśnie Francuzi wynaleźli styl!

- Bez względu na to, co mówisz, zmienię w tym mieszkaniu wszystko, co uznam za stosowne! - odparła. Nagle poczuła do niego nienawiść za jego wyższość, za jego styl bycia.

Podszedł do niej blisko i zajrzał jej w twarz, a potem, ze zmarszczonymi brwiami wycedził zimnym głosem: - Jeśli rozpiera cię potrzeba urządzenia mieszkania przy pomocy tego kretyna Lubbocka, to sugerowałbym, abyś znalazła sobie do tego celu własny apartament. I to już od jutra. Nie pozwolę, abyś dotknęła tu jednej rzeczy. Nigdy. Jeśli coś będzie tu kiedyś wymagało zmian, moja teściowa przyleci z Paryża i zajmie się tym wraz z Anastazją.

- Łajdaku! Zawsze tylko rzucasz mi w oczy tę swoją eks-żonę! - krzyknęła histerycznym głosem, biała na twarzy. - Nie będę tego dłużej znosić!

- A co zamierzasz z tym zrobić? - Jednym haustem opróżnił kieliszek, odstawił go i wyszedł z biblioteki.

Pobiegła za nim i stanęła w hallu, patrzyła, jak Maxim otwiera szafę, wyjmując płaszcz i przerzuca go sobie przez ramię.

- Dokąd idziesz? - krzyknęła.

- Wychodzę.

- Ale dokąd?

- Na spacer. Potrzebuję świeżego powietrza.

- Akurat! Myślisz, że ci uwierzę! Za dobrze cię znam, Maximie, wiem, jaki masz temperament. Ostatnio nie sypiasz ze mną, musisz więc mieć jakąś kochankę. To oczywiste, że masz kogoś na boku. Jakąś blond dziwkę.

- To miasto roi się od dziwek, Adriano. Jasnowłosych, brunetek i rudych. Do wyboru, do koloru. - Z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi.

Już po kilku minutach spaceru uspokoił się. Wolnym krokiem szedł Piątą Aleją, zły bardziej na siebie samego niż na żonę. Niepotrzebnie się uniósł. Gniew to strata cennej energii. A on potrzebował teraz swych sił na dużo ważniejsze sprawy. Uśmiechnął się z przekąsem. Nie stać go było na marnowanie czasu. Nie poświęcił go wystarczająco dużo na dobre poznanie Adriany. Szybki ślub to długi żal, pomyślał, przypominając sobie słowa Teddy, które wypowiedziała po jego weselu. W głębi duszy wiedział, że Teddy nie zaaprobowwała Adriany, kochała go jednak zbyt mocno, aby ingerować w jego życie i mówić mu, co ma robić. Niepotrzebnie ożeniłem się z Adrianą Smith Tucker Macklin, pomyślał, muszę uwolnić się od niej jak najszybciej. Gdy tylko rozwiążę inne problemy.

Znowu powrócił myślą do planowanego przejęcia Pal-myra-Kettelson, olbrzymiej wytwórni kosmetyków, jednej z największych w Ameryce, o międzynarodowym zasięgu. Od jakiegoś czasu skupował jej akcje, posiadał obecnie 12% udziałów, a ostatnio powiadomił jej zarząd, że zamierza dokupić jeszcze tyle, aby uzyskać pełną kontrolę nad firmą. Ale tamci odrzucili jego ofertę, nie chcieli dać za wygraną. Szykowała się wojna. Tylko że on nie miał ochoty do walki, mimo nalegań ze strony Petera Heilbrona: szef jego nowojorskiego działu akwizycji zachęcał go do dalszej gry, przepowiadał zwycięstwo, wielkie zwycięstwo.

Maxim podniósł kołnierz płaszcza, wsunął ręce do kieszeni i szedł przed siebie, zatopiony w myślach. Kiedy przeciął Siedemdziesiątą Drugą Ulicę i ruszył wzdłuż Piątej, podjął decyzję. Wycofa się. Jutro z samego rana zadzwoni do prezesa Palmyry i odwoła swoją ofertę. W zamian zaproponuje im sprzedaż tych udziałów firmy, jakie posiadał. Zainwestował w nie około 500 milionów dolarów. Zapewne osiągnie pokaźny zysk, jakieś 90 milionów, i może zostanie oskarżony o spekulacje. To nic. Musi pozbyć się tego balastu. Nie chciał tej firmy. Peter będzie rozczarowany, ale tak musi być. Za to Graeme odetchnie z ulgą. W tej sprawie była z nim, rozumiała jego niechęć do inwestowania teraz w Ameryce kolejnych sum.

Tutejsza ekonomia zaczęła go niepokoić. Przypadki wymuszanego wykupu udziałów i drugorzędne kontrakty irytowały go; w efekcie prowadziło to na dłuższą metę do spadku wartości akcji. West International miała zapewnioną pozycję, podobnie jak Allandale Group: obydwie firmy przynosiły zyski siłą rozpędu. Nie było potrzeby planowania dalszej ekspansji.

Maxim przeanalizował swoje osobiste inwestycje na rynku amerykańskim. Ogółem ulokował w innych firmach setki milionów dolarów. Jutro zacznie je wycofywać. Powoli, ostrożnie. Nie chciał wywołać paniki na giełdzie. Będzie sprzedawać swoje udziały bez pośpiechu, przez kilka miesięcy, do końca sierpnia albo września powinien uporać się ze wszystkimi. Był niemal przekonany, że gospodarka Stanów Zjednoczonych zachwieje się jeszcze tego roku, jesienią, najpóźniej w zimie. Nie wiedział nawet, skąd u niego te przypuszczenia, nigdy nie zdołał pojąć mechanizmu tych sygnałów ostrzegawczych, które odzywały się w nim czasem, pomagając prowadzić interesy. Może była to intuicja. A teraz intuicja doradzała mu sprzedaż udziałów. Nie chciał przeżywać na własnej skórze krachu na giełdzie. Boże uchowaj!

Poczuł raptem ulgę, jak gdyby ktoś zdjął mu z serca olbrzymi kamień. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Zazwyczaj doświadczał tego typu ulgi, kiedy po tygodniach rozmyślań podejmował wreszcie ostateczną decyzję w sprawach finansowych.

Podniósł głowę i stwierdził ze zdumieniem, że zawędrował aż do rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Piątej. Podeszedł do najbliższego telefonu, wrzucił dwudziestopięciocentówkę i szybko wystukał numer.

- Słucham?
- To ja, kochanie.
- Gdzie teraz jesteś, Maximie?
- Na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Piątej. Idę do ciebie.
- Nie mogę się już doczekać. Daję ci kilka minut.
- Będę mniej więcej za dwadzieścia minut. Chciałbym dojść pieszo do Sutton Place. Zobaczymy się niebawem, kochanie.

Blair Martin odwiesiła słuchawkę i rozejrzała się dokoła, lustrując baczny wzrokiem każdy szczegół w salonie, z którego roztaczał się wspaniały widok na ogród, nurty East River i część mostu na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Zadowolona z oględzin, skinęła do siebie głową. Maxim był pedantem na punkcie porządku i wykwintnego stylu, ale tu wszystko było w porządku; nie miała powodu do niepokoju. Jej mieszkanie stanowiło przytulne zacisze o łagodnych, pastelowych kolorach; o jego uroku decydowały również francuskie meble a także kwiaty, które Maxim przysyłał jej kilka razy w tygodniu, odkąd zostali kochankami. Lampy osłonięte jedwabnymi abażurami były zapalone, ogień w kominku tworzył ciepły nastrój.

Blair przechadzała się po pokoju tam i z powrotem; w tym domu czuła się szczęśliwa. Maxim nabył go dla swojej córki, Alix, dwa lata temu. Miał nadzieję, że w ten sposób kupi sobie spokój po ich sprzeczce w 1985 roku i doprowadzi do ugody. Przy pomocy Anastazji urządził całe mieszkanie; oboje mieli doskonały gust i dzięki temu dom na Sutton Place był teraz tak piękny.

Jednak Alix wzgardziła prezentem, odmówiła jego przyjęcia. Co za głuptas z niej, pomyślała Blair i pokręciła głową. Nigdy nie potrafiła zrozumieć głupoty u innych i braku praktycznego podejścia do życia. Ona sama była zdecydowanym pragmatykiem.

Domu doglądała przez jakiś czas wynajęta gosposia, ale w końcu zrezygnowała. Maxim wyjaśnił potem, że za bardzo doskwierała jej samotność. Niecały rok temu, wkrótce po rozkwicie ich romansu, zaproponował Blair, aby wprowadziła się tam, co według niego miałyby dwie zalety. Po pierwsze w domu ktoś powinien przebywać, tak jest lepiej ze względów bezpieczeństwa, a po drugie wolał, aby zamieszkała w prywatnym domu, gdzie mogłaby wchodzić swobodnie, o każdej porze. Nie cierpiał bacznych spojrzeń strażników w budyn-

kach z apartamentami do wynajęcia. Będzie bardziej dyskretnie i wygodnie dla mnie, jeśli zamieszkasz na Sutton Place, przekonywał ją, ona zaś zgodziła się, gdy tylko ujrzała ten dom. I tak musiała sobie znaleźć nowe mieszkanie, a na kupno apartamentu nie mogła sobie jeszcze pozwolić. Tak więc układ okazał się korzystny dla nich obojga. Blair pobiegła na górę pogrążona w myślach o Maximie. Szalała za nim, a on za nią. Dziwne... Znała go od 1982 roku i czasem spotykała się z nim, ale tak naprawdę związał się z nią dopiero po poślubieniu Adriany Macklin, kobiety efektownej, pięknej, będącej uosobieniem czaru, ale jednocześnie prawdziwej jędry, szorstkiej i niekiedy pretensjonalnej. Blair nie cierpiała kobiet, które chodzą obwieszane brylantami, niczym choinka przybrana na święta świecidelkami.

Weszła do sypialni, ściągnęła majteczki i jedwabną koszulę, po czym pobiegła do łazienki, gdzie spryskała się perfumami i wyszczotkowała swoje krótkie, jasnorudawe włosy, układając je równomiernie wokół owalnej twarzy. Następnie poprawiła sobie różową szminkę na ustach i nieznacznie przyciemniła powieki bladym szarym cieniem. Przy tym kolorze jej oczy stawały się jeszcze bardziej niebieskie. Na koniec musnęła tuszem jasne rzęsy i wróciła do sypialni.

Tu otworzyła szafę, wyjęła z niej seledynową, jedwabną pidżamę od Trigere, założyła najpierw szerokie, zwiewne spodnie, potem długą bluzkę, przewiązała się w pasie szarfą i wskoczyła w zielone, jedwabne pantofle. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze, zamknęła szafę i przeszła do kuchni. Szampan chłodził się już, przed wieczorem kupiła świeżą sałatkę i warzywa. Gotowała smacznie, a on uwielbiał spaghetti primavera w jej wydaniu. To właśnie postanowiła przyrządzić na kolację. Potem poda ser i owoce. Maxim nie miał kaprysów czy szczególnych wymagań, jeśli chodziło o jedzenie - i to ułatwiało jej życie, zwłaszcza że poza domem miała na głowie pracę; prowadziła własne, niewielkie biuro prasowe.

W połowie schodów przypomniała sobie o pigułkach. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zajść w ciążę. Czym prędzej zawróciła do sypialni, wysunęła szufladę nocnej szafki, wyjęła pigułki i wzięła jedną do ręki. Miała już ją niemal w ustach, kiedy jej wzrok padł na zdjęcie Máxima, stojące na szafce. Jej twarz przybrała wyraz głębokiego namysłu. A właściwie dlaczego nie miałabym zajść w ciążę? - przyszło jej nagle

do głowy. Niedługo stuknie mi trzydziestka, a więc to już najwyższy czas, aby zająć w ciąży. Dlaczego miałabym temu zapobiegać? Tak naprawdę chciałabym mieć dziecko. Uświadomiła sobie nagle, że chciałaby mieć również męża. Mówiąc dokładniej: chciałaby wyjść za Maxima Westa. Rola jego kochanki zaczynała ją męczyć. Tak, podjęła już decyzję. Stanowczym krokiem Blair Martin weszła do łazienki, wrzuciła do muszli pigułki i spuściła wodę, następnie wróciła do sypialni. Przez długą chwilę wpatrywała się w zdjęcie Maxima oprawione w srebrną ramkę; to samo, które zrobiła latem w ogrodzie. Potem położyła jedną dłoń na drugiej, ułożyła kciuk i palec wskazujący tak, aby imitował lufę rewolweru. Uśmiechnęła się do siebie. Wycelowwała w zdjęcie.

- Mam cię, Maximie - szepnęła. - Mam cię, mam cię!

Część VII
Maximilian
Londyn - Berlin 1989

Człowiek o wielu życiach.
Człowiek, który miał swoje własne wnętrze,
coś nietykalnego w sobie,
coś, czego on sam nie znalazł...
- Melvyn Bragg: „Richard Burton: Życie”

- Tak się cieszę, tato, że nie byłeś teraz zajęty
- powiedziała Alix i uśmiechnęła się radośnie.
- Ja też. - Maxim odwzajemnił uśmiech, pogłaskał córkę po dłoni i sięgnął po jedno z menu, podane właśnie przez Josepha. Siedzieli we dwoje w Mark's Club, gdzie przyprowadził ją na lunch, po tym jak wpadła do jego biura na Grosvenor Square. - Czy wybrałaś już coś dla siebie?
- zapytał.
- Nic na pierwsze, dziękuję. Potem zjadłabym wątróbkę z boczkiem.
- Ja to samo. - Maxim skinął na Josepha, złożył zamówienie, po czym obrócił się twarzą do córki. - Cóż, muszę powiedzieć, kochanie, że z tobą jest zupełnie różnie: raz uczta, raz post.
- Co masz na myśli? - Alix podniosła na niego zdumiony wzrok.
- Przez cztery lata trzymałaś się ode mnie z dala, unikałaś mnie, jak gdybym był barbarzyńskim Attyłą. Teraz z kolei wygląda na to, że nie zamierzasz odstępować mnie nawet na krok. Gdziekolwiek jestem, zjawiasz się i ty, choćby na drugim końcu świata. Powiedz sama, czy przesadzam: w poniedziałek byłaś w Nowym Jorku, tak jak ja, a dziś, w środę, przebywasz w Londynie. Zaczynam podejrzewać, że mnie śledzisz.
- Odsunęła się trochę, zmrużyła jeszozielone oczy i spojrzała na niego baczny wzrokiem. - Czy moja obecność przeszkadza ci? Próbujesz dać mi to do zrozumienia?
- Nie, oczywiście, że nie - roześmiał się. - I nie miej takiej strapionej miny. Ja tylko żartowałem. Czy naprawdę nie zorientowałaś się jeszcze, że podoba mi się, jak tkwisz przy mnie od pół roku? Rozpieszczasz mnie. Wiesz, będzie mi tego brakowało, kiedy już wyjdiesz za mąż i znowu będę zdany tylko na siebie.

Teraz i ona roześmiała się wesoło. -Nie zanosz się na to. W tym momencie nie ma na moim horyzoncie żadnych mężczyzn.

- Ale dlaczego? Czyżby wszyscy mężczyźni nagle stracili wzrok?

Alix potrząsnęła głową. - Nie, tato. Po prostu nie spotkałam dotąd takiego, który by mi odpowiadał.

- Jeszcze się zjawi. I to w najmniej oczekiwanym momencie. Takie jest życie.

- Skoro już mowa o mężczyznach... Muszę wreszcie przyznać, że nie myliłeś się co do Jeremy'ego Vickersa. Chodziło mu o moje pieniądze, a ja oczywiście nie dostrzegałam tego. Ale nie zapominaj, że miałam wtedy dwadzieścia trzy lata.

- Jemu chodziło również o ciebie, kochanie. Jesteś nie lada kąskiem. Młoda, śliczna, inteligentna i bogata. Trudno byłoby dziwić się komukolwiek, że ma na ciebie oko. Problem polegał na tym, że Vickers to najgorszy gatunek playboya, a do tego szuler i hazardzista. Ogólnie mówiąc: prawdziwy sukinsyn. Krążyła o nim opinia, że potrafi być twardy, bezwzględny, a nawet brutalny. Nie mogłem znieść myśli, że związałaś się z takim... śmieciem.

- On nie tknął mnie nawet palcem, tato. Ty i Michael dowiedzielibyście się o tym pierwszy, gdyby zranił mnie w jakikolwiek sposób. W każdym razie cieszę się, że byłeś wobec mnie tak surowy, że tak dobrze odegrałeś rolę ojca z zasadami. Wiesz, uświadamiam sobie, że pięć lat temu twoja postawa nie podobała mi się. Teraz jest inaczej. I jestem ci bardzo wdzięczna, tato.

Uścisnął jej rękę. - Zawsze darzyłem cię zaufaniem, Alix. Wiedziałem, że w ostatecznym rozrachunku nie postąpisz głupio lub niewłaściwie. Ale musiałem zrobić wszystko, abyś orientowała się, co o tym wszystkim myślę. Musiałem ci powiedzieć, że nie cierpię tego człowieka, nawet gdybym miał tym samym zaryzykować poważny konflikt z tobą.

- Wiem o tym. Twoja aprobata miała dla mnie zawsze duże znaczenie. I możesz mi wierzyć: nie wyszłabym za Jeremy'ego wbrew twojej woli. Nawet dziś nie poślubiłabym mężczyzny, którego byś nie akceptował, mimo iż mam już dwadzieścia osiem lat.

- Daj spokój! Czy chcesz, abym poczuł się stary?

- Coś podobnego! Ty i stary!

- Zapomniałeś już, że w czerwcu skończyłem pięćdziesiąt pięć lat?

- Z całą pewnością nie wyglądasz na tyle! Jeśli mam być szczerą, jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną: wysoki, ciemnowłosy, przystojny, ładnie opalony. Oto mój stary ojciec - roześmiała się.

Zawtórował jej, a potem ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców. - Dzięki tobie, twojemu staremu ojcu zrobiło się lekko na duszy, meine kleine Maus*, naprawdę.

Alix nachyliła się ku niemu, cmoknęła go w policzek, a potem szepnęła do ucha: - Tamci dwaj przyglądają się nam z dużym zainteresowaniem. Założę się, że wzięli mnie za twoją kochankę.

- Gdyby ktoś uznał, że taki stary przyk jak ja może sobie jeszcze pozwolić na tak śliczną, czarującą blondynkę jak ty, byłoby to dla mnie prawdziwym pochlebstwem. Ale wolałbym, żebyś nie używała słowa „kochanka”. Ostatnio nie mogę ścierpieć tego określenia.

- Och, przepraszam, tato. - Alix zerknęła na niego, po czym dodała cicho: - Jeśli jestem wścibska, każ mi po prostu zaniknąć buzię, pytam jednak z ciekawości. Co będzie z Blair Martin?

- Nic wielkiego.

- Ale... jak ona się miewa? Jaki jest jej obecny stosunek do ciebie?

- Oczywiście wrogi. Chce, abym przeprowadził rozwód z Adrianą i poślubił ją. Naturalnie chodzi jej o to, aby dziecko nosiło moje nazwisko, obnosi się wszędzie z miną skrzywdzonej kobiety i nalega, abym spełnił jej oczekiwania.

- Skrzywdzona kobieta! Doprawdy, to śmieszne! Dziś nikt nie zachodzi w ciążę, jeśli tego nie chce, możesz mi wierzyć, tato.

Maxim kiwnął powoli głową. - Wiem o tym, Alix. Nie jestem durniem. Blair i ja zawarliśmy od samego początku naszego związku pewną umowę. Obiecała, że będzie ostrożna. Doskonale wiedziała, co na ten temat myślę. Kiedy latem 1987 roku, po moim powrocie z Londynu do Nowego Jorku, oświadczyła mi, że jest w ciąży, byłem wściekły. Poniosły mnie nerwy i uderzyłem ją.

- A w jaki sposób wyjaśniła tę ciążę, skoro miała uważać?

- Po prostu twierdzi, że do tanga trzeba dwojga ludzi.

W zielonych oczach Alix zamigotał zły błysk. - Ale nie po to, aby połknąć pigułkę, lub zabezpieczyć się w inny sposób.

* moja mała myszko - przyp. tłum.

Moim zdaniem Blair zastawiła na ciebie pułapkę, tato, naprawdę tak myślę.

Pułapkę, powtórzył w duchu. Jego twarz przybrała dziwny wyraz, spoglądał przed siebie, jak gdyby nie dostrzegał Alix.

- Co się stało? Powiedziałaś coś złego? - zapytała.

- Nie. - Maxim uśmiechnął się słabo. - Pomyślałem

O Camilli, to wszystko. Kiedyś powiedziała, że ja zastawiłem na nią pułapkę. Ale to była inna sytuacja.

- A zastawiłeś?

- O tak, to była dobrze obmyślona zasadzka. Miałem wtedy swoje powody.

- A Blair osaczyła cię, bo miała swoje.

- Tak, chyba masz rację. Alix... Nie uwierzysz, jak często pytam ostatnio sam siebie, czemu się z nią związałem...

Może dlatego, że przypominała trochę Camillę. Blair ma taką samą karnację skóry, jest takim samym typem pod względem fizycznym, prawda?

- Ale nawet w połowie nie jest tak miła, jak była Camilla!

- Jakie to okropne, że umarła. Okropne dla nas wszystkich - mruknął.

- Dzięki Bogu, że ty żyjesz! Nigdy nie zapomnę, co czułam, kiedy zostałeś postrzelony i leżałeś w szpitalu w Mount Sinai, walcząc ze śmiercią. Byłam tak bardzo przerażona! Dopiero wtedy zrozumiałam, jak głupio się zachowałam w sprawie Vickersa, zrozumiałam, że chciałeś dla mnie jak najlepiej.

I pragnęłam tylko jednego: żebyś wyzdrowiał, tak abym mogła jakoś wynagrodzić ci tamto.

- I wynagrodziłaś, kochanie.

Uśmiechnęła się i przysunęła jeszcze bliżej. - Dzięki Bogu. A ty naprawdę wyglądasz znakomicie. To lato na jachcie posłużyło ci, jak widzę.

- Tak, rzeczywiście postawiło mnie na nogi - odparł Maxim i pokiwał głową. - Byłem bardzo osłabiony, kiedy wyszedłem w lutym ze szpitala, mimo że nie mówiłem nic tobie i twojej mamie ani Teddy. Na szczęście jestem z gatunku niezniszczalnych. Teraz czuję się świetnie, odzyskałem siły. O, jest już nasz lunch. Nie wiem jak ty, Alix, ale ja jestem głodny jak wilk.

Po lunchu wrócili do biura West International na Gras-venor Square. Alix wzięła ojca pod rękę, skuliła się pod swoim grubym tweedowym płaszczem. - Brrr, naprawdę zimno dziś jak na październik. Mam nadzieję, że zima nie będzie zbyt ostra!

Zerknął na nią. - Mówisz tak, jakbyś zamierzała pozostać i w Londynie. A ja myślałem, że twoim domem stał się

Manhattan. Tyle mi naopowiadałaś o bogatych klientach, którzy aż palą się, aby obsypać cię pieniędzmi za dzieła sztuki, obrazy i stylowe meble!

Pokręciła żałośnie głową. - To już historia. Owszem, mam stałych klientów, dekoratorów wnętrz z prawdziwego zdarzenia, prawdziwych znawców sztuki. Odpadło jednak wielu innych, zwłaszcza tych nowobogackich, co wiąże się na pewno z krachem na giełdzie w październiku 1987 roku i innymi problemami ekonomicznymi na Wall Street. Ci yuppies przestali już szastać pieniędzmi.

- To było do przewidzenia.

- A co z tobą, tato? Czy zamierzasz zostać przez zimę w Londynie?

- Raczej tak. Może będę musiał polecieć parę razy do Nowego Jorku, ale na krótko. W każdym razie chciałbym spędzić święta Bożego Narodzenia w Londynie. Może spędzimy je wspólnie?

- Cudownie!

- A więc umowa stoi! - zawołał rozpromieniony, przystając przed wejściem do swojego biurowca.

Odpowiedziała mu uśmiechem, wspięła się na palce, pocałowała go w policzek i objęła oburącz. - Kocham cię, tatusiu.

- Ja też cię kocham, córeczko.

- Dzień dobry, sir Maximilianie - powitał go odźwierny w liberii. Przytrzymał drzwi, czekając aż Maxim wejdzie do środka.

- Dzień dobry, Jim. Wszystko w porządku? Jak rodzina?

- Doskonale, sir Maximilianie, dziękuję uprzejmie. Maxim kiwnął głową i skierował się ku windom. Wysiadł na jedenastym piętrze, gdzie mieścił się zarząd firmy.

- Och, sir Maxim! - zawołała na jego widok sekretarka, Faye Miller. - Właśnie dzwoniła Graeme Longdon. Czy mam połączyć się z nią ponownie?

- Nie teraz, Faye, dziękuję - odparł. - Nowy Jork może trochę poczekać... porozmawiam z nią nieco później. - Wszedł do swojego gabinetu, odwrócił się i zapytał:

- To chyba nie było nic pilnego, prawda? Czy Graeme powiedziała, dlaczego dzwoni?
 - Faye potrząsnęła głową. - Nie, tylko tyle, że to nic ważnego i że może pan zadzwonić do niej o każdej porze.
 - Doskonale. - Maxim zamknął drzwi, zdjął płaszcz i powiesił go do szafy. Następnie usiadł za biurkiem, spojrzał na dwa skoroszyty leżące na wierzchu, podniósł słuchawkę i wystukał numer wewnętrzny do syna.
 - Tu Michael West.
 - To ja, Michaelu.
 - Słucham, tato.
 - Czy mógłbyś zajrzeć teraz do mego gabinetu?
 - Już idę.
- Po kilku minutach jego syn wszedł do pokoju; dwudziestosiedmioletni mężczyzna o poważnej jak zwykle twarzy i ciemnych, błyszczących oczach. Z każdym dniem staje się bardziej podobny do mnie, pomyślał Maxim. Bacznie obserwował Michaela, kiedy ten podchodził bliżej i siadał na krześle.
- Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? - zapytał Michael. Usiadł wygodniej i skrzyżował swoje długie nogi.
 - W tej sprawie - odparł Maxim, podnosząc skoroszyty. Odczekał chwilę, po czym odłożył je z powrotem na biurko. Michael uniósł brew gestem zapożyczonym nieświadomie od ojca i spojrzał zdumiony. - Co to takiego?
 - Zaraz, wszystko po kolei. Zajmiemy się tym nieco później. Przede wszystkim chciałem porozmawiać o innej sprawie.
 - W porządku, tato, strzelaj.
 - Przez kilka ostatnich lat gniewałeś się na mnie, byłeś wobec mnie nastawiony wrogo...
 - Tato, jak możesz tak mówić! - przerwał mu Michael lekko podniesionym głosem.
 - Mogę, bo to prawda - odparował Maxim. Wytrzymał wzrok syna i nachylił się do przodu. - Nie ma sensu zaprzeczać, że sprawy między nami piekielnie się skomplikowały, jakkolwiek obaj zachowywaliśmy pozory serdeczności. Tak było do momentu tego włamania, kiedy to zostałem postrzelony. Dopiero gdy śmierć zajrzała mi w oczy, twój stosunek do mnie zmienił się. Nie byłeś już na mnie taki zły. Mówię prawdę, czy nie?
- Przez chwilę Michael nie odpowiadał. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.
- Tak - odparł wreszcie Michael. - Mówisz prawdę.

-I ta niechęć tkwi w tobie nadal... niechęć w stosunku do mnie. To właśnie jedna ze spraw, które chciałbym teraz z tobą omówić.

- Ależ tato, nie jestem nastawiony do ciebie nieprzyjaźnie

- zaprotestował Michael. - Mój Boże, przecież umierałem ze strachu, kiedy leżałeś w szpitalu, i nie wiedzieliśmy, czy przeżyjesz! Byłem tak zdenerwowany, że nie miałem w ogóle pojęcia, co się dzieje dokoła!

Umilkł, a po chwili odchrząknął, jakby nieco zakłopotany, i dodał ciszej: - Kocham cię, tato.

- Wiem, Michaelu. Ja też cię kocham. Posłuchaj, nie próbuję cię teraz krytykować, chociaż tak to może zabrzmiało. Chciałem jedynie nawiązać do czegoś... chciałem, abyś wiedział, że naprawdę rozumiem, dlaczego byłeś wtedy usposobiony do mnie tak nieprzyjaźnie. - Maxim oparł łokcie na biurku, splótł dłonie i spojrzał nad nimi na syna. Michael siedział w milczeniu i czekał na dalsze słowa ojca. Znał dobrze tę skupioną minę i postanowił nie odzywać się na razie.

- Miałeś pełne prawo do takich uczuć - kontynuował Maxim - gdyż w pewnym sensie nie byłem wówczas wobec ciebie fair. Przede wszystkim nie dałem ci wystarczająco odpowiedzialnego stanowiska, wystarczająco dużej władzy.

- Westchnął ciężko i pokręcił głową. - Skupiłem całą władzę w swoich rękach, ale nawet nie zdawałem sobie sprawy, że to robię. Uczyniłem to nieświadomie, jeśli wolisz to określenie. Po prostu byłem zbyt głęboko zaabsorbowany interesami, na tym polegał mój główny problem. Byłem nimi zajęty do tego stopnia, że zaniedbałem wiele spraw, którym powinienem był poświęcić więcej uwagi. Prawdę mówiąc, byłem egoistą, zwłaszcza wobec kilku osób. Ale to już inna historia, nie oddalajmy się od tematu. Poprosiłem cię tu, aby oznajmić, że nadchodzą zmiany, Michaelu. Myślę, że jako mój jedyny syn i następca w tej ogromnej firmie powinieneś wziąć na siebie więcej obowiązków i odpowiedzialności, więcej władzy. Najwyższy czas.

Michael wpatrywał się w niego zdumiony, na jego twarzy malowały się zdumienie i niedowierzenie.

- Nie odezwiesz się do mnie? - zapytał w końcu Maxim i ubawiony parsknął krótkim śmiechem.

- Mówisz poważnie, tato? - wyjąkał Michael.

- Czy kiedykolwiek żartowałem sobie, kiedy chodziło o interesy?

- Nie, ale... Wiesz, tato... wielki Boże, tato, dziękuję ci. - Dopiero teraz, kiedy uzmysłowił sobie sens słów ojca, uśmiechnął się. - To fantastyczna nowina. Rzeczywiście zależało mi na tym, aby robić w tej firmie coś więcej. Na pewno cię nie zawiodę.

- Wiem, Michaelu. I pozwól, że dodam tu coś jeszcze: uważam, że jesteś wspaniałym biznesmenem. Tyle tylko, że do tej pory pracowałeś w moim cieniu. Teraz masz szansę wypłynąć i zabłysnąć.

- Wypłynąć? A gdzie?

- W Nowym Jorku. Chciałbym, abyś poleciał do Nowego Jorku i poprowadził West International. Dla mnie i oczywiście ze mną.

Michael, zaskoczony, zdołał wybąkać tylko: - Tato, to wspaniale... Fantastycznie.

Maxim wskazał ręką na skoroszyt. - Tu podane są szczegóły dotyczące dwóch niewielkich transakcji, nad którymi pracuję obecnie wraz z Graeme i Peterem, jak również rozmaite notatki na temat biura w Nowym Jorku. Dzięki nim będziesz wiedział, czego można oczekiwać od tych czy innych ludzi.

Maxim zmarszczył brwi. - Ale ty będziesz tam razem ze mną, prawda?

Maxim potrząsnął głową.

- Czy to znaczy, że rzucasz mnie od razu na głęboką wodę? Samego? Tak żebym albo nauczył się pływać, albo zatonął?

- Na pewno nie utoniesz, dasz sobie radę. Jesteś moim synem. Należymy do gatunku zwycięzców. Nie mam co do ciebie żadnych obaw. I nie rób takiej zatroskanej miny, przecież tego właśnie od dawna chciałeś, prawda?

- Tak, tato, ale...

Maxim uniósł rękę. - Dość o tym, synu. Podjąłem już decyzję. Zawsze pragnąłeś władzy. I mojego nowojorskiego biura. Bierz jedno i drugie. Grae i Peter będą cię wspierać. Możesz im w pełni ufać, na pewno nie wprowadzą cię w błąd. A gdyby sytuacja była naprawdę poważna, będziesz mógł zawsze skontaktować się ze mną telefonicznie.

- Ale jak? - zapytał Michael. - Gdzie będę mógł cię zastać?

- Tu, w Londynie. Lub na jachcie. Albo może nawet w Nowym Jorku, o dwa domy od siebie. Chodzi o to, żebyś od tej pory poprowadził amerykański oddział West International. Zrobisz to?

- Tak, oczywiście, tato. Byłem tylko przez chwilę zaskoczony. Oddajesz nagle tak wiele, zupełnie nieoczekiwanie.

- Zawahał się, a potem zapytał: - Mogę wiedzieć, dlaczego?

- Naturalnie. Przede wszystkim, West International stanie się któregoś dnia i tak twoje. Poznałeś już dobrze styl funkcjonowania oddziału londyńskiego; myślę, że nadszedł czas, abyś poznał tryb działania filii amerykańskiej.

Możesz liczyć na moją pomoc i radę, kiedy tylko będziesz tego potrzebował, chcę jednak, abyś zaczął kierować firmą, Michaelu. Po prostu: kolej na ciebie.

Michael kiwnął głową. - Rozumiem.

- Po drugie chciałbym trochę przyhamować. Widzisz, od lat, chyba odkąd stałem się pełnoletni, ciągle tylko haruję, pędzę, jakby mnie kto gonił. Myślę, że powinienem zwolnić.

- Urwał i dodał ciszej: - Po prostu otarłem się o śmierć i wtedy uświadomiłem sobie, że w życiu liczą się również inne rzeczy, nie tylko interesy.

- To prawda. I cieszę się, że postanowiłeś odpocząć. Ale mam nadzieję, że nie myślisz jeszcze o emeryturze. Masz dopiero pięćdziesiąt pięć lat.

- Oczywiście, Michaelu, o tym nie ma nawet mowy - uśmiechnął się Maxim. - Za bardzo cenię sobie te wszystkie emocje związane z prowadzeniem interesów. Ale nie muszę już pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, zrozumiałem to wreszcie.

- Kiedy mam polecieć do Nowego Jorku?

- Kiedy tylko uprzątniesz swoje biurko tutaj. A może tak od razu?

- Mogę polecieć pod koniec tygodnia. Tu i tak nie mam wiele do roboty. Polecisz ze mną?

- Nie, ale Graeme i Peter czekają już na ciebie. I to raczej niecierpliwie. Co do mnie, jadę w przyszłym tygodniu do Berlina. Razem z Teddy. Odwiedzimy ciotkę Irinę.

- Nie uważasz, tato, że wybrałeś trochę nieodpowiednią porę, aby tam jechać?

- Co masz na myśli?

- Wszystkie te demonstracje, niepokoje w Berlinie Wschodnim, w NRD, we wszystkich krajach bloku komunistycznego.

- To okres naprawdę fascynujący. W ciągu kilku najbliższych miesięcy możemy oczekiwać niezwykłych zmian. Zobaczysz, wspomnisz jeszcze moje słowa. Rosja przeżywa poważny kryzys gospodarczy i między innymi dlatego Gorbaczow

zaczął oglądać się na Zachód. Nie chodzi mu już o ratowanie partii komunistycznej, lecz o ratowanie swojego kraju, swoich rodaków. Również jego postawa wobec rządów innych krajów bloku wschodniego doprowadzi do wielu ważnych reform. Zobaczysz, że mam rację.

- Przed trzema laty, kiedy byliśmy razem w Berlinie, powiedziałeś, że mur berliński musi runąć i runie któregoś dnia. Czy sądzisz, że naprawdę do tego dojdzie?

Maxim wzruszył ramionami. - Nie wiem. Powinien runąć. To paskudztwo nie może stać długo.

- A jeśli tak, to czy twoim zdaniem dojdzie do zjednoczenia Niemiec?

- Trudno przewidzieć. Sprawa nie jest tak łatwa, na jaką wygląda. Byłoby to bardzo skomplikowane przedsięwzięcie.

- Niemcy zjednoczone na nowo? - zastanawiał się na głos Michael. - Ciekawe, jaka byłaby reakcja ludzi?

- Nie mam pojęcia. Ale nie zapominajmy, że dzisiejsi Niemcy uważają się przede wszystkim za Europejczyków, a w 1992 roku mają zniknąć wszelkie granice w Europie. Będziemy w pewnym sensie jednością. Czymś w rodzaju federacji.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć... ale znajdą się też ludzie, którzy zareagują na to nieprzychylnie, gdyż w zjednoczeniu Niemiec zobaczą nową groźbę dla pokoju.

Maxim roześmiał się. - Tak, wiem, ale ci, którzy tak to odbiorą, dowiodą tym samym, że nie rozumieją polityki europejskiej ani - co więcej - aktualnej sytuacji gospodarczej w Europie. W każdym razie Niemcy uczynili przez ostatnie czterdzieści cztery lata naprawdę wiele, aby odpokutować swoje zbrodnie. Teraz zachowają z pewnością szczególną ostrożność. Zależy im na aprobacie ze strony reszty świata.

- Nowe pokolenia, nowe wartości. Czy to chciałeś powiedzieć, tato?

- Chyba tak. - Maxim wstał, wziął oba skoroszyty, wyszedł zza biurka i wręczył je synowi.

- Dziękuję za zaufanie, tato. Nie zawiedziesz się na mnie - zapewnił go ponownie Michael.

- Wiem, wierzę w ciebie - odparł Maxim. Objął syna ramieniem i odprowadził go do drzwi.

- Będę miał gościa, Marco. Pan Trenton przyjdzie na drinka, potem wyjdziemy na obiad - poinformował Maxim lokaja, który prowadził jego dom w Mayfair.

- Czy mam podać Roederer Cristal, jak zwykle, sir Maximie?

- Tak, Marco, proszę. Pan Trenton przyjdzie około siódmej trzydzieści. Napijemy się na dole, w bibliotece.

Marco skłonił głowę. - Czy podać coś teraz, sir Maximie? Może filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję - odparł Maxim. Usiadł na krześle i wziął do ręki *Evening Standard*.

- Tak jest, sir. - Marco wysliznął się z gabinetu, który przylegał do sypialni na piętrze, i cicho zamknął za sobą drzwi. Maxim zerknął na pierwszą stronę gazety, a potem odłożył ją z powrotem. Nie był w nastroju do czytania. Odchylił się na krześle do tyłu, zamknął oczy i powrócił myślą do wydarzeń dzisiejszego dnia. Nagłe zjawienie się córki w Londynie było dla niego przyjemną niespodzianką. Tym, co sprawiło mu największą satysfakcję w okresie ostatnich dziewięciu miesięcy, to znaczy od momentu postrzelenia go przez włamywacza, było usunięcie przepaści, jaka istniała dotąd między nim a Alix. Musiał przyznać, że jej postawa zmieniła się: podczas jego pobytu w szpitalu przebywała stale u jego boku, nie odstępowała go nawet potem. On również - nieco wcześniej, bo już na początku roku - chciał doprowadzić do pojednania, poleciał zresztą do Nowego Jorku, aby się z nią spotkać. Niestety, dowiedział się, że Alix załatwia jakąś sprawę na Wybrzeżu. Obecnie byli znowu przyjaciółmi, takimi od serca, bliższymi niż kiedykolwiek przedtem. Może uda mu się również nawiązać podobne stosunki z synem. Zwrócił się myślą ku Michaelowi; naprawdę udało mu się go zaszokować! Maxim uśmiechnął się w duchu zadowolony, że wreszcie zrzucił z siebie część władzy i odpowiedzialności. Pomijając już wszystko inne, Michael zasłużył na to. Poradzi sobie, wszystko będzie dobrze. Stanie mocno na nogi, poprowadzi to biuro w Nowym Jorku.

Nowy Jork. Przypomniawszy sobie, w jaką wpakował się tam kabałę, momentalnie ogarnęło go zniechęcenie i lęk. Sytuacja okazała się rzeczywiście paskudna, wcześniej czy później będzie musiał stawić jej czoło. Jak to powiedziała kiedyś Camilla? „Sami piszemy sobie scenariusze i potem zgodnie z nimi gramy swoje role”. Miała rację. Scenariusz do tego, co

działo się teraz w Nowym Jorku, napisał on sam. On ponosił za wszystko winę i musiał za to zapłacić. W przyszłym tygodniu czekała go podróż z Teddy do Berlina. A stamtąd poleci do Nowego Jorku. Tak, tak właśnie postąpi. Natychmiast, gdy podjął tę decyzję, poczuł ulgę. Poleci do Nowego Jorku i unormuje swoje sprawy, tak żeby było dobrze. Nie wolno mu zachować się inaczej; jego sprawy wiążą się z życiem zbyt wielu ludzi. O mały włos uniknął śmierci i wtedy, gdy wychodził ze szpitala, przyrzekł sobie w duchu, że po powrocie do domu uporządkuje wreszcie własne życie prywatne, tak bardzo pogmatwane. Od jakiegoś czasu stopniowo realizował to zamierzenie. Rekonwalescencja przebiegała wolniej niż się tego spodziewał, a potem, w czerwcu, w pałacu Buckingham odbyła się inwestytura, w wyniku której otrzymał tytuł szlachecki. Następnie, zgodnie z zaleceniem lekarza, odbył długi rejs jachtem po Morzu Śródziemnym: rejs trwał przez cały lipiec i sierpień, a Maxim zaprosił na niego Alix, Michaela, Anastazję, Teddy, Marka, rodziców Anastazji, Alana i Marcję - a więc wszystkich tych, którzy byli mu bliscy i dla których on był kimś bliskim. We wrześniu ważne sprawy wezwały go do Japonii, a w drodze powrotnej do Londynu wstąpił do Australii i Hongkongu. W Londynie spędził cały październik, musiał bowiem skontrolować akwizycję francuskich perfum oraz działalność wytwórni kosmetyków. Następnie opracował plany dotyczące przekazania Michaelowi za parę lat całej West International. Najwidoczniej jednak nadszedł teraz czas również na uporządkowanie spraw w Nowym Jorku. Maxim wstał i odwrócił się plecami do kominka, pogrążony w zadumie. Zetknięcie ze śmiercią uwypukliło jeszcze bardziej jego problemy. Miał za sobą wiele bezsennych nocy, kiedy leżał i zastanawiał się nad sensem życia i wszystkiego, co mu się przydarzyło. Niestety, nadal nie znał odpowiedzi na swoje pytanie. Nie stał się też mądrzejszy. Od lat, właściwie już od dzieciństwa, dręczył go smutek. Ucieczka Anastazji z jego życia pogłębiła to uczucie jeszcze bardziej; świadomość straty stała się niemal nie do zniesienia. Smutek, który w nim tkwił, nie opuści go już nigdy; zrozumiał i zaakceptował tę gorzką prawdę. Pozostało mu tylko modlić się, aby któregoś dnia mógł wreszcie zaznać od tak dawna oczekiwanego spokoju i pogodzić się ostatecznie z samym sobą oraz swoim życiem.

Dzwonek do drzwi wyrwał go z zadumy. Wyszedł z gabinetu i zbiegł po schodach w tej samej chwili, kiedy Marco wpuszczał do domu Alana.

To mój przyjaciel od czterdziestu siedmiu lat, uświadomił sobie Maxim. Mój najlepszy przyjaciel. Lojalny, wierny, oddany i mądry. Co ja bym zrobił bez niego?

58

- O której mieliśmy być u Iriny? - zapytał Maxim, wychodząc z sypialni swojego apartamentu w berlińskim Kempinski Hotel.

- Mamy jeszcze parę godzin - odparła Teddy.

Spojrzał na zegarek. - Jest piąta. Musiałem cię źle zrozumieć. Byłem przekonany, że mamy się z nią spotkać właśnie teraz.

- Nie zrozumiałeś mnie źle, Maximie - powiedziała Teddy. - Rzeczywiście mówiłam, że powinniśmy być gotowi na piątą. Ale nie po to, żeby iść od razu do Iriny. Oczekuję teraz gościa.

- Kogo?

- To przyjaciółka... przyjaciółka mamy... - zaczęła Teddy i urwała. Maxim zapytał:

- Dlaczego patrzysz tak dziwnie, Teddy? Co się stało?

- Nic. Po prostu pomyślałam sobie, że wyglądasz naprawdę wspaniale. Tak zdrowo.

Uśmiechnął się. - To dzięki opaleniznie. Ale rzeczywiście czuję się bardzo dobrze. Powiedz, kogo oczekujesz?

- Powiedziałam ci przecież, to dawna... - Znowu urwała, gdyż ktoś zapukał do drzwi. Zerwała się z miejsca i podbiegła do wejścia, zanim jeszcze Maxim zdołał się poruszyć. - Dzień dobry i dziękuję bardzo za przybycie - usłyszał jej głos, a po chwili Teddy wprowadziła swojego gościa do salonu.

Maxim oniemiał z wrażenia; przed nim stała zakonnica w brunatnym habicie i czarnym welonie. Zdumiony, przeniósł na Teddy pytające spojrzenie.

- Siostrzo Constanzo, chciałabym przedstawić Maximiliana Westa - odezwała się Teddy. - Maximie, to siostra Constanza od Sióstr z Przytułku Świętego Franciszka.

Maxim skłonił głowę. Ciekawe, co mogło łączyć moją mamę z katolicką zakonnica, pomyślał.

Kobieta postąpiła krok do przodu, z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę.

Maxim ujął ją i również uśmiechnął się. Uświadomił sobie nagle, że nigdy jeszcze nie widział kogoś o tak pogodnej twarzy. - Bardzo mi miło, siostrzo Constanzo - powitał ją uprzejmie.

Zakonnica była niska, o drobnej budowie ciała i ciepłym spojrzeniu. Łagodnym głosem powiedziała: - Cieszę się bardzo, że wreszcie doszło do naszego spotkania. Teddy utrzymuje ze mną korespondencję od wielu lat, wiele mi o panu pisała.

Zdumienie Maxima dosięgło szczytu, ponownie spojrzął na Teddy, ona jednak zignorowała jego wzrok i zwróciła się do zakonnicy. - Proszę usiąść, siostrzo Constanzo.

- Dziękuję - odparła i usiadła na krześle.

- Czy mogę zaoferować coś orzeźwiającego? - zaproponował Maxim. - Kawę lub herbatę?

- Nie, dziękuję - odparła zakonnica.

- A ty, Teddy?

- Ja również dziękuję, Maximie. Podejdz tu, usiądź koło mnie. - Teddy poklepała sofę, na której siedziała, a Maxim zajął miejsce tuż przy niej, zdumiony całą tą niezrozumiałą sytuacją.

Teddy odchrząknęła. - Jest coś, o czym chciałam ci powiedzieć, Maximie - zaczęła. - Już od wielu, wielu lat. - Przez długą chwilę wpatrywała się w niego intensywnie, w końcu dodała: - Właściwie powinnam była powiedzieć ci to już dawno, dawno temu. Ale cóż, nie zrobiłam tego. - Zaczerpnęła głęboko tchu. - W 1939 roku, zanim wyjechaliśmy z Paryża, Ursula dała mi list dla ciebie...

- Tak, mam go nadal - przerwał niecierpliwie.

- Dała również list przeznaczony dla mnie, ale miałam go otworzyć wyłącznie w razie jej śmierci. I to właśnie była moja pierwsza czynność po powrocie z Berlina w 1945 roku. List zawierał informację, którą Ursula postanowiła mi przekazać. Zdała się zarazem na moją decyzję. Miałam sama uznać, czy powiedzieć ci o tym, czy nie, kiedy będziesz już dostatecznie dorosły, aby to zrozumieć. Jednak ja nigdy nie pokazałam ci listu ani nie zdobyłam się na zdradzenie tajemnicy, którą on zawierał.

- Cóż to za tajemnica? - Maxim był coraz bardziej zaintrygowany.

- Powiem ci za chwilę. Widzisz, wtedy, gdy zostałeś postrzelony i leżałeś w szpitalu, o krok od śmierci, żałowałam bardzo, że nie pokazałam ci listu od Ursuli. Uświadomiłam sobie, że postąpiłam źle, gdyż... w pewnym sensie przejęłam rolę Boga, tak jakbym mogła kształtować los. Miałeś pełne prawo, aby dowiedzieć się, co zawierał list.

- A co zawierał? - zapytał Maxim.

Ujęła jego dłoń, uścisnęła ją mocno, a potem powiedziała cicho: - Ursula Westheim nie była twoją matką... to znaczy, nie ona cię urodziła, Maximie... Ursula i Sigmund adoptowali cię, kiedy miałeś jeden dzień.

Maxim wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Słowa Teddy były tak szokujące, że musiał zebrać myśli.

W końcu zapytał niepewnym głosem: - W takim razie, kto był moją matką?

Teddy nie odrywała od niego wzroku, ale nie odpowiedziała mu na pytanie.

W pokoju nastąpiła nagle dręcząca cisza, którą wreszcie przerwała siostra Constanza swoim cichym, łagodnym głosem:

- Ja jestem twoją matką. Maximie. To ja dałam ci życie. Całkowicie oszołomiony, przeniósł wzrok na zakonnice. Szok sprawił, że to, co przed chwilą usłyszał, nie docierało do jego świadomości.

- Ale jak to możliwe? - zawołał wreszcie ochryplym głosem.

- Zakonnica moją matką? - Bezradnie wodził oczyma po obu kobietach.

- Nie zawsze byłam zakonnice - odparła siostra Constanza.

- I naprawdę jestem twoją matką, Maximie, uwierz mi.

- Nic z tego nie rozumiem - nie ustępował. - Jesteś katoliczką, a Westheimowie byli Żydami. Jak to się stało, że zaadoptowali mnie?

- Chciałabym opowiedzieć ci wszystko od początku - odparła zakonnica. - Mogę?

- Oczywiście! Muszę poznać prawdę... całą prawdę!

- Zanim zostałam zakonnice, nazywałam się Dorothea Schubert. W 1931 roku, kiedy miałam szesnaście lat, zaczęłam pracować u Ursuli Westheim. Bardzo mnie lubiła i zawsze była dla mnie dobra. Kiedy zaszłam w ciążę, w 1933 roku, moi rodzice wyrzekli się mnie i wyrzucili z domu. Widzisz, oni byli zagorzałymi katolikami i uznali, że jako dziewczyna niezamężna w ciąży okryłam ich hańbą.

Siostra Constanza poprawiła się na krzesło, wygładziła ręką habit i kontynuowała swoją opowieść: - Znalazłam się w okropnym położeniu, nie miałam nikogo, kogo mogłabym poprosić o pomoc, żadnych bliskich przyjaciół. Reszta rodziny odwróciła się ode mnie. I wtedy właśnie Ursula okazała mi przyjaźń, pozwoliła mi wprowadzić się na kilka miesięcy do domu przy Tiergartenstrasse. W tym czasie uświadomiłam sobie, że nie będę w stanie zatrzymać dziecka przy sobie, że będę musiała oddać je do adopcji. A ponieważ wiedziałam, że Ursula nie może mieć dzieci, zapytałam ją pewnego dnia, czy nie chciałaby zaadoptować mojego dziecka, kiedy już przyjdzie na świat.

- I zgodziła się? - zapytał Maxim.

- Nie od razu. Powiedziała, że musi to sobie dobrze przemyśleć... głównie chodziło o to, że ja byłam katoliczką, a ona Żydówką. Wy tłumaczyłam jej, że nie mówimy teraz o religii, lecz o uczuciach, a poza tym wiem, że ona i jej mąż obdarzą moje dziecko prawdziwą miłością i będą mogli dać mu wiele rzeczy niedostępnych dla mnie.

- I wtedy wyrazili zgodę?

- Tak. Pani Westheim wynajęła dla mnie małe mieszkanie, z dala od Ku'damm, ona zaś i pan Westheim sprowadzili się do willi w Wannsee. Było ważne, żeby nikt z nas nie przebywał w tym domu w mieście, ze względu na służbę.

- I natychmiast po tym, jak się urodziłem, Westheimowie wzięli mnie pod swój dach... Teddy powiedziała przed chwilą, że zostałem zaadoptowany, kiedy miałem jeden dzień - powiedział Maxim jakby z żalem.

Siostra Constanza skłoniła głowę, a potem spojrzała na niego z namysłem. - W interesie nas wszystkich leżało przeprowadzenie tego jak najszybciej. Byłeś tak ślicznym dzieckiem! Wiedziałam, że jeśli potrzymam cię w ramionach zbyt długo, nie będę w stanie z ciebie zrezygnować. Trzynastego czerwca przyszli po ciebie. Byli tak szczęśliwi! Powiedziałam im, że chcę, aby to oni wzięli cię do siebie, gdyż wiem, że są dobrymi, wspaniałymi ludźmi. Wiedziałam, że będziesz przez nich kochany i że obsypią cię również tym wszystkim, co można kupić za pieniądze.

- Rzeczywiście tak było - szepnął Maxim, myśląc z rozrzewnieniem o matce i ojcu.

Teddy zauważyła, że zakonnica pobladła, postanowiła więc dokończyć za nią opowieść: - Siostra Constanza wyjechała

z Berlina, Maximie, wyjechała bardzo daleko. Zdecydowała się wstąpić do klasztoru, udała się do Aachen i tam została nowicjuską.

- Aachen - mruknął Maxim. - Co za dziwny zbieg okoliczności! Właśnie w tym mieście, nad samą granicą, zatrzymaliśmy się w 1939 roku, kiedy uciekaliśmy z Niemiec.

- Tak - skinęła głową Teddy i dodała powoli: - W swoim liście Ursula opowiedziała mi o wszystkim, podała nazwisko i adres siostry Constanzy i poprosiła, aby być z nią w kontakcie i przekazywać jej wiadomości o tobie. Oczywiście dyskretnie.

-1 Teddy robiła to... przez cały czas - uzupełniła jej słowa zakonnica. Nachyliła się do przodu, splotła dłonie. - Zdaje sobie sprawę, jak bardzo musiałeś cierpieć, jak bardzo byłeś przygnębiony przez te wszystkie lata faktem, że rozłączono cię z Ursulą i Sigmundem. I oczywiście ponieważ dowiedziałeś się, że zginęli w obozach śmierci. Ale mimo wszystko uważam, że postąpiłam wówczas właściwie.

- Tak, jestem tego samego zdania - szepnął niemal bezdźwięcznie. - W tym momencie było to jedyne wyjście. Nie mogłaś przewidzieć, co się potem wydarzy.

- Mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć - powiedziała siostra Constanza.

- Nie mam ci czego wybaczać! - zawołał Maxim. - Kochałem moich rodziców, oni też mnie kochali, a przecież nic poza tym nie ma znaczenia.

- Tak - odparła. - Tak, masz rację.

- Kto był moim prawdziwym ojcem?

- Nazywał się Kurt Neuwirth.

- Czy on też był katolikiem? -Tak.

- A dlaczego nie poślubiłaś go?

Nie odpowiedziała od razu. - Był już żonaty - wyjaśniła szeptem.

- Czy on żyje?

- Nie, zginął w czasie wojny. Walczył na froncie wschodnim. A jego żona i dzieci zginęły podczas bombardowania.

- Rozumiem. - Maxim spojrział na Teddy. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wszystkim wcześniej?

-Chciałam to zrobić... próbowałam kilkakrotnie, Maximie, ale brakowało mi odwagi. Nie chciałam sprawić ci bólu. - Odchrząknęła. - A potem zrozumiałam, że muszę ci w końcu

powiedzieć, nie mogę zatajać tego w nieskończoność. Poza tym, pomyślałam sobie, że w wieku pięćdziesięciu pięciu lat jesteś chyba wystarczająco dojrzały, żeby wszystko zrozumieć.

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy w jego oczach zamigotał nikły uśmiech. - Tak, Teddy, jestem wystarczająco dojrzały.

Siostra Constanza nieoczekiwanie wstała. - Muszę już iść - oznajmiła.

Maxim zerwał się na równe nogi. - Czy nie moglibyśmy poczęstować cię czymś, choćby herbatą?

Potrząsnęła głową. - Jesteś bardzo uprzejmy, aleja naprawdę muszę wracać.

- Masz daleką drogę?

- Nie. Mniej więcej pół godziny pociągiem. Klasztor znajduje się tuż za miastem.

- Pozwól, że odwożę cię moim samochodem...

- Nie, nie - zaproponowała, kładąc mu lekko dłoń na ramieniu. - Muszę żyć tak, jak dotychczas. Ale dziękuję ci bardzo za propozycję. - Wyciągnęła ku niemu rękę.

Podał jej swoją, uściśnął jej dłoń.

Siostra Constanza wpatrywała się w niego przez długą chwilę oczyma pełnymi miłości. - Życzę ci spokoju ducha, Maximie - powiedziała w końcu. - I niech Bóg cię błogosławi.

Ogarnęło go nagle wzruszenie, kiedy tak patrzył na tę łagodną, pobożną kobietę, która dała mu życie. Odruchowo nachylił się i pocałował ją w policzek.

Jej oczy napęłniły się łzami, a potem uśmiechnęła się promiennie.

59

- Gniewasz się na mnie? - zapytała Teddy, kiedy Maxim przeczytał do końca list Ursuli i zwrócił go jej.

- Jak mógłbym się na ciebie gniewać, droga Teddy?

- W takim razie: czy jesteś zdenerwowany?

- Nie. - Na jego twarzy malowało się to samo oddanie, co zawsze.

- A więc powiedz mi, co teraz czujesz? - zapytała Teddy. - Jestem zaskoczony, oszołomiony, zaszokowany. Myślę, że w tej sytuacji, po usłyszeniu takich wieści, każdy na moim miejscu czułby się podobnie.

- Tak, chyba masz rację - szepnęła. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Wiesz, mogłaś właściwie pokazać mi ten list wiele lat temu

- mruknął Maxim. Był zupełnie spokojny.

- Nie uczyniłam tego tylko dlatego, że obawiałam się, iż sprawię ci ból.

- To, co opowiedziała siostra Constanza, nie zmienia niczego w moim życiu, Teddy. Mama pozostanie na zawsze moją kochaną mamą, mamą z mojego dzieciństwa. Nigdy nie przestanę jej kochać i nie zapomnę jej aż do śmierci. I bez względu na te męskie geny, które w sobie noszę, dla mnie ojcem będzie zawsze Sigmund Westheim. Nigdy nie uznaję innego. To on darzył mnie miłością, on uczył mnie jak żyć, on przyswoił mi kodeks honoru. Jeszcze gdy byłem dzieckiem, on wyłożył zasady postępowania, do których stosowałem się zawsze, po dziś dzień.

Urwał, uśmiechnął się blado, jakby nieśmiało, i wyznał:

- Nadal mam te małe karteczki, które zacząłem dostawać, kiedy ukończyłem cztery lata. Przechowałem je przez tyle czasu, przepisałem nawet na nowo i trzymam razem z tym małym, drewnianym konikiem. Nawiasem mówiąc, przekazałem te zasady dalej, Michaelowi i Alix. Dałem im kopie słów, które wtedy napisał mi ojciec.

- Och, Maximie, to bardzo ładnie z twojej strony. A nigdy mi o tym nie mówiłeś! - zawołała Teddy. Spoglądała na niego przez chwilę. - No cóż - zauważyła - w każdym razie wiesz nareszcie, kim naprawdę jesteś: katolikiem. I twoi rodzice też byli katolikami.

- Nie, Teddy, moi rodzice byli Żydami i ja jestem Żydem. Wychowałem się w rodzinie żydowskiej, myślę i czuję jak Żyd, a więc jestem Żydem.

Zaskoczona tymi słowami, Teddy milczała przez chwilę, potem z wolna pokiwała głową. - Tak, Maximie, masz rację. Jesteś Żydem.

Podszedł bliżej i usiadł przy niej na sofie, ujął jej dłoń, zajrzał głęboko w oczy. Nadal była piękną kobietą, mimo swych siedemdziesięciu lat. Drobne zmarszczki okalały jej zielone oczy i kąciki ust, włosy były białe jak śnieg, emanowały z niej

jednak pogoda i piękno, których wiek nie zdołał przyćmić. Uświadomił sobie w tym momencie, jak bardzo ją kocha. Najdroższa, oddana Teddy! Była przy nim zawsze, przez całe jego życie.

- Chciałbym powiedzieć ci jeszcze coś - odezwał się cicho, łagodnie.

- Słucham cię, mój drogi.

- Siostra Constanza dała mi życie, mama była dla mnie zawsze kimś nadzwyczajnym. Jednak moją prawdziwą matką jesteś ty.

Wpatrywała się w niego bez słowa, w jej oczach zalśniły łzy.

Delikatnie musnęła dłonią jej policzek. - Troszczyłaś się o mnie, odkąd ukończyłem pierwszy rok życia - powiedział.

- Opiekowałaś się mną, kiedy byłem mały, zawiozłaś w bezpieczne miejsce w Anglii, chroniłaś z narażeniem własnego życia i wychowałaś na mężczyznę, jakim jestem dziś. Cokolwiek dobrego zaznałem w życiu, zawdzięczam tobie. Tak, Teddy, moja najdroższa Teddy, jesteś moją matką. Kocham cię i jestem ci wdzięczny z całego serca za to, co dla mnie zrobiłaś.

Poruszona do głębi poczuła, jak po policzkach ściekają jej łzy. Przyłgnęła twarzą do jego dłoni, drżącym głosem wyszeptała: - Zawsze kochałam cię jak własne dziecko. Nigdy nie przestałam myśleć o tobie w ten sposób. Zawsze byłeś dla mnie... moim pierworodnym.

Objął ją ramieniem. - Tak, wiem o tym. Mam wrażenie, że wiedziałem o tym od dawna.

Siedzieli przytuleni do siebie, a pamięć podsuwała im ciąg drobnych na pozór scen z ich życia, lecz jakże istotnych w ciągu tych ostatnich pięćdziesięciu lat. I tak trwali pogrążeni w zadumie, połączeni jak matka i syn.

Wreszcie Maxim wyszeptał w jej siwe włosy: - To dziwne, ale w ostatnich dniach zrozumiałem mnóstwo spraw. Do tej pory czułem się zagubiony, byłem pełen wątpliwości... co do siebie samego, mego życia. Nie potrafiłem dać sobie z tym rady. A pewnej nocy... to było przed tym włamaniem... zacząłem zastanawiać się, kim w ogóle jestem, dlaczego przebywam na tej planecie, o co w ogóle chodzi w tym cholernym życiu.

- Od dawna wiedziałam, że coś cię gryzie - wtrąciła Teddy.

- A potem... to było w ubiegłym tygodniu, na dzień lub dwa przed wyjazdem z Londynu... coś mnie olśniło, jakby objawienie. Nagle otworzyły mi się oczy, zrozumiałem samego siebie,

uświadomiłem sobie, że przez prawie całe moje życie tęskniłem za matką, może nawet poszukiwałem jej w innych kobietach. Tak, w tym momencie zrozumiałem, na czym polega mój problem... zrozumiałem, że jestem owym zagubionym chłopcem, Hansem.

Teddy odsunęła się nieco na bok, spojrzała na niego zdumiona.

- Co masz na myśli?

- Kiedy byłem małym dzieckiem i mieszkaliśmy tu, w Berlinie, przeczytałaś mi któregoś wieczoru historyjkę o chłopcu imieniem Hans. Pamiętasz ją?

- Jak przez mgłę.

- Jego matka zgubiła go i nie mogła już odnaleźć, a on, zagubiony na zawsze, tułał się po całym świecie. Nie miał nikogo, kto darzyłby go miłością. Pamiętam, że ta opowieść wywarła na mnie ogromne wrażenie. Kiedy w 1939 roku przyjechaliśmy do Paryża, poprosiłem mamę, żeby postarała się mnie nie zgubić. A jednak do tego właśnie doszło. Przynajmniej tak mi się zdawało, bo nigdy już jej nie zobaczyłem. - Podniósł wzrok i dokończył:

- Zawsze byłem takim zagubionym chłopcem.

Smutek niczym cień padł na twarz Teddy, jej serce ścisnęło się z żalu. Mimo to potrząsnęła głową. - Ty i zagubiony? Nigdy! Byłeś zdezorientowany, a twoje życie prywatne paskudnie się skomplikowało, ale na pewno nie powiedziałabym, że jesteś zagubiony.

- A jednak w głębi duszy tak się właśnie czuję, chociaż uzmysłowiłem to sobie dopiero tamtego wieczoru, kiedy w towarzystwie Alana jadłem obiad w Londynie. Właśnie wtedy powiedział coś, co otworzyło mi oczy.

- Co takiego powiedział?

- Że kobiety, które istniały w moim życiu, sprawiły mi ból, opuściły mnie, umyślnie lub nie. Zapytałem go, co konkretnie ma na myśli, a on wyjaśnił, że oderwano mnie od matki, kiedy byłem mały; Anastazja odeszła wbrew mej woli; opuściła mnie też Camilla, umarła. Adriana zawiodła mnie, a Blair Martin

- oszukała.

- Tak, to wszystko prawda - kiwnęła głową Teddy. Pomyślała z uznaniem o Alanie, którego bardzo lubiła i to od dawna. Kiedy zdobył taką mądrość życiową?

- Zrozumiałem też - mówił dalej Maxim - że w pewnym sensie wszystkie te kobiety porzuciły mnie w podobny sposób, w jaki zabrano mi matkę; efekt był ten sam.

- Nie mogę ci zaprzeczyć.

-1 tego samego wieczoru uświadomiłem sobie, że ty jesteś jedyną kobietą w moim życiu, która nigdy mnie nie zraniła, nigdy nie opuściła. Byłaś przy mnie zawsze, ilekroć cię potrzebowałem. W styczniu, kiedy leżałem w szpitalu nowojorskim, otworzyłem na moment oczy. Czy wiesz, kogo wtedy ujrzałem?

Potrząsnęła głową.

- Moją pierwszą żonę, trzecią żonę, moją kochankę, córkę. I moją matkę. Tak właśnie pomyślałem na twój widok. Matkę. A potem znowu straciłem przytomność i przestałem widzieć ciebie taką, jak wyglądasz dziś. Zamiast siwowłosej, siedemdziesięcioletniej Teddy, ujrzałem Teddy z mojego dzieciństwa. I przez cały czas myślałem tylko o jednym: zaraz zjawi się Teddy, przyjdzie, uratuje mnie i pocieszy, tak jak robiła to zawsze, kiedy byłem mały.

- Zawsze będę starała się pomóc ci, Maximie, ale w życiu zdarzają się chwile, kiedy człowiek musi pomóc sobie sam, gdyż nikt go w tym nie wyreczy. W takiej właśnie sytuacji znalazłeś się teraz.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że musisz ratować samego siebie, doprowadzając jakoś do ładu ten mętlik, jaki wywołałeś w Nowym Jorku. Chodzi mi o obie kobiety, Maximie, o Adrianę i Blair, jak również o dziecko, Vivecę. Nie możesz pozwolić na to, aby wszystko toczyło się dalej tak, jak do tej pory. Tak nie wolno.

- Wiem. Zamierzam zlikwidować ten bałagan jak najszybciej. Nie kocham Adriany, ona nie kocha mnie, lecz moją pozycję społeczną. Chcę rozwieść się z nią i - jeśli to będzie konieczne - dać jej wszystko, czego zażąda. Przed ślubem zawarliśmy oboje umowę majątkową, ale jestem gotów wyrazić zgodę na zmianę jej warunków, jeśli dzięki temu odzyskam wolność.

- A co potem? Jakie masz plany wobec Blair Martin i jej dziecka?

- Z całą pewnością nie zamierzam jej poślubić, jeśli o to ci chodzi. Przykro mi, że w całą tę sprawę zamieszane jest jeszcze Bogu ducha winne dziecko, ale przecież nie będę się poświęcał. Nie dam się złapać w kolejną małżeńską pułapkę i to z kobietą, o której wiem, że byłaby osobą niewłaściwą. Nie kocham Blair, jej zaś zależy jedynie na moich pieniądzach.

- Zapewnisz byt temu dziecku, mimo iż nie masz pewności, czy jest twoje?
- Czemu nie? Stać mnie na to. A zresztą nie mogę wykluczyć, że jednak jest moje. Miałbym myśleć potem bez przerwy, że mój potomek znajduje się w potrzebie, że brakuje mu tego czy tamtego?
- Widzę, że przez ten ostatni tydzień przemyślałeś sobie naprawdę bardzo wiele. Dwa tygodnie temu, kiedy jedliśmy razem lunch, nie bardzo jeszcze wiedziałeś, co zrobić. Byłeś zdezorientowany, przygnębiony, martwiłeś mnie.
- Powiedziałem ci już, że natchnął mnie ten wieczór z Alanem.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Maxim drgnął zaskoczony, spojrzał na Teddy.

- Ciekawe, kto to? - mruknął.
- Och, zapomniałam ci powiedzieć, że spodziewam się gościa - wyjaśniła Teddy.
- A kogo?

Zignorowała pytanie. - Obawiam się, że już po raz drugi próbuję zastąpić Boga i manipulować losem - szepnęła. Maxim podszedł do drzwi, otworzył je i na moment zastygł w bezruchu, zdumiewająco szybko jednak opanował zaskoczenie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Anastazja! - zawołał. Postąpił krok do przodu, wziął swoją eks-żonę pod rękę i wprowadził ją do apartamentu.

60

Tego samego wieczoru wszyscy troje weszli do mieszkania księżny Iriny, która powitała ich, nie kryjąc podniecenia.

- Przepraszam za spóźnienie - zaczęła Teddy, ale Irina przerwała jej gestem ręki.
- Nie wiecie jeszcze, prawda? Nie słyszeliście jeszcze nowiny!?! - zawołała.

Teddy spojrzała na nią zdziwiona, również Anastazja pytała ją wzrokiem, co się stało. Pełne napięcia milczenie przerwał Maxim:

- Co mielibyśmy usłyszeć?
- Nie wiecie, co się dzieje w Berlinie Wschodnim?
- Nie - odparł.

Anastazja przejęła inicjatywę. - Wejdźmy do salonu, Irino, tam opowiesz nam wszystko. - Zdjęła płaszcz i rzuciła go na ławę ustawioną w korytarzu.

- Oczywiście! Przepraszam, że kazałam wam tu stać, zachowałam się okropnie! Proszę, rozbierzcie się. Teddy, podaj mi swoje norki... Maximie, powieś ten płaszcz do szafy, bardzo proszę. - Krzątała się wokół nich, zaaferowana. Kilka sekund później, kiedy usiedli już w salonie przed kominkiem, wszyscy troje wlepili wzrok w Irinę.

Ona sama, zbyt podniecona, aby usiąść, wsparła się ręką o obramowanie kominka i drżącym z emocji głosem zaczęła opowiadać: - Niedawno Günter Schabowski, szef wschod-nioniemieckiej partii komunistycznej, zorganizował konferencję prasową, na której oświadczył, że począwszy od północy Niemcy z NRD mogą przechodzić na tę stronę, jeśli zechcą.

- Głos Iriny łamał się, w oczach lśniły łzy. - Mogą przechodzić bez żadnego zezwolenia... na parę godzin, parę dni, a nawet na zawsze. Są wolni! Nareszcie wolni, nareszcie bez tego ohydneho jarzma! - Załkała ze wzruszenia i wetknęła rękę do kieszeni, szukając chusteczki.

Maxim podszedł do niej i otoczył ją ramieniem.

- Miałaś rację - zwróciła się do niego. - Mur berliński runie, tak jak przewidywałeś.

- Nie sądziłam, że dożyję tego dnia! - zawołała Teddy.

- Ani ja - szepnęła Irina.

- A myśmy o niczym nie wiedzieli - odezwał się Maxim.

- Teddy i ja mieliśmy gościa, starą znajomą... potem miałem jeszcze ważną rozmowę z Teddy, następnie zjawiała się Anastazja... Nie miałem nawet chwili czasu na obejrzenie wiadomości w telewizji. Przyszliśmy do ciebie nieświadomi tego wszystkiego. A tu takie wspaniałe nowiny!

- Odwołałam stolik w restauracji - powiedziała Irina.

- Zjemy u mnie w domu, a potem, koło jedenastej, wyjdziemy na ulicę. Musimy tam być, kiedy zostaną otwarte przejścia graniczne wydłuż muru.

- Kochani! - zawołał Maxim. - To przecież historyczny moment. Na naszych oczach dokonuje się historia. Nic już nie będzie takie jak przedtem.

- Co masz na myśli? - zapytała Anastazja.

Podniecony wizją przyszłości, wyjaśnił gorączkowo: - Sądzę, że jesteśmy świadkami upadku reżimów komunistycznych w Europie. Zobaczycie, że niedługo zostaną obalone, jeden po drugim. Jeszcze trochę i wszędzie zapanuje wolność i demokracja.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała Teddy. Wiedziała, że Maxim rzadko się myli. Zwłaszcza w sprawach polityki i biznesu.

- Oczywiście - odparł. - To zasługa Michaiła Gorbaczowa. Swoją pieriestrojką i żądzą przeprowadzenia reform uutorował drogę. Możecie mi wierzyć: bez niego to wszystko nie byłoby możliwe.

- Koła historii - szepnęła Irina. - Dziwne, jak one się kręcą, raz wolniej, to znów szybciej. Mam już siedemdziesiąt osiem lat i całe moje życie spędziłam w cieniu komunizmu. Bolszewicy wymordowali moją rodzinę - ojca, mojego wuja Mikołaja, za to, że był carem, jego żonę Aleksandrę i ich dzieci. Byłam małym dzieckiem, kiedy mama i ja uciekłyśmy z Rosji.

- Westchnęła. - Przez ponad siedemdziesiąt lat czekałam na upadek komunizmu, modląc się o to z całego serca... Czekałam na moment, kiedy ludzie powstaną i w swoim dążeniu do wolności i sprawiedliwości odniosą ostateczne zwycięstwo.

- I to właśnie dzieje się teraz - przerwał jej Maxim.

- Demonstracje odbywają się już od miesięcy, w Lipsku i całej NRD. A Niemcy uciekają do RFN którądy się da, przez Węgry, Czechosłowację. Już wcześniej było jasne, że upadek muru to tylko kwestia czasu. Ale... skoro o tym mowa: co powiecie na drinka? Musimy przecież uczcić to historyczne wydarzenie.

- Rzeczywiście! - zawołała Irina. - Moje zachowanie dziś zasługuje na naganę! Zanim przyszliscie, Hilda wstawiła szampana do lodu. Jest tam, Maximie, na komodzie. Razem z kieliszkami. Otwórz go, proszę.

Maxim otworzył butelkę, rozlał szampana. Anastazja podeszła do niego, wzięła dwa kieliszki i podała je Teddy oraz Irinie.

Po chwili wzniesli toast.

- Za wolność! - zaproponowała Irina, podnosząc wysoko kieliszek.

- Za wolność! - zawtórowali zgodnie Teddy, Maxim i Anastazja.

- Dziś mamy dziewiątego listopada! - zawołała nagle Teddy. - Pomyślcie tylko: dziewiąty listopada 1989 roku!

Pięćdziesiąt jeden lat temu Henrietta Mandelbaum obchodziła swoje dwudzieste pierwsze urodziny... a hitlerowcy podłożyli ogień pod Synagogę Centralną. Dziewiątego listopada 1938 roku była „kryształowa noc”. Nigdy tego nie zapomnę... tej szaleńczej jazdy motocyklem, kiedy wraz z Willym uciekaliśmy przed fanatycznym tłumem i bojówkami SS. Dziś mamy pięćdziesiątą pierwszą rocznicę „kryształowej nocy”!

- To naprawdę niezwykle, że mur przestanie istnieć akurat dziś! - pokiwał głową Maxim. - Można powiedzieć, że historia zatoczyła pełne koło.

Irina przytaknęła. - Gdyby Hitler nie doszedł do władzy, nie byłoby żadnej wojny. Berlin nie zostałby podzielony na część wschodnią i zachodnią. Nie byłoby też podziału kraju: nie powstałaby Niemiecka Republika Demokratyczna, rządzona przez reżim komunistyczny. A więc całe to zło ma swoje korzenie w okresie faszyzmu, prawda? Dopiero teraz, kiedy mur berliński pada, widać prawdziwy koniec dziedzictwa III Rzeszy.

- Tor auf! Tor auf! Tor auf! - krzyczał tłum o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. - Otwierać bramę! - Krzyk narastał w miarę jak ludzie gromadzili się przed przejściem granicznym Checkpoint Charlie w amerykańskim sektorze Berlina Zachodniego, czekając na otwarcie szlabanu przez strażników wschodnioniemieckich. Do tego historycznego momentu pozostało zaledwie piętnaście minut.

Maxim obejmował Teddy ramieniem, Anastazja trzymała Irinę pod rękę. Stali wśród tysięcy zgromadzonych na ulicy i czekali niecierpliwie na chwilę, kiedy zegary wybiją północ.

Punktualnie o dwunastej podniecenie tłumu dosięgało zenitu; entuzjastycznie, krzykami triumfu witano fale Niemców z Berlina Wschodniego, napływające przez przejście Checkpoint Charlie. Wielu z tych ludzi przechodziło na drugą stronę po raz pierwszy w życiu. Gwizdy, krzyki i wiwaty nie ustawały; Berlińczycy z obu części miasta obejmowali się i całowali, śmiali się i płakali z radości, tańczyli na ulicach, dzielili się szampanem i piwem przyniesionymi przez mieszkańców Berlina Zachodniego. Była to wspaniała noc: noc, kiedy świętowano odrodzenie wolności.

Maxim spoglądał na rozradowanych Niemców z mieszanymi uczuciami. Wielu z nich wspinało się teraz na mur, przy którym w przeszłości zginęło mnóstwo ludzi, usiłując wydo-

stać się na wolność. Inni walili już w niego młotkami i kilofami, aby zetrzeć z powierzchni ziemi tę haniebną budowlę.

Berlin. Miasto, gdzie przyszedł na świat i spędził dzieciństwo. To miasto odepchnęło go od siebie na zawsze, a jednocześnie wierzył od dawna, że kryje ono w sobie jakąś niezwykle ważną dla niego tajemnicę. I nie mylił się: dziś ją odkrył. Znowu stanęli przed nim jak żywi Ursula i Sigmund Westheimowie, jego mama i papa, i na myśl o ich cierpieniach i śmierci w obozach koncentracyjnych wezbrał w nim bezbrzeżny smutek. Na moment ogarnął go gniew, zdołał jednak odsunąć to uczucie na bok. Zamiast tego, uczepił się gorączkowo i zachłannie obrazu, jaki dojrzał oczyma wyobraźni. Znowu widział piękną twarz Ursuli, jej aureolę z blond włosów, ciemną głowę Sigmunda pochylonego nad pianinem, znowu słyszał jej śmiech i cudowną muzykę, która wypełniała ich dom przy Tiergartenstrasse. Wiedział, że zawsze będą żyli w jego sercu, czysti, wolni, nie tknięci przez to, czego dowiedział się dzisiaj. Na krótką chwilę pomyślał o siostrze Constanzy. Nie sądził, aby miał kiedykolwiek spotkać się z nią ponownie. Był raczej pewny, że i ona nie zamierza widzieć się z nim po raz drugi. Dziś przyszła tylko dlatego, że poprosiła ją o to Teddy. Siostra Constanza miała swojego Boga i nie potrzebowała niczego więcej. Zrozumiał to od razu, kiedy spojrzął na jej niewinną, łagodną, pogodną twarz.

Dziś odbył z Teddy ważną rozmowę. I wszystko, co jej powiedział, było prawdą. To ona jest jego matką. A on jej synem. I Żydem.

Uświadomił sobie raptem, jak dziwnie pokierował wszystkim los. Teddy nalegała w Londynie, aby właśnie w tym tygodniu odwiedzić Irinę w Berlinie. I akurat tego dnia, kiedy runął mur berliński, również on uwolnił się od dręczących go problemów.

- Mam wrażenie, jakbyśmy świętowali Nowy Rok! - zawołała Teddy, uczepona jego ramienia. Musiała krzyczeć, aby nie zagłuszyła jej wrzawa na ulicy.

- Albo zburzenie Bastylii - odezwała się Anastazja.

- Nieważne, jak to nazwiemy - zauważyła Irina. - Świętowaniem czy rewolucją. Tej nocy nie zapomnimy nigdy!

Ostatnim razem widzieliśmy takie tłumy w 1963 roku, kiedy przed ratuszem w Schöneberg przemawiał prezydent Kennedy.

- Ich bin ein Berliner - Jestem Berlińczykiem - zacytowała Anastazja słowa Johna Kennedy'ego.

- Szkoda, że nie dożył tej chwili - mruknął Maxim. Przytulił do siebie Teddy, ogarnął ramionami również Irinę i Anastazję. Przypomniawszy sobie tamten wieczór, kiedy został postrzelony; teraz dziękował opatrności, że nie umarł, że nadal żyje.

Była prawie druga nad ranem, kiedy Maxim, Teddy i Anastazja odprowadzili Irinę do domu, po czym wrócili do hotelu.

Przed drzwiami do apartamentu Teddy Maxim pocałował ją na dobranoc, to samo zrobiła Anastazja.

Na progu Teddy odwróciła się do nich jeszcze raz. - Ależ to był dzień! - powiedziała. - Nigdy go nie zapomnę. Nie zapomnę też tej nocy.

- Tak, niezwykle dzień - przyznał.

Bez dalszych słów Teddy weszła głębiej i zamknęła za sobą drzwi.

Maxim i Anastazja zostali sami na korytarzu. - Który masz pokój? - zapytał Maxim.

- Jest bardzo blisko twojego - odparła Anastazja. Szli w milczeniu, a gdy stanęli pod jej drzwiami, przekręciła klucz, otworzyła drzwi i obróciła się ku niemu. - Napijesz się przed snem, Maximie?

- Czemu nie? - odparł.

Wszedł za nią do pokoju, zdjęli płaszcze, po czym Anastazja podeszła do małego barku. - Na co masz ochotę?

- W każdym razie nie na szampana.

- Może koniak?

- Świetny pomysł. Napijesz się ze mną? -Tak.

Nalała dwa kieliszki, podała mu jeden i usiadła naprzeciw niego.

Wypili bez słowa. Milczenie przerwała po chwili Anastazja.

- Michael powiedział mi, jak wspaniałomyślnie zachowałeś się wobec niego. Dałeś mu władzę, odpowiedzialne zadanie i nowojorskie biuro. Jest bardzo dumny z tego powodu. A ja chciałam ci podziękować.

- Myślę, że czasami robię naprawdę coś dobrego.

- Obawiam się, że nie bardzo cię rozumiem.

- Nie zwracaj na to uwagi, zapomnij, co powiedziałem

- mruknął.

Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę; w dole nadal przelewały się tam i z powrotem rozentuzjasmowane tłumy, wypełniały

sobą całą Ku'damm. Maxim obserwował je przez chwile, a potem obrócił się powoli, czując na sobie wzrok Anastazji.

Siedziała z kieliszkiem w ręku, jak gdyby czekała, aż odpowie na jej pytanie.

Zrozumiał, że powinien wyjaśnić jej swoją ostatnią uwagę. - Wiesz - powiedział - narobiłem niezłego galimatiasu w Nowym Jorku... moje życie prywatne to jeden wielki bałagan.

Milczała.

Wolno pokręcił głową. - Jak to się stało, że dałem się schwytać tym dwóm kobietom w sidła?

- Myślę, że to moja wina - odparła bez wahania Anastazja.

- Teraz ja nie rozumiem.

- Nie powinnam była rozwodzić się z tobą.

- Pod tym względem zgadzam się z tobą.

- Popęłniłam wtedy największy błąd w życiu.

- To prawda. - Nie odrywał od niej oczu. - Wiesz, nigdy nie kochałem innej kobiety prócz ciebie.

- A ja nie kochałam żadnego innego mężczyzny.

- Zawsze istniałaś dla mnie tylko ty, Anastazjo.

- I ty dla mnie, Maximie.

- Właśnie przyszedł mi do głowy wspomniały pomysł, Brzoskwinko...

- Jaki pomysł?

Podszedł do niej blisko. - Pojedź ze mną...

- Dokąd?

- Do Wenecji.

- Kiedy?

- Choćby jutro. Mój samolot stoi na lotnisku Tempelhof. Czeka.

Anastazja wstała. - Dobrze - odparła rzucając mu się w ramiona. - Tak, tak, tak.

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się radośnie.

Poczuł raptem, jak zasklepia się pustka w jego sercu, a dręczący go smutek ulatuje w dal. Tym razem na zawsze.